

Wollny Mariusz

Kacper Ryx i tyran nienawistny

Wydawnictwo Otwarte *

Kraków 2010

Copyright © by Mariusz Woliny

Projekt okładki: KRESKA I KROPKA / Michał Pawłowski

Opieka redakcyjna: Arletta Kacprzak

Redakcja tekstu: Robert Chojnacki

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja: Małgorzata Poździk / d2d.pl

Korekta: Zuzanna Szatanik / d2d.pl, Magdalena Kędzierska / d2d.pl

Łamanie: Robert Oleś / d2d.pl

ISBN 978-83-7515-076-6

www.otwarte.eu

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków, tel. 12 61 99 569

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak, w której można kupić książki

Wydawnictwa Otwartego: www.znak.com.pl

Mojej Róży

Wielkie dzięki przyjaciółom, Ewie i Waldkowi Tomankiewiczom, za możliwość ujrzenia

częstki kresów dawnej Rzeczypospolitej oraz (już tradycyjnie) Panu Robertowi

Chojnackiemu za uwagi, które pomogły książce

PROLOG

Okolice Nowego Miasta nad Wagiem, styczeń 1578 roku

Rozciągnięta na kształt węża gromada zbrojnych mknęła galopem przez ciemniejący w zapadającym zmierzchu las. Czarni jeźdźcy na karych koniach przypominali demony z piekła rodem. Z końskich chrapów wydobywały się kłęby pary, mieszając się z wirującymi w powietrzu płatkami śniegu, strącanymi z gałęzi przez wiatr, ponuro świszczący między drzewami. Wypadli na otwartą przestrzeń i sprawnie rozdzielili się, otaczając kuźnię i chatę usadowione samotnie na rozstaju dróg, w sporej odległości od wioski.

Młody mężczyzna wyrwał się z uścisku chabrookiej blondynki i uniósł na posianiu, wyteżając uwagę.

- Słyszałaś?

- Daj spokój, to tylko wiatr. Chodź do mnie - wyciągnęła ku niemu nagie ramiona.

Zignorował kuszące zaproszenie. Zaniepokojony wciągnął portki i podszedł do okna. Kiedy odwrócił się ku niej, twarz miał białą jak kreda.

- To Ujvary i jego zbiry - wyszeptał ochryple przez ściśnięte gardło. - Jakim sposobem tak szybko cię znaleźli?

Nie odpowiedziała. Strach odebrał jej głos. Podbiegł ku niej i szarpnięciem poderwał z legowiska, ciągnąc w stronę okna na tyłach chaty.

- Prędko! Może uda nam się jeszcze wymknąć...

Ale było za późno.

11

Ćachtice, styczeń 1578 roku

Kraj był górzysty i obficie zalesiony, poprzecinany licznymi rzekami i potokami. Na drugi brzeg rwącego Wagu przeprawili się na wysokości Nowego Miasta. Ale i tu nie zabawili

długo, zasięgnęli jedynie języka co do dalszej drogi. Z każdą chwilą zbliżali się do czeskiej granicy. Krajobraz niby był ten sam co wcześniej, znów teren wznosił się od doliny rzecznej ku widocznemu na horyzoncie pasmu górskiemu, lecz jednak coś się zmieniło. Początkowo nie pojmowali dlaczego, wreszcie zrozumieli - okolica sprawiała wrażenie wyludnionej, a jeśli już kogoś napotkali, na jego twarzy malowało się przerażenie i umykał przed nimi co sił w nogach. Nareszcie sabatom udało się pochwycić starca o lasce, kuśtykającego z tobołkiem na plecach zbyt wolno, by mógł im uciec.

- Csejte - zagadnął go rozkazująco, a gdy żebrak pokręcił głową, dodał: - Czachtice. Górne Węgry! w wyniku skomplikowanej historii zamieszkiwała istna mozaika narodów, stąd różnorodność używanych tu języków i nazw, w których ciężko było rozeznaczyć przybyszów. Po wszech przeważali Słowacy, Polacy i, na wschodzie, Rusini zwani Rusakami, a także sporo osiadłych Cyganów. W miastach nie brakowało Niemców i Żydów, zaś po warownych dworach i zamkach siedziała szlachta węgierska, a na Spiszu również polska. Staruszek zaczął dygotać jak osika, wreszcie wyciągnął drżący palec, wskazując kierunek, i zaraz pospiesznie uczynił znak krzyża.

- Daleko?

- Przed nocą nie dojedziecie, panie.

Nie była to dobra wiadomość, zwłaszcza że dawno zapadł zmierzch. Na szczęście pełnia i leżący dokoła śnieg sprawiały, że było w miarę widno. Trakt odbijał się wyraźnie na tle zimowej bieli, więc nie mogli pobrać. Wtem przeleciało im nad głowami stado wron, czy też gawronów, kracząc donośnie i złowrogo, a ziemia jakby zadrgała. Z oddali wiatr, który się raptem zerwał, przyniósł wycie wyruszającej na łów wilczej watahy. Ten i ów z sabatów przeżegnał się jak wcześniej starzec. Ziemia drgała coraz mocniej, w końcu, mimo śniegu tłumiącego stukot kopyt zorientowali się,

1 Północna część dawnego Królestwa Węgierskiego, obecnie Słowacja.

12

że prosto na nich pędzi gromada jeźdźców. Tętent narastał. Indygen wrzasnął ze strachu, cisnął na ziemię swą żebraczą sakwę i pomagając sobie kosturem, czmychnął w las z szybkością, o jaką go nie podejrzewali. Najemnicy, twarde typy, które niejedno już widziały i przeżyły, zbili się w kupę i zjechali z gościńca, zdejmując z pleców flinty lub dobywając bandoletów z olstrów i szykując broń do strzału. Na środku gościńca pozostał tylko on. Z jedną ręką na biodrze, drugą na kulbace, obrócony twarzą ku nadjeżdżającym, tkwił na środku drogi nieruchomo jak skała.

Wyłonili się zza zakrętu, czarni jak otaczający las. Opatuleni ciemnymi opończami z kapturami zasłaniającymi twarze. Poły płaszczy furkotały za galopującymi, przez co zdawali się ogromnymi nietoperzami lub innymi bestiami z nocnych koszmarów, polatującymi tuż nad ziemią. Śnieg bryzgał spod kopyt. Prowadził ich człowiek okazałej postury, zakapturzony jak pozostali, dosiadający wielkiego karego rumaka, któremu z pyska kapiała piana. Trzymał coś w lewej ręce, swobodnie zwieszanej wzdłuż boku. Z bliska okazało się, że jest to umazana krwią, odcięta głowa młodego mężczyzny. Na widok tarasującego przejazd samotnego jeźdźcy w polskim stroju i gromady zbrojnych na poboczu, zakapturzeni konni bynajmniej nie zwolnili, tylko prowadzący wrzasnął z daleka rozkazująco:

- Z drogi!

Zjechał w ostatniej chwili, wruszając ramionami i zupełnie bez pośpiechu, jakby pragnął zademonstrować, że ustępuje z własnej i nieprzymuszonej woli. Równocześnie liczył mijających go pędem jeźdźców. Było ich dwa razy tyle, co jego sabatów, ale to go nie stropiło. Bywał w większych tarapatach. A przynajmniej tak mu się zdawało.

- Chryste! - zawołał stłumionym głosem jeden z najemników. - Widzieliście?

Ostatni z jeźdźców wiódł za sobą luzaka z przytroczonym do siodła tobołem. W chwili gdy koń mijał sabatów, toboł zaczął się poruszać, po czym pęki jeden ze spowijających worek

rzemieni, puściły szwy i ujrzano zsiniałą twarz dziewczyny o długich blond włosach, z zakneblowanymi ustami. Żył jeszcze, rozpaczliwie rzucając głową na wszystkie strony. Z wytrzeszczonych oczu wyzierały nieludzki strach i nieme błaganie o pomoc.

13

Kiedy noc pochłonięła niesamowitych jeźdźców, ruszyli za nimi w ślad. Kulili się w siodłach, ponieważ i tak siarczysty mróz jakby jeszcze tężał. Z końskich pysków buchała para. Niejeden chętnie by zawrócił, ale swego dowódcy bali się bardziej niż tamtych diabłów w ludzkich skórach. W zawiei, która na szczęście rychło ustała, trochę pobłądzili. Dopiero około północy w świetle księżyca ujrzeni przed sobą baszty i wieże ponurego zamczyska. Gdzieś nad nimi zahukał polujący puchacz. Przeżegnali się zaleknieni. Tylko dowódca nie stracił rezonu. Podjechał do zawartej na głucho bramy i zakoała. Metaliczne dźwięki rozdarły nocną ciszę.

- Werda? - rozległo się po dłuższej chwili.

- Urodzony Stanisław Stadnicki do jego wielmożności Samuela Zborowskiego.

Otwierać!

Zgrzytnęły wrzeciędzie, uchyliło się jedno skrzydło okutej bramy i wjechali na przestronny dziedziniec. Na jego środku, oświetlony wbitymi w śnieg dopalającymi się już pochodniami, stał słup, a przy nim coś nieokreślonego, lśniącego w poświacie księżycowej niczym wielki szklany bałwan lub sople lodu. I w samej rzeczy miało to kształt odwróconego lodowego sopła. Dolną część pokrył już szron, ale górna partia była jeszcze na wpół przezroczysta. Za lodową skorupą majaczyła sina twarz dziewczyny o długich blond włosach, z zakneblowanymi ustami, przywiązanej za szyję do słupa. Z wytrzeszczonych oczu wyzierały nieludzki strach i nieme błaganie

o pomoc, utrwalone w lodzie na wieczność.

- Jezusie Nazareński... - wyrwało się któremuś z przybyłych.

- Luby Samku, dowiem się nareszcie, po co mnie tu wezwałeś i co tu się, na Boga Ojca, dzieje? - choć tamten był jego wujem, dzieliła ich tak mała różnica wieku, że byli dla siebie raczej druhami, stąd bezceremonialna poufalskość w głosie siostrzeńca.

- Później, teraz opowiadaj. Co u Zofii?

Samuel, niezbyt przejęty swoją banicją i niespecjalnie się kryjąc, kilka razy odwiedził kraj. Znalazł nawet czas, by zaręczyć się z najmłodszą z pięciu córek nieżyjącego już kasztelana krakowskiego Wawrzyńca Spytka Jordana, dziedziczką podkrakowskich Mogilan

1 Głogoczowa.

- Zaglądnąłem do Mogilan jakoś tak przed Godami... Zofia wciąż czeka, wierna i kochająca niby Odysowa Penelopa.

14

- A w mojej sprawie co słyhać?

Stadnicki uciekł wzrokiem.

- Twoja banicja wciąż pozostaje w mocy.

- Jak to? Nawet pomimo tego, iż Jan tak pięknie sprawił się pod Tczewem?

- Nawet - odparł Stadnicki, który sam przybywał niemal prosto spod Gdańska, gdzie dzielnie stawał na czele pięćdziesięcioosobowej rotty.

- Piekło i szatani! A to niewdzięcznik! Hetka-pętka, samo-zwańcze książętko, a w istocie ledwie wojewoda z łaski sułtana zarządzający Siedmiogrodem! Zobaczył już, komu zawdzięcza tron! - spąsowiały z wściekłości Zborowski walnął pięścią w stół, rozchlapując rozgrzewającą palinkę.

Przed z górą trzema laty, skazany na infamię po zabójstwie senatora Wapowskiego, zbiegł do Siedmiogrodu. Sławne ongi i potężne Królestwo Węgierskie rozpadło się przed półwieczem.

Węgry zachodnie i Górne znalazły się we władaniu Habsburgów, część południowo-

środkową (ze stolicą w Budzie) zajęli 11 rycy i tylko Siedmiogród (Transylwania) zachował pozory suwerenności, choć de facto stał się tureckim lennem. Jego wojewoda, Stefan Batory, przygarnął zbiega, który w zamian, po ucieczce z Polski Henryka Walezego, zalecił swoim braciom, wpływowej familii, kandydaturę mizernego księżątka na nowego króla polskiego. Zabiegi Zborowskich wśród senatorów i Jana Zamojskiego, do którego, znając jego popularność wśród szlachty, Samuel wystosował listowny apel, przyniosły nadszpodziewany skutek.

- Do tego stopnia zapomniał - mlasnął siostrzeniec, jednym haustem pochłaniając pucharek mocnego trunku - że żaden ze Zborowskich dotąd nie dostąpił królewskiej łaski, a i na dal rokowania są marne. Andrzej miał obiecane podkanclerstwo, Jan buławę hetmańską i nic! Na obietnicach się skończyło. Pieczęć mniejszą wziął Zamojski, który na elekcji gardłował za koronacją królowy Hanny jako „Piasta” i przydaniu jej za męża Batorego. Pociągnął

1 17 IV 1577 r. Jan Zborowski nad Jeziorem Lubieszowskim opodal Tczewa z zaledwie dwoma tysiącami wojska rozgromił dwunastotysięczne siły zbuntowanych gdańszczan dowodzonych przez znanego niemieckiego kondotiera Jana Wilken-brucha, w Polsce zwanego Hansem von Köln; mimo to niepokorne miasto się nie poddało i król musiał iść na ustępstwa.

15

za sobą masy szlacheckie, przesądając sprawę na rzecz księcia siedmiogrodzkiego i sobie przypisując całą zasługę. Ale o tym już chyba wiesz.

- Nic nie wiem! Pewni, że w kraju sprawy idą po naszej myśli, odwiedziliśmy z Krzychnikiem króla Henryka we Francji. Dopiero co wróciliśmy.

- I co?

- I nic. Walezy nie potrzebuje już naszych usług. Przebóg, czy nie ma na świecie żadnej wdzięczności!? A może nad Zborowskimi zawisła jakaś klątwa? - Samuel ścisnął głowę rękoma.

- Coś w tym jest. Wpierw Batory, teraz Henryk... Nie zapominaj

0 Zamojskim - podsunął mu uczynnie siostrzeniec, uśmiechając się w duchu złośliwie, gdyż przy możliwych wujach czuł się chudopa-chołkiem i ich kłopoty bynajmniej go nie martwiły, chociaż chętnie im się wysługiwał i rad korzystał z protekcji.

- Łotr beczny! Nouveau riche! I pomyśleć, żeśmy tego zmija wypiastowali na własnej piersi! - zgrzytnął zębami z na nowo rozbudzoną wściekłością Zborowski, wspominając swój niefortunny list do Zamojskiego, który kutemu na cztery nogi statyście podsunął pomysł wykreowania króla i zyskania u niego dokładnie takich faworów, jakich dla siebie oczekiwali Zborowscy.

Kiedy podczas sprawy z Wapowskim Zamojski niespodziewanie nie przyłączył się do głosów żądających głowy zabójcy, Zborowscy Uwierzyli, że przystał do ich frakcji. Tymczasem była to tylko przebiegła gra ze strony szczwanego lisa, który odważył się rzucić wyzwanie członkom najpotężniejszego rodu w Polsce, wcześniej uspiwszy ich czujność. I oto wygrał pierwsze starcie. „Mój Boże, jak to możliwe? - pomyślał z goryczą. - Pal diabli mnie, nigdy nie byłem mocny w dworskich intrygach. Ale żeby Piotr, a zwłaszcza Jędrzej i kuty na cztery nogi Krzychnik, dali się tak łatwo wystrychnąć na dudka?”. Piątego z braci, Jana, nie brał pod uwagę. Zwycięzcą spod Tczewa, prostolinijnym, uczciwym i mało ambitnym, reszta braci pogardzała. Duszkciem wychylił kubek palącej trzewia śliwownicy, jakby to była woda. Potem długo milczał, rozmyślając

1 uspokajając się, wreszcie rzekł:

- Dobrze. Skoro tak, to jeszcze mnie popamiętaj. Trochę zębów mi zostało. Dlatego cię sam ściągnąłem...

- Właśnie! Gdzie my właściwie jesteśmy?

- W piekle, luby Stasięku - powiedział Samuel bez uśmiechu.
- Piekło niestraszne temu, którego obzywają Diabłem - chełpliwie odparł Stadnicki, dumny ze swego groźnego imioniska, chociaż nie lubił, kiedy się tak do niego zwracano. - Chciałbym jednak wiedzieć, co to za człek, ów wielkolud z dziobatą głową i w czarnym dominie, któregośmy spotkali wpięrow na trakcie, a potem na dziedzińcu.
- To totumfacki pani tego zamku. Burgrabia Johannes Ujvary. Bestia w ludzkiej skórze. A jego ludzie nie lepsi.
- A o co poszło z tą dziewczką, którą widzieliśmy otuloną lodowym całunem?
- Była tutejszą służką, lecz próbowała zbiec do narzeczonego, więc oboje zostali ujęci i ukarani. Przed waszym przyjazdem polewano ją wodą, aż skoła. Jej pani przyglądała się temu z blaskiem.
- Przebóg, jak się zwie owa diaboliczka? - tym razem Stadnicki, sam okrutnik pierwszej wody, był naprawdę poruszony.
- Elżbieta, po madziarsku Erzsebet, de domo Batory, po mężu hrabina Ferencowa Nadasdy. Jej matka jest rodzoną siostrą króla Stefana.
- Fiu, fiu! - gwizdnął Stadnicki. - Królewska siostrzenica!
- Wprosiłem się w gości pod pozorem chęci złożenia uszanowania krewniaczce mego króla przed powrotem do ojczyzny.
- Chcesz ją porwać? Toż to ziemie cesarskie! I bez tego mogą nas obwiesić jako szpiegów. Zwłaszcza teraz, gdyśmy cudem uniknęli wojny z Rakuzami. Rywalizacja Habsburgów z Batorym o zwolniony przez Walezego tron polski niechybnie doprowadziłaby do wojny, gdyby staremu cesarzowi nie zmarło się niespodzianie. Do teraz jednak stosunki między Rzeczpospolitą a Cesarstwem pozostawały napięte.
- Nie trąp się, nie zamierzam jej porwać - odparł Zborowski. - A ze strony cesarskich nic nam nie grozi. Mam glejt jeszcze od Maksymiliana, potwierdzony przez jego następcę. Zresztą Krzyżnik u boku Rudolfa II mocno pracuje na jego przychylność dla naszej rodziny. Siostrzeniec pokręcił głową z podziwem. Jakie to typowe dla Zborowskich! Niby poparli Batorego, a jednak utrzymywali konszachty z Cesarstwem, zabezpieczając się na obie strony (a może i więcej?).

- W takim razie może się wreszcie dowiem, co obaj robimy w tym zapowietrzonym miejscu?
 - Chcę, żebyś coś zobaczył. Akurat pora jest odpowiednia. Tylko sza! Inaczej damy głowę i skończymy jako lodowe sople albo gorzej. I bacz na karła Fritzkę, którego wszędy węższy i nader zręcznie włada nożem.
- Na ponurym, brodatym obliczu Samuela pojawił się osobliwy grymas. Nie strachu, bo zuchwałstwo i pewność siebie nigdy go nie opuszczały. Niby uśmiech, lecz nie było w nim nic-radosnego. Była za to obietnica, która wprawiła Stadnickiego w podniecenie i wzmożła jego ciekawość.
- Podłóże i nieregularne ściany znajdującej się na poziomie piwnic ni to komnaty, ni wykutej w skale groty upstrzone były czarnymi plamami. Śmierdziało zgnilizną i kocimi szczynami. Pod jedną ścianą widniało ogromnych rozmiarów zwierciadło, oświetlone dziesiątkami świec i pochodni. Stała przed nim młodziutka grafinia w białej sukni z niezwykle okazałą kryzą i podziwiała swą urodę. Z lekko smagłej, idealnie gładkiej twarzy okolonej kruczymi splotami, spoglądały wielkie, czarne oczy. Nos długi, kształtny, grecki. Nieduże, lekko wypukłe usta, które wzbudziłyby zazdrość u francuskich piękności z królową Margot na czele, kusily obietnicą. Ale biada temu, kto dałby się uwieść tym ustom i palącemu spojrzeniu, bowiem z bezdennych mrocznych źrenic oprócz żądzy wyzierały także szaleństwo i nieludzkie, zimne okrucieństwo. Po chwili uklękła i wznosząc ręce ku górze, zaczęła mamrotać coś na kształt

blągalnej modlitwy do jakiejś Isten, wszechmogącego obłoku, pani dziewięćdziesięciu kotów, prosząc bóstwo o ochronę i długie życie. Koty były wszędzie: rude, pręgowane, szare, białe, mieszańce, ale najwięcej czarnych. Miauczały, goniły po całej grocie, łasiły się do swej pani, fukały na siebie i gziły lub gryzły między sobą.

- Darvulia, Dorka, Jo! - zawołała hrabina. - Zaczynajcie!

Z haka u powały zwisał łańcuch z doczepioną do niego klatką z grubych stalowych prętów zaopatrzonych w ostre, długie na palec, sterczące do wewnątrz kolce. Stara wiedźma o siwych, rozczochranych włosach, wepchnęła do klatki nagą dziewczynę, odurzoną jakimś specyfikiem. Zamknąwszy klatkę, dała znak dwom innym, młodszym wiedźmom, które jeły obracać kołowrotem. Łańcuch

18

nawijał się na bęben, a klatka unosiła w górę, aż zawisła około sążnia nad ziemią. Wówczas jędze zablokowały kołowrót. Jedna z młodszych wiedźm podeszła do paleniska w kącie, które oświetlało całą scenę, i wyjęła rozpalony długi żelazny ożóg, zaś stara zawołała:

- Pani nasza, już czas!

Hrabina oderwała się od lustra i stanęła pod klatką. Teraz wiedźma z pogrzebaczem przypalała nim uwięzione dziewczę, które rozpaczliwie rzucało się po klatce, raniąc ciało o sterczące kolce. Krew tryskała całymi strumieniami, ochlapując ściany lśniącym szkarłatem. Stąd brały się owe czarne plamy - z zaschniętej krwi. Zapach świeżej posoki przywabił koty. Z przeraźliwym chóralnym miaukiem kocia czereda rzuciła się zlizywać świeżą juchę z pawimentu. Dziewczyna, już oprzytomniała, krzyczała, potem wyła. Najwięcej krwi spływało w dół, wprost na hrabinę, której suknia już nie była biała. Elżbieta uniosła twarz w górę i łapała krew w otwarte usta, wołając w ekstazie:

- Jeszcze, jeszcze!

Ale dziewczka tylko jęczała, wnet całkiem umilkła, a krew przestała ciec. Wtedy Elżbieta podeszła znów do lustra i rozsmarowała juchę po całej twarzy, pytając:

- Zwierciadło, zwierciadło, powiedz Erzsebet, kto jest najpiękniejszy w świecie?

- iy, grafino, teraz i na zawsze - odpowiedział jej osobliwy, głęboki głos.

Stadnickiego przeszedł dreszcz. Byłby chyba krzyknął z wrażenia, gdyby nie to, że oglądał kiedyś trupę kuglarzy i linoskoków, więc pojął, że to któraś z wiedźm, najpewniej najstarsza, zabawia się w brzuchomówcę.

- Wiedziałam - westchnęła hrabina z zadowoleniem.

Niecierpliwym ruchem zerwała kryzę i szarpnęła suknię pod szyją, aż prysnęły oderwane guziki, obnażając nieduże, lecz krągłe piersi i toczone ramiona, po czym jedną ręką zaczęła rozsmarowywać po nich krew, drugą zaś głaskać się po podbrzuszu. Jęczała z rozkoszy coraz głośniejsze, nabrzmiałe sutki sterczały niby ostre skały, aż wreszcie krzyknęła donośnie i dysząc, upadła na kamienie, wstrząsana drgawkami.

Stadnickiemu przyrodzenie omal nie rozerwało spodni. Cały drżał. Twarz płonęła mu z podniecenia. Przygryzł wargi do krwi,

19

by nie zaryczeć niczym jelen podczas rui. Gdyby nie mocny uścisk Zborowskiego, który lepiej nad sobą panował, chyba by nie zdzierzył, rzucił się na hrabinę i posiadł ją, zlizując krew z jej nagiego ciała. Widzieli jednak dosyć, więc gdy wiedźmy spuściły klatkę, usunęły trupa i szykowały się do zamęczenia następnej otumanionej i związanej dziewczki, Zborowski złapał za kołnierz siostrzeńca, który tak się zapatrzył, że nieostrożnie cały wychylił się z za żałomu, i pociągnął go wstecz.

- Chryste w niebiesiech! - po powrocie do komnaty Zborowskiego Stadnicki nalał sobie pełny puchar palinki i opróżnił dwoma haustami. - Tutejsza pani jest szalona!

Z jego poczerwieniałej z emocji gęby z wolna schodził rumieniec.

- Ergo już wiesz, czemu miejscowi za plecami zowią ją Blut-grafin¹. Zdażyła zgładzić więcej ludzi, niż ma lat, a liczy ich niecałe osiemnaście. Dowiedziałem się o jej sprawkach w zaufaniu, ale musiałem się upewnić.

- Skąd u niej takowe upodobania?

- Ponoć w dziecięctwie widziała, jak Cygana podejrzanego

0 sprzedanie dzieci Turkom uśmiercono przez zaszycie w rozciętym końskim brzuchu.

A jakiś czas potem przy niej oberżnięto uszy i nosy pięćdziesięciu zbuntowanym chłopom. Bardzo jej się to spodobało.

- Co na to jej mąż?

- Pociągnął na wojnę z Turkami. Pobrali się przed trzema laty, choć panna młoda była już wówczas brzemienna z prostym chłopem. Bez ochyby spostrzegłeś, jak niewiele tu służby, i to wyłącznie dziewczek. Młodych, ładnych i... niemych. Tylko strażnicy są mężczyznami, ale z wyjątkiem burgrabiego trzymają się murów

1 bramy wjazdowej. Kiedyś hrabina odkryła, że okropny ból głowy, który ją nęka, ukoić może jedynie słuchanie dziewczęcych pisków i krzyków. Odtąd kasa do krwi i nakłuwa igłami swoje służki. Aby nie mogły się poskarżyć, kazała wyrwać im języki. Zmusza też owe do usług zgoła innego rodzaju, bowiem graf Ferenc rzadko bywa w domu, ona zaś od swej niepoczciwej ciotki Klary Batory nabrała ponoć upodobania do sodomii na modłę Safony lesbijskiej...

1 Krwawa Hrabina (niem.).

20

Wychylił kielich. Oczy miał trochę szkliste, językiem zwilżył wargi. Stadnicki ze zdumieniem skonstatował, że opanowanie wuja było tylko pozorne. Samuela tak samo jak jego podnieciło to, co zobaczył, tylko nie chciał się do tego przyznać. Jednak ani jeden, ani drugi nie zdawali sobie jeszcze sprawy, jak wielkie piętno odcisnęło na nich szaleństwo hrabiny: że zabiło w nich resztki człowieczeństwa i zrodziło potwory. Wkrótce mieli się o tym przekonać.

- Nieposłuszne, jeśli to lato, nakazuje gołe przywiązać do drzewa, nasmarować miodem i rada patrzy, jak muchy, mrówki i pszczoły pożerają owe żywcem; zimą zasię są wodą polewane na mrozie, aż zmieniają się w sople lodu - ciągnął Zborowski. - Hrabina jest dumna ze swojej urody i pół dnia spędza przed lustrem. A niedawno pewna wiedźma z lasu, Anna Darvulia, to ta siwa, przekonała ją, że aby na zawsze zachować młodość i krasę, musi się kapać w krwi dziewiczej. Odtąd burgrabia Ujvary, na czele gromady zaufanych zbrojnych, krąży nocami po okolicy i porywa młode dziewczki. Co grafina oraz Darvulia i dwie inne wiedźmy, ochmistrzyni Dorothea Szantes, zwana Dorką, i Ilona Jo, robią z nimi w lochach, to sam widziałeś. Ponoć hrabina karmi potem dziewczki mięsem ich zakato-wanych towarzyszek... Znów ten dziwny uśmieszek. Stadnickiego przeszedł dreszcz. Bynajmniej nie obrzydzenia. Wprost przeciwnie.

- Jak się tego wszystkiego dowiedziałeś?

- Łatwo nie było. Jednak Ruskiemu udało się odnaleźć starą piastunkę grafiny, mieszkającą w szałasie pod lasem, która rzuciła służbę u swej zbrodniczej pani zaraz po tym, gdy do złożonej niemocą Blutgrafin przywiedziono skępowaną dziewczkę, a hrabina ją pożerać żywcem... Starowina ma bodaj ze sto lat i żadnych krewnych, więc nie dba o własne życie i zgodziła się mówić. Zresztą uchodzi za szaloną i chyba dlatego jeszcze jej nie zabili.

- Psiakrew, wciąż nie wiem, co my tu u diaska robimy!?

- Jeszcze nie pojmujesz? Zali król Stefan odmówi łaski człękowi, który w przeciwnym razie gotów jest rozgłosić po świecie, że jego bliska krewniaczka to prawa bestia w ludzkiej postaci? Zwłaszcza że nowy cesarz z radością skorzysta z okazji, by rozprawić się z winowajczynią i okryć hańbą ród Batorych, którzy ośmielili się ubiec Habsburgów w staraniach o polską koronę.

Stadnickiemu opadła szczeka, gdy wreszcie pojął zamiary wuja. Chociaż w przeciwieństwie do Samuela lepiej znał włoski od francuskiego, przypomniał sobie właściwe słowo: chantage. Szantażować króla! Do tego naprawdę trzeba mieć jajca.

Dwa dni później na bezludnym trakcie wiodącym przez niewysokie, lecz gęsto zalesione góry, natknęli się na ciężką karocę tarasującą przejazd. Woźnica z pięcioma hajdukami biedzili się nad osadzeniem koła. Obok, w towarzystwie żony i córki, z zafrasowaną miną stał zamożny kupiec wracający do domu po udanej transakcji w spiskim Kieżmarku. Wpierw ciężko wystraszony, ucieszył się na ich widok, zwłaszcza gdy usłyszał, kim są.

- Chwała Bogu! - dobrze mówił po polsku. - Bo już się bali, że mrok nas tu zastanie albo zbójcy ogarną. Pomożecie, łaskawi panowie?

Złożył ręce jak do modlitwy. Popatrzyli wpierw na dziewczynę, uderzającą podobną do Elżbiety Batorówny, i w podobnym wieku, potem na siebie i w tym samym momencie zaświtała im w głowach identyczna myśl.

- Pomożemy - odparł Diabeł ochryplym głosem i odwrócił się do swoich sabatów. - Słyszeliście? To do roboty!

Nieznacznym gestem przeciągnął palcem po gardle.

- Dzięki... - zaczął kupiec i umilkł, gdy Zborowski czekaniem rozszczępił mu czerep na dwoje.

Za chwilę wszyscy słudzy kupca padli pod ciosami szabel sabatów, którzy następnie rzucili się na oniemiałą ze zgrozy kupcową. Podczas gdy najemnicy gwałcili starą, wuj i bratanek ciągnęli krzyczącą wniebogłosy młodkę w głąb lasu. Wrócili po półgodzinie, uma-zani krwią jak rzeźnicy. Opłukiwali się z niej w pobliskim strumieniu, kiedy ich ludzie wywlekali nagie trupy w las. Następnie odtoczyli w krzaki karete i wypięli konie, które zabrali ze sobą. Rozstali się następnego dnia, na granicy polskiego Spisza I, tuż przed Lubowlą, siedzibą starostwa.

- Jedź ze mną do Krakowa - namawiał Stadnicki. - Zobacysz Zofię, a potem pohulamy społem w mieście. Jakem to uczynił przed

1 Dziś Spisz (zaś Lubowla zwie się Lubownia i należy do Słowacji), który od XV w. był podzielony między Polskę i Węgry.

z górą dwoma laty, kiedy żacy i drudzy papieżnicy zruderowali Bróg. Urządziłim sobie potem istne łowy na scholarów - wyszczerzył zęby na miłe wspomnienie łatwych przewag, bowiem studenci ustępowali mu ćwiczeniem i byli łatwym celem, zwłaszcza że towarzyszyło mu kilkunastu rębajłów. - Nic ci nie grozi teraz, gdy masz króla w garści.

- To ostateczność.

- Co zatem zamierzasz począć?

- Nie trap się. Mam pewien concept.

- Zatem: do rychłego zobaczenia. Gdzie cię szukać w razie potrzeby?

- Dowiesz się. Wkrótce znów będzie o mnie głośno.

rozdział | SKRYTOBÓJSTWO

Warszawa, styczeń 1580 roku

9 stycznia zakończył obrady sejm rozpoczęty w listopadzie roku poprzedniego, zaraz po kampanii zakończonej zdobyciem Połocka i pogromieniem znacznych sił moskiewskich. Jeżeli jednak Batory spodziewał się, że te sukcesy i zwycięstwa zachęcą szlachtę do hojnego i entuzjastycznego sypnięcia groszem na nową kampanię, to nie znał jeszcze Polaków. Swoje zrobiła też gra dyplomatyczna, którą przebiegle prowadził Iwan Groźny, przez posłów i

szpiegów pozując wobec panów braci na orędownika pokoju. Mimo wszystko obrady zakończyły się po myśli króla - sejm zapewnił środki na dalszą wojnę z Moskwą. Ale nie byłoby tego, gdyby nie zabiegi i oratorskie popisy kanclerza Jana Zamojskiego, dzięki którym zwolennicy królewskiej polityki przemogli oponentów.

Zmęczony wielotygodniowymi targami, ale w gruncie rzeczy kontent z osiągniętego rezultatu, król wybierał się na Litwę, by osobiście dopilnować przygotowań do tegorocznej wyprawy.

- Mości panowie - rzekł po łacinie, którą władał wybornie, do zaufanych senatorów i doradców, wygodnie rozparty w krześle; ku zgorszeniu światowców jak zwykle w nieoficjalnych sytuacjach odziany w wytarty kubrak, a chcąc dać odpocząć nogom (też jak zwykle), zzuł buty, publicznie pokazując dziurawe (jak zazwyczaj) „spodnie ciżmy”. - Jutro udajemy się do Grodna, wam pozostawiając zebranie i przyprowadzenie wojsk. Tedy jeśli macie coś do powiedzenia, mówcie, byle zwięźle. Zaraz bowiem musimy złożyć uszanowanie jej królewskiej mości.

Podobnie jak poprzednika, Henryka Walezego, również Batorego nic bardziej nie irytowało od próżnego polskiego gadulstwa. Choć zatem ten i ów uśmiechnął się pod nosem, słysząc ostatnie słowa, gdyż król wizyty u małżonki traktował jak dopust boży i unikał ich

25

i jej jak ognia, to nikt nie miał odwagi odezwać się pierwszy. Popatrywali tylko po sobie z zakłopotaniem.

- Daruj, wasza wysokość, lecz wciąż nie mianowałeś nowego hetmana wielkiego koronnego - rzekł wreszcie Zamojski, poruszając kwestię, która wszystkich żywo zajmowała. Mikołaj Mielecki, który hetmanił wojsku koronnemu w kampanii połockiej i dobrze się zasłużył, obraził się bowiem na króla za, jego zdaniem niezasłużone, faworyzowanie Zamojskiego oraz Radziwiłłów i złożył urząd.

- Wiemy o tym.

- Zali wolno wobec tego polecić jako najlepszego kandydata na ów wakat przytomnego tu pogromcę gdańszczan, hetmana nadwornego, imć Jana Zborowskiego? - drażył Zamojski. Jan Zborowski, jedyny sprawiedliwy z całej licznej familii, zarumienił się i posłał Zamojskiemu wdzięczne spojrzenie. W rzeczy samej, z koroniarzy niewątpliwie on był najzdolniejszym z dowódców, temu nikt nie mógł zaprzeczyć. Raczej dziwne się wszystkim zdawało, że do tej pory nie dostał tego zaszczytu, skoro wiadomo było, ile Batory zawdzięczał Zborowskim. A jednak skąpił im swoich łask tym bardziej ostentacyjnie, im bardziej Andrzej Zborowski się ich domagał w imieniu swoim i braci. Król znał się wszak dobrze na ludziach i dlatego trzymał u swego boku Jana Zborowskiego. Wiadomo też było, że nie znosi nacisków. Dlatego niektórzy z obecnych wątpili w szczerą intencję Zamojskiego, podejrzewając, iż teraz król gotów jest postąpić wręcz przeciwnie. I nie pomylili się.

- Imć Jan Zborowski pozostanie na swoim urzędzie i nadal będzie sprawował pieczę nad jazdą nadworną - uciał Batory, marszcząc krzaczaste brwi. - Zaś obowiązki hetmana wielkiego koronnego tymczasowo przejmiesz waszmość, panie Zamojski, i osobiwie zatroszczysz się o armatę. Tak postanowiliśmy i tak będzie.

Zborowski poblądł, Zamojski dla odmiany pokraśniał, a wszyscy pospołu zostali zaskoczeni nieoczekiwaną decyzją króla. Bo choć Zamojski był ulubieńcem Batorego, to jednak nie miał wojennego doświadczenia i powierzanie mu takiej funkcji było ryzykowne. Ale nikt nie ośmielił się zaprotestować. Zapadło pełne zakłopotania milczenie, które przerwał zniecierpliwiony król.

- Coś jeszcze, mości panowie? Spieszcie nam się.

26

- Gdzie ma się zbierać wojsko? - przytomnie spytał hetman polny koronny, Mikołaj Sieniawski, ze swymi kwarcianymi strzegący dotąd południowych kresów, który mógł wziąć

udział w wojnie, gdyż chan ordy krymskiej Mehmed Girej II niedawno zawarł z Batorym sojusz wymierzony w Moskwę.

- W Czaśnikach.

Czaśniki leżały nad Ułą w takim miejscu, że możliwy był stamtąd atak zarówno w kierunku Smoleńska, jak Wielkich Łuk, czy nawet Pskowa.

- A dokąd potem pomaszerujemy?

Batory cenił klasyków wojskowości, starożytnych i nowszych, w których się rozczytywał, wątpliwe jednak, by znał (choć ją stosował) metodę Jagiełły, której Litwin zawdzięczał sukcesy: do końca nie ujawniać swoich zamysłów, nawet najbliższym.

- Dowiedcie się na miejscu.

Miejsce koncentracji sił musiało dezorientować Iwana i jego szpiegów. Tym sposobem przeciwnik nie mógł odgadnąć zamiarów króla. Kiwając głowami z uznaniem, towarzystwo zaczęło się rozchodzić. Zamojski zatrzymał zmierzającego do wyjścia Jana Zborowskiego. Hetman nadworny nie wyglądał na obrażonego, był jedynie smutny.

- Wasza królewska mość pomni - zagadnął króla Zamojski - jakem na sejmie gardłował w odpowiedzi na zarzuty, że niesprawiedliwie szafujesz zaszczytami, iż każdy, kto takowe skargi zanosi, winien na wojnę iść i zasługi położyć, a wówczas i jego łaska pańska nie ominie?

- Ad rem. Wiesz, że nie lubimy gadania ogródkami - Batory znów namarszczył krzaczaste brwi.

- Chodzi o imię Samuela Zborowskiego, na którym wciąż ciąży infamia, a który przebywa na Zaporozżu, dzielnie między Kozaki sobie poczynając i Tatarom srodze dając się we znaki. Zali nie zezwolić mu na przybycie do Czaśnik, by w wojnie z Moskwą chwałę zdobywszy, dawne winy mógł zmazać?

Batory chwilę spoglądał przenikliwie na ulubieńca, jakby i on nie dowierzał jego czystym intencjom, po czym przeniósł wzrok na Zborowskiego i rzekł:

- Niepotrzebne nam teraz zatargi z ordą krymską, zwłaszcza odkąd chan poparł nas przeciw Moskalom. Zatem zgoda. Niechaj się stawi.

27

Obrócił się na pięcie i odszedł, a Zborowski jął wylewnie dziękować Zamojskiemu, zupełnie zapomniawszy, że z jego powodu utracił wymarzone stanowisko. Kiedy i on opuścił izbę, osamotniony Zamojski usiadł na ławie i zamyślił się. Tak zastał go krewniak, Stanisław Żółkiewski.

- Widzę, że coś poszło po twojej myśli - odgadł, widząc uśmiezek błakający się na twarzy kuzyna.

- Nawet nie wiesz jak bardzo, mój Stachniku. Bo widzisz, cała sztuka polega na tym, by osiągnąć cel, stwarzając pozór, że ci na tym nie zależy, gdyż wówczas będą podziwiać twą szlachetność, a nikt nie zauważy twojej gry. Idealnie zaś jest, gdy twoi wrogowie tuszą, iż mają w twej osobie przyjaciela, bo to im wróży jak najgorzej, tobie zaś wybornie. Nauczyłem się tego od niejakiego Makiawela, którego miłośnikiem był nasz poprzedni pan, Henryk Walezy.

Nie miał nic przeciwko Janowi Zborowskiemu, cenił go i nawet lubił. Ale klan Zborowskich wciąż był potężny i stanowił ostatnią przeszkodę na drodze do zajęcia pierwszego po królu miejsca w kraju, w które celował Zamojski, i dlatego kanclerz nie zaniedbywał żadnej okazji do pogięcia rywali, dla zachowania pozorów mając ich swą rzekomą życzliwość.

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedział Żółkiewski, niespecjalnie nawet chcąc wiedzieć, był bowiem naturą szlachetną i prostolinijną.

- Nie szkodzi.

Warszawa, luty 1580 roku

Janka ostatecznie wyzbyła się złudzeń, że zdoła się przystosować do życia na dworze, zwłaszcza na tym dworze. Jakkolwiek przez chwilę zdawało się, że będzie inaczej. Małżeństwo z Węgrem i korona królewska kosztowały Annę Jagiellonkę wiele, chociaż dostała męża tylko o dziesięć lat młodszego, co nie narażało jej na pośmiewisko całego świata jak niedoszły niestosowny związek z Henrykiem Walezym, który mógłby być jej synem. Pierwsze kilka dni małżeństwa wskazywały, że królowa

28

nareszcie złapała fortunę za nogi, a może nawet jakimś cudem zdoła doczekać się potomstwa. Co prawda Janka usłyszała podczas składania życzeń „młodej” parze szept jakiegoś szlachcica: „Zródź, babo, dziecko, a babie sto lat”, ale łudzono się jeszcze. Król, gburowaty żołdak, początkowo okazywał żonie przywiązanie, obdarował ją nawet po nocy poślubnej naszyjnikami z pereł i brylantów oraz całą tacą szczerozłotych portugałów. Zaszczona stara panna, przezywana „doletnią dziewczicą”, nosiła potem „gębę wysoko i hardo, jak każda baba, która nareszcie chłopą dopadła”, jak niezbyt szarmancko wyraził się Litwin Jan Hlebowicz, kasztelan miński. Wkrótce dało się zauważyć, że „pani Infantka jest mocno niezadowolona, nie ma bowiem tej władzy, jaką się mieć spodziewała, po wtóre pożycie małżeńskie nie daje jej zadowolenia”. Po drugiej czy trzeciej wizycie w jej sypialni, gdzie poczynał sobie z żoną niczym żołnierz, a nie czuł kochanek (Janka podsłuchiwała przypadkiem, jak szeptały o tym przyjaciółki królowej), bezceremonialnie jak to on, król oświadczył, że na tym koniec jego odwiedzin, lecz małżonka może go nawiedzać, ilekroć zechce. Tylko że pierwszej nocy czekała u drzwi męzowskiej sypialni, dobijając się daremnie, bagatela (!) pięć godzin, następnej - siedem. Na próżno. Okazało się, że król opuścił łóżnicę tylnym wyjściem. Rano dostała febry i spazmów, kazała sobie puszczać krew, ale Stefana to nie wzruszyło, choć złożył cierpiącej ceremonialną wizytę. I tyle.

Zaraz latem, w obliczu konfliktu z Gdańskiem, Batory wyjechał do Warszawy. Królowa pociągnęła za nim, gotując mężowi bale, bankiety i inne rozrywki. Wszystko na nic. Człowiek, który na co dzień chodził w wytartym kaftanie i jadł byle co, gardził także wszelkimi pustymi rozrywkami. Korzyść z opuszczenia stolicy była głównie taka, że Anna pozbyła się Zborowskich, trzęsących Krakowem i wciąż mających silną pozycję u boku króla, a nieznoszących królowej.

Jako osoba rozsądna i trzeźwo myśląca Janka podejrzewała, że zasadniczą przyczyną rozdzwienku między małżonkami było to, że króla w całości pochłaniały sprawy publiczne, królową zaś wcale. Dlatego między bajki wrzucała to, jakoby powodem, dla którego Batory unikał Warszawy jak ognia, była obawa przed otruciem przez żonę, rzekomo nieodrodną córkę Bony. Jednakże otoczenie króla, całe życie lękającego się trucizny, umacniało go w tym podejrzeniu.

29

Prym wiódł tu marszałek nadworny Andrzej Zborowski, który niedługo po ślubie pouczył monarchę, dwornie podającego ramię kroczącej obok królowej, iż polski obyczaj wymaga, aby żona stąpała dwa kroki za mężem.

Rok temu, zimą na przełomie 1578 i 1579 roku, gdy Batory zjechał na Gody do Warszawy, zdawało się, że w stosunkach między małżonkami nareszcie nastąpił przełom. Lecz wszystko skończyło się na początku lutego, gdy Batory nagle opuścił Warszawę w obliczu wojny z Moskwą, i to akurat przed wielkim balem, wydawanym przez królową. Od tej pory nie było większego przeciwnika wojny z Moskwą od królowej, co Janka brała za kolejny przykład głupoty swej pani, która irytowała ją coraz bardziej. I to uczucie ostatnio przeważało nad współczuciem jednej odtrąconej kobiety dla drugiej w podobnej sytuacji.

Janka miała już prawie dwadzieścia trzy lata i była najstarszą dworką z fraucymeru, nie licząc leciwych dam dworu. Wszystkie jej rówieśnice dawno powychodziły za mąż. Zdawała sobie

sprawę, że za plecami plotkuje się na temat jej staropanieństwa, lecz w oczy nikt nie odważył się rzec złego słowa. Bano się jej inteligencji i ciętego języka, a poza tym awansowała w hierarchii na miejsce tuż za ochmistrzynią Żalińską i matronami-przyjaciółkami Jagiellonki. Nawet jędzowata pani stara obchodziła Jankę ostrożnie niby jeża i jako jedynej wydawała polecenia tonem bardziej proszącym niż rozkazującym. Jej rozpuszczony syn Janek Żaliński nie narzucał się dziewczynie, gdyż na koszt królowej bawił na studiach w Italii. Za to wielu lepszych od niego młodzieńców wciąż nie traciło nadziei, iż kiedyś Janka spojrzy na nich łaskawiej.

Właściwie nie miała więc powodów do narzekania, a jednak tęskniła za Krakowem i dawno wróciłaby do gościnnego domu ciotki Balcerowej, gdyby nie Kacper. Na myśl o nim i ich ostatniej (i ostatecznej) rozmowie zacisnęła mocno usta i ostro wzięła się do haftowania kapy na jakiś ołtarz, czego szczerze nie znosiła, podobnie jak większości typowo niewieścich zajęć.

30

Sicz, marzec 1580 roku

Słuchaj, ojczy atamanie, Ukraina śpi u; najlepsze. Śpią sokoły na kurhanie I stanęła woda w Dnieprze.

Koń już ledwo nogi wlecze, A człek żyje i nie żyje. Czas nie płynie, ale ciecze, Gdzieś w łimanie czajka gnije...!

Kręcąc korbą instrumentu, stary ślepy lirnik, w przeciwieństwie do pozostałych Kozaków porośnięty długim siwym włosem, smętnie zawodził swą pieśń. Akompaniowało mu paru młodych bandurzystów. Reszta towarzystwa obsiadła kilka ognisk rozpalonych na majdanie wokół pala, przy którym czasem kijami tłuczono na śmierć przestępców. Pieczono mięswo, w kociołkach pichcono zupę rybną - uchę, popijano gorzałkę, śpiewano, grzano się przy ogniu, za pomocą dymu odganiając plagę komarów, lecz ogólnie nastrój był marny. Bowiem zaledwie pięciuset trzydziestu szczęśliwców zapisanych do rejestru pociągnęło na wojnę z Moskwą, chociaż każdy Kozak marzył o wstąpieniu do wojska. Uzbrojeni w lekko zakrzywione szable, samopały lub łuki, kindżały, jatagany i długie na cztery kroki spisy, stanowili znakomitą piechotę, w boju lepszą nawet od sławnych tureckich janczarów.

Ci tutaj, nieregestrowi, byli pospolitymi Kozakami, jak w tych stronach nazywano rozbójników. Otoczona wałem ziemnym i os-trokołem² Sicz leżała³ w dolnym biegu szeroko rozlanego Dniepru, na największej rzecznej wyspie Chortycy, wypiętrzającej się z nurtu wysokimi, skalistymi brzegami. Tu czuli się bezpiecznie i stąd na śmigłych łodziach, czajkach, przedsięwzięli wyprawy lu-pieskie na Tatarów krymskich i Turków.

- Czajka!

1 Fragmenty współczesnej popularnej piosenki.

1 Stąd nazwa oznaczająca zasieki.

3 W przeszłości kilkakrotnie przenoszono ją w inne miejsca w dół rzeki.

31

Na okrzyk czatownika wartującego na wieży strażniczej wszyscy poderwali się na równe nogi. Jeden natychmiast podążył do oznaczonego zatkniętym przed nim buńczukiem położu, dwuosobowego namiotu przysługującego tylko starszyźnie. Zwykli mołojcy gnieździli się w zruderowanych chatach stojących w krąg wokół majdanu lub zwykłych szałasach z chrustu, nakrytych końskimi skórąmi dla ochrony przed deszczem. Jedynie chałupa będąca zarazem arsenałem i magazynem żywności prezentowała się solidniej.

- Bafkul Bafku!

Po dłuższej chwili silna ręka odrzuciła zasłonę i z namiotu wyszedł mąż już na pierwszy rzut oka różniący się od pozostałych. Po dumnej minie i bogatym, choć nieco sfatygowanym stroju, natychmiast rozpoznawało się w nim polskiego szlachcica, acz znajomi, a nawet

poślubiona w zeszłym roku żona Zofia, tylko z najwyższym trudem w zarośniętym obliczu dopatryliby się rysów Samuela Zborowskiego.

- O co chodzi, Semen? - spytał, kładąc rękę na zatkniętym za pas buzdycanie, oznace swej hetmańskiej godności.

- Od porohów płynie czajka, atamanie - odparł asawuł Semen Hołubek, zastępca dowódcy.

Jak każdy Kozak miał okazałe wąsiska i wygolony łeb, na którym zostawił jedynie oseledec, kosmyk długi jak paniński warkocz, zawijany na lewe ucho. Ale w przeciwieństwie do większości nosił się z pewną elegancją, o czym świadczył zdobyczny kaftan i długa do kolan haftowana czerkieska ściągnięta pasem ze złotogłowi i szerokie szarawary opuszczone na safianowe buty.

- Nasi czy obcy?

- Jeszcze nie wiadomo.

- Tedy każ panom mołojcom stanąć pod bronią. I na wszelki wypadek niech ktoś ostrzeże czabanów.

Kiedy asawuł odszedł, Zborowski wdrapał się na górującą nad okolicą strażnicę, uważając, by któraś z belek tworzących konstrukcję nie załamała się pod nim. Od czasów Dymitra Wiśniowiec-kiego I, który ją zbudował, Sicz popadała w ruinę. Książ Dymitr, potomek wołyńskich Giedyminowiczów, był pierwszym polskim, albo raczej ruskim magnatem, który został kozackim atamanem

I Przodek późniejszego króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego.

32

i prowadził swoich ludzi na zuchwałę wyprawę morską przeciw Turkom. Schwyty, zawisł na haku w Galacie, europejskiej dzielnicy Carogrodu. Umierał trzy dni, drwiąc sobie z oprawców i przeklinając Mahometa. Od siedemnastu lat cała Ukraina śpiewała o nim dumki. Sławie swego poprzednika Zborowski zawdzięczał, że Kozacy ochoczo obrali go na swego wodza, gdy przybył na Niż przed dwoma laty.

Jego zamyślane spojrzenie obiegło tereny po obu stronach wielkiej rzeki. Na prawym, kozackim brzegu rozciągały się Dzikie Pola. Niezmierzony step, tu i tam porozcinany głębokimi jarami i w miejscach wilgotniejszych porośnięty gęstymi lasami, głównie dębowymi i bukowymi. Na terenach zalewowych ciągnęły się nieprzebyte mokradła. Resztę stanowiła ziemia bez nawożenia rodząca po dwakroć tyle, co gdzie indziej, z wolna zasiedlana przez uciekających przed pańszczyzną chłopów z województwa ruskiego. Zachęceni do tego wolniznami przez magnatów kresowych, zakładali wioski-slobody i chutory, budując podwaliny pod wielkie fortuny Wiśniowieckich, Ostrojskich, Sanguszków czy Czartoryskich.

Na lewym, tatarskim brzegu Dniepru, czyli Zadnieprzu i w dole rzeki rozciągało się Zaporozże. Uroczysko pełne dzikiego zwierza. Zupełne bezludzie, absolutna dzicz, ziemia niczyja, choć formalnie także należąca do Rzeczypospolitej. Domena Kozaków, ich prawdziwa ojczyzna. Ich i wilków, których wycie rozdzierało nocną ciszę, trwożąc nielicznych podróżnych. Hi wojsko nie zaglądało nigdy, nie działało żadne prawo. Wzdłuż granicy biegł uczęszczany Szlak Murawski, wiodący z Wielkiego Księstwa Moskiewskiego na południe ku nadczarnomorskim posiadłościom tureckim. Hi można się było bezkarnie zasadać na kupców, a uważać jedynie na inkursje tatarskie.

Odpędził wirującą mu nad głową chmurę komarów, miliardami lęgnących się w nadrzecznych szuwarach. Rozgniół jednego na karku. Nie Tatarzy byli głównym wrogiem Kozaków, lecz wszechobecne komary i wilgoć, dlatego z czasem tak wielu z nich cierpiało na gościec.

Przyjrzał się z góry nędzemu obozowisku i swemu „wojsku zaporoskiemu”. „Rycerze-Niżowcy” nie prezentowali się okazale. Czarni od dziegciu, w którym się kąpali dla ochrony

przed komarami. Odziani byle jak w płócienne łachmany maczane w łożu dla osłony przed robactwem i kozie skóry, których nie zdejmowali, póki same nie odpadły ze starości.

33

„Co ja robię w tej dziczy?“, nie pierwszy raz zadał sobie w myślach to pytanie. Przygnała go tutaj chęć zdobycia sławy i zmazania win. Liczył, że w obliczu wojny z Moskwą zyska uznanie w oczach Batorego i król zezwoli mu wziąć udział w wyprawie na Połock, lecz była to płonna nadzieja. Oto znów na wojnę poszedł Oryszowski z pięćsetką Kozaków, a on wciąż był wywołańcem. Na dodatek teraz, gdy Chanat Krymski poparł króla przeciw Moskwie, chadzki na Tatarów i Uirków niechybnie uznano by w Polsce za zdradę stanu.

Radosne okrzyki przerwały mu niewesołe myśli.

- Sława Bohu, bat'ku atamanie! To swoi, z Krzemieńczuka. Chcą się do nas przyłączyć. Jest wśród nich jeden Lach i pilno mu się z tobą widzieć - zameldował Hołubek.

- Daj go sam.

- Choroszo bat'ku, ale ci nowi powiadają, że wedle Nienasytca zasadziła się kupa ordyńców.

Na północ od Chortycy znajdowały się porohy, najeżone skalnymi występami progi rzeczne, czyniące żeglugę niezwykle utrudnioną, a dla niewprawnych całkiem niemożliwą na sporym odcinku. Często na wysepce położonej poniżej najgroźniejszego porohu, Nienasytca alias Dida (Dziada), Tatarzy zasadzali się na podróżnych próbujących przedostać się na lewy brzeg.

- Powiedz panom mołojcom, by szykowali się do drogi. Ruszamy przed zachodem - zarządził kontent, że może dać swym ludziom zajęcie, bowiem co innego samemu szukać zaczepki, a co innego zgnieść zgraję inkursantów. - A teraz dawaj tego Lacha.

Zrazu go nie poznał.

- Stach! - w końcu zamknął siostrzeńca w uścisku, rad nareszcie widzieć kogoś bliskiego. - Z czym przybywasz?

- Nie z byle czym, bo choć-em Diabeł, nawet czart nie zmusiłby mnie do zapuszczenia się z zakazaną kompanią w te zapowietrzane strony, gdzie diabeł mówi dobranoc - Stadnicki wciąż się śmiał, lecz wodził oczyma dookoła i to, co widział, niezbyt mu się podobało. - Jakże radzisz sobie z tymi dzikusami? Całą drogę tylko czekałem, kiedy skoczą mi do gardła.

- Jakoś radzę. Zaraz pójdziemy do namiotu i Ruski przyniesie ci pieczone albo kucharz Michał ugotuje coś smakowitego, lecz wprzód gadaj, co mi przywiozłeś.

- To - Stadnicki wyjął zza pazuchy niegrubą książkę i podał wujowi.

34

Samuel wziął książkę do ręki i od razu rozpoznał, ponieważ autor sam mu ją podarował w zeszłym roku z okazji ślubu z Zofią Jorda-nówną. Był to wydrukowany w Krakowie w 1578 roku u Mateusza Siebeneychera rodzaj poradnika dla pełniących hetmański urząd: Hetman albo własny konterfekt hetmański, skąd się siła wojennych postępów każdy nauczyć może. Dzieło zaprzyjaźnionego ze Zborowskimi sławnego historyka i heraldyka, Bartosza Paprockiego. Na odwrocie karty tytułowej widniał herb Zborowskich z inskrypcją, a na pierwszej stronie - przypochebna dedykacja poświęcona Samuelowi.

- To wszystko? - spytał rozczarowany.

- A co, jeszcze ci mało? - udał zdziwienie Stadnicki, po czym zaczął się macać po piersiach i bokach, udając, że czegoś szuka. - Coś tu jeszcze było, ale chyba zgubiłem albo mi te twoje dzikusy ukradły...

Wreszcie, śmiejąc się w kułak na widok apoplektycznej miny wuja, wy dostał z zanadru i oddał pismo zaopatrzone w pieczęcie kancelarii królewskiej. Zborowskiemu z emocji trzęsły

się ręce, gdy rozwijał dokument i zachłannie przebiegał go wzrokiem. Nie było to ułaskawienie, lecz *salvus conductus*, glejt wstrzymujący wyrok i dający posiadaczowi gwarancję nietykalności *tute, secure et libere* na czas tegorocznej wojny z Moskwą. Dobrze i to. Wodząc wzrokiem dokoła, zastanawiał się, jak ma ogłosić swoje postanowienie mołojcom, których nie mógł przecież wszystkich zabrać ze sobą, a którzy teraz chórem wtórowali ślepemu śpiewakowi:

' Słuchaj, ojcze atamanie, Niech przed tobą się użalę: Jak tak dłużej pozostanie, To chatynkę swoją spalę.

Spisę w drobne drzazgi złamię, Szablę rzucę na dno morza. Sam się skryję gdzieś w kurhanie, hen na stepie Zaporozża,²

1 Swobodnie i bezpiecznie w granicach państwa (lac.).

2 Fragmenty współczesnej popularnej piosenki.

35

Samuel wziął książkę do ręki i od razu rozpoznał, ponieważ autor sam mu ją podarował w zeszłym roku z okazji ślubu z Zofią Jorda-nówną. Był to wydrukowany w Krakowie w 1578 roku u Mateusza Siebeneychera rodzaj poradnika dla pełniących hetmański urząd: Hetman albo własny konterfekt hetmański, skąd się siła wojennych postępów każdy nauczyć może. Dzieło zaprzyjaźnionego ze Zborowskimi sławnego historyka i heraldyka, Bartosza Paprockiego. Na odwrocie karty tytułowej widniał herb Zborowskich z inskrypcją, a na pierwszej stronie - przypochlebna dedykacja poświęcona Samuelowi.

- To wszystko? - spytał rozczarowany.

- A co, jeszcze ci mało? - udał zdziwienie Stadnicki, po czym zaczął się macać po piersiach i bokach, udając, że czegoś szuka. - Coś tu jeszcze było, ale chyba zgubiłem albo mi te twoje dzikusy ukradły...

Wreszcie, śmiejąc się w kułak na widok apoplektycznej miny wuja, wydostał z zanadru i oddał pismo zaopatrzone w pieczęcie kancelarii królewskiej. Zborowskiemu z emocji trzęsły się ręce, gdy rozwijał dokument i zachłannie przebiegał go wzrokiem. Nie było to ułaskawienie, lecz *salvus conductus*, glejt wstrzymujący wyrok i dający posiadaczowi gwarancję nietykalności *tute, secure et libere* na czas tegorocznej wojny z Moskwą. Dobrze i to. Wodząc wzrokiem dokoła, zastanawiał się, jak ma ogłosić swoje postanowienie mołojcom, których nie mógł przecież wszystkich zabrać ze sobą, a którzy teraz chórem wtórowali ślepemu śpiewakowi:

Słuchaj, ojcze atamanie, Niech przed tobą się użalę: Jak tak dłużej pozostanie, To chatynkę swoją spalę.

Spisę w drobne drzazgi złamię, Szablę rzucę na dno morza. Sam się skryję gdzieś w kurhanie, hen na stepie Zaporozża.²

1 Swobodnie i bezpiecznie w granicach państwa (lac.).

2 Fragmenty współczesnej popularnej piosenki.

35

Drzwi gospody „U Balcera” rozwarły się z hukiem i do wnętrza wpadł piegowaty chłopiec z rozwichrzoną czupryną i obłędem w oczach.

- Jezus, Maria! Pani bez ducha leży! Ratujcie, dobrzy ludzie!

Znałem go z widzenia. Nazywał się Szymek i posługiwał w gospodzie „U Strasza”. Podniosłem się ze swego zwykłego miejsca w kącie, gdzie przy kuflu piwa szukał wytchnienia od studiowania uczonych ksiąg, pora obrony doktoratu zbliżała się bowiem milowymi krokami. On też mnie spostrzegł, ale z pierwotku nie poznał. Nie dziwiłem się. Widziałem, jaki obraz odbijał mu się w źrenicach: zgorzkniałego nie tyle starca zaledwie trzydziestoletniego, co dojrzałego męża po przejściach, z pobrużdżonym licem, czupryną mocno poprzetykaną siwizną, martwym spojrzeniem i krzywym grymasem ust, zamaskowanym przez brodę, którą nie zawsze chciało mi się przystrzygać. Biedna ciotka

Balcerowa wyznała mi kiedyś, że czasem aż się mnie lęka, tak groźnie wyglądam. A Niziołek dodał, że mógłbym świetnie zarabiać dla ratusza, nic nie robiąc, tylko stojąc pośrodku rynku i samym wyglądem odstraszać złodziejasków i nazbyt pyskate przekupki. Dawno pozbyłbym się zwierciadła, z którego ów ludzki wrak straszyl i mnie co dnia, lecz bałem się, że następne będzie jeszcze bardziej prawdziwsze, a ostatecznie przy czymś musiałem się od czasu do czasu golić lub czesać. Tak czy owak zmieniłem się, lecz chłopiec w końcu jakoś mnie rozpoznał i zaraz przypadł mi do nóg, składając dłonie jak do modlitwy.

- Jejmość na księżą oborę spoziera, a pan od zmysłów odchodzi i na wszystko cię błaga, byś przybył, nie zwlekając, jasny paniczu!

Nie wahałem się ani chwili.

- Tomek, moja sakwa! Duchem!

Chłopak, który zastąpił zamordowanego przez ludzi Samuela Zborowskiego naszego poprzedniego posługacza, Głupiego Jasia, pomknął rączo do mojej izdebki na poddaszu i zaraz wrócił z sakwą, w której nosiłem medyczne akcesoria, potrzebne mi do pracy w charakterze pomocnika doktora Marcina Foksa w lecznicy dla ubogich żaków, z fundacji Piotra z Poznania założonej w domu na Wiślniej ulicy. Zabrałem torbę, wrzuciłem na grzbiet kożuszek, bo choć zima miała się ku końcowi i nie srożyła zanadto, to jednak był

36

to marzec, i opuściliśmy gospodę, a polowa zaciekawionych gości ruszyła za nami. Rażno wyciągaliśmy nogi. Moja lewa kończyna, postrzelona swego czasu przez Francuzów, znów dała znać o sobie i pożałowałem, że z pośpiechu nie zabrałem ze sobą laski. Jeszcze pół roku temu nie ruszałem się bez kul, a i teraz utykałem, acz nieznacznie i tylko wówczas, gdy w powietrzu wisiała wilgoć albo spieszyłem się jak w tej chwili. Na szczęście karczma „U Strasza” mieściła się o rzut kamieniem, przy Floriańskiej¹. Przed domem Pod Koniem², gdzie była kuźnia, stał kowal Stach Gostkowicz w swoim skórzanym fartuchu i w otoczeniu kilkorga sąsiadów żywo o czymś rozprawiał. Ujrzawszy mnie, uniósł dłoń w pozdrowieniu i obrzucił pełnym ciekawości spojrzeniem. Z domu Podedzwony³ wysypywali się pracujący tam konwisarze, odlewnicy, ślusarze i kotlarze i biegli ku gospodzie Strasza.

- Co się stało twojej pani? - spytałem chłopca, chcąc wyrobić sobie jaki taki obraz choroby.

- Ubita z rusznicy - chlিপnął.

Zamurowało mnie, bo wszystkiego się spodziewałem, tylko nie rany postrzałowej, ale już o nic nie pytałem, zwłaszcza że dochodziliśmy do celu. Przed gospodą zgromadził się tłum gapiów, komentujących wydarzenie.

- Zabił, zabił Morawicki!

- Jak psa ubił nieszczęsną!

- Oby z piekła nie wyjrzał, przeklętnik!

- Obaczycie, że płazem mu to ujdzie, bo szlachcic!

- Że też kary na takich nie ma!

- Biedne sieroty, cóż teraz poczną bez matki?

Z trudem przepchnęliśmy się przez ciżbę. Sługa pilnujący drzwi otworzył nam natychmiast i równie szybko zatrzasnął je przed ciekawskimi. Szymek powiódł mnie na górę, do izby sypialnej, gdzie u szerokiego małżeńskiego łóżka klęczał karczmarz Walenty Strasz, dla przyjaciół Fołtyn, trzymając za dłoń postać złożoną na posłaniu i głaszcząc ją po zwisającym za krawędź łóżka ramieniu. Trójka zapłakanego drobiazgu tuliła się do starej piastunki.

Gestem

1 Gdzie dokładnie, nie wiadomo; zapewne w pobliżu kamienicy nr 28 (być może pod nr 27).

2 Dziś Floriańska 18 (godło się nie zachowało).

3 Dziś Floriańska 24.

nakazałem jej wyprowadzić dzieci, odesłałem Szymka i przystąpiłem do łoża. Od razu pojąłem, że przyszedłem za późno. Krwawa plama na piersi, mnóstwo krwi na pościeli i nieruchomość spoczywającej połączona ze śmiertelną bladością lica wskazywały, że zapewne zginęła od razu. Dobrze i to. Objąłem ramieniem Fołtyna i pomogłem mu wstać.

- Dobrze, że jesteś - powiedział. - Ratuj ją.

Pochyliłem się nad nieboszczką. Miała miłą, okrągłą i niestara jeszcze twarz. Rozpiąłem guziki pod szyją i rozchyliłem suknię. Kula weszła tuż pod sercem i wyszła karkiem, wyrrywając kęs ciała. Stąd tyle krwi. Dla porządku wyjąłem z sakwy niedużą zwierciadło, które po to nosiłem, i przyłożyłem do siniejących ust. Nawet cień oddechu nie zmatowił powierzchni, bo i nie mógł. Toteż nie to mną wstrząsnęło, lecz to, co spostrzegłem dopiero teraz - zmarła była brzemienna. Chyba dopiero w drugim, góra trzecim miesiącu, lecz medycy się nie mylą w takich razach. Ten kto strzelił do karczma-rzowej, miał na sumieniu dwoje ludzi. Położyłem palce na niedomkniętych powiekach nieboszczki, ściągając je na dół, i zaczekałem, aż opadną na dobre.

- Dobry Jezu, czy... - widząc moje zabiegi, Strasz złapał się za gardło.

- Przykro mi, Fołtyn. Ona nie żyje. Przynajmniej się nie męczyła, jeśli to cię pocieszy. Miał może czterdziestkę, nie więcej, lecz w tej chwili wyglądał na dwakroć starszego. Z zapuchniętych oczu kapąły mu łzy jak groch. Wtem krzyknął rozdzierająco i rzucił się na ciało zmarłej, okrywając je pocałunkami. Plecami wstrząsał mu szloch. Pozwoliłem mu się wypłakać, bo nic tak nie leczy bólu serca, po czym łagodnie odciągnąłem i usadziłem na krześle.

- Jak do tego doszło? - spytałem, widząc, że już nieco doszedł do siebie; jeśli się wygada, to także przyniesie mu ulgę.

- Akurat stałem przed gospodą, gdym zoczył nadjeżdżającego od brony Floriańskiej pana Jana Morawickiego z liczną świtą. Znałem go, bo któż w mieście nie poznał już jak zły szeląg tego awanturnika? Za poprzednią bytnością w mojej karczynie statki popsował, ludzi pobił i płacić nie chciał, tom mu teraz drzwi przed nosem zatrzasnął. Wpierw jego słudzy dobijali się, lecz dzwierza nie puściły. Wówczas Morawicki zeźlił się i wyjąwszy strzelbę

38

z olstra u siodła, dał ognia w okno, przez które akurat wyglądała moja Helena...

- Widziałeś to? - przerwałem mu szybko, bo głos biedakowi znów zadrgał, a do oczu napłynęły łzy.

- Ja nie, ale widzieli rzemieślnicy z drzewianego domku po sąsiedzku - wiedziałem, który to; mieścił się w nim warsztat śło-sarzy, kowali i stelmachów pospołu. - Jeden z nich, poczciwy Jerzy, ślusarz, zaraz przybiegł, wyłamał boczne drzwi do karczmy i wpadł do izby, gdzie bez ducha leżała Helena. To on przeniósł ją na łoże... - chlipnął i pociągnął nosem. Dyskretnie rzuciłem okiem na podłogę pod oknem z rozbitą szybą. W rzeczy samej rozlała się tam wielka kałuża krwi, której jeszcze nikt nie stał. Dokoła wałały się okruchy rozbitego szkła.

- A co z Morawickim?

- Uszedł z kopyta w stronę Rynku, krzycząc w głos: „Zabiłem, zabiłem...!”.

Przynajmniej iście tak powiadali... - ciągnął urywanie. - Popędzał konia, bijąc go po zadzie rusznicą z taką mocą, aż mu strzelba wypadła z ręki i potoczyła się do rynsztoka naprzeciw barwierzal... A potem zniknął z oczu patrzącym...

Gwałtownym ruchem chwycił mnie za rękę.

- Złap go, Kacper! Zrób to dla mnie i przez pamięć Heleny... Ona zawsze cię lubiła. Złap go i oddaj katu! Uczynisz to? Obiecay mi... Dam ci po dwakroć tyle, ile zazwyczaj bierzesz...

Nie miałem możliwości sprawdzić się jako medyk, mogłem mu za to pomóc jako inwestygator. Na nawał zajęć nie narzekałem i mógłbym poświęcić temu trochę czasu, ponadto inwestygacja byłaby miłą odmianą po ślęczeniu z nosem w księgach. Kłopot polegał na tym, że mi się nie chciało. Nic mi się ostatnio nie chciało. Studiowałem też chyba tylko z przyzwyczajenia, bo coś jednak musiałem robić. Jako medyk mógłbym przynajmniej zarobić na sobie, żeby nie być do końca życia na garnuszku ciotki Balcerowej. Co prawda nie przewidywałem, aby ta moja marna egzystencja potrwała zbyt długo, bo żyć też mi się odechciało. Gdybym był niewierzący, chyba palnąłbym sobie w łeb.

- Przykro mi, Fołtyn. Już się tym nie zajmuję. Zresztą dawno nie prowadziłem inwestygacji i pewnie zardzewiałem w tej profesji. Ergo na nic ci się nie przydam.

1 Dziś dom przy Floriańskiej 35.

39 ■

I

-
z olstra u siodła, dał ognia w okno, przez które akurat wyglądała moja Helena...

- Widziałeś to? - przerwałem mu szybko, bo głos biedakowi znów zadrgał, a do oczu napłynęły ślęzy.

- Ja nie, ale widzieli rzemieślnicy z drzewianego domku po sąsiedzku - wiedziałem, który to; mieścił się w nim warsztat śło-sarzy, kowali i stelmachów pospołu. - Jeden z nich, poczciwy Jerzy, ślusarz, zaraz przybiegł, wyłamał boczne drzwi do karczmy i wpadł do izby, gdzie bez ducha leżała Helena. To on przeniósł ją na łożo... - chlipnął i pociągnął nosem. Dyskretnie rzuciłem okiem na podłogę pod oknem z rozbitą szybą. W rzeczy samej rozlała się tam wielka kałuża krwi, której jeszcze nikt nie starł. Dokoła wałały się okruchy rozbitego szkła.

- A co z Morawickim?

- Uszedł z kopyta w stronę Rynku, krzycząc w głos: „Zabiłem, zabiłem...!”. Przynajmniej iśćce tak powiadali... - ciągnął urywanie. - Popędzał konia, bijąc go po zadzie rusznicą z taką mocą, aż mu strzelba wypadła z ręki i potoczyła się do rynsztoka naprzeciw barwiera!... A potem zniknął z oczu patrzącym...
Gwałtownym ruchem chwycił mnie za rękę.

- Złap go, Kacper! Zrób to dla mnie i przez pamięć Heleny... Ona zawsze cię lubiła. Złap go i oddaj katu! Uczynisz to? Obiecuj mi... Dam ci po dwakroć tyle, ile zazwyczaj bierzesz...

Nie miałem możliwości sprawdzić się jako medyk, mogłem mu za to pomóc jako inwestygator. Na nawał zajęć nie narzekałem i mógłbym poświęcić temu trochę czasu, ponadto inwestygacja byłaby miłą odmianą po ślęczeniu z nosem w księgach. Kłopot polegał na tym, że mi się nie chciało. Nic mi się ostatnio nie chciało. Studiowałem też chyba tylko z przyzwyczajenia, bo coś jednak musiałem robić. Jako medyk mógłbym przynajmniej zarobić na sobie, żeby nie być do końca życia na garnuszku ciotki Balcerowej. Co prawda nie przewidywałem, aby ta moja marna egzystencja potrwała zbyt długo, bo żyć też mi się odechciało. Gdybym był niewierzący, chyba palnąłbym sobie w łeb.

- Przykro mi, Fołtyn. Już się tym nie zajmuję. Zresztą dawno nie prowadziłem inwestygacji i pewnie zardzewiałem w tej profesji. Ergo na nic ci się nie przydam.

1 Dziś dom przy Floriańskiej 35.

39 •

Spojrzał na mnie z takim bólem, że aż serce się krajało, po czym rymsnął mi do nóg, wyciągając błagalnie ręce.

- Nie rób mi tego, nie odmawiaj! Na głowy moich osieroconych dzieci i niewinnie zamordowanej Heleny, zaklinam cię...

Uderzył w czułą strunę. Wciąż miałem w oczach widok trójki przerażonych dzieci i obraz tego czwartego, któremu nie dozwolono ujrzeć bożego świata. Sprawiedliwość wymagała pokarania zabójcy na gardle, lecz dobrze wiedziałem, że w przypadku szlachcica będzie to niełatwe. Otrząsnąłem się jednak z niewczesnych wątpliwości. Niech kto inny się tym zajmie. I wówczas coś błysnęło na podłodze pod ścianą. Przeklęta ciekawość! Czy nigdy się od niej nie uwolnię? Ominąłem wciąż klęczącego Fołtyna i wydłubałem ze szpary między deskami kawałek zakrwawionego ołowiu. Przechucie mnie nie omyliło. Była to kula, która zabiła karczmarzową. Ciało wyhamowało impet pocisku, który nie doleciał do ściany naprzeciw okna. Zawinąłem kulę w chustkę, wrzuciłem do kieszeni i odwróciłem się do Strasza. Podniósł się już z klęczek i patrzył na mnie nierozumiejącym wzrokiem.

- Coś tam znalazł?

- Nic takiego. Niczego nie obiecuję, ale być może będę mógł ci pomóc.

Jeden Bóg wiedział, ile mnie ta deklaracja kosztowała. Fołtyn zaczął mi wylewnie dziękować, lecz mu przerwałem:

- Znasz kogoś, kto przysposobi nieboszczkę do pogrzebu, a potem zajmie się dziećmi choćby przez jakiś czas?

- Mam siostrę na Kleparzu, wdowę po rostrucharzu.

- Więc poślij po nią, nie zwlekając. Musisz też czym prędzej powiadomić ratusz i instygatora, więc weź się w garść.

Instygator nie mógł wszczynać sprawy bez delacji; nie było skargi i domagania się skazania winnego, czyli protestacji alias obwie-dzenia głowy, nie było sprawy. Delatorem z obowiązku winien być najbliższy krewny, w przeciwnym razie byłby uważany za winowajcę na równi ze sprawcą.

Zostawiłem go z pochylonymi jak u starca plecami i twarzą zanurzoną w dłoniach. Obraz nędzy i rozpaczy. Zszedłszy na dół, zaleciłem Szymkowi, patrzącemu na rozumnego pacholka, sprowadzenie siostry wdowca, a służbie posprzątanie sypialni, ale dopiero po tym, jak instygator miejski obejrzy ślady zbrodni. Z ulgą

40

opuściłem dom żałoby. Poszedłem do barwiera, który znalazł i zabrał narzędzie mordu.

Oglądając dokładnie strzelbę, poleciłem mu jak najszybciej zanieść ją do ratusza i złożyć obszerne zeznanie, aby nikt nie mógł zakwestionować, że właśnie z tej broni padł śmiertelny strzał. A ponieważ nie miałem dzisiaj nic konkretnego do roboty, postanowiłem, skoro już wyszedłem z domu, nawiedzić ojca Rocha, którego dawno nie widziałem.

Skierowałem zatem kroki w kierunku szpitala Duchaków. Rozmiękły śnieg oblepiał buty, toteż zanim tam dotarłem, miałem je całkiem przemoczone. Ale i tak powinienem się cieszyć, że żyłem. I mogłem odczuwać nawet coś tak nieprzyjemnego jak wodę w butach. Nie tak dawno zanosilo się bowiem na to, że bardziej będzie mi doskwierać wilgoć w trumnie, jeśli spoczywając parę stóp pod ziemią, jeszcze cokolwiek się odczuwa. Zresztą tak może byłoby lepiej.

Przed prawie sześcioma laty (mój Boże, jak ten czas leci!), niechcący odkrywając przygotowania do ucieczki króla Henryka z Polski i ratując z jego niepoczciwych rąk Jankę, moją przybraną siostrę i największe miłowanie, doznałem tak ciężkich ran, żem już witał się ze świętym Piotrem u niebieskiej brony (chyba że trafiłbym zgoła gdzie indziej). Cud prawdziwy, że przeżyłem. A dokładniej: zdecydowało poświęcenie Janki, biegłość ojca Rocha, piecza cio-tuchny Balcerowej i palec boży. Zresztą mniejsza o kolejność. Janka podniosła w mieście larum pośrodku nocy i sprawiła, że pomoc w ostatniej chwili dotarła na Błonia, gdzie leżałem nieprzytomny i na pół utopiony w bagnie, wykrwawiając się na śmierć. Pater Roch natychmiast zatamował upływ krwi i opatrzył rany, a potem zo-perował, zaś

cioteczka z nieskończoną cierpliwością poila sokiem z ćwikły i faszerowała świeżą wątroba bydłą do czasu, aż barwą przestałem przypominać umrzyka. Pierwsze miesiące były najgorsze. Balansowałem na wąskiej przecce między życiem a śmiercią. Po ponad roku leżenia stopniowo zacząłem dopiero przychodzić do siebie, ale do dziś nie odzyskałem pełnej sprawności. Pal licho postrzeloną nogę, doskwierała mi z rzadka. Gorzej z bokiem rozdartym pazurami lewarta, którego trzymano w zamczku myśliwskim, aby wzbraniał importunom przystępu na czas, gdy król Henryk zabawiał się tam niecierpliwie. Fortunnie pater Roch zdołał ocalić mi nerkę oraz inne ważne narządy i pozszywać do kupy poszarpaną

41
na strzępy skórę. Co prawda cały mój prawy bok prezentował się po tym jak pełna łat żebracza kapota, ale ostatecznie ojciec Roch był tylko wybornym medykiem, a nie mistrzem krawieckim, i póki stać było mnie na giezło, nie musiałem nikogo straszyć niepięknym widokiem mojej pokancerowanej golizny. Ale zawsze, gdy szło na zmianę pogody, rwało mnie w boku tak strasznie, że m się czasem aż skręcał z bólu.

Wierzyć mi się teraz, kiedy spoglądałem wstecz, nie chciało, ile wydarzyło się w tak krótkim przecież czasie, który jedynie mnie, przykutemu do łoża boleści, dłużył się niemiłosiernie. Nasz zbiegły król Henricus Pierwszy zasiadł na tronie francuskim jako Henryk Trzeci. Zostały po nim ogołoczone ze sprzętów i kosztowności wawelskie komnaty, rozdane królewskiej, pusty skarbiec, chaos i znów niepewność co dalej. Na ulicach Krakowa, odkąd dzwony kościelne oznajmiły ucieczkę króla, zaciekle polowano na pozostałych jeszcze w mieście Bogu ducha winnych Francuzów, mimo iż oszukana i wykorzystana królowna Hanna mitygowała: „Co niebożęta krzywdzić?”. Dopiero wojewoda krakowski Piotr Zborowski dał nieszczęśnikom schronienie na Wawelu, zaopatrzył w paszporty i wyprawił z kraju.

Rada miejska na wypadek nieprzyjacielskiego najazdu powołała wiertelników alias kwaterników, którym podlegali dziesiętnicy pospolitego ruszenia miejskiego. Porządek obrony ustanowiony zaraz po ucieczce króla przewidywał na odgłos trąbki stawienie się wszystkich obywateli pod bronią u swych dziesiętników i następnie wraz z nimi udanie się do wiertelników, którymi kierował hutman lub burmistrz. Z kolei pospolite ruszenie szlachty małopolskiej zgromadziło się pod Proszowicami i tu odbywało wojenne ćwiczenia.

Moskwa i Hircja bowiem tylko czyhały na okazję do ataku, Ra-kuzy wyczekiwały. We wrześniu 75 roku Tatarzy straszliwie spustoszyli Podole...

Wieczna sromota i nienagrodzona Szkoda, Polaku; ziemia spustoszona Podolska leży, a pohaniec sprosny, Nad Niestrem siedząc, dzieli lup żałosny.¹

¹ Jan Kochanowski, Pieśń o spustoszeniu Podola, [w:] tegoż, Pieśni, oprac. L. Szczerbicka-Ślęsk, wyd. 4 zmienione, Wrocław 1997, s. 62.

42

Tymczasem w Rzeczypospolitej szalała anarchia. Narastały tarcia między Litwą a Koroną, między magnatami a szlachtą, senatory a posły. Na Pomorzu trwała regularna wojna między Przyjemski-mi a Konopackimi, na Rusi Starzechowscy najechali starostwo dro-hobyckie, urosły znów Mniszech wadził się z prymasem Uchańskim

0 Krasnystaw, Hieronim Laski zrabował Lanckoronę wdowie po Wolskim, na Litwie Dembiński zagarnął dobra Ościka, Jan Zamojski wojował z Bielawskim o Knyszyn, a Łukasz Górnicki miał pełne ręce roboty z upilnowaniem skarbów króla Augusta (poza tym, jak mi napisał, wpadła mu w oko pewna młódka).

O tych sprawach najwięcej opowiadał mi druh serdeczny Stachnik Żółkiewski. Odkąd odzyskałem przytomność, często zachodził do mojej izby, nim w końcu pojechał w rodzinne pielesze, szykować się do nowej elekcji. W grudniu 75 roku stała się rzecz niesłychana: wybrano dwóch królów-elektów: cesarza Maksymiliana II

1 Madziara Stefana Batorego. Zapachniało wojną domową, a potem konfliktem z Cesarstwem. Na szczęście cesarzowi rychło się zmarło, a energiczny Batory pojawił się w Krakowie już wiosną następnego roku. Jego wjazd do Krakowa ponoć był tak wspaniały, że podobnego w Polszczyźnie nie widziano. Ja zaś na pewno nie widziałem, bom wówczas dopiero zaczął wstawać z łoża i na nowo uczył się chodzić, ale ciotuchna i domowi zdali mi szczegółową relację. 1 maja 76 nastąpiła uroczysta koronacja Węgry i jego ślub z królową Hanną Jagiellonką.

Z tej okazji miałem odwiedziny starych druhów: Jana Zamojskiego, Jana Tomasza Drohojowskiego, Łukasza Górnickiego i Staszka Żółkiewskiego. Zabrakło tylko mistrza Kochanowskiego. Widać było mu wstyd, że, jak słyszałem, wprawdzie popierał Habsburgów, a potem na konwokacji gardłował za kandydaturą cara Iwana Groźnego lub carewicza Teodora alias Fiodora, którego sami Moskale przezywali Bezumnym¹. Mistrz tłumaczył się ponoć, że szło mu o braterstwo Słowian. Jak się pomylił, wyszło na jaw dopiero, gdy rok potem Moskwa zaatakowała Inflanty. Od tej pory stał się zagorzałym stronnikiem miłośnicie nam panującego króla Stefana i ułożył nawet na jego cześć kilka wierszy, jak choćby Dryas zamechską.

1 Bezrozumny (ros.).

43

Przysłał mi je potem razem z szyderczym utworem po łacinie Galio crocitantis amorem\ będącym odpowiedzią na zjadliwy paszkwilus zabojada Franciszka Filipa Despartesa Adieu a la Pologne.

Uśmiełem się. Równocześnie dowiedziałem się, że przyszedł do skutku ślub mistrza z panną Podlodowską. Kochanowski w imieniu swoim i swej pani zapraszał mnie do Czarnego Lasu na długie wywczasy. Nie skorzystałem, podobnie jak z zaproszenia na wielce uroczysty ślub podkanclerzego Zamojskiego z Krystyną Radziwiłłówną. Na weselu w rezydencji królewskiej w podwarszawskim Jazdowie po raz pierwszy zaprezentowano dramat mistrza Kochanowskiego, specjalnie na tę okazję napisany: Odprawa posłów greckich¹. Kupiłem go sobie potem, acz o wiele bardziej zachwycił mnie wydany rok temu Psalterz Dawidów, który latoś w przecudne melodie³ opatrzył na prośbę samego Mistrza jego druh, Mikołaj Gomółka. A wspaniałe wesele Zamojskiego detalicznie Janka opisała zachwyconej cioteczce Balcerowej w obszernym liście.

Sęp znów zaangażował się po stronie dawnych protektorów, Sta-rzechowskich, a ponadto zakochał beznadziejnie w wojewodziance Zofii Kostczance. Między wierszami i z poematów wyczytałem, że mój stary druh poeta, który towarzyszył mi w początkach mojej profesji inwestygatora przed dziesięć laty z okładem, szwankuje na zdrowiu i nachodzą go czarne myśli o śmierci, co akurat u niego nie było niczym dziwnym.

Janka... Pielęgnowała mnie z wielkim oddaniem, bez turbacji dostawszy na to permisję od królowej, dopóki nie nastąpiło przesilenie. Gdy wybuchła wojna, najpierw ze zbuntowanym Gdańskiem, a potem z Moskwą o Inflanty, wyjechała razem z całym dworem do Warszawy w ślad za królem. Rozstaliśmy się w gniewie, a poszło o... Mniejsza o co. Dość że nie widzieliśmy się od tego czasu. To była rana, która bolała mnie najbardziej, i wiedziałem, że nigdy się nie zagoi. Cóż, będzie, co Bóg da...

Dopiero dwa lata temu wznowiłem przerwane studia na Akademii. Od wizyty króla Henryka na uniwersytecie, którą, nie chwaląc

1 Wydrukowana po raz pierwszy u Andrzeja Piotrkowczyka w Krakowie w 1612 roku w dziele Joannis Cochranovii, Lyricorum libellus et alia opuscula latina.

2 Wydana w 1578 roku; pierwszy druk warszawski.

3 Mikołaj Gomółka, Melodie na psalterz polski, I wyd. w Krakowie, w drukarni Lazarskiej, w 1580 roku.

44

się, sprokurowałem, byłem w łaskach u doktora Marencjusza i rektora Glicjusza, czego dowodem udana obrona nie tylko medycznego bakalaureatu, ale i, w drodze szczególnej łaski, zaraz potem licencjatu (i to z niemile u nas widzianej anatomii!), na której byli obaj i najgoręcej mi gratulowali. Po naszych przejściowych animozjach nie zostało śladu. Do tego doktor Fox zaproponował mi pracę w charakterze swego pomocnika w lecznicy dla ubogich. Do czasu uzyskania doktoratu, jako licencjat, mogłem przez rok zarobkować bez obawy wykluczenia z uczelni.

Dotarłem do szpitala, lecz nie to przerwało mi rozmyślenia. Dopiero po chwili pojąłem, że sprawiła to większa niż zazwyczaj gromada żebraków okupujących przybytek. A nawet nie szło o liczbę, lecz o to, że nie patrzyli na dziadów proszalnych lub cierpiących, a raczej na obwiesiów spod ciemnej gwiazdy. Gdym przekraczał próg kościoła, przez który wchodziło się do szpitala, czułem na plecach ich palące spojrzenia.

- Ty to wiesz, kiedy się objawić - powitał mnie pater, pochylający się właśnie nad pacjentem, którego urywany oddech nie rokował pomyślnie. - Co o tym sądzisz?

Odstąpił na bok, żeby zrobić mi więcej miejsca przy chorym. Ale wprzód, jak mnie uczył, wyszorowałem dokładnie dłonie w stojącym obok cebrzyku. Obnażony tors cierpiącego także był z grubsza obmyty, lecz i tak rzadko miałem okazję oglądać podobnego brudas. Długie kudły miał polepione i zapewne rojące się od insektów, to samo tyczyło brody, tak obfitej i niechlujnej, że zapadnięta twarz była ledwo widoczna z wyjątkiem nosa wielkiego jak topór kata. Nawet mój był mniejszy, lecz nie zażrzałem mu, nie jestem małostkowy. Ciało wszak miał dość krzepkie i żyłby zapewne jeszcze długie lata, gdyby ktoś nie wraził mu sztyletu między łopatki. Moim zdaniem brud i wszy i tak by go w końcu zabiły, lecz ktoś najwyraźniej nie chciał czekać tak długo. Rana nie była wielka, ale tylko cud sprawił, że cios ominął serce. Jednak jasna krew z bąbelkami powietrza sącząca się z rany nie rokowała dobrze. Na mój rozum sztuka medyczna nie mogła mu już pomóc. Za to on mógł pomóc nam, pomyślałem chłodno. Sekcje były w naszym kraju wzbronione \ jednak czasem pater w celach badawczych robił jakąś

1 Pierwsze wykonano legalnie dopiero w XVII w.

45

w sekrecie, jeśli nadarzyła się okazja, a ja wówczas mu asystowałem. Dzięki temu wiedziałem więcej o ludzkiej konstrukcji niż moi koledzy po latach suchych wykładów na akademii, gdzie anatomią zajmowano się mało i jeno teoretycznie (trzymając się Galena niby oźralec płotu) albo i wcale. Jeśli krajałiśmy, to zazwyczaj właśnie bezdomnych włóczęgów bez imienia i rodziny, o których nikt się nie upominał. Był to jedyny znany mi grzech, na który pater Roch się godził i brał na swoje sumienie, utrzymując, że nikogo nie krzywdzi, a przeciwnie - służy ogólnemu dobru.

- Ma przebite płuco? - spytałem, mocując z powrotem opatrunek.

Skinał głową.

- Dziw, że jeszcze nie umarł. Przybiegł tu przed godziną może, zziębnięty jakby go kto gonił i padł na środku niemocnicy niby trup. A jednak wciąż żyje. Czasem rzuca się i jęczy, jakby chciał coś powiedzieć, coś ważnego. Może to trzyma go na tym świecie?

Nasunąłem okrycie na rannego i wówczas mój wzrok padł na jego nagie przyrodzenie.

Gwizdnąłem cicho.

- No właśnie - skomentował pater. - To Żyd. Musiał być w wielkiej desperacji, skoro przywiodła go do przybytku Pańskiego.

Przypomnieli mi się włóczędzy warujący pod szpitalem. Zali byli to przyjaciele czy wrogowie ranionego? Czystą szmatką otarłem mu spotniałe czoło. Nagle pacjent charknął straszliwie i wyprężył się. Myślałem, że umiera, ale on niespodziewanie usiadł na łóżku i potoczył po nas rozpalonymi febrą, czarnymi jak węgle oczyma.

- Rabbi - pochwycił mnie za rękę. - Musisz mnie wysłuchać...

- Mów - odparłem, widząc potakujący gest ojca Rocha.
- To ważne...Oni szykują najście na świątynię... Trza im przeszkodzić...
- Kto? Na jaką świątynię?

Ale chyba mnie nie słyszał.

- To ma nastąpić w wigilię przed wielkim świętem... - ciągnął urywanie. - Poprzez kirkut... Obiecay mi...

Wtem zwiotczał, puścił moją dłoń, opadł na poduszki, a oczy stanęły mu w słup. Nie żył. Popatrzyliśmy po sobie ze zdumieniem, lecz żaden z nas nie zdążył nic rzec, gdy za plecami usłyszeliśmy krzyki i do izby wtargnęło kilku łotrów z obnażoną bronią. To byli ci sami, co wartowali na zewnątrz. Ich herszt, okropny typ z jednym okiem przesłoniętym czarną opaską, wymierzył w nas pistolety.

46

- Co z nim? - rzucił w moim kierunku, głową wskazując zmarłego.
- Umarł.

Machnął uzbrojoną dłonią na jednego z kompanów.

- Sprawdź - warknął.

Tamten pochylił się nad nieboszczykiem.

- Prawdę powiada. TYup jak się patrzy.
- Upewnij się.

Ojciec Roch, mniej bywały w tych sprawach ode mnie, aż się wzdrygnął, kiedy hultaj dzierzonym w łapie sztyletem przeciągnął po gardle zmarłego.

- Mówił co, nim skonał? - zbójceki hetman obrócił na mnie swoje jedyne oko. Chwała Bogu, że nie padło na patra, bo ojciec Roch nie skłamałby nigdy, nawet dla ocalenia własnego żywota i nawet gdyby go przyżegali żywym ogniem. Ja nie miałem takich skrupułów. Niewielki leż w zbożnym celu nigdy nie zalegał mi na sumieniu, szczególnie gdy spoglądały na mnie mroczne jak śmierć oczodoły pistoletowych luf.

- Nic. Był śmiertelnie ranion i walczył ze śmiercią. Na gadanie brakło mu czasu.
- Na pewno? - zbój uniósł lufę na wysokość twarzy zakonnika, do którego było skierowane pytanie.

Pater Roch uczynił nieokreślony gest, który można było zinterpretować jako potakujący. Dobrze i to. Widać w niektórych sytuacjach był gotów na drobne ustępstwa od swych niewzruszonych zasad.

- Idziemy! - polecił zbójceki hetman swoim ludziom. - Ciszej tam! - ryknął w głąb szpitala, skąd wciąż dobiegały krzyki wystraszonych najściem pacjentów. - A wy - to było do nas - ani drgnijcie, dopóki stąd nie wyjdziemy. Wasze szczęście, że zakazano mi was tykać, bo... - zawiesił głos znacząco.

Po chwili zniknęli nam z oczu jak duchy, a uspokajani przez księży i pomagające im siostry duchaczki pacjenci także zaprzestali wrzasków.

- I co ty na to? - spytał pater, ciężko opadając na stołek.
- Trzeba coś z nim zrobić - odrzekłem, z namysłem spoglądając na umarłego. - Ale jeśli oddamy go każmierskiemu kahałowi, hul-taje mogą się o tym dowiedzieć i nabrać podejrzeń, że jednak coś wiemy.

47

Z cięcia na gardle prawie nic nie pociekło. To zwykła rzecz, bowiem po śmierci krew odpływa najpierw z górnych partii ciała. Zamknąłem zmarłemu powieki; robiłem to już drugi raz tego dnia. Pięknie się zaczął nowy tydzień.

- "iym sam się zajmę. Jeśli grzeszył, to wszak próbował naprawić swe przewiny. Hiszę, iż nie weźmie mi za złe pochówku na naszym cmentarzu. Ostatecznie wierzymy w jednego Boga. Pytałem, co uczynisz z tą sprawą. t

- A mam coś zrobić? To Żyd i zapewne z Kaźmierza. Co mi do tego? Co mnie obchodzi jakaś bożnica?

Nie miałem nic przeciwko Żydom, lubiłem nawet jednego z nich, a zwłaszcza jego córkę, choć w dzieciństwie razem z innymi dziećmi płałem mu małą figlę. Częściowo z dziecięcej pustoty, ale i dlatego, że wszyscy tak czynili. Dorastałem bowiem w czasach, gdy podziały między chrześcijanami nie były jeszcze tak ostre, a całą niechęć i pogardę dla odmiennie wierzących zbierali na się Żydzi. Nasiąkało się tą niechęcią nie wiadomo kiedy i niepostrzeżenie napelniało ją tak, że przestawało w nich widzieć ludzi takich jak my. Nigdy nie brałem udziału w pogromach Żydów, zresztą w Krakowie zdarzały się rzadko i na małą skalę, lecz to nie znaczyło, że miałem ochotę nadstawiać dla nich karku. Skąd ojcu Rochowi mogło to przyjść do głowy?

Jak zwykle czytał we mnie jak w otwartej księdze i objaśnił:

- Pomnąc, cóżes uczynił dla kalwińskiego zboru i to, że znasz Żyda Izaaka, co ma kram w Rynku i hożą córkę, pomyślałem sobie, że zechcesz spełnić ostatnią wolę tego Izraelity. Zwłaszcza, iż to, co nas przed chwilą spotkało, pokazuje, że ów Żyd nie kłamał i ktoś chce obrabować świątynię.

- Pomogłem kacerzom jeno dlatego, żeby popsować plany Grotowi i jego kompanom - odparłem. - Poza tym wiesz, jak kocham księgi, które chcieli spalić.

Kilka lat temu usiłowałem zapobiec najściu żaków (podburzonych przez mojego adwersarza Janka Grota i jego Bractwo Trójcy) na Bróg, to jest zbor innowierców na ulicy Świętego Jana.

- Doprawdy, tylko dlatego? - pozwolił, by okulary zsunęły mu się na czubek nosa, i spojrzał na mnie badawczo sponad szkielec. - W takim razie źle cię wychowałem.

Kochałem go bardzo i byłem wdzięczny za wszystko, co dla mnie uczynił, lecz czasem irytował mnie jak nikt inny. Chyba umyślił

48

sobie, że pójdę w jego ślady i też zostanę niemal świętym, jakbyśmy żyli w ciemnych wiekach, kiedy było o to bez porównania łatwiej. A może nie? Tak czy owak nie miałem zamiaru ani się nad tym zastanawiać, ani tym bardziej brać do siebie. Skończyłem z tym raz na zawsze.

- Powiem ci jeno - ciągnął niewzruszony, nie spuszczać ze mnie wzroku - że podczas moich peregrynacji, gdym się sposobiał do medycznej profesji - dawno temu, nim przystał do duchaków, włóczył się po szerokim świecie wpierw jako żołnierz, potem początkujący lekarz - o wiele częściej spotykałem się z życzliwością i pomocą ze strony medyków żydowskich, arabskich nawet, niżli chrześcijańskich.

Do czarta, co za dzień! Najpierw Fołtyn, teraz pater uwzięli się na mnie, jakby byli w znowie.

- Przecież nie wiemy, na którą synagogę i kiedy ma być ten zajazd. A może chodzi o któryś kościół? Może to przechrzta? Lotr, w którym obudziło się sumienie? - broniłem się.

- Zwrócił się do ciebie rabbi, pamiętasz? I powiedział kirkut, a nie cmentarz. Tedy mniemał w malignie, iż ma do czynienia z kapłanem ze swego ludu. Może to przechrzta, może przystał do zbójeckiej kompanii, aleć w końcu odezwała się w nim krew przodków i sumienie, jak rzekłes. Na pewno idzie o napaść na jakąś synagogę. Musisz temu zapobiec.

- Skończyłem z tym. Dobrze wiesz, że od dawna nie bawię się w inwestygatora.

- Zapobieganie złu to powinność każdego prawego chrześcijanina bez względu na profesję.

- O-wa! Tedy nie jestem obowiązkowy. Może kiedyś byłem, ale mi przeszło. Poza tym nikt inny tylko ty nieraz mi wytykałes niedostatek pobożności. Nie możesz mi więc nawet zarzucić, że bardzo się zmieniłem. Po prostu jeszcze się nie poprawiłem.

- Pomnij, że my i oni jesteśmy dziećmi tego samego Boga.

- No nie! Niechby nas teraz usłyszał jakiś gorliwy teolog z uniwersytetu, skończylibyśmy jak stara Malcherowa.

Z górą czterdzieści lat temu przed kościołem Panny Marii spalono na stosie Katarzynę z Zalaszkowskich, żonę Malchera Wajgla, złotnika i rajcy, a jej prochy wrzucono do Wisły za to, że ośm dziesiątek lat licząca starowina, której głowa się kaziła, jakoby zmamiona

49

przez Żydy, zaprzeczyła boskości Jezusa. Skoro jej nie uratowały ani wiek, ani szaleństwo, co dopiero nas.

- Nie gadaj głupstw! I nie doprowadzaj mnie do rozpaczy, bo nie dopuszczam do siebie myśli, że zmieniłeś się aż tak bardzo. Skoro drugie argumenty do ciebie nie trafiają, tedy zrób to dla mnie - patrzył na mnie tak, że serce zaczęło mi krwawić.

Cóż było robić na takowe dictum? Musiałem ustąpić pod ową forsa, choćby dla świętego spokoju i z szacunku dla niego.

- Dobrze. Ale i ty zrób coś dla mnie. Pójdź do Strasza, któremu właśnie zastrzelono żonę, udziel mu duchowej pociechy, bo pilnie mu jej potrzeba, a przy okazji zbadaj ranę nieboszczki i przekaz swoje uwagi instygatorowi, który już powinien tam być.

Prosto ze szpitala poszedłem do murowanych Kramów Bogatych, co w dwóch rzędach, rozdzielone wąską uliczką, maclo-chem, stały u wschodniej strony Sukiennic. Żyd Izaak, mój dobry znajomy z dawnych czasów, któremu jako otrok odróbkę dokuczałem, miał tam okazały kram złotniczy. Jednak, należąc do nielicznych posiadaczy przywileju uprawniającego do handlowania w Krakowie, i tak na noc musiał wracać do Miasta Żydowskiego na Kaźmierzu.

- Szalom alejchem. Pokój z tobą, Izaaku, luby przyjacielu - rzekłem na powitanie. - Boć chyba wciąż wolno mi cię tak nazywać?

- I z tobą - odparł z powagą. - Kacprze Ryksie, którego drużbą Najwyższy zechciał pokarać swego wiernego sługę Izaaka.

- Witaj Rebeko, piękna jak zawsze. Małżeństwo ci służy - mrugnąłem do młodej Żydówki, córki starego, która przed kilkoma laty wyszła za mąż i teraz ledwie mieściła się w kramie.

Pokraśniała i uśmiechnęła się zalotnie. Lubiliśmy się, a dawnymi czasy, kiedy zdarzało się, że zastępowała ojca w kramie (i było jej znacznie mniej), raz czy dwa okazała mi za przepierzeniem dużo sympatii. I choć nie uważała, że napletek zdobi męczyznę, to z jego posiadania nie czyniła tragedii.

- Mów, po coś przyszedł, panie Ryx, niechże mam już ten cios za sobą - skrzywił się Izaak, jakby rozboleły go zęby, którymi bynajmniej nie dysponował w nadmiarze.

Choć z Rebeką na drodze zbliżenia między naszymi bratnimi religiami posunęliśmy się najdalej, jak tylko się dało, to jej ojciec z niegodną swych siwych włosów małodusznością wciąż nie mógł

50

mi zapomnieć drobnych psikusów, które wraz z kolegami płatałem mu w dziecięctwie.

- A fe, Izaaku. Znowu wytykasz mi błędy młodości - zgańłem go. - A kto polecił twoje usługi jego ekscelencji, świętej już pamięci biskupowi Padniewskiemu? Jużeś przepomniał, niewdzięczniku? A przecie dobra połowa precjozów jego ekscelencji z twojej wyszła pracowni, tudzież piękna monstrancja i co najmniej dwa mszalne kielichy do katedry, że drugich korzyści nie wypomnę przez skromność.

- Nu, dobrze. Ile ci trzeba? - wystękał starzec, pokrzywiony jak po zażyciu octu siedmiu złodziei, niechętnie sięgając do pękatej sakiewki. - Jak dla ciebie, na zaledwie dwadzie... dwana... dziesięć od sta.

- Mam dziś dla ciebie dwie nowiny, ojczy najurodziwszej z córek. Dobrą i złą. Którą wolisz najpierw? Albo nie, najpierw dobra: nie przyszedłem po pieniądze...

Ręka, którą Izaak niesłuchanie wolno, jakby walcząc ze sobą, sięgał do mieszka, zamarła w pół drogi, po czym cofnęła się błyskawicznie, a oblicze Żyda wreszcie się rozjaśniło. W jego mniemaniu najgorsze niebezpieczeństwo minęło.

- ... Przybyłem was uprzedzić - dokończyłem już zupełnie poważnie - że hultajstwo krakowskie, być może z kaźmierskim pospołu, zamiaruje urządzić zajazd na jedną z synagog. Nie rozpoznałem zbójów, którzy wtargnęli do szpitala, a przecież powinienem któregoś znać, choćby z widzenia. Zatem wielce prawdopodobne, zwłaszcza biorąc pod uwagę pochodzenie nieboszczyka, że była to hołota kaźmierska na gościnnych występach w Krakowie. Co z kolei nie wydawało się może bez porozumienia między bractwami z obu miast.

- Ach! - jęknęła Rebeka i uniosła dłoń do serca chronionego wielkim biustem niby puklerzem.

- Nie może być... - wystękał Żyd, ciężko opadając na zydel. - Skąd wiesz?

- Nie mogę powiedzieć. Ale to raczej pewne.

- Na którą, a nade wszystko: kiedy?

Miał kiepełę, czyli po ichniemu głowę, na karku ten Żydek, musiałem to przyznać; szybko ochłonął i zaraz utrafił w sedno. A zresztą, gdyby był głupi, nigdy nie osiągnąłby tego, co miał.

- Nie wiem na którą i nie wiem kiedy. Wiem, że w wigilię wielkiego święta. Zapewne w nocy.

51

- To niewiele wiesz - marudził. - Może tak spróbowałbyś się więcej wywiedzieć?

- Mój informator nie żyje. Więc będzie ciężko zmusić go do mówienia, bo ja wywoływać duchów nie umiem. Chyba, że ty jesteś nigromantą lub znasz kogoś, kto się tym para.

Zatrzepotał rękami, pobladł i rozglądął się niespokojnie.

- Nie mów takich rzeczy nawet w żartach! Święto... - mruknął z zafrasowaną miną. - Ale które? Mamy wiele świąt - zaczął odliczać na palcach: - Jom Kipur...

- Po polsku Dzień Pojednania - wyjaśniła Rebeka. --Ku pamięci przymierza, które Najwyższy zawarł z Mojżeszem i całym Izraelem. Obchodzimy je w miesiącu tiszri, na przełomie chrześcijańskiego września i października.

Zyliśmy obok siebie od pokoleń, praktycznie nic o sobie nie wiedząc. Ja, dzięki zażyłości z Rebeką i wrodzonemu wścibstwu, wiedziałem o Żydach kęs więcej od drugich chrześcijan, na przykład to, że żydowski kalendarz był zupełnie odmienny od naszego, księżycowo-słoneczny i taki complicate, że nigdy go do końca nie rozgryzłem. Mniejsza o to, że rachowali czas od początku świata, który jakoby został stworzony 3761 lat przed narodzeniem Chrystusa, co dawało obecnie 5341 rok. Tydzień zaczynali w powszednią niedzielę, a kończyli w świąteczną sobotę. Dni tygodnia nie nazywali, jeno numerowali. Ich Nowy Rok, wypadający w naszym wrześniu, nazywał się Rosz ha-Szana, czyli Dzień Sądu, kiedy to dęli w barani róg, oznaczający trąbę, która zabrzmiała w dniu Sądu Ostatecznego. Potem szło dziesięć pokutnych Strasznych Dni kończących się Dniem Pojednania, następnie Sukot w październiku, gwoli przypomnienia tułaczki z Egiptu do ziemi obiecanej...

- ... Sukot - ciągnął Izaak, tym razem sam od razu tłumacząc: - albo Święto Kuczek, czyli po waszemu Święto Namiotów; Pesach albo Pascha w porze waszej Wielkiej Nocy; Chanuka, czyli Święto Świateł w miesiącu kislew, blisko chrześcijańskich grudniowych Godów; Purim albo Święto Losów w miesiącu adar...

Wygrzebałem z pamięci, z tego swojego ogromnego śmietnika zbędnych wieści, że żydowska Pascha, czyli Przejście, oprócz pory, z naszą Wielką Nocą nie miała wiele wspólnego, choć też była świętem radosnym, świętem wolności. O ile jednak myśmy na Wielkanoc czcili Zmartwychwstałego, który przez śmierć na krzyżu jako

52

Baranek Boży złożył siebie w ofierze, aby odkupić ludzkość, to dla Izraelitów Pascha była świętem ustanowionym dla uczczenia ocalenia dzieci żydowskich chronionych przez krew ofiarowanego Bogu w Świątyni Jerozolimskiej baranka paschalnego, podczas gdy Anioł Boży przeszedł przez Egipt, uśmiercając wszystkich pierworodnych egipskich synów, co nareszcie skłoniło faraona do wypuszczenia Żydów z niewoli. To wówczas spożywano prząsny chleb, macę. Jak bajał nieoświecony lud, z użyciem krwi chrześcijańskich niewiniątek. Niedługo potem obchodzono Szawuot, pamiątkę przekazania przez Boga Mojżeszowi przykazań na górze Synaj. A święto Cha-nuka upamiętniało oczyszczenie przez Judę Machabeusza Świątyni Jerozolimskiej z bezczeszczących ją posagów greckich bóstw. Przez osiem dni palono wówczas świece w ośmioramiennym świeczniku, chanukija, zapalając co dzień jedną wiącej, jako że Juda znalazł ponoć w sprostponowanej świątyni jeden kaganek z odrobiną oliwy, który cudownym sposobem palił się przez trwające osiem dni oczyszczanie świątyni. Z kolei Purim, kiedy to czytano księgi Estery, miało przypominać, jak to owa żydowska żona szacha As-werusa ocaliła swych pobratymców przed zagładą ze strony Persów. Purim przypadało chyba w lutym albo w marcu. Ewentualnie mogło pasować... Izaak też to spostrzegł.

- ... Może chodzi o Purim albo o Paschę? Jest jeszcze półświęto Lag b'Omer, 18 dnia miesiąca ijar - szybko obrachowałem, że chodzi o kwiecień lub maj - na pamiątkę zakończenia żałoby po wielkiej zarazie, które zbiegło się w czasie ze skonem rabiego Mosze Isserlesa i jest odtąd obchodzone razem z rocznicą jego śmierci...

Poznałem kiedyś przelotnie tego sławnego w całym świecie, także chrześcijańskim, kaźmierskiego rabina, znawcy nie tylko Talmudu, ale i Arystotelesa. Jego śmierć w 72 jakoś mi umknęła, może dlatego że wszystkich krakowian w tamtym czasie bardziej zajmował zgon biskupa Padniewskiego, nie licząc oczywiście króla Augusta.

- Ów wielki człowiek - kontynuował Izaak - legatem testamentowym całe swe bogactwo, a był przecie synem bogatego kupca Izraela Isserla, który ufundował piękną synagogę, od imienia jego sławnego syna noszącą miano Remuh, przeznaczył na jej wyposażenie...

Przerwał, widocznie w tym samym momencie pomyślał o tym, co ja.

53

- To na nią chcą napaść, na bożnicę Remuh - wyszeptał. - Tylko kiedy? Może w Paschę albo w czasie obchodów postu upamiętniającego zdobycie i zburzenie Jerozolimy...

- Nie - odparłem. - Źle rozumiemy. Cóż pospolitych rabusiów obchodzi jakieś żydowskie święto, o którym zapewne nawet nie słyszeli? Jako niewątpliwie dobrzy chrześcijanie napadną w wilię Wielkiej Nocy, aby nadać zbrodni pozór sprawiedliwej pomsty na nacji, która wydała na śmierć Chrystusa.

Ostatnimi czasy zrobiłem się znawcą swoich rodaków i współwyznawców w rodzaju Bractwa Trójcy, a teraz bliżej mi nieznanym hultajów, a zwłaszcza pobudek, którymi się kierowali, brganizując pogromy. Gdyby nie to, że jako kuternogę nie stać mnie było na dalszą rozrzutność, dałbym sobie uciąć rękę, iż w gruncie rzeczy powód był jeden: najzwyczajsza żądza bogactw. Reszta to mydlenie oczu.

- Ale to tylko domysły i spekulacje - zafrasował się Izaak. - Co mam powiedzieć kahałowi? A jak mi nie uwierzą?

Wzruszyłem ramionami.

- To wasza turbacja, Żydzie. Mnie nic do tego. Do Wielkiej Nocy jeszcze trochę czasu - lecz niezbyt wiele, pomyślałem. - Coś wymyślicie. W razie potrzeby wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Posłałem Rebecę całusa na pożegnanie i poszedłem do domu mego szwagra Michała, rusznikarza. Kiedy mu wyjawilem, o co mi szło, musiałem wysłuchać regularnego wykładu o rozmaitych strzelbach, a zwłaszcza lufach, i obejrzeć ze dwa tuziny przykładów. Napelniony

nową wiedzą udałem się na ratusz pogadać z instygatorem, którym był sławny jurysta imię Bartłomiej Groicki. Wpierw mi nie dowierzał, potem się zaciekał, lecz nieco marudził, że mu przydają roboty, w końcu ustąpił i zgodził się przeprowadzić eksperyment, który mu podsunąłem. Setnie zmachany, powłócząc nogą, wróciłem do gospody, po czym nakazałem Tomkowi zebrać uliczników, którym zacna cioteczka od czasu do czasu wydawała strawę. Ja zaś wykorzystywałem ich do zbierania pożytecznych wieści, bo nikt tak dobrze nie znał miasta jak oni. Kiedy zebrali się w czeladnej i siorbiąc z ukontentowania, zażerali resztkami dzisiejszej polewki, wyłożyłem im, czego od nich oczekiwałem. Po pierwsze, na podstawie opisu Morawickiego, który uzyskałem od Straszka, mieli się wywieźć, dokąd uszedł szlachcic-zabójca Straszowej,

54

po drugie - znaleźć iszczów napaści na żebraka, chciałem bowiem mieć pewność, czy Żyd naprawdę padł ofiarą swych kompanów, gdyż nagle ruszyło go sumienie, i gdzie to się stało. Po czym też coś zjadłem i wróciłem do ksiąg i notatek. Nie kłamałem, mówiąc, że inwestycja już mnie nie pociąga. Owszem, nie pamiętałem, kiedy ostatnio spędziłem dzień tak aktywnie, lecz wciąż czułem się wypalony i nie byłem w stanie wykrzesać z siebie grosz entuzjazmu. Współczułem Fołtynowi i rozumiałem ojca Rocha, ale złościło mnie, że dałem się wciągnąć w sprawy, które mnie wcale nie zajmowały. Tylko co mnie ostatnimi czasami zajmowało? Bieda w tym, że nic.

Nazajutrz wstałem wcześniej i zanim wyszedłem do Collegium Maius na popołudniowy wykład dla studentów medycyny, do którego byłem zobligowany, urządziłem coś na kształt odprawy moich informatorów. Znaleźli miejsce, gdzie najprawdopodobniej ugodzono Żyda. Stało się to na rogu Szrotarskiej i Świętego Krzyża i ponoć wciąż widniały tam ślady krwi. Łebski chłopak, który je wypatrzył, odszukał także żaczka z sąsiedniego szpitala Świętego Rocha, który z okna swej izby popołudniową porą widział uciekającego chwiejnym krokiem wzdłuż cmentarnego muru człeka patrzącego na prośalnego dziada i goniącego go osobnika o podobnym wyglądzie. Hultaje musieli być zdesperowani, jeśli zdecydowali się na mord w biały dzień, a Żydowi strach nie odebrał rozumu, skoro mimo ciężkiej rany poszukał najbliższego azylu. Co do zabójcy karczmarzowej, wsiąkł jak kamień w wodę, ale raczej nie opuścił miasta, gdyż nie widziano nikogo takiego u żadnej z bram miejskich. Kazałem otrokom nie ustawać w wysiłkach, wynagrodziłem pajdami ze słoniną oraz miedziakami i odesłałem.

Po wykładzie poszedłem na Wiślną do lecznicy dla ubogich, na swoją codzienną służbę. Wyjątkowo nie trafił się żaden ciężki przypadek, mogłem zatem szybko uwinąć się z robotą. Wykorzystując zyskany czas, wstąpiłem do ratusza. Hutman Trojan, którego nie widziałem od dobrych paru lat, odkąd wspólnie rozprawiliśmy się z rzekomym upiorem rycerza Szafrança i mordercami grasującymi w mieście jeszcze za króla Henryka, nie zmienił się wiele. Wciąż trzymał się krzepko, jeno posiwiiał i lico mu się pobruździło. Pod-hutmani Matusz Szarski, mój dobry znajomy i równolatek, odwiedzał mnie czasem, stąd wiedziałem, że się ustatkował, miał hożą żonę i dwuletniego syna.

55

- Siadaj - hutman wskazał mi wolne krzesło. - Widzę, że jest nas teraz dwóch kuternogów.

Chromał od postrzału z czasów młodości, gdy zabawiał się wojaczką w dalekich krajach. Powiesiłem swoją łaskę na oparciu i zastosowałem się do dobrej rady, z ulgą prostując nogę.

- Co cię do nas sprowadza?

- Sprawa Heleny Straszowej.

- Więc na powrót bawisz się w prywatnego inwestygatora? - sarknął Matusz. - Poprzednim razem ledwieś uszedł z życiem. Powiadają, że mądrej głowie dość dwie słowie. A ty znów szukasz guza.

- Ktoś musi to robić, aby ktoś drugi mógł obrastać w piórka i hodować sobie bandzioch, zamiast patrolować ulice - zrewanżowałem mu się, bo w istocie zaokrąglił się mocno, a kurtę na brzuchu miał silnie wypiętą.

Zaczerwienił się, lecz nie zapomniał języka w gębie.

- Imaginuj sobie, zem jednak już zdążył ruszyć nie tylko żywot, ale i zadek, bowiem instygator miejski jeszcze wczoraj zajął się tą sprawą.

- I co?

- Nic. Wciąż szukamy łotra. Na pewno nie opuścił miasta, to jedno wiemy.

- Ja też, ale dobrze się upewnić.

- Powiadomisz nas, jeśli znajdziesz go pierwszy? - hutman rzucił mi spojrzenie spod krzaczastych brwi.

- Zależy, co zamierzacie z nim uczynić. To szlachcic. Wiecie, że bardziej niż na prawie zależy mi na sprawiedliwości. Zrobię co w mojej mocy, by zbrodzeń nie uniknął kary.

Obaj wiedzieliśmy, że dawno minęły czasy, gdy miasto bez pardonu mogło karać na gardle szlachcica, który zabił mieszczanina i został pochwycony przy licu. Niby takie prawo wciąż obowiązywało, lecz od lat nikt go nie egzekwował. Nie darmo żyliśmy w Rzeczypospolitej szlacheckiej. Dla drugich stanów robiło się w niej coraz ciasniej.

- Teraz jest inaczej - rzekł hutman poważnie. - Król Szczepan to pan sprawiedliwy. Prawy „król z żelaza”, jak go niektórzy obzywają. Dla niego urodzenie nie stanowi o człeku. Nieraz już dal tego dowody, wielu herbowych posyłając bez pardonu na szafot, skoro na to zasłużyli. A my mamy całą gromadę naocznych iśćców tej

56

ohydnej zbrodni. Oddam ci moją zdrową nogę, jeśli król nie wyda nam Morawickiego. Wyszlakuj jeno, gdzie się skrywa, powiadom nas i odbierz nagrodę, a my zajmiemy się resztą.

- Układ stoi.

Podniosłem się z krzesła, uścisnęliśmy sobie dłonie i poszedłem do domu. Zmierzchało. Od uliczników nie było nowin, za to Niziołek powiadomił mnie, że ktoś czeka na mnie w kruchcie kościoła Świętego Jana. Wiedziałem kto. On też wiedział, dlatego nie krył zatroskania:

- Może pójść z tobą?

Niziołek, prawy olbrzym noszący przekorne imionisko, był starszym nad czeladzią karczemną i moim niezawodnym kompanem w rozlicznych awanturach, na którym mogłem polegać jako na Zawiszy.

- Poradzę sobie.

Przypasałem rapier, pistolet wsunąłem w cholewę buta i wyszedłem w mrok. Niewiele jaśniej było w przedsionku kościelnym, mimo to bez trudu wypatrzyłem garbusa w dziadowskich łachmanach. Tak też go nazywano: Garbus albo Ślepiec, bo dla niepoznaki często udawał niewidzącego. Wyglądał mizernie, lecz pozór był to jeno: w istocie bowiem trząśł całym potężnym krakowskim bractwem dziadowskim i, o czym wiedziało niewielu, dzierżył dumne miano Króla Żebraków. Nasze drogi skrzyżowały się kilkakroć w przeszłości.

- Byłeś wczoraj u Duchaków - stwierdził bez wstępów. - Co ci powiedział umierający dziad?

- Nic.

- Tak też mi przekazano, ale wolałem się upewnić. To zdrajca, na domiar Żyd, jak się dowiedzieliśmy, poniewczasie niestety. Jeśli wyjawiał sekret, w którego posiadanie wszedł podstępem, może mi to popsować poważne przedsięwzięcie. A tego bym nie ścierpiał. Więc

zapytam jeszcze raz, a ty dobrze sobie rozważ, nim udzielisz odpowiedzi. Co ci rzekł, nim umarł?

- Nic.

Mimo ciemności czułem, jak jego badawcze spojrzenie przewierca mnie na wylot. Po chwili milczenia powiedział:

- Dobrze. Pamiętaj jednak, że jeśliś skłamał albo, co gorsza, za-miarujesz mi przeszkodzić, tedy strzeż się. Nie, nie zemszczę się

57

na ojcu Rochu. Zbyt wielu naszych poskładał do kupy, nic w zamian nie żądając. Ani nie uczynię krzywdy nikomu z twojej rodziny, choć mógłbym. Ale ty drogo mi zapłacisz. Lubię cię. Na dowód pomogę ci jak drzewiej: Morawicki, którego szukasz za mord na Straszowej, skrył się w Szarej kamienicy. Lecz jeśli staniesz przeciwko mnie, biada ci. Niech cię wonczas Bóg ocali, bo nikomu śmiertelnemu to się nie uda. Tymczasem bywaj zdrów!

Znikł, jakby się rozpułnął w powietrzu, lecz znałem dobrze jego sztuczki i już mnie nie zaskakiwały. Jednak nie należało lekceważyć ostrzeżenia i nie miałem takiego zamiaru. Przeciwnie, mróz przeszedł mi po kościach. Garbus nie żartował. Najlepszy dowód, że nie uraczył mnie kolejnym fragmentem Peregrynacyi dziadowskiej, którą składał z upodobaniem i dzielił się ze mną przy lada okazji. Ongiś wyświadczyliśmy sobie wzajem kilka przysług, ale to nie miało znaczenia. Jeśli uzna za konieczne, zabije mnie jak psa, a wprzód dopilnuje, by bolało. Ja zaś dałem słowo ojcu Rochowi, że zajmę się tą sprawą. Ale nie to było decydujące. Mnie nie można zastraszyć. Nigdy nikomu się to nie udało i tuszyłem, że nie uda. Och, bałem się nieraz, ale zawsze robił swoje, o ile tylko nie zagrażało to moim bliskim. To jedno mogło mnie powstrzymać. Nagle przystanąłem. Garbus o tym wiedział! Dlatego zapewnił mnie, że mojej rodzinie nic nie grozi. Nie uwierzył moim zapewnieniom. Wiedział, że spróbuję pokrzyżować mu szyki. Chciał się ze mną zmierzyć. Dlaczego? Nie chwalać się (nie mnie tak nie brzydzi jak przechwałki), jako inwestygator cieszyłem się kiedyś niejaką sławą. Nie był głupszy ode mnie i może zażrał mi tego, że jego dokonania, a w fachu złoczyńcy doszedł na szczyt, nigdy nie ujrzały dziennego światła. Poza tym byłem prosty, a on naznaczony od dziecka. To że urodził się w rodzinie szlacheckiej, a ja nie znałem rodziców, miało widać mniejsze znaczenie. Zresztą obojętnie co nim kierowało - zgoda. Pragnie pojedynku, będzie go miał! Co nie znaczy, że nie zamierzałem wykorzystać jego informacji, i to szybko. Dziwna rzecz... To, czego nie zdołały sprawić błagania Fołtyna Strasza ani namowy patra Rocha, sprawiła pogroźka hultaja. Przydała mi energii i pobudziła do działania. Uśmiechnąłem się z politowaniem dla własnej słabości. Osobliwa jest natura ludzka... Odwołania do jej szlachetniejszej strony nie odniosły skutku, ale wystarczyło zagrać na mojej próżności

58

i proszę - oto jak sztubak byłem gotów podjąć rzuconą rękawicę. Umarły Kacper Ryx, inwestygator królewski, powrócił do świata żywych. *Cánete, latrones!*

Dlatego następnego dnia, zaraz po zajęciach na uniwersytecie, uprosiłem doktora Foksa, by na dwa, trzy dni znalazł dla mnie substytutom w lecznicy dla ubogich żaków, po czym poszedłem na ratusz z gotowym planem. Szarskiego nie zastałem, ale był hutman. Jak przypuszczałem, moja nowina zabiła mu ówieka.

- W Szarej kamienicy, powiadasz? Tedy schronił się pod opiekę Zborowskich. Nie wykurzymy go stamtąd siłą, a zresztą burmistrz nigdy nie wyda nam takiego nakazu, bo nie zechce narazić się wojewodzie. Ergo nie dostaniemy Morawickiego. Zborowscy odczekają, aż sprawa przyschnie, w dogodnej chwili wywiozą łotra z miasta i szukaj wiatru w polu.

Wojewodą krakowskim był najstarszy z możnego rodu Piotr Zborowski, będący z urzędu mocen wyznaczać ośmiu z grona dwudziestu czterech rajców do urzędującej w danym roku rady miejskiej. Żaden zdrów na umyśle patrycjusz nie zadarłby z wojewodą, jeśli nie chciał na lata pożegnać się z najwyższymi godnościami. Poza tym jurysdykcja miejska nie sięgała domu szlachcica, nawet położonego na miejskim gruncie, a już szczególnie gdy był to dom rodu do niedawna trzęsącego całą Rzeczpospolitą. Choć ostatnio, jak gruchały gołębie na krakowskim Rynku, w niełasce u nowego króla. Zaczęło się od zabójstwa, którego Samuel Zborowski dopuścił się na osobie drugiego szlachcica pod okiem poprzedniego pana, Henryka Walezego, i za co został skazany na banicję, która wciąż obowiązywała.

- Czekasz na coś? - spytał Trojan, widząc, że nie zbieram się do wyjścia. - A może ukował ci się w tej pełnej conceptów głowie jakiś chytry fortel?

- Zgadliście, hutmanie ratuszny. Zresztą samiście na niego wpadli.

- Jak to? - zdumiał się.

Wyjaśniłem mu, a im dłużej mówiłem, tym szerzej się uśmiechał.

- Trzeba jeno posłać zaraz paru ludzi, niech dyskretnie obserwują cały dom i wszystkie wchody, aby zbrodzeń nam nie umknął, jeśli dotąd tego nie uczynił - dodałem.

1 Strzeżcie się, łotry! (lac.).

59

Wtorek był bowiem dniem targowym, kiedy do miasta zjeżdżało mnóstwo ludzi. Ale zakładałem, że Morawicki podejmie próbę ucieczki nie wcześniej jak przed zachodem słońca, wmieszawszy się między opuszczających miasto. Albo raczej zaczeka do piątku, gdy sprawa nieco ucichnie.

- Zatem spotkamy się na Wendecie1 godzinę przed zmierzchem. Tylko go nie spłoszcie. Ja zajmę się resztą - oznajmiłem na odchodnym.

Łatwo powiedzieć. Potrzebowałem pieniędzy. Sam, byłem bez grosza, a nie chciałem obciążać ani Strasza, ani cioteczki Balcerowej, która ponosiła koszty mojego utrzymania. Przeciskając się więc przez tłum zapelniający Rynek jak zawsze w dzień targowy, kierowałem się w stronę kramu Izaaka. Kluczyłem przy tym jak zajac, chcąc pozbyć się ewentualnego szpiega. Kiedy bowiem wyszedłem rano z domu, w naszym Kąciku już warowało dwóch żebraków, bez wątpienia nasłanych przez Garbusa. Kolejny szlakował za mną, dopiero więc gdy upewniłem się, że go zgubiłem, skryłem się w kramie Izaaka za przepierzeniem oddzielającym niewielki składzik od lady. Zresztą miałem przecucie, że moje starania były mocno spóźnione. Popełniłem błąd, który ongiś by mi się nie zdarzył. W istocie jako inwestygator mocno zardzewiałem. Niepotrzebnie prosto ze szpitala poszedłem do Izaaka. A skoro tak się stało, to dla zmylenia szpiegów powinienem przynajmniej pożyczyc pieniądze, jak mi to proponował. Pewnie już wtedy byłem śledzony. Stąd późniejsza wizyta Króla Żebraków, jego podejrzenia i pogróżki.

- Znowu turbacje? - zmarszczył się Żyd, który dawno nie dziwił się niczemu, co miało związek ze mną, odesławszy córkę do obsługi klientów.

- Nic wielkiego. Rozmawiałeś z kahałem?

- Rozmawiałem i poleciłem twoje usługi. Bo chyba pomożesz nam w tej potrzebie? Na razie radzą. Jak się naradzą, dam ci znać.

- Nie. To ja się z tobą porozumiem za parę dni. Ci, którzy zabili mojego informatora, przysłali mi ostrzeżenie. A oni nie żartują. Musimy być bardzo ostrożni, bo obu nas znajdują któregoś pięknego dnia martwych i walających się w rynsztoku.

1 Wendeta (Tandeta) - obecny Mały Rynek w Krakowie.

60

Zbladł i przełknął głośno ślinę, aż mu podskoczyło jabłko Adama. Dobilem go.

- Potrzebuję dziesięciu dutków, i to natychmiast. Potraktuj to jako zaliczkę. Potrącisz sobie potem z mojej nagrody, sto czątych plus kosztą, jeśli twoi zdecydują się na moje usługi. Jeśli zaś mnie nie wynajmą, oddam ci z naddatkiem, jak tylko będę mógł - nie zostawiając mu czasu na zastanowienie, podsunąłem przygotowany wcześniej papier. - Tu masz kwit. Jęcząc i stękając, sięgnął do żelaznej skrzynki przyśrubowanej do pawimentu i starannie odliczył żadaną kwotę co do grosza, po dwakroć sprawdzając rachunek. Poklepałem go po ramieniu, wychodząc, puściłem oko do Rebeki i pomaszerowałem na Wendetę. Byłem w doskonałym humorze, pierwszy raz od Bóg wie kiedy, bom nareszcie znów miał okazję robić to, co kiedyś lubiłem najbardziej. Nawet noga przestała mnie boleć, więc kręciłem laską młynki i fałszując jak zwykle, pogwizdywałem pod nosem. Odżyłem. Przynajmniej na tyle, że znów chciało mi się chcieć cokolwiek.

Ulica Sienna dawniej zwała się Szkolną, gdyż mieściła się przy niej znakomita szkoła Panny Marii alias Szkoła Mariacka, zaś swoje obecne miano zawdzięczała targom na siano. Na zadzi za każdą niemal miejską kamienicą hodowano bowiem na własny użytek krowę, kozę, czy choćby owcę albo świnię, drobiu nie licząc, zaś szlachta trzymała podjezdki. Na Wendecie handlowano (głównie Żydzi) również wszelką starzyzną, stąd ów mały rynek obzywano też Tandetą.

Targując się zawzięcie, dogadałem się w końcu z paroma wieśniakami przybyłymi na targ i wypłaciłem im zadatek. Po czym odwiedziłem Strasza, by powiadomić wdowca, że być może jeszcze dziś pochwycę sprawcę zbrodni. Przy okazji dowiedziałem się, iż pogrzeb zamordowanej wyznaczono na piątek, oraz odebrałem ciotuchnę Balcerową, która była w swoim żywiole, przygotowując zmarłą do pochówku. Upewniłem się, że pater Roch, jak prosiłem, dokonał obdukcji w przytomności imć Groickiego. Potem, korzystając z tego, że pozostali domownicy byli zajęci, zaciągnąłem Szymka, który był mniej więcej wzrostu nieboszczki, do sypialni na górze i kazałem mu się wychylić z feralnego okna, w które już wstawiono nową szybę.

- Widzisz wchód do karczmy?

61

- Nie.

- To wychył się bardziej.

- Nie da rady, bo wypadnę.

Nie spodziewałem się innej odpowiedzi, bo choć byłem sporo wyższy, też nie zdołałbym wychylić się dużo więcej, "iym bardziej nie zdołałaby tego uczynić brzemienna niewiasta. Dom był stary, miał grube mury i szerokie parapety. Co prawda wybita szyba dowodnie świadczyła, że okno było zamknięte, lecz wolałem się zabezpieczyć na każdą okoliczność.

- A przeciwną stronę ulicy widzisz?

- Tak.

- Dobrze. Postój tu jeszcze chwilę. Macie sam jakąś drabinę?

- Stoi w sieni.

Zabrałem ją i przeszedłem na przeciwległą stronę jezdni, gdzie wedle świadków stał Morawicki w momencie oddawania strzału. Ustawiłem drabinę i wdrapałem się na mniej więcej wysokość siodła. Pomachałem do Szymka i udałem, że celuję do niego z flinty. Widziałem stąd sylwetkę chłopca nawet nie od pasa w górę, lecz od piersi. Kąt był mniej więcej taki jak rozstęp między raną wlotową a wylotową w ciele karczmarzowej. Roztrącając ciekawskich, którzy natychmiast otoczyli mnie kołem, odniosłem drabinę, na progu wołając:

- Na pewno nie widzisz mnie teraz?

- Nie! - odrzyknął. On także był dla mnie niewidoczny.

- Dobra, możesz wracać do swoich zajęć.

Niziołek aż podskoczył z radości, gdy po powrocie do domu oznajmiłem mu, że pod wieczór będzie mi potrzebny, i to z bronią.

- Nareszcie! Bom już mniemał, że żabojady odstrzeliły ci jajca. Postanowiłem także wziąć ze sobą Chrisa alias Krzycha Żeglarza. Ten dawny kaper z „Morskiego Psa” robił u nas od kilku lat za kucharza, ale od pewnego czasu ciągnęło go do dawnego żywota, więc odmianę przyjął z nieskrywaną ochotą. Mógł się przydać, bo dobrze władał bronią, a bitki lubił bardziej nawet od Niziołka.

Godzinę przed zmierzchem stawiliśmy się na Wendecie, gdzie czekali już na nas hutman, podhutmani i dziesięciu cepaków.

- I jak? - spytałem.

- Nikt okrom czeladzi nie opuszczał domu, odkąd nasi ludzie pod nim warują - oświadczył Szarski, podrzutek jak ja, znaleziony

62

pod Szarą kamienicą, której zawdzięcza! nazwisko. - Co i nie dziwota, bo przecie Zborowskich nie ma w mieście, został jeden pan wojewoda, który złożony niemocą bawi w swoim pałacu. Andrzej pociągnął za królem na Litwę, Samuel ponoć u Kozaków na Ukrainie siedzi, a Krzysztof Bóg wie gdzie. Może Morawickiego też wcale sam nie masz?

- Mógł się wymknąć w przebraniu sługi - zauważyłem. - Ma charakterystyczne ślepią tak wyłupiaste, jakby chciały wyskoczyć z czaszki, łysy łeb i sumiaste rude wąsy.

- Wiem, myśmy też zasięgnęli języka. Powtarzam, że nikt taki stamtąd nie wyszedł. Ciekawym, jak chcesz go do tego zmusić, o ile w istocie tam jest - sarknął.

- Hutman ci nie mówił?

- Nie.

- No to dowiesz się w swoim czasie.

Opuściłem ich obserwujących Szarą kamienicę i poszedłem z Żeglarzem na koniec placu, aby wypłacić ugodzonym kmiotkom resztę należności i dopilnować, by zostawili zakupiony towar. Tandeta, jak i Rynek z wolna pustoszały. Tłum przekupniów i kupujących rzedł, odpływając w kierunku bram miejskich, by zdążyć przed ich zamknięciem. O zmierzchu plac był niemal pusty. Wróciłem do pozostałych, Krzycha z dość głupią miną pozostawiwszy na straży zakupionego dobra. Oczekaliśmy jeszcze godzinę.

- Już czas - oznajmiłem wreszcie.

- W takim ćmoku niczego nie zauważymy - marudził Matys, kiedy zabroniłem strażnikom zapalić latarki.

- Nie trap się, wkrótce będzie jasno jak w dzień.

Hutman uśmiechnął się na te słowa pod nosem i na moją prośbę posłał swoich ludzi ku pomocy Krzychowi, a ja przydałem im do kompanii Niziołka. Dopiero kiedy zaczęli znosić sterty siana i słomy i zrzucać pod drzwiami kamienicy, Szarski zawołał:

- Pojmuję! Wykurzimy go jak jaźwca z jamy!

- Nie inaczej - potwierdziłem z westchnieniem, bo sporo mnie to kosztowało; siano o tej porze miało najwyższą cenę.

- Z ulicy wolno nam go zdjąć, nie łamiąc prawa - dodał hutman.

Cale siano zgromadziliśmy u dwóch wyjść: bocznego od Siennej

i głównego od Rynku, cały czas dając baczenie na dom, żeby nas kto nie zaskoczył.

Przechodniów o tej porze prawie już nie widziano,

63

tylko paru oźralców przemykało gdzieś chyłkiem. Pojawił się za to nocny ront złożony z mieszczan. Było to novum nakazane przez króla z powodu niespokojnych czasów i wymarszu wojsk na Litwę, na które bardzo sarkano, zwłaszcza patrycjusze, bo i ich ów przymus nocnej służby nie ominął. Hutman odesłał owych na drugi koniec miasta i mogliśmy robić swoje bez przeszkód. Nim skończyliśmy robotę, większość światła w oknach kamienicy pogasła.

Doskonale. Postawiłem u jednego wchodu Niziołka, u drugiego Krzycha, przydaliśmy im po

dwóch drabów miejskich i przykazaliśmy na sygnał podpalić stogi, po czym pilnować, by wypadkiem nasz człowiek tamtędy nie zemknął. Pozostali zajęli stanowiska u zadniego wchodu przy Stolarskiej ulicy, celowo nieobłożonego słomą i sianem, by właśnie tędy domownicy mieli jedyną możliwość ucieczki. Po czym dałem znak Szarskiemu. Wraził palce w usta i gwizdnął donośnie. Wnet poczuliśmy dym, a zaraz potem luna objęła całą Sienną, Tandetę i pewnie z połowę Rynku. Zaczęliśmy wrzeszczeć co sił w gardłach:

- Gore! Gore!
- Ratuj się kto może!
- Laboga, ogień dachu sięga!
- Hej tam, w domu! A ubiegajcie, nie zwlekając!

W istocie, przez chwilę płomień buchał niemal pod niebo, aż pękały szyby w oknach, a my musieliśmy się cofnąć. Lecz nie mogło to trwać długo, poza tym nie chcieliśmy przecież spalić miasta, więc kazałem kilku drabom nabierać wody z najbliższego rzepia do przyniesionych zawczasu cebrów i lać na siano. Jako i wkrótce zamiast ognia pojawiły się czarne kłęby smrodliwego dymu, które spowiły Szarą kamienicę niby całunem.

- Gotować się! - wrzasnął Trojan do swoich.

Rzucili cebry, porwali w garście bojowe cepy i kordy i zgromadzili u zadniego wejścia, a ja z nimi. Nie czekaliśmy długo. Ogień już dogasał, jednak wciąż dawał dość światła. Z rozwartych na oścież drzwi zaczęli wysypywać się mieszkańcy kamienicy. Wystraszeni, niektórzy wyrwani ze snu i na wpół goli, kasłający i krzyczący ze strachu. W pierwszej grupie nie było nikogo znajomego, ale potem na zewnątrz wypadło czterech ludzi w samych furynałach i nocnych giezłach. Z zaskoczenia stanąłem jak słup, gdyż jeden z nich był to mój zaprzysięgły wróg - człowiek, który nastawał na me życie, nękał

64

moją rodzinę, zabił ojca Janki i przywiódł do śmierci naszego sługę, Głupiego Jasia. Samuel Zborowski! Banit i infamis, rzekomo bawiący u Kozaków na Zaporozu. Poznałem go, choć zapuścił obfitą brodę. Prędzej śmierci nagłej bym się spodziewał, niż widoku tego łotra... Przez moment nasze oczy się spotkały. Sięgnąłem po pistolet u pasa. Widziałem, że on też mnie poznał i jakby się zawahał, lecz zaraz towarzysze pociągnęli go ze sobą za węgiel i cała czwórka rzuciła się pędem w głąb Stolarskiej. Chciałem biec za nimi, ale przeklęta noga dała znać o sobie i runąłem na tret jak długi. Nie wypuściłem wszak pistoletu z ręki, lecz musiałem przypadkiem ruszyć cyngla. Broń wypaliła nieszkodliwie. Zanim wydobyłem drugi pistolet, zbiegowie byli już daleko. Mogłem tylko patrzeć bezsilnie, jak na wysokości wieży przed kościołem Dominikanów znikają za zakrętem. Do pałacu Zborowskich obok kościoła Wszystkich Świętych mieli stamtąd dwa kroki. Zwolniłem kurek, opuściłem uzbrojoną dłoń i zacząłem się podnosić... Chciało mi się płakać z wściekłości i rozczarowania.

Wtem usłyszałem krzyki, tupot nóg i ktoś na mnie wpadł, omal nie zwalając z nóg. Ujrzałem zaczerwienioną ze strachu gębę, z wybałuszonymi wylupiastymi ślepiami i lisowatej barwy wąsiskami, i trzasnąłem w nią lufą pistoletu, wkładając w to całą przepelniającą mnie złość na samego siebie. Padł jak ścięty.

- Mamy go! - zawołał zdyszany Szarski, stając obok mnie i patrząc z satysfakcją na leżącego. - To bez wątpienia Morawicki.
- Furda z nim! Wiesz, kto mi uszedł? Samuel Zborowski!
- Widziałem, jak pobiegłeś za tamtymi czterema. To był on? Nie rozpoznałem go, ale jego fagasa Ruskiego i owszem. A wiesz kto był z nimi? Stanisław Stadnicki, kuzyn Zborowskich. Dobrzem poznał tego łotra, bo gdy hultajstwo i żacy zruderowali Bróg podczas bezkrólewia, on na czele kupy podobnych do siebie kacerzy i rębaczy usiłował wedrzeć się do miasta, by wziąć pomstę na sprawcach. Kiedyśmy zawarli przed nimi bramy, wybili furkę u wylotu ulicy Świętej Anny i tak się dostali intra muros. A potem przez wiele dni

awanturowali się po szynkach i polowali w całym mieście na żaków, wielu z nich srodze poszczerbiwszy.

1 Do wielkiego pożaru Krakowa w 1850 r. przed kościołem Dominikanów stała masywna dzwonnica.

65

Przypomniałem sobie, że opowiadał mi o tym kolega ze studiów, Antoś, który choć w podpaleniu Brogu nie partycypował, oberwał od Stadnickiego szablą i potem przez trzy niedziele przychodził do siebie. Stadnickiego też chętnie bym dopadł, bo swego czasu w Warszawie, z poduszczenia Zborowskiego, nastawa! na cześć i życie Janki.

- Dobrześ się spisał - powiedział TYojan, który dopiero teraz dokuśtykał do nas, klepiąc mnie w plecy, po czym, wskazując nieprzytomnego zabójcę, rozkazał strażnikom: - Do kabatów z nim!

Kiedyśmy we trzech podążyli z wolna za nimi, zabierając po drodze Niziołka i Żeglarza, wielu strwożonych ludzi z cebrami i innymi naczyniami pełnymi wody nadbiegało ze wszystkich stron.

- Wracajcie do domów! - huknął na nich hutman swoim grubym głosem. - Już po wszystkim. Niebezpieczeństwo minęło.

W samej rzeczy, pożoga ustała zupełnie. Resztki spalonej słomy i siana co prawda wciąż jeszcze kopcily smrodliwie, lecz z tego ogień w żaden sposób nie mógł się już rozniecić, zwłaszcza gdy przybyli dla pewności wylali na nie przytarganą wodę. U wylotu Świętego Jana nasza trójka odłączyła się od justycjariuszy i wróciła do uspionego domu.

Nazajutrz wstałem późno i nie poszedłem do Collegium. Posłałem jedynie Tomka, by odwołał mój wykład pod pozorem nieznośnego rwania w nodze. Niziołkowi kazałem pójść na Kleparz i u znajomego rostrucharza wynająć dobrego bieguna.

W ratuszu musiałem kęs zaczekać, bo Matys bawił na mieście, a hutman na Wawelu, dokąd z rana odstawił naszego brańca w asyście powiadomionych o aresztowaniu dwóch woźnych ziemskich oraz dwojga szlachty. Czekanie dłużyło mi się, więc wyszedłem na zewnątrz i jałem spacerować w tę i nazad, bijąc się z niewesołymi myślami. Może po godzinie ujrzałem wpierw zbiegowisko, a potem orszak, który z trudem torował sobie drogę do ratusza. Na czele kroczył Trojan i kilku rajców, za nimi postępował dwaj strażnicy prowadzący między sobą skutego więźnia. Na czole widniał mu ogromny, podbiegnięty krwią guz, na który spoglądałem z ukontentowaniem. Po bokach dwa szeregi drabów miejskich i starościńskich odpierały rozgorączkowany tłum, pomstujący i wygrażający zabójcy karczmarszej. Otwarto boczną bramę od strony Szewskiej i wnet aresztant razem z innymi znalazł się na wewnętrznym dziedzińcu,

66

kabacie. Udało mi się wcisnąć za nimi, nim z powrotem na głucho zatrzaśnięto bramę. Iojan nakazał odstawić więźnia do kabatów, po czym skinął na mnie i razem poszliśmy na piętro, gdzie mieszkał i urzędował. Postawił na stole flaszkę wina i dwa kubki, nalał, usiadł i gestem zachęcił mnie do zajęcia miejsca naprzeciw.

- Za dobrą robotę - stuknął swoim kubkiem w mój i wypiliśmy.

- Jak poszło?

- Nad podziw gładko. Podstarości, imć Józef Kowalewski, to człek sprawiedliwy. Po krótkim badaniu uznał nasze racje i wydał obwinionego miastu, coś miał okazję naocznie obserwować.

- Wojewoda nie czynił wstrętów?

- Jego wielmożność pan Piotr Zborowski mocno niezdrów, dlatego zdał się we wszystkim na starostę.

- Nie skarżył się na nasze najście na Szarą kamienicę?

- Jakie najście? Owszem, wspomniano coś o osmolonych murach i paru wybitych szybach, ale przypomniałem, że tylko dzięki szybkiej interwencji służb miejskich pożar został wnet ugaszony i na takich jeno stratach się skończyło. Nie naciskali, wiedząc doskonale, że Zborowscy musieliby się wtedy sumitować nie tylko z udzielenia schronu Morawickiemu, ale także obecności w mieście Samuela. A co do tego ostatniego: na czas wojny z Moskwą i pod warunkiem w niej udziału otrzymał od króla list żelazny, nie wolno mu wszak przebywać w obrębie jurysdykcji starosty krakowskiego. Ergo złamał prawo i dlatego wojewoda tak łącznie ustąpił w sprawie Morawickiego, byśmy nie ruszali tamtej. Zresztą dowiedziałem się, i to rzecz pewna, iż Samuel o świcie opuścił miasto.

Nalał ponownie i znów wypiliśmy.

- Jutro w ratuszu zaczyna się proces Morawickiego. Przyjdiesz?

- Postaram się - odparłem machinalnie, myśląc o czymś innym.

Spojrzał na mnie spod oka.

- Zdaje się, że wiem, co ci chodzi po głowie. Nie rób głupstw, Kacper. Zaklinam cię po starej przyjaźni - poniechaj Samuela. Owszem, to wciąż wywołaniec, przynajmniej w ziemi krakowskiej, lecz Zborowscy nadal wiele mogą. Ręczę, że staroście nawet przez myśl nie przeszło, by próbować go ująć, choć byłby w prawie, a co dopiero gdyby to uczyniła osoba prywatna, do tego nieszlachcic. Jak ty.

- A kto mówi, że chcę go ująć?

Musiał ujrzeć mord w moich oczach, bo poblądł.

67

- Zatem niech Bóg ma cię w swojej pieczy, bo nikt drugi nie poradzi, skoro zabijesz tego lotra.

Wstałem.

- Dobre to wino, lecz na mnie pora.

- Zaczekaj. Imć Groicki zgromadził wiele broni i zapędził kilku pachołków do jej przestrzeliwania na kabacie. Nie wiesz po co?

- Wiem, ale skoro wam tego nie wyjawiał, ja też nie mogę. Dowiedzie się w swoim czasie. Zamykając za sobą drzwi, widziałem jego napiętą strapieniem twarz i wpatrzone we mnie smutne oczy. Niziołek ze sprowadzonymi i osiedlanymi już wierzchowcami czekał na mnie na zadzi gospody. Kazałem mu wypożyczyć tylko jednego, ale przywodził dwa.

Widocznie spodziewał się, że go ze sobą zabiorę. Na razie nie wyprowadzałem go z błędu, dlatego paskudna gęba jaśniała mu jak miesiąc w pełni, a usta rozciągały w uśmiechu od ucha do ucha. Podobnie jak ja od dawna, wczorajszej nie rachując, nie uczestniczył w porządnej awanturze i cieszył się jak dziecko, mniemając, że wróciły dawne czasy. Chris też napierał się, by mi towarzyszyć, ale od razu wybił mu to z głowy. Ktoś musiał pilnować domu na wypadek, gdyby Zborowski chciał mnie uprzedzić. A znając go, widać było to uwzględnić. Po prawdzie nie nękał nas od paru lat, ale pewnie tylko dlatego, że co innego go zajmowało i musiał troszczyć się o własną skórę. Wczoraj mu się przypomniałem, a był to człek mściwy i okrutny. Dlatego musiałem dopaść go wcześniej, niż on dopadnie mnie albo znów uczyni jakąś krzywdę moim bliskim.

W swojej izdebce zająłem się sprawdzeniem pistoletów, które już kiedyś, dawno temu, zawiodły mnie przy spotkaniu ze Zborowskim. Potem uczyniłem to samo z wyborym sztucem, z którego ongiś zastrzeliłem mordercę dybiącego na króla Henryka. Przypasałem rapier, zatknąłem za pas lewak i pistolety, narzuciłem na grzbiet ciepły kubrak. Czując, że twarz mi płonie z emocji, podszedłem do cebrzyka i opłukałem ją zimną wodą. Unosząc głowę, zobaczyłem w wiszącym na ścianie małym zwierciadle nienawistny konterfekt. Jak ja nie lubiłem tego żywego truposza! Drudzy w moim wieku dzierżyli faszę w rękach, dobijali

się mniejszych lub większych fortun, cieszyli bliskością kochającej żony i dzieci i z nadzieją patrzyli w dal. Jak moje mlecze rodzeństwo. Mnie przyszłość jawiła się czarno. Jeżeli nie zginę dziś lub jutro, pewnie obronię doktorat. Będę

68

leczył ludzi albo ich zabijał jako inwestygator, o ile znów wystaram się o serwitoriat uprawniający do uprawiania profesji inwestygatora, i nabijał kabzę. Może dobiję się jakiegoś stanowiska, może nawet zyskam sławę... I co z tego? Nigdy nie będę szczęśliwy, bo nigdy nie zapomnę Janki i zawsze będę za nią tęsknił, tyleż rozpaczliwie, co beznadziejnie. Dlatego dzisiejsza niebezpieczna wyprawa wcale nie przejmowała mnie lękiem. Albo przywiodę Zborowskiego do śmierci, jak to ślubowałem przy stygnącym ciele Głupiego Jasia, albo sam zginę i skończy się moja marna, nikomu niepotrzebna egzystencja.

Chwilę rozważałem napisanie listu do cioteczki, aby zapewnić ją o swoim przywiązaniu i wdzięczności za wszystko, co dla mnie uczyniła, ale rozmyśliłem się. Chwyciłem sztuciec i już miałem wyjść, gdy rozległo się nieśmiałe pukanie.

- Proszę.

Ciotka ogarnęła mnie, stojącego w pełnym rynsztunku, przerażonym wzrokiem krótkowidza.

- Mój Boże, czułam, że wydarzy się coś strasznego, jak tylko Niziołek powiedział mi, żeś widział wczoraj Samuela Zborowskiego... Co chcesz uczynić, synku?

- Tylko to, co muszę, matuchno.

Uniosła dłoń do serca, jakby ją nagle rozboleło.

- Poniechaj go, zaklinam cię. Daruj mu dawne przewiny, jako ja darowałam.

Pokręciłem głową.

- Nie mogę, mateczko. Nie pojmujesz, że tu nie idzie tylko o mnie? Pólji ten człek żyw, nigdy nie będziemy bezpieczni, ani ty, ani moje rodzeństwo. Już raz próbował spalić gospodę i zabił Głupiego Jasia. A teraz patrzy na to, że hnet wróci do królewskich łask i wtedy znów zechce się mścić. To pewne.

- A może infamia jego też czegoś nauczyła? Może tylko pragnie nareszcie wrócić do domu, do żony i dzieci? Nie wiesz tego.

- Nie zamierzam ryzykować.

Z na wpół ślepych oczu cioteczki łzy popłynęły strugą.

- Nie wiem, co zaszło między tobą a Janką i czemu nie jesteście ze sobą... Jedno wiem.

Miłowaliście się i wciąż miłujecie okrutnie... Wystarczy na ciebie popatrzeć i poczytać między wierszami jej listów... Boleję nad tym każdego dnia, bom miała nadzieję na stare

69

lata piastować wasze dziatki... Kocham przecie was oboje jak rodzonych... - chlpała. - A ty, odkąd wyjechała do Warszawy, chodzisz jak struty i wyglądasz, jakbyś chciał umrzeć... Nigdyś nie okazywał afektów jak drudzy, ale ostatnimi czasy jesteś taki zimny, że już nie wiem, czyś kiedykolwiek nas miłował...

Objąłem ją i mocno przygarnąłem, czując, że jej kochające serce trzepocze jak ptak w klatce.

- Cokolwiek się stanie, nigdy w to nie wątp, mateczko. Może nie potrafię miłować jak inni, alem zawsze kochał ciebie i was wszystkich, jak jeno umiałem najlepiej. Okrom ojca Ropha jesteście wszystkim, co najlepszego mnie w życiu spotkało - pogłaskałem ją po siwej, zatroskanej głowie i łagodnie odsunąłem. - A teraz muszę już iść.

- Obiecay przynajmniej, że cię jeszcze obaczę! - krzyknęła za mną, gdym już schodził na dół, podpierając się sztucem.

- Postaram się! - odkrzyknąłem.

Niziołek, obwieszony bronią niczym bożonarodzeniowy podłóżnik ozdobami, pomógł mi wyprowadzić wierzchowce przed dom. Z przykrością musiałem rozczarować olbrzyma.

- Posłuchaj, Niziołku - rzekłem. - Zamierzam pochwycić lub zabić Samuela Zborowskiego...

- Wiem. Wiedziałem to już wczoraj - przerwał mi.

- Różnie może być, dlatego nie mogę cię zabrać ze sobą. Odprowadź z powrotem drugiego bieguna.

- Powtórz to, a ubiję cię, zanim zdoła to uczynić Zborowski - drapiąc się na konia, powiedział to takim tonem, że z pewnością nie żartował. - Dokąd jedziemy?

Wiedziałem, że nie puści mnie samego, a nie miałem siły się z nim użerać. Wsadziłem zdrową nogę w strzemień, a chromą ostrożnie przełożyłem nad końskim zadem.

- Do Mogilan.

Opuściliśmy miasto tuż przed zawarciem bram. Znałem drogę, bo niedawno byłem w Mogilanach na zaproszenie kolegi ze studiów, Antosia, który został proboszczem w rodzinnej wiosce. Dawno nie jechałem konno i choć bałem się o nogę, to zadek doskwierał mi o wiele bardziej, mimo że się nie spieszyliśmy. Chciałem dotrzeć na miejsce około północy, a do przebycia mieliśmy zaledwie dwie, góra trzy mile. Droga jeszcze całkiem nie rozmiękła i w lesie śniegu

70

nie brakowało, ale na polach już całymi płatami wyglądała czarna ziemia. Pachniało przedwiośniem.

Na wysokości Świątnik Górnych zjechaliśmy z głównego gościńca wiodącego hen na południe, ku Węgrom. Boczna droga przywiodła nas na przeckę między Mogilanami a Głogoczowem, także należącym do klucza mogiłańskiego, wprost na murowaną karczmę „Pod Dobrą Nowiną”¹. Radzi zeskoczyliśmy z wierzchowców, ponieważ zaczął padać śnieg z deszczem, a poza tym spodziewałem się zasięgnąć języka u karczmarza. Noga bez większego szwanku zniosła jazdę. Ze smakiem wypiliśmy grzany miód zaprawiony korzeniami, tak wyborny, jakby pamiętał jeszcze owe czasy, gdy tutejszymi włodarzami byli cystersi, nim odstąpili grunt Jordanowi. Arendarz, niestary starozakonny, widząc nasze ukontentowanie, potwierdził, że ongi zacni braciszki mieli sam składzik win i miodów, na co zresztą wskazywały grube mury i krzyżowe sklepienie wedle starodawnej modły. Ponieważ przy kominie grzało się paru miejscowych kmiotków, nie chciałem w ich przytomności wypytywać gospodarza. Zamówiliśmy więc drugą kolejkę i wolno sącząc trunki, czekaliśmy głuchej nocy. Opuściliśmy karczmę jako ostatni. Wynagrodziłem Żyda tak szczerze, że kłaniając się uniżenie, odprowadził nas za próg i niepytany powiadomił, iż dziś z rana przejeżdżał tędy sam dziedzic z kilkorgiem asysty.

- A jaśnie pan to pewnie z tej szlachty, co z naszym dziedzicem jutro wyrusza na moskiewską potrzebę? W sam czas wasza miłość przybywa.

Mruknąłem coś nieokreślonego i postarałem się tak dosiąść wierzchowca, by nie zwracać baczenia karczmarza na moją chromą nogę, gdyż łącznie mógłby potem mnie opisać.

Zmarznięte konie rwały się do biegu, aleśmy je hamowali. Przed północą ujrzeliśmy cel naszej ekspedycji - górujące nad okolicą wzgórze podobne do kopca. Mokry śnieg znów spadał z nieba lepкими płatami i tym razem była to okoliczność pomyślna, gdyż przejechaliśmy przez wieś niepostrzeżenie, nikogo nie napotykając. W żadnej chałupie nie świeciło się w oknach. Tylko tu i tam zaszczekał jakiś pies, ale bez entuzjazmu

¹ Zmyślona, choć od kilkudziesięciu lat znajduje się w tej zabytkowej budowli ciesząca się zasłużoną sławą restauracja „Nowina”, prowadzona przez pana Krzysztofa Nowina-Konopkę, potomka ostatnich dziedziców Mogilan i Głogoczowa, który zaszczycił autora swą przyjaźnią.

71

i nie wyściubiając nosa z budy. Na szczycie wzgórza przy owalnym placu z jednej strony stał drzewiany kościół, z drugiej, za wysokim murem, majaczyła bryła okazałego, także drzewianego pałacu. Wedle Antosia, pałac postawił Wawrzyniec Spytek Jordan, upodobawszy sobie to miejsce z racji rozległego widoku. Ponoć z jednej strony otwierał się stamtąd prospekt na Kraków, z drugiej - na góry, w których pan kasztelan krakowski założył miasto Jordanów. W tutejszym pałacu gościł znaczne osoby, w tym sławnego pisarza Stanisława Orzechowskiego czy jeszcze sławniejszego poetę Mikołaja Reja, który napisał sam kilka swoich wierszy, zaś znany drukarz Mikołaj Wirzbięta odbił je w pałacowej drukarni. A teraz mieszkał tam człowiek, którego zamierzałem zabić.

Zatoczyliśmy łuk, by ominąć bramę wjazdową z posadowionym obok domem stróża, i zajechaliśmy pod mur od północnej strony. Wydobyłem z juków dwa pakunki.

- Masz tu kopieniak, żebyś nie przemókł do nitki. A to naści, by nie burczało ci w brzuchu, bo jeszcze cię strażę usłyszą - powiedziałem cicho, odłamując kęs z drugiego pakunku.

- Kielbasa! - mruknął, spróbował i westchnął z ukontentowania: - Lisiecka2! Mmm, niebo w gębie...

- A teraz zakonotuj sobie w pamięci: kiedy posłyszysz strzał, zaczekasz na mnie chwilę niedługo, a potem ruszysz co koń wyskoczy do domu, choćby nie wiadomo co się podziało. Pojąłeś? - starałem się mówić tak dobitnie, jak tylko potrafiłem.

- Mmm... - odparł, kiwając posłusznie wielką głową i nie przerywając jedzenia. Czulem, że puścił mimo uszu moją gadkę. Będzie tu warował, dopóki mnie nie wybawi z obieży albo sam nie zginie. Wyjąłem z olstra sztuciec zawinięty w impregnowaną skórę i podtrzymywany przez Niziołka stanąłem w siodle, po czym podciągnąłem się na mur i przrzuciłem na drugą stronę przywiązany do łąku sznur. Wielkolud podał mi strzelbę, zsunąłem się po powrozie i po chwili stałem w rozległym parku okalającym pałac. Cuda prawiono o tym parku. Zakładał go Jordanowi jakiś Włoch na ichnią modłę, którą królowa Bona zaszczepliła w Polsce. Szczęściem rabaty, szpalery

1 W jego miejscu na początku XVII w. stanął murowany.

1 Najlepsza kielbasa podkrakowska, z Liszek (z tradycją sięgającą XVI w.).

72

bukszpanowe i aleje z młodych grabów znajdowały się od południa, tu zaś gdzie stałem, pozostawiono stare lipy i dęby dające mi wyborne schronienie. Przekradając się od jednego pnia do drugiego, dotarłem na wprost głównego wchodu pałacowego. Dzieliło mnie od niego może pięćdziesiąt kroków. Nawet po ćmoku nie mogłem chybić z takiej odległości.

Mimo późnej pory w pałacu jeszcze nie spano. Jeżeli karczmarz mówił prawdę i nazajutrz Zborowski miał ruszać na wojnę, tedy zapewne czyniono ostatnie przygotowania. W izbach czeladnych jeszcze się krzątano, a ze świetlicy po prawej stronie dobiegały śpiewy to po polsku, to po rusku, widocznie Samuel przywiódł ze sobą z Niżu poczet semenów. Nie dziwota zatem, że się nie natknąłem jeszcze na żadnego stróża - pałac był pełen wojska i jego mieszkańcy czuli się bezpiecznie jak u Pana Boga za piecem. Ledwo zdążyłem to pomyśleć, gdy z mroku wyskoczyły dwie bestie z jarzącymi się ślepiami i łyskającymi bielą kłami. Potężne brytany, szkolone do zabijania intruzów, nie wydały z siebie dźwięku, tylko przysiadły na zadach, szykując się do skoku. Odstawiłem strzelbę i przykucnąłem, w każdej dłoni trzymając laskę kielbasy, którą zabrałem z domu na taką właśnie okazję, a nie po to, by napelnić bezdenne kałdun Niziołka.

- Dobrze pieski, naści - szepnąłem, nie okazując zgubnego strachu.

Obchodzenia się ze zwierzętami nauczyłem się, wędrując za młodu z kompanią linoskoków, kuglarzy i niedźwiedników. Mieli oni litewskiego miśka i psy, które szczuli na siebie ku uciechu gawiedzi. Bestie były tak dzikie, że nie karmiono ich inaczej, jak uwiązane na grubym łańcuchu. Mnie jednemu jadły z ręki. Raz tylko sztuka mnie zawiodła - podczas spotkania z

lewartem, który rozerwał mi bok. Tym razem jednak znów się udało. Psy podbiegły do mnie, machając ogonami i cicho powarkując. Zeżarły kielbasę w mgnieniu oka, nawet mnie przy tym nie drasnawszy. Pogłaskałem je po łbach i podrapałem za uszami. Zamruczały. Wyjąłem z pazuchy następne pęto, rozerwałem na dwoje i poczęstowałem bestie, na koniec dając im do polizania i obwąchania próżne dłonie. Chwilę powstały, licząc na co jeszcze, po czym z powrotem odbiegły w mrok. Odetchnąłem. Tymczasem śpiewy z wolna ucichały i kolejno wygaszano światła. Świeciło się tylko troje okien na pierwszym piętrze, piano nobile. Założyłem, że to właśnie te, których szukałem. Konary

73

drzewa układały się niby stopnie, więc nie nadwerężając nogi, łącznie wdrapałem się na dogodną wysokość. Zdjąłem sztuciec z pleców. Odwinąłem skóry, wydobyłem broń i obejrzałem zamek. Chyba nic mu się nie stało. Wciąż padało, lecz było mi to na rękę, gdyż czyniło mnie prawie niewidocznym, nawet na drzewie pozbawionym listowia. A lont nie mógł zamoknąć, ponieważ mój sztuciec nie był rusznicą, ale arkebuzem z zamkiem kołowym. Na wszelki wypadek, po nakręceniu zdjętym z szyi kluczem, przykryłem jednak zamek skórzanym kapturkiem. Usadowiłem się wygodnie, oparłem łufę

0 gałąź i wymierzyłem w środkowe okno. Musiałem trafić za pierwszym strzałem, na możliwość powtórki nie należało rachować.

W obszernej bawialni, rzęsiście oświetlonej zwisającymi z powały kandelabrami, przebywały trzy osoby. Starsza niewiasta, zapewne wdowa po kasztelanie, drzemała na krześle przy kominie, młodsza coś haftowała, brodaty mąż wpięty bawił się z raczkującym na pawimencie malcem, a gdy ten się rozplakał, utulił go w ramionach. Wzorowa rodzina. Poczuliśmy ukłucie zawiści. Ten łotr bez czci i wiary miał to, czego ja nigdy się nie doczekam. Przyłożyłem oko do kolby

1 nakierowałem broń na Zborowskiego. Nie sposób było chybić. Ale nie mogłem go zabić w takiej chwili. Jakby na zawołanie pojawiła się stara sługa, zapewne niania, i zabrała małego od ojca. Chłopiec opierał się chwilę, dopóki rodzice nie pocałowali go w czoło i nie odprawili razem z piastunką. Znów zacząłem celować, ale teraz młodsza kobieta podeszła do Zborowskiego, coś powiedziała i padła mu w ramiona. Tak go zasłoniła, że nie odważyłem się strzelić. Otarłem tylko pot z czoła, sam się dziwiąc swemu zdenerwowaniu. Nareszcie niewiasta odstepowała, po czym poszła obudzić matkę, a następnie zaczęła gasić świece. Musiałem się spieszyć. Wtem, niczym w odpowiedzi na moje niewypowiedziane życzenie, Zborowski podszedł do okna, oburącz wsparł się o framugę i wpatrzył w dal, jakby wiedział, gdzie jestem, i chciał spojrzeć mi w oczy. Lepszej okazji nie mogłem mieć. Otrząsnąłem się z głupich imaginacji i dotknąłem cyngla, mierząc w środek piersi.

ROZDZIAŁ 2 | STRACHY

Mitawa, marzec 1880 roku

Przyjęty w prywatnym gabinecie księcia w jego stołecznej rezydencji, przybysz stał przed władcą, swobodną postawą podkreślając swą niezależność. Przed chwilą zdjął z głowy czarny kapelusz z szerokim rondem i wykonał coś na kształt ukłonu, ale było to jego jedyne ustępstwo na rzecz dworskiej etykiety. Reinhold Kettler znalazł swą wartość, cenił się i umiał zmusić innych, nawet bardzo wysoko postawionych, do poszanowania swej osoby. Nie myszkował wzrokiem dookoła, a mimo to jego czujnemu spojrzeniu nic nie umknęło. Ani kosztowne acz gustowne wyposażenie komnaty, ani widoczne zakłopotanie starego księcia.

- Doszły mnie słuchy, mój panie, iż masz czelność podawać się za naszego brata, czy też syna - rzekł w końcu władca. Przez dłuższą chwilę taksowali się wzrokiem, ale to on pierwszy odwrócił wzrok, nie mogąc znieść nieruchomego spojrzenia czerwonych jak u królika oczu albinosa.

Gotthard.von Kettler jeszcze przed dwudziestu laty był ostatnim wielkim mistrzem bratniego i sprzymierzonego ongiś z krzyżakami Zakonu Kawalerów Mieczowych, zwanego też Zakonem Inflanckim. Zagrożony przez Moskwę, Szwecję i Danię schronił się pod opiekę Rzeczypospolitej, oddając jej swoje państwo i składając hołd lenny Zygmuntowi Augustowi. Zakon sekularyzowano, kraj przyjął wyznanie luterzańskie, a Kettler został pierwszym księciem wydzielonego z Inflant księstwa Kurlandii i Semigalii, ze stolicą w Mitawie. Niedawno złożył hołd lenny Stefanowi Batoremu, ciągnącemu pod Połock przeciw Moskalom.

- Bo nim jestem - odparł przybysz spokojnie.
- Mniemasz, że nie znamy naszych braci? - książę uśmiechnął się krzywo.

75

- Synem - uściślił tamten niewzruszony. - Pamiętasz, książę, pewną piękną indygenkę o włosach jak len i chabrowych oczach? To była moja matka. Po kądzieli poślednia potomkini Lammekinusa, ostatniego księcia Liwów i Kuronów.

W XIII wieku Lammekinus uległ przeważającym siłom Kawalerów Mieczowych, od tej pory jedynych władców Livlandu, zwanego przez Polaków Inflantami. Sześćdziesięcioletni Gotthard Kettler nagle cofnął się pamięcią o czterdzieści lat, kiedy piękny i młody przybył na te ziemie z rodzinnej Westfalii, by przystąpić do Kawalerów Mieczowych. Przepelniony szczytnymi ideałami złożył śluby zakonne, lecz nie potrafił się oprzeć wdziękowi pewnej dzierlatki o niezwykłej urodzie... »

- Nie wiedziałem, że była brzemienna - pozbywszy się nagle monarszej wyniosłości, odparł wbrew woli tonem, w którym brzmiała chęć usprawiedliwienia się. - Nic mi nie mówiąc, zniknęła nagle. Nigdy jej nie odnalazłem, choć szukałem wiele lat...

- A co by było, gdyby została? Złamałbyś śluby zakonne i ożenił się z nią? - przerwał mu albinos sarkastycznie.

Książę znów nie wytrzymał jego lodowatego spojrzenia i spuścił wzrok.

- Nie wiem - skłamał po chwili. - Co się z nią stało?
- Zabili ją Moskale. A ja, zarówno po ojcu, jak i po matce prawowity dziedzic tej ziemi, chowałem się w przytułku.
- Zamierzasz upomnieć się o swoje prawa? - zapytał książę, tym razem badawczo spoglądając w oczy przybysza i po raz pierwszy wytrzymując jego kłujący wzrok.
- Gdybym chciał, dawno bym to uczynił. A ty co zamierzasz, zgładzić mnie? Po to zostałem wezwany?
- Czy w takim razie dawałbym ci list żelazny? I podejmował w cztery oczy? - pominął drobiazg, że najpierw dokładnie zrewidowano albinosa, odbierając mu istny arsenał (a i tak nie zauważając płaskiego noża ukrytego w cholewie), a teraz czterech najsprawniejszych gwardzistów gotowych do interwencji czekało za drzwiami. -Z drugiej strony nie mogę cię uznać za naturalnego syna. Pomijając wszystko inne, nie z twoją reputacją. Sam to chyba pojmujesz.

- Czego zatem chcesz?

1 Dzisiejsza Łotwa.

76

Książę pogładził siwą brodę i zabębnił palcami po oparciu krzesła.

- Wezwałem cię, bowiem byłem ciekaw, jak wygląda człek używający naszego rodowego nazwiska i parający się ponoć, hm, dość osobliwą profesją... - Reinhold Kettler był najemnym zabójcą o międzynarodowej sławie. - Ale przede wszystkim bohater spod Dyneburga i Wenden, o którym uczyniło się głośno w całym kraju.

W lecie 1577 roku wojska moskiewskie, korzystając z kłopotów Batorego ze zbuntowanym Gdańskiem i łamiąc rozejm słusznie nazwany „słomianym”, zaatakowały Inflanty. Wspierał ich marionetkowy uzurpator, książę holsztyński Magnus, brat króla Danii, „jednooki

pijaczyna" i odpalony zalotnik Anny Jagiellonki, szumnie tytułujący się „królem Liwonii”, któremu załogi twierdz inflanckich poddawały się chętniej niż okrutnym Moskalom. W krótkim czasie armia moskiewska, dowodzona osobiście przez samego Iwana IV Groźnego, zajęła aż dwadzieścia siedem zamków i przesunęła granicę po Dźwinę. Ale już pod koniec roku i w pierwszej połowie następnego Polacy, Litwini i Inflantczycy odzyskali siedemnaście zamków, w tym dwie ważne twierdze: Dyneburg i Wenden alias Kieś. Obie dzięki Reinholdowi Kettlerowi, który pozując na kosmopolitycznego internacjonala, w głębi duszy i chyba niespodzianie dla samego siebie okazał się patriotą i przybył do Inflant natychmiast po wybuchu wojny. To on doradził Wilhelmowi Platerowi, by zgłodniałym Moskalom w obleżonym Dyneburgu podarować żywność i beczkę mocnej gorzałki. Spitym jak bele wrogom bez trudu odebrano twierdzę. On też pod Wenden przekupił miejscowego wieśniaka, który zdążając na targ, zrobił w wosku odcisk klucza do głównej bramy, po czym Kettler zlecił wykonanie kopii, zaniósł ją rotmistrzowi Maciejowi Dembińskiemu i podsunął mu pomysł szturmowania podczas prawosławnego święta. Atak zakończył się sukcesem. Kiedy zaś w 1579 roku Batory gromił Moskali pod Połockiem, nie zabrakło tam także Reinholda Kettlera, choć jak zawsze nie rzucał się w oczy, nie należąc do żadnego oddziału, i niczym samotny wilk prowadził wojnę na swój własny sposób.

Niewzruszony albinos milczał, więc Gotthard Kettler ciągnął dalej:

- Potrzebuję kogoś takiego jak ty. Moi legalni synowie są zbyt młodzi - ożeniony z Anną Meklemburską Kettler miał dwóch synów, jedenastoletniego Fryderyka i sześciolatniego Wilhelma - a do nikogo

77

t. r _

Książę pogładził siwą brodę i zabębnił palcami po oparciu krzesła.

- Wezwałem cię, bowiem byłem ciekaw, jak wygląda człek używający naszego rodowego nazwiska i parający się ponoć, hm, dość osobliwą profesją... - Reinhold Kettler był najemnym zabójcą o międzynarodowej sławie. - Ale przede wszystkim bohater spod Dyneburga i Wenden, o którym uczyniło się głośno w całym kraju.

W lecie 1577 roku wojska moskiewskie, korzystając z kłopotów Batorego ze zbuntowanym Gdańskiem i łamiąc rozejm słusznie nazwany „słomianym”, zaatakowały Inflanty. Wspierał ich marionetkowy uzurpator, książę holsztyński Magnus, brat króla Danii, „jednooki pijaczyna" i odpalony zalotnik Anny Jagiellonki, szumnie tytułujący się „królem Liwonii”, któremu załogi twierdz inflanckich poddawały się chętniej niż okrutnym Moskalom. W krótkim czasie armia moskiewska, dowodzona osobiście przez samego Iwana IV Groźnego, zajęła aż dwadzieścia siedem zamków i przesunęła granicę po Dźwinę. Ale już pod koniec roku i w pierwszej połowie następnego Polacy, Litwini i Inflantczycy odzyskali siedemnaście zamków, w tym dwie ważne twierdze: Dyneburg i Wenden alias Kieś. Obie dzięki Reinholdowi Kettlerowi, który pozując na kosmopolitycznego internacjonala, w głębi duszy i chyba niespodzianie dla samego siebie okazał się patriotą i przybył do Inflant natychmiast po wybuchu wojny. To on doradził Wilhelmowi Platerowi, by zgłodniałym Moskalom w obleżonym Dyneburgu podarować żywność i beczkę mocnej gorzałki. Spitym jak bele wrogom bez trudu odebrano twierdzę. On też pod Wenden przekupił miejscowego wieśniaka, który zdążając na targ, zrobił w wosku odcisk klucza do głównej bramy, po czym Kettler zlecił wykonanie kopii, zaniósł ją rotmistrzowi Maciejowi Dembińskiemu i podsunął mu pomysł szturmowania podczas prawosławnego święta. Atak zakończył się sukcesem. Kiedy zaś w 1579 roku Batory gromił Moskali pod Połockiem, nie zabrakło tam także Reinholda Kettlera, choć jak zawsze nie rzucał się w oczy, nie należąc do żadnego oddziału, i niczym samotny wilk prowadził wojnę na swój własny sposób.

Niewzruszony albinos milczał, więc Gotthard Kettler ciągnął dalej:

- Potrzebuję kogoś takiego jak ty. Moi legalni synowie są zbyt

młodzi - ożeniony z Anną Meklemburską Kettler miał dwóch synów, jedenastoletniego Fryderyka i sześciolatniego Wilhelma - a do nikogo

Książę pogładził siwą brodę i zabębnił palcami po oparciu krzesła.

- Wezwałem cię, bowiem byłem ciekaw, jak wygląda człek używający naszego rodowego nazwiska i parający się ponoć, hm, dość osobliwą profesją... - Reinhold Kettler był najemnym zabójcą o międzynarodowej sławie. - Ale przede wszystkim bohater spod Dyneburga i Wenden, o którym uczyniło się głośno w całym kraju.

W lecie 1577 roku wojska moskiewskie, korzystając z kłopotów Batorego ze zbuntowanym Gdańskiem i łamiąc rozejm słusznie nazwany „słomianym”, zaatakowały Inflanty. Wspierał ich marionetkowy uzurpator, książę holsztyński Magnus, brat króla Danii, „jednooki pijaczyna” i odpalony zalotnik Anny Jagiellonki, szumnie tytułujący się „królem Liwonii”, któremu załogi twierdz inflanckich poddawały się chętniej niż okrutnym Moskalom. W krótkim czasie armia moskiewska, dowodzona osobiście przez samego Iwana IV Groźnego, zajęła aż dwadzieścia siedem zamków i przesunęła granicę po Dźwinę. Ale już pod koniec roku i w pierwszej połowie następnego Polacy, Litwini i Inflantczycy odzyskali siedemnaście zamków, w tym dwie ważne twierdze: Dyneburg i Wenden alias Kieś. Obie dzięki Reinholdowi Kettlerowi, który pozując na kosmopolitycznego internacjonala, w głębi duszy i chyba niespodzianie dla samego siebie okazał się patriotą i przybył do Inflant natychmiast po wybuchu wojny. To on doradził Wilhelmowi Platerowi, by zgłodniałym Moskalom w obleżonym Dyneburgu podarować żywność i beczkę mocnej gorzałki. Spitym jak bele wrogom bez trudu odebrano twierdzę. On też pod Wenden przekupił miejscowego wieśniaka, który zdążając na targ, zrobił w wosku odcisk klucza do głównej bramy, po czym Kettler zlecił wykonanie kopii, zaniósł ją rotmistrzowi Maciejowi Dembińskiemu i podsunął mu pomysł szturm pod czas prawosławnego święta. Atak zakończył się sukcesem. Kiedy zaś w 1579 roku Batory gromił Moskali pod Połockiem, nie zabrakło tam także Reinholda Kettlera, choć jak zawsze nie rzucał się w oczy, nie należąc do żadnego oddziału, i niczym samotny wilk prowadził wojnę na swój własny sposób.

Niewzruszony albinos milczał, więc Gotthard Kettler ciągnął dalej:

- Potrzebuję kogoś takiego jak ty. Moi legalni synowie są zbyt młodzi - ożeniony z Anną Meklemburską Kettler miał dwóch synów, jedenastoletniego Fryderyka i sześciolatniego Wilhelma - a do nikogo

77

innego nie mam zaufania, bo nie wiem, kogo z moich ludzi udało się przekupić Iwanowi. Wiem za to od swoich szpiegów, że w otoczeniu króla polskiego jest zdrajca, który werbuje na moskiewską stronę najprzedniejszych magnatów polskich i litewskich. Dam ci pismo do Batorego. Chcę, byś go ostrzegł i pomógł mu wysledzić zdrajcę. A przede wszystkim, byś czuwał nad moim synowcem Wilhelmem, którego posyłam z posiłkami dla króla. Batory już jest na Litwie i szykuje się do nowej wojny. Jeśli ją przegra, z Kurlandią koniec. Czy podejmiesz się tego zadania, oczywiście incognito!

Najemnik błysnął czerwonym okiem i uśmiechnął ledwo zauważalnie.

- Za ile? - złośliwie chciał dodać: ojcz, lecz powstrzymał się w ostatniej chwili.

Kiedyś marzył, by móc to uczynić, lecz z czasem wyleczył się nie tylko z tego, ale i wielu innych ludzkich uczuć.

Warszawa, kwiecień 1580 roku

Dopiero od niedawna Anna Jagiellonka dysponowała środkami na godne życie i mogła popłacić zaległości dworzanom i służbie. Gros tej sumy zagarnęli Żalińscy, ale nareszcie skończył się niedostatek niemal od zawsze towarzyszący Jagiellonce. Zawsze marzyła o władzy, lecz to akurat nie było jej dane. Janka także odczuła na własnej skórze zmianę sytuacji, bo jako ulubienicy królowej nie zbywało jej odtąd na niczym.

Zarządzanie Mazowszem pozwoliło królowej zabić nudę. Okazała się przy tym całkiem niezłą gospodynią, nieodrodną córką „dobrej rzędziuchy” Bony. Najchętniej przebywała w Jazdowie¹, w obszernym, choć drewnianym zamku obok starego zamczyska Piastów mazowieckich. Ul czuła się najlepiej. Jej oczkiem w głowie stały się jazdowskie ogrody zaplanowane przez Bonę na wiosną modłę. Anna sprowadziła doń różne zioła i krzewy, zainstalowała figarnię, inspekty, cieplarnię, rozarium, obsadziła cieniste alejki, kazała poustawiać altany, zainstalowała fontanny, sadzawki pełne ryb, a na

1 Dziś Ujazdów.

78

skraju ogrodów nawet zwierzyniec z żubrami, turami, jeleniami, sarnami i różnym ptactwem, którego treli lubiła słuchać. Było to również ulubione miejsce Janki i czasem tu uciekała, korzystając z wolnej chwili, by odpocząć od dworskiego zgiełku.

Warszawa także wiele Jagiellonce zawdzięczała. Rozbudowano zamek królewski.

Dokończono budowę sławnego mostu Warszawskiego, a całe miasto rozrastało się i piękniało, liczbą mieszkańców szybko doganiając Kraków. Królowa trzymała dzieci kupieckie do chrztu, nie pozwalała szlachcie naruszać praw mieszczan, zachodziła do składów oglądać próbki towarów sprowadzanych z zagranicy. Często w zakupach towarzyszyła jej Janka, wręcz się tego dopraszając. Nie dlatego, by zakupy ją szczególnie podniecały, ale dlatego, że stanowiły okazję do wymknięcia się z dusznej atmosfery dworu. Bowiem Anna stale pogrążała się też w dewocji. Pobożność jednak nie polepszyła jej przykrego charakteru. Janka słyszała, jak udręczony sekretarz królowej, Patrycy Nidecki, jęknął kiedyś: „Kat ci mi tę godność dał!”. I nie dziwota, bo z królową coraz trudniej było wytrzymać. Nastroje zmieniała z godziny na godzinę. Znów jak przed laty narzekała na serce, cierpiała na bóle głowy i oczu, panikując, że osłepnie, w czym było więcej hipochondrii niż dolegliwości.

Wszystko to wyczerpywało nerwy Janki, już i tak dość podkopane osobistymi troskami. Nie raz była bliska wymówienia służby i zawsze gryzła się w język. Bo niby dokąd miałyby pójść? Pewnie, mogłyby zawsze wrócić do Krakowa, do ciotki Balcerowej, która przyjęłaby ją z otwartymi ramionami. Ale po co? Żeby co dzień widzieć Kacpra i wciąż na nowo rozdrapywać stare rany? To byłoby ponad jej wytrzymałość. W każdej chwili mogła też wyjść za mąż, dobrych partii nie brakowało i choć każdy starający odchodził z re-kuzą jak niepyszny, mimo to wciąż pojawiali się nowi. Ale czasy, gdy bawiły ją flirty, już minęły. Od dawna wiedziała, czego chce, a ponieważ nie mogła tego dostać, chodziła markotna, z najwyższym wysiłkiem zmuszając się do okazywania pogodnego oblicza.

Tego dnia czuła, że dłużej nie wytrzyma. Dodatkowo przygnębiały ją nadchodzące święta Wielkiej Nocy, kolejne spędzane bez najbliższych. Musiała coś zrobić ze swoim życiem, i to już. Wtem zapukano do jej izby i usłyszała głos ochmistrzyni:

79

- Umyślny do waćpanny. Aż z Czerwonej Rusi. Z listem.

„Z Rusi?“, pomyślała zdziwiona, idąc otworzyć. Za drzwiami nie było jednak nikogo oprócz pani starej.

- Odesłałam chłopca do czeladnej, bo wielce zdrożon - sumito-wała się Żalińska, równocześnie usiłując przewiercić zalakowaną kartę wścibskimi oczyma. - Będzie tam czekał na respons.

- Dziękuję - odparła Janka, odebrała pismo i bezceremonialnie zatrasnęła drzwi przed nosem ochmistrzyni.

Nadawca i pieczęcie dużo jej powiedziały, jednak treść wprawiła w szczerze zdumienie. Zupełnie jakby sama opatrność wskazała jej wyjście ze ślepego zaułka, w którym tkwiła uwieczona? Nie bardzo jednak chciało jej się wierzyć w dobre intencje autora listu. Długo siedziała z otwartym pismem na kolanach, to czytając któryś raz z rzędu, to coś w sobie rozważając, nareszcie szepnęła do siebie:

- A właściwie czemu nie?

- I tak to się odbyło, wysoki sądzie. W świetle tego co usłyszeliśmy od pogrążonego w żalobie imć Strasza, nie ulega dubium, iż przytomny sam, urodzony Jan Morawicki z Morawicy, bez żadnej ku temu przyczyny świętej pamięci sławetną Helenę Straszową, mieszkankę krakowską, zastrzelił, zabił i do śmierci przywiódł. Tą oto strzelbą, na której są jego znaki i którą znaleziono na miejscu zbrodni. Tedy upraszam wasze miłości, aby w zgodzie z prawem boskim i miejskim był za to pokaran na gardle.

Prokurator potoczył po zebranych spojrzeniem i odłożywszy rusznicę, usiadł, dając znak woźnemu. Ponieważ zbrodnia została popełniona przez szlachcica na terenie miasta, w zgodzie ze statutami z lat 1520 i 1538 orzekał sąd mieszany, iudicium mixtum compositum. Dlatego w Izbie Pańskiej na ratuszu zebrali się przedstawiciele obu urzędów: grodzkiego reprezentującego szlachtę i radzieckiego występującego w imieniu miasta.

Nastąpiła praesentatio cadaveris. Na gest oskarżyciela woźny otworzył drzwi izby i wniesiono do środka marylę, na których spoczywała ofiara zbrodni. Wszyscy wstali z miejsc, by lepiej widzieć nieboszczkę, podczas gdy sławny jurysta Bartłomiej Groicki jako zarazem podwójt sądzie miejskim, instygator miejski i pomocnik oskarżyciela prezentował ranę oraz sucho i rzeczowo omawiał przyczynę zgonu. Nie zapomniał wspomnieć o błogosławionym

80

stanie zabitej. Gdy skończył, oczy obecnych spoczęły na sprawcy zabójstwa, który ze spuszczonej oczyma stał w metalowej klatce ustawionej w kącie izby. Nawet w spojrzeniach szlachty brak było sympatii dla oskarżonego, zwłaszcza gdy w uszy wwiercał im się szloch i zawrodożenie męża zmarłej. W końcu przewodniczący sądu kazał wynieść zwłoki, a prokurator wezwał świadków zbrodni.

Ślusarze: Jerzy, Maciej Bielicki, Błażek z Torunia, Jakub Toruń-czyk, Maciej Kaszyl i Maciej Kaski zeznali, że dobrze widzieli moment, jak przed gospodę zajechał oskarżony, jak zawarto przed nim drzwi, jak sięgnął po rusznicę i wystrzelił do okna, w którym widać było karczmarzową.

- Jakem jeno ujrzał, jak owa pada, zaraz zem kopnął się ku gospodzie, drzwi wyłomił i pobiegł na górę ratować imć Straszową, aleć na rękach mi umarła - zeznał pod przysięgą Jerzy.

- Słyszał zem dobrze, jako zaraz po strzale nieboszczka zakrzyknęła strasznym głosem: Przebóg, już mnie zabił! - dodał Maciej Kaszyl.

- Hiż po tym przed karczmę wyleciał Strasz, wołając: Przebóg, zabił, dzierzcie go! - uzupełnił kuśnierz Augustyn Warszelan.

- Na to pan Morawicki spiął konia i pognął ku Rynkowi z okrzykiem: Zabiłem, psie niecnotliwy! - dokończył Jakub Toruńczyk.

Wezwano z kolei innych świadków, którzy jednak naocznie zbrodni nie widzieli i mogli jedynie przekazać to, co usłyszeli od drugich. Teraz wystąpili woźni miejscy, Jan Ćwikła i Fryderyk Krzysztof Czyżowski oraz szlachcic Jerzy Pirecki, powiadając, co następuje: '

- Byliśmy przy tym, kiedy pana Morawickiego po aresztowaniu w kamienicy Szarej z kabatów ratusznych na zamek przywieziono. Gdy jego miłość pan podstarości pytał onego w onczas, tenże zeznał, iż „strzeliłem, niechcącym zabił, jeśli zabił, tom nie miał żadnego na nie gniewu" i tamże prosił o jednanie i dawał sześćset złotych, i to nami tamże zaraz jest oświadczone.

Na to oskarżyciel przypomniał, iż naoczny iściec, Maciej Bielicki, zeznał pod przysięgą, że pan Morawicki wprzód celował w zamknięte drzwi gospody i dopiero widząc w oknie Straszową, uniósł lufę strzelby i wypalił w jej kierunku. Ergo - wiedział, do kogo strzela, i liczył się z możliwością zabójstwa. Jednak jeden z obrońców, Jan Pawłowski, mimo to próbował temu zaprzeczyć:

81

*

- Przypadek to był czysty, mości sędziowie, nic innego, a już z pewnością nie umyślnie zabójstwo. Obwiniony szczerze tego żałuje i jest gotów w każdej chwili wypłacić imię Straszowi zadośćuczynienie w kwocie, jaką wysoki sąd zechce ustalić, o ile mąż ofiary odstąpi od oskarżenia.

Była taka możliwość, wcale często spotykana. Krewni ofiary składali delację, bo musieli, jeśli sami nie mieli być uznani za współwinnych, a zaraz potem jednali się ze sprawcą za stosowną kwotę, zaś sąd umarzał sprawę.

- I owszem, odstąpię, Bóg mi świadkiem, jak tylko pan Morawicki przywróci do życia mnie żonę, a dziatkom moim małym macierz! -zawołał Strasz i sprawa polubownego załatwienia sprawy upadła.

- Wysoki sądzie, upraszam o odroczenie rozprawy, gdyż przedstawieni iście, jako ludzie podłej kondycji, nie są wiarygodni, ich zeznania przeczą sobie wzajem, a obwiniony nie mógł w tak krótkim czasie należycie przysposobić się do obrony. A ponadto to nie pan Morawicki zabił, jeno sługa jego! - spróbował zmienić taktykę obrony drugi z adwokatów, Bartłomiej Lisowski.

Na tak jawną i ewidentną nieprawdę gruchnął śmiech w całej izbie i rozległy się krzyki:

- Leż wierutny!
- Zabił Morawicki i basta!
- Dość certowania!
- Na gardle go pokarać!
- Na pień z nim! Woźni musieli uspokajać zgromadzonych.

Ale zbrodniarz podniósł głowę i potoczył wzrokiem po zebranych.

Nie było w nim żadnej skruchy. Z oczu wyzierało mu zuchwalstwo, gęba wykrzywiła się w ironicznym uśmiešku, jakby chciał rzucić obecnym wyzwanie: „Diabła prędeż zjecie, nędzni łyczkowie, niżli mnie katu oddacie. Ujadajcie więc sobie do woli, i tak będziecie musieli mnie wypuścić”.

Kiedy się uspokoiło, Groicki przywołał mnie do siebie i powiedział:

- Wysoki sądzie! Oto sławetny Kacper Ryx, inwestygator królewski, który na mocy swego urzędu na własną rękę przeprowadził inwestygację. Doszedł on do ciekawych konkluzji, które zamierzam teraz wykorzystać, poddając obwinionego indagacji, aby obalić niedorzeczne twierdzenie imię Lisowskiego.

82

Wszyscy popatrzyli na mnie z ciekawością, zaś Lisowski zerwał się z miejsca i zawołał:

- Protestuję!

Burmistrz Urbankowicz jako przewodniczący sądu radzieckiego uciał krótko:

- Oddałam protest. Hiszę bowiem, że wszystkim przytomnym zależy na wyświetleniu prawdy. Mości Groicki, proszę kontynuować.

- Panie Morawicki - zaczął prawnik - gdzie waszmość stałeś, kiedy strzelono do jejmości Straszowej?

- Na wprost karczmy, po drugiej stronie ulicy - odparł swobodnie oskarżony, wciąż uśmiechnięty.

- Na burku czy przecie?

- Na burku, byłem konno.
- Widzieliście w oknie poszkodowaną?
- Widziałem. Stała dokładnie na wprost mnie.
- Byliście uzbrojeni?
- Miałem przy sobie strzelbę, ale jej nie użył. Klnę się szlacheckim słowem.
- Świadkowie utrzymują co innego.
- Tedy łą jak psy - skrzywił się wzgardliwie.
- Ale przecież przed obliczem imię pana podstarościę przyznałeś się wać do nieumyślnego zabójstwa?

Morawicki zerknął na Kowalewskiego, lecz podstarości spoglądał nań z taką samą wzdardą, jak ten na mieszczan, więc szybko uciekł z oczyma.

- Nie wiem, com mówił podczas przesłuchania. Byłem bardzo wstrząśnięty i mogłem gadać od rzeczy. Jeślim się przyznał, tedy teraz to odwołuję. Strzelił jeden z moich czworga sług, pewnie broń mu wypadkiem wypaliła, gdy dobijali się do zamkniętych drzwi.
- Który?
- Nie wiem. Nie widziałem.
- Ile razy strzelono?
- Tylko raz.
- Na pewno?
- Tak.
- Czy któryś ze sług stał wówczas przy waści?
- Byłem sam. Wszyscy czterej szturmowali drzwi.

83

Groicki wziął ze stołu strzelbę i nakazał woźnemu Ćwikle okazać ją oskarżonemu.

- Mości Morawicki, poznajecie tę flintę?
- Morawicki udał, że ogląda ją dokładnie.
- Piękna ptaszniczka. Podobna do mojej.
 - Tylko podobna? Przyjrzyjcie się uważnie.
 - Podobna, lecz nie moja.
 - Doprawdy? Jak tedy wytłumaczycie wasze inicjały i herb na kolbie?

Skinął na woźnego, by odebrał strzelbę i puścił w obieg. Kiedy dotarła do mnie, zaraz oddałem ją sąsiadowi, bowiem naoglądałem się jej już wystarczająco. Była to lekka strzelba myśliwska do łowów na stojące ptactwo, tak zwana cieszyńska, gdyż wytwarzali ją w Cieszynie rusznikarze polscy, niemieccy i czescy. Tę akurat wykonał i sygnował Georg Kurland, a jakiś zręczny szyftarz ozdobił kolbę przepięknymi arabeskowymi inkrustacjami z rogu, macicy perłowej i mosiądzu z wrytymi na nich scenkami łowieckimi. Na łożu z jednej strony widniała podobizna świętego Jerzego zabijającego smoka, z drugiej inicjały J.M. i herb Topór. Kabłąk pod cynglem miał wręby na trzy palce. Łoże i kolba były niesłychanie smukłe i delikatne, stąd z francuska nazywano je „sarnimi nóżkami”, pied--de-biche (wiedziałem to wszystko od szwagra Michała), dlatego sprężynę zamka kołowego umieszczano na wierzchu. Aż dziw, że to delikatne cacko nie połamało się, upadając na burk.

W izbie zaszumiało, kiedy rozpoznano inicjały i herb obwinionego. Tymczasem drugi z obrońców, Pawłowski, żywo konferował przez kraty z Morawickim, po czym poprosił o głos.

- Wysoki sędzie! Mój klient w zdenerwowaniu omylił się, lecz teraz gotów jest przyznać, iż rzeczona strzelba należy do niego. Zginęła mu jednak w niewyjaśnionych okolicznościach.

- Za to my wiemy w jakich i możemy waszmościów oświecić - zimno odparł Groicki. - Mości Ryksie...

Zachęcony gestem wstałem i rzekłem, głośno i wyraźnie:

- Klnę się na Boga, że tę, a nie inną strzelbę barwierz Kondrat podniósł z rynsztoka, gdy wypadła z ręki panu Morawickiemu, na co jest wielu naocznych iściców, po czym na moje polecenie natychmiast oddał imię Groickiemu oraz złożył stosowne zeznanie. Co więcej, jestem gotów udowodnić, że to właśnie z tej flinty wyleciała

84

kula, która zabiła jejmość Straszową, zaś strzelał nie kto inny, jeno pan Morawicki. Spodziewałem się hałasów i okrzyków zdumienia z jednej i protestów z drugiej strony, tymczasem po moim oświadczeniu zapanowała cisza jak makiem zasiał. Ciągnąłem zatem:

- Primo: rozstaw między raną wlotową a wylotową wynosi około 45 stopni, co potwierdził szanowany medyk krakowski, pater Roch ze szpitala Świętego Ducha w przytomności instygatora. Kula weszła pod sercem i ominąwszy po drodze kości wyszła grzbietem. Taki strzał mogła oddać jedynie osoba stojąca na ulicy na wprost okna karczmy. Dokonałem symulacji i stwierdziłem bez żadnego dubium, że aby trafić osobę wyglądającą przez okno, zabójca musiał unieść lufę strzelby mniej więcej na czterdzieści pięć stopni w górę. A ponieważ, jak sam wyznał, tylko on stał w owym miejscu, ergo zabójcą jest pan Morawicki.

Teraz dopiero buchnęła wrzawa, przez którą przedarł się głos Lisickiego:

- Protestuję! Pan Morawicki wyznał wszak także, iż to któremuś z jego ludzi broń przypadkiem wypaliła!

- Niemożliwe! - odparowałem z mocą. - Wszyscy czterej słudzy pana Morawickiego szturmowali drzwi do karczmy. W żaden sposób wystrzelona przez któregokolwiek z nich kula nie mogła ugodzić osoby stojącej w oknie.

- Chyba żeby ta osoba się wychyliła - wtrącił szybko kauzyperda.

- Przez zamknięte okno? - zadzwilem. - Kula zbiła szybę, więc musiało być zamknięte.

- Było otwarte! - krzyknął oskarżony. - Pamiętam dobrze!

- W zimie? - sarknąłem, patrząc na niego z obrzydzeniem. - No dobrze, powiedzmy, że szybę wybił przypadkiem ktoś z domowników albo padając, sama uszkodzona. Założmy też, że będąc brzemienną, poczuła się źle i zapragnęła zaczerpnąć świeżego powietrza. I tak nie dałaby rady się wychylić, bowiem parapet jest zbyt szeroki. Sprawdziłem.

Z przyjemnością spostrzegłem, że uśmiezek z jego gęby zniknął, a twarz powlekła się błądźcą.

- Zgoda, kula wypadkiem wystrzelona przez któregoś sługę nie mogła bezpośrednio ugodzić nieboszczki, ale mogła zrykoszetować od czegokolwiek! - zawołał tryumfalnie Pawłowski.

85

- Nie mogła - zamiast mnie stanowczo odezwał się Groicki. -I zaraz to wykazemy. Obaj woźni na jego polecenie przynieśli z kąta izby złożone tam cztery pistolety, dwie rusznice i jeden garłacz vel szturmak. Do każdej broni przywiązany był woreczek.

- Panowie sędziowie - powiedział Groicki. - Oto oręż odebrany pacholkom pana Morawickiego. Na życzenie imię Ryksa w mojej przytomności został przestrzelany na kabacie ratusznym. W tych saszczkach zaś znajdują się zebrane potem kule. Obejrzyjcie je teraz dokładnie, bowiem za chwilę imię Ryx udowodni, że żadna z nich nie mogła zabić sławetnej Straszowej.

Z wielką ciekawością obecni przyglądali się kawałkom ołowiu, które im posłano, co trwało ponad kwadrans. Potem znów zabrałem głos.

- Każdy, kto choć kęsiek zna się na broni palnej, od razu spostrzeże, że wszystkie kule pochodzą z broni gładkolufowej. Garla-cza zaś w ogóle nie trzeba brać pod uwagę, gdyż strzela siekańcami alias gлотami, zaś Straszową zabiła kula. Co prawda mój szwagier Michał,

poważany rusznikarz krakowski, utrzymuje, że kula z każdej broni jest inna, bo nie ma dwóch identycznych luf, tylko dyletanci nie widzą różnicy, ale na szczęście nie musimy tego sprawdzać ani wzywać znawców. Bowiem kula, która zabiła nieszczęsną Helenę, różni się od pozostałych na pierwszy rzut oka. Oto ona - sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem chusteczkę z zawiniętym w nią kawałkiem ołowiu. - Znalazłem ją na miejscu zbrodni. Są jeszcze na niej ślady krwi.

Podczas gdy pochylali się nad nią ze wzmożoną uwagą i porównywali ją z poprzednimi, ciągnąłem:

- Zauważcie rysy, czy też jakby karby na ołowiu. Nie mają ich pozostałe kule, ponieważ ta, która zabiła Straszową, została wystrzelona z lufy nagwintowanej. A taką z wchodzących w grę strzelb ma jedynie ptaszniczka pana Morawickiego. Panie Groicki...

Jurysta podał woźnemu ostatni woreczek. Zerknąłem na oskarżonego. Pot ciurkiem lał mu się po twarzy. Po szyderyczym uśmiešku nie zostało nawet wspomnienie. Dobiłem go bezlitośnie:

- W ostatnim sączku są kule wystrzelone na kabacie z cieszynki obwinionego. Bez trudu spostrzeżecie, że wyglądają identycznie jak ta, którą wam pokazałem. Dodam, że w porzuconej przez pana

86

Morawickiego na ulicy strzelbie nie było kuli, zaś lufa śmierdziała świeżo spalonym prochem. Gdyby zaś ktoś wypomniał, iż ptaszniczka to broń na drobną zwierzynę, powiem że owszem, lecz gwintowana lufa nadaje kuli szybkość rekompensującą mały rozmiar, zaś strzał został oddany zaledwie z dwudziestu kroków, zatem kula bez trudu przebiła ludzkie ciało. Nie trafiła w kość i nie doleciała do ściany, przez co szczęśliwie nie uległa odkształceniu i jako niezbity dowód może teraz obrócić się przeciw zabójcy. A jeśli wysoki sąd jeszcze żywi jakoweś dubium w kwestii winy pana Morawickiego, tedy doprawdy nie wiem, jakich więcej dowodów potrzeba.

Po tym oświadczeniu znów zaszumiało jak w ulu, po czym ucichło.

- A ja powtarzam, że nie pan Morawicki, lecz sługa jego zbrodnię popełnił. Przy tym obstawiamy i gotowi jesteśmy na to zaprezentować świadectwo ludzi dobrej sławy, jeno czasu nam trzeba. Tedy wnioskuje o odroczenie rozprawy, gdyż zamierzamy odwołać się do majestatu królewskiego! - oznajmił niezrażony Lisowski, przerywając ciszę.

Podczas gdy sąd się naradzał, wyszliśmy z hutmanem Trojanem do sieni, rozprostować nasze obolałe kości.

- Wyśmienita robota, Kacper. Winszuję. Przygwoździłeś łotra aż miło. Ale nie będzie zgody. Panowie szlachta, nie bacząc na oczywiste fakty, jak zawsze staną po stronie urodzonego - powiedział hutman z goryczą.

- Tedy pójdzie remisja do króla - odparłem.

Sąd mieszany musiał wyrokować jednomyślnie, w przeciwnym razie należało zwrócić się do króla z wnioskiem o rozstrzygnięcie. Ów wniosek zwano remisją. Niestety, królewskie rozsądzenie, informacja, w sporach szlachty z mieszczaństwem niemal zawsze bywało korzystne dla tych pierwszych.

- I co z tego? Sprawa się odwlecze Bóg wie na jak długo, a królewska informacja i tak uwolni Morawickiego od winy - hutman nie krył goryczy. - Toć to nie byle szlachetka, ale Toporczyk!

- Samiście powiadali, hutmanie, że król Batory to pan sprawiedliwy - przypomniałem mu. - Tedy jest nadzieja.

- Może i tak - przyznał. - Ale to potrwa, bo najjaśniejszego pana zajmuje teraz wojna z Moskalami. Toć właśnie po to, aby pozbyć się takich turbacji, ustanowił trybunały.

87

- Ale do trybunałów idą tylko sprawy cywilne, kryminalne zaś po staremu pod sąd królewski na sejmie - przypomniałem.

Jeszcze król Zygmunt Stary z lenistwa, w które popadł u schyłku żywota, scedował na sejm swe uprawnienia najwyższego sędziego. Od tej pory sejmy bywały zavalone sprawami sądowymi i miast skupić się na stanowieniu prawa i ważnych dla państwa kwestiach, musiały zajmować się nierzadko drobiazgiem lub czystym pieniac-twem. Przed dwoma laty król ustanowił trybunały królewskie, w Lublinie dla Małopolski i Piotrkowie dla Wielkopolski, którym odtąd przysługiwało rozpatrywanie apelacji od wyroków sądów grodzkich. Sędziami mieli być nie doktorowie praw, lecz wybrani przez ogół na czteroletnią kadencję szlachcice „godni”, bogobojni, cnotliwi, świadomi prawa i zwyczajów sądowych”, a zwłaszcza z tymi ostatnimi kondycjami różnie bywało. Szczerze rzekłszy, nie wiedziałem, co o tym sądzić, a zresztą trybunały były dla szlachty, drugim stanom zaś po staremu pozostawała możliwość odwołania się bezpośrednio do króla.

- Poza tym - ciągnął Trojan - król bawi na Litwie. Licho wie, kiedy remisja w sprawie Morawickiego dotrze do niego. To raz, a dwa: kiedy będzie miał czas ją rozpatrzyć i wydać informację. Przyjdzie nam czekać tygodnie całe, a może nawet miesiące.

- Szkoda, że nie udało się pochwycić łotra in recenti - westchnąłem, zdając sobie sprawę, że było to praktycznie niemożliwe; szlachcic zwykle nie ruszał się bez asysty i złapać go na gorącym uczynku mógł tylko ktoś odważny i jeszcze silniejszy, a na pewno nie kilku wystraszonych rękodzielników i robieńców.

- Szczęście w nieszczęściu, że sprawa nie toczy się przed sądem grodzkim, bo wtedy łotr mógłby się odprzysiąc samosiedem. Albo gdyby nieboszczka wypadła z okna, któryś ze sług Morawickiego uciąłby i zabrał jej głowę, albo zgubiliby całe ciało i byłoby po sprawie - zbrodniarze często obcinali ofiarom głowy lub ukrywali zwłoki, by uniemożliwić krewnym okazanie ciała uszkodzonego w sądzie. - A tak, da Bóg, jest jakaś nadzieja, że nie ujdzie kary.

Też ją miałem, bo nawet gdy siedmiu szlachciców fałszywie wykazywało, że złapany in flagranti morderz był niewinny, sąd mógł ich świadectwo odrzucić. Wróciliśmy do izby w sam czas, by dowiedzieć się, że tak jak się spodziewaliśmy, w wyniku rozbieżności stanowisk zdecydowano prosić króla o wydanie wyroku. Morawicki

88

wrócił do kabatów, a ja do domu. Nazajutrz towarzyszyłem ciotce na pogrzebie Straszowej, na który przyszło chyba z pół miasta. Zanim trumnę złożono do grobu, woźny sądowy zgodnie z prawem wykonał proclamatio capitis, czyli obwołanie głowy alias protesta-cję, po trzykroć domagając się kary śmierci dla zbrodniarza, który zbył niewiastę żywota. Bez dopełnienia tej formalności skazanie winowajcy byłoby niemożliwe.

Wracałem z pogrzebu w dość marnym humorze, ciągnąc za sobą nogę (to że częściej to ja ją dźwigałem, niż ona mnie niosła, też mnie irytowało; gdyby nie trzydziestoletnia zażyłość, wymieniłbym ją na nową), nie tylko z powodu nieskazania Morawickiego. Nie zastrzeliłem Zborowskiego, co najbardziej zmartwiło Niziołka, a najwięcej uradowało ciotkę Balcerową, która zaraz pobiegła do kościoła dać na mszę w mojej intencji. Jednak żadne z nich nie wiedziało, dlaczego do niczego nie przyszło. Jedyne Antoś, stary druh i mogi-lański proboszcz, do którego kierowany impulsem zaglądnąłem po nieudanym zamachu, z dala ujrawszy światełko w oknie plebanii. Najpierw się wystraszył nocnym najściem, potem, rozpoznawszy nas, ucieszył. Zdjął ze stołu dzieła świętego Tomasza z Akwinu i notatki, nad którymi ślęczał do późna, i postawił omszałą flaszkę węgryna. Po dwóch kielichach i paru pytaniach o wspólnych znajomych ciepło i mocne wino po wcześniejszej jeździe i czuwaniu zmorzyły Niziołka, który usnął z głową w ramionach opartych na stole i zachrapał donośnie.

- A Janka? - dociekał Antek. - Miał żem z dawna nadzieję, że zaprosicie mnie na swój ślub i weselisko.

- To się jej wyzbądź, bo do tego nigdy nie przyjdzie.

Poszukał mojego spojrzenia, lecz uciekłem z oczyma.

- Nie chce cię? Pytam ze szczerego serca, nie próżnej ciekawości, bo dobrze życzę wam obojgu i wiem, żeście dla się stworzeni.

- Chce, ale ja nie chcę, bo to być nie może. Ona wielka pani, córka senatorska, a ja chudopacholek, znajda bez przeszłości i przyszłości. Powiedziałem jej to.

Musiałem tak zrobić. Przywykłem jakoś do swej ułomności, a nawet potrafiłem czasem z niej żartować, lecz nie mogłem skazywać dziewczyny na żywot niegodny jej stanu, na domiar z kaleką u boku. Okropnie się zdenerwowała i urządziła mi nomen omen karczemną awanturę, po czym bez pożegnania odjechała do Warszawy

89

zagniewana. Trudno. Na pewno z czasem ułoży sobie życie na nowo. Ja nie.

- Głupiec z ciebie - rzekł surowym tonem.

- Tego nie neguję. Przybyłem tu zabić Zborowskiego i miałem go na wyciągnięcie dłoni, niemal jak ciebie teraz. Wiesz dobrze, jaki z niego łotr i jak na naszą rodzinę zawzięty. Ja zaś nie ruszyłem cyngla, bom spostrzegł, że jego żona jest brzemienna, i zobaczyłem w nim człowieka, nie bestię w ludzkiej skórze. Byłem w prawie, bo mimo glejtu to wciąż wywołaniec, na domiar nikt nie widział nas jadących tutaj, oprócz Żyda i paru kmiotków, a ich słowo nic nie znaczy. Słowem: czysta robota, dobry uczynek dla ludzkości, a na dal święty spokój. A ja skrewiłem - jednym tchem wyrzuciłem z siebie z goryczą to, co mnie nieznośnie gniotło i co musiałem komuś wyznać jak na spowiedzi, a nikt nie nadawał się do tego lepiej niż on; dlatego tu przyszedłem.

Rozlał resztę wina.

- Bo nie jesteś taki jak on. To człek ciężki, gwałtownik i niedobry pan, który dał się we znaki całej okolicy, mimo iż bywa tu rzadko. Pomnisz, jakeś przed z górą dziesięciu laty pomógł mi, gdym miał zatarg z Jankiem Grotem? Nie znaliśmy się jeszcze wówczas za dobrze, a Grot wiele znaczył i był prawie tak niebezpieczny jak Zborowski. A jednak pomogłeś mi, na nic nie zważając, tak jak potem pomagałeś drugim, często z narażeniem żywota. Wiesz, na czym polega twoja turbacja? Boś uwierzył, że w życiu należy się kierować rozumem, nie sercem...

- Jakbym słyszał cioteczkę Balcerową - przerwałem mu.

- Bo to mądra białogłowa, choć nieuczona. I życie dobrze zna. Nie zawadzi, żebyś jej czasem posłuchał. A co do Zborowskiego: patrzy na to, że szczerze on żałuje dawnych przewin i w służbie ojczyzny chce zmasać swoje grzechy. Chwalebny to zamiar i przeszkadzać mu w tym się nie godzi. Dlatego przestań się obwiniać, żeś go nie pokarał. Przecie wiem, że nie o zemstę ci idzie, lecz o sprawiedliwość. A nuż Zborowski wróci z wojny odmieniony i zemsty na was poniecha?

- Nie wierzę.

- Wówczas uczynisz, co uznasz za stosowne.

- Jeśli będę miał drugą sposobność.

Dopiłem wino.

90

- Pora na nas. Dank za wszystko.

Obudziłem Niziołka i zaczęliśmy się zbierać do wyjścia. Na pożegnanie Antek zamknął mnie w iście braterskim uścisku.

- Trzymaj się ciepło, Kacper. I przestań się zadrećcać.

- Spróbuję. Bywaj zdrów, wielebny.

- Na koniec przyjmij jeszcze dobrą radę od starego druha: porzuć dumę i pogódź się z Janką, bo inaczej zmarnujesz żywot sobie i jej.

Łatwo mu było mówić.

Dom był ciągle pod obserwacją bractwa żebraków, zatem skorzystałem z okazji, by wymknąć się z cmentarza boczną furtą i zaglądnąć do Izaaka. Kahał prosił mnie o spotkanie, więc umówiliśmy się na następny dzień wedle brony Grodzkiej, dokąd mieliśmy dotrzeć każdy z osobna.

Wyszedłem trochę wcześniej, bo miałem do przebycia kęs drogi, a noga od rana rwała mnie jak na zmianę aury. Jako i pogoda wyklarowała się i była zgoła wiosenna. Na wysokości kościoła Świętego Andrzeja na Okolę, podczas najazdów pełniącego drzewiej funkcję Dolnego Zamku¹, musiałem zejść na bok, bo z naprzeciwka turkotał wóz z towarem, a i tak omal mnie nie rozjechał, gdyż mur klasztorny bardzo zachodził na ulicę, czyniąc wymijanie prawie niemożliwym. Ratusz od dawna molestował siostry klaryski od świętego Andrzeja o cofnięcie muru na koszt miasta, lecz bez skutku. Przy kościółku Świętego Idziego przypomniałem sobie historię jego powstania, którą usłyszałem od ojca Rocha, kiedy byłem mały i bardzo się nią przejąłem. Oto przed wiekami książę Włodzisław Herman wraz z żoną Judytą czeską nie mogli doczekać się potomka. Posłali więc złotą figurkę dziecięcia w darze opactwu St. Gilles we Francji, którego patronem był święty Idzi, a ów sprawił cud i za dziecko ze złota obdarował książęcą parę żywym (aczkolwiek lekko uszkodzonym - może złoto było lichej próby?) synem, Bolesławem Krzywogębem.

Ze wspominek z dzieciństwa wyrwało mnie zamieszanie pod znajdującą się tuż obok kościółka podłą oberżą zwaną po prostu „Drewnianą Kletą”. Z nią także wiązały mi się wspomnienia, ale znacznie nowsze, bo sprzed kilku lat zaledwie, i niemile. Za króla Henryka pewnej nocy pomordowano sam wszystkich gości i ohydnie

1 Pierwszy najazd Tatarów w 1241 r. przeżyli tylko ci krakowianie, którzy schronili się na Wawelu i w kościele Świętego Andrzeja.

91

■

40

pokaleczono ich ciała. W mieście wybuchła panika, widziano w tym bowiem dzieło wilkołaków, dopóki nie okazało się, że za moją (nie chwaląc się) przyczyną, że to sprawka francuskich morderców, którzy zamierzali okryć niesławą osobę króla.

Teraz zaś trzech łotrów obstało Izaaka.

- Ejże, Żydzie, poratuj dobrych chrześcijan!

- Pomnij na miłosiernego Samarytanina, co potrzebującego opatrył...

Trzeci, wyjmując kord, od razu przeszedł do rzeczy:

- Sakiewka albo życie! ,

Ujrzawszy mnie, Izaak, dotąd zrezygnowany i wystraszony, niezwykle zwawo i sprężysto podskoczył i schował się za mną. Nie spodobało mi się to, bowiem nie chciałem, by nas razem widziano, lecz cóż było robić? Napaść w biały dzień na środku głównej ulicy! Co to się porobiło... O tempora, o mores! Bardzo zdegustowany upadkiem obyczajów w rodzinnym mieście, dałem temu wyraz błyskawicznie i bez ostrzeżenia wałęsając laską w czerep tego z kordem, który zalany krwią zwał się jak kłoda do rynsztoka. Pozostali dwaj natychmiast czmychnęli z powrotem do spelunki, gdy tylko odchyliłem kubrak, pokazując zatknięte za pasem pistolety, rapier i pugnał.

Nazywano Kraków „Sarmatica Tripolis seu potius Pentapolis”², z tym, że o ile mógłbym się zgodzić z „Tripolis” (oprócz Krakowa także Kleparz i Kaźmierz), to już „Pentapolis” brzmiało zdecydowanie na wyrost. Bowiem dość brudne i tonące w błocie przedmieścia Garbary i Stradom raczej na miana miast nie zasługiwały.

Odkąd wiosną 71 roku wielka powódź zniosła postawioną naprzeciw Skałki tamę obciążoną młynem, głównym wiślanym pławem stała się Zakazimierka, od tej pory Wisła Nowa, zaś

Wisła Stara zaczęła się zamulać, dlatego skromne chaty rybaków na Podbrzeziu wydały mi się jeszcze nędzniejsze niż zazwyczaj. Nabrzeże zwane Blechą, gdyż w słoneczne letnie dni na trawie bielilo się płótno, polewane wodą przez blicharzy, a kobiety robiły pranie, było puste o tej porze roku.

Zewsząd oblany Wisłą Kaźmierz miał dobre, obronne położenie, jednak mury dość słabe i pojedyncze. Założone przez króla

1 O czasy, o obyczaje! (lac.).

2 Sarmackie "IYój- lub Pięciomiasto (lac.).

92

Kaźmierza Wielkiego miasto nigdy nie dorównało starszej siostrzycy -Krakowowi, choć bardzo się starało. Może gdyby stanął tu budynek Akademii, jak to król sobie umyślił, stałoby się inaczej. Jednak wylew Wisły zniszczył gotowe już fundamenty i budowy poniechano.

Ostatecznie akademia znalazła siedzibę w Krakowie na gruntach żydowskich, z kolei Żydzi wylądowali na Kaźmierzu, w osobnej dzielnicy. Na wprost znanej miodosytni „Pod Krzyżkiem”¹ skręciliśmy zatem w lewo, w ulicę Żydowską². Biegła ona wzdłuż muru oddzielającego Oppidum Iudaeorum od kościoła Bożego Ciała, farnej świątyni kaźmierskiej, i klasztoru kanoników regularnych, zwanych bożocioł-kami. Zdarzyło się kiedyś, że kilku łotrzyków kaźmierskich skradło w nocy z tabernakulum krakowskiego kościoła Wszystkich Świętych monstrancję z najświętszym Ciałem Chrystusowym. W dziennym świetle grasanci zauważyli, że monstrancja jest ledwo pozłacana i niewarta nadstawiania głowy, tedy cisnęli ją w bagno w ówczesnej wsi Bawół. Lecz oto stał się cud i na moczarze w owym miejscu pojawiły się niebiańskie światła. Doniesiono o tym królowi Kaźmierzowi i biskupowi krakowskiemu Bodzancie, którzy na czele procesji udali się tam i wydobyli skradzioną monstrancję, po czym król kazał bagno osuszyć i postawić w jego miejscu kościół.

Z pobliskiej szkółki parafialnej na widok Izaaka wyskoczyło paru wyrośniętych żaków i jęło się natarczywie domagać kozubalca. Zirytowali mnie i zamierzałem spuścić im solidne lanie, lecz Izaak zaczął mnie błagać na wszystko, bym tego nie czynił, bo inaczej będą mu potem złośliwie utrudniali powrót do Oppidum Iudaeorum. Dla świętego spokoju rzucił im więc miedziaka i poszliśmy dalej, choć ręce mnie świerzbily.

Strażnicy przy głównej bramie znali Izaaka i przepuścili nas bez turbacji, obrzucając mnie jednak ciekawymi spojrzeniami, widać od razu rozpoznali obcego. Nie tak dawno dwadzieścia polskich miast wystarało się o privilegia de non tolerandis Iudaeis, zaś żydowski Kazimierz dla odmiany otrzymał privilegia de non tolerandis christianis, dlatego też próżno było szukać tu chrześcijanina. A co ciekawe, choć odwiedzałem to miejsce dopiero drugi raz, rzucało się w oczy, że coraz więcej Żydów nosiło czarne chałaty alias

1 Dziś Krakowska 9.

2 Dziś Józefa.

93

kapoty o kroju nieco podobnym do szlacheckich żupanów i czarne mycki - birytki, albo lisie czapy, a także, oprócz długich bród, pejsy, czyli skręcone kosmyki zwisające koło uszu. Do niedawna zaś ich strój niczym się od naszego nie różnił, zwłaszcza że za króla Augusta w ogóle nie przestrzegano nakazu wprowadzonego przez jego ojca, żeby Żydzi nakładali żółte czapki. Jedno się nie zmieniło - ciasnota i zaduch. Starłem się nie oddychać, ale i tak ów wielozapachowy smrodek z dominującą nutą cebuli i czosnku wiercił w nosie. Nie miałem nic przeciw czosnkowi (a cebuli tym bardziej), lecz w takim stężeniu i towarzystwie niemal równie intensywnych woni mógłby powalić konia. Do wąskich ulic prawie nie docierało dzienne światło (jak na uliczce nomen omen Ciemnej), ciasno zabudowane i na ogół pozbawione burku, tretów i rynsztoków. A że zabudowa była głównie drewniana, w tym wiele lichych kleci i bud z dachami krytymi słomą lub gontami, toteż co rusz wybuchały

zarazy i pożary. I nie dziwota, bo Oppidum Iudaeorum stanowiło szóstą albo i mniejszą część Kaźmierza, a tłoczyła się sam bez mała połowa jego mieszkańców - dwa tysiące luda. Nagle zapachniało mi znacznie przyjemniej świeżym pieczywem. Nie mogąc się oprzeć, kupiłem sobie kilka świeżych bajgli², od razu ze smakiem pochłaniając dwa.

Otoczeni czeredą ciekawskich dziattek, między które rozdałem pozostałe bajgle, skierowaliśmy się do widocznej na wprost bożnicy Starej, przechodząc mimo podpartej smukłymi skarpami synagogi Wysokiej z izbą modlitewną na piętrze i kramami w przyziemiu. Po drodze Izaak pouczył mnie, że kahał kaźmierski składał się z czterech seniorów, pięciu ławników i czternastu reprezentantów pospólstwa, ale najważniejsi byli rabin Heller, bogaty Lewko Landau, który miał wspaniałą kamienicę (odkupioną od Jordanów) przy murze miejskim, na drugim końcu ulicy Wielkiej alias Szerokiej, oraz najmłodszy ze wszystkich świetny lekarz i medyk króla Augusta, doktor Salomon Kalahora, który na mocy królewskiego

1 W 1583 r. w myśl układu kahału z radą miejską kazimierską powiększono obszar Oppidum Iudaeorum, przedłużono mur i zamknięto na głucho wszystkie bramy i furty z wyjątkiem bramy głównej od ul. Żydowskiej.

2 Żydowskie (kazimierskie) bajgle (okrągłe bułki z dziurką w środku) często mylone są z krakowskimi obwarzankami (splcione w warkocz kółka) i preclami (nieco podobne w kształcie do ósemki). Łączy je jedno: po uformowaniu z ciasta muszą być obgotowane w wodzie, co zapewnia im znaczną trwałość.

94

serwitoriatu skupił w swym ręku handel węgierskimi winami i solą z Rusi oraz miał przywilej wyboru miejsca zamieszkania na całym obszarze Rzeczypospolitej, a w Kaźmierzu jako jedyny mógł prowadzić aptekę. Był przy tym znakomitym znawcą Talmudu, czyli wykładni Prawa Ustnego, będącego uzupełnieniem Prawa Pisanego, czyli Starego Testamentu. Przy okazji dowiedziałem się, że Żydzi różnili się od siebie, i to znacznie. Kalahora pochodził z Hiszpanii, czyli należał do Żydów sefardyjskich, zaś na Kaźmierzu przeważali Żydzi aszkenazyjscy, rodem z Francji i Niemiec, posługujący się mową codzienną - jidysz, w której, ku ubolewaniu Izaaka, coraz częściej pisano historie biblijne dla niewiast nieznających hebrajskiego.

Kiedy byłem tu poprzednio, znany murator Mateusz Gucci odbudowywał akurat synagogę Starą po pożarze, który ją strawił przed kilkunastu laty. Teraz była już odnowiona i prezentowała się okazale. Z ulicy po schodach weszliśmy na dziedziniec przed świątynią, na którym ponoć odbywały się śluby.

- A cóż to jest? - pokazałem niską dobudówkę z trójkątnymi daszkami i osobnym wchodem, jeszcze niewykończoną, na lewo od wejścia.

- To będzie babiniec, osobna modlitewnia dla niewiast. Nieczystych. Wewnątrz są cztery okratowane okienka, przez które będą mogły spojrzeć do bożnicy podczas modłów. Wcześniej miały swoją odgrodzoną izbę we wnętrzu na górze, z wchodem od przedsionka, a jeszcze niedawno w ogóle wstęp do synagogi był im wzbroniony, - sądząc z tonu, Izaak nie pochwałał nowomodnych swobód dla niewiast i gdyby to od niego zależało, przywróciłby stare obyczaje.

Za drzwiami obmył dłonie „świętą wodą” z podobnej do naszej kropielnicy kamiennej studni na podwyższeniu, po czym przeszliśmy przez przedsionek, polisz, i zeszliśmy po schodach do głównego gmachu modlitewnego. Stałem na ostatnim stopniu i ciekawie rozglądałem się dookoła, korzystając z niepowtarzalnej sposobności i cichych objaśnień Izaaka. Świątynia była dwunawowa, z dwiema kolumnami tuszańskimi podtrzymującymi krzyżowe sklepienie. Pośrodku, na murowanym cokole ze stopniami, stał odpowiednik naszej ambony, bima alias almemor, czyli żelazna klatka o dwóch wejściach, zwieńczona „koroną wspaniałości”. Za bimą,

na wschodniej ścianie, znajdował się nieco podobny do ołtarza w kościele aron ha-kodesz, okolona ozdobną kamieniarką wnęka ołtarzowa. W ozdobnym pokrowcu przechowywano w niej zwoje Tory, czyli Pięcioksięgu Mojżeszowego. Przed wnęką stał okazały siedmioramienny świecznik liturgiczny, menora.

Obok bimy, między dwoma rzędami ławek, stało i czekało na nas kilku Żydów, ponieważ świątynia służyła także za miejsce zgromadzeń, podobnie jak nasze kościoły podczas sejmików. Wymienili z Izaakiem kilka ożywionych zdań, po czym jak jeden mąż skierowali wzrok na mnie. Omal nie ugiąłem się pod tym ciężarem. Bez trudu rozpoznałem ową trójcę, o której powiadał Izaak. Doktor Kalahora musiał być niestarym, postawnym mężczyzną o śniadej twarzy ozdobionej niemiecko-hiszpańską szpiczastą bródką i zakreconymi wąsami, ubranym owszem, na czarno, ale wedle kusej mody włosko-hiszpańskiej, z białą kryzą pod szyją. Rabin Heller to był bez wątpienia wiekowy Żyd z bujną, białą jak śnieg brodą, w narzuconej na ramiona pasiastej chuście modlitewnej, tałesie, wysokim sobolowym kołpaku i z ubraną Torą w rękach, którą z namaszczeniem zamknął w schowku. Zaś Lan-daua upatrywałem w mężu w sile wieku, brzuchatym, w aksamitnym chałacie i takież czapie obszytej lisim futrem, z czarną brodą, długimi pejsami i wielką pewnością siebie wymalowaną na okrągłym obliczu.

- Czy to prawda, co nam przekazano? Zali w samej rzeczy niegodziwcy zamierzają najście na synagogę Remuh? - zwrócił się do mnie rabin, spod nastroszonych brwi rzucając mi baczne spojrzenie.

- Tak sędzę - odparłem.

Żydzi zajazgotali między sobą, po czym niepozorny chudzielec, gładkolicy i niczym się nieróżniący od pospolitego krakowskiego mieszczanina, rzucił wyzywającym tonem w moim kierunku:

- A czemuż to mielibyśmy dać wiarę jakiemuś gojowi?

Większość zgromadzonych pokiwała głowami potakująco, klepiąc owego po ramieniu, głośno i z uznaniem wymieniając jego imię. Po czym poznałem, że mylił się odróbkę. To on właśnie był owym wielkim bogaczem Lewkiem Landauem, imiennikiem sławnego bankiera króla Kazimierza Wielkiego. Cóż, moja metoda rozpoznawania ludzi po wyglądzie nadal wymagała szlif.

96

- Nie musicie - wzruszyłem ramionami, zły, że znów dałem się wplątać w nijak mnie nie dotyczącą awanturę. - Nie zamierzałem tu przychodzić. Uczyniłem to na prośbę mego przyjaciela Izaaka.

Znów zaczęli jazgotać, lecz hiszpański doktor, którego rozpoznałem bezbłędnie, uciął to, mówiąc stanowczo:

- Basta! Nasz brat Ajzyk ręczy za tego młodzieńca, również doktor Salomon Aszkenazy z Udine, pamiętam, dobrze się swego czasu wyrażał o mości Ryksie. Tedy miast próżno pytać: czy i dlaczego, radźmy raczej, jak temu zapobiec.

Tym razem obeszło się bez wrzawy, tak słuszne wydały się wszystkim słowa lekarza. Co do doktora Aszkenazego, medyka króla Augusta, to zetknęliśmy się kiedyś przelotnie i anim przypuszczał, że mnie zapamiętał.

- Powtórzę tedy, co już wiadomo: miasto Kazimierz umywa ręce -przejął inicjatywę rabin. - Powód? Te same dubia, które macie i wy. Starosta krakowski nie podeśle ludzi na niepewne. Lecz tuszę, że gdybyśmy nawet zdobyli pewność, i tak nikt nie przybyłby nam w sukurs. Zatem jesteśmy skazani na siebie.

Rozjęczeli się tak, że aż uszy puchły. Potem znów jęli się przekrzykiwać, jeden przez drugiego, aż ów, którego wziąłem za Lan-daua, a który okazał się rebem Jেকেle, czyli

Jakubkiem Bogatym z zamożnego rodu Jেকেlesów vel Jakubowiczów i równie jak Lan-dau bogatym kupcem, przebił się swym piskliwym zawodzeniem przez drugich:

- Aj-waj! Jesteśmy zgubieni! Sami się nie obronimy! Nie masz dla nas nadziei! Już po nas!

- Nie kracz! - zbeształ go surowym tonem Żyd patrzący na uczonego, który w samej rzeczy był Józefem Kacem, szwagrem rabina Mojżesza Isserlesa i po nim rektorem akademii talmudycznej. - Rady nam trza, nie babskich płaczów!

- Po to sprowadziłem Kacpra - wtrącił nieśmiało Izaak. - Nie znam nikogo odeń zmyślniej szego.

Zawsze lubiłem Izaaka, a bywały dni, że bardziej niż kiedy indziej.

- Wszak to waszmość przed laty odnalazłeś skradzioną pieczęć królewską? - spytał mnie doktor Kalahora.

-Ja.

- Tedy - rabin Heller znów przejął kontrolę nad zgromadzeniem - cóż radzisz, młody człowieku?

97

Jeśli spodziewali się, iż wytrząsnę z rękawa jakąś cudowną broń, wyczaruję rotę wyborczego wojska, albo przynajmniej sypnę garścią conceptów, to bardzo ich zawiodłem. Siebie też. Widać miałem kiepski dzień albo zbyt kuse rękawy.

- Wprzód muszę zobaczyć bożnicę Remuh - odparłem, żeby zyskać na czasie. - A potem zobaczymy. Niczego nie mogę obiecać.

To ich zniechęciło do tego stopnia, że do synagogi Remuh dotarliśmy w zaledwie kilka osób, pozostali wykruszyli się po drodze pod pretekstem przygotowania do szabasu. Był bowiem piątek, pora popołudniowa, a od zmierzchu do sobotniego wieczora trwał żydowski dzień święty, szabas, od którego wzięła miano zarówno nasza sobota, jak i sabaty - rzekome złoty diabłów i czarownic wedle wierzeń prostaczków. W porze szabasu Żydom nie wolno było parać się żadną pracą. Fortunnie Wielkanoc zaczynała się rezurekcją z soboty na niedzielę, akurat gdy kończył się szabas. Być może nie będę zatem musiał samopas powstrzymać całej kupy grasantów, jeśli podejmę się tego zadania. Za to mnie z kolei przyjdzie pracować w święto, a potem się z tego wypowiadać.

Ulica Wielka, zwana też Szeroką, krótka, lecz przestronna, pełniła funkcję rynku w Mieście Żydowskim. Tu mieszkali najbogatsi Żydzi, tu skupiało się ich życie religijne, towarzyskie i handel. I o ile reszta Oppidum Iudaeorum była dziadowska i byle jaka, to tutaj stały kamienice ustępujące niewiele lub wcale tym przy krakowskim rynku. I nie dziwota, bo często budowali je i wykańczali najlepsi muratorzy i kamieniarze za obu królów Zygmunatów zatrudnieni przy budowie i przebudowie zamku wawelskiego. Stara Synagoga zamykała ulicę Wielką z jednej strony, a najokazalszy z domów, przylegająca do muru miejskiego kamienica Landauów (zwana pałacem Jordanów), z drugiej. Sąsiadowała z nią budowla skrywająca we wnętrzu mykwę, obrzędową łaźnię. Schodziło się do niej po kilkudziesięciu stopniach, gdyż dopiero na głębokości dwóch pięter było źródło zasilające murowany akwen, tak głęboki, że tylko w jednym, 67 roku, utopiło się w nim aż dziesięć niewiast! Izaak nazwał je nieczystymi i o tragedii oznajmił beznamiętnym tonem, lecz mną ta nowina nieco wstrząsnęła. W mykwie kąpały się obowiązkowo kobiety po miesięcznym krwawieniu, mężczyźni przed Dniem Odpuszczenia i wszyscy, którzy przechodzili na judaizm. Obmywało się tam także wszelkie statki kupowane

98

u chrześcijan i dopiero tak oczyszczone nadawały się do użytku jako koszerne.

My jednak nie doszliśmy do końca ulicy, skręcając w lewo do bożnicy Remuh przy niedużym, ogrodzonym niskim murem placu. Izaak, odgrywając ku swemu zadowoleniu rolę mojego przewodnika, zatrzymał się przy owym miejscu.

- Niegdyś - zaczął - był tu kirkut. Po waszemu cmentarz. Ale podczas wielkiej zarazy, gdy ludzie marli jak muchy, przypominano sobie, że powstrzymać mór może jedynie ślub kalek zawarty na kirkucie. Znalaziono tedy ślepcę i garbuskę i mimo napomnień rabina urządzono im szóstego dnia tygodnia, czyli w wasz piątek, na koszt gminy weselisko na cmentarzu. Weselnicy tak się zapamiętali w zabawie, że ani spostrzegli, jak zaszło słońce i zaczął się szabas. Za karę wszyscy pomarli i tu ich pochowano we wspólnej mogile, choć drudzy powiadają, że spoczywają sam jeno nowożeńcy. Odtąd już nigdy Żydzi krakowscy i kaźmierscy ślubów w piątce nie brali, a na owym kirkucie nikogo więcej nie pogrzebano...

- Ambaje pleciesz, Ajzyku - zgañił go rabbi Heller. - Prawda jest taka, że owszem, był tu drzewiej stary kirkut, nim go na nowe miejsce, za synagogę Remuh, nie przeniesiono po wielkiej zarazie.

Synagoga Remuh nie była tak wielka jak Stara, ale rzucalo się w oczy, że Izrael Isserles, dumny z syna, nie pożałował pieniędzy na budowę, a sam wielki Mojżesz i jego spadkobiercy - na jej wyposażenie. Aron ha-kodesz, jeszcze niewykończony, zapowiadał się nawet na okazalszy od tego w Starej, z tablicami Mojżeszowymi wyrzeźbionymi ponad wnęką ołtarzową. Na prawo od niej stało krzesło, na którym siadywał wielki rabin, zwany przez rodaków rabbi Moses, stąd Re-mu. Na lewo od wnęki paliło się wieczne światło, ner tamid. Wszędzie aż kapało od złota. Samych świeczników, zarówno chanukowych jak menor czy innych, było tyle, że ich kradzież zapewniłaby rabusiom fortunę. Wciąż jednak nie wiedziałem, jak zbójcy zamierzają wtargnąć do Miasta Żydowskiego, którego główną broneę strzeżono w dzień i w nocy. Insza rzecz, że strażnicy bramni nie powstrzymaliby tłumu najeźdźców. Jednak bitewna wrzawa przyciągnęłaby piechotę starościńską, a tego gra-sanci z pewnością chcieli uniknąć.

Dopiero gdy wyszliśmy na zadź synagogi, gdzie znajdował się cmentarz, pojąłem wszystko. Kirkut, otoczony niskim murem,

99

od północy przytykał do murów miejskich z furtą dla pieszych i konnych znajdującą się u wylotu ulicy Kierków1. Najwidoczniej nieużywaną i zawartą na głucho, niemniej dość łatwą do sforsowania. Wystarczył nieduży ładunek prochu albo jeszcze prostsze i cichsze rozwiązanie - solidny pień jako taran.

- Przyjdą stamtąd - powiedziałem, wskazując furtę.

- Jesteś acan pewien? - spytał rabbi Heller.

- Tak.

- Dawno powiadałem - rzekł z satysfakcją Izaak - żeby zwrócić się do ratusza o zezwolenie na zamknięcie obu furt pobocznych i pozostawienie samej brony wjazdowej.

- Już to uczyniliśmy - odparł reb Landau - i dotąd czekamy na zgodę.

- Jak możemy ich powstrzymać? - zwrócił się do mnie doktor Kalahora.

- Nie wiem. Zastanawiam się. Na ilu zbrojnych możemy liczyć w razie potrzeby?

Popatrzyli po sobie z zakłopotaniem i zagadali w swoim języku.

- Na paru, najwyżej parunastu. Nie jesteśmy wojennym ludem - sumitował się lekarz.

- Machabeusze przewracają się w grobach - mruknąłem.

Nie chciałem ich straszyć, bo i tak byli wylęknieni wystarczająco, ale cień szansy upatrywałem jedynie w tym, że do napaści szykowało się wyłącznie hultajstwo. Bo gdyby dołączyli do nich żacy i społem nastąpili, wówczas żadna siła nie ocaliłaby Żydów przed rabunkiem. Już raz tak się stało, bodaj w 1500 roku, kiedy to „krzyżowcy”, zgromadzeni pod Krakowem na wojnę z Tatury, wyłamali kaźmierskie bramy i złupili Żydów, zabijając kilkunastu z nich.

Od pewnego czasu wierciło mnie w nosie. Niby już powinienem być przyzwyczajony do woni, które roztaczało Miasto Żydowskie, lecz ta była inna, a równocześnie bardziej znajoma. Wtem pojąłem, o co chodzi. Byliśmy przecie na cmentarzu! To był ohydny trupi fetor. Dopiero teraz dokładniej rozejrzałem się dookoła. Obok pospolitych ziemnych mogił były na kirkucie nagrobki z kamiennymi stelami, macewami, z wykutymi na nich różnymi starohebrajskimi znakami. A to przynależności do rodu Judy: gwiazdą Dawida lub 1 Dziś Jakuba.

100

lwem, albo Lewitów: dzbany i misy oznaczające obmywanie rąk; groby uczonych oznakowano koroną nauk, medyków - skręconym wężem, zaś kapłanów - błogosławiącymi rękoma.

- Oto grób Remuh - natrętny głos Izaaka przerwał moje rozmyślenia akurat w chwili, gdy coś zaczynało mi świtać. - Na kamieniu napisano: „Od Mojżesza (proroka) do Mojżesza (Isserlesa) nie powstał nikt taki jak Mojżesz”. Obok spoczywa siostra rabiego Miriam, jego szanowny ojciec Izrael, pierwsza małżonka Gołda i babka Gitla z Auerbachów...

Nieco roztargnionym wzrokiem omiotłem wymienioną grupę nagrobków, posadowioną pod sporym drzewem zaraz za bożnicą.

- A co znaczą te karteczki i kamyki na grobie rabina Remu?

- Kamyki - wtrącił rabbi Heller - to oznaka pamięci o zmarłych. Kładziemy je od czasu przejścia Narodu Wybranego pod przewodnictwem Mojżesza przez pustynię. Grzebano wówczas umarłych w piasku, na wierzchu kładąc kamień. Zaś jeśli idzie o te kartki, to uważamy rabiego Remuh za cudotwórcę, tak jak wy macie swoich świętych. Od samego początku, a wzdą ledwie parę lat minęło od jego skonu, do tego grobu pielgrzymują Żydzi z całego świata, zewsząd pokąd jeno dotarła jego wielka sława, szczególnie w święto Lag b'Omer, i u macewy składają swe prośby wypisane na kęskach papieru.

- Przepowiednia głosi - dodał reb Landau - iż kto naruszy ten grób, będzie przeklęty i padnie trupem na miejscu!

Popatrzyli na mnie z nadzieją.

- Nie tuszyłbym, że to powstrzyma grasantów - zgasiłem ich.

Na powrót uchwyciłem utraconą myśl. Co to było? Rabusie

i cmentarz... Już wiedziałem! Chodziło o tę historię ze skradzioną monstrancją, odnalezioną na moczarach we wsi Bawół dzięki niebiańskim ogniom. Oczywiście! Przecie to nic innego jeno znany już starożytnym ignis fatuus, błędny ogień, pod postacią błękitnego płomyka migocący niekiedy nad bagnami i torfowiskami. Podobne zjawisko obserwowano niekiedy na cmentarzach, co wzbudzało w prostaczkach zabobonny strach, bo też jak dotąd nikt nie potrafił tego rozumnie objaśnić, a może po prostu nikogo to nie zajmowało. Mnie też, aż do teraz. Raptem przyszło mi do głowy, że to nic innego, jeno to, co Paracelsus nazwał z grecka gazem, a co zapewne

1 Podobno tylko z tego powodu hitlerowcy oszczędzili nagrobek, który stoi do dziś.

101

lwem, albo Lewitów: dzbany i misy oznaczające obmywanie rąk; groby uczonych oznakowano koroną nauk, medyków - skręconym wężem, zaś kapłanów - błogosławiącymi rękoma.

- Oto grób Remuh - natrętny głos Izaaka przerwał moje rozmyślenia akurat w chwili, gdy coś zaczynało mi świtać. - Na kamieniu napisano: „Od Mojżesza (proroka) do Mojżesza (Isserlesa) nie powstał nikt taki jak Mojżesz”. Obok spoczywa siostra rabiego Miriam, jego szanowny ojciec Izrael, pierwsza małżonka Gołda i babka Gitla z Auerbachów...

Nieco roztargnionym wzrokiem omiotłem wymienioną grupę nagrobków, posadowioną pod sporym drzewem zaraz za bożnicą.

- A co znaczą te karteczki i kamyki na grobie rabina Remu?

- Kamyki - wtrącił rabbi Heller - to oznaka pamięci o zmarłych. Kładziemy je od czasu przejścia Narodu Wybranego pod przewodem Mojżesza przez pustynię. Grzebano wówczas umarłych w piasku, na wierzchu kładąc kamień. Zaś jeśli idzie o te kartki, to uważamy rabiego Remuh za cudotwórcę, tak jak wy macie swoich świętych. Od samego początku, a wždy ledwie parę lat minęło od jego skonu, do tego grobu pielgrzymują Żydzi z całego świata, zewsząd pokąd jeno dotarła jego wielka sława, szczególnie w święto Lag b'Omer, i u macewy składają swe prośby wypisane na kęskach papieru.

- Przepowiednia głosi - dodał reb Landau - iż kto naruszy ten grób, będzie przeklęty i padnie trupem na miejscu!

Popatrzyli na mnie z nadzieją.

- Nie tużyłbym, że to powstrzyma grasantów - zgasilem ich.

Na powrót uchwycilem utraconą myśl. Co to było? Rabusie

i cmentarz... Już wiedziałem! Chodziło o tę historię ze skradzioną monstrancją, odnalezioną na moczarach we wsi Bawół dzięki niebiańskim ogniom. Oczywiście! Przecie to nic innego jeno znany już starożytnym ignis fatuus, błędny ogień, pod postacią błękitnego płomyka migocący niekiedy nad bagnami i torfowiskami. Podobne zjawisko obserwowano niekiedy na cmentarzach, co wzbudzało w prostaczkach zabobonny strach, bo też jak dotąd nikt nie potrafił tego rozumnie objaśnić, a może po prostu nikogo to nie zajmowało. Mnie też, aż do teraz. Raptem przyszło mi do głowy, że to nic inszego, jeno to, co Paracelsus nazwał z grecka gazem, a co zapewne

! Podobno tylko z tego powodu hitlerowcy oszczędzili nagrobek, który stoi do dziś.

101

powstawało na moczarach podczas gnicia pod wodą roślin i padłych zwierząt. Dlaczego taki sam lub podobny gaz nie miałby dobywać się na cmentarzu z ciał ludzkich, zwłaszcza że chrześcijanie grzebali swych zmarłych dość płytko (zbyt płytko - pater Roch pilnował, by na cmentarzu duchackim kopano głębsze groby), a Żydzi pewnie nie głębiej? Może, gdy nasycenie było odpowiednie, następowało samozapalenie takiego gazu? A może wystarczyło rzucić iskrę, by cały cmentarz stanął w przedziwnej poświacie? Postanowiłem omówić tę sprawę z ojcem Rochem, a tymczasem oznajmiłem:

- Ukował mi się pewien koncept. Ale wprzódy musimy sobie coś objaśnić. Moją stawkę znacie: sto dukatów płatne po robocie plus po dutku dziennie na bieżące wydatki, tyleż dla pomocnika, i zwrot ewentualnych kosztów. Niemało, lecz jeśli mi się nie powiedzie, nie wezmę nic.

- Z pewnością możemy się potargować - stwierdził Landau, krzywiąc się.

- Nie możemy - odparłem. - Nagroda nie podlega negocjacji.

- Zgoda - uciął rabin. - Kahał pokryje wydatek.

- Sam zapłacę - obruszył się Landau. - Skoro tak trzeba...

- Tedy ustalone. Waszmościowie wybaczą - rzekłem - ale odtąd będę ustalał wszystko jedynie z rabbinem. To nie brak zaufania, to konieczna ostrożność.

Odciągnąłem na stronę rabina Hallera i wyjaśniłem mu, co zamierzam uczynić.

- Ja też coś wymyśliłem - pochwalił się i z kolei przedstawił mi swój koncept, który bynajmniej mnie nie zachwycił.

- Daruj, rabbi, lecz nie wygląda to poważnie, raczej sztubacki żart przypomina.

Hiszycie, że grasanci padną trupem ze śmiechu?

Starałem się mówić oględnie. Lecz w środku cały kipiałem. Ci ludzie mieli na karku orde złoczyńców, znikąd pomocy, a miast szykować się do walki, potrafili zdobyć się jedynie na dziecinne koncepty, ufając w boską opiekę. Resztą miałem zająć się sam. U licha, czy ja patrzyłem na Samsona? Nawet włosy miałem krótsze. Byłem wściekły, że dałem się patrowi namówić na tę awanturę. Aż mnie rozboleły szczęki, tak mocno je zacisnąłem. Ze złości omal nie kopnąłem drzewa, pod którym staliśmy, na szczęście w porę przypomniałem sobie, że

mam tylko półtorej nogi i nie stać mnie na dalszy uszczerbek. Jednak Heller upierał się przy swoim, więc

102

w końcu machnąłem ręką. Za jedno mi było, czy zginę mądrze, czy głupio. Miałem tylko jedno zastrzeżenie.

- A co, jeśli najście nastąpi w sobotę?

- Tedy będę się modlił, by Najwyższy powstrzymał niegodziwców przynajmniej do zmierzchu.

Cóż, wypadło żywić nadzieję, że sprawiedliwy Bóg Ojciec nawet po szabasie opowie się po stronie Narodu Wybranego, zaś dobry Jezus mimo Wielkiej Nocy nie zechce ująć się za swymi niegodnymi wyznawcami. W sumie, przy dużej dozie szczęścia, mogło nam się powieść odparcie zajazdu i zniechęcenie na dobre najezdników, acz jakoś nie chciało mi się w to wierzyć. Postanowiliśmy do ostatka nie wyjawiać nikomu, cośmy obmyślili, aby nikt nawet przypadkiem się nie wygadał, po czym poprosiłem zaintrygowane towarzystwo, by pomogło mi odszukać miejsce, gdzie trupi cuch był najsilniejszy. Nie szukaliśmy długo.

Najintensywniejsza woń wydzielala się z miejsca, gdzie obok siebie widniało kilkanaście dość świeżych grobów. Pochowano w nich ofiary dziwnej zarazy, ponoć od kilku tygodni grasującej w Mieście Żydowskim. Zdziwiłem się i zaniepokoiłem, bo o żadnym morze nie słyszałem. A skoro pojawił się tutaj, wkrótce należało się go spodziewać w Krakowie.

- Teraz wypada nam już tylko modlić się, by w najbliższych dniach nie zerwał się wiatr - rzekłem, wymieniając z Hellerem znaczące spojrzenia.

Podejrzywałem, że wzmożone wydzielanie i płożenie gazu miało jakiś związek ze stanem aury, zmiana pogody mogła gaz rozproszyć i zniweczyć nasze starania. Musiałem to uwzględnić i przygotować się na taką ewentualność. Pożegnaliśmy się i wróciłem do domu, odprowadzony do bramy przez Izaaka.

Następne dni minęły mi szybko. Sprawa najścia na bożnicę nie dawała mi spokoju. Coraz mniej wierzyłem, że uda się mu zapobiec, a concept rabina zdawał mi się tym bardziej naiwny, im dłużej o nim myślałem. Na wykładach nie mogłem się skupić, pacjentów obsługiwałem szybciej niż zazwyczaj. Pater Roch, gdym wyjawiał mu swój zamiar i rozumowanie (o pomysle Hellera przezornie nie wspomniałem), pochwalił mnie za dociekliwość i zasadniczo się ze mną zgadzał, a nawet podsunął pewną myśl, którą postanowiłem wykorzystać.

103

- Ale po co rury? - dociekałem z rozpędu.

- Bo mniemam, że ów gaz, jeśli to on, gromadzi się w trumnie, niby w zamkniętej flaszce. Jeśli przebijesz się do takowego gniazda, winien ująć rurą w takiej gęstości, by łącno się zapalił. Niemniej bez przeprowadzenia doświadczenia - zastrzegł - gwarancji nie zyskamy, a tym samym powodzenie wszystkiego zostanie wystawione na szwank.

Wiedziałem o tym doskonale, lecz nie mogłem dla pewności podpalić gazu na kirkucie, bo któż by mi zaręczył, że do wili Wielkiej Nocy znów zbierze się go wystarczająco? I co wówczas? Miałem wysadzić prochem cały cmentarz i kęs muru miejskiego dla spłoszenia kupy hultajstwa?

- Masz chwilę? - spytał pater, po czym nie czekając na odpowiedź, zadysponował: - To pójdź ze mną.

Wydał dyspozycje bratu infirmierzowi, narzucił opończę i poszliśmy, kierując się ku bronie Nowej i przedmieściu za nią, zwanym Brzegiem Miejskim lub Wielkim Wałem, które ciągnęło się od bramy Grodzkiej po Nową, a nawet dalej, ku Wesołej za traktem lubelskim, aż po Kleparz. Nie lubiłem tej strony miasta, bo też okolica była to paskudna, bagienna i z rzadka zaludniona. Na suchszych placach, pośród ogrodów, stały nieliczne dwory i dworki.

Zaraz za bramą, przy jatkach rzeźniczych, usadowiono stajnie rzeźnicze, gdzie trzymano bydło na sprzedaż. Cuchnęło stamtąd okropnie, a gnojowica ciurczyła strumykami do fosy. Niewiele milszy zapach dobiegał z topni łoju i wosku, a także licznych karczem i najpodlejszych spelunek, od których się tu mrowiło, gdyż poza murami miejskimi można było popijać i hulać do późnej nocy albo i białego rana. Minęliśmy kościółek Świętej Gertrudy¹ i otaczający go „cmentarz ściętych”, to jest głowników, którzy przed egzekucją nie dostąpili łaski spowiedzi i rozgrzeszenia, i weszliśmy na groblę wiodącą do Kaźmierza. Przed Ołownym Ogrodem posadowionym nad samą rzeką skręciliśmy w prawo na drogę do miejskiego szpitala świętych Sebastiana i Rocha dla zapowietrzonych oraz chorych na morbus gallicus, czyli francę vel przymiot. Ponieważ szpital leżał na ostrowie stawu Leypingerowskiego, wstąpiliśmy na mostek i wkrótce dotarliśmy na miejsce.

¹ Już nieistniejący, pamiątką po nim jest ul. Świętej Gertrudy.

104

Wokół drzewianego kościółka Świętego Sebastiana i stojącej opodal latarni umarłych¹, na wzgórku pośród sadu owocowego stało sześć zabudowań szpitalnych, także drzewianych. W dwóch leczono francowatych metodą Paracelsusa: przez smarowanie szaruchą, dria-kwią zawierającą merkuriusza, po czym przy piecach wygrzewali się po nacieraniu. W osobnym budynku była łaźnia dla obmycia się z maści oraz izby dla ozdrowieńców. Inną chatę przeznaczono dla zapowietrzonych i tam właśnie się skierowaliśmy. W pozostałych mieszkał ekonom z rodziną oraz ubodzy zbierający jałmużnę dla szpitala, chirurg wyznaczony przez miasto oraz proboszcz szpitalny.

- Co się dzieje? Czyżby do miasta dotarła jakaś zaraza, o której słyszałem od kaźmierskich Żydów? - spytałem, wchodząc za patrem do sieni.

- Na to wygląda - odparł ponuro.

- Co to takiego?

- Zobaczysz.

Chorzy leżeli wszędy, w obu izbach i przedsionku. Woniało tu dziwnie, ostro i dusząco, z śladową nutą cuchu zgniłych jaj. Wszyscy mieli na ciele rozległą wysypkę w postaci czerwonych plam.

- A cóż to u licha? - zdumiałem się, bo dotąd nie zetknąłem się z takimi objawami.

- Nie poznajesz? Przypomnij sobie dzieło Girolama Fracastoriusa De Contagione..., bodaj z 46 roku...

- Aaaa. Gorączka obozowa²!

- Owszem, zwana też gorączką okrętową, bowiem zwykle szerzy się pośród żołnierzy lub majtków na okrętach. Sprzyjają jej bowiem brud, ciasnota i głód. Niemcy powiadają o niej Fleckfieber, febra plamista, zaś Włosi - tobardillo, czerwona opończa.

- Czy to aby nie samo co morbus hungaricus?

Spojrzał na mnie z uznaniem, co nie zdarzało się zbyt często. Powinienem odnotować to złotymi buksztabami w diariuszu, gdybym go prowadził.

¹ Staw zasypano, kościół i szpital wyburzono (dziś jest tam ul. Świętego Sebastiana), ale latarnia przetrwała - jako kapliczka stoi dziś na Plantach w pobliżu hotelu „Royal”.

² Dur (lub tyfus) plamisty; zdiagnozowany dopiero na początku XX w.; powodują go riketsje (od nazwiska odkrywcy), czyli drobnoustroje stojące pomiędzy bakteriami a wirusami, których nosicielem jest ludzka wesz odzieżowa, rzadziej głowowa.

105

- Rzekłeś. To jej najnowsze miano, odkąd w 66 zdziesiątkowała wojska Maksymiliana II szykującego się do odbicia Węgier z rąk sułtana. Z Węgier mór przedostał się do Niemiec, Francji i znów do Italii, skąd przybył. A stamtąd zapewne teraz do nas. Zostaw - powstrzymał mnie, gdy chciałem zrobić obchód. - Sam się tym zajmę. Już jeden z moich posługaczy zmarł na to paskudztwo, a drugi zachorzał i też tu leży. Nie chciałbym, byś był następny. Pragnąłem

jedynie, abyś umiał tę chorobę rozpoznawać, a może i leczyć, bowiem mam przeczucie, że to dopiero początek i hnet czekają nas ciężkie chwile...

Poszliśmy nad brzeg stawu. Z przyjemnością wdychałem świeże powietrze, pachnące moczarami i rybą. W trzcinach nad brzegiem pluskały i kumkały żaby.

- Co jest przyczyną choroby? Zachwycenie powietrza? - wedle teorii Macieja Siennika, wyłożonej w jego Herbarzu¹ za jeszcze sławniejszym Italczykiem Pedemontaną, morem zarażało się przez oddychanie skażonym powietrzem.

- Nie wiem - rozłożył ręce. - Mniemam, że jak zazwyczaj, brud -higiena była prawdziwą manią ojca Rocha. - Dlatego tępię wszystkie myszy i szczury w szpitalu - wedle teorii patra, to one rozniosły po świecie „czarną śmierć” - a wszystkie gmachy każe wysypywać siarką...

- Ach, to stąd ten dziwny zapach!

Zazwyczaj choroby zakaźne leczono puszczaniem krwi, ale pater, a za nim ja, uważaliśmy, że to jeno osłabia chorego. Odrzucaliśmy też teorię Miechowity, jakoby przyczyną morów były zarówno konstelacje gwiazd, jak i bagienne wyziewy. Skądinąd jednak wydawało nam się słuszne, by zalecać chorym unikanie wiatru, skąd szedł mór, oraz wiatru od bagien, wód stojących i kloak, palić ognie w izbach i okadzać je dymem z liści bobkowych, jałowca, rozmarynu i cyprysu. Jednak Kraków z racji swego położenia na podmokłym gruncie, z natury nie należał do miejsc najzdrowszych. Toteż zarażonych leczyło się także, podając im kurze ziele, dyptam, drzewo sandałowce, cytrynar, cukier, ambre, skórki cytrynowe, kwiat muszkatowy, szafran, goryczkę i dzięgiel. A najbogatszym sproszkowane drogie kamienie i metale: szmaragdy, szafiry, korale, złoto i srebro. Ale siarka?

1 Kraków 1568.

106

- Myślisz, że to skutkuje? - powątpiewałem.

- Na pewno - odparł stanowczo. - Co więcej, jeśli zaraza się nasili, zamierzam przenieść wszystkich chorych do Swoszowic - były tam kopalnie siarki - i umieścić w prowizorycznych kletach i namiotach dla wdychania ozdrowieńczych wyziewów!

- Jak objawia się ta choroba?

- Naprzód dreszczami w dolnej części kości pacierzowej, potem rzuca się na głowę, ale najwięcej dokucza piersiom. Na ciele pojawiają się czerwone osutki, utrzymujące się przez tydzień do dwóch, zwane petecjami vel petocjami. Kto dożyje piątego dnia, tego, zamieniwszy się w febrę, ów dur może zabić. Zwłaszcza jeśli cierpiącemu mamy medyk zaleci środki przeczyszczające albo krwi upuści, bo obie te rzeczy, jak wiesz, bardzo oddychanie utrudniają. Pierwsza wszystkie humory z głowy do piersi ściąga, druga nie tylko wyziębia, ale osłabia siły do oddychania potrzebne.

- Jak tedy walczyć z tym durem?

- Ha! - zawołał z satysfakcją, bo czasem bywał próżny jak drudzy normalni ludzie, z lubością wsiadając na swego umiłowanego konika. - Z obserwacji wynika, że zaraza wybucha tam, gdzie ludzie przebywają w mnogiej liczbie i ciasnocie. Stąd większość moich chorych to nędzarze gnieźdzący się społem w byle budach albo żołnierze. Myślę, iż przyczyną tego moru są wszy rojące się w brudnym odzieniu i włosach. Dlatego, jak pewnie spostrzegłeś, wszyscy nasi chorzy mają ogolone głowy i po solidnej kąpieli nadzy spoczywają pod czystymi prześcieradłami. Ich zawszone odzienie kazałem spalić². I wiesz co? To działa! Zazwyczaj bowiem umiera czterech na dziesięciu zarażonych, zaś z moich pacjentów tylko jeden na dziesięciu! Zakarbuji sobie w pamięci, synu: higiena przede wszystkim!

- A jednak jeden z twoich pomocników już umarł. W związku z tym przyszło mi coś do głowy. Aerem, aqum, terram innumera-bilibus insectis scatere, adeo certum est...³

1 Faktycznie podczas wielkiej zarazy pod koniec XVI w. do pobliskich Swoszowic ściągali mieszkańcy Krakowa; podobno doba pobytu wystarczała, by dojść do siebie.

2 Jako pierwszy te skuteczne środki zapobiegawcze zastosował słynny XVIII--wieczny brytyjski lekarz okrętowy James Lind.

3 W ziemi, powietrzu i wodzie roi się od drobniutkich, niewidocznych gołym okiem stworzeń (lac.).

107

- A ty w koło Macieju swoje, albo raczej: Strusiowe - skrzywił się. - Chociaż...

Przypominam sobie rozprawę o Contagium Gi-rolama Fracastoro, w którym powiada, że zarazy są przenoszone przez żywe nasiona chorobowe...

- Seminaria morbi.

- Właśnie. Masz dobrą pamięć. Z drugiej strony Fracastoro radzi na francę stosować gwajak miasto szaruchy, co nie wydaje mi się słuszne...

- A jeśli wielki Struś i ten Italczyk Fracastoro mieli rację? Jeżeli niewidoczne gołym okiem żyjątka, owe „kontagiony”, powodują nie tylko francę, lecz także drugie schorzenia, na przykład gorączkę węgierską?

- I cóż z tego? Jak walczyć z niewidzialnym?

- A gdyby tak osoby mające stałą styczność z zarażonymi zakładały na nozdrza i usta opaski z płótna nasączonego octem? Może wówczas owe małe żyjątka miałyby utrudniony dostęp do płuc? Przecież dlatego wspomniany Fracastoro zaleca izolować chorych i wykładać zarażone przedmioty, zwłaszcza odzienie... Czyż nie od ciebie dostałem opis, jak w ten właśnie sposób, dodatkowo zamykając domy zadżumionych, władze weneckie z dobrym skutkiem zapobiegały wielkiej fali „czarnej śmierci”, która nawiedziła ich przed kilkoma laty? Przypominam też sobie, że tamtejsi balwierze, wszak medycy razem ze swymi bogatymi pacjentami uciekli przed zarazą, zajmujący się ubogimi zarażonymi nosili długie opończe, rękawice, okulary i maski wypełnione ziołami, aby kontagion nie przedostał się z powietrza do organizmu przez pory skóry...

Już otwierał usta, by dać mi ostry respons, po czym popatrzył na mnie spod oka, namarszczył brwi i mruknął:

- Hmm... Pomyślę o tym. Acha, powiem ci na koniec, że ta choroba czasem powraca. Mam w niemocnicy żołnierza, który nabawił się jej przed laty na Węgrzech, przeżył, ozdrowiał, a teraz znów zachorzał.

Poszedł do swoich chorych, a ja, wracając przez brzołę Grodzką, za radą patra od szwagra rusznikarza kupiłem na borg kilka długich lontów, spory zapas prochu i kul (na wszelki wypadek) oraz parę rur, które miał przygotowane na lufy. Widziałem, że był zaintrygowany, choć o nic nie pytał, więc obiecałem mu później o wszystkim powiedzieć. Przy okazji zagadnąłem go o strzelanie do kura,

108

bo z wolna zbliżała się pora zawodów o ptasie królestwo. Ale powtórzył mi swoje postanowienie - dwakroć już zostawał królem kurkowym, raz strzelając z kuszy, raz z rusznicy, i na tym dość. Pobawiłem się chwilę z siostrzeńcami, pogwarzyłem z mleczną siostrą Hedwiżką i umówiliśmy się na rodzinne spotkanie w gospodzie w Wielką Niedzielę. Niziołek uradował się na wieść, że zabieram go ze sobą, bowiem uwielbiał wszelkie awantury, a ta zapowiadała się szczególnie zajmująco. A że niebezpiecznie, o czym go lojalnie uprzedziłem, tym lepiej. Ufał, że razem uda nam się wykaraskać z każdej obieży. Zazdrościłem mu tej wiary. Musieliśmy przy tym skrywać nasze zamiary nie tylko przed ludźmi Króla Żebraków, ale także przed domownikami, oprócz Niziołka nikt bowiem nie został wtajemniczony w moje sprawy i turbacje, chciałem bowiem oszczędzić cioteczce kolejnego strapienia. Na szczęście odkąd zaczął się Wielki Tydzień, a zwłaszcza gdy nadeszło Triduum Sacrum¹, zajmowały ją głównie sprawy Boże i niemal bez przerwy wysiadywała w kościele. W Wielki Czwartek już z rana pobiegła na poświęcenie olejów podczas mszy

Krzyżma Świętego, a wieczorem wypadało mi towarzyszyć jej w mszy inauguracyjnej Triduum. Kiedy zaś kapłani starym obyczajem obmywali nogi dwunastu żebrakom, uśmiełem się w duchu, choć to się nie godziło w uświęconym miejscu i tak szczególnej porze, ujrawszy pośród owej dwunastki Garbusa. Minę miał uduchowioną i pełną stosownej powagi, lecz wypatrzwszy mnie w tłumie, mrugnął do mnie szelmowsko. W Wielki Piątek mogliśmy się nareszcie spokojnie przygotować do roboty, ponieważ ciotka całe przedpołudnie spędziła na adorowaniu Krzyża, a potem poszła na procesję. Przeciągało ich tego dnia przez miasto kilka i tyleż było dźwigających krzyż osób poprzebieranych za Jezusa, któremu między innymi towarzyszyli kapnicy w szarych kapach na grzbiecie, biczący się do krwi.

W Wielką Sobotę wcześniej z rana odwiedziliśmy z Niziołkiem Grób Pański u Mariackiej fary, pilnowany przez drabów miejskich w pełnym rynsztunku, po czym umówiłem się z Krzychem Żeglarzem, że wieczorem pójdzie po proboszcza od Świętego Jana

1 Obecnie Triduum Paschalne.

109

1 i przypomni mu, że ma przyjść do karczmy i poświęcić świąteczne jadlo, które czekało już na stołach. Szczególnie cieszyły oko wielobarwne jajca, kraszone w Wielkim Tygodniu przez dziewczki służebne, którymi (jajcami, nie dziewczkami) mieliśmy się podzielić po powrocie z rezurekcji. Odczekaliśmy, aż cioteczka znów uda się na modły. Aby zmylić szpiegów Garbusa, wysłałem wcześniej Niziołka objuczonego jak wielbłąd i przed zmierzchem, uzbrojony po zęby, samopas wymknąłem się do Kaźmierza. Mimo dość późnej pory na ulicach kłębił się spory tłum ludzi zdążających do kościołów na nocne czuwanie w oczekiwaniu rezurekcji. W takiej ciżbie łatwo było się przemknąć niepostrzeżenie. Co mi się też, przynajmniej miałem taką nadzieję, udało. Niziołek czekał na moście Glinianym, zabawiając się pluciem do wody.

- No, nareszcie - odetchnął z ulgą na mój widok. - Jużem myślał, że nie zdążysz.
- Szlakował ktoś za tobą?
- Nikogo nie widziałem. A za tobą?
- Też chyba nie.

W istocie zdążyłem w ostatniej chwili, gdyż ledwie przekroczyliśmy bramę, zaraz ją zamknęto. Ulicę Krakowską także zapełniała ciżba zmierzających na rezurekcję. Zapadł zmierzch, zatem skończył się żydowski szabas. Stanęliśmy u wylotu ulicy Żydowskiej. Za niedługo, jak było umówione, zjawił się Izaak z latarką (i do tego z Rebeką, czego nie było w planie - widać się napierała i nie potrafił jej odmówić), by nas wprowadzić do Miasta Żydowskiego. Po drodze spotkała nas siurpryza. Całą szerokość Żydowskiej ulicy zajmowało kilkunastu żaków z miejscowej szkoły parafialnej, pod bronią i z latarkami, wzbraniając przejścia do Oppidum Iudaeorum. Dziś byli bardziej wojowniczy, niż gdym ich widział poprzednio, widać zbliżające się święto przydało im chrześcijańskiego ducha i wrogo nastroiło wobec „nieprzyjaciół Chrystusa”.

- Stać! - zawołał na nasz widok jeden z nich, wystąpiwszy przed szereg. Zaraz dołączył doń drugi, widać hetmanili owej młodzieży. -Dalej ani rusz bez kozubalca.
- Zadni młodziankowie - zagaiłem pojednawczo, pamiętając o Wilii Paschalnej, której nie godziło się sprofanować niepotrzebną sprzeczką. - Czy aby nie winniście o tej porze leżeć krzyżem w kościele, wspominając śmierć i zmartwychwstanie Zbawiciela

110

w

i przypomni mu, że ma przyjść do karczmy i poświęcić świąteczne jadlo, które czekało już na stołach. Szczególnie cieszyły oko wielobarwne jajca, kraszone w Wielkim Tygodniu przez

dziewki służebne, którymi (jajcami, nie dziewczkami) mieliśmy się podzielić po powrocie z rezurekcji. Odczekaliśmy, aż cioteczka znów uda się na modły. Aby zmylić szpiegów Garbusa, wysłałem wcześniej Niziołka objuczonego jak wielbłąd i przed zmierzchem, uzbrojony po zęby, samopas wymknąłem się do Kaźmierza. Mimo dość późnej pory na ulicach kłębił się spory tłum ludzi zdążających do kościołów na nocne czuwanie w oczekiwaniu rezurekcji. W takiej ciszy łatwo było się przemknąć niepostrzeżenie. Co mi się też, przynajmniej miałem taką nadzieję, udało. Niziołek czekał na moście Glinianym, zabawiając się pluciem do wody.

- No, nareszcie - odetchnął z ulgą na mój widok. - Jużem myślał, że nie zdążysz.
- Szlakował ktoś za tobą?
- Nikogo nie widziałem. A za tobą?
- Też chyba nie.

W istocie zdążyłem w ostatniej chwili, gdyż ledwie przekroczyliśmy bramę, zaraz ją zamknęto. Ulicę Krakowską także wypełniała ciżba zmierzających na rezurekcję. Zapadł zmierzch, zatem skończył się żydowski szabas. Stanęliśmy u wylotu ulicy Żydowskiej. Za niedługo, jak było umówione, zjawił się Izaak z latarką (i do tego z Rebeką, czego nie było w planie - widać się napierała i nie potrafił jej odmówić), by nas wprowadzić do Miasta Żydowskiego. Po drodze spotkała nas siurpryza. Całą szerokość Żydowskiej ulicy zajmowało kilkunastu żaków z miejscowej szkoły parafialnej, pod bronią i z latarkami, wzbraniając przejścia do Oppidum Iudaeorum. Dziś byli bardziej wojowniczy, niż gdym ich widział poprzednio, widać zbliżające się święto przydało im chrześcijańskiego ducha i wrogo nastroiło wobec „nieprzyjaciół Chrystusa”.

- Stać! - zawołał na nasz widok jeden z nich, wystąpiwszy przed szereg. Zaraz dołączył doń drugi, widać hetmanili owej młodzieży. - Dalej ani rusz bez kozubalca.
- Zacni młodziankowie - zagailem pojednawczo, pamiętając o Wilii Paschalnej, której nie godziło się sprofanować niepotrzebną sprzeczką. - Czy aby nie winniście o tej porze leżeć krzyżem w kościele, wspominając śmierć i zmartwychwstanie Zbawiciela

110

oraz rozważając naukę z tego płynącą? Zaklinam: poniechajcie nas i odejdźcie w pokój.

- Stul pysk! - jeden z wodzów machnął mi przed nosem okutą pałką. - Płać, pókim dobry, i bacz, by tylko na tym się skończyło.
- Stary i ci dwaj niech płacą, a od dziewczki weźmiem w naturze! - zaśmiał się ktoś w tyle.
- Ponoć Żydówki mają w poprzek! - zawtórował mu inny. - Kto chce sprawdzić?
- Ja!
- Ja!
- I ja!

Zapłoniona ze wstydu Rebeka schowała się za mnie, a wystraszony Izaak trzęsącą się ręką zaczął grzebać przy sakiewce.

- Ja zapłacę - powstrzymał go Niziołek głosem miękkim jak aksamit, podając Żydowi niesione przez siebie rury do potrzymania, aż ten ugiął się pod ciężarem dla olbrzyma niewiele znaczącym. -Lubię oddawać, co się komu należy.

- Ha, ha - zaśmiał się jeden z żakowskich hetmanów. - Niedźwiedz o zajęczym sercu!
- Ci duzi często tak mają - poparł go kompan. - No, wielkoludzie, dawaj mińce!

Wiedziałem, co stanie się za chwilę. Im bardziej Nizioł udawał spokój, tym więcej kipiał od środka. Wcale nie przepadał za Żydami, za to bitki go pasjonowały, poza tym poczuł się urażony. W tym stanie wielce przypominał rozjuszonego bojowego elefanta z armii Hannibalowej.

- Niziołku - rzekłem mitygująco, równocześnie przekładając za siebie ładownicę z kulami i lontami, by mieć swobodę ruchów. - Pomnij na dzień święty. A przynajmniej na piąte przykazanie.

- Dam baczenie - zapewnił.

I natychmiast, bez żadnego ostrzeżenia, skoczył na ową dwójkę na przodku i pochwycił w swe ogromne dłonie ich głowy, zderzył je ze sobą. Rozległ się nieprzyjemny, tępy stuk i oba żaki bez przytomności padły na tret. Drudzy jeszcze gapili się na nich z przerażeniem, gdy inni rzucili się na Niziołka. W jednej chwili dobry tuzin napastników oblepił olbrzymia niczym rój łakomych szerszeni plaster miodu. Nie mogąc się dopchać do ofiary, jedni drugim wskakiwali na plecy i wspinali się na ramiona.

111

oraz rozważając naukę z tego płynącą? Zaklinam: poniechajcie nas i odejdźcie w pokój.

- Stul pysk! - jeden z wodzów machnął mi przed nosem okutą pałką. - Płać, pókim dobry, i bacz, by tylko na tym się skończyło.

- Stary i ci dwaj niech płacą, a od dziewczki weźmiem w naturze! - zaśmiał się ktoś w tyle.

- Ponoć Żydówki mają w poprzek! - zawtórował mu inny. - Kto chce sprawdzić?

- Ja!

-Ja!

- I ja!

Zapłoniona ze wstydu Rebeka schowała się za mnie, a wystraszony Izaak trzęsącą się ręką zaczął grzebać przy sakiewce.

- Ja zapłacę - powstrzymał go Niziołek głosem miękkim jak aksamit, podając Żydowi niesione przez siebie rury do potrzymania, aż ten ugiął się pod ciężarem dla olbrzymia niewiele znaczącym. -Lubię oddawać, co się komu należy.

- Ha, ha - zaśmiał się jeden z żakowskich hetmanów. - Niedźwiedź o zajęczym sercu!

- Ci duzi często tak mają - poparł go kompan. - No, wielkoludzie, dawaj mińce!

Wiedziałem, co stanie się za chwilę. Im bardziej Nizioł udawał spokój, tym więcej kipiał od środka. Wcale nie przepadał za Żydami, za to bitki go pasjonowały, poza tym poczuł się urażony. W tym stanie wielce przypominał rozjuszonego bojowego elefanta z armii Hannibalowej.

- Niziołku - rzekłem mitygująco, równocześnie przekładając za siebie ładownicę z kulami i lontami, by mieć swobodę ruchów. - Pomnij na dzień święty. A przynajmniej na piąte przykazanie.

- Dam baczenie - zapewnił.

I natychmiast, bez żadnego ostrzeżenia, skoczył na ową dwójkę na przodku i pochwycił w swe ogromne dłonie ich głowy, zderzył je ze sobą. Rozległ się nieprzyjemny, tępy stuk i oba żaki bez przytomności padły na tret. Drudzy jeszcze gapili się na nich z przerażeniem, gdy inni rzucili się na Niziołka. W jednej chwili dobry tuzin napastników oblepił olbrzymia niczym rój łakomych szerszeni plaster miodu. Nie mogąc się dopchać do ofiary, jedni drugim wskakiwali na plecy i wspinali się na ramiona.

111

- A masz!

- Naści, żydku!

- Bij, zabij!

- Na pohybel parchom!

Nie bacząc na ciężące mu brzemię, Izaak zdradzał wielką ochotę, by dać drapaka, póki scholarzy zajmowali się kim innym. Widziałem to w jego oczach. Z kolei w oczach Rebeki ujrzałem fascynację niezwykłym widowiskiem. Ścisnąłem mocno ramię starego Żyda i zmusiłem go, by razem z nami oddał się podziwianiu batalii. Niziołka w ogóle nie było widać

spod żaków, ale, acz zdawało się to niemożliwe, nie ugiął się pod ciężarem. Wtem ryknął potężnie jak prawy niedźwiedź. Po chwili pół tuzina natrętów odpadło od niego, lądując w rynsztoku. Wciąż rycząc, wielkolud odrywał kolejnych i bez wysiłku odrzucał ich na bok. Na koniec ściągnął z grzbietu ostatnią dwójkę, która uczepiła mu się karku niczym kleszcze, i przerzucił ich przez głowę. Po czym wziął się pod boki i potoczył okiem po pobojowisku. Jedni wciąż leżeli, jęcząc i pochlipując, kilku wydobyło ukryte dotąd kordy i postąpiło ku wyrwidębowi z groźnymi minami, pozostali chcieli czmychnąć, lecz wyjąłem pistolety i zawołałem:

- Ani kroku! I nadstawić pilnie uszu, bo coś czuję, że z okazji Wielkiej Nocy mój druh chce wam coś powiedzieć.

- Chcę - potwierdził Nizioł, nawet niezdyszany. - Ale będę kazał krótko. To było jeno ojcowskie napomnienie. Jeśli wszak się dowiem, żeście znowu napastowali tych dwoje - paluchem jak laska kiełbasy wskazał Żyda i jego córkę - tedy wróć tu i facecje się skończą. Dlatego zakarbujcie ich sobie dobrze w pamięci. To tyle w kwestii tchórzliwych wielgusów. Już was tu nie ma!

Ci, którzy jeszcze trzymali się na nogach, pozbierali poturbowanych i z ponurymi minami oddalili się czym prędzej. Wielkolud otrzepał się i poprawił nieco poszarpane odzienie.

- Kacper... - z zakłopotaniem podrapał się w czerep. - Które to piąte przykazanie? Nie kradnij?

- Nie zabijaj.

- No pewnie! - ucieszył się. - Wiedziałem, tylko zahaczyłem. I coś mi nie pasowało... Nieco rozgrzani wstępny bojem, doszliśmy na miejsce. Ja już swą ciekawość zaspokoilem, lecz Niziołek rozglądał się bacznie,

112

bowiem poprzednim razem, tropiąc skradzioną pieczęć (mój Boże, to już dziesięć lat z okładem!), bawiliśmy w Oppidum Iudaeorum raczej krótko. Pod synagogą Remuh czekał rabbi Heller i dwunastu Żydów w różnym wieku z tobołkami pod pachą.

- Nadadzą się? - spytałem z powątpiewaniem, spoglądając na ową zbieraninę równie krytycznym wzrokiem jak oni na nas.

- Na pewno. Kilku z nich to członkowie Chewra Kadisza, bractwa pogrzebowego, dla nich kirkut jest jak dom - odparł rabin, zbytnio nie dodając mi wszak otuchy.

Pożegnaliśmy się z Izaakiem i Rebeką, która skorzystała z szerokich jak parawan płuc i Niziołka i niepostrzeżenie musnęła mi wargami policzek, po czym poszliśmy na kirkut, by jeszcze za dnia poczynić przygotowania. Wpierw wyznaczyłem każdemu z wolenta-rzy jego miejsce, a następnie przestrzegłem, by pod żadnym pozorem nie ujawnili się, zanim Niziołek nie da umówionego sygnału. Potem upewniłem się, że wszystko pojęli, bowiem nie wszyscy mówili dobrze po polsku, później wspólnie odszukaliśmy miejsca, w których trupi smród był szczególnie dotkliwy, i tam wbiliśmy przyniesione rury tak, że tylko trochę wystawały ponad powierzchnię. Z kolei przeciągnęliśmy z Niziołkiem przyniesione lonty od wylotów luf do ustronnego miejsca między murem synagogi a płytami nagrobnymi rodziny Isserlesów, gdzieśmy uczynili sobie kwaterę. Akurat kiedy już wszystko zostało ustalone, zapadła zupełna ciemność i nadbiegł chłopiec wysłany do strażników kaźmierskich, z wieścią, że kupa hałastry, licząca z kopę łapserdaków, wyszła z miasta tuż przed zamknięciem brony Glinianej. Musieliśmy się z nimi rozminąć o włos. Teraz miałem pewność, że hultajstwo czai się gdzieś w krzakach po drugiej stronie muru. Rabin zabrał swoich do synagogi, by uczynili użytek z tego, co ze sobą przynieśli, zaś my z Niziołkiem zajęliśmy stanowisko. Nabiliśmy pistolety i ułożyliśmy je na nagrobku rabiego Remu, żeby móc szybko po nie sięgnąć, gdyby koncept mój i zwłaszcza Hellera zawiodły i jednak przyszło do walki. Nie miałem złudzeń co do jej wyniku i zamierzałem jedynie zabrać ze sobą do piekła tylu łotrów, ilu się da. Może

Lucyfer porachuje mi to w poczet zasług i w nagrodę przydzieli chłodniejszą kwaterę. Żal mi było tylko Niziołka, właśnie sprawdzającego swoją hubkę i krzesiwo.

1 Pleców.

113

Wrócili Żydzi, więc rozprowadziłem ich na miejsca, kazałem zaleć, nie ruszać się bez rozkazu i nade wszystko - nie zasnąć.

Wróciłem do Niziołka i dla niepoznaki uczerniliśmy sobie węglem gęby. Noc była nadspodziewanie ciepła i pod gołym niebem byłoby nam całkiem przyjemnie, gdyby nie ohydny cuch unoszący się wokół, który wszak wyjątkowo mnie radował. Poza tym, choć starannie to ukrywał, wiedziałem, że Niziołek nie był zachwycony sytuacją. Nieustraszony wobec ludzi, lękał się duchów i rozmaitych nadprzyrodzonych dziwów, które zaludniały jego na poły dziecinną imaginację, dlatego jeszcze raz objaśniłem go szeptem, co Heller wymyślił, czego należy oczekiwać i dlaczego nie ma powodu do obaw.

Nasze czuwanie mogło trwać godzinami i zaiste trwało tak długo, iż kleiły mi się oczy. Ocknąłem się, kiedy zaczął bić dzwon Zygmunt, a zaraz potem nocną ciszę rozdarł huk armat. Po tym poznałem, że na Wawelu zaczęła się już procesja rezurekcyjna. Katedra była bowiem jedynym kościołem, w którym rezurekcję rozpoczynano wieczorem, podczas gdy w pozostałych - dopiero po północy. Równocześnie Niziołek potrząsnął silnie moim ramieniem. - Są - szepnął.

Zerwałem się i podskoczyłem do cmentarnego muru. Niziołek przygiął się, a ja się wspiąłem na jego grzbiet i wyjrzałem ostrożnie. Wnet posłyszałem dźwięk, który obudził czujność olbrzymia. Był to stuk haka, który błysnął pośród ciemności i tym razem zaczepił się o występ muru miejskiego tuż obok furty. Po chwili na szczycie muru ujrzałem jedną sylwetkę, potem drugą. Przełożyli linę na naszą stronę i zręcznie zsunawszy się po sznurze, zaczęli zdejmować antaby z furty i wyłamywać kłódkę. Zatem nie potrzebowali nawet tarana! Kiedy otwierana furta lekko skrzyknęła i jał się przez nią wlewać tłum najezdników, nie czekałem, aż sforsują dużo niższy mur cmentarny. Zeskoczyłem z pleców Niziołka, pociągnąłem go do naszej kryjówki i szepnąłem, by ostrzegł pozostałych. Nabrał tchu, przyłożył dłoń do ust i wydał z siebie dźwięk podobny do głosu sowy, jaki wydaje lecący lelek: szrui, a potem charakterystyczny warkot wydawany przez tego nocnego marksa: errorrrerrrr... Miałem nadzieję, że schowani Żydzi usłyszeli ostrzeżenie. Klepnąłem olbrzymia w ramię i obaj skrzesałiśmy ogień, podpalając końcówki lontów. Pelgające tuż przy ziemi i syjące iskrami ogniki pomknęły do celu.

114

mł

Dobrze to sobie wyliczyłem. Rabusie akurat wdrapali się na mur cmentarny i zeskakiwali na dół, zbyt zaambarasowani, by pilnie rozglądać się wokół. Zresztą tłące się lonty były ledwo widoczne pośród grobów. Oczekałem jeszcze chwilę, po czym szturchnąłem Niziołka, który tym razem wydał z siebie donośne pohukiwanie puszczyka.

Dwie rzeczy zdarzyły się niemal równocześnie. Raptem tam, gdzie za radą ojca Rocha wbiłem w ziemię rury, buchnęły w górę niebieskawe płomyki, po czym ogień jał się przerzucać z miejsca na miejsce, aż cały kirkut stanął w niesamowitej poświacie.

Rozpoznałem łotra, który szedł na czele grasantów. Był to ów Jednooki, który wtargnął do szpitala Duchaków. Zaś na murze, niczym hetman dowodzący bitwą, stał Garbus. Zatem w istocie mieliśmy przeciw sobie połączone siły hultajstwa z obu bratnich miast, a może nawet z wszystkich pięciu. Król Żebaków właśnie przyłożył dłoń do ust, zapewne by rzucić jakiś rozkaz, lecz nie zdążył. Bowiem w tej samej chwili z grobów powstały upiory. Straszne, białe, niefo-remne postacie, które wyciągnęły przed siebie ramiona i w milczeniu jęły z wolna postępować ku napastnikom. Bałem się tej chwili. Nie chciało mi się wierzyć, żeby taka prymitywna sztuczka, w sam raz dobra dla co strachliwszych dzieciaków, podziałała na

zatwardziałych łotrów, którzy niejedno widzieli i nie lękali się samego diabła. A jednak Heller okazał się lepszym znawcą natury prostaczków ode mnie. Wystarczyło popatrzeć na Niziołka, który, choć uprzedzony, dygotał jak w febrze. Nagle uwierzyłem, że to co na trzeźwy rozum zdawało się niemożliwe, może się udać.

Jako i dla hultajów, których osobliwe światło zastało stłoczonych pod murem, było to zbyt wiele. Wrzasnęli dziko tak, że posłyszano ich chyba aż na rynku w Krakowie, i tratując się nawzajem, pierchali jeszcze szybciej, niż przyszli, na łeb na szyję forsując cmentarny mur. Próżno Król Żebraków, równie sceptyczny wobec cudów-niewidów jak ja, wydzierał się drżącym z wściekłości głosem: - Głupcy! Wracać mi zaraz! Nie dajcie robić z siebie idiotów! Durnie, półgłówki, tchórze przebrzydłe! Wracać do stu diabłów, powiadam, bo wam łby porozwalam!

Na nic to się zdało. W parę minut było po wszystkim. Na cmentarzu zapanowała cisza i zostało kilka porzuconych drabin oraz pół tuzina trupów tych, którzy skręcili kark, spadając, lub zostali zdeptani przez kompanów.

115

Zaświeciłem latarki, które mieliśmy przygotowane, i podczas gdy Żydzi, z pobielonymi twarzami i dłońmi, wedle konceptu rabina Hellera przebrani w rytualne białe gieźła pośmiertne, krzyczeli i tańczyli z radości między grobami, my dwaj poszliśmy obejrzyć najezdni-ków. Pięciu nie żyło. Byli to pospolici hultaje, obdarci, cuchnący i zbrojni lada jak. Szóstym był Jednooki. W jego piersi tkwił nóż. Widocznie tak mu zapłacono za nieudany szturm. Pewnie własnoręcznie uczynił to Garbus. Gdy przewróciłem go na wznak, jęknął i otworzył oczy. Choć byłem uczerniony, poznał mnie.

- To ty... Zapłacisz za to... - wyszeptał, po czym wyprężył się, gdy z ust pociekł mu strumyczek krwi, i umarł.

- Co rzekł? - spytał Niziołek.

- Nic. Możesz go obszukać. Co znajdziesz, to twoje'.

Poradziłem rabinowi, by korzystając z otwartej furty, pozbierać trupy i zaciągnąć je do rzeki. Wzdragał się z początku, lecz w końcu uległ, pojmując, że dzięki temu uniknie niewygodnych pytań i spowoduje, że sprawa zostanie zamknięta, jakby się nigdy nie zdarzyła. Za murem także panował już spokój, hultajstwo gdzieś się rozproszyło. Znaleźliśmy tylko jeszcze jednego trupa, porzuconego przez towarzyszy. Podczas gdyśmy raczyli się winem przyniesionym przez rabina, jego ludzie taszczyli ciała do Wisły, po czym na powrót zawarli furtę. A wszystko w asyście chyba połowy mieszkańców Oppidum Iudaeorum, w tym niemałej gromady dzieci, bo jakimś sposobem wszyscy już wiedzieli, co się zdarzyło, i każdy miał na ten temat swoje zdanie, a czy miał, czy nie, pragnął zacerpnąć nowin u źródła. Toteż zaczepiano nas, poklepywano i częstowano ciastem i winem, aż trudno było się opędzić. Ale musieliśmy wracać, więc obmywszy tylko twarze, mocno zmęczeni mogliśmy nareszcie opuścić Miasto Żydowskie, zanim na głucho zawalono furtę głazami i belkami, umówiwszy się z rabbim Hellerem, że nagrodę odbierzemy u Izaaka w jego kramie. Dostaliśmy latarkę, znalazło się też jakieś czółno, którym dwóch Żydów przewiozło nas na drugą stronę Starej Wisły.

Dopiero gdy przewoźnicy odpłynęli, pojąłem, jaki popełniliśmy błąd. Powinniśmy pożyczyć łódkę i popłynąć sami albo kazać się zawieźć aż do Nowego Światu, i to okrężną drogą, dookoła Kaźmierza, tymczasem wylądowaliśmy na Brzegu Miejskim, najbardziej zapowietrzanej dzielnicy Krakowa. I dosłownie, gdyż niedaleko znajdował się szpital Świętego Sebastiana, i w przenośni. Na skraju

116

łak Świętego Sebastiana, podmokłego błonia położonego między Brzegiem Miejskim a Stradomiem, na tyłach kościoła i klasztoru Bożogrobców pod wezwaniem Świętej Jadwigi, znajdował się „Raj”, a opodal, między murem klasztornym a Wisłą - „Piekło”. Podobnych przybytków było w Krakowie kilka. „Raje” i „Piekle” były to podmiejskie ogrody, w pogodnej i wolnej od pracy dni w tamtejszych tancbudach, będących zarazem karczmami, noclegowniami i zamkami, jak i pobliskich krzakach rośli się od podejrzanych typów i dziewczek z półświatka, na potęgę uprawiających ożralstwo, lasciwie i pozostałe grzechy główne i pomniejsze.

Było dobrze po północy, zatem wyciągaliśmy rażno nogi, mając sporą drogę do przebycia. Szliśmy czujnie, by nie wpaść na hultaj przebierających się do Krakowa starym złodziejskim szlakiem - przepływając pod murem miejskim opodal brzozy Grodzkiej, kędy wypływała obiegająca miasto i zasilająca fosę Rudawka. Zapewne większość z nich tak uczyniła po nieudanej napaści na synagogę, pragnąc jeszcze tej nocy odkuć się nieco, odejmując sakiewki wiernym licznie nawiedzającym kościoły. Powiniennem jednak przewidzieć, że jeśli Garbus podejrzewał mnie o pomaganie Żydom i obwinał o swoją klęskę, zechce na nas zastawić pułapkę, kiedy będziemy wracać do domu. My zaś, niby prawe barany idące na rzeź, leżliśmy mu prosto w łapy.

Prawdziwie ciepłe dni wiosenne dopiero miały nadejść, więc owe przybytki pod chmurką, biorąc także pod uwagę dzień święty, powinny świecić pustkami, ale tak niestety nie było. O ile „Raj” udało nam się jeszcze obejść szczęśliwie, to w „Piekle” fortuna nas opuściła. Chociaż przebieraliśmy się samym nabrzeżem, a ja dyskretnie oświetlałem drogę latarką przysłoniętą połą opończy, to i tak wpadliśmy na jakąś parę bezwstydnie gzącą się w nadrzecznych krzakach. Narobili wrzasku i choć zaraz zgasilem latarkę, dostrzeżono nas. Zewsząd wyłaniały się z mroku jakieś postacie i biegły ku nam, nawołując się w głos.

- Tam są!
- To oni!
- Kto?
- Ci, co popsowali nam sprawę z Żydami!

1 Już nieistniejący.

117

- Skąd wiesz?
- Od Garbusa. Ej tam, żywcem ich brać!
- Po co?
- Król Żebraków chce osobiście obłupić ich ze skóry.

Zrobiło mi się gorąco. Zapragnąłem ochłody.

- Do wody - szepnąłem Niziołkowi do ucha i przygięci do ziemi pomknęliśmy ku rzece.
- Stój!

Poczułem, że ktoś złapał mnie za połą. Nie odwracając się, machnąłem za się ręką, w której trzymałem latarkę. Rozleciała się w drzazgi, ale posłyszałem jęk i byłem wolny. Zsunęliśmy się do wody i wleźliśmy w najgęstsze szuwary. Zamierzaliśmy popłynąć pod prąd i zniknąć z oczu prześladowcom w zupełnym mroku pod mostem Glinianym, ale w tej chwili właśnie tam zapaliły się pochodnie i zobaczyliśmy kilka czółen, dotąd uwiązanych do mostowych pali, jak odrywają się od nich i płyną w naszą stronę. Przebóg! Ludzie Garbusa obstawili wszystkie drogi do Krakowa, że i mysz by się nie prześliznęła. Całe szczęście, żeśmy jednak nie popłynęli łodzią, bo bez ochyby wpadlibyśmy im prosto w łapy. Ciekawiło mnie, czy Ślepiec lub któryś z jego ludzi w samej rzeczy nas rozpoznał, czy po prostu Król Żebraków okazał się aż tak zapobiegliwy i przewidujący. Nie miało to wszak żadnego znaczenia dla mojej skóry, do której byłem coraz mniej przywiązany, ale nie zamierzałem pozwolić się z niej obdrzeć byle hultajstwu.

- I co teraz? - mruknął olbrzym.

W jego głosie, mimo iż sytuacja nie napawała optymizmem, nie pobrzmiwał strach. Wielkolud ufał w swoją siłę, a jeszcze bardziej w mój rozum. Przynajmniej to drugie było bezzasadne, lecz nie miałem sumienia go o tym informować akurat teraz.

- Ciii - syknąłem, bo po wodzie głos niesie daleko.

Sięgnąłem do boku po sztylet, wyrwałem dwie trzciny, przyciąłem je gdzieś na dwa łokcie długości i jedną rurę wręczyłem Niziołkowi, na migi pokazując mu, żeby płynął pod wodą. Pokiwał energicznie wielkim łbem na znak, że pojął.

- Spotkamy się za kościołem Świętej Agnieszki - szepnąłem, wsadziłem sobie koniec rury w usta i zanurzyłem się.

Woda była zimna i ciemna, że oko wykol. Starąłem się trzymać blisko brzegu i nie zanurzać zanadto z obawy, żeby nie zachłysnąć

118

się wodą, ale też nie chciałem wyróżnić głową o któreś z szukających nas członów. Jakoś udawało mi się unikać wszelkich zagrożeń, aż w końcu wpadłem na przeszkodę, która po dokładniejszym macaniu okazała się mostowym filarem. Wynurzyłem się ostrożnie, wystawiając na powierzchnię tylko oczy i usta. Na wyciągnięcie ręki miałem rufę łodzi, w której ktoś siedział. Na szczęście obrócony do mnie plecami i zaaferowany poszukiwaniami w dole rzeki. Głos po wodzie w istocie rozchodził się daleko, dlatego i ja słyszałem wszystko wybornie.

- Widzisz co?

- Nic. A ty?

- Też nic.

- Toć byli tu, dobrzem widział.

- Ale teraz ich sam nie masz...

- Ki diabeł? Rozwiali się w powietrzu jak dym czy co?

- Laboga! Siła nieczysta to sprawiła!

- Stul dziób, durniu, i lepiej weź ślepią w garść, a nie gadaj byle czego. Muszą sam być, toć nie odfrunęli!

- Gdzie Paszko? Płynął obok mnie...

- A bo ja wiem? Znajdzie się. Szukaj tamtych.

Musiałem jakoś unieszkodliwić strażnika w łodzi, bo Niziołek mógł nie mieć tyle szczęścia co ja i wpaść na niego. Wystarczyło, by tamten podniósł raban, a bylibyśmy zgubieni.

Właśnie rozważałem, w jaki sposób się do niego najłacniej dostać, gdy stracił cierpliwość, odwiązał czołno i popłynął do kamratów, nieświadom, jak niewiele dzieliło go ód nagłej śmierci. Odetchnąłem z ulgą, bo wbrew pozorom podrzynanie ludziom gardła, łamanie im karków, duszenie lub topienie nie należały do moich ulubionych rozrywek. Odrzuciłem trzcinę i popłynąłem naprzód, zanurzając się jedynie co jakiś czas. Po blasku świec i ludzkim gwarze poznałem, że minąłem kościół Świętej Agnieszki. Jakieś sto kroków dalej wylazłem na brzeg. Brodząc przez sitowie, usłyszałem stłumiony głos:

- Kacper, to ty?

-Ja.

- Sam tu bywaj.

Ucieszyłem się, że i Niziołkowi udało się wyrwać z saka. Przedarłem się do niego przez oczerety i zdębiałem. Siedział sobie wygodnie na ławeczce w łódce i dla rozgrzewki objął boki rękoma.

119

m

- Właż - wyciągnął łapę i pomógł mi wdrapać się do czołna.

- Skąd to masz? - stuknąłem w burtę.

- Pożyczyłem sobie...

Przypomniał mi się niejaki Paszko (zapewne już nieświętej pamięci), daremnie wypatrywany przez kamratów.

- ... Bo widzisz... Zahaczyłem ci powiedzieć, że nie umiem pływać.

Machnąłem ręką, pozbyłem się obrzydliwie oślizłych wodorostów, które powłaziły mi za koszulę i do włosów, i odbiliśmy od brzegu. Szczękałem zębami z zimna, więc żeby się rozgrzać, wiosłowałem z zapalem. Minęliśmy wyludnioną osadę Rybaki, której mieszkańcy zapewne bawili na rezurekcji u Świętej Agnieszki, i ostępów Tatarski po drugiej stronie. W karczmie „Smocza Jama” pod Wawelem mimo wielkiego święta hulano na całego, czego odgłosy niosły się po rzece. Ze względu na to, że nigdy nie brakowało tu zbójców (sam przed laty spotkał się z Garbusą), odbiliśmy na środek pławu, by nas nie dostrzeżono. Nareszcie dobiliśmy do brzegu na wysokości portu rybackiego, nigdzie nie napotykając żywego ducha. Wywlekliśmy czółno na piach, po czym groblami przebyliśmy Nowy Świat, również przez nikogo niezaczepli. Śmierdziało rybami. Ale wcale nie z pobliskich stawów ani od nas. Cuchnęły zniecierpliwione postne śledzie, którymi, szykując się do świątecznej wyzerki, od piątku z mściwą satysfakcją obwieszano przydrożne krzaki. Gdyśmy dochodzili do brzozy Szewskiej, wyszedł księżyc i noc pojaśniała. Teraz czekało nas najgorsze zadanie. Rozdzieliliśmy się do rosołu i dzierząc rzeczy nad głową, przeprawiliśmy przez fosę. Nie śmierdziało po prawdzie tak jak w lecie, lecz znałem kilka większych przyjemności od brodzenia w zimnej i mulistej wodzie (wolałem nie myśleć po czym stąpać, zwłaszcza gdy wpadałem na coś miękkiego). Trzeba przyznać, że czego jak czego, ale różnego smrodu nałykali się tej nocy do syta. Podzwaniając zębami, odziliśmy się szybko, po czym wyjąłem z kieszeni pęk wytrychów (przydatną pamiątkę po pewnym starym włamywaczu, która już nieraz oddała mi nieocenione przysługi) i nieco zmitrężywszy z powodu ciemności, otworzyłem nieużywaną furtę w murze u wylotu ulicy Świętej Anny, przez którą wśliznęliśmy się do miasta.

Od razu znaleźliśmy się jakby w innym świecie. Z kościołów dobiegały głośne modły, przed domami, inaczej niż zazwyczaj, paliły

120

* m r

się latarnie, ostatni spóźnialscy, ze świecami w rękach, zdążali na rezurekcję lub z niej wracali. Uważano bowiem, że Wielka Niedziela zaczynała się już w sobotę po zachodzie słońca i w niektórych kościołach mszę rezurekcyjną odprawiano przed północą, lecz zdarzało się to rzadko, a najczęściej - głęboką nocą, aby skończyć tuż przed świtaniem. Zapewne szło tu o symboliczne zestawienie nocy, pory śmierci, ze światłem poranka oznaczającym zmartwychwstanie i nowe życie, ale nie byłem tego pewny, gdyż teologiczne zawilości jakoś nigdy mnie nie pociągały, ku utrapieniu ojca Rocha i świątobliwej cioteczki. Wiedziałem tylko, że prawi chrześcijanie nie powinni spać tej nocy, kiedy Chrystus swym Zmartwychwstaniem obdarowywał ich wiecznym zbawieniem. Cóż, ten warunek spełniliśmy, tuszyłem także, że dobry Jezus nie weźmie mi za złe, iż miał spędzić noc na oddawaniu Mu należnej czci, pomagałem Żydom uchodzącym za nieprzyjaciół chrześcijan. Co do Niziołka, to tego rodzaju dubia nie miały doń przystępu. A swoją drogą, pośród tych, co biegali tej nocy od jednego kościoła do drugiego i z jednej procesji na drugą, roilo się od rzezimieszków, dla których był to czas najowocniej szych łowów. Szybko, przemykając bocznymi uliczkami i kryjąc się pod ścianami, dotarliśmy do domu, jeszcze szybciej przebraliśmy się w suche rzeczy, z grubsza opowiedziawszy zostawionemu na straży Krzychowi nasze przygody i zakazawszy mu wspominać cokolwiek cioteczce, i zaraz znów wyszliśmy.

Jak nam się zdało, nikt za nami nie szlakował, kiedy dochodziliśmy do kościoła Panny Marii, bacząc, by nie pośliznąć się gdzieś na skorupie lub nie wdepnąć w kałużę rozlanego postnego żuru, bowiem mszcząc się na nim (jak na śledziach), gospodynie rozbijały garnki z żurem

nawet jeszcze w Wielką Sobotę. Dotarliśmy do fary w samą porę. Właśnie przed świątynią trwało poświęcenie ognia, od którego odpalano pascha! wniesiony następnie do wnętrza, wierni zaś zapalali przyniesione świece. Głupio mi się jakoś uczyniło, gdy pomyślałem ze wstydem, że oto zabrałem ze sobą do domu Pańskiego sztylet, a świec zahaczyłem wziąć. Wtem Niziołek sięgnął w przepastne czeluście swego kaftana, wyjął dwie świece

1 W przeciwieństwie do czasów obecnych, kiedy ta właśnie pora jest zalecana przez Kościół. Występująca tu i ówdzie tradycja porannej rezurekcji w Wielką Niedzielę pochodzi z kolei z okresu zaborów, kiedy nie wolno było urządzać nocnych zgromadzeń.

121

i bez słowa jedną wcisnął mi do dłoni. Przeto niczym nie różniąc się od drugich, za wszystkimi weszliśmy do kościoła. W tak ogromnej ciżbie nie wypatrzyłem cioteczki, za to dostrzegłem, oprócz wielu znajomych, brata mlecznego Jędrzeja i jego żonę Margotkę, lecz i od nich oddzielił mnie tłum. Nie zeszlśmy się nawet podczas uroczystej procesji z Najświętszym Sakramentem wokół fary i cementarza. Tylko z Niziołkiem udało nam się trzymać razem i po odśpiewaniu Te Deum jako jedni z pierwszych opuściliśmy świątynię. Promienie jutrzienki właśnie rozjaśniały noc i rozdzwoniły się wszystkie dzwony w mieście. Wiedząc, że cioteczka znajduje się pod dobrą pieczę, solidnie zmordowani pospieszyliśmy do domu przed wszystkimi. Długie moczenie w zimnej wodzie, szybki marsz i stanie w kościele nie posłużyły mi najlepiej. Rwało mnie w boku, a noga odmawiała posłuszeństwa. Marzyłem, żeby się położyć, a przynajmniej wygodnie usiąść. Fortunnie nikt nie nastawał na nas po drodze, nikt nie czyhał przed gospodą. Właśnie gratulowałem sobie w myślach, że udało mi się przechytryć całe bractwo żebraków i hultai wraz z ich Królem, kiedy Niziołek stanął jak wryty, złapał mnie za ramię, drugą ręką pokazując drzwi i rzekł:

- Spójrz!

Wysoko, na ocapie, gdzie po tegorocznej kolędzie pozostał napis „K + M + B A.D. 1580”, widniał duży zakrwawiony nóż, na dobry cal wbity w buksztabę K.

ROZDZIAŁ 3 | SPOTKANIE

Wilno, maj 1580 roku

Posel moskiewski Grigorij Afanasiewicz Naszczokin, wschodnim obyczajem na kolana przed królem padłszy, bił czołem przed majestatem, dopóki zniecierpliwiony Batory nie nakazał mu:

- Powstańcie, panie pośle, i mówcie, z czym przybywacie. Byle tym razem dorzecznie.

- Najjaśniejszy panie, to co mam teraz rzec, kazano mi wyjawić poufnie - poseł znacząco powiódł wzrokiem po obecnych: Mikołaju Radziwille „Rudym”, wojewodzie wileńskim Eustachym Wołłowiczu, kasztelanie trockim oraz kanclerzu Zamojskim. - Dlatego ośmieliłem się prosić o posłuchanie w cztery oczy...

- Przed owymi panami nie mam sekretów - uciał król. - Mów albo odejdz, wolna wola. TU nie Moskwa.

Posel ze zrezygnowaną miną rozpoczął:

- Pan mój, car Wszech Rusi, bolejąc nad rozlewem krwi chrześcijańskiej, gotów jest ponieść ofiarę, byle do zgody oba zwaśnione narody przywieść...

- Baśnie to te same co zawsze! Aż słuchać hadko! - burknął Batory. - Lepiej niech pana Bazylego Łopacińskiego, którego mu wypowiedzenie wojny zawiózł, uwolni, bo przeciw to dobrem obyczajom jest, by posła niewolić.

- Dlatego wyprawi nowe poselstwo, pod tym jednak warunkiem, że do tego czasu rozejm nastanie, zaś wasza królewska mość zechcesz na posłów czekać w Wilnie - ciągnął poseł niewzruszenie. - Albowiem stary to obyczaj i zaszczyt, który poprzednicy waszej królewskiej mości zawsze respektowali i wyrządzali posłom moskiewskim, by im w stolicy Korony lub Wielkiego Księstwa posłuchanie dawać. Zaś pan Łopaciński wypuszczony będzie, gdy tylko wojska obu monarchów nazad się wróca, jak to obiecano w listach,

które waszej królewskiej mości wprzód przywiozłem. Mój pan zaklina waszą królewską mość jak brata najmilszego...

- Brata! - sarknął Batory, który, aby zapobiec śmierci wielu żołnierzy i cywilów, jeszcze przed wybuchem poprzedniej kampanii zaproponował Iwanowi pojedynek dla rozstrzygnięcia sporu o Inflanty; Iwan Groźny, który do odważnych nie należał, szermierzem też był kiepskim (lubił jedynie ścinać głowy bezbronnym, a to jednak nie to samo), wyzwanie odrzucił, tłumacząc, że car jako władca dziedziczny stoi o wiele wyżej i nie wypada mu się bić z królem elekcyjnym, którego nawet nie chciał, jak wypadało, zwać „bratem”, a tylko „sąsiadem”. - Toć niedawno jeszcze twój gosudar ledwie „sąsiadem” raczył mnie zwać. A przecież ja zaniejszy jestem, bo mnie cnota, a nie żywot kobiety, królem uczyniła! Panowie litewscy przyklasnęli królowi, lecz poseł milczał, skrzywiony nieznacznie, gdyż oto przypomniano mu, że Polacy nie uznawali tytułu cara (cesarza), jaki gosudar (wielki książę) Iwan przybrał w 1547 roku, po staremu nazywając go wielkim księciem, a poza protokołem po prostu Moskiewskim.

- Jako iż widzę, żeś nic nowego nie rzekł, jeno te same czcze wymysły dla zyskania na czasie, tedy zanieś, pośle, swemu panu takowy respons - rzekł na koniec Batory. - Jeśli wielki książę chce, niech śle następnych posłów, a my ich chętnie przyjmujemy i wysłuchamy, chociażby nawet w obozie wśród szczęku oręża, gdzie zapewne najpotrzebniejszymi będą. Nie ma bowiem zwyczaju między chrześcijańskimi monarchy, aby na posłańców w oznaczonym miejscu czekać, bo od tego są posłowie, żeby ich na wszystkie miejsca posyłać, a nie do jednego przywiązywać.

I kiwnął ręką na znak, że posłuchanie skończone. Poseł znów przypadł do pawimentu, bijąc korne pokłony, po czym wycofał się rakiem.

- Gdzie wojsko, u licha!? - zeźlił się Batory, gdy za posłem zamknięto drzwi.

- Listy przepowiednie do niektórych dotarły dopiero po Wielkiej Nocy - odparł Zamojski. - Ale już zbierają się, jak wyznaczono, w Brześciu Litewskim i Bielsku Podlaskim. Najdalej z końcem maja dotrą do Czaśnik.

- Oby. Mości wojewodo - rzekł król do Rudego - a poślijcie tam kogoś zmyślnego za tym posłem, który na szczwanego lisa nam patrzy. Zaś ostrzeżono nas, że zdrada się jakowaś gotuje.

Kiedy więc Naszczokin zdążył na kwaterę, dyskretnie towarzyszyło mu dwóch ludzi wojewody. Za nimi zaś postępował jeszcze kto inny, kogo obecności ani poseł carski, ani polscy szpiedzy nie byli świadomi. Mimo osobliwego wyglądu miał bowiem dar nierzu-cania się w oczy, co było doprawdy zadziwiające i niezwykle.

Grodno, maj 1580 roku

- Spójrz, kogo lichy sam przyniosło! - Stadnicki przetarł rękawem zabrudzone okno karczemne. - Toż to mój imiennik, Żółkiewski. Mam ja z tym łobuzem na pieńku...

- Ja też - mruknął Samuel Zborowski.

- Ale tego, co mu towarzyszy, nie znam. Ciekawe, kto zacz? Bez specjalnego zainteresowania Zborowski zerknął w okno.

Nagle stężył i instynktownie ułapił nieodstępny czekan.

- Znam go! - warknął zmienionym głosem. - To Ryx!

- Kto?

- Kacper Ryx, inwestygator królewski. Student medycyny na krakowskiej Akademii.

Mój stary wróg.

- Przebóg! To szkoda, żeśmy się nie spotkali, gdym krakowskim żaczkom rzeź niewiniątek uczynił po tym, jak Bróg spalić próbowali.

- Nie mogłeś go wówczas spotkać, bo bez ducha leżał. Dlatego tak gładko ci poszło. Mniemałem, iż szczęśliwy, a i brat Jan wymógł na mnie obietnicę, że pomsty na owym i jego rodzinie nie będę. Od niedawna atoli wiem, że przeżył. Ty też już zdążyłeś go poznać.
- Niemożliwe! - zdumiał się Diabeł. - Nic o tym nie wiem. Kiedy niby?
- Pomnisz pożar kamienicy Szarej, gdyśmy się z niej w samych gaciach salwowali? To jego sprawa. Rozpoznałem go wówczas. Mierzył do mnie z pistoletu. Co więcej, nazajutrz przybył do Mogilan i pod samym pałacem się na mnie z flintą zasadził. Powiedział mi o tym tamtejszy pleban, któremu do grzesznego zamiaru po fakcie się przyznał jak na spowiedzi.
- Czemu zatem cię nie zabił, skoro miał takie wyśmienite sposobności? Marny to musi być strzelec.

125

4

- Głupiś! Nie zabił mnie, tak powiedział ów pleban, bo się dowiedział, że ojczyźnie służyć jadę. I to jeszcze go wstrzymało, iż w otoczeniu żony i dzieci mnie ujrzał. Oby z piekła nie wyrzwał, padlina cuchnąca! Taki despekt uczynić mnie, Zborowskiemu! Życie mi darował, tyk przeklęty!

Z wściekłości zgniółł w dłoni metalowy kubek, a żyły na szyi mu zagrały.

- Mój Samku, w czymże kłopot? - rzekł Stadnicki z uśmiechem. - Zabijemy go teraz pod lada jakim pretekstem i po turbacji.

- Znasz moją dewizę: Mortui non mordent Ale nie Iza! - stanowczo uciął Zborowski. - Żółkiewski to kuzyn i przyboczny Zamojskiego, a ten teraz ważna figura i siła odeń zależy, Pomnij, po co na wojnę jadę. Aby uzyskać ulaskawienie, a nie nowej napytać sobie biedy.

- Ty tak, ale ja nikomu nic nie jestem winien i mogę robić, na co jeno przyjdzie mi ochota. A właśnie przyszła na zabicie owego Ryksa.

- To tyk.

- Nie szkodzi. Bijałem łotrów pośledniejszego stanu.

- I gracz. A także fechtmistrz na rapiery. Nie lekceważ go.

- Tym lepiej. Będzie większa uciecha.

- Rób, jak chcesz, lecz mnie w to nie mieszaj.

- Obejdzie się. A teraz daj baczenie, bo właśnie sam idą!

- Co to ma znaczyć? Pojmujesz coś z tego, Kacper? - spytał oszołomiony olbrzym na widok okrwawionego noża ponad drzwiami gospody.

A zatem nie byłem tak sprytny, jak mi się zdawało. Nie zdołałem oszukać Garbusa. Albo mimo wszystko nie zachowałem wystarczającej ostrożności, albo Izaak czymś się zdradził, albo Ślepiec wykazał się przenikliwością, albo po prostu któryś z jego ludzi rozpoznał nas tej nocy. Cóż, nikt nie jest doskonały, a ja jeszcze nie całkiem doszedłem do siebie i to mnie poniekąd usprawiedliwiało. Acz pociechę stanowiło niewielką.

- Pojmuję - odparłem. - Król Żebraków dał znać, że wie, kto mu popsował szyki, i poprzysięga mi zemstę. Wyjmij ten nóż, zanim jejmość Balcerowa go zoczy i dostanie udaru. I Umarli nie kęszą (łac.).

126

"V

Przy śniadaniu w rodzinnym gronie i dzieleniu się kraszonym jajcem udawałem wesołość, której nie czułem. W drugi dzień świąt nie poszedłem z synowcami i siostrzeńcami na emaus, choć się napierali, a ja im to dawno obiecałem. Wymówiłem się bolącą nogą. W tłumie łatwo byłoby mnie pchnąć byle opryszkowi, a nie zamierzałem ułatwiać Garbusowi roboty. Co prawda obiecał, że umrę w mękach, lecz do tego nie potrzebował mnie porwać - wystarczyło lekko zranić sztyletem nasączonym wolno działającą trucizną. Po świętach nie poszedłem na Akademię, a po należne pieniądze wysłałem do Izaaka Niziołka. Nie mogłem jednak wiecznie

siedzieć w domu. Musiałem szybko coś wymyślić, a tu jak na złość żaden trefny koncept nie przychodził mi do głowy. Widać wyszedłem z wprawy.

W piątek obudziło mnie łomotanie do drzwi. Łomot nie ustawał. Zerknąłem w okno. Dniało. Mżył drobny deszcz. Zerwałem się, narzuciłem na grzbiet kubrak, złapałem nabite pistolety, które od kilku dni stale trzymałem pod ręką, i zbiegłem na dół, zapominając o rwaniu w nodze. Wystraszona służba też była już na nogach. Na szczęście (w tym akurat przypadku) cioteczce ostatnio oprócz wzroku niedomagał także słuch, więc o tej porze mogłyby ją zerwać z łoża najwyżej trąby archanielskie wzywające na Sąd Ostateczny. Acz nie na pewno. Odesłałem niewiasty do kuchni, Grubemu Stachowi, który obsługiwał gości i na awanturników trzymał garłacz za szynkwasem, kazałem wycelować w drzwi, Krzychowi Żeglarzowi i Niziołkowi z obnażonymi kordami stanąć po obu stronach wchodu, po czym dałem znać Tomkowi, że może otwierać.

Do gospody, sądząc po stroju i szabli u boku, wtargnął szlachcic, z kołpakiem tak mocno wciśniętym na uszy, że twarzy nie było widać. Za nim wszedł młody pacholik, który na widok wymierzonych łuf pobladł, rozdziawił usta i znieruchomiał zdjęty strachem. Szlachcic zaś ściągnął i otrzepał czapkę, krople wody rozsiewając wokół, po czym, nie okazując cienia lęku, burknął zrzędliwie:

- Widzę, że sporo się zmieniło od mojej ostatniej bytności w tym przybytku. Inaczej ongi gości sam witano. Cóż to, Kacprze, zamia-rujesz zastrzelić starego druha?

- Stachnik! - wyjąkałem zaskoczony.

W istocie był to mój dobry przyjaciel Stanisław Żółkiewski. Nieprędko spodziewałem się go ujrzeć, bowiem od dawna, jak

127

cień towarzysząc swemu kuzynowi, kanclerzowi Zamojskiemu, przy okazji zdobywał sławę wybornego żołnierza. Jako rotmistrz dowodzący chorągwią wystawioną przez Zamojskiego siła doka-zał w potrzebie z gdańszczany i łódzkiego roku z Moskwą pod zamkiem Sokół, gdzie należał do najpierwszych harcówników razem z bratem Mikołajem i mimo młodego wieku sławnym już rycerzem, siłaczem Markiem Sobieskim¹. Pisał mi o tym szeroko, więc znałem wszystkie jego przewagi. Nie tylko wojenne, choć w nich się szczególnie lubował, pilnie studiując wodzów starożytnych i naszych. Z poręki Zamojskiego zostawszy sekretarzem królewskim, w czas pokoju przewoził korespondencję i pieniądze jako najzaufańszy z zaufanych. O tym też wiedziałem z jego listów, gdyż Stachnik miał cnót bez liku, lecz skromność (w niej, nie chwając się, biłem go na głowę) do nich nie należała. A teraz powinien, jako i drudzy, bawić na Litwie przy osobie królewskiej, stąd moje zdumienie na jego widok. Szybko się z niego otrząsnąwszy, rzuciłem pistolety Niziołkowi i wziąłem Staszka w objęcia, a on nie pozostał mi dłużny. Krążyliśmy po izbie jak dwa mocujące się niedźwiedzie, póki wreszcie nie pociągnąłem go na ławę.

- Zjesz co najpierw czy napijesz się?

- Za jedno mi kolejność, bom po równo i głodny jak wilk, i spragniony jak wędrowiec na pustyni i nade wszystko - zmordowany nieładzko. Ledwie przed godziną zajechali my z Jarkiem, to mój pacholik - wskazał chłopca, który nie śmiał siadać bez rozkazu - do zajazdu Koniara w „Kamionce” na Kleparzu, alem tam ostawił jeno konie, bo już prawie świtało i wolałem od razu przybyć do waszej gospody, niżli tułać się po obcych.

- Chris - poleciłem Żeglarzowi - skocz duchem do kuchni, a przynieś wielmożnemu panu Żółkiewskiemu co jeno mamy najlepszego. I weź ze sobą pacholka jegomości, dajcie

mu co na ząb w czeladnej i niech się ogrzeje przy piecu. Stachu - zwróciłem się do grubasa - gorzałki dla jego wielmożności, a chyżo.

Po czym przeprosiłem Staszka i poszedłem na górę, by się ochę-dożyć. Kiedy wróciłem, jadło już parowało na stole, więc stuknęliśmy się tylko kubkami okowity i rzucili do mis.

1 Dziadkiem przyszłego króla.

128

- Miło cię widzieć w dobrym zdrowiu - rzekł, gdyśmy skończyli się posilać i znów sięgnęli po pucharki.

On sam niewiele się zmienił przez ostatnie lata. Może jedynie lico mu nieco wychudło i wąs pogrubiał, za to czoło się podniosło, zatoczki na skroniach zaokrągliły, lecz wciąż była to twarz gładka prawie jak u panny. Oczy zaś iskrzyły po staremu, a na pełnych wargach błąkał się uśmieszek wyższości. Jako i Stachnik miał o sobie wielkie mniemanie. Aż dziw, że zaszczycał swą przyjaźnią mnie, chudopachołka i łyka, on, który uważał Żółkiewskich za równych najpierwszym magnatom i godnych najwyższych urzędów, hołubiąc w sercu marzenie o hetmańskiej buławie. Nikt o tym nie wiedział okrom mnie, któremu zwierzał się z najtajniejszych sekretów, może właśnie dlatego, że jeśli szło o kondycję (o prozapii nie wspominając), dzieliła nas przepaść i żadnym sposobem nie mogłem być dlań szampierzem.

- Zaiste, czasem jeno noga mnie jeszcze pobolewa i w boku rwie, ale nic to.

- Cieszę się. Co cię zatem trapi? Toć powitanie, jakie mi zgotowaliście, wskazuje na nielichą desperację.

Opowiedziałem mu zatem o ostatnich wypadkach, niczego nie ukrywając, gdyż tak jak on przede mną, ja nie miałem tajemnic przed nim.

- O Zborowskiego nie musisz się turbować - odparł po wysłuchaniu. - Pod Sandomierzem spotkałem go ciągnącego z własną chorągwią do króla, tedy nie nastawianie na cię mu teraz w głowie, lecz chęć usłużenia ojczyźnie, co jeno pochwalić można. Dlatego dobrze się siało, żeś zemsty poniechał, szczególnie iż nie godzi się ubijać szlachcica, choćby nawet infamisa, jak psa, choć przyznając, że on pewnie, na twoim miejscu będąc, nie miałby skrupułów.

Byłem przekonany, że w głębi duszy mój przyjaciel, który wszak nie cierpiał Zborowskiego na równi ze mną, uważał iż szlachcicowi wolno (nie bez przyczyny, rzecz jasna) zabić człeka podlejszego stanu, zaś w drugą stronę to prawo nie działało. I tylko z przyjaźni dla mnie nie wypowiadał tego na głos. Z drugiej wszak strony, jako prawy Rzymianin (a za takiego się uważał) brzydził się powszechnym brakiem honoru u herbowych, którzy pojedynek imaginowali sobie w ten sposób, że napadało się hurmą na samotnego wroga, uderzało od tyłu i zniecka, często z pomocą sług, albo wręcz

129

się nimi wyręczając¹. Jednak pogląd króla Batorego na honor był bliski Staszkowemu, a różny od mniemania ogółu szlachty, i dlatego wyrokiem królewskim herbowi mordercy głową płacili za swe zbrodnie, jak ów Hłowski herbu Prawdzie, ścięty za zamordowanie Grajowskiego herbu Oliwa.

- Ale z Królem Żebraków insza sprawa - przyznał; poznał Garbusa w swoim czasie i nie lekceważył, acz historia z zapaleniem gazów i duchami na cmentarzu wielce mu przypadła do gustu. - Cóż, na frasunek dobry trunek. Na początek, potem znajdzie się i rada.

Wypiliśmy.

- Co u panny Joanny? - rzucił znieca, łypiąc na mnie spod oka. - Wiem, że bawi w Warszawie przy osobie królowej jejmości, alem ciągnął z Litwy inszą drogą i nie miałem okazji złożyć jej uszanowania.

Swego czasu Stachnik podkochiwał się w Jance odróbkę, ale ona wybrała mnie. Jakimś cudem, choć nie znałem drażliwszego odeń człowieka, wybaczył mi to, lecz na Jankę boczył się nieco i stara rekuza wciąż go bolała. Moim zdaniem więcej w tym było urażonej ambicji niż miłowania, bo też był to mąż tyleż nadobny (z powodu gładkiego lica i białych zębów zwany Zubem), co na płeć niewieścią niezbyt łasy. Najlepszy dowód, że nie ożenił się do tej pory.

- Chyba dobrze.

- Czemu nie jesteście razem? - wypalił bezpośrednio jak zawsze.

- Wiesz, że to niemożliwe. Nie Iza senatorskiej córce wyjść za łyka, do tego ubożego i znajdę na dokładkę, choć ona mniema inaczej.

Owszem, zdarzały się w naszych czasach całkiem nierzadkie przypadki, gdy szlachta, ba! nawet magnaci, żenili się z mieszczkami, byle stosownie bogatymi i najlepiej z patrycjuszowskich rodów, choć niekoniecznie. Żonie nikt nie ośmielił się wytykać pochodzenia, potomstwo zaś z takiego związku dziedziczyło wszelkie prawa po ojcu. Ale jeśli szlachcianka wydawała się za człeka niższego stanu, traciła klejnot, stawiała się pośmiewiskiem, ród ją wyklinał i nie przyznawał się do tej, która go pohańbiła, a dzieci z takowego związku dziedziczyły osławę i podłą kondycję po ojcu.

1 W I połowie XVII w. odnotowano w Polsce tylko 3 (słownie TRZY) prawdziwe pojedynki, za to skrytobójstw bez liku.

130

- Pojmuję - pokiwał głową Stachnik i wiedziałem, że kto jak kto, ale on rzeczywiście rozumiał istotę sprawy i pochwalał moją decyzję; homines minores powinni znać swoje miejsce w szyku i nie wychodzić przed szereg (wkrótce zrozumiałem, jak go skrzywdziłem - dla mnie jednego akurat gotów był na ustępstwa). -1 dlatego przywiozłem ci remedium na wszystkie twoje strapienia i turbacje.

Sięgnął w zanadrze i wydobyl dwa pisma opatrzone wielką pieczęcią. Rozłożyłem pierwsze i przeczytałem w pierw zaintrygowany, a potem szczerze zdumiony. Było to wezwanie do obozu wojskowego w Czaśnikach podpisane ręką samego Jana Zamojskiego. Pan kanclerz wielki w królewskim imieniu powoływał mnie do komputu w charakterze nadwornego medyka i „persony do ekstraordynaryj-nych poruczeń”. Drugie zaś było osobnym majestatycznym dekretem alias autentykem pod pieczęcią koronną, będącym odnowionym serwitoriaterm przyznany przez Jego Królewską Mość Stefana, króla polskiego, wielkiego księcia litewskiego et cetera, który sławetnego Kacpra Ryksa „dekretem niniejszym obiera, czyni i postanawia inwestygatorem królewskim, daje mu moc i wolność do spełniania swego urzędu we wszystkich miastach, województwach i powiatach Korony i Wielkiego Księstwa”.

- Co to ma znaczyć? - wyjąkałem oszołomiony.

- To, co widzisz. Ekstraordynaryjną sposobność do przysłużenia się królowi i ojczyźnie.

- Nie mam jeszcze doktoratu...

- To bez znaczenia, obaj z kanclerzem nie znamy bieglejszego medyka od ciebie i tak zarekomendowaliśmy cię jego królewskiej mości. A zresztą do obozu ściągnięto już tylu cyrulików, ilu się dało, i ręczę ci, że każdemu z nich roboty nie braknie. Zaś sam doktor Bucella, który korespondował z twoim piastunem, ojcem Rochem, utrzymuje, że jeśli choć w połowie jesteś tak biegłym chirurgiem jak twój preceptor, tedy żaden z nadwornych medyków nie przewyższa cię w tej sztuce, doktora Bucelli nie wyłączając.

- Nie wiem nawet, gdzie są te Czaśniki...

- Na Białej Rusi, nad rzeką Ułą, która uchodzi do Dźwiny. Kęs drogi na południe od Połocka, któryśmy odbili Moskalom łońskiego roku.

Milczałem, bo oszołomiła mnie odległość. Ostatecznie od lat nie ruszałem się z Krakowa, a najdalej byłem w Lublinie, i to dawno

131

temu. Wspomniałem moją nieszczęsną nogę i nienawykły do konnej jazdy zadek, który wystarczająco dał mi się we znaki podczas krótkiej eskapady do Mogiłań i z powrotem. A teraz miałbym do przemierzenia setki mil... Nie była to zachęcająca perspektywa.

Obserwował mnie pilnie i wyczuł mój brak entuzjazmu.

- Słyszałeś o sprawie Gradowskiego? - rzucił zniechęcony. - Wawrzyniec Gradowski herbu Lubicz był uczniem sławnego maga Twardowskiego i sam na dworze Jerzego Mniszcha sławy zawołanego czarnoksiężnika i nigromanty zażywał.

- Nie. Nie słyszałem o sprawie ani o człeku.

- Jako „Podkowa” pracował dla doktora Scharffa, posła cesarskiego, i za dobrą nagrodę od Rudolfa II ofiarował się otruc króla Szczepana. Habsburgowie dotąd bowiem nie pogodzili się z tym, że Batory ubiegł ich w staraniu o polską koronę. Gradowskiego aresztowano, ale wy badać nie zdołano, gdyż zdążył zażyć jad. Bardzo dogodnie dla cesarza i jego tutejszych popleczników, nieprawdaż? - przerwał, dodając po chwili: - Ale o doktorze Thurneysserze zapewne słyszałeś?

Kiwnąłem głową. Znałem go z listownych konsyliów, które wymieniał z ojcem Rochem. Leonard Thurneysser był berlińskim lekarzem, astrologiem i alchemikiem, nadwornym medykiem elektora brandenburskiego. Wiele peregrynował po całej Europie i Azji, poszukując sekretnych specyfików, które potem stosował w miejsce starych zaleceń Galena i które przyniosły mu wielką sławę i majątek.

- Elektor od niedawna wielce jest naszemu panu życzliwy, pewnie wiesz dlaczego? Wiedziałem. Szło o to, że dziedzic Prus Książęcych, książę Albrecht, niedomagał na ciele i umyśle i na potomstwo nadziei nie rokował. Tedy wszyscy tuszyli, iż po jego skonie ziemia ta nareszcie do Polski włączona zostanie. Tymczasem król zgodził się, aby piastunem chorego księcia i zarazem rządcą Prus został jego krewniak, elektor brandenburski, margrabia Ansbachu Jerzy Fryderyk, za co ów obiecywał w ciągu lat czterech uścić kwotę dwustu tysięcy złotych polskich. I król przyjął tę ofertę, mimo iż stany pruskie na wszystko błagały go, by tego nie czynił i sam przejął opiekę nad Albrechtem, w Prusiech ustanowiwszy polskiego gubernatora, za co

132

ofiarowali się płacić rocznie po sto tysięcy. Tu już nie było żadnych dubiów, jak w kwestii trybunałów, to był wielki error króla i wcale nie trzeba było statysty, by to pojmować.

- Nie nam oceniać poczynania króla, który jeno sprawę z Iwanem ma teraz na myśli, o insze dbając niewiele albo zgoła wcale - rzekł jakby w odpowiedzi na moje myśli. - Toteż nie o polityce mamy prawić, ale o tym - podał mi kolejny papier. - Kiedy zdrada Gradowskiego wyszła na jaw, król, który od dawna lęka się otrucia, pchnął do Berlina zaufanego dworzanina, imię Stanisława Bojanowskiego. To kopia listu Thurneyssera do króla jegomości. Zagłębiłem się w lekturze. List pochodził sprzed niespełna dwóch lat i tyczył wypróbowanego balsamu, antidotum, czyli alexiphar-macum przeciw wszelkiej truciznie, który Thurneysser z niemałą pracą sporządził stosownie do prawideł kabalistyki i magii naturalnej i za pośrednictwem Bojanowskiego posyłał królowi. Skończyłem i podniosłem wzrok na Stachnika, nie bardzo rozumiejąc, czego ode mnie oczekiwał.

- Chodzi o to - powiedział - że mamy pewne wieści od księcia kurlandzkiego, iż ukowała się nowa zdrada i szykowany jest następny zamach na życie królewskie. Dlatego, a nie jedynie z uwagi na biegłość medyczną, Janek Zamojski zarekomendował twoje usługi królowi jegomości. Dlatego odnowiono twój serwitariat na uprawianie profesji inwestygatora i dlatego jesteś pilnie oczekiwany w królewskim obozie.

- Wielki to zaszczyt - odparłem po namyśle - ale nie wiem, zali poradzę...

Namarszczył się.

- A kto poradzi sobie lepiej? Cóż mi tu za babskie fupy odprawy! - był naprawdę zły. - Czy po próznicy kanclerz gębę sobie strzepił, wstawiając się za tobą, a ja, nie szczedząc fatygi, tłukłem się tu na darmo aż z Zamościa, skądem chorągiew kanclerską do Czaśnik pod cudzą komendą odprawił, miast uczynić to samemu? Żebyś marudził i nosem kręcił!?

Milczałem, zwiesiwszy głowę.

- Pomnisz, jakeśmy przed laty u imię Mikołaja Szarffenberga, drukarza, spotkali czeladnika jego, Fołtyna Łapkę? - dodał po przerwie, wysapawszy się, łagodniejszym już tonem.

- Pomnę.

133

- Tedy wiedz, że już niedługo umrze sławetny Łapka, a narodzi się wielmożny pan Walenty Łapczyński, uszlachcon przez króla za zasługi wojenne¹. To rzecz niemal przesądzona. Łapka zawiaduje bowiem sławną „latającą” drukarnią, którą król wszędy wozi ze sobą i z której wychodzą wszelkie pisma, na cały kraj, bogać na całą Europę sławiące czyny królewskie i przewagi wojenne. Po prawdzie dwa lata temu sejm zastrzegł dla się wszelkie nobilitacje, lecz z wyłączeniem potrzeby wojennej². Dlatego prosty kotlarczyk ze Lwowa, Fołtyn Wąsowicz, którego Połock podpałił, dziś z woli króla Stefana Walentym Połotyńskim się nazywa, rotę królewską pod komendę dostał i w poczet herbowych postąpił z herbem własnym Połota. Zasię Walentego Duracza herbem Odrowąż ozdobiono w nagrodę za to, że jako właściciel kuźnic w ilżeckim powiecie 'na potrzeby wojenne nie poskąpił. Imaginuj sobie, niewdzięczniku, że kanclerz wielki wciąż o tobie pamięta mimo nawału spraw państwowej wagi i mimo iż wciąż oplakuje śmierć zmarłej niedawno w połogu lubej małżonki i córeczki Halszki. Pragnąc, abyście z panną Wapowską mogli nareszcie się połączyć, do własnego herbu przypuścić cię gotów, o ile jeno dasz mu po temu sposobność. Multos saepe viros nullis maioribus ortos et vixisse probos amplis et honoibus auctos³. Wszak szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie. Fortuna tibi favet⁴, a ty się wahasz! I to mimo iż zemsta Króla Żebraków nad tobą niby miecz Damoklesa zawisa! Głupiec! Przez ciebie tylko zmarnotrawiłem czas... Wypił, krzywiąc się z nieukontentowania i łpiąc na mnie z urazą. A ja milczałem, tym razem nie mogąc wydać głosu ze wzruszenia, które ogarnęło mnie przemożną falą. Jakże to? Czyżby niewidzialny mur, oddzielający mnie od Janki, zaiste mógł w jednej chwili runąć? I to mimo iż nie nosiłem imienia Walenty, widocznie najspodobniejszego do nobilitacji? Bez niej w oczach wielkiego świata bogactwo, rozum, wykształcenie i cnota funta klaków nie były warte. Długo żyłem w innym świecie i jakoś sobie radziłem, nie zażrząc

1 Acz dopiero pod Pskowem w 1581 r.

2 Od 1601 r. wszystkie nobilitacje znalazły się w gestii sejmu, tak jak do 1578 r. stanowiły prerogatywę królewską.

3 Często ludzie bez wysoko urodzonych przodków żyli uczciwie i osiągnęli wysokie godności (lac., Horacy).

* Los ci sprzyja (lac.).

134

uszlachconym i nie czując się gorszym. Dopóki nie pokochałem Janki i nie uświadomiłem sobie, że jako podrzutek nigdy nie otrzymam nawet ius civile, obywatelstwa rodzinnego miasta, gdyż nie mogłem wykazać się pochodzeniem z prawego łoża, legittimus ortus. A oto moi zacni przyjaciele dawali mi remedium na turbację, która odebrała mi chęć do życia i bolała bez porównania bardziej niż stare rany. Ręce mi drżały, gardło miałem ściśnięte. Wychyliłem puchar jednym haustem.

- Masz rację - rzekłem, panując już nad głosem. - Byłem niewdzięcznikiem. Nie znajduję słów, którymi zdołałbym wyrazić swą wdzięczność tobie i wielmożnemu panu kanclerzowi. Kiedy ruszamy?

- Ttiś mi brat! Dimidium facti, qui coepit, habet! - ryknął i porwał mnie w ramiona, aż mi kości zatrzeszczały. - I pamiętaj: Nil mortalibus arduum est² Napijmy się!
Rozlałem resztę gorzałki z gąsiorka i znów przepiliśmy.

- Kiedy ruszamy? - powtórzył moje pytanie. - A choćby jutro skoro świt!

- Dobrze - musiałem się wszak przygotować, ale im wcześniej miałbym opuścić miasto, tym lepiej dla mnie.

Największy problem stanowiły dobre konie pod wierzch. Musiały być odpowiednie na tak długą drogę, o inne statki mogłem się zatroszczyć później. Dzięki kaźmierskim Żydom stać mnie było na to. Pomyślałem przelotnie, czyby nie udać się do imć Sebastiana Montelupiego, Italczyka, który mieszkał w domu Włoskim przy rynku i dyrektorował królewskiej poczcie, z której usług już kiedyś korzystałem. Ale to było w czasach króla Augusta. Od tamtej pory działalność poczty zamarła. Słyszałem, że król Stefan, w obliczu wojen moskiewskich i swych rozlicznych kontaktów z papieżem i Wenecją, zamiaruje ją odnowić, lecz jeszcze owej idei nie uskutečnił³.

- O wierzchowce się nie trap, mam luźne podjezdki, a co kilkanaście mil kazałem porozstawiać rozsądzone konie - odjął mi strapienie Stachnik. - Od Zawichostu możemy pojechać dwojako:

1 Połowę dzieła wykonał, kto zaczął (łac., Horacy).

2 Dla śmiertelników nie ma nic niemożliwego (łac., Horacy).

3 Uczynił to w lutym 1583 r., nadaniem z 29 stycznia oddając pocztę w zarząd Sebastianowi Montelupiemu i jego synowcowi Waleremu.

135

krótszą drogą na Lublin albo nieco dłuższą na Warszawę. Jak wola -uśmiechnął się przy tym szelmowsko, dobrze wiedząc, którą wybierę. - Dodam jeno, że w tym drugim przypadku moglibyśmy odwiedzić imć Jana Kochanowskiego...

- Co u niego? Rok mija, jak nie miałem odeń żadnych nowin.

Pomarkotniał.

- To i nie dziwota, bo latoś umarła mu ukochana córka, Orszulka i, jak powiadał mi Janek Zamojski, który niedawno odwiedził mistrza, pan Kochanowski w żalu ze szczętem pograżon. A że cię lubi nadzwyczajnie, tedy mniemam, iż twój widok ulgę w strapieniu mu sprawi.

Od razu zatem wysłałem Niziołka z pismem królewskim do jego magnificencji rektora Akademii, którym znów był Marcin Gli-cjusz z Pilzna, oraz prywatnym listem do doktora Foksa, w którym z grubsza wyłożyłem mu powody zmuszające mnie do nagłego opuszczenia miasta. Wracając z uniwersytetu, olbrzym miał wstąpić do ojca Rocha i przynieść leki wedle wykazu, który mu dałem, zaś ewentualne braki uzupełnić u Jana Pipana w aptece „Pod Złotą Głową”. Żegnając się z bliskimi, nie mogłem nie wstąpić do patra. Uprzedzony o moim wyjeździe na wojnę, przycisnął mnie tylko bez słów do serca, a na odchodnym rzekł:

- Bacz na gorączkę węgierską. Zaraza zatacza coraz szersze kręgi. Moi podopieczni ze szpitala Świętego Sebastiana już nie mieszczą się w niemocnicy, musiałem kazać opróżnić dla nich jeden z domów dla chorych na przymiot. Ale jest też dobra wiadomość. Zastosowałem się do twoich rad i śmiertelność znacznie zmalała, a z zajmujących się chorymi nie zachorzał żaden.

Zajrzałem także do domu szwagra Michała, rusznikarza. Wiedział już o moim postanowieniu od mego mlecznego brata Andrzeja, miecznika, którego nawiedziłem wcześniej. Zaciągnął mnie do warsztatu i wręczył najpierw rusznicę z pięknie ozdobionym łożem, a potem skórzany pas z rozmaitymi zawieszkami.

- A cóż to takiego? - zdziwiłem się.

- Najnowszy krzyk wojennej mody - odparł. - Zwie się bando-lier i nosi się go przez ramię. Bierzesz chyba ze sobą ów sztuciec, który dostałeś ode mnie? Jednak muszkiet na wojnie jest bardziej przydatny. A tu masz w kupie wszystkie niezbędne dla muszkiet-nika przybory: lont, skórzany worek z kulami, ładownicę na gruby

136

proch i ładowniczkę zwaną „hiszpańską” - pokazał palcem blaszany pojemnik o trójkątnym kształcie - do miążkiego prochu na podsypkę. Możesz sobie dowiesić do niej klucz do zamka w twoim sztucerze.

- A to co? - pokazałem zawieszony na rzemykach metalowy pojemnik podobny do kościanych gwizdków.

- To miarki z odmierzonym prochem, ponoć znalezione przez samego króla Szczepana. Zazwyczaj robi się je drewniane, obciągnięte skórą, ale te są z mosiądzu.

- Ile ci jestem winien za to wszystko?

- Nic, niechaj ci dobrze służy. To podarek. Ale tylko pod warunkiem, że nie dasz się zabić. W przeciwnym razie ściągnę od ciebie dług z nawiązką.

Śmiejąc się, wypchnął mnie za drzwi. Teraz miałem już wszystko, co trzeba. Opatrzyłem więc tylko broń i przepatrzyłem ubiór. Dorzuciłem też do sakwy kilka ulubionych ksiąg, zresztą zauważyłem, że Żółkiewskiemu wystawały z kieszeni Carmina1 Horatiusa, w którym się rozczytywał podobnie jak w Cezarze. Stachnik ostrzegł, bym zabrał ciepłe odzienie, bo na północy zima jeszcze mogła trzymać w najlepsze. I byłem gotów.

Cioteczka popłakała się i wyściskała mnie za wszystkie czasy, a uspokoiła dopiero wówczas, gdy ją zapewniłem, że przecież nie jadę się bić, jeno usługiwać królowi rozumem i sztuką medyczną, a ponadto zamierzam odwiedzić w Warszawie Jankę i osobiście przekazać jej ucałowania od cioteczki. Nic już nie mówiła i tylko pobłogosławiła mnie na drogę. Za to Niziołek popadł w przygnębienie, gdy mu oznajmiłem, że nie jego zabieram ze sobą, bo pod moją nieobecność nikt jak on nie zatroszczy się o ciotkę i gospodę, jeno Krzycha Żeglarza. Od pewnego czasu i tak nie było z niego pożytku, ciągnęło go bowiem na morze i zaniedbywał się w robocie. A że chłop był otrzaskany w szerokim świecie i z bronią obyty, mógł mi się bardzo przydać.

Nazajutrz skoro świt wymknęliśmy się samoczwart z miasta. Nikt nas nie napastował. Na Kleparzu dosiedliśmy przygotowanych wierzchowców i ruszyliśmy z kopyta. Kiedyśmy wjechali na trakt lubelski, zaraz przypomniała mi się szalona galopada, którą odbyłem 1 Pieśni.

137

przed z górą dziesięciu laty. Podążałem wówczas do Lublina na wezwanie niedawno poznanych moźnych przyjaciół: Kochanowskiego, Górnickiego, Zamojskiego i Drohojowskiego. A był to czas sławnego sejmu, który na zawsze połączył Koronę i Wielkie Księstwo w jedną i nierozdzieloną całość. Zarówno w tamtą stronę jak i w powrotnej drodze korzystałem z usług poczty imć pana Montelupiego i gnałem na złamanie karku, gdyż szło o życie mistrza Twardowskiego, znanego maga, którego i tak nie poradziłem uratować.

Uprowadził mnie niejaki Kettler, morderz do podnajęcia.

Teraz nie spieszyliśmy się aż tak bardzo, choć wybrane przez Stachnika wierzchowce, po dwa na każdego z nas plus dwójka juczych, dźwigających ryszunek Żółkiewskiego, nie ustępowały tamtym, pocztowym, o których zachowałem jak najlepsze wspomnienie.

Jechaliśmy zatem z umiarkowaną prędkością, cały czas trzymając się blisko Wisły, co i rusz widocznej po prawej ręce, toteż przebycie ośmiu mil węgierskich dzielących Kraków od Nowego Miasta Korczyna zajęło nam cały dzień. Podejrzywałem, że Staszek nie zwiększał tempa jazdy ze względu na mnie i moją nogę, lecz był też drugi powód - pierwsze rozsądzone konie miały na nas czekać dopiero w Zawichoście, należało zatem oszczędzać obecne.

Po tej stronie Wisły nie spotykało się o tej porze wielu podróżnych. Wszelki ruch odbywał się na drugim brzegu, bowiem wojsko miało się zbierać w Brześciu na Polesiu i Bielsku na Podlasiu i w tym czasie powinno już ruszać ku Czaśnikom. Na ostatnich maruderów mogliśmy się natknąć dopiero przy przeprawie w Zawichoście. Zresztą widząc gromadę zbrojnych, każdy wołał nam zejść z oczu.

Dopiero na noclegu w Nowym Mieście poczułem, jak bardzo długa jazda dała mi się we znaki. Ale i tak nawet w połowie nie tak bardzo jak Chrisowi, który klął w żywy kamień, zarzekając się, że wolałby przebyć osiemset mil na morzu, i to podczas sztormu, niżli przez osiem wytrząsać żywot w siodle.

Rano obaj wstaliśmy z trudem, wyglądając jak z krzyża zdjęci. Z zazdrością spoglądałem na rześkiego Stachnika, który na koniu prezentował się, jakby był z nim zrośnięty, i poruszał się z niezrównaną gracją. Jarek sprawował się nie gorzej. Podejrzewałem, że nigdy nie posiadaę ich wprawy, choćbym zjeździł całą Rzeczpospolitą wzdłuż i w poprzek. Do Sandomierza dotarliśmy za późno i nie

138

wpuszczono nas do miasta. Klucząc po ciemku, okrążyliśmy je zatem i podążyliśmy wprost do Zawichostu, a raczej do zamku na ostrowie wiślanym, gdzie czekały na nas konie do zmiany. Stachnik opowiedział się strażom. Kasztelan Kłoczowski już ruszył na wojnę, ale komendant, też znajomy Żółkiewskiego, rozkazał nas wpuścić, przydzielił kwatery i nie puścił spać wprzód, nim we trzech nie osusziliśmy tyłuż flaszek dobrego wina.

Wiedziałem z doświadczenia, że trzeci dzień podróży jest najgorszy, i nie zawiodłem się. Bolało mnie całe ciało, czułem każdą kostkę, ale najmniej, o dziwo, chorą nogę. Chętnie bym odpoczął, ale Staszek nie chciał o tym słyszeć, dowodząc, że nie mamy aż tyle czasu, a odpoczniemy w Czarnym Lesie, bo mistrz Kochanowski z pewnością nas zatrzyma. Nie zważając zatem na jęki i narzekania Żeglarza, na świeżych koniach podążyliśmy na północ, prosto jak strzełił i wciąż trzymając się Wisły, z każdą milą rozlewającej się coraz szerzej. Przeprawiliśmy się przez sporą rzekę Kamienną i w Janowcu, naprzeciw położonego na drugim brzegu Kaźmierza Dolnego, w dość schludnej gospodzie wrzuciliśmy coś na ząb i dali odetchnąć zwierzętom, po czym wykręciliśmy na wschód, na trakt radomski. W miasteczku Zwolen znów zmieniliśmy kierunek, na północno-wschodni.

Przez całą drogę zabawialiśmy się strzelaniem podczas jazdy do rozmaitych celów. Stałych i ruchomych. Wierzchołków drzew albo ptaków w locie. Mimo długiej przerwy przekonałem się, że rękę mam pewną jak dawniej, jak wówczas, gdy pater Roch oznajmił smutnym głosem, że urodziłem się do broni, i wymógł obietnicę, iż będę jej używał jedynie do obrony.

- Do czarta - westchnął Stachnik. - Jak ty to robisz? Czyste czary. A mnie się zdawało, że jestem dobrym strzelcem...

Czarnolas leżał dwie mile za Zwoleniem, na skraju zaczynającej się tu i rozciągającej pomiędzy widłami Wisły i Radomki Puszczy Kozienickiej. Dzień z wolna się kończył. W promieniach zachodzącego słońca przejechaliśmy zasobną wioskę, gdzie wskazano nam drogę do folwarku, położonego między wsią a lasem. Minęliśmy rozległe pola porośnięte zieleniejącym zbożem, zabudowania gospodarcze, ekonomówkę i wyjechaliśmy na obszerny plac, przy którym pośród lip posadowiony był okazały dwór.

- Mamo, mam, goście przyjechali! - kilkuletnia dziewczynka, bawiąca się łątką na ganku, na nasz widok pobiegła w głąb domu.

139

Po chwili w drzwiach pojawiła się zażywna niewiasta, już nie młódka, ale i tak dużo młodsza od mistrza, o okrągłej, miłej twarzy, na której malowało się zaskoczenie. Jej zwyczajnej, domowej sukni, czepiała się owa dziewczynka, która pierwsza nas zoczyła, zza fałdów materii zerkając na nas ciekawie.

- Darujcie, waszmościowie, strój domowy - sumitowała się białka, zawstydzona ordynaryjnym ochędóstwem, gdyśmy zsiadali z koni. - Aleśmy się dziś gości nie spodziewali...

- Nic to, kochana pani Doroto - dworny jak zawsze i sprawniejszy Stachnik ubiegł mnie w wyścigu do kolan jejmości; całując podaną dłoń. - Nie szata zdobi człeka. Upewniam, żeś od naszego poprzedniego widzenia jeszcze wypiękniała, i niechaj skonam, jeśliim zelgał.

- I ja radam widzieć waszmość pana - odparła zarumieniona, poprawiając włosy, w nieładzie wymykające się spod czepca. - A skoro waszeć sam zjechał, tedy imć Zamojskiego jeno patrzeć.

- Nie tym razem. Wojenne go sprawy teraz zatrzymują. Ale przywiozłem kogo innego.

- Kacper Ryx sum - powiedziałem, przypadając do dłoni gospodyni. - Sługa najuniżeński dobrodziejki.

- Przebóg! - zawołała, przypatrując mi się z zainteresowaniem. - Jan wiele mi o waści prawil. Pewnie chcecie go widzieć? Siedzi w ogrodzie za domem i pisze pod swoją ulubioną lipą...

- Ja panów do tatki zawiodę - ofiarowało się dziecko, śmieiej wyglądając z za matki.

- Dobrze. Ja tymczasem nieco się ochędożę i przygotuję wieczerzę.

Troskę o wierzchowce zostawiliśmy Jarkowi i Chrisowi, po czym udaliśmy się w ślad za dziewczynką. Ogród z początku zdradzał gospodarną niewieścią rękę. Na równych, starannie wypielonych grządkach w karnych rzędach wzrastały rozmaite warzywa i zioła, na rabatach cieszyło oko wiosenne kwiecie. Dalej aż pod las ciągnęła się rozległa łąka, z jednej strony zamknięta gromadą wyrobionych z kłód uli, z drugiej - kępą lip. W lecie musiały się tu uwijać tysiące pszczoł, nawet teraz słyhać było ich brzęczenie, gdy wracały do uli przed zmierzchem. W znacznym oddaleniu od pozostałych a najbliżej dworu stała najstarsza i największa lipa, pod nią zaś dębowy stół i dwie ławy z oparciami.

- Spójrz - mruknął do mnie Żółkiewski. - Istna skotopaska, żywcem jak z Wergilego.

140

J!

Po chwili w drzwiach pojawiła się zażywna niewiasta, już nie młódka, ale i tak dużo młodsza od mistrza, o okrągłej, miłej twarzy, na której malowało się zaskoczenie. Jej zwyczajnej, domowej sukni, czepiała się owa dziewczynka, która pierwsza nas zoczyła, z za fałdów materii zerkając na nas ciekawie.

- Darujcie, waszmościowie, strój domowy - sumitowała się białka, zawstydzona ordynaryjnym ochędóstwem, gdyśmy zsiadali z koni. - Aleśmy się dziś gości nie spodziewali...

- Nic to, kochana pani Doroto - dworny jak zawsze i sprawniejszy Stachnik ubiegł mnie w wyścigu do kolan jejmości; całując podaną dłoń. - Nie szata zdobi człeka. Upewniam, żeś od naszego poprzedniego widzenia jeszcze wypiękniała, i niechaj skonam, jeśliim zelgał.

- I ja radam widzieć waszmość pana - odparła zarumieniona, poprawiając włosy, w nieładzie wymykające się spod czepca. - A skoro waszeć sam zjechał, tedy imć Zamojskiego jeno patrzeć.

- Nie tym razem. Wojenne go sprawy teraz zatrzymują. Ale przywiozłem kogo innego.

- Kacper Ryx sum - powiedziałem, przypadając do dłoni gospodyni. - Sługa najuniżeński dobrodziejki.

- Przebóg! - zawołała, przypatrując mi się z zainteresowaniem. - Jan wiele mi o waści prawil. Pewnie chcecie go widzieć? Siedzi w ogrodzie za domem i pisze pod swoją ulubioną lipą...

- Ja panów do tatki zawiodę - ofiarowało się dziecko, śmieiej wyglądając z za matki.

- Dobrze. Ja tymczasem nieco się ochędożę i przygotuję wieczerzę.
- Troskę o wierzchowce zostawiliśmy Jarkowi i Chrisowi, po czym udaliśmy się w ślad za dziewczynką. Ogród z początku zdradzał gospodarną niewieścią rękę. Na równych, starannie wypielonych grządkach w karnych rzędach wzrastały rozmaite warzywa i zioła, na rabatach cieszyło oko wiosenne kwiecie. Dalej aż pod las ciągnęła się rozległa łąka, z jednej strony zamknięta gromadą wyrobionych z kłód uli, z drugiej - kępą lip. W lecie musiały się tu uwijać tysiące pszczoł, nawet teraz słyhać było ich brzęczenie, gdy wracały do uli przed zmierzchem. W znacznym oddaleniu od pozostałych a najbliżej dworu stała najstarsza i największa lipa, pod nią zaś dębowy stół i dwie ławy z oparciami.
- Spójrz - mruknął do mnie Żółkiewski. - Istna skotopaska, żywcem jak z Wergilego.

M

Po chwili w drzwiach pojawiła się zażywna niewiasta, już nie młódka, ale i tak dużo młodsza od mistrza, o okrągłej, miłej twarzy, na której malowało się zaskoczenie. Jej zwyczajnej, domowej sukni, czepiała się owa dziewczynka, która pierwsza nas zoczyła, zza fałdów materii zerkając na nas ciekawie.

- Darujcie, waszmościowie, strój domowy - sumitowała się białka, zawstydzona ordynaryjnym ochędóstwem, gdyśmy zsiadali z koni. - Aleśmy się dziś gości nie spodziewali...
- Nic to, kochana pani Doroto - dworny jak zawsze i sprawniejszy Stachnik ubiegł mnie w wyścigu do kolan jejmości; całując podaną dłoń. - Nie szata zdoła człeka. Upewniam, żeś od naszego poprzedniego widzenia jeszcze wypiękniała, i niechaj skonom, jeśli zelgał.
- I ja radam widzieć waszmość pana - odparła zarurriieniona, poprawiając włosy, w nieładzie wymykające się spod czepca. - A skoro waszeć sam zjechał, tedy imć Zamojskiego jeno patrzeć.
- Nie tym razem. Wojenne go sprawy teraz zatrzymują. Ale przywiozłem kogo innego.
- Kacper Ryx sum - powiedziałem, przypadając do dłoni gospodyni. - Sługa najuniżeńszy dobrodziejki.
- Przebóg! - zawołała, przypatrując mi się z zainteresowaniem. - Jan wiele mi o waści prawil. Pewnie chcecie go widzieć? Siedzi w ogrodzie za domem i pisze pod swoją ulubioną lipą...
- Ja panów do tatki zawiodę - ofiarowało się dziecko, śmielej wyglądając zza matki.
- Dobrze. Ja tymczasem nieco się ochędożę i przygotuję wieczerzę.

Troskę o wierzchowce zostawiliśmy Jarkowi i Chrisowi, po czym udaliśmy się w ślad za dziewczynką. Ogród z początku zdradzał gospodarną niewieścią rękę. Na równych, starannie wypielonych grządkach w karnych rzędach wzrastały rozmaite warzywa i zioła, na rabatach cieszyło oko wiosenne kwiecie. Dalej aż pod las ciągnęła się rozległa łąka, z jednej strony zamknięta gromadą wyrobionych z kłód uli, z drugiej - kępą lip. W lecie musiały się tu uwijać tysiące pszczoł, nawet teraz słyhać było ich brzęczenie, gdy wracały do uli przed zmierzchem. W znacznym oddaleniu od pozostałych a najbliżej dworu stała najstarsza i największa lipa, pod nią zaś dębowy stół i dwie ławy z oparciami.

- Spójrz - mruknął do mnie Żółkiewski. - Istna skotopaska, żywcem jak z Wergilego.

140

- Vivere naturae si convenienter oportet ponendaeque domo quaerenda est area primum, novistine locum potiore rure beato?l - spytałem, zadowolony że udało mi się wygrzebać z pamięci stosowny cytat.

- Beatus Ule, qui procul negotiis... paterna rura bobus exercet suis2 - potwierdził. Strzelałem lepiej od niego, ale w pojedynku na znajomość autorów starożytnych nie miałem z nim żadnych szans.

Na jednej z ław w rozpiętym pod szyją kaftanie siedział mistrz, lewą ręką podtrzymując córeczkę, która huśtała się na jego kolanie, drugą pisząc coś tak zapamiętałe, że dostrzegł nas dopiero wówczas, kiedy nasza mała przewodniczka zawołała:

- Tatku, tatku, obacz, kogo ci przywiodłam!

Podniósł głowę i przyłożył dłoń do oczu, bowiem razily go ostatnie promienie słońca.

- Gościu, siądź pod mym liściem, a odpoczni sobie!³ - zacytowałem fraszkę mistrza, którą podesłał mi w ostatnim liście.

- Na Boga żywego! - porwał się z miejsca, zsadzając dziecię na ziemię. - Toż to pan Żółkiewski i Kacper Ryx! Wszelki duch Pana Boga chwali!

Zamknął mnie w krzepkim uścisku, że nie mogłem złapać tchu.

- Siadajcie, druhowie najmils, siadajcie! Hanusiu - zwrócił się do młodszej córki - pójdz grzecznie z siostrą do macierzy, niechaj sam co podeśle. Ona już będzie wiedziała co. Wzrokiem pełnym miłości odprowadził oddalające się dwie małe figurki. Wiedziałem, że zeszłego roku stracił ukochaną, niespełna trzyletnią Otszulkę, z którą wiązał wielkie nadzieje, i że przeżył to bardzo ciężko. Nie miałem sumienia powiadamiać go, że na moje lekarskie oko, Hanusia także nie rokowała dobrze⁴. Dziecię było tak blade i wątłe, że wątpiłem, by przetrwało zimę. Mimo to niechcący potrafiłem drażliwą nutę.

1 Jeśli ma się żyć zgodnie z naturą i gdy ma się szukać miejsca na zbudowanie domu, to czy znasz lepsze nad wieś szczęśliwą? (łac., Horacy).

2 Szczęśliwy, kto z dala od kłopotów... uprawia własnymi wolami ojcowiznę (łac., Horacy).

3 J. Kochanowski, Na lipę, [w:] tegoż, Fraszki, oprac. J. Pelc, wyd. 3 przejrzone, Wrocław 1998, s. 54.

4 Starsza od Urszulki Hanusia umarła niedługo potem, co Kochanowskiego zniechęciło do życia. Poeta miał sześć córek (trzy zmarły w dzieciństwie) i syna, pogrobowca.

141

- Wolno wiedzieć, nad czym pracujecie, mistrzu? - gdyśmy już zakończyli powitania, sięgnąłem po kartę leżącą na stole i przeczytałem w głos:

Czasie, pożądnej ojciec niepamięci! W co ani rozum, ani trafia święci, Zgój smutne serce, a ten żal surowy Wybij mi z głowy! 1

- Cóż to jest? - spytał Żółkiewski.

- To Threny, które zacząłem pisać lońskiego roku, kiedy umarła moja Orszulka - w oku poety zabłysła łza - a teraz jeno poprawiam. Quisquis est vitae, scribam, color..} Janek Januszowski naciska, bo już chciałby je drukować³.

Na szczęście w tej chwili zjawił się sługa z dwoma antałkami syconego miodu pod pachami i trzema kubkami w dłoniach. Postawił kubki przed nami, napełnił, skłonił się i odszedł. Stachnik powąchał, upił odróbkę, mlasnął, wznosił oczy do nieba i rzekł:

- Pachnie wybornie i moc ma należyta.

- To półtorak własnej roboty, z tutejszego lipowego miodu. No, drodzy przyjaciele, precz smutki! - mistrz otarł wilgotne oczy kułakiem, zsunął na bok karty oraz kałamarz z inkaustem i gęsim piórem i wznosił puchar w górę. - Weselmy się! Za spotkanie!

- Za spotkanie! - powtórzyliśmy, stukając się pucharami.

- Co was sprowadza do mojego zacisza? - spytał Kochanowski, ponownie napełniając naczynia.

- Wojna, mistrzu. Król Szczepan znów rozesał wici na potrzebę z Moskiewskim - wyjaśnił Żółkiewski.

- Wiem o tym. Janek Zamojski bawił u mnie chwilę przed wyjazdem na Litwę, szwagier Jakub pojechał z nim, przez co Dorota drży o życie brata, modli się i wyplakuje sobie oczy. Waćpana pojmuje, mości Żółkiewski, boście wojenny człek, ale Kacper...

1 J. Kochanowski, Tren XVI, [w:] tegoż, Treny, oprac. J. Pelc, wyd. 4 zmienione, Wrocław 1978, s. 34 (pożądnęj - pożądanęj).

2 Jakakolwiek będzie barwa życia, ja tworzyć będę (łac., Horacy).

3 Ukazały się w 1580 r. w Krakowie w Drukarni Lazarzowej (należącej do Jana Januszowskiego).

142

- Dulce et decorum est pro patria mori. Co tu w bawełnę owijać, to ja wyciągnąłem Kacpra na wojnę - przerwał mi jak zawsze bezceremonialny Stachnik. - Słuchać hadko, jak się z panną Wapow-ską dręczą, zejść ze sobą nie mogąc, czemu na przeszkodzie niski stan Kacpra stoi. Tom sobie umyślił, że gdy swoje talenta w wojennej potrzebie objawi, wždy król jegomość go nobilituje i po kłopotcie.

- Wyborna myśl - uznał poeta. - Principibus placuisse viris non ultima laus est², Kacprze.

- Niewdzięcznikiem byłbym, przecząc, mistrzu - odparłem. Nigdy nie byłem miłośnikiem twórczości Horatiusa, lecz teraz zaczynał mi całkiem wychodzić bokiem. Przepiliśmy. Kochanowski, zagrzebany w swojej sielskiej pustelni, niby morski stwór zwany gąbką chłonał nowiny ze świata. Co nie znaczy, że był ich pozbawiony. Przeciwnie. Odwiedzali go przecież najmożniejsi panowie, zaglądał pono sam biskup krakowski Piotr Myszkowski, wieloletni przyjaciel i mecenas mistrza, a najczęściej Jan Zamojski. Kanclerz wielki koronny każdą wolną chwilę spędzał albo na doglądaniu budowy Zamościa, albo na łowach w pobliskim Zam-chu, albo właśnie w Czarnolasie. Ponieważ w Krakowie pod nieobecność króla i dworu niewiele się działo, a o sobie niedawno mu pisałem, toteż Stachnik miał większe pole do popisu ode mnie. Kiedy jednak, widząc zainteresowanie poety, zapytał go wprost, czy nie chciałby wrócić na dwór, mistrz zaprzeczył stanowczo i chyba szczerze: Żegnaj dworze zwodniczy... Na wsi ojców role, nie dbając o ponęty twe, uprawiać wolę... Swoboda jest mi droższą i nad pereł blaski, i nad lidyjskiej rzeki szczyrozłote piaski.³

4

Kiedy zrobiło się chłodno, ostatecznie był to dopiero początek maja, i całkiem zaszło słońce, a w obu antałkach pokazało się dno, przenieśliśmy się do domu. Gospodyni, już w odświętnym odzieniu, potraktowała nas wystawną wieczerzą i zaszczyliła rozmową, a nawet wypła z nami kieliszek wybornego wina. Kiedy jednak

1 Słodko i zaszczytnie jest umrzeć za ojczyznę (łac., Horacy).

1 Nie ostatnia to chwala zjednać sobie przyjaźń wybitnych ludzi (łac., Horacy).

3 J. Kochanowski, Elegia XI, ks. III, [w:] tegoż, Utwory łacińskie, przeł. J. Ejsmond, Warszawa 1953, s. 129.

143

około północy udała się na spoczynek, mistrz kazał rękodajnemu zejść do loszku i przynieść z acnej gorzałki.

- No, Kacper, na pewno ułożyłeś kolejne strofy swojej Pieśni o okowicie, nie chowaj ich pod korcem! - polecił mi rozochocony, wiedząc, że wciąż od czasu do czasu lubię składać rymy.

Kwadrans i gąsiorek potem śpiewaliśmy półgłosem, żeby nie pobudzić pani domu i dzieciak: Sapor wielkiej słodkości Trawi w nas wilgotności, Flegmę i żądliwości W brzyckości.

Leczy ręce, urazy, Na licu wszelkie zmazy, France, zęby, kolikę, Kordiakę.¹

- Kochany panie Janie - rozczulił się Stachnik, obejmując mistrza za szyję. - Ostawcie domowe pielesze i ruszajcie z nami! Będzie jak za dawnych lat.

Mistrz uśmiechnął się smętnie i zacytował sam siebie:

- Żebych ja, ile chęci, tyle miał i sity służyć ojczyźnie milej².
Przyjrzałem mu się ukradkiem. Miał dopiero pięćdziesiątkę, ale włosów na skroniach i głowie mu ubyło, twarz pobruździły troski, jeno brodę nosił bujniejszą, za to znacznie gęściej posrebrzoną, niż kiedy widzieliśmy się ostatnim razem. „Ślachetne zdrowie, nikt się nie dowie, jako smakujesz, aż się zepsujesz”³, pomyślałem, odnosząc to także do siebie. Ciekaw byłem, jak on mnie znajduje po latach, ale wolałem nie pytać. Poszliśmy spać późno, a wstaliśmy wcześniej, zmarnowani i z ciężkimi głowami. A tu trzeba było ruszać, choć gospodarz koniecznie

1 Fragmenty anonimowego utworu z epoki: Pieśń o tym ślachetnym trunku, [w:] Literatura staropolska. Wybór tekstów, t. 1., Poezja, oprac. P. Borek, R. Maur-kiewicz, Kraków 2002, s. 357.

2 J. Kochanowski, Władysław Warneńczyk, [w:] tegoż, Dzieła polskie, oprac. J. Krzyżanowski, t. 2, Warszawa 1952, s. 38.

3 J. Kochanowski, Na zdrowie, [w:] tegoż, Fraszki, dz. cyt., s. 149.

144

chciał nas zatrzymać. Wreszcie udało nam się wyrwać, zjadłszy wprzód obfite śniadanie i obiecawszy, że pozdrowimy znajomych, osobliwie Jankę, i wstąpimy do Czarnolasu w powrotnej drodze. Na odjeźdnym otrzymaliśmy antałek miodu do juków i musieliśmy wypić strzeмиennego.

Kwadrans później wjeżdżaliśmy na trakt przecinający puszcę i wiodący przez Kozienice i Czernolas do Warszawy. Czarnolas, jak się zwiędziałem, miano swe zawdzięczał okolicznym gądom z udziałem dębów, a przede wszystkim - wielkich jodeł, co w tych stronach nazywano „czarnym lasem”. Trakt wił się między wyniosłymi drzewami, przepuszczającymi niewiele światła słonecznego. Lepiej oświetlone były jedynie nieliczne napotkane polanki, sposobne do postoju i zapewne w tym celu uczynione w gęstwinie. Ogólnie wszak las sprawiał ponure wrażenie, może także z powodu ciszy, nieprzerywanej nawet ptasim śpiewem.

- Ktoś jechał przed nami. Chyba niedawno - zauważył Stachnik, gdy byliśmy gdzieś w połowie drogi do Kozienic, pośrodku najgęstszej puszczy.

Podłoże było tu miękkie, wszelkie ślady odciskały się znakomicie.

- Owszem. Ładowny, poszóstny wóz, z tylomaż luzakami dowiązanymi z tyłu oraz dwunastu ludzi eskorty. Godzinę, może dwie temu.

Rzucił mi zdumione spojrzenie.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Trop obserwuję od dawna. A to - wskazałem gałąź ułamaną przez koło wozu i wtłoczoną w błoto - dopiero zaczęło wędznąć. Kiedy jako otrok uciekłem od ojca Rocha i włóczyłem się po kraju z gromadą linoskoków i kuglarzy, był pośród nich dawny kłusownik, który wybornie znał się na czytaniu śladów i mnie tego nauczył. Sporo już zapomniałem, ale coś mi tam jeszcze zostało...

Przerwałem i zmarszczyłem brwi.

- Spójrz! - pokazałem mu.

Bo oto nagle śladów przybyło.

- Daj spokój, szkoda czasu. Jedźmy dalej - powiedział widząc, że zsuwam się z konia.

- Na takim bezludziu dobrze wiedzieć, kogo się ma przed sobą - odparłem i pochyliłem nad drogą.

Zeskoczył z wierzchowca i kucnął przy mnie.

145

- I co o tym sądzisz? - spytałem.

- Kilku konnych wyjechało z lasu i podążyło za tamtymi.

- To prawda. Nadciągnęli stamtąd - pokazałem ledwo widoczną ścieżkę.

Podążyłem tym tropem, a Stachnik wkrótce mnie dogonił. Nie musieliśmy daleko chodzić. Pod wielkim dębem, skąd w prześwitach widać było trakt, grupa jeźdźców musiała spędzić czas jakiś, bo wszystko dookoła było zdeptane butami i kopytami końskimi. Rozejrzeliśmy się uważnie. f

- Było ich ośmiu. Siedmiu tu obozowało, ósmy stał na czatach. Tam, za tym krzakiem tarniny. Konia, rosłego gniadosza, z czarnym ogonem i nadłamaną lewą przednią podkową, przywiązał do tamtego grabu. Coś musiało go spłoszyć, bo cofając się, wpadł w tarninę. Jego pan kuleje na prawą nogę. Myślę, że to wódz tych ludzi, a owi to zbójcy, którzy zasadzili się tu na kupców. Jeśli się pospieszymy, może uda nam się zapobiec zbrodni...

Chciałem postąpić naprzód, ale złapał mnie za ramię i powstrzymał.

- Człowieku! - zawołał. - Owszem, zgoda. Było ich ośmiu. Przyjechali stamtąd - machnął ręką. - Ale reszta to banialuki, czyste jasnowidztwo albo jawne czary!

- Czyżby? Popatrz! Na jednym kolcu tarniny widać kępkę ciemno-kasztanowej końskiej sierści, a obok wydarty włos z ogona. Czarny. Podkowy są wyjątkowo duże, a ich odciski bardzo głębokie. Ergo gniady to wielki ogier, zapewne cenny koń bojowy. Najpewniej własność dowódcy. A o tym, że mamy do czynienia ze zbójcami, świadczy fakt, że przemykali równoległe do gościńca bocznymi dróżkami, sobie tylko wiadomymi, aby nie zostawiać tropu, który mógłby zaniepokoić podróżnych.

- A skąd wiesz, że ich wódz ma chromą nogę? - spytał już prawie przekonany.

- Spójrz. Hitaj zsiadł z konia i poszedł na posterunek w zaroślach. Widać wyraźnie, że jedną nogą stapał mocniej niż drugą. Stąd wniosek, że kuleje.

Nic nie mówiąc, podążył naprzód tak szybko, że ledwo za nim nadążałem.

- Sprawdzić broń i trzymać ją na podorędziu! Ja jadę przodem. Kacper, zamykasz pochód! - zarządził, wskakując na konia.

146

*

Ruszyliśmy rysią. Łudziliśmy się, że zdążymy na czas, ale nie zdążyliśmy. Nie słyszeliśmy strzałów, więc napad nastąpił jakiś czas temu, ale niedawno, bo krew jeszcze całkiem nie zastygła. Wóz był wyrócony na bok i opróżniony z towarów. Dwa prawie nagie trupy wewnątrz były chyba kupcami, których obrano z zacnej odzieży. Pachołki z eskorty i woźnica, w sumie dziewięciu ludzi, leżeli tam, gdzie dosięgło ich ostrze lub kula. Rannym poderżnięto gardła dla pewności, by nie zostawić świadków. Zginęło też dwóch zbójców. Poznaliśmy ich po tym, że trupy odciągnięto na bok i co prawda złożono im ręce na piersiach, ale za to tak pocięto gęby nożami, że i rodzona matka by ich nie poznała, o co zresztą zapewne szło. Wszystkie konie, również te z zaprzęgu, grasanci zabrali ze sobą.

- Wóz ochraniało dwunastu ludzi, brakuje czterech. Czyżby umknęli? - zastanawiał się na głos Żółkiewski, podczas gdy Jarek i Krzych odciągali nieboszczyków na pobocze i składali pod przydrożną jodłą.

Zlazłem z wierzchowca i zająłem się badaniem śladów. Ale nie znalazłem żadnych z jednym wyjątkiem, który doprowadził mnie do tej samej jodły, pod którą spoczywali zabici. Zadarłem głowę w górę, usiłując przebić wzrokiem gęste igliwie i zawołałem:

- Ej ty, złaź! Nie bój się, my nie zbóje. Nijaka krzywda cię nie spotka.

Moi zdumieni towarzysze dołączyli do mnie i też zadarli głowy, a Stachnik otworzył usta, jakby chciał o coś spytać, ale go uprzedziłem.

- Boi się. To wyrostek albo dziewczka.

- Skąd wiesz?

Zamiast odpowiadać, pokazałem Staszce odcisk w mchu, jedyny jeszcze nie zatarty. O wiele za mały na dorosłego mężczyznę. A ponieważ odzewu na mój apel nie było, wy dobyłem pistolet z za pasa, głośno odwiódłem kurek i odezwałem się srogo:

- Złaż natychmiast albo cię zestrzelę! Nie żartuję!
- Już złażę! Nie strzelajcie, panie! - rozległ się z góry dziwny, załamujący się głos i gałęzie jodły zaczęły się poruszać.

Po chwili z drzewa zgrabnie zeskoczył wyrostek może czternastoletni, piegowaty i z kudłatą ognistorudą czupryną. Jako żywo przypomniał mi znajomka z dawnych czasów, ucznia mistrza Twardowskiego, Maćka zwanego Pajakiem. Tyle że nie zauważyłem,

147

by tamten do muzyki miał nabożeństwo, a ten na plecach nosił osobliwą lutnię z krótkim gryfem, którą zaraz zdjął i zaczął oglądać z niepokojem.

- Chwalić Pana w niebiesiech, nic jej się nie stało - rzeki z ulgą, po czym dopiero podniósł wzrok na nas, opamiętał się, skłonił całkiem dwornie i powiedział: - Jam Wojtaszek Długoraj, bandurzysta alias lutnista i sługa najuniżeńszy waszych wielmożności.

Musiał przechodzić mutację, bo głos miał to głęboki, to piskliwy, na domiar śpiewnie przeciągał wyrazy, jak to czasem zdarzało się i Żółkiewskiemu, po czym poznaliśmy, że chłopiec także był Rusin, chociaż po polsku mówił bezbłędnie. Zapewne odebrał poler na jakimś dworze.

- Co tu się stało? - spytałem.

- Kupcy bławatni, zdążający z Sandomierza do Warszawy, przed godziną może zostali sam napadnięci i wymordowani razem ze sługami przez grasantów, którym przewodził człek z bielmem na oku i chromą nogą...

Spojrzałem wymownie na Stachnika. Nie pozostał mi dłużny.

- O bielmie nie wspominałeś - zakpił, po czym zwrócił się do chłopca: - Toć waszych, nie licząc ciebie, kupców i woźnicy, było tuzin zbrojnych, napastników zasię ledwie ośmiu, jak tedy was zmogli?

- Fortelem, wasza wielmożność. Jeszcze w Ożarowie przyłączyło się do nas czterech zbrojnych, w tym jeden szlachcic. Powiadał, że ciągną przez Warszawę na Litwę, na wojnę z Moskalami. W samej rzeczy, patrzyli na wojennych ludzi, toteż kupcy radzi byli ich przyłączeniu do kompanii, zwłaszcza że postraszono ich zbójami grasującymi w Kozienickiej Puszczy. Toteż gdy gromada zbrojnych dopędziła wóz, a nowi rozpoznali w nich swoich dobrych towarzyszy, nie podejrzewaliśmy niczego. Dopiero gdy społem rzucili się na nas, poznaliśmy, że byli w zмовie. Zaskoczeni, łącno ulegliśmy. Nim się obejrzałem, już wszyscy nie żyli, toteż nie czekając na swoją kolej, zemknąłem na drzewo. Szukali mnie czas lada jaki, lecz wreszcie odjechali.

- A jak ty znalazłeś się w kupieckiej kompanii? - zapytałem.

- Przygarnęli mnie w Sandomierzu. Słyszeli, jak gram, i powiedzieli, że mogę się zabrać z nimi do Warszawy, jeśli muzyką będę im umiłał podróż.

148

- Czego szukasz w Warszawie?

- A nuż uda mi się dostać do dworskiej kapeli? Jak nie, to znów pójdę przed siebie, gdzie oczy poniosą.

- Nie uciekłeś ty aby, bratku, od swego pana? - spytał Żółkiewski podejrzliwie. - Tylko nie łzyj!

- Uciekłem! - odparł chłopiec hardo. - I nie wrócę! On chciał mnie wywałaszyc!

- Na Boga! Dlaczego? - zdumiał się Stachnik.

- Żeby nie stracił głosu. Niektórzy chłopcy przed mutacją cudnie śpiewają dyszkantem, potem im to mija - wyjaśniłem, a wyrostek kiwnął głową.

- I co mamy z nim zrobić? - zafrasował się Żółkiewski.

Ostatecznie postanowiliśmy go zabrać ze sobą. Przynajmniej

do Warszawy. Jarek wciągnął go na swego wierzchowca i pojechaliśmy. Hiż przed Kozienicami trop bandytów odbił w las. Niewątpliwie grasanci zamierzali ominąć Kozienice, które okazały się sporym miasteczkiem. Prawa miejskie nadał im król August, on też ufundował parafię i ustanowił jarmarki. Przypominały mi podkrakowskie Niepołomice. Też leżały na skraju puszczy i także lubili tu polować królowie, a osobliwie Włodzisław Jagiełło. Ponoć to jemu miejscowość zawdzięczała miano. Oto król chybił, strzelając do sarny. „Kozie nic!” zawołano i stąd poszły Kozienice. Na skraju miasta stał drewniany dwór myśliwski królewski, w którym przyszedł na świat król Zygmunt Stary, o czym zaświadczała poświęcona mu kolumna¹. Urzędującemu w zamczku staroście niegrodomemu opowiedzieliśmy o napadzie i zostawiliśmy troskę o pochowanie zabitych i wytropienie złoczyńców.

Straciliśmy sporo czasu, więc nie popasaliśmy w Kozienicach, ale i tak nie zdążyliśmy przybyć do Warszawy przed nocą, tedy przyszło nam zanocować w dość podłej gospodzie w Czersku, jakieś cztery mile od Warszawy. Było to stare miasto, jeszcze przed niespełną dwustu laty stolica Mazowsza, z okazałym zamkiem książąt mazowieckich, bodaj jedyną pozostałością minionej świetności, bo poza tym miejscina wyglądała na mocno podupadłą. Obudziłem się obolały od spania na twardym sienniku, na domiar oblażło mnie robactwo, którego pozbycie się zajęło mi kęs czasu. Byłem

1 Jest to najstarszy świecki pomnik w Polsce (z 1518 r.).

149

wściekły, bo mało co mnie tak irytuje jak brak higieny. Wedle ojca Rocha, acz mało kto oprócz nas ten pogląd podzielał, była to przyczyna wielu chorób.

Im bliżej Warszawy, tym bardziej byłem podenerwowany. Oto niedługo miałem ujrzeć Jankę i oznajmić jej szczęsną nowinę. Czy jednak nie było za późno? Czy wciąż czekała na mnie? Minął kęs czasu od naszego ostatniego widzenia. Może już o mnie zapomniała? Może zaręczyła się z kimś odpowiadającym jej stanem i jnoja wizyta będzie jej niemiła? Od czarnych myśli rozboleła mnie głowa.

Nigdy nie widziałem Warszawy. Stachnik wyrażał się o mieście dość lekceważąco. Było znacznie młodsze od Krakowa, mniejsze i liczyło ponoć (razem z przedmieściami) trzynaście tysięcy mieszkańców, podczas gdy Kraków z przyległościami - ponad dwadzieścia, albo nawet trzydzieści tysięcy. A jednak król August wolał je od stolicy, lubił tu także przebywać królowa Bona, a potem jej córka Hanna Jagiellonka. Ona też rozbudowała znacznie i upiękzyła okazały pałac, postawiony przez królową Bonę obok starego zamku w Jazdowie, ku któremu zdążaliśmy.

Nazwisko Żółkiewskiego otworzyło nam bramę. Podziwiając piękne ogrody i zwierzyńiec, czekaliśmy na niego, gdy poszedł do pałacu nas zaanonsować. Spróbowałem zaprzyjaźnić się z wielbłądem, który nagroził moje starania, opluwając mnie szpetnie. Klnąc w żywy kamień, obmywałem się w fontannie, kiedy wrócił Stachnik z wieścią, że królowa razem z całym dworem bawi w zamku warszawskim.

Szerokim gościńcem podążyliśmy zatem w dalszą drogę, niezbyt daleką, bo już widać było wieże warszawskich kościołów. Minęliśmy kilka folwarków i dworów, dużą cegielnię i liczne dymiące browary. Zabudowa przy trakcie stopniowo gęstniała, aż pośród drewnianych domów pojawiły się murowane, a także drzewiany kościoły.

- Oto Przedmieście Czerskie albo Bernardyńskie - Stachnik zatoczył ręką koło, gdyśmy wjechali na rozległy plac ciągnący się aż do murów miejskich - zwane tak od kościoła² i klasztoru Bernardynów - pokazał kościół po prawej - choć nazywają je też Rynkiem Przedmiejskim, a ostatnio pojawiło się nowe miano: Krakowskie

1 Świętego Krzyża.

2 Świętej Anny.

150

wściekły, bo mało co mnie tak irytuje jak brak higieny. Wedle ojca Rocha, acz mało kto oprócz nas ten pogląd podzielał, była to przyczyna wielu chorób.

Im bliżej Warszawy, tym bardziej byłem podenerwowany. Oto niedługo miałem ujrzeć Jankę i oznajmić jej szczęsną nowinę. Czy jednak nie było za późno? Czy wciąż czekała na mnie? Minął kęs czasu od naszego ostatniego widzenia. Może już o mnie zapomniała? Może zaręczyła się z kimś odpowiadającym jej stanem i moja wizyta będzie jej niemiła? Od czarnych myśli rozboleła mnie głowa.

Nigdy nie widziałem Warszawy. Stachnik wyrażał się o mieście dość lekceważąco. Było znacznie młodsze od Krakowa, mniejsze i liczyło ponoć (razem z przedmieściami) trzynaście tysięcy mieszkańców, podczas gdy Kraków z przyległościami - ponad dwadzieścia, albo nawet trzydzieści tysięcy. A jednak król August wolał je od stolicy, lubił tu także przebywać królowa Bona, a potem jej córka Hanna Jagiellonka. Ona też rozbudowała znacznie i upiększyła okazały pałac, postawiony przez królową Bonę obok starego zamku w Jazdowie, ku któremu zdążyliśmy.

Nazwisko Żółkiewskiego otworzyło nam bramę. Podziwiając piękne ogrody i zwierzyńiec, czekaliśmy na niego, gdy poszedł do pałacu nas zaanonsować. Spróbowałem zaprzyjaźnić się z wielbłądem, który nagroził moje starania, opluwając mnie szpetnie. Klnąc w żywy kamień, obmywałem się w fontannie, kiedy wrócił Stachnik z wieścią, że królowa razem z całym dworem bawi w zamku warszawskim.

Szerokim gościńcem podążyliśmy zatem w dalszą drogę, niezbyt daleką, bo już widać było wieże warszawskich kościołów. Minęliśmy kilka folwarków i dworów, dużą cegielnię i liczne dymiące browary. Zabudowa przy trakcie stopniowo gęstniała, aż pośród drewnianych domów pojawiły się murowane, a także drzewiany kościoły.

- Oto Przedmieście Czerskie albo Bernardyńskie - Stachnik zatoczył ręką koło, gdyśmy wjechali na rozległy plac ciągnący się aż do murów miejskich - zwane tak od kościoła² i klasztoru Bernardynów - pokazał kościół po prawej - choć nazywają je też Rynkiem Przedmiejskim, a ostatnio pojawiło się nowe miano: Krakowskie Świętego Krzyża. Świętej Anny.

150

Przedmieście. Ponieważ rynek tutejszy zastawiony jest ratuszem i kramami, a znów przed zamkiem nie ma wiele miejsca, tedy to największy plac w mieście, jedyny sposobny do dużych uroczystości. Pomnę, jak podczas lutowego sejmku w 78 roku król Szczepan, zasiadłszy na majestacie wzniesionym przed kościołem Świętej Anny, odbierał sam hołd lenny od Jerzego Fryderyka, margrabiego anszpachskiego, zarządzającego Prusami. A oto Brama Mieszczan¹, także zwana coraz częściej Krakowską.

Minęliśmy gęste skupisko domów i kramów przy murze miejskim i przez ową Bramę Mieszczan wjechaliśmy do miasta. Zamek królewski znajdował się zaraz za nią. Klucząc między domami mieszczańskimi i gospodarczymi zabudowaniami zamkowymi², dotarliśmy do bramy zamkowej, którą dzięki Stachnikowi także przekroczyliśmy bez turbacji. Na dziedzińcu zeskoczyliśmy z wierzchowców. Powierzylimy je opiece Krzycha i Jarka, a sami poszliśmy szukać Janki.

- Nie ma jej? - mimo nurtujących mnie obaw byłem tak strasznie rozczarowany, że nawet nie doceniłem zaszczytu, jaki nas spotkał.

Oto bowiem, jako iż królowa leżała złożona niemocą, podjęła nas sama wszechwładna ochmistrzyni, jejmość Żalińska. Na dodatek prawie sympatyczna i o wiele życzliwiej nastawiona do Janki i jej przyjaciół, niż to zapamiętałem z dawniejszych czasów.

- Ano nie - pani stara rozłożyła pulchne ręce. - Minęliście się z nią o włos, waszmościowie. Nie dalej jak pozawczoraj wyjechała na Czerwoną Ruś.

- Na Ruś?

- Do Dypowa. Do piastowania brata przyrodniego wezwała ją macocha, jejmość kasztelanowa Katarzyna Wapowska, która ponoć ciężko zaniemogła. A królowa jejmość udzieliła pannie Joannie permisji na czas, jaki uzna za stosowny.
 - I co teraz? - spytał Staszka, gdyśmy znaleźli się z powrotem na dziedzińcu.
 - Musimy poszukać noclegu. A o to w Warszawie niełatwo. Na zamku kwatery nie dostaniemy, bo wszyscy znajomi pociągnęli z królem na Litwę. Gospód tu niewiele i na ogół podłe, a i tak
- 1 U wylotu dzisiejszej ul. Senatorskiej.
 - 2 Plac Zamkowy jeszcze wtedy nie istniał.

151

brak w nich miejsc... Żebyś widział, co się sam dzieje podczas elekcji! Musiałem wziąć sprawę w swoje ręce. Na szczęście przed wyjazdem z Krakowa przewidując zadbałem o listy instancjonalne od naszych Fukierów do ich warszawskich krewniaków, jako że oni wszyscy stanowili boczną linię niemieckich Fuggerów z Augsburga, bankierów, kupców i przedsiębiorców, którzy na początku tego stulecia ściągnęli do Polski. Podjął nas Michał Fukier, aptekarz, ławnik i rajca miejski oraz właściciel sławnej winiarni przy Rynku, któremu oddałem przesyłkę powierzoną mi przez krakowskich Fukierów. W zamian w pierw zostaliśmy uraczeni jadłem i napitkiem, potem nowinami z dworu królewskiego i z miasta. Z kolei gospodarz wysłuchał wieści ze stolicy, a na koniec zabrał do siebie i ją nocleg za miasto, do dworu z folwarkiem w miejscu zwanym Fukierowskie 1. Nazajutrz prosta jak strzełił droga poprowadziła nas dokładnie między Stare a Nowe Miasto, na ulicę Mostową. Minęliśmy Barbakan i zjechaliśmy ku Wiśle, nad którą posadowiono spichlerze zbożowe i drugie składy. Na zakotwiczone przy brzegu szkuty i tratwy ładowano i wyładowywano z nich towar. Chociaż przy nabrzeżu czekały łodzie, to na drugi brzeg przepawiliśmy się po słynnym moście Warszawskim, niedawno pobudowanym z rozkazu króla Augusta przez Erazma z Zakroczymia, a wykończonym staraniem królowej Hanny. Po prostu z ciekawości, jako że pobierana opłata być może wcale nie była mniejsza od przeprawy w czółnach.

- Laboga! Jaki wielki! - dał wyraz swemu zachwytowi Wojtaszek. Musieliśmy zabrać go ze sobą, ponieważ Stachnikowi nie udało się go umieścić na dworze królowej, która nie gustowała w płochej muzyce, a znów Długoraj niewiele znał nabożnych pieśni, jeśli w ogóle. Jego zachwyt był uzasadniony. Posadowiony na potężnych palach, most miał długość, bagatela! ponad tysiąca kroków. Od strony miasta strzegła go na trzy piętra wysoka kamienna baszta, z której strażnicy obserwowali okolicę w obawie przed pożarem, który mógłby strawić budowlę². Choć bynajmniej nie byłem w poetycznym nastroju, od razu przypomniała mi się znana fraszka mistrza Jana Kochanowskiego:

- 1 Okolice dzisiejszego placu Krasieńskich. W miejscu dworu Fukierów stanął później pałac Krasieńskich.
- 2 Most ten zniosła wielka powódź w 1603 r.

152

#

Nieubłagana Wisło, próżno wstrząsasz rogi, Próżno brzegom gwałt czynisz i hamujesz drogi. Nalazł fortel król August, jako cię miał pożyc, A ty musisz tę swoją dobrą myśl położyć, Bo krom wiosel, krom prumów już dziś suchą nogą Twój grzbiet nieujeżdżony wszyscy deptać mogą. 1

I druga:

A ty śpi, przewoźniku, nie dbając na goście, Byś i darmo chciał przewieść, ja wołę po moście}

Pociągnęliśmy prosto na wschód, traktem na Liw. Rzeka Liwiec oddzielała Liw od rywalizującego z nim prywatnego i kalwińskiego Węgrowa.

Przeprawiliśmy się przez Liwiec w pobliżu komory celnej i puściliśmy rażno w dalszą drogę, rychło zostawiając za sobą skażony kacerską zarazą Węgrów i wjeżdżając na Podlasie, niedawno decyzją sejmu lubelskiego odjęte Wielkiemu Księstwu i włączone do Korony. Pogoda utrzymywała się dobra, trakt był utrzymany niezgorzej, mimo to nie dotarliśmy do Drohiczyna przed zmrokiem, gdyż mój wierzchowiec okulał trzy mile od celu i to nas spowolniło. Przyszło nam zanocować w karczmie położonej tuż u przeprawy promowej przez Bug. Zaraz po śniadaniu karczmarz, który był zarazem przewoźnikiem, przewiózł nas i wierzchowce na drugi brzeg, na którym widniał zamek królewski³ posadowiony na wyniosłym wzgórzu i górujący nad miastem.

Drohiczyn był starym grodem, pierwszą stolicą Podlasia, który swą stołeczność na rzecz Bielska utracił na początku wieku, gdy utworzono województwo podlaskie. Ale mimo to miasto kwitło, mogąc się poszczycić trzema kościołami, aż pięcioma cerkwiami, czterema klasztorami (w tym dwoma katolickimi), szpitalem, apteką i szkołą. W zamkowej stajni czekały na nas nowe wierzchowce i zaraz po dokonaniu wymiany ruszyliśmy dalej. Mimo zawodu, który spotkał mnie w Warszawie, cieszyłem się tą peregrynacją

1 J. Kochanowski, Na most warszewski, [w:] tegoż, Fraszki, dz. cyt., s. 111.

2 J. Kochanowski, Na tenże, tamże, s. 112.

J Nie zachował się do dziś.

153

i chłonałem nowe wrażenia, z wolna odżywając po miesiącach marazmu. Jednak zaczynałem już odczuwać trudy podróży, choć na nogę wciąż nie mogłem się uskarżać. Najbardziej rad z dłuższego popasu w Bielsku był Krzych Żeglarz, wciąż fatalnie znoszący jazdę konną. Jako i pięć czy sześć mil dzielących Drohiczyn od Bielska minęło wcale przyjemnie. Jeszcze niedawno miasto było pełne szlachty i wojska ciągnącego na wojnę z Moskwą, ponieważ tu wyznaczono punkt zborny, ale całe towarzystwo już pociągnęło za królem na Litwę. Tylko dzięki temu udało nam się zdobyć wygodne kwatery. Następnego dnia, solidnie wypoczęci, z kopyta ruszyliśmy przed siebie. Teren, od dawna podmokły, poprzecinany licznymi strugami i lesisty, przeszedł w prawdziwą puszcę. I nie dziwota, toć byliśmy niedaleko Białowieży i ulubionych myśliwskich ostępów króla Augusta i obecnie nam panującego Stefana. Toteż nie byliśmy bardzo zaskoczeni, gdy przez trakt niespiesznie przeszło stado zubrów. Szczęśliwie dostrześliśmy bestie z dala i stanęliśmy, cicho jak tru-sie czekając, aż sobie pójdą. Nie ma bowiem w lesie groźniejszego zwierza od zubra. No może tur, ale tego już prawie nie uświadczysz. Dawno temu udało mi się zoczyć jednego w Puszczy Niepołomnej, lecz tak jawnie nie dawano mi wiary, aż z czasem sam zwątpiłem, zali mi się to tylko nie zwidziało. Niedługo potem przyszło nam brodzić przez dość szeroko rozlaną Narew. Jakieś dwie mile za przeprawą była granica między Koroną a Wielkim Księstwem i trakt grodzieński krzyżował się z mińskim. Nie mogłem wyjść ze zdumienia. Oto przebyliśmy już ogromny szmat kraju, a czekało nas jeszcze drugie tyle. Niby wiedziałem, jak wielka jest Rzeczpospolita, lecz teraz przekonywałem się o tym na własnym zadku. Było to naprawdę niezwykle doświadczenie i mniej bolesne, niż się obawiałem.

- Tam jest Tykocin - Stachnik machnął ręką w kierunku zachodnim. - Na uparte go dwie godziny szybkiej jazdy.

- Tylko tyle? - zdziwiłem się. - Może w takim razie odwiedzilibyśmy pana Górnickiego?

Sławny pisarz, autor Dworzanina polskiego, od lat zaszczycał mnie swą przyjaźnią. Dawno go jednak nie widziałem i chętnie bym odnowił zażyłość.

- Odradzam. Pan Górnicki to już nie ten sam człowiek, którego niegdyś znaliśmy. Zmienił się.

154

- Zachorzał? Zgorzkniał? Zbiedniał? Czyżby nowy pan skąpił mu łask?

- Przeciwnie. Zaraz po elekcji król jegomość nawiedził go w Tykocinie, pochwalił porządek w bibliotece królewskiej przeniesionej jego staraniem z Wilna do Tykocina razem z arsenałem koronnym i skarbcem króla Augusta. Podjąwszy rzeczony skarb, król zostawił imię Górnickiemu starostwo tykocińskie i obdarował starostwem wasilkowskim. Wiedzie mu się zatem wybornie. Kupił nawet niedawno wieś Tokowisko, a w Lipnikach pod Tykocinem postawił zacny dwór.

- To o cóż chodzi?

- Ano o to, że jak ci pewnie wiadomo, ożenił się przed kilkoma laty. Z młodszą o trzydzieści lat panną Barbarą Broniewską. I zdążył się z nią już dochować czworga czy pięciorga dzieci. Młoda żonka, dziatki, sprawy domowe i gospodarskie tak go zajmują, że od dawna nic nowego nie napisał... Dla druhów czasu także mu nie staje. I charakter mu się popsuł. Dla chłopów srogi ponad miarę, z okoliczną szlachtą idzie na udry, procesując się na potęgę... Ale jeżeli ci bardzo na tym zależy, możemy do niego na krótko zaglądnąć... Przykro mi było to słyszeć. Łukasz Górnicki był dla mnie wzorem. Urodzony w Oświęcimiu syn Marcina Góry z Bochni dostąpił uszlachcenia za swoje zasługi, a nie z racji urodzenia. Nie chciałem się rozczarować. Jak większość ludzi pragnąłem, by pewne rzeczy nie zmieniały się nigdy. Wolałem zachować w sercu obraz szczerego i oddanego przyjaciela, życzliwego ludziom, dlatego odparłem:

- Jedźmy dalej.

Po drodze dogoniliśmy parunastu maruderów, którzy jak my spóźnili się na zbiórkę w Bielsku i teraz spieszyli dołączyć do pozostałych. Chociaż konie były wypoczęte, setnie znużeni do Grodna, posadowionego u ujścia do Niemna rzeki Horodni (także po rusku zwano też samo miasto, po litewsku zaś - Gartinias), dotarliśmy tuż przed zamknięciem bram. Tutaj przypadkowe towarzystwo rozdzieliło się, wyznaczając sobie następne spotkanie w Wilnie lub od razu w Czaśnikach. My udaliśmy się do okazałego zajazdu „Pod Świętym Hubertusem”, ponoć najlepszego w mieście,
1 Doszli do ośmiorga.

155

w którym Stachnik trzymał wynajętą kwaterę i uważany był prawie za domownika. Oprócz wiechy gospoda była zaopatrzona w metalową zawieszkę nad wejściem, na której namalowano krowę z jakimś krzakiem na łbie, zapewne mającą przedstawiać jelenia świętego Huberta z krzyżem między rogami. Przypadkiem wiedziałem, że to arcytrafione godło miasta leżącego pośrodku myśliwskiego raj. Upodobał je sobie król Batory, namiętny miłośnik łowiectwa, który stary zamek przebudował na rezydencję wedle najnowszej mody i ufundował w mieście kolegium jezuickie. Na czas wojen z Moskalami Grodno stało się prawdziwą stolicą Rzeczypospolitej.

Zostawiwszy Chrisowi i Jarkowi, do których dołączył Wojtaszek, troskę o wierzchowce i znalezienie sobie kąta w czeladnej lub na sianie w stajni, razem ze Staszkiem weszliśmy do wnętrza. Atmosfera była zawieszista, jak to zazwyczaj bywało w przybytkach tego rodzaju. Zapachy rozmaitych trunków, jadła i ludzkich wyziewów oraz gwar krzyżujących się rozmów wprawdzie uderzały wchodzących jak obuchem, nim po pewnym czasie przywykali do tego. Karczma była dość nabita, a większość gości patrzyła na szlachtę, o ile w marnym świetle dało się to stwierdzić. Zanim jeszcze ich dostrzeżliśmy, dwóch szlachciców poznanych po drodze też nas rozpoznało i pokiwało przyjaźnie, zapraszając do swojej ławy, przy której były wolne miejsca. Skierowaliśmy się w tamtą stronę. W tej samej chwili Stachnik przystanął, złapał mnie za ramię i głową wskazał przeciwległy kąt izby, gdzie na ścianie, ponad głowami gości, wisiał łeb jeleni z imponującym porożem i krzyżem pośrodku. Pobiegłem tam spojrzeniem i zeszywniałem, widząc wpatrzony w siebie nienawistne ślepie. Zborowski!

- Hic niger est, hunc tu, Romane, caveto! - mruknął Żółkiewski półgłosem.

W tej chwili kompan Zborowskiego podniósł się z ławy i z cynowym kuflem ruszył w moim kierunku.

- To Stadnicki, siostrzan Samuela - szepnął Stachnik. - Charak-ternik. Nie darmo zwał go Diabłem. Uważaj na niego.

Nic mi nie przyszło z tego ostrzeżenia, bo ów właśnie, przechodząc mimo, zatoczył się na mnie. Odepchnąłem go odruchowo, lecz

1 Ten jest czarny (charakter), wystrzegaj się go, Rzymianinie! (iac., Horacy).

156

niezbyt mocno. A jednak wahał się wstecz, jakbym go solidnie uderzył, i oblał się piwem.

- Łotrze! - ryknął. - Oblałeś mnie!

- Sameś się waść oblał - odparłem zgodnie z prawdą.

- Aleś mnie popchnął!

- Jeżeli nawet, to niechcący.

- Łżesz! Ale nie ujdzie ci to płazem! Waszmościowie - zwrócił się do obecnych - jesteście świadkami, że ten tu człek znieważył mnie śmiertelnie!

Gwar stopniowo ucichał i oczy wszystkich skierowały się na nas.

- Bzdura - wtrącił się Żółkiewski. - Upiłeś się, mości Stadnicki, i szukasz zwady, ale dobrze ci radzę: odpuść sobie.

Ruszył naprzód, ja za nim, ale awanturnik chwycił mnie za ramię.

- Hola! Nie tak prędko!

- Dość tego - zirytował się Stachnik, który jak ja zorientował się już, że rzecz była ukartowana. - Dawaj waść drogę albo będziesz miał do czynienia ze mną i sądem

królewskim. Imć Ryx jest osobą urzędową. Został wezwany przez króla jegomościa i włos mu z głowy spaść nie może. Zmityguj pan krewniaka, mości Zborowski, zanim będzie za późno.

- Mortui non mordent. Ale słyszałeś, Stachu - odezwał się Samuel w niemal idealnej ciszy. - Daj pokój. Starczy, jeśli Ryx cię przeprosi.

- Nie chcę jego przeprosin! Chcę się z nim bić!

Zborowski rozłożył ręce, okazując swoją bezradność. Stachnik poczerwieniał z gniewu.

- Haeres nequiquam caeno cupiens evellere plantammości Stadnicki! - wybuchnął.

- Compesce mentem², panie Żółkiewski - zadrwił awanturnik. - Ira furor brevis est: animum rege, qui nisi parat, imperat³.

- Już raz cię pobiliem, mogę i drugi - zjeżył się Żółkiewski. - Za jedno mi, czy na wersy Horacego, zali na szable.

1 Toniesz w gównie, pragnąc na próżno wyrwać z niego stopę (lac., Horacy).

2 Opanuj się (lac., Horacy).

3 Gniew to krótkotrwały szal: panuj nad umysłem, który jeśli nie jest ci uległy, staje się twoim rozkazodawcą (lac., Horacy).

157

- Zostaw - szarpnąłem go za rękaw, bo już sięgał do boku. - Dostanie, czego pragnie. A was, wielmożni panowie - teraz ja zwróciłem się do obecnych - biorę za świadków, że nie chciałem tej walki. Skoro muszę, stanę jednak do niej, i to jako osoba prywatna, nie urzędowa.

Położyłem dłoń na rękojeści rapiera.

- O nie! - zaśmiał się Stadnicki nieprzyjemnie. - Tego honoru ci nie uczynię, łyku.

Będziemy się strzelać.

- Jak wola - wrzusiłem ramionami.

Przejrzałem jego grę. Pewnie słyszał, jak władam rapierem, ale nie widział mnie strzelającego i w tym upatrywał swą przewagę. Moja pewność siebie zbiła go z tropu. Ze złością ryknął w kierunku gospodarza i posługaczy, którzy razem z innymi tkwili jak posągi, nie chcąc nie stracić z naszej sprzeczki:

- Dawać pochodnie, nuże! A wszystkich waszmościów zapraszam przed karczmę na widowisko!

Uczył się ruch i gwar, wtem drzwi uchyliły się i ze szpary wychylną kudłata głowa Wojtaszka, szukającego nas wzrokiem. Raptem utkwił spojrzenie w mężczyźnie, który w otoczeniu kilku kompanów zajmował ławę najbliższą szynkwasu i wrzasnął przenikliwie swoim piskliwym, załamującym się głosem:

- To on! Zbójcecki hetman!

Spojrzenia przytomnych, dotąd zogniskowane na mnie i Stadnickim, jak na komendę zwróciły się w stronę wskazywaną przez wyciągnięty oskarżycielsko palec Długoraja. Znow nastąpiła cisza. Ponieważ kandelabr uczyniony z jelenich rogów zwieszał się z powały akurat nad nim, długowłosej siwej łeb i brutalna, wąsata gęba przecięta przez lico wyraźną blizną były wyraźnie widoczne. Niezasnute bielmem oko i blizna nabiegły krwią, gdy warknął groźnie:

- Nie znam cię, synku. Lepiej odejść, skądś przyszedł, pókim dobry.

Chłopiec wsunął się do środka i stanął za mną. Cały trząśł się ze strachu, ale nie spuszczał wzroku z grasanta. Szarpnął mnie za rękaw.

- Mój jegomość, to ten człowiek. Jestem pewny.

Porozumieliśmy się wzrokiem ze Stachnikiem. Kiwnął głową.

- Mości Stadnicki - rzekłem. - Z lubością cię zastrzele, jednak chwilowo mam pilniejszą sprawę. Ale co się odwlecze, to nie ucie-cze. Cierpliwości.

158

Potem zwróciłem się do siwego:

- Jesteś acan oskarżony o to, że przewodząc gromadzie zbójców, w Puszczy Kozienickiej razem z kompanionami dopuściłeś się mordu i rabunku na kupcach zdążających z Sandomierza do Warszawy oraz ich sługach okrom tego tu chłopca, który jako jedyny zdołał ujść z życiem. Co wasze na to?

Porwał się z ławy, wsparł na rękach i pochylił byczy kark.

- A ja powiadam, że chłystek łże! Szaleju się nażarł. Widzę go pierwszy raz i z żadnymi kupcami nie miałem sprawy, za co ręczę szlacheckim słowem. A kto mi kłam zadaje, temu biada!

Wokół rozległ się pochwalny szmer.

- Dobrze prawi!

- Słowo szlachezca to rzecz święta!

- Wara łykom od urodzonych!

- Na pohybel fałszywym oskarżycielom!

To gardłowała szlachta, zazdrosna o swoje prawa. A prawo gwarantowało im nietykalność aż do wyroku sądowego. Chyba że zbrodniarz dał się przyłapać na licu. Ale mnie nie wzruszało ani to, ani niechętnie spojrzenia obecnych, jawnie sprzyjających obwinionemu, który przecież dał verbum nobile.

- Jeśli chromasz na prawą nogę, a twój wierzchowiec to gniadosz z czarnym ogonem i nadłamaną lewą przednią podkówną - odparłem spokojnie i donośnie - tedy chłopiec mówi prawdę, co może potwierdzić przytomny tu urodzony pan Stanisław Żółkiewski. Ergo jako inwestygator królewski, którego król jegomość do tego upoważnił, domagam się, byś udowodnił swoją niewinność lub po dobrowoli udał ze mną do tutejszego starosty. Odłóż broń na stół i podejdz sam, abyśmy się przekonali, jak to jest z twoją nogą.

Chyba tylko ja jeden, bo nawet Stachnika nie byłem pewny, zawierzyłem chłopcu, który wystraszony własną śmiałością chował się za moimi plecami. Wiele ryzykowałem i miałem tego świadomość. Niechęć do mnie była niemal namacalna. Długowłosej, czując wsparcie, rzucił zuchwale:

- Diabła zje, kto areszt na mnie położyć zechce. Ubiję śmiałka jak psa. Chcesz sprawdzić?

Oburącz wyszarpnął zza pasa pistolet i wymierzył we mnie.

- Zatem dobrze - powiedziałem, rozpinając kaftan i robiąc pierwszy krok. - Sam tego chciałeś. Idę po ciebie.

159

Znów zapadła cisza jak makiem zasiał. Po czym goście, którzy siedzieli na linii strzału, jęli zrywać się z ław, przepychać i wnet stłoczyli po przeciwległych stronach w chwalebnej trosce o własną skórę.

- Aj-waj! - jęknął żałośnie arendarz. - Chwila, jedna chwilunia, wielmożni panowie! Raccie wstrzymać się odróbkę!

Po czym razem z pomocnikiem pobiegli kurcgalopkiem, ściągnęli ze ściany imponujące poroże, i odnieśli je za szynkwias, przy okazji zdejmując z półek flaszki i gąsiory z co cenniejszymi trunkami.

- Wielki dank! - zawołał karczmarz, zanim zanurkował w ślad za statkami.

Zbój zaśmiał się i podniósł pistolety do oczu. Kiedy palce zaczęły mu się zginać na cynglach, sięgnąłem po swojego niezawodnego francuza. Był to pistolet z gwintowaną lufą i zamkiem skałkowym, udoskonalony przez mojego zdolnego szwagra rusznikarza, Michała. Jeszcze nigdy mnie nie zawiodł. Po wystrzale siwy dym zasnuł izbę, ale szybko się rozwiął, bo ktoś przytomnie otworzył drzwi na oścież.

- Stać i ani kroku! Rzucić broń! - krzyknął Żółkiewski, widząc, że pozostali zbójcy zbierają się do ucieczki. - Gospodarzu, wezwij sługi, przynieście sznury, spętajcie tych hultai i odstawcie do alkierza, potem wezwijcie starostę. Nuże!

Uwinęli się z tym w mgnieniu oka. Żaden z grasantów nie próbował stawiać oporu, gapili się jedynie na mnie ze strachem w ślepiach niczym na czarownika. Podeszliśmy ze Staszkiem do stołu, na którym spoczywał zbójcecki hetman. Chwyciłem za siwe kudły, uniosłem w górę martwy łeb, spoczywający na blacie w kałuży krwi. Moja kula trafiła łotra dokładnie między oczy. No, prawie dokładnie.

- Pół ciała bardziej w lewo - krytycznie zauważył Stachnik. - Marnie, Kacper. Starzejesz się albo oczy ci się psują.

- A bo światło marne - usprawiedliwiłem się.

- Ale szybki to jesteś, muszę przyznać - dodał łaskawym tonem.

Dopiero wówczas buchnął gwar i wszyscy obecni rzucili się ku nam, poklepując mnie po plecach z życzyliwością równą niedawnej niechęci i przerzucając się pochwałami jeden przez drugiego:

- To ci strzał!

160

Znów zapadła cisza jak makiem zasiał. Po czym goście, którzy siedzieli na linii strzału, jęli zrywać się z ław, przepychać i wnet stłoczyli po przeciwległych stronach w chwalebnej trosce o własną skórę.

- Aj-waj! - jęknął żałośnie arendarz. - Chwila, jedna chwilunia, wielmożni panowie! Raccie wstrzymać się odróbkę!

Po czym razem z pomocnikiem pobiegli kurcgalopkiem, ściągnęli ze ściany imponujące poroże, i odnieśli je za szynkwias, przy okazji zdejmując z półek flaszki i gąsiory z co cenniejszymi trunkami.

- Wielki dank! - zawołał karczmarz, zanim zanurkował w ślad za statkami.

Zbój zaśmiał się i podniósł pistolety do oczu. Kiedy palce zaczęły mu się zginać na cynglach, sięgnąłem po swojego niezawodnego francuza. Był to pistolet z gwintowaną lufą i zamkiem

skąłkowym, udoskonalony przez mojego zdolnego szwagra rusznikarza, Michała. Jeszcze nigdy mnie nie zawiódł. Po wystrzale siwy dym zasnuł izbę, ale szybko się rozwiął, bo ktoś przytomnie otworzył drzwi na oścież.

- Stać i ani kroku! Rzucić broń! - krzyknął Żółkiewski, widząc, że pozostali zbójcy zbierają się do ucieczki. - Gospodarzu, wezwij sługi, przynieście sznury, spętajcie tych hultai i odstawcie do alkierza, potem wezwijcie starostę. Nuże!

Uwinęli się z tym w mgnieniu oka. Żaden z grasantów nie próbował stawiać oporu, gapili się jedynie na mnie ze strachem w ślepiach niczym na czarownika. Podeszliśmy ze Staszkiem do stołu, na którym spoczywał zbójcecki hetman. Chwyciłem za siwe kudły, uniosłem w górę martwy łeb, spoczywający na blacie w kałuży krwi. Moja kula trafiła łotra dokładnie między oczy. No, prawie dokładnie.

- Pół cala bardziej w lewo - krytycznie zauważył Stachnik. - Marnie, Kacper. Starzejesz się albo oczy ci się psują.

- A bo światło marne - usprawiedliwiłem się.

- Ale szybki to jesteś, muszę przyznać - dodał łaskawszym tonem.

Dopiero wówczas buchnął gwar i wszyscy obecni rzucili się ku nam, poklepując mnie po plecach z życzliwością równą niedawnej niechęci i przerzucając się pochwałami jeden przez drugiego:

- To ci strzał!

Znów zapadła cisza jak makiem zasiał. Po czym goście, którzy siedzieli na linii strzału, jęli zrywać się z ław, przepychać i wnet stłoczyli po przeciwległych stronach w chwalebnej trosce o własną skórę.

- Aj-waj! - jęknął żałośnie arendarz. - Chwila, jedna chwilunia, wielmożni panowie! Raczcie wstrzymać się odróbkę!

Po czym razem z pomocnikiem pobiegli kurcgalopkiem, ściągnęli ze ściany imponujące poroże, i odnieśli je za szynkwias, przy okazji zdejmując z półek flaszki i gąsiory z co cenniejszymi trunkami.

- Wielki dank! - zawołał karczmarz, zanim zanurkował w ślad za statkami.

Zbój zaśmiał się i podniósł pistolety do oczu. Kiedy palce zaczęły mu się zginać na cynglach, sięgnąłem po swojego niezawodnego francuza. Był to pistolet z gwintowaną lufą i zamkiem' skąłkowym, udoskonalony przez mojego zdolnego szwagra rusznikarza, Michała. Jeszcze nigdy mnie nie zawiódł. Po wystrzale siwy dym zasnuł izbę, ale szybko się rozwiął, bo ktoś przytomnie otworzył drzwi na oścież.

- Stać i ani kroku! Rzucić broń! - krzyknął Żółkiewski, widząc, że pozostali zbójcy zbierają się do ucieczki. - Gospodarzu, wezwij sługi, przynieście sznury, spętajcie tych hultai i odstawcie do alkierza, potem wezwijcie starostę. Nuże!

Uwinęli się z tym w mgnieniu oka. Żaden z grasantów nie próbował stawiać oporu, gapili się jedynie na mnie ze strachem w ślepiach niczym na czarownika. Podeszliśmy ze Staszkiem do stołu, na którym spoczywał zbójcecki hetman. Chwyciłem za siwe kudły, uniosłem w górę martwy łeb, spoczywający na blacie w kałuży krwi. Moja kula trafiła łotra dokładnie między oczy. No, prawie dokładnie.

- Pół cala bardziej w lewo - krytycznie zauważył Stachnik. - Marnie, Kacper. Starzejesz się albo oczy ci się psują.

- A bo światło marne - usprawiedliwiłem się.

- Ale szybki to jesteś, muszę przyznać - dodał łaskawszym tonem.

Dopiero wówczas buchnął gwar i wszyscy obecni rzucili się ku nam, poklepując mnie po plecach z życzliwością równą niedawnej niechęci i przerzucając się pochwałami jeden przez drugiego:

- To ci strzał!

- W życiu nie widział czegoś podobnego i chyba już nigdy nie obaczę!
 - Chryste w niebiesiech! Toż tamten miał już broń przy gębie i cyngle ruszał, kiedy acan dopiero po pistolet sięgałeś! Tymczasem on nawet wypalić nie zdołał! Czary!

- Jaka szybka ręka! A oko!

- Zuch!

- Daj Panie Boże królowi Szczepanowi więcej sług takowych!

W tej chwili wrócił karczmarz z dwoma posługaczami. Zażywny szlachciura z czerwoną twarzą miłośnika trunków i kosztownym odzieniu, zadysponował:

- Ejże, Żydzie, a dorzućcie nieboszczyka do tamtych łotrów, zetrzyjcie juchę z ławy i wytoczcie z loszku najlepszego wina dla wszystkich. Ja funduję!

- W tej chwili, jasny panie! - arendarz zgiął się w ukłonie, po czym zwrócił do mnie: - Wasza miłość miał całkowitą słuszność. Ten tu - wskazał trupa, którego jego ludzie właśnie wynosili z izby - kulał na prawą nogę, a przyjechał sam na roslym gniadoszu z czarnym ogonem. Dobrzem widział, gdym go witał.

- Jam od razu wiedział, że to łotr bez czci i wiary. Źle mu z jedyne go ślepie patrzyło. Do stołów, waszmościowie! - zagrział tubalnym głosem zażywny szlachcic. - Pijemy zdrowie... Jak godność, bo nie dosłyszałem?

- Kacper Ryx - podpowiedział mu Żółkiewski. - Inwestygator królewski.

- Zatem zdrowie imć Ryksa! - chciał mnie zagarnąć serdecznym gestem.

- Chwila - odparłem. - Mam tu jeszcze coś do załatwienia.

Odwróciłem się do Stadnickiego. Tylko on i Zborowski nie brali udziału w powszechnym ożywieniu, siedząc obok siebie w ponurym milczeniu.

- Twoja kolej, mości Diable - rzekłem, odsłaniając połą i drugi pistolet, hiszpańskiego miąueleta. - Chyba żeś się rozmyślił.

O ile wcześniej bodaj wszyscy sekundowali jemu, nie mnie, teraz to się odmieniło. Co najmniej połowa obecnych była po mojej stronie. Domyśliłem się dlaczego. Diabeł miał opinię groźnego zabijaki i zapewne bardziej lękano się go niż poważano. I cieszone, że nareszcie trafił frant na równego sobie, o ile nie lepszego. Podniosło

mnie to na duchu, ale nie miało wielkiego znaczenia. Kiedyś Stadnicki, na zlecenie Samuela Zborowskiego, porwał Jankę i byłby jej zadał gwałt, gdyby nie interwencja Żółkiewskiego. Był drugi na mojej prywatnej czarnej liście, zaraz po Samuelu, i byłbym rad, mogąc go odfajkować. Chyba to czuł, a teraz znał już moje możliwości i w widoczny sposób upadł na duchu. Ale honor nie pozwalał mu się wycofać.

- Mnie Diabłem zowią tylko murwysynowie, a od takich ja ze-lżon być nie mogę. Ale jestem gotów - odparł i ciężko podniósł się z ławy.

Żółkiewski szybko wysunął się między nas.

- Dość tego! Jako plenipotent kanclerza i hetmana..w jednej osobie, imć Jana Zamojskiego, powagą jego urzędu zakazuję tego pojedynku. Dziś każda ręka zdolna dzierżyć szablę i pistolet, potrzebna jest na Moskali. Jeśli chcecie, bijcie się po wojnie, a teraz wara od się!

Popatrywał srogo to na mnie, to na mego adwersarza. Za pojedynek zwyczajowo groziła szlachcicowi kara sześciu miesięcy więzy i trzydziestu grzywien, podczas wojny obowiązywało prawo zastrzone. Mnie pewnie by powieszono.

- Dobrze - powiedziałem.

- Niech tak będzie - odparł Stadnicki i popatrzył na mnie nienawistnie. - Sam rzekłeś: co się odwlecze, nie uciecze. Jeszcze się spotkamy. Chodźmy stąd, Samku, to nie miejsce dla prawej szlachty.

- Zaraz! - odezwał się Zborowski. - Wprzód niech Ryx odda mi mojego człeka.

Zmarszczyłem brwi, nie pojmując, do czego pił.

- Nie wiem, o czym waszmość mówisz i o kogo ci idzie.
- O niego - pokazał palcem.

Zdumiony, dopiero teraz dostrzegłem stojącego jak słup i sparaliżowanego z lęku Długoraja, wpatrującego się w Zborowskiego wzrokiem ofiary hipnotyzowanej przez zmija.

- To mój pachoł. Gdyby nie przytomność imć Żółkiewskiego, którego prawości nie neguję, oskarżyłbym cię o ukrywanie zbiegów, a tak po prostu mi go oddaj i będziemy tymczasem skwitowani.

Patrzył na mnie złośliwie, tym razem prowokując mnie tak, jak wcześniej ja Stadnickiego. Już raz odebrał mi swego człowieka szukającego u mnie ratunku, niejakiego Królika, by go potem

okrutnie zamordować, i wiedział, że drugi raz mu na to nie dozwolę. I pewnie zrobiłbym jakieś głupstwo, wtem silne palce ścisnęły mi ramię.

- Musimy go oddać - powiedział Stachnik z naciskiem. - Imć Zborowski ma za sobą prawo. Komu jak komu, ale tobie nie Iza go łamać. Wiesz o tym. Puścił mnie i lekko popchnął Wojtaszka w stronę Zborowskiego.

- Wracaj do swego pana, synku. I nie lękaj się. Na zawsze straciłeś swój anielski głos i nic ci już nie grozi. Panie Zborowski - zwrócił się do okrutnika. - Wiem, że zamierzałeś wytrzebić tego chłopca i dlatego od ciebie odbiegał. Nie chciałbym kiedyś usłyszeć, żeś znów go pokrzywdził.

O dziwo, Zborowski zignorował pogroźkę, tylko, dumnie razem z siostrzeńcem zdążając ku wyjściu, gestem nakazał Długorajowi iść przodem. Długo jeszcze prześladowało mnie pełne rozpacz i żalu spojrzenie chłopca, które mi rzucił po drodze. Czułem się jak zdrajca. Nie poprawiło mi humoru ani dobre wino, ani życzliwe poklepywanie po plecach i toasty na moją cześć wznoszone przez towarzyszy biesiady.

- Mądrześ postąpił, niechając tego łotra - rzucił mi Stachnik na ucho. - Jeszcze go dostaniesz.

- Zmarnowałem jedyną okazję. Nigdy już mi nie stawi czoła. Poznałem go jak zły szeląg - odparłem markotnie. - Teraz raczej strzeli mi w plecy albo prędzej kogoś wynajmie, żeby to zrobił za niego. Odtąd nie będę pewny dnia ani godziny.

- Mylisz się. To łotr, nie neguję, aleć szlachcic, a szlachcic tak nie postępuje - zachnął się zgorszony.

Cały Stachnik, istny Rzymianin, który wierzył, że szlachectwo w istocie do czegoś zobowiązuje. Nie spierałem się z nim, ale wiedziałem swoje. Zanim udaliśmy się na spoczynek, przybył miejscowy podstarość z pachołkami. Zeznaliśmy mu ze Staszkiem wszystko, cośmy wiedzieli o nieboszczyku i jego kompanach, po czym zabrali jego i ich do więzy.

Rano w licznej kompanii, po drodze mijając patrzącą na kamienną warownię stareńką cerkiew Świętych Borysa i Gleba, przez Merecz i Troki udaliśmy się do Wilna. Ponieważ Żółkiewski coraz bardziej się niecierpliwił, wkrótce zostawiliśmy pozostałych w tyle, obiecując sobie spotkać się rychło w litewskiej stolicy albo

163

już w obozie wojskowym. Po drodze, gdyśmy wjechali do Litwy właściwej (była jeszcze Żmudź), czyli górnej - Auksztoty, rozglądałem się z dubeltową ciekawością, bo była to kraina odmienna od drugich, które znałem. Mocno pagórkowata, sporo lasów; osady, o wiele mniej ludne od polskich wsi, pochowane w dolinkach. Z rzadka rzucało się w oczy jakieś samotne domostwo na wzgórzu, zawsze drewniane i pomalowane gliną na żółtawy kolor. W TYokach, starym malowniczym mieście, położonym nad dużym jeziorem, z wielkim zamkiem książąt litewskich wznoszącym się na ostrowie, posililiśmy się w karczmie

prowadzonej przez Karaimów. Karaimi to lud turecki czy tatarski, wyznający odmianę judaizmu, który z Krymu sprowadził na Litwę wielki książę Witold. Ich jadło miało wyraźnie orientalny posmak, ale smakowało mi. Zwłaszcza jazma, czyli chłodnik czosnkowo-ogórkowy i kybyny, karaimskie kołduny (litewskie kołduny jadłem pierwszy raz na poprzednim popasie i też mi posmakowały), czyli baraninę zawijaną w cieście, polaną czosnkowym sosem.

Z Trok do Wilna było niedaleko, jakieś dwie mile, w tym spory kęs skrajem jeziora. Przed miastem nasz trakt połączył się z gościńcem miednickim, gdzie schodziły się drogi wiodące z Grodna i Mińska. Do stolicy Litwy wjechaliśmy przez Bramę Miednicką zwaną też Ostrą, od południowego przedmieścia obzwanego Ostrym Końcem, jak oświecił mnie Stachnik. Miasto miało pięć bram, nie licząc bron wiodących do prywatnych jurydyk, których było tu kilka. Wilno nie dorównywało Krakowowi wielkością, ale także było miastem ludnym i urodziwym. Uderzała duża liczba świątyń, zarówno katolickich, jak i greckich o charakterystycznych baniastych kopułach. W czasach obu Zygmunatów, Starego i Augusta, miasto rozrosło się i wzbogaciło o mincarnię, cekhauz, most na Wilejce, liczne szpitale i pałace magnackie. Najpiękniejsze budowle pobudowano w nowomodnym włoskim stylu. Ponoć niektóre były dziełem tegoż Jana Marii Padovana, który wprzód upiększał Kraków. Okrom Litwinów zaludniali Wilno Polacy, Ru-sini z Białej Rusi, Żydzi, Niemcy, Włosi, Ormianie i Tatarzy. Tatarzy na Litwie, potomkowie jeńców, zamieszkiwali w Trokach, 1 Jedyna zachowana do dziś. Słynny obraz Matki Boskiej Miłosiernej został w niej umieszczony na początku XVII w.

164

> •

Grodnie i Augustowie osobne dzielnice zwane „kątami tatarskimi”. W Wilnie mieli nawet za murami osobne Przedmieście Tatarskie (z drewnianym meczetem!) na jakowychś Łukiszkach (należących do Kurmaszewiczów, których dziad, niejaki Luka, ponoć założył tę osadę), do których udawano się ulicą Tatarską przez furtę tejże nazwy.

Zdążaliśmy na przeciwległy, północny koniec miasta, do zamku wielkich książąt. Ulica Ostrobramska przywiodła nas na lejkowaty rynek z ratuszem¹, który miał wieżę zegarową z dzwonem. Z jednej strony ratusza stał pręgierz alias piłat, z drugiej wznosiła się szubienica. Ponieważ rynek był nieporównanie mniejszy od krakowskiego, za to jak tamten zastawiony ogromną liczbą kramów i straganów, przyszło nam się przepychać przez ludzką ciżbę, przy okazji wdychając przeróżne mieszające się wonie, jako że przy rynku nie brakowało także rozmaitych warsztatów rękodzielniczych oraz, przede wszystkim, gospód i szynków.

- Jegomość! - jadący mimo Krzych Żeglarz pociągnął mnie za rękaw. - Spójrzcie!

Na placu przed ratuszem trupa wędrownych muzykantów, komediantów, kuglarzy-igrców, wesołków i linoskoków, poubieranych w błazeńskie kapelusze, dawała ucieszne spectaculum, na które z wysokości siodła mieliśmy dobry prospekt ponad głowami gapiów. Największą uwagę spektatorów przyciągał niedźwiednik w wysokiej czapie, z tresowanym miśkiem, bo też litewscy niedźwiednicy należeli do najlepszych w tym fachu. Przekonałem się o tym, gdym jako otrok włóczył się po kraju z kuglarzami. Nie darmo przysłowie polskie powiada: „Gdy raz niedźwiedzia zmożesz, już gdzie będziesz chciał, tam go za nos powiedziesz”. Szkolony od małego do odgłosów muzyki misiek, jak ten tutaj, wspinał się na tylne łapy, udawał że myje pysk, tańczył, ruszając nieprzystojnie zadem ku zgorszeniu niewiast. A wszystko do wtóru piszczałek, zwiniętych trąbek, prostych surm vel szałamajek alias gagajek, dudów i pasterskich wołoskich fletni, multanek.

Na Litwie i Białej Rusi niedźwiedzi nie brakowało. Małe miśki kupowano od gajowych z Puszczy Białowieskiej lub innych tutejszych borów. Chętnie zażywano niedźwiedzi do pilnowania domostwa,

1 Wtedy gotyckim, obecny jest klasycystyczny i pochodzi z końca XVIII w.

poruszania kieratu lub studziennego żurawia. Mimo to i tu, i w całej Rzeczypospolitej niedźwiednicy vel skomorochy byli mile widziani, gdyż wierzono, że ich wizyta w domu przynosi szczęście, dlatego nie szczędzono darów w gotówce i wiktuałach. Skomorochowie to wykorzystywali, bo ćwiczony niedźwiedź nie chciał przestąpić progu i czynił to dopiero na potajemny znak dany mu przez niedźwiedznika (który wcześniej tłumaczył domownikom, że dom jest nawiedzony przez złe moce, zaczynał je odpłatnie odczyniać i dopiero wtedy niedźwiedź wchodził do środka), a na inny dawał się wyprowadzić.

Rozpoznaliśmy się w tej samej chwili.

- Kacper!

- Valdas!

Kopnął się ku mnie, prąc przez ciżbę niczym taran i zostawiając niedźwiedzia, który nie zaprzestał swoich płasów. Gdym się pochylił, by go uścisnąć na powitanie, omal nie ściągnął mnie z siodła, taki był ucieszony niespodziewanym spotkaniem, a krzepę miał iście niedźwiedzią. Niedźwiedznikami bywali zwykle chłopci białoruscy, zwani stąd Litwinami, albo Cyganie. Valdas miał ojca Litwina, a matkę Rusinkę, zaś urodził się w Miedźwiedziskach, wiosce opodal Siemieżewa, leżącego o czterdzieści mil węgierskich na zachód od Słucka. W Siemieżewie istniała sławna szkoła tresury niedźwiedzi, gdzie szkolono też kuglarzy towarzyszących niedźwiednikom i żebraków mających własną mowę. Valdas skończył tę szkołę, a ponieważ polubił mnie jak syna lub młodszego brata, wtajemniczył w wiele sekretów swojej profesji.

- Ile to lat minęło od naszego widzenia, Kacper?

- Blisko dwadzieścia.

- Jak ten czas leci! Cóż to zagnało cię w te strony? - zdumiał się; był ode mnie sporo starszy i w rozczochranej czuprynie widziałem więcej siwizny niż pierwotnej czerni. - Prawe panisko się z ciebie uczyniło - ogarnął spojrzeniem moje odzienie i towarzyszy, z których Żółkiewski nawet w podróznym stroju patrzył na wielkiego pana, taką zazwyczaj miał wyniosłą minę dla postronnych, bez względu na ich stan.

1 W XVII w. przewyższyła ją szkoła w Smorgoniach należących do Radziwiłłów, 70 kilometrów na wschód od Wilna, którą prowadzili Cyganie.

- Wezwano mnie na zamek. Nie wiem, ile zabawię w mieście. Potem ruszam na wojnę.

- I my niedługo pociągniemy za wojskiem. Tedy do zobaczenia, sam lub gdzie indziej.

Wonczas pogadamy sobie od serca i do syta. Bywaj! Dobrze było znów cię widzieć.

Wrócił do swej bestii, oglądając się wstecz i machając mi ręką. Odmachnąłem i pojechaliśmy dalej ulicą Wielką Zamkową, już z dala widząc górujący nad miastem cel naszej peregrynacji.

- To Góra Giedymina alias Zamkowa, a na niej Górny Zamek - objaśnił Stachnik. -

Pierwszą drewnianą fortalicję postawił wielki książę Giedymin, gdy przenosił stolicę z Trok do Wilna. A murowany zamek¹ jest dziełem hosudara Witolda, ciotecznego brata króla Jagiełły. Zaraz obaczysz Dolny Zamek, czyli pałac, niedawnymi czasy rozbudowany przez italskich muratorów dla króla Augusta.

Zaiste piękna rezydencja królewska, czy raczej wielkich książąt litewskich (bo takiego miana nasi królowie zażywali na Litwie), robiła wrażenie. Z lewej, zachodniej strony sięgała katedry Świętego Stanisława, po wielkim pożarze z 30 roku odbudowanej wedle tej samej modły² i w tym samym czasie co pałac wielkoksiążęcy. To w niej mitrą wielkoksiążęcą koronowano kniazia Witolda, a potem wszystkich polskich królów łącznie z obecnie panującym.

Od wschodu Górę Zamkową oblewała rzeka Wilenka, czy też Wilejka, opodal uchodząca do Willi, przez Litwinów zwanej Neris. Wilia, Wilejka i fosa od niej przekopana opasywały oba zamki, tak jak Wisła z Rudawą Wzgórza Wawelskie. Nieco zapuszczone ogrody królewskie, urządzone na włoski wzór, schodziły aż do wody. Kiedyśmy wjechali na most

ponad fosą, Żółkiewski pokazał rozpadającą się już ze starości kładkę z krytą galerią, posadowioną nieco dalej, na wprost bocznej furty w zamkowym murze.

- Tamtędy młody król August nocami przekradał się chyłkiem do folwarku Radziwiłłów po drugiej stronie Wilejki, gdzie we dworze lub parku spotykali się ukradkiem z ową niecnotliwą Barbarą, sromotę a lasciwień czyniąc. Tfu! - splunął do wody.

1 Dziś została z niego jedna wieża zwana Basztą Giedymina (renesansowy Dolny Zamek jest aktualnie rekonstruowany).

2 Obecna jest klasycystyczna, z końca XVIII w. (bez zmian została tylko wczesnobarokowa kaplica Świętego Kazimierza, zachowały się także średniowieczne fundamenty i krypty).

167

Mnie aż tak to nie gorszyło, jak zasadniczego Stachnika. Nawet z niejakim wzruszeniem spoglądałem w miejsce, gdzie przed prawie czterdziestu laty wzięła początek miłosna awantura, która wstrząsnęła całą Koroną i Wielkim Księstwem i miała dalekosiężne konsekwencje.

Ledwo strażę przepuścili nas za bronę, pierwszą osobą, którą spostrzeżliśmy, był sam wielki Jan Zamojski, z zafrasowaną miną wielkimi krokami przemierzający dziedziniec. I on nas zoczył.

- Z nieba mi spadliście! - zawołał bez żadnych wstępów, w widoczny sposób zbyt zaaferowany, by silić się na grzeczności. - Idę właśnie do króla. Pójdźcie ze mną.

- Dajże nam się choć ochędożyć - zaprotestował Żółkiewski.

- Furda z tym - kanclerz machnął ręką lekceważąco. - Król Szczepan nie dba o pozory. Dobrze o tym wiesz, a Kacper przekona się wkrótce.

Sam jednak wyglądał godnie. Przybrał na ciele, odkąd widziałem go ostatnio, zaś na twarzy widniały bruzdy. Domyśliłem się, że był to effectus zarówno odpowiedzialności związanej z pełnieniem naraz dwóch najważniejszych urzędów w państwie, jak i niedawnych ciężkich doświadczeń - śmierci żony i dziecka. W tym ostatnim upewniał mnie jego ciemny, żalobny strój. Zresztą, jak miałem się o tym później przekonać, wystawione własnym sumptem wojsko również odział podobnie, stąd zwano je „czarnymi rotami”.

We trójkę szybkim krokiem przemierzaliśmy pałacowe antyszam-bry, a strażę, służba i dworzanie kłaniali nam się z szacunkiem i ustępowali z drogi. Nie było króla w jego komnatach. Znaleźliśmy go dopiero w niewielkim gabinecie, gdzie prowadził ożywioną rozmowę z dwoma jezuitami. Był to zakon dzięki królowi zdobywający sobie coraz większe wpływy w kraju. Na moim macierzystym uniwersytecie uważano ich za utrapienie i, jak na razie skutecznie, zwalczano projekt założenia w Krakowie jezuickiego kolegium. Udało im się wszak takowe utworzyć w drugich miastach i cieszyły się dobrą opinią, a w Wilnie nawet niedawno, decyzją króla, przekształcono kolegium w Akademię Wileńską, pierwszą i jedyną w Wielkim Księstwie, tak jak Krakowska w Koronie.

Obaj jezuita byli na oko około czterdziestki. Jeden siwy, ze szpiczastą bródką i o gorejących oczach, drugi czarny. Widząc, że zajęły

168

mnie książki, których kilka leżało na pulpicie, a jedną, założoną palcem, król, słyszący ze swego zamiłowania do ksiąg, trzymał w dłoni, siwy ksiądz mrugnął do mnie porozumiewawczo i rzekł półgłosem:

- Czytaniem odganiacie matkę wszystkich grzechów - próżnowanie.

Ale mnie bardziej od księży zajmowała osoba króla. Spodobał mi się od razu. Był wysoki, dobrze zbudowany, o twarzy śniadej z ostrymi rysami, wydatnym, nieco zakrzywionym nosem (przez co złośliwcy porównywali go do Attyli), sumiastymi wąsami i krótko przystrzyżoną czarną brodą, prawie bez siwizny. Miał też zupełnie białe zęby i w ogóle prezentował się zdrowo jak rydz, co stanowiło miłą odmianę po wątłym Zygmuncie Auguście

i zniewieściałym, nieco cherlawym Henryku. Nosił krótki adamaszkowy żupan alias dolman, i obcisłe, czarne sukienne spodnie wpuszczone w żółte półbotki na wysokim obcasie. Co mnie zaskoczyło, to dość wydatna łysina, zazwyczaj, jak się potem przekonałem, zasłaniana czapką, z którą prawie nigdy się nie rozstawał. Był to bodaj jedyny przejaw próżności z jego strony, bo o strój ani wygody nie dbał, o czym wszyscy wiedzieli.

- O co idzie? - rzucił niecierpliwie. - Wiadomo już, kto utrzymuje sekretne stosunki z Naszczokinem?

- My właśnie w tej sprawie, miłościwy panie - odparł Zamojski. - Niestety, nasi szpiedzy jeszcze nikogo nie wyszlakowali. Za to przybył mój kuzyn z młodzieńcem, którego poleciłem waszej królewskiej mości jako wybornego inwestygatora.

- A więc tyś jest Kacper Ryx... - czarne, lśniące żywą inteligencją oczy spoczęły na mojej osobie, a ja miałem okazję podziwiać zarówno wyborną łacinę króla, jak i takąż pamięć, skoro raczył zapamiętać moje miano. - Oby twoja zręczność, o której imć kanclerz cuda prawił, rychło się objawiła. Bowiem lada dzień ruszać nam z Wilna wypadnie, a wprzódzy zdrajcy muszą być ujawnieni i przykładnie ukarani. Ruszaj więc do swych powinności i spraw się dobrze, a na naszą niewdzięczność nie będziesz się mógł skarżyć. Skłoniłem się nisko.

- Uczynię, co w ludzkiej mocy, najjaśniejszy panie.

- Dwie rzeczy ma w sobie każde prawo - znów odezwał się jeden z jezuitów, ten siwy. - Drogę, którą iść trzeba, jako świeca w ciemności ukazuje a karaniem, aby z niej nie ustępowano, grozi.

169

Zamojski dał nam dyskretny znak do wyjścia, po czym w przelocie szepnął mi na ucho:

- Pogwarzymy później. Niech Stachnik powoła się na mnie i wynajdzie ci kwaterę. Kiedy mijalem siwego księdza, uśmiechnął się do mnie i rzekł:

- Pamiętaj, synu: kto ojczyźnie służy, sam sobie służy.

Już za drzwiami Żółkiewski zapytał:

- Wiesz, co to byli za księza?

- Nie.

- Ten siwy to Piotr Skarga, rektor Akademii Wileńskiej, a ten drugi to Jakub Wujek, tameczny profesor.

- O tym slyszalem. Napisał Postyllę Katoliczną¹. Widzialem ją u ojca Rocha.

- Król jegomość bardzo sobie ceni obu i liczy się z ich zdaniem, osobliwie księdza Skargi, choć jego szlachectwo wielce jest wątpliwym². Ale król Szczepan na takie rzeczy nie zważa, co ci dobrze wróży na dal.

Też tak uważałem. Pokrzepiony na duchu dałem się poprowadzić labiryntem przedpokojów do jednego z bocznych skrzydeł pałacu, gdzie, staraniem Stachnika, opróżniono dla mnie kwaterę w pobliżu jego komnaty. Izba była ciasna, ale nie narzekałem, zwłaszcza że Stachnik przypomniiał:

- To jeno kilka dni. Słyszałeś, że królowi spieszo do Czaśnik. Uwiń się tylko z robotą, a pewnie już nazajutrz będziemy mogli ruszać.

Obiecał przysłać mi Krzycha, umówiliśmy się na wieczerzę i poszedł sobie. Wieczerzę spożyliśmy w towarzystwie kilku dworzan, którym zostałem zaprezentowany. Zamojskiego nie było, widać zatrzymało go coś ważnego. Setnie znużony dokonałem jedynie pobieżnej ablucji, padłem na twarde wyrko i natychmiast zasnąłem. Jednak spałem źle. Dręczyły mnie jakieś koszmary. Obudziłem się

1 Postilla catholica, to jest Kazania na każdą niedzielę i na każde święto przez cały rok, 1573 (przede wszystkim jednak Wujek zasłynął ze znakomitego przekładu Biblii z łaciny na polski, opublikowanej w 1599 r.).

2 Piotr Skarga (1536-1612) - prawdziwe nazwisko Pawęski (od wsi Powązki w Sochaczewskim); urodzony w mazowieckim Grójcu w bogatej rodzinie chłopskiej lub ubogiej szlacheckiej, herb Pawęża wraz z nobilitacją otrzymał dopiero od Zygmunta III Wazy.

170

złany potem. Za oknem dniało. Niezupełnie rozbudzony powiodłem wzrokiem po izbie i zmartwiałem, nie wiedząc, czy to jeszcze sen, czy już jawa.

Na krześle, w niedbalej pozie, wbijając we mnie tak dobrze mi znane nieruchome spojrzenie niesamowitych, czerwonych ślepi, siedział Kettler. Morderz do podnajęcia, z którym miałem kiedyś sprawę. Chodzący koszmar i najniebezpieczniejszy człek, jakiego znałem.

rozdział 4 | ZDRADA

Okolice Dynowa, sierpień 1580 roku

- Staś! Wracaj natychmiast!

Chłopiec około lat dziesięciu wysforował się na swoim małym koniku naprzód i zniknął im z oczu. Popędziła kasztankę, a stary sługa na swoim równie wiekowym wierzchowcu został daleko w tyle.

W hajduku z kołpakiem na głowie, z którego zawadiacko sterczało w górę czaple pióro, nikt z warszawskich znajomych nie rozpoznałby Janki. Próżno macocha tłumaczyła jej, jak bardzo nie przystoi panie na wydaniu noszenie męskich sukien.

- Wstyd i obraza boska! iym sposobem zrazisz do siebie wszystkich starających i nigdy za mąż nie pójdziesz. A czas byłby najwyższy - straszyla, acz bez przekonania, gdyż małżeństwo pasierbicy z kimś równym jej stanem było ostatnią rzeczą, której sobie życzyła, Janka bowiem nie upominała się o należne dziedzictwo. Jej mąż uczyniłby to na pewno... Ale dziewczyna nie dbała o przestrogi i ludzkie gadanie. A ponieważ często wypuszczała się na dalekie wycieczki, uznała, że od przyzwoitości ważniejsza jest wygoda. Te dalekie wyprawy też nie podobały się pani Wapowskiej.

- Szczęściem z Tatory teraz pokój, ale strzeż się beskidników alias opryszków. I to ostrzeżenie Janka puszczała mimo uszu, gdyż owi ruscy górale rozbójnicy wyruszali mordować i łupić najczęściej w trakcie lub po inkursjach tatarskich. Co prawda teraz, gdy wojsko poszło na wojnę, może i pokusiliby się o jakiś zajazd, jednak od dawna o nich nie słyszano. Poza tym miała parę dwulufowych krócić podarowanych jej przez Kacpra, które zawsze nosiła pod jupką, i nie lękała się nikogo.

Dogoniła chłopca bez trudu. Często się ścigali dla zabawy, lecz tym razem nie musiała się wyęczać, gdyż czekał na nią na wzgórzu,

172

wpatrzony w dal. Bez słowa wyciągnął rękę. Przed nimi widniała spalona wieś. Czerniły się zwęglone belki chałup, nagimi pniami straszyla opalone drzewa owocowe w sadach.

- Nie ma powodu do obaw. To musiało się stać jakiś czas temu. Nie ma dymu ani trupów. Nikt nie uwija się na pogorzelsku. Ci, co ocaleli, dawno stąd odeszli.

- Wiem - odparł chłopiec.

Jan Stanisław Wapowski, jedyny syn Andrzeja, przed sześciu laty zabitego w Krakowie przez Samuela Zborowskiego, który tę zbrodnię przypłacił banicją, był chłopcem spokojnym, poważnym na swój wiek i rozważnym. Miał także dobre serce, w którym Janka zajmowała znaczące miejsce. Pozbawiony ojca i rówieśników, przyłgnął do niej, a ona do niego.

- To robota Diabła Stadnickiego - odezwał się stary Jakub, podjechawszy do nich. - Spalił tę wieś przed rokiem.

- Dlaczego? - spytała dziewczyna, mimowolnie wzdrygnawszy się na dźwięk znieawidzonego nazwiska.

Stary wzruszył ramionami.

- A kto go tam wie? Już drzewiej był z niego łotr jak się patrzy, dobrze pamiętam. Ale ostatnio, odkąd wrócił z Węgier, a potem spod Połocka, istny diabeł wcielony się z niego zrobił - sługa przeżegnał się szybko. - Stale wojuje z sąsiady. Nie ma dnia, żeby komu jakowejś szkody nie uczynił. Nikt od niego spokoju nie ma. Nie lęka się nawet znaczniejszych od siebie. Najpierw wypuszcza w drzwi czarną strzałę. To znak, ostatnia chwila, żeby mu po dobroci ustąpić, czego żąda. Bo potem nachodzi, pali, gwałci, morduje, a na koniec i tak zabiera, co chce.

- Jak to? Nie ma na niego mocy? A prawo, a sądy?
Jakub machnął ręką.

- Furda sądy. O wyroki ani dba, zresztą na ogół są dla niego z korzyścią, bo albo potrafi zastraszyć sędziów, albo odwrócić kota ogonem. Bowiem to gwałtownik cnotliwego udający, człek mściwy co w szlachetne piórka rad się stroi, fałszywy, zdradziecki i podły, który sprawiedliwego udaje, i pieniacz, co łamiąc prawo, lubi się nim zasłaniać. A zresztą, panienko, jak u nas powiadają: szabloju i hramotoju, tyle że szabloju prędzej i pewniej. Parę roków temu

1 Prawem i lewem, muszkietem i dekretem (rus.).

173

ze swego Dubiecka i najechał i złupił dobra pani Zofii ze Sprowy Kosteczyny, potem napadł na Przeworsk, by z wieży uwolnić swego sługę, Ilkę. I co? I włos mu z głowy nie spadł.

- Myślisz, że nam też nie da spokoju?

- O, na pewno! I to rychło, póki panicz młody i zdzierzyć mu nie może - objął chłopca zatroskanym spojrzeniem. - Łońskiego roku Diabeł upomniał się o Dynów z tej marnej racji, że jego ojciec dzierżawił go od Tarnowskich wprzódy, nim ci odsprzedali miasto dziadom panicza Stanisława. To dlatego jejmość pani Wapowska tak się trapi i pomocy wygląda. Szczęściem okrutnik znów na wojnę pociągnął, to i chwilę wytchnienia mamy. Da Bóg, że go Moskale usieką - dodał z nadzieją.

- Niech wraca, ja się go nie boję - wtrącił się chłopiec z powagą. - W sekrecie przed panią matką Janka za gumnem uczy mnie robić szabłą, a teraz nauczy także strzelać z króciicy. Prawda?

- Zgoda - uśmiechnęła się i potargała mu płową czuprynę.

- Baczość! - zawołał nagle Jakub, oglądając się wstecz i zdejmując z pleców rusznicę. Wówczas i pozostała dwójka ujrzała samotnego jeźdźca, który wyjechał z lasu i w skok zmierzał prosto w ich stronę. Przystanęli, obrócili się ku niemu, a Janka zacisnęła dłoń na kolbie króciicy. Ale gdy jeździec przybliżył się, odjęła rękę od broni i kazała staremu opuścić lufę strzelby. Po pierwsze nieznamy był sam, po drugie nie wyglądał na grasanta. Raczej na człeka niespełna rozumu albo ciężko chorego. Odzienie, kiedyś dostatnie, nosił wymięte i brudne, jakby go od dawna nie zdejmował, a sypiał na gołej ziemi. Ale nie był włóczęgą, przeczył temu dobry wierzchowiec szlachetnej krwi, szabla ze złoconą rękojeścią oraz pewna szlachetność w obejściu. Dziewczynę zdumiał młody wiek przybysza. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat, jednak dawno się nie golił, niestrzyżone włosy wyglądały spod sfatygowanego kołpaka, a umęczoną, wychudłą twarz przecinały pierwsze zmarszczki.

- Bywajcie, waszmościowie - zawołał, podjeżdżając do nich i unosząc puste ręce na znak pokojowych zamiarów. - Nie spotkaliście aby wypadkiem tej dziewczki?

1 Łańcut, od którego nazywano go potem „Diabłem łańcuckim”, przejął prawem kaduka dopiero w 1586 r., podczas bezkrólewia po śmierci Batorego.

174

Sięgnął w zanadrze, wyjął niewielki owalny konterfekt zawieszony na złotym łańcuszku i podsunął im pod oczy. Podobizna przedstawiała niezwykle urodziwą i bardzo młodą blondynkę o intensywnie błękitnych tęczówkach. Musiał wyczytać odpowiedź z wyrazu ich twarzy, bo jego własna posmutniała jeszcze bardziej. Zapadnięte oczy o tragicznym wyrazie,

w których na chwilę rozbłysła nadzieja, znów zmatowiały. Schował medalion z powrotem i nie mówiąc ani słowa, zawrócił konia i odjechał tak samo nagle, jak się pojawił.

- To młody panicz Jur Daniłowicz - wyjaśnił Jakub niepytany. - Przed zimą zeszłego roku miał się żenić z panną Zuzanną Stano, podstolanką sanocką. Byli już po słowie, dano na zapowiedzi, gdy dziewczka zniknęła. Szukano wszędy, ale przepadła jak kamień w wodę. Jednak panicz Daniłowicz nie pogodził się ze stratą. Odtąd jeździ samopas po okolicy i wciąż szuka. Niedługo oszaleje ze szczętem.

- Myślisz, że Stadnicki mógł maczać łapy w porwaniu panny? - Janka zmarszczyła brwi.

- To możliwe. Akurat wrócił wtedy spod Połocka. Nieraz oskarżano go już o rapt, ale rzecz tyczyła mieszczek, tedy ukręcono sprawie łeb. Powiadają, że lochy dworu w Dubiecku wiele mogłyby wyjawić o rozmaitych, a dotąd niewyjaśnionych zbrodniach, co się ostatnimi czasy zdarzyły w naszych stronach. Jenó nie ma sposobu do nich zaglądnąć, bo nawet pod nieobecność pana dworu strzeże zbójcka załoga pod wodzą owego liki i drugiego łotra, Zegarta.

Wracali do domu zamyśleni i przygnębieni.

- Jest list do ciebie - powitała Jankę Katarzyna Wapowska, kiedy dziewczyna, już przebrana, zjawiała się, by podać cierpiącej wieczerzę. - Przywiózł go jakiś wojak z naszych stron, który pod Wielizem stracił rękę i został odesłany do domu. Już kazałam się nim zająć. Stan chorej pod dobrą opieką znacznie się poprawił, ale na wszelki wypadek Janka zabroniła jej jeszcze opuszczać łóże. Podeszła do okna, rozerwała pieczęć i zaczęła łapczywie pochłaniać treść listu. Potem chwiejnym krokiem zatoczyła się na łóżko, usiadła w nogach, upuściła list na podolek, ukryła twarz w dłoniach i zapłakała.

Starsza Wapowska obserwowała pasierbicę z ciekawością, lecz nie śmiała sięgnąć po pismo. Dopiero gdy dziewczyna wyplakała się i zaczęła wycierać oczy, Katarzyna upewniła się:

175

- To od niego?

Wiedziała o miłowaniu Janki i nie mogła pojąć, jak panna ze szlchetnego rodu mogła zakochać się w człeku z ludu, a nawet jeśli, to przecież nie myśleć o wydaniu się za niego! To było tak niestosowne, że zakrawało na szaleństwo albo głupotę. Ale też gorsza część jej natury cieszyła się z tego i szczerze sekundowała młodym. Związek z niegodnym konkurentem, „prostym biernatem i zamsikiem” jak go pogardliwie nazywała w myślach, niechybnie bowiem wykluczyłyby Joannę z sukcesji po ojcu i zmusił do zrzeczenia się wszelkich dóbr ojczystych, a nawet zwolniłby krewnych z obowiązku oprawy dla dziewczki, reformacji. Chociaż rezolut jak ów Ryx, na domiar cieszący się poparciem samego kanclerza, z pewnością nie przeląkłby się Stadnickiego. Mogła więc upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Wykorzystać ich, a potem się pozbyć. Z błogosławieństwem i jakąś sumką na drogę. Nie była przecież bezduszna.

- Od niego - potwierdziła Janka łamiącym się głosem. - Wyruszył na wojnę, głupiec! Chce zasłużyć na nobilitację, bo mnie miłuje i pragnie być mnie godnym! Dubeltowy głupiec!

- Bo cię kocha?

- Bo zginie!

- Może nie - pocieszyła ją Katarzyna, w duchu mając nadzieję, że tak.

Uszlachcony Ryx nie był jej do niczego potrzebny.

Ćachtice, sierpień 1580 roku

Ferenc Nadasdy, „rzeźnik Turków”, zamaszystym krokiem wojaka przemierzał korytarze wymarłego zamku. Nie pojmował, dlaczego jego młoda żona upodobała sobie to ponure miejsce w szczerej głuszy zamiast wygodnego zamku w Sarvar. Stuk podkutych butów niósł się daleko, podzwaniały ostrogi. Ohydny karzeł Fritzko ujrzał go z dala i niezauważony czym

prędzej zamknął. Wtem otworzyły się jedne z wielu drzwi i wyglądnęła zza nich brzydka twarz

1 Pogardliwe określenie z epoki, odnoszące się do „tyków” i świeżo uszlachcony ch.

176

ochmistrzyni Dorothei Szantes, która na widok grafa pobladła i zeszywniała ze strachu.

- Wszelki duch Pana Boga chwali! Jasnie wielmożny pan hrabia... - jęknęła, a nogi się pod nią ugięły.

- No, nareszcie kogoś widzę! - warknął hrabia i zasypał służkę pytaniami: - Cóż to się dzieje, Dorka? Gdzie się wszyscy podziali? Gdzie pani? Czemu nikt mnie nie wita? I co tu robi ta stara wiedźma, którą spotkałem na dole? Możesz mi to, u diabła, wyjaśnić?

- Kiedy ja... My... Pani... - jękała się ochmistrzyni, coraz bardziej wystraszona. - Wasza wielmożność wrócił z wojny tak niespodzianie, bez uprzedzenia...

- Cóż to!?! - ryknął gospodarz. - Odkąd to muszę się zapowiadać, kiedy przyjdzie mi ochota nawiedzić własny dom!?! Prowadź do pani, ale już!

Brutalnie chwycił ją za ramię i popchnął przed siebie. Przed sypialnią hrabiny Szantes wykrzesła resztki odwagi i rozkrzyżowała ramiona, wzbraniając Nadasdy'emu wejścia.

- Tam teraz nie wolno wcho...

Z czerwonym z wściekłości licem ucapił ją za kark i odrzucił na bok jak szmacianą łątkę, wrzeszcząc:

- Precz, bo ubiję jak psa!

Szarpnął klamkę i jak burza wtargnął do środka, od razu za progiem natykając się na zaniepokojoną hałasem Ilonę Jo.

- Wynocha! - syknął i wywalił ją na zewnątrz, na drogę częstując potężnym kopniakiem.

Choć aż kipiał od gniewu i zrodzonych nagle podejrzeń, cicho zamknął drzwi i zaczął skradać się do małżeńskiego łóżka, spowitego namiotem. Zza zasuniętych grubych kotar dobiegały jednoznaczne dźwięki: mlaski, spazmatyczne jęki i rozkoszne westchnienia. Wydobył z pasa sztylet, zdecydowany zabić gacha żony. Gwałtownie szarpnął zasłonę i zmartwił. Do jednego ze słupków namiotowych była przywiązana zupełnie naga młoda dziewczyna o przerażonych i pełnych bólu oczach. Przed nią klęczała na pościeli również goła hrabina, ostrym nożem nacinając jej uda i brzuch. Po czym zlizywała krew i ocierała się lubieżnie swym ciałem o pokaleczone ciało ofiary. To ona wydawała z siebie owe mlaski, jęki i westchnienia. Tak się zapamiętała, że nie zauważyła męża.

177

On zaś nie mógł oderwać oczu od oglądanej sceny. Wtem Elżbieta spostrzegła go kątem oka, krzyknęła i skuliła się, nakrywając pospiesznie pościelą i równocześnie usiłując zasłonić torturowaną służkę, w której żrenicach błysnęła nadzieja. Odrzucił sztylet, delikatnie wyjął z dłoni skamieniałej ze strachu hrabiny nóż i kiedy instynktownie zasłoniła się przed spodziewanym ciosem, naciął ciało dziewczyny tuż pod pępkiem i przyssał się do rany wargami.

- Dobrze - mlasnął, ocierając krew z warg wierzchem dłoni.

W gorączkowym pośpiechu rozpiął spodnie, wskoczył do łóżka i posiadł żonę raz, drugi i trzeci, podniecony jak nigdy.

Okolice Dynowa, wrzesień 1580 roku

Okazała poszóstna karoca ozdobiona na drzwiach herbem Nie-czuja kolebała się na kiepskim gościńcu. Woźnika z pierwszej pary dosiadał foryś, młody Tatar w tureckim stroju.

Bliźniaczo wyglądający pajuk siedział na ławeczce z tyłu powozu i fajtał nogami, zaś woźnicą na koźle był sam stary Jakub, także odświętnie odziany, jak na dzień święty przystało.

Pojazdowi towarzyszyła eskorta: sześciu umundurowanych z węgierską hajduków pod bronią. Wszystkie konie miały nabijaną mosiądzem i srebrem uprząż z czerwonej skóry, a

na łbach i u nasady ogonów pęki strusich piór. Senatorowa Wapowska lubiła pokazywać się z przepychem stosownym do jej wysokiej pozycji, zwłaszcza podczas niedzielnych wizyt w Przemysłu, kiedy na sumie w miejscowej farze spotykała się cała okoliczna szlachta. Dzień był ładny, jeszcze prawdziwie letni, toteż pasażerki odsunęły zasłony w okienkach karocy.

- Jaśnie pani, jakowyś jeździec nas ściga - wetknął do okna głowę jeden z hajduków. Wapowska wychyliła się z pojazdu i dłuższą chwilę patrzyła wstecz, po czym uspokojona opadła na siedzenie.

- Wiem, kto zacz. Możecie go przepuścić.

Tętent kopyt narastał, po czym samotny jeździec zrównał się z karocą, lecz zamiast ją wyprzedzić, zgrabnie zeskoczył na stopień i chwycił się drzwiczek.

178

- Uszanowanie jejmości i waćpannie. Nie zdążyłem tego uczynić po mszy, tak prędkości odjechały. Nielitościwe jesteście, każąc mi was ścigać w taki skwar.

- Zbytek fatygi - skrzywiła się Wapowska.

Ale intruz nie przejął się chłodnym powitaniem, otworzył drzwi, wśliznął się do wnętrza i usiadł na wprost kobiet, a obok Stasia, ściągając z głowy kołpak. Był to młodzieniec na oko dwudziestoletni, dostatnio odziany, o zawadiackim wąsie i zuchwałym spojrzeniu ciemnych oczu, które nie próżnowały, oglądając Jankę bezwstydnie od stóp do głów.

- Pozwoli waćpanna, że się zaprezentuję: urodzony Jędrzej Ligęza z Piotraszówkił. Może słyszałaś o mnie, jesteśmy wszak prawie sąsiadami.

Słyszała. Był to bratanek Mikołaja, kasztelana Czechowskiego i starosty bieckiego, przymierzającego się właśnie do zakupu Rzeszowa. Wapowską ucieszyłoby takie sąsiedztwo, bowiem kasztelan uchodził za człeka statecznego i uczciwego, a takich w okolicy należało szukać ze świecą. Andrzej w niczym jednak nie przypominał poczciwego stryja, był z nim poważniony i słynął jako zabijaka i pożeracz serc niewieścich.

- Joanna Wapowska. Miło mi poznać waćpana - rzuciła zdawkowo.

I to go nie zniechęciło. Niby przypadkiem swoimi kolanami dotknął jej kolan.

- Doszły mnie słuchy, że do Dynowa zawitała Helena trojańska, albo raczej Diana łowczyni, o której krasie cuda prawiono. Toteż z niecierpliwością czekałem na sposobność, by ujrzeć waćpannę. A teraz widzę, że uroda twoja większa jest, niżli fama niosła.

- Skoroś się zatem jej napatrzył do syta, tedy może zechcesz nas już opuścić? - zaproponowała chłodno. - Bo coś ciasno nam się uczyniło.

Błysnął białymi zębami w uśmiechu. Wstał, pochylając się, by nie uderzyć w dach. Pchnął drzwiczki, gwizdnął na wierzchowca, który przybiegł galopem, uklonił się kobietom, nacisnął kołpak na podgoloną głowę i wskoczył na konia, rzucając:

- Jadę, ale wrócę w sposobniejszej porze. Do widzenia!

1 Późniejsza Boguchwała.

179

Zaciął wierzchowca i pognął naprzód. Kobiety milczały, lecz gdy przejeżdżali przez Dubiecko, a warowny dwór Stadnickich zamajaczył w oddali, odezwała się Wapowska:

- Szalona głowa! Przykry dla sąsiadów awanturnik, śmiały jednak, bitny i jedyny, który ponoć nie boi się Diabła Stadnickiego. Jego przyjaźń może nam się wobec tego przydać, dlatego na dal spróbuj być dla niego miłsza. Tylko trochę, nie żeby zaraz sobie Bóg wie co pomyślał.

Była rozdarta. Przede wszystkim zależało jej na bezpieczeństwie syna, a także na ocaleniu dla niego ojcowizny, na którą dybał Stadnicki. Młody Ligęza mógł ich przed nim obronić, ale był

to sojusznik niepewny. Razem z ręką Joanny gotów sięgnąć po cały majątek. To już lepszy byłby ów Ryx. Jednak Ligęzy w żadnym wypadku nie należało zrażać.

- Postaram się - odparła Janka.

Też uważała, że Ligęza jako straszak na Stadnickiego może być przydatny. Poza tym pochlebiał jej zachwyty widoczny w oczach młodszego od niej mężczyzny i nie byłaby kobietą, gdyby nie dostrzegła, jaki był przystojny. O wiele przystojniejszy od Kacpra. Otoczyliśmy gospodę jeszcze przed świtem. Droga z Wilna do Trok nie zajęła nam dużo czasu. Karaimska karczma, ta sama, w której niedawno popasaliśmy, leżała na uboczu, nad samym jeziorem, na wprost zamku, w tej chwili spowitego gęstą mgłą płożącą się nad wodą. Bardzo nam to dogadzało. Żółkiewski poszedł porozstawiać swoich ludzi, a ja przypomniałem sobie, w jaki sposób się tu znaleźliśmy.

Kiedy przekonałem się, że Kettler mi się bynajmniej nie przyśnił, i sięgnąłem za wezglowie, gdzie trzymałem nabity pistolet, albino uczynił uspokajający i jednocześnie lekceważący gest.

- Daj waść spokój. Przecież wiesz, że gdybym chciał, już byś nie żył. Nie lękaj się. Nie dostałem na ciebie zlecenia - uśmiechnął się półgębkiem i dodał: - Na razie.

Jego dowcip jakoś mnie nie rozbawił.

- Czemu zatem zawdzięczam waścina wizytę?

- Wiem, po co cię sam wezwano - nie powiedział, skąd to wie, skoro rzecz trzymano w sekrecie, ale w jego wypadku nic nie mogło mnie zdziwić. - I mogę ci pomóc, a także zaoszczędzić czasu i starania.

- A czemuż to zawdzięczam taką łaskę?

180

- Jestem Kurlandczykiem - odparł po prostu.

- Daruj, waszeć, lecz akurat o patriotyzm nigdy bym cię nie posadzał.

Spojrzał na mnie zimno.

- I słusznie. Jeżeli kiedykolwiek do kogokolwiek czułem jakikolwiek afekt, to jedynie do matki. A tę zgwałcili, torturowali i zamordowali Moskale. Jeszcze podczas poprzedniej wojny, za króla Augusta. Dlatego nienawidzę ich jak zarazy. Człek, którego szukasz, który znosi się z posłem moskiewskim Naszczokinem, zwie się Hre-hory Ościk vel Grzegorz Ostyk. To pewne. Wyjawiał mi to przy kielichu Marcin Rybiński, żołnierz z rotty cześnika koronnego, Jędrzeja Zebrzydowskiego. Jemu zaś sługa owego Ościka, niejaki Mirewski. Żeby nie być gołosłownym...

Nie mówiąc, jak go zdobył, podał mi list, w którym Ościk prosił Naszczokina o spotkanie. Sam w sobie niewinny, ale niemniej znamienny, choć nie zrozumiałem wszystkiego, gdyż mowę ruską znałem słabo, a ichnie buksztaby jeszcze marniej.

- Czemu sam z tym nie pójdziesz do króla? - wyciągnąłem rękę z pismem w jego stronę.

- Zatrzymaj list. Wolę trzymać się w cieniu. Mam tu jeszcze co nieco do zrobienia i nie zależy mi na popularności. Powiem ci w zaufaniu, że udało mi się zbliżyć do Naszczokina, który ma mnie za zdrajcę. Spodziewam się wydobyć z niego jeszcze niejedną cenną informację. Ergo jedyne, o co cię proszę, to abyś zataił mój udział w tej sprawie.

Nie bardzo mi się ten układ podobał. Poznałem go zbyt dobrze, by uwierzyć w jego rzekomą bezinteresowność. Woląłem dmuchać na zimne.

- Czego chcesz w zamian?

- Widzę, że zbyt dobrze mnie poznałeś - mruknął. - Trzeba będzie coś z tym zrobić... A wracając do rzeczy: nic od ciebie nie chcę. Na razie. Na dał, kto wie, może będziesz mi musiał oddać przysługę za przysługę...

Tego się właśnie obawiałem. Chciałem mu to powiedzieć i wycofać się póki czas, ale gdym jeno na moment, zbierając myśli, aby bielaka całkiem nie zrazić, spuścił go z oka, rozwiął się jak dym.

- Nie może to być! - oburzył się Zamojski, kiedy razem ze Stachnikiem przybyliśmy do niego z nowinami. - Ościkowie wywodzą

181

się z tego samego pnia co Radziwiłłowie i Gintowtowie. A Grzegorz to bratanek świętej pamięci tegoż imienia krajczego litewskiego i kasztelana wileńskiego!

- Mój informator to człek pewny - odparłem. - Poza tym jest przecież pismo, jawnie wskazujące na konszachty ichmościa z Moskalami.

- Pomnij, Janie, że podczas interregnum ekskanclerz Dembiński zagarnął dobra, do których Ościk rościł pretensje. Do dziś ich nie odzyskał, tedy może żywić anse do króla - zauważył Żółkiewski.

Stanęło na tym, że kanclerz zabrał pismo, kazał odnaleźć i wezwać na przesłuchanie zarówno Mirewskiego, jak i Rybińskiego, po czym udał się z trzema senatorami na naradę do króla. O czym samopięt radzili, mogłem się tylko domyślać. Kiedy społem z Żółkiewskim zostaliśmy poproszeni do gabinetu, królowi towarzyszyli jedynie Zamojski, blisko siedemdziesięcioletni, acz rześki wojewoda wileński Mikołaj Radziwiłł „Rudy” i jego krewny, marszałek nadworny Albrecht Radziwiłł.

- Szybki jesteś - powitał mnie król. - To lubię. Dobra robota.

Wojewoda spod krzaczastych brwi rzucił mi chmurne spojrzenie.

- Módl się, acan, żebyś nie trafił kulą w płot, bo wtenczas nie chciałbym być w twojej skórze.

Nie była to czcza pogróżka. Ościk, winny czy nie, należał do rodu spokrewnionego z Radziwiłłami. Ja byłem przy nim jak proch, którego dla przykładu, kiedy tylko powinie mi się noga, nie zawahają się rozdeptać. Zwłaszcza że, sądząc po spojrzeniach, jakie mu rzucał, wojewoda wileński i hetman wielki litewski zarazem, nie pałał sympatią do kanclerza i hetmana wielkiego koronnego Zamojskiego, choć byli spowinowaceni. Jako kalwina musiało go drażnić przejście Zamojskiego za młodu na katolicyzm. A ponieważ sam karierę zawdzięczał pogardzanej siostrze Barbarze Radziwiłłównie, zazdrościł człowiekowi, który na szczyt wdrapał się dzięki własnym zdolnościom. Jak Batory.

- W świetle zeznań tego sługi, jak mu tam, Mirewskiego, wina jego pana nie ulega wątpliwości - poparł mnie Zamojski.

- Ale trzeba to jeszcze poprzeć dowodami - odezwał się marszałek nadworny. - Jak dotąd dla nas Ościk jest niewinny.

- Słusznie, dlatego przejdźcie nareszcie do rzeczy, mości wojewodo - zniecierpliwiał się król.

182

* ?

- Panie Żółkiewski - odezwał się Mikołaj Radziwiłł, rozmyślnie omijając mnie wzrokiem - weźmiesz waść ludzi, których ci przydam, i odszukacie Ościka. Jeśli list mówi prawdę, tedy czeka on na Naszczokina gdzieś w Trokach, „w znajomym miejscu” - zacytował z pamięci fragment listu. - Może lepiej zatem śledzić Naszczokina i ruszyć za nim w trop?

- Nie wydaje mi się, wasza miłość - odparł Stachnik grzecznie, lecz stanowczo, myśląc zapewne to samo co ja: że pochwycenie zdrajcy na licu byłoby najlepszym rozwiązaniem, tylko bagatela! ktoś z pewnością zdążyłby do tego czasu ostrzec podejrzanego. - Coś mi mówi, iż Naszczokin już się zorientował, że jest śledzony, i znajdzie sposób, by nas zmylić, albo po prostu nie spotka się z Oś-cikiem lub wyśle mu ostrzeżenie. Wiem od pana Zamojskiego, że wedle Mirewskiego, który przy tym był, poprzednim razem Ościk z Naszczokinem spotkali się w pewnej karczmie nad jeziorem. Sądząc z opisu, znam ją i wiem, jak tam trafić.

- Dobrze, jedźcie tam zatem. Jeśli zarzuty się potwierdzą, aresztujecie go. Potem podążycie do jego dworu w Kowarsku, gdzie znajdziecie sługę, niejakiego Bartłomieja, który

jakoby wie wszystko o sprawkach swego pana, i weźmiecie go na spytki. Po czym przywieźcie tutaj obu czy ilu tam uznacie za stosowne.

Dlatego właśnie znaleźliśmy się nad jeziorem w TYokach o tak nieludzkiej porze.

- Gotowe - powiedział Stachnik, wyłaniając się z mgły. - Cała gospoda obstawiona, że myśz się nie prześliznie. Ja z kilkoma wo-jewodzińskimi wejść od przodka, ty pójdź na zadź. Nie ufam tym pachółkom, bo to ludzie radziwiłłowscy. Mogą Ościkowi umożliwić ucieczkę. Mijając węgieł, usłyszałem, jak wali w drzwi karczmy i woła na cały głos:

- Otwierać! W imieniu najjaśniejszego pana!

Potem zająłem się swoim zadaniem. Podejrzenia Żółkiewskiego nie były chyba bezpodstawne, bo pachółkowie gdzieś się rozbiegli, a okno na piętrze rozwarło na oścież i ktoś w samej koszuli pojawił się w otworze. Strzeliłem. Szyba rozprysła się z hukiem, a niedoszły uciekinier zamarł i chybnął nazad. W tej chwili usłyszałem dźwięk wyłamywanych drzwi i zaraz potem z okna wychylił się Żółkiewski.

183

- Uciekł drugim oknem! Biegnij za nim!

Natychmiast kopnąłem się ku bokowi budynku, do którego z tej strony przylegała niższa stajnia, ale jedyne, com ujrzał, to zbiega zeskakującego z dachu stajni. Zdołałem go pochwycić za rękę, lecz wyszarpnął ją, zostawiając mi coś w dłoni. Machinalnie wrzuciłem to do kieszeni. Zanim odzyskałem równowagę, uciekinier był już w połowie drogi do jeziora. Ludzie wojewody, zamiast go gonić, wpierw strzelili, oczywiście niecelnie, potem dopiero ruszyli w niemrawą pogoń. Prześcignąłem ich bez trudu, w biegu zrzucając kaftan i pas z bronią. Ościk też pozbył się giezła i w samych gaciach wrywał na bosaka niczym chart, że tylko migwały gołe pięty. Ominął grupę łodzi rybackich wyciągniętych na ląd. Smyrgnął do wody i mocno pracując nogami i ramionami, żwawo oddalał się od brzegu. Jezioro było ogromne, ale usiane mniejszymi i większymi ostrowami. Moglibyśmy go tam szukać do sądnego dnia. Tak samo, gdyby udało mu się dotrzeć do zamku na największej wyspie lub choćby schować za którymś ze słupów długiego pomostu wiodącego do zamku. Dlatego nie namyślając się wiele i nie tracąc czasu na zdejmowanie butów, z rozpędu rzuciłem się do jeziora.

Nie pływam źle, lecz buty i odzienie spowalniały mnie, a wkrótce zaczęły ciągnąć na dno. Mimo to uparcie podążałem za uciekinierem, dopóki nie zniknął mi z oczu. Dla złapania tchu obróciłem się na plecy i zerknąłem wstecz. Na brzegu zgromadzili się żołnierze wojewody, lecz nie było sensu wołać do nich, by wskazali mi kierunek, bo jeszcze wy kierowaliby mnie na manowce. Dlatego znów się obróciłem i popłynąłem naprzód, tym razem wolniej i rozglądając się uważniej na tyle, na ile było to możliwe, bo resztki mgły wciąż utrzymywały się nad wodą. Tafla jeziora lekko falowała, myląc oko. Wtem zdało mi się, że w jednym miejscu widzę wydostającą się na powierzchnię masę bąbelków powietrza. Zanurkowałem. Spóźniłem się o włos i zdołałem jedynie pochwycić stopę zbiega, która wnet wysliznęła mi się z rąk, gdy wyprysnął ku górze, a potem pomknął co sił w stronę nieodległego ostrowu, gęsto porośniętego krzami i drzewami. Rzuciłem się za nim, ale oddalał się szybko. Nagle zniknął. Podpłynąłem w to miejsce i znieruchomiałem, wykonując tylko niezbędne ruchy, by utrzymać się na powierzchni. Z twarzą do dołu usiłowałem przebić wzrokiem wodę, na szczęście czystą i przejrzystą. Dno zdawało się być na wyciągnięcie

184

- Uciekł drugim oknem! Biegnij za nim!

Natychmiast kopnąłem się ku bokowi budynku, do którego z tej strony przylegała niższa stajnia, ale jedyne, com ujrzał, to zbiega zeskakującego z dachu stajni. Zdołałem go pochwycić za rękę, lecz wyszarpnął ją, zostawiając mi coś w dłoni. Machinalnie wrzuciłem to do kieszeni. Zanim odzyskałem równowagę, uciekinier był już w połowie drogi do jeziora.

Ludzie wojewody, zamiast go gonić, wpierw strzelili, oczywiście niecelnie, potem dopiero ruszyli w niemrawą pogoń. Prześcignąłem ich bez trudu, w biegu zrzucając kaftan i pas z bronią. Ościk też pozbył się giezła i w samych gaciach wrywał na bosaka niczym chart, że tylko migaly gołe pięty. Ominął grupę łodzi rybackich wyciągniętych na ląd. S. myrznął do wody i mocno pracując nogami i ramionami, żwawo oddalał się od brzegu. Jezioro było ogromne, ale usiane mniejszymi i większymi ostrowami. Moglibyśmy go tam szukać do sądnego dnia. Tak samo, gdyby udało mu się dotrzeć do zamku na największej wyspie lub choćby schować za którymś ze słupów długiego pomostu wiodącego do zamku. Dlatego nie namyślając się wiele i nie tracąc czasu na zdejmowanie butów, z rozpędu rzuciłem się do jeziora.

Nie pływam źle, lecz buty i odzienie spowalniały mnie, a wkrótce zaczęły ciągnąć na dno. Mimo to uparcie podążałem za uciekinierem, dopóki nie zniknął mi z oczu. Dla złapania tchu obróciłem się na plecy i zerknąłem wstecz. Na brzegu zgromadzili się żołnierze wojewody, lecz nie było sensu wołać do nich, by wskazali mi kierunek, bo jeszcze wykiepowaliby mnie na manowce. Dlatego znów się obróciłem i popłynąłem naprzód, tym razem wolniej i rozglądając się uważniej na tyle, na ile było to możliwe, bo resztki mgły wciąż utrzymywały się nad wodą. Tafla jeziora lekko falowała, myląc oko. Wtem zdało mi się, że w jednym miejscu widzę wydostającą się na powierzchnię masę bąbelków powietrza. Zanurkowałem. Spóźniłem się o włos i zdołałem jedynie pochwycić stopę zbiega, która wnet wysliznęła mi się z rąk, gdy wyprysnął ku górze, a potem pomknął co sił w stronę nieodległego ostrowu, gęsto porośniętego krzami i drzewami. Rzuciłem się za nim, ale oddalał się szybko. Nagle zniknął. Podpłynąłem w to miejsce i znieruchomiałem, wykonując tylko niezbędne ruchy, by utrzymać się na powierzchni. Z twarzą do dołu usiłowałem przebić wzrokiem wodę, na szczęście czystą i przejrzystą. Dno zdawało się być na wyciągnięcie

184

dłoni, lecz wiedziałem, że to złudzenie i w istocie jest o wiele głębiej. Pomiedzy falującymi wodorostami uwijały się rozmaite ryby, a ogromny szczupak zawisł nieruchomo, gapiąc się na mnie czarnymi ślepiami i leniwie wachlując płetwami. Ościka ani śladu.

Zaszedł mnie od tyłu. Poczułem tylko, jak coś wieszka mi się u nóg i ściąga w dół. Fortunnie nie zachłysnąłem się wodą, ale nabrać powietrza do płuc też nie zdążyłem. Szedłem na dno jak kamień. Ugrzązłem w wodorostach, które owinęły się wokół mnie niczym macki stada ośmiornic. Puścił mnie, w dłoni coś mu błysnęło. Nóż! Sparowałem cios, lecz woda spowalnia ruchy, i nieco się spóźniłem. Ostrze rozcięło mi koszulę i drasnęło ramię. Trysnęła krew, rozchodząc się po wodzie fantazyjnymi smugami. Mocowaliśmy się. Tak krzepko ścisnąłem mu nadgarstek, że wypuścił nóż z garści, lecz natychmiast wolną ręką sięgnął mi do gardła. Uchyliłem się, ale zaczynało mi brakować tchu. Wiedział o tym i uśmiechnął się tryumfalnie, wypuszczając przy okazji kilka bąbelków. Tym razem to ja pochwyciłem go z nienacka oburącz za gardło i zamknąłem je niby w imadle. W wybałuszonych oczach błysnęło mu przerażenie. Wierzgnął gwałtownie, wyswobadzając się z uścisku, i wyprysnął w górę. Chciałem podążyć za nim, lecz nie mogłem. Jedna noga ugrzęzła mi w mule! Półprzytomny z braku powietrza, starałem się rozpaczliwie uwolnić z pułapki. Udało się kosztem pozostawionego na dnie buta. Pomknąłem ku powierzchni, a potem dobrą chwilę łapałem dech niby ryba wyjęta z wody. Potem rozejrzałem się za zbiegiem. Już niemal dopływał do zbawczego ostrowu. Podążyłem za nim z wściekłością. Po drodze udało mi się bosą stopą zsunąć z nogi drugi but i wnet dopadłem zbiega. Zaczęliśmy się szarpać i wciąż walczyliśmy, gdy w łodzi rybackiej nadpłynął Stachnik, odebrał jednemu z wojewo-dzińskich wiosło i wpierw walnął nim Ościka w głowę, potem ucałował go za kark i wciągnął nieprzytomnego do czółna. Chwyciłem się burty i wyczerpany dałem się doholować do

brzegu. Kiedy tamci wywlekali Ościka z łódki, szcękając zębami, bo choć dzień zapowiadał się ładnie, to było jeszcze dość chłodno, wyciągnąłem z włosów i uszu wodorosty, z jednej kieszeni wyrzuciwszy małą rybę. Po czym rozdziałem się do rosołu, wyjąłem swoje odzienie i wzdragając się, założyłem je na powrót.

- Jak się czujesz? - zatroszczył się Stachnik, wręczając mi kubrak i pas z bronią.

185

Zauważył ślady krwi na moim ramieniu.

- Jesteś ranny?

- Nic to - machnąłem ręką lekceważąco, bo też wypłukana wodą rana przestała krwawić i prawie jej nie czułem. - Wykąpałem się za wszystkie czasy. Czuję się doskonale. Jak utopiec - mówiąc to, musiałem rozgryźć jakiegoś wodnego ślimaka, bo zęby natychmiast skleiła mi ohydna lepka maść; splunąłem kilkakrotnie. - Szlag! Na domiar straciłem buty.

- W Wilnie kupię ci nowe - odparł i przywołał jednego z żołnierzy. .

Krytycznym okiem przyglądał się jego stopom.

- Powinny się nadać - mruknął. - Wyskakuj z butów. Odbierzesz je sobie po powrocie.

Ponieważ Ościk już doszedł do siebie, Stachnik z ręką na szabli surowym tonem wziął go na spytki, srogim spojrzeniem mierząc brodacza z chudą twarzą i rozbieganymi oczyma:

- Tyś jest Hrehory Ościk?

- Jam jest, ale nie pojmuję...

- Jesteś oskarżony o zdradę. Zali po dobrowoli pójdziesz z nami, czy mam cię wziąć w pęta?

- To gwałt!

- Ruszaj!

Dał znać wojewodzińskim, którzy podjęli podejrzanego pod rękę i powiedli do karczmy. Kuśtykając w pożyczonych butach, zamykałem pochód. Nie bacząc na wystraszone oblicza karczmarza i czeladzi, poszliśmy do izby na piętrze, gdzie warował Jarek.

- Nic nie znalazłem - zameldował Żółkiewskiemu, który obrócił ku Ościkowi zagniewaną twarz. - Gdzie masz listy od Moskali?

Oblicze zdrajcy pokryło się bladością, a rozbiegane spojrzenie pobiegło ku niewielkiemu kobiercowi przy łóżku. Było szybkie jak mgnienie, ale mnie wystarczyło, dlatego nie słuchałem zaklinań Ościka:

- Leż wierutny ktoś mi zadał! Nie godzi się tak traktować szlachcica bez dania racji! Gdzie *neminem captivabimus*! I kto wy jesteście, by na mnie areszt kłaść!?

I Neminem captivabimus nisi iure victum (łac.) - nikogo nie uwięzimy bez wyroku sądowego; prawo nadane szlachcie przez Władysława Jagiełłę.

186

- Urodzony Stanisław Żółkiewski, rotmistrz, a to imię Kacper Ryx, inwestygator królewski. Zaś na czas wojny obowiązuje prawo wojenne - uciął Żółkiewski.

Skinąłem na jednego z wojewodzińskich, przesunąłem kobierzec i odsłoniłem gołe deski.

Kazałem pachołkowi czekaniem podważyć dwie z nich. Ukazał się schowek, z którego wydobyłem kovaną skrzynkę. Poleciałem czekaniem rozbić zamek u skrzyni. Uniosłem wieko i zerknąłem do środka, po czym podniosłem wzrok na brodacza:

- Masz waszmość coś jeszcze do powiedzenia na swoją obronę?

Przykro było na niego patrzeć. Zupełnie się załamał, zanurzył

twarz w dłoniach i opadł na krzesło, całkowicie zrezygnowany. Zaciekawiony Staszek

podszedł do mnie i zaczęliśmy przeglądać zawartość skrzynki. Nawet pobieżny ogląd

wystarczył, by się zorientować, że trafiliśmy w sedno. Szkatułę wypełniały listy adresowane

do Moskiewskiego i opatrzone pieczęciami oraz podpisami najznakomitszych senatorów.

Spojrzeliliśmy po sobie. Mieliliśmy w rękę bombę, która mogła rozsadzić Rzeczpospolitą.

- To nie jest to, co myślicie, waszmościowie. Mogę wszystko wytłumaczyć... - zaskomlał więzień.

- Komu innemu będziesz się tłumaczył - warknął Żółkiewski.

Powierzył skrzynkę Jarkowi, każąc mu nie spuszczać jej z oczu, po czym pozwoliwszy szcękającemu ze strachu i chłodu Ościkowi zarzucić delię na goły tors, wyprowadziliśmy załamanego zdrajcę na zewnątrz, ścigani zaciekawionymi i wylęknionymi spojrzeniami arendarza i jego slug.

- Macie go strzec jak żrenicy oka - surowo przykazał wojewo-dzińskim Stachnik, powierzając im jeńca. - Odpowiadacie za niego głową. A teraz w drogę co koń wyskoczy!

- Dokąd? - spytał dowódca radziwiłłowskich.

- Do Kowarska - odparł Żółkiewski, z zimną satysfakcją obserwując piorunujące wrażenie, jakie nazwa ta wywarła na Ościku, który całkiem stracił ducha.

Kowarsko była to wieś Ościka, leżąca o dwie mile od Wilna. Zajechaliśmy tam galopem w dwie godziny. Folwarkiem pod nieobecność pana zawiadywał jego totumfacki, Bartłomiej. Akurat przebywał we dworze, o czym powiadomił nas zagadnięty chłop. Otoczyliśmy dwór jak wprzód gospodę i razem ze Stachnikiem wtargnęliśmy

187

do środka, przykazawszy wprzód Jarkowi, by dawał baczenie na wojewodzińskich i Ościka. Bartłomiej nie stawiał oporu, zwłaszcza gdy przez okno dojrzał swego pana w otoczeniu zbrojnych. W odróżnieniu od Ościka nie patrzył na łotra, a na pytania odpowiadał bez wahania. Tak, wie o knowaniach swego pana. Tak, pan jego od dawna miał zmowy z Moskiewskim i listy od niego odbierał, a jeszcze przed bezkrólewem dwa razy słał do Moskwy. Na koniec zaprowadził nas za dom do przybudówki. Znaleźliśmy tam nie tylko skrzynkę pełną fałszywych mińców, ale i domową mincarnię z zasobem kruszców, stempli, młotów, nakowadeł i drugich narzędzi do kowania monet. A także przyłapaliśmy na gorącym uczynku Żyda, który trudnił się tym procederem. Śmiertelnie przerażony wyznał, że czynił to na polecenie Ościka, i błagał nas na wszystko, pełzając po ziemi i czepiając się naszych szat, byśmy go poniechali. Mimo to zabraliśmy ze sobą i jego, i Bartłomieja, i całą trójkę winowajców oraz dowody ich winy odwieźliśmy na zamek, oddając w ręce marszałka nadwornego.

Nie poproszono mnie, ani nawet Żółkiewskiego, na przesłuchanie, które odbyło się przy drzwiach zamkniętych w przytomności kilku zaledwie senatorów. Dowiedziałem się szczegółów dopiero od Zamojskiego, kiedy kanclerz razem z Żółkiewskim zaglądnęli do mojej skromnej kwatery. A i to dopiero wówczas, gdyśmy postawili Chrisa Żeglarza na straży za drzwiami, by nikt nas nie podsłuchał.

- Ościk wyparł się zdrady - oznajmił Zamojski. - Przyznał jedynie, że kupczył z Moskalami futrami i innymi towarami. A listy z pieczęciami i podpisy senatorów, rzekomo skłonnych do współpracy z Moskwą, fabrykował dla niego ów Żyd po to tylko, by można było ich użyć na zmyślenie zawartych umów i kontraktów na własny użytek i dla zysku w interesach. Zaś w obrady z nieprzyjacielem wchodził, nadzieję mu czyniąc pozbawienia życia króla, przyciśniony niedostatkiem i obciążony długami, jeno po to, aby wyludzić pieniądze od Moskiewskiego, a bez jakichkolwiek zdońnych zamiarów.

- Tedy wykręcił się sianem? - spytałem, niezbyt zaskoczony.

- Nie. Co prawda obrońca utrzymywał, iż jego klient na gardle odpowiadać nie powinien, przywołując na to prawo służące szlachcie, która bez pozwu należącego sądzona być nie powinna. Także niektórzy senatorowie nie chcieli, aby nowym przykładem wolności

188

szlacheckiej ublizono, ale byli tacy, którzy to oprotestowali, wykazując, iż w czas wojny wojenne prawo obowiązuje. A poza tym jedynie ci na przywileje szlacheckie zasługują, których sława jest nieskażona i nieskalane imię. Kogo zaś własne jego postęпки i zbrodnie uczyniły niegodnym miana szlachcica, ten na łaskę rachować nie może.

Bez trudu mogłem się domyślić, kto wystąpił w obronie oskarżonego, a kto optował za surową karą dla zdrajcy i zapewne przeforsował swoje zdanie. Nie darmo za młodu Zamojski w Padwie uzyskał tytuł doktora praw obojga.

- To wam jeszcze powiem w zaufaniu - ciągnął kanclerz, ścisząc głos - że samemu wypierając się zdrady, Ościk oskarżył o nią Zborowskich. Christofa i Jędrzeja. Jędrzej ponoć knowa z Moskiewskim, zaś Krzychnik niecnota znosi się z cesarzem, a oba wymieniają między sobą sekretną korespondencję. Póki jednak brak na to dowodów, nie Iza o tym głośno nawet wspominać. Stachu, pójdź z łaski swojej do moich komnat i przynieś ze dwie flaszki przedniego tokaju, warto opić wasz sukces.

Kiedy Żółkiewski wyszedł, Zamojski pochylił się ku mnie przez stół, ścisnął za ramię i powiedział:

- Król jest z ciebie wielce rad.

- Tym razem nie moja to zasługa - wtrąciłem. - Nie ja wpadłem na trop Ościka.

- Nieważne - przerwał mi. - Ważne, że uczyniłeś, co do ciebie należało i czego od ciebie oczekiwaliśmy. Au da ces Fortuna iuvat\ mój chłopcze, a tyś jest w wyjątkowych łaskach u tej kapryśnej bogini. Dlatego w imieniu swoim i jego królewskiej mości mam do ciebie prywatną prośbę i zadanie zarazem. Dawaj baczenie na Zborowskich. Jeśli znajdziesz coś na nich, nagroda cię nie minie...

Zawiesił głos, spojrzał mi głęboko w oczy i rzekł:

- Odesłałem Staszka, bo muszę się z tobą szczerze rozmówić, a on nie jest ulepiony z tej samej gliny co my dwaj i choćby jego ojciec.

- To znaczy? - spytałem ostrożnie. Byłem zaniepokojony, bo nie urodziłem się wczoraj i wiedziałem, że zaufanie objawiane przez możnych tego świata często odbijało się czkawką chudopachołkom

1 Śmiałym szczęście sprzyja (łac.).

189

takim jak ja, poza tym o szczerości Zamojskiego miałem swoje zdanie.

- Nie ma w nim chęci dążenia do celu za wszelką cenę.

- Skąd wasza miłość wie, że ja ją mam?

Nie wiadomo dlaczego, zrobiło mi się przykro. Nie byłem takim prawym Rzymianinem i rycerzem bez skazy jak Stachnik, ale do tej pory nie przypuszczałem, że w oczach postronnych mogę uchodzić za kogoś prącego naprzód po trupach. Sam siebie tak nie postrzegałem.

- Bo obserwuję cię od lat. I widzę podrzutka, człeka bez nazwiska, który z niczego doszedł do czegoś i nie zamierza na tym poprzestać. To prawie jak ja. Powiem ci w zaufaniu coś, o czym nikt nie wie i nie może się dowiedzieć, nawet Staszek Żółkiewski. Jeszcze nie podczas tej wojny, lecz najdalej w następnej mam zamiar wystarać się o urząd hetmana wielkiego, może nawet dożywotnio.

Przerwał i zerknął na mnie spod oka.

- Wiem, co możesz sobie pomyśleć. Jako kanclerz i hetman w jednej osobie będę miał władzę, jakiej dotąd nie miał nikt. Nie chcę jej dla siebie. Ten kraj potrzebuje reform, na początek dokończenia egzekucji praw. Wielkie rody, takie jak Zborowscy czy Radziwiłłowie, nigdy do tego nie dopuszczają, a one trzęsą Rzeczpospolitą i nawet król jest wobec nich bezsilny. Ergo trzeba złamać ich potęgę. Pro publico bono¹. Zgadzasz się ze mną co do tego?

- Jaka ma być w tym moja rola? Co ja mogę?

- Już ci mówię. Zborowscy są spokrewnieni lub spowinowaceni ze wszystkimi znacznymi rodami, trzeba więc złamać im kręgosłup, a wtenczas na pozostałych magnatów padnie blady strach. Dla kraju żadna strata. Jędrzej i Christof Zborowscy to łotry zdolne do każdej podłości, żal jedynie Jana, bo dobry zeń wódz, lecz tym gorzej dla niego, gdyż stoi mi na drodze do hetmańskiej godności. Mówię ci to wprost i bez osłonek, docień to i nie gorsz się. Zeznania Ościka to mało. Muszę mieć mocniejsze atuty. Iy je dla mnie zdobędziesz. Chcę, byś odtąd był moim okiem i uchem. W obozie ma dołączyć do nas Samuel, twój przysięgły wróg. Jest zapalczywy, a przez to nieostrożny. Stanowi najsłabsze ogniwo w familijnym łańcuchu. Należy w nie uderzyć, wtenczas cały łańcuch pęknie.

1 Dla dobra publicznego (lac.).

190

- Mam zatem zostać szpiegiem?

- Nazwij to, jak chcesz. Jesteś inwestygatorem. Śledzenie to twój żywioł.

- To nie to samo.

- Nie bądź drobiazgowy - zniecierpliwiał się. - To jak? Zgadzasz się?

Milczałem. Już raz, w sprawie Mniszchów, Zamojski zawiódł nas, swoich przyjaciół, postępując tak, jak mu kazała racja stanu i własny interes. Teraz wiedziałem, dlaczego mnie tu ściągnął. Chciał mnie wykorzystać, a ja nie lubiłem być traktowany niczym narzędzie. Czy miałem jednak wyjście? Odmawiając, mogłem na zawsze pożegnać się z Janką. Drugiej szansy nie dostanę. Tacy jak ja nie mieli wielkiego wyboru, sprawa ze Zborowskimi była także moją, a jednak wszystko się we mnie buntowało. Dotąd nikomu się nie sprzedałem. Wyczuł to, znów położył mi dłoń na ramieniu i rzekł cieplejszym tonem, łagodząc poprzednie wrażenie:

- To nie jest tak, jak myślisz. Wciąż uważam cię za przyjaciela i chcę, byś i ty nie zwątpił w mój afekt wobec ciebie. Nie zamierzam cię kupić i nie traktuję jak jurgieltnika, dlatego nie obiecuję żadnej innej nagrody okrom mojej życzliwości i protekcji, jak do tej pory. Nie wymagam też niczego niezgodnego z twoim sumieniem. Proszę jedynie jak druh druha: pomożesz mi?

Manipulował mną jak drugimi, chyba jednak faktycznie mnie lubił i ufał mi. Ja też go lubiłem, choć mu nie ufałem. Jednak bardziej niż innym stojącym u władzy. Nie przepadałem za politykami, ale on był jeszcze z nich najlepszy. Pomyślałem o Jance, o sobie, o naszej wspólnej przyszłości, i podjąłem decyzję. Mimo to odczuwałem jakiś niesmak, gdy odpowiadałem:

- Pomogę - w tej chwili wszedł Stachnik z winem.

18 czerwca w sobotę ścięto Ościka na dziedzińcu zamkowym. Żyda fałszerza zaś obwieszono na rynku. Sługom Ościka, jako że jedni odkryli spisek, drudzy zaś nie partycypowali w zbrodni, a kiedy się wydała, nie ukrywali niczego, darowano życie. Tego dnia poznałem sprawiedliwość króla Stefana i to, co zobaczyłem, spodobało mi się. Ale o pokaraniu zbrodniarzy dowiedzieliśmy się już w drodze, jako że trzy doby wcześniej nastąpił wymarsz. Dni, które upłynęły do tego czasu, spędziłem ciekawie. Ponieważ nie miałem nic konkretnego do roboty, a Stachnik był zajęty wojennymi sprawami, zaś pogoda nie zachęcała do wyjścia, prowadziłem

191

długie rozmowy z sekretarzem kanclerza Zamojskiego, poznanym przed kilku laty Prusakiem Reinholdem Heidensteinem, który czytał mi napisane przez siebie fragmenty swojej kroniki wojny z Moskwą¹, jako żywo przypominające komentarze Juliusza Cezara o wojnie galijskiej. Na wojnę się nie wybierał. Powiadał, że i tak wszystkiego się dowie od naocznych świadków, a zwłaszcza kanclerza i króla, który obiecał mu na dał, jeśli się nomen omen dobrze spisze, uczynić go swoim sekretarzem.

Kiedy zaś aura sprzyjała, włączyłem się po mieście. Odszukałem skomorocha Valdasa i w jednej ze spelunek na Zarzeczu za Wilejką, przy garncu syconego miodu powspominaliśmy dawne czasy. Odwiedziłem katedrę i kaplicę Świętego Kazimierza królewicza. Ściśle rzecz biorąc, był Kazimierz zaledwie beatyfikowany, gdyż bulla kanonizacyjna wydana staraniem króla Zygmunta Starego przez papieża Leona X w 21 roku, gdzieś się zawieruszyła², lecz powszechnie uznawany był za świętego. Potwierdzał to cud, który zdarzył się, gdy na wizerunku świętego, namalowanym z okazji owej niedoszłej kanonizacji, malarz chciał poprawić zbyt długą prawą rękę, dzierżącą lilię. Trzykroć próbował ją zamalować i po trzykroć pojawiała się znowu. I oto miałem przed sobą ów konterfekt z... trzema rękami. Odwiedziłem także kaplicę królewską, w której król August zawarł sekretny ślub z Barbarą Radziwiłłówną. A sowicie opłacony Świątnik zezwolił mi zejść do krypt, gdzie spoczywała owa obok swej poprzedniczki, królowej Elżbiety Habsburżanki, oraz króla Aleksandra z Jagiełłów.

Po moście na Wilejce przeszedłem na prawy brzeg, aby wdrapać się wpierw na Łysą Górę, zwaną też Trzykrzyską (od trzech wielkich drewnianych³ krzyży na szczycie), a następnie na położoną na południe od niej Górę Bekieszową. Mój węgierski imiennik, któremu zawdzięczała miano, arianin Kasper Bekiesz, wpierw wróg króla Stefana i rywal do siedmiogrodzkiego stolca, a potem druh najszczerzy (od spadkobierców Josta Decjusza król wykupił dla niego kamienicę Pod Barany na krakowskim rynku), zmarł w Grodnie, wkrótce po zeszłorocznej kampanii połockiej, w której wielce

1 Ukazały się w Krakowie w 1584 r. jako *De bello Moscovitico commentarium libri sex*.

2 Św. Kazimierz został powtórnie kanonizowany w 1602 r. przez Klemensa VIII.

3 Dzisiaj betonowych.

192

się odznaczył. Pozostawił po sobie modę na noszenie wierzchniego kaftana zwanego bekieszą oraz sławę wyjątkowego zawiadziaki i wolnomyśliciela, który ponoć w ostatnich słowach rzekł: „O niebo nie stoję, piekła się nie boję”. Ciekawe, gdzie ostatecznie wylądował, w czyścicu? Pochowano go na wileńskim wyniosłym urwisku zwanym odtąd jego imieniem, bo na cmentarzach wszystkich wyznań zgodnie zatrzaśnięto bramy przed niedowiarkiem. Król kazał nad jego grobem zbudować pomnik - ośmiokątną wieżycę na trzydzieści jeden łokci wysoką¹. Zaś nad synami Bekiesza, Władysławem i Gabrielem, których król oddał na naukę do Akademii Wileńskiej, opiekę sprawował Jan Zamojski. Poznałem ich za jego sprawą i patrzyli na przyjemnych młodzieńców. A Stachnik przedstawił mnie swemu ojcu, też Stanisławowi, krzepkiemu jegomościowi z brodą jak u świętego Mikołaja, którego wojenne doświadczenie kanclerz Zamojski wielce sobie cenił, a także bratu - Mikołajowi. Nie miał on jednak ani łagodności Stachnika, ani jego ujmującego obejścia.

Poznajomiłem się także ze swoimi przyszlými towarzyszami z komputu medyków. To też było *novum*², zaprowadzone przez króla Stefana, choć taką służbę wprost na polu walki zalecał już Stanisław Sarnicki w swoich Księgach hetmańskich z 1577 roku. Przewodził im mianowany przez króla doktor Wilhelm Lucenberger. Najwięcej było pośród nich pospolitych balwierzy, golibrodów i cyrulików, zazwyczaj trudniących się puszczeniem krwi lub prostymi zabiegami chirurgicznymi. Ale wielu spośród nich przeszło chrzest bojowy pod Połockiem zeszłego roku, gdzie nabrali wprawy zawołanych chirurgów, zwłaszcza, jak miałem się potem przekonać, Michał Węgier, Berthold Mayer i Henryk Heller. Atoli trzymani przy osobie królewskiej lub magnatów lekarze po studiach, z naukowymi tytułami zdobytymi na Krakowskiej lub zagranicznych akademiach, jak na przykład sławny Blandrata, stronili raczej od tego pospółstwa, mnie także unikając, zapewne z obawy, że jestem kolejnym szampierzem do pańskiej łaski. Ale najlepsi z nich, Włoch z Padwy(i arianin jak Blandrata - zadziwiające, jak

1 Podmyta i zniszczona w XIX w.

2 Podczas kampanii pskowskiej w następnym roku powołano także pierwszą w naszej historii aptekę polową, którą kierował Wioch Angelo Caborti z oficjalnym tytułem apothecarius campestris (aptekarza obozowego), roczną pensją w wysokości stu florenów (wyplacaną na świętego Jerzego) oraz strawnem za posługę w polu.

193

król godził obecność przy sobie zarówno jezuitów, jak heretyków), uszlachcony przez króla Stefana Mikołaj Bucella, także wyśmienity aptekarz, oraz Polak Wojciech Oczko vel Ocellus, od początku okazywali mi sympatię. Bucella w ogóle był łagodnego usposobienia, poczciwy, a przy tym sporej tuszy. Pewnego razu, widząc go siadającego na konia dostojnie ze stolka, spytałem, dlaczego nań nie wskakuje. Odparł mi wtedy:

- Napisano: co tobie nie miło, drugiemu nie czyń. I mnie by bolało, gdyby na mnie kto skakał.

Pogodne usposobienie Bucelli łącznie było wytłumaczyć - jako przyboczny medyk króla brał sześćset dukatów rocznie. Też byłbym wesół, mając regularnie takie przychody. Z kolei czterdziestotrzyletni Oczko, praktykujący w Warszawie w szpitalu przy ulicy Piwnej, absolwent nie tylko krakowskiej, ale i padewskiej akademii, Montpellier i Bolonii, zażywał zasłużonej sławy jednego z najlepszych medyków naszych dni. Dwa lata temu w drukarni Łazarzowej ukazały się jego Cieplice (efekt wiedzy zdobytej, gdy na zlecenie króla Stefana badał źródła lecznicze w Jaworowie), w którym to dziele zsumował wiedzę z zakresu balneologii i balneoterapii, zalecając picie cieplic i lecznicze kąpiele. Ale przede wszystkim na zdrowie zalecał ruch (jazdę konną, szermierkę, taniec): Ruch zastąpi prawie każdy lek, podczas gdy żaden lek nie zastąpi ruchu. Do tego, jak wiedziałem, miał inne talenta. To on na prośbę Zamojskiego wystawił na jego weselu Odprawę posłów greckich Kochanowskiego. Dziesięć lat temu, gdym dopiero rozpoczynał studia, cały Kraków mówił tylko o nim. A to dlatego, że wezwany pilnie na Wawel, przeprowadził na jednej z dam dworu króla Augusta operację z zakresu rynoplastyki, to jest przeszczepu skóry. Dama owa była bowiem dotknięta ciężkim przypadkiem francji i brakowało jej sporej części nosa. Doktor Oczko nałożył na to miejsce płat skóry zdjętej z ramienia. Przeszczep przyjął się po czterdziestu dniach. Pater Roch utrzymywał, że to dopiero szósty taki w świecie udany zabieg, o którym słyszał, i pod niebiosa wynosił biegłość medyka. Powtórzyłem mu teraz tę opinię. Nie zdołał ukryć ukontentowania, choć odparł skromnie:

- Nic to. Robiłem lepsze rzeczy. Ale znam ojca Rocha osobiście i z konsyliów i cenię sobie jego opinię. Wybornego masz acan preceptora. A skoro już mowa była o francji, tedy wyznam waści, że napisałem o niej dzieło Przymiot, które niedługo ma się ukazać

194

drukiem¹. Znajdziesz tam także opis owego przeszczepu skóry z ręki na nos, jeśli cię to zajmuje.

Tymczasem nadciągnęła do Wilna piechota węgierska. Król posłał ją pierwszą do Postaw łądem, skąd z działami i drugim ciężkim sprzętem miano ją na łodziach spławić aż do Witebska. Za czym wraz z królem 15 czerwca ruszyliśmy w drogę i my. W miarę dobrym szlakiem przez Mińsk i Borysów, 8 lipca dotarliśmy w pobliże Czaśnik, gdzie rozstawwszy wprzód wojsko po okolicy, król założył obóz. W oczekiwaniu na przybycie reszty wojsk, które ku nieskrywanemu niezadowoleniu króla ścigały opieszale, zwłaszcza Litwini, Batory na naradzie z najbardziej zaufanymi senatorami przeforsował swoje zdanie - pociągniemy na Wielkie Łuki, gdyż stamtąd będzie można uderzyć w dowolnym kierunku, dezorientując przy tym przeciwnika, spodziewającego się raczej ataku na Smoleńsk.

Następnie zarządził kilkudniowy przegląd armii. Wyglądał majestatycznie, gdy tak stał na wyniosłym pagórku w rzucającej się z daleka w oczy szkarłatnej delii z dużym futrzanym kołnierzem, a szkofia u filcowej czapki o płaskim denku, magierki vel madziarki, chybotąła na wietrze. Celowo nakazał różnym rodzajom wojsk i poszczególnym rotom przechodzić i przejeżdżać przez wąski mostek, aby czujnym okiem wyłowić braki w wyposażeniu lub marne konie.

Cóż to był za widok! Najsamprzód pod hetmanem nadwornym koronnym Janem Zborowskim szła jazda polska, weterani spod Gdańska i Połocka, którzy dopiero co ściągnęli z leż zimowych. Potem „żałobnicy”, czyli rotę piesze i konne Zamojskiego (sześć tysięcy ludzi!), wspaniale wyekwipowane i odziane w czarne stroje i zbroje. W tym kirze jawili się prawymi olbrzymami. Na koniec pozostali, ogółem w liczbie ponad dwudziestu tysięcy; Polacy, Litwini, Rusini, Węgrzy, niemieccy landsknechci pod pułkownikiem Ernestem Wejherem, garść Inflantczyków (pozostali pilnowali swoich granic), Tatarzy litewscy, a nawet Szkoci. Pospolite ruszenie, królewscy i magnackie poczty prywatne ciągnęli na końcu.

1 Kraków (drukarnia Lazarzowa) 1581.

1 Pospolite ruszenie szlacheckie - Batory nie lubił tej niesfornej zbieraniny, także ze względu na jej niepodzielność (trzeba go było użyć w kupie) i zakaz wyprawiania poza granice na dłużej niż dwa tygodnie.

195

Pośród jazdy wyróżniali się ciężkozbrojni husarze, malowniczy w swoich skrzydłach umocowanych z tyłu do siodła oraz skórach lwich i tygrysiach zarzuconych na kirysy, dosiadający wielkich rumaków, też ozdobionych na łbach i zadach pękami piór. Lecz król na te „rzeczy błazeńskie” patrzył krzywo i najchętniej kazałby je odjąć. Zresztą i tak potem nakazał całemu wojsku pozbyć się wszystkich zbędnych sprzętów. Za husarzami podążali średniozbrojni kozacy alias pancerni, podobni do występujących w wojsku litewskim lekkozbrojnych petyhorców. Za nimi postępowała najemna rajtaria niemiecka uzbrojona w rapiery i pistolety oraz nieco konnych ar-kebuzerów. Dowodził nimi marszałek króla duńskiego, Inflantczyk Jerzy Farensbach zwany Farensbekiem.

Za jazdą maszerowało dzieło i duma króla - piechota wybranie-cka alias łanowa. Jeden w drugiego chłopcy jak dęby, z marsowymi gębami ozdobionymi dużymi wąsiskami. Każdy miał szablę i czekan u boku, na jednym ramieniu ładownicę na proch i rusznicę na drugim. Za nimi szła piechota polska alias drabi, czyli głównie mieszkańcy miast i miasteczek, ale też chłopcy zbiegli z dóbr szlacheckich, gdzie zaciąg był zakazany. Wszak gdy chłopcu udało się zaciągnąć do wojska, tedy podlegał jedynie hetmanowi i wara było szlachcicowi od niego. Za Polakami kroczyła królewska piechota węgierska, niemiecka, Szkoci, Kozacy Niżowi oraz dzicy Wołosi.

Oczkiem w głowie króla obok piechoty była artyleria, na którą nie szczędził grosza. Sam pilnował odlewania nowych dział, to on ponoć (tak twierdził Żółkiewski) jako pierwszy w Europie wprowadził gotowe ładunki odmierzonego prochu w papierze (zamiast podsypywania prochu), miarki, co znacznie przyspieszało oddawanie strzałów, oraz wynalazł kule zapalające. Puszczarzom przewodził starszy nad armatą Ernest Wejher i dwudziestu mistrzów puszkarskich. Zaś szanmajster Ludwik Wedel (dowodzący kilkudziesięcioma saperami oraz górnikami do robienia podkopów, cieślami, kołodziejami i węglarzami) jeszcze na ubiegłoroczną potrzebę skonstruował w Wilnie prosty i łatwy do transportowania wodą most na łodziach z drewnianym pomostem, zwany łyżwowym, używany także latoś. Całość, skrzepowana linami i łańcuchami, była do złożenia w trzy godziny.

Do Witebska dotarliśmy z końcem lipca. Tb dogoniła nas większość spóźnialskich (choć niektórzy jeszcze i potem, już niemal

196

pod samymi Wielkimi Łukami). W Witebsku król rozdzielił wojsko. W celu opanowania Wieliza wysłał Zamojskiego na czele ponad siedmiu tysięcy ludzi. Byłem pośród nich. Nie dostałem żadnego przydziału, więc trzymałem się roty Żółkiewskiego. Dotychczasowa jazda dała mi wystarczająco w kość, ale trudy dopiero się zaczynały. Teren był ciężki, lesisty i błotnisty, poprzecinany rzekami, bagnami i jeziorami, lecz prawdziwa mordęga zaczęła się później. Konną straż przednią poprowadził dwudziestoczeroletni starosta brodnicki Łukasz Działyński herbu Ogończyk rodem z Prus Królewskich, gorliwy luter, starający się o rękę siostry Zamojskiego, kalwinki, z którym się zaprzyjaźniłem, ponieważ miał literackie ciągoty i pisał diariusz z wyprawy. Zamojski przydał mu ku pomocy piechotę Mikołaja Uhrowieckiego, którego kanclerz, znając jego biegłość wojskową, zawsze trzymał przy boku. Ten sąsiad i szwagier Zamojskiego kształcił się na Zachodzie i tam poznał sztukę wojenną, dlatego doceniał piechotę, lubił nią dowodzić, a w razie potrzeby potrafił zbudować most. Jerzy Farenbach prowadził niemieckich rajtarów. Kozakom Niżowym przewodzili atamani Mykita i Biruła. Hajdukom - Wawrzyniec Wybranowski, Węgrom - Bor-nemisza. Zasadniczymi siłami dowodził sam kanclerz wspomagany przez doświadczonego starego Żółkiewskiego, którego uczynił namiestnikiem. Potem szły wozy z taborem, a na końcu piechota.

Przemarsz zajął nam pięć dni. Szliśmy wzdłuż lewego brzegu Dźwiny, z jednej tylko strony wybierając dojrzałe już zboże i furaz, by wojsku królewskiemu, następującemu po nas, zostawić drugą. Było to prawdziwe bezdroże. A później było jeszcze gorzej. Moskale umyślnie pozwolili, by dostęp do Wieliza porósł gęsty las, tworzący ochronny wał przed nieprzyjacielem. Kilkanaście rot czarnej piechoty pod Uhrowieckim wycinało i uprzętało wielkie drzewa, pozostali osłaniali ich z rusznicami. Stary Żółkiewski rzekł w pewnej chwili przy pochlebnie, z podziwem patrząc na Zamojskiego:

- Lat temu sto sześćdziesiąt Wituł 1 tedy wojsko prowadził, potem już nikt.

Bo też nawet ja swoim niedoświadczonym okiem to widziałem, że Zamojski nie zaniedbywał niczego, aby kreować swój konterfekt wielkiego wodza, zwłaszcza iż zarzucano mu brak wojennego

1 Witold.

197

doświadczenia. Po czterech dniach mordęgi doszliśmy do miejscowości Wierzchowina, kędy przez bagnisko Witold niegdyś przerzucił most, stąd do dziś to miejsce zwano Witołdowym Mostem. Teraz Zamojski nakazał tu w ciągu paru godzin także postawić most. 4 sierpnia zaczęliśmy toczyć obóz. Wieliz był drewnianą twierdzą pobudowaną w czworobok, jednym bokiem opartą o Dźwinę. Moskale pościnali drzewa i uczynili z nich przed zamkiem zasieki. Następnego dnia wsparło nas tysiąc chłopów piechoty podeślanej przez króla. Pierwszy raz widziałem szturm, bo nie brałem w nim udziału. Z uwagi na mój brak wojennego doświadczenia, za to spore lekarskie, kanclerz osobiście uczynił mnie starszym nad kilkoma cyrulikami, w tym trzema otrzaskanymi z warunkami polowymi, wydzielając ich od reszty komputu medycznego podległego doktorowi Lucen-bergerowi i przydzielając nam osobny namiot.

- Przywykaj - powiedział, kładąc mi po ojcowsku dłoń na ramieniu. - Na heroizm przyjdzie czas.

Zatem przy wykałem i przywyknąć nie mogłem. Huk dział mnie ogłuszał, denerwowały nawoływania towarzyszy, wrzaski i jęki rannych i konających. Z trudem oswajałem się ze strachem jak z niechcianym a nieodstępnym druhem. Już pierwszego dnia pożałowałem, że nie walczę w pierwszej linii. Tamci nieszczęśnicy na zewnątrz przynajmniej widzieli, co się wokół dzieje, a my, w namiocie medycznym odcięci od świata, podskakiwaliśmy za każdym bliskim wybuchem albo kuliliśmy się, słysząc wizgot nadlatującego pocisku. Niby odsunięto nas poza zasięg dział moskiewskich, ale zapomniano o tym powiedzieć Moskalom. Na

domiar szybko się zorientowałem, że doktor Lucenberger oddał mi najgorszych ze swoich ludzi. Kiedy niecili palenisko i wkładali do niego żelaza służące do przypalania ran oraz kociołek z olejem, spytałem zdziwiony:

- Nie słyszeliście o ligaturze, czyli podwiązywaniu naczyń krwionośnych? Toć już w 52 roku Francuz Ambroży Pare, niegdyś prosty balwierz i chirurg wojskowy, a dziś najślawniejszy chirurg naszych czasów, podczas oblężenia Damvillers po amputacji nogi rannego żołnierza zamiast kauteryzować, podwiązał mu tętnicę. A jeszcze wcześniej wykazał, że rany postrzałowe nie są zatrute, więc ich wypalanie przez polewanie wrzącym olejem jest bezużyteczne i szkodliwe.

- Doktor Lucenberger stosuje ową ligo... ligaturę, jak ją zwiecie, panie, i swoich przybocznych tego nauczył, ale my, prości cyrulicy,
198

wasza miłość, niezwyčajni nowomodnych sposobów, a nikt nas uczyć nie chciał - odparł stary Bartosz, najzręczniejszy z nich.

- Ja was nauczę.

Łacno było rzec, trudniej wykonać. Zresztą czasu na naukę brakowało, tyle co z pierwotku, kiedy przyniesiono pierwszych kilku rannych i nastąpiła chwila przerwy. Bartosz i dwóch jego kolegów dość szybko pojęli nową sztukę, ale innym szło to niesporo, więc machnąłem ręką i pozwoliłem im po staremu zająć się tym, co jako tako umieli - kauteryzacją. Reszta wspomagała tamtych. Jednego zaś, który o chirurgii miał w ogóle pojęcie mniej iż blade, przydzieliłem do grzania wody na obmywanie rąk i wrzátku do wyparzania narzędzi, co było moim własnym wynalazkiem. Sam też uwijałem się jak w ukropie, ponieważ rannych przybywało. Wkrótce namiot wypełniały uszkodzone, wyjące z bólu ciała, powiększając ogólny harmider.

W pewnej chwili, akurat miałem na stole rannego i zabierałem się do amputowania mu nogi, schyliłem się po pilę do cięcia kości, gdy kula armatnia przebiła płótno namiotu jak papier i przeleciała na wylot, po drodze odrywając głowę mojemu pacjentowi. Podmuch cisnął mnie na ścianę namiotu tak, że omal jej nie przedziurawiłem głową. Kiedy zaś doszedłem do siebie i zobaczyłem spustoszenia, jakie pocisk uczynił wewnątrz pomieszczenia, mało się nie porzygałem. Jednak od tej chwili otepiałem, obojętniejąc na wszelkie odgłosy, machinalnie rżnąc mięso i kości lub składając je do kupy, zszywając, opatrując, układając rannych pod ścianami lub wywlekając na stos na zewnątrz trupy oraz odcięte kończyny.

Było już grubo po zmierzchu i pracowaliśmy w świetle latarni, kiedy strumień rannych zaczął się nareszcie zmniejszać, aż wreszcie ustal zypełnie. Byłem skonany i schlapany krwią od stóp do głów jak rzeźnik.

- To już ostatni - powiedział z ulgą w głosie Bartosz, razem z drugim kładąc przede mną na stole nieszczęśnika z poszarpanym przedramieniem.

- Przykro mi, żołnierzu - rzekłem, patrząc ze współczuciem na ściągniętą bólem twarz pacjenta. - Nie da się jej uratować. Muszę amputować.

Uniosłem mu głowę i wlałem do ust pełny kubek mocnej okowity, po czym skinąłem na pomocników, by mocno ujęli go z obu

199

stron i zabrałem się do roboty. Uwinąłem się raz-dwa, a kiedy myłem zajuszone po łokcie ręce, usłyszałem za plecami gwar i oklaski. Odwróciłem się zaskoczony. Ujrzałem chyba cały komput medyczny, na czele z doktorem Lucenbergerem, a nawet Bucellę i Oczkę, których król na krótko odstąpił Zamojskiemu. Oraz Bartosza z miną winowajcy, bez wątpienia będącego sprawcą tego zgromadzenia, które moim kosztem urządziło sobie widowisko.

- Nieprawdopodobne - westchnął gruby Italczyk. - Bellissimo\

- Gdybym tego nie widział na własne oczy, nie uwierzyłbym -z uznaniem w głosie pokręcił głową Oczko. - Mierzyłeś waść czas?

Bucella spojrział na półzegar, noszone na szyi „jajc0 norymberskie”, podobne do tego, jakie kiedyś dostałem w nagrodę od rektora, ale zamokło, kiedy Francuzi postrzelili mnie na Błoniu, i żaden zegarmistrz nie potrafił ożywić zniszczonego mechanizmu.

- Owszem. Od pierwszego nacięcia do podwiązania żył niespełna trzy minuty! To się wprost w głowie nie mieści!

- Drogi chłopcze - Lucenberger, nie dbając o swą godność, podbiegł żwawo ku mnie i chwyciwszy za rękę, jął nią potrząsać tak zapamiętale, że omal mi jej nie wyrwał ze stawów. - Wiedz, że czuję się zaszczycony, mogąc uściskać dłoń mistrza, który w osiem zdrowasiek uwija się z amputacją kończyny! Jak żyję, a wilem rzeczy oglądał, lecz czegoś podobnego nigdy! Teraz widzę, że nie rekomendowano cię bez przyczyny i wstyd mi, że wątpię w twe umiejętności. Wybacz i witaj w naszym medycznym korpusie.

- Nic to - broniłem się. - Wszak wiadomo, że im krócej trwa operacja, tym mniej boleści przysparza pacjentowi i rokowania są lepsze. Jak slyszalem, a pewnie i niektórzy z waszmościów także, arcy mistrz w chirurgicznym fachu, służyący w wojsku króla Zygmunta Starego cyrulik Wojciech Trzciniński dokonywał nie takich rzeczy.

Musiałem potem uściskać jeszcze wiele rąk i wysłuchać wielu mów, nim nareszcie mogłem powlec się na spoczynek. Ale przynajmniej byłem teraz pełnoprawnym członkiem medycznego polowego korpusu królewskiego, pierwszego takiego w naszej historii. Na dodatek zdobyłem niejaką renomę. Zawsze coś, chociaż nie o tego rodzaju przewagi mi szło i nie po takie zaszczyty tu przybyłem. Drugiego dnia po zmierzchu, w namiocie, który z nim dzieliłem,

200

Stachnik klepnął mnie w ramię i powiedział, jak zwykle bezpośrednio:

- Boisz się?

- A jak myślisz?

- To nie to samo co monomachia twarzą w twarz, co? Podczas bitwy najlepszy fehmistrz lub szermierz może zginąć z ręki byle ciury. Kule i gloty nie wybierają. Neque ulla est aut magno aut parvo leti fuga¹, na szczęście neque semper arcum tendit Apollo². Trzeba się modlić i liczyć na uśmiech Fortuny.

- Modlę się.

- Wiem, jak się czujesz. Gdy pod Gdańskiem pierwszy raz poszedł do boju, miałem pełne portki strachu. Teraz już jest trochę lepiej. Człek z początku się boi, ale już wie, jak sobie z tym radzić, i z czasem się przyzwyczaja. Trzeba tylko zapomnieć o lęku i myśleć jedynie o robocie, która jest do wykonania. Obserwowałem cię trochę. Dobrze ci idzie. Jeszcze będzie z ciebie wojak.

Ale ja wiedziałem, że się myli. Im dłużej przyglądałem się wojnie z bliska, tym mniej mi się podobała. Na pewno to nie był mój żywioł. Ratowanie żołnierzom życia było bez wątpienia zajęciem chwalebny m i pożytecznym, ale to samo mogłem robić, nie ruszając się z Krakowa. Teraz zaś byłem setki mil od domu, traciłem szacunek do samego siebie i ani o krok nie przybliżałem do celu, który mnie tu sprowadził. Wiedziałem, że aby go osiągnąć, musiałbym dokonać czegoś naprawdę bohaterskiego, a wątpiłem, czy byłem do tego zdolny. Nocami śniłem o Jance i to było jedyne ukojenie. Przy świeczce napisałem do niej na kolanie list, który odesłałem z jednym rannym, wracającym w rodzinne pielesze. Chociaż stracił dłoń, zazdrościłem mu. Dla niego wojna już się skończyła. Zrobił swoje i nie splamił się tchórzostwem. Ja miałem jeszcze wszystko przed sobą.

Na szczęście w nocy z 6 na 7 sierpnia załoga Wieliza poddała się po podpaleniu jednej z baszt. Puszczono ich wolno. Zamojski obsadził twierdzę naszą załogą i przystąpił do budowania mostu przeprowowego przez Dźwinę, by ruszyć na Wielkie Luki. Tymczasem odwiedził nas sam król Stefan, by ocenić zdobycz i odebrać swoich

1 Ani wielki, ani mały nie uniknie śmierci (lac., Horacy).

2 Nie zawsze Apollo naciąga luk (i wypuszcza śmiertelną strzałę) (łac., Horacy).

201

przybocznych medyków. Wyjechał nazajutrz do Suraża, ustaliwszy z Zamojskim, że wojska pójdą na Wielkie Łuki dwoma równoległymi, acz dość znacznie oddalonymi od siebie kolumnami. Prawą miał poprowadzić Zamojski, a drugą, wzdłuż rzeki Uświaczy, sam król z pozostałymi wodzami. Podział sił był słuszny ze względu na trudności aprowizacyjne, ale azardowny z powodu dużego oddalenia między wojskami.

Zamojski miał dłuższą drogę, ale ciut łatwiejszą, bo nie ciągnął armat i najcięższego sprzętu. Pozbawiony taborów komput zyskiwał na szybkości i manewrowości w obliczu ewentualnego przeciwnika. "IYakt był jednak w marnym stanie, poprzecinany mnóstwem mostów i kładek, a gdzie ich nie było, tam je budowaliśmy. Było naprawdę ciężko i ludzie zaczynali sarkać.

Kanclerz trzymał jednak towarzystwo twardą ręką, z czego potem zasłynął, i nie dopuścił do rozprężenia. Jednak prawdziwa mordęga dopiero nas czekała, gdy zeszliśmy z traktu i pomaszerowali prosto na Wielkie Łuki, przez bezludzia, bezdroża i bagna, nękani przez Tatarów. Było to całkowite pustkowie pośrodku gęstej puszczy. Ciągnęliśmy wąskimi ścieżkami przez mokradła i prawdziwe grzędzawiska, w których stawały zaprzęgi, a ludzie ledwie się wlekli. Nie robiliśmy więcej jak dwie polskie mile na dobę, ponieważ na picowników, przednie strażę i budowniczych mostów stale napadali Tatarzy. Pod koniec marszu zaczęło brakować prowiantu i paszy, zwłaszcza dla końca ogromnej kolumny. W szczerym borze nie dostawało nie tylko trawy, ale i marnego wrzosu. Konie i woły ciągnące działa karmiono więc korą, gałązkami i sitowiem rwanym z narażeniem życia na bagnach. A przez połowę drogi przyszło przedzierać się przez gęstą puszcę i wycinać drzewa, żeby przeprowadzić te kilka wozów i lżejszych armat, które ze sobą zabraliśmy.

Sporo w życiu widziałem, lecz czegoś podobnego jeszcze nigdy. Byłem pod wrażeniem. A tego dnia, gdy omal nie utonąłem w mokradle razem z wierzchowcem, na prowizorycznym biwaku urządzonym pośrodku mrocznego boru przydybał mnie Stachnik, gdym przy marnym świetle latarki, siedząc samotnie pod wielkim grabem, mozolił się nad kartą papieru.

- Co piszesz? List do panny Joanny zali dalsze strofy Pieśni o śla-chetnym trunku?
- Nie tym razem.

202

- A co zatem?
- Pieśń o kole rycerskim¹ - podałem mu pełną skreśleń i bazgrołów kartę, którą zaczął czytać na głos:

...W żarstkim biegu drzewce kruszą, Niejeden się żegna z duszą. Jednemu się mienia oczy, A z drugiego krew się toczy. Trzeci woła, by dobito Albo szablą leb ucięto. A ci, co w mogiłach leżą, Do pewnego kresu bieżą. Trzeba żołnierza ratować, Chleba, soli nie żałować. Wtenczas żołnierza szanować, Kiedy trwogę na się czują. Chociaż żołnierz nie ubrany, Przecie ujdzie między pany...

- Prawdziwe - skomentował.
- Jeszcze nie skończyłem.
- Idę o zakład, że jak skończysz, wnet będzie ją śpiewać całe wojsko. A teraz idź się jakoś ochędożyć, boś oblepiony błotem jak nieboskie stworzenie.

Dopiero kilka mil od celu skończyły się przepaściste lasy i nieco poprawiło zaopatrzenie w paszę. Nareszcie dwie mile od Wielkich Łuk połączyliśmy się z armią królewską, która po drodze zdobyła Uświat i dopiero co przybyła na miejsce. Kiedy dołączyli ostatni maruderzy, jak obliczyli rachmistrze, było nas czterdzieści osiem tysięcy, z tego dwie trzecie to była jazda. Armia koronna liczyła przeszło dwadzieścia dwa tysiące, litewska - przeszło dwadzieścia pięć tysięcy, w tym mniej więcej po połowie wojsk państwowych i prywatnych.

Najpierw król i wodzowie wybrali się na rekonesans, zaś 27 sierpnia całe wojsko z pierwotku przedelfowało pod nosem Moskali, potem stanęło w szyku pod twierdzą, chcąc sprowokować załogę,

1 Pieśń o kole rycerskim, [w:] Literatura staropolska. Wybór tekstów, 1.1, Poezja, dz. cyt., s. 368.

- A co zatem?

- Pieśń o kole rycerskim¹ - podałem mu pełną skreśleń i bazgrołów kartę, którą zaczął czytać na głos:

... W żarstkim biegu drzewce kruszą, Niejeden się żegna z duszą. Jednemu się mienia oczy, A z drugiego krew się toczy. Trzeci wola, by dobito Albo szablą łeb ucięto. A ci, co w mogiłach leżą, Do pewnego kresu bieżą. Trzeba żołnierza ratować, Chleba, soli nie żałować. Wtenczas żołnierza szanować, Kiedy trwogę na się czują. Chociaż żołnierz nie ubrany, Przecie ujdzie między pany...

- Prawdziwe - skomentował.

- Jeszcze nie skończyłem.

- Idę o zakład, że jak skończysz, wnet będzie ją śpiewać całe wojsko. A teraz idź się jakoś ochędożyć, boś oblepiony biotem jak nieboskie stworzenie.

Dopiero kilka mil od celu skończyły się przepaściste lasy i nieco poprawiło zaopatrzenie w paszę. Nareszcie dwie mile od Wielkich Łuk połączyliśmy się z armią królewską, która po drodze zdobyła Uświat i dopiero ca przybyła na miejsce. Kiedy dołączyli ostatni maruderzy, jak obliczyli rachmistrze, było nas czterdzieści osiem tysięcy, z tego dwie trzecie to była jazda. Armia koronna liczyła przeszło dwadzieścia dwa tysiące, litewska - przeszło dwadzieścia pięć tysięcy, w tym mniej więcej po połowie wojsk państwowych i prywatnych. Najpierw król i wodzowie wybrali się na rekonesans, zaś 27 sierpnia całe wojsko z pierwotku przedelfowało pod nosem Moskali, potem stanęło w szyku pod twierdzą, chcąc sprowokować załogę,

1 Pieśń o kole rycerskim, [w:] Literatura staropolska. Wybór tekstów, 1.1, Poezja, dz. cyt., s. 368.

203

- A co zatem?

- Pieśń o kole rycerskim¹ - podałem mu pełną skreśleń i bazgrołów kartę, którą zaczął czytać na głos:

...W żarstkim biegu drzewce kruszą, Niejeden się żegna z duszą. Jednemu się mienia oczy, A z drugiego krew się toczy. Trzeci wola, by dobito Albo szablą łeb ucięto. A ci, co w mogiłach leżą, Do pewnego kresu bieżą. Trzeba żołnierza ratować, Chleba, soli nie żałować. Wtenczas żołnierza szanować, Kiedy trwogę na się czują. Chociaż żołnierz nie ubrany, Przecie ujdzie między pany...

- Prawdziwe - skomentował.

- Jeszcze nie skończyłem.

- Idę o zakład, że jak skończysz, wnet będzie ją śpiewać całe wojsko. A teraz idź się jakoś ochędożyć, boś oblepiony błotem jak nieboskie stworzenie.

Dopiero kilka mil od celu skończyły się przepaściste lasy i nieco poprawiło zaopatrzenie w paszę. Nareszcie dwie mile od Wielkich Łuk połączyliśmy się z armią królewską, która po drodze zdobyła Uświat i dopiero ca przybyła na miejsce. Kiedy dołączyli ostatni maruderzy, jak obliczyli rachmistrze, było nas czterdzieści osiem tysięcy, z tego dwie trzecie to była jazda. Armia koronna liczyła przeszło dwadzieścia dwa tysiące, litewska - przeszło dwadzieścia pięć tysięcy, w tym mniej więcej po połowie wojsk państwowych i prywatnych.

Najpierw król i wodzowie wybrali się na rekonesans, zaś 27 sierpnia całe wojsko z pierwotku przedelfowało pod nosem Moskali, potem stanęło w szyku pod twierdzą, chcąc sprowokować załogę,

1 Pieśń o kole rycerskim, [w:] Literatura staropolska. Wybór tekstów, 1.1, Poezja, dz. cyt., s. 368.

203

ale ta miała surowo od Moskiewskiego przykazane, by nie stawać w polu Polakom, dopóki nasza armia nie ponędnije. Trzeba było szykować się do regularnego oblężenia.

Obóz rozbito poza zasięgiem dział zamkowych. Barwne rzędy namiotów wspinały się na okoliczne wzniesienia, dając pozór, że sięgają aż po horyzont. Za wzgórzami ukryto wozy taborowe. Jak zawsze każda nacja, a więc Polacy, Litwini, Węgrzy i Niemcy, rozłożyła namioty osobno, aby uniknąć waśni i awantur. Namiot królewski stanął pośrodku obozu, zaś starszyzna rozbiła swoje wokół królewskiego. Nie obyło się bez obraz i przepychanek.

Największą i najbardziej gorszącą awanturę wywołali Zborowscy. Stało się to niedługo po tym, jak Samuel udał się do króla prosić o zdjęcie banicji i usłyszał taki respons:

- Tego uczynić nie możemy. Wpierw zasłuż się waszmość w zdobywaniu Wielkich Łuk, wtenczas zobaczymy.

Samuel nie odrzekł nic, skłonił się tylko i wyszedł jak niepyszny, lecz jego brat Andrzej, marszałek nadworny koronny, poczuł się dotknięty takim postawieniem sprawy. Toteż kilka dni potem pokłócił się z marszałkiem nadwornym litewskim Albrechtem Radziwiłłem

0 przodek. Chciał mianowicie, by jego wozy ustawiono przed Radzi willowy mi. A ponieważ król się na to nie zgodził, zatem Andrzej

1 Samuel Zborowscy rozbili się poza obozem. Jeszcze tego dnia wezwał mnie do siebie kanclerz Zamojski i rzekł z marsem na czole:

- Chciałbym, abyś ty lub twój pachoł nie spuszczał Zborowskich z oczu. Jeżeli prawdą jest, że już wcześniej znosili się z nieprzyjacielem, tedy kto wie, czy celowo się nie oddzielili od reszty, by tym łącniej nadal uprawiać swój niegodny proceder.

W samą porę to zalecił, gdyż znowu przybyli posłowie moskiewscy ze starymi baśniami, na co im król odparł stanowczo:

- Jaceście z niczem przyjechali, tak też z niczem odjedziecie -zatem poszły błazny precz.

Ale zanim wyjechali, zdarzyło się coś dziwnego. Zmierzchno już, a ja akurat stróżowałem w pobliżu obozowiska Zborowskich, ukryty w nieodległym zagajniku. Wtem usłyszałem szmer, jakby ktoś przechodził w pobliżu.

- Werda!?! - zawołałem.

Na każdy dzień mieliśmy inne hasło, zaczerpnięte z psalmów i pieśni kościelnych, zawsze z Panem Bogiem w treści. Trąbiono je

204

I

do właściwej melodii co rano po całym obozie, "iym razem brzmiało: „Pan Bóg zgotował".

Zamiast odzewu usłyszałem jedynie tupot nóg i przekląłem swoją nierozwagę, bo nie zdołałem dopaść uciekiniera, ani tym bardziej go rozpoznać. W ciągu następnych dni nic się nie wydarzyło, Chris Żeglarz, który mnie zastępował, także niczego nie wyszlakował. Na domiar buntował się przeciwko tej żmudnej robocie. Wolałby brać udział w szturmach lub wyprawach picow-ników, a tak omijała go okazja do brania łupów. Ja zaś byłem skonany. Musiałem coś wymyślić i wymyśliłem. Potrzebowałem kilku nierzucających się w oczy pomocników, którzy mogliby się często zmieniać, także dlatego, by ich fizjognomie nie opatrzyły się śledzonym. Poszedłem z tym do Zamojskiego.

- Doskonale - powiedział. - Będzie jeszcze z ciebie szpieg co się zowie.

Skrzywiłem się, bo wciąż jeszcze nie przywykłem do swojej nowej roli.

- Masz - rzucił mi sakiewkę. - Płać dobrze i niech się solidnie przykładają do roboty. Zatem odszukałem Valdasa, który w samej rzeczy pociągnął za wojskiem razem ze swoją wesołą kompanią. Chętnie powitał okazję do dodatkowego zarobku i obiecał, że przeniosą się pomiędzy obóz główny a obozowisko Zborowskich i tam zaczną dawać spektakle, a niezależnie od tego, zawsze któryś z nich będzie miał ich namiot na oku.

- I niech przyłoży ucho, jeśli zobaczy wchodzącego do środka kogoś, kto mu się wyda podejrzany. Za użyteczną wiadomość zapłacę ekstra. Lecz jeśli sprawa się wyda, umyję ręce.

- Nic się nie bój. Biegli jesteśmy w udawaniu. Ale wyznam, że to dla mnie siurpryza, iż zajmujesz się teraz takimi sprawkami...

- Dla mnie poniekąd też.

Zwolniłem tedy Chrisa z powinności, a i sam zyskałem oddech. Wkrótce zresztą znalazło się jeszcze lepsze rozwiązanie i mogłem zrezygnować z usług Valdasa przed wyczerpaniem się pieniędzy otrzymanych od Zamojskiego. Niespodzianie natknąłem się bowiem na Wojtaszka Długoraja. Chłopaka także uradował mój widok.

- Pan Ryx!

Konieczniewie chciałem, bym go wziął na służbę, ale nie mogłem. Po-markotniałem, lecz przyznałem, że nie dzieje mu się źle. Samuel już na

205

niego nie nastawał, a nawet traktował go po ludzku, jednak chłopiec nie mógł mu wybaczyć krzywdy, którą tamten kiedyś chciał mu wyrządzić. Nie zauważył niczego podejrzanego w postępowaniu swego pana, jednak raz widział Andrzeja konferującego z kimś ukradkiem. Zaleciłem mu uwagę, obdarowałem mocno już wychudłą sakiewką kanclerską i obiecałem, że gdyby natknął się na coś podejrzanego, rozpoznał kogoś, kogo nie powinno tam być, albo zdobył jakoweś pisemne dowody zdrady, tedy miał z tym natychmiast przyjść do mnie, a ja zapewnię mu opiekę samego króla. Jednak zastrzegłem, by niczego nie czynił pochopnie i postępował z najwyższą rozwagą. Nie chciałem mieć go na sumieniu, a dobrze wiedziałem, do czego był zdolny Samuel. Na szczęście Wojtaszek też wiedział, a patrzył na chłopca dbałego o własną skórę. Mając szpiega w obozie nieprzyjacielskim, zyskałem wreszcie spokój, o ile podczas wojny było to w ogóle możliwe.

Wielkie Łuki były potężną twierdzą. Miasto zaś u jej stóp, które Moskale spalili na wieść o zbliżaniu się króla, ponoć dwa razy większe od Wilna. Ulokowane pośród ogromnych błóń (czemu zawdzięczało nazwę: Wielkie Łąki) porośniętych zbożem i zieloną trawą, acz miejscami mocno bagnistych, gdyż rzeka Łować i jezioro obmywały obwarowania dookoła. Na takim terenie robienie podkopów i podsadzanie min było prawie niemożliwością.

Drewniano-ziemne wały grubo na kilka kroków obłożono darniną (pamiętając doświadczenia obrońców Połocka z zeszłorocznej kampanii), dla ochrony przed rozpalonymi kulami.

Pośrodku twierdzy stały zamek i cerkiew, z powodu wysokości wałów ledwie widoczne.

Dopiero gdy przekopano groble i spuszczone wodę z jeziora, dało się podejść bliżej i ustawić armaty na pozycjach. Moskale nie przyglądali się temu beczynniewie, paląc z armat i hakownic.

1 września skoro świt poczęły grać nasze działa, ale rozpalone kule, tak skuteczne w poprzedniej kampanii, teraz grzęzły w grubej świeżej darni, którą obłożono wały, i gasły nieszkodliwie. Nazajutrz król, niekontent z tego, co zobaczył, rzekł do Zamojskiego:

- Nie bawcie się daremnym strzelaniem do wałów. Niechaj puszkarze mierzą w wystające blanki.

W istocie, zaraz udało się wzniecić pożar, który co prawda ugaszono, lecz odtąd mury zamkowe tliły się nieustająco. Obrońcy jednak nie tracili ducha. Przeciągające się oblężenie nużyło możliwych

206

panów, którzy już zaczęli sarkać i skarżyć się na niewygody. Zatem po całym obozowisku jęli krążyć trębacze wysłani przez kanclerza Zamojskiego, wzywając ochotników do zapalenia wałów za pomocą łuczywa i obiecując znaczne nagrody: czterysta talarów dla cudzoziemca, opatrzenie dla szlachcica oraz opatrzenie i nobilitację dla nieszlachty. Jako i udało się Madziarom dostać pod wał i podłożyć prochy pod jedną z wież, choć Moskale ciskali na nich z góry głazy, kłody i lali wrzątek. Wybuch odrzucił darń i odsłonił dębowe belki, których podpaleniem zajęli się owi Węgrzy, obłożeni darnią dla osłony, nie przerywając roboty nawet w nocy.

Tymczasem nasi, Polacy i Litwini, zajęli się największą wieżą zamkową, wysuniętą przed inne i stąd najtrudniejszą do obrony. Zamojski nakazał piechocie wybranieckiej pod wodzą Łukasza Sernego kopać rów i podejść pod wieżę, acz utknęli po drodze, natknąwszy się na potężne pale tamujące podejście. Mimo to zaraz wielu rzuciło się ku murom z drabinami, zostali jednak krwawo odparci.

Gdy się o tym zwiadzał kanclerz, poszedł tam z panami Wybranowskim i Wejherem, po drodze zaglądnąwszy do namiotu, w którym uwijałem się przy rannych.

- Chodź - powiedział. - Najwyższa pora, byś powąchał prochu i dokonał wielkich czynów. Wiem, że omnium profecto artium medicina nobilissima \ lecz służba Marsowi i Bellonie także może być szlachetnym zajęciem, pod warunkiem że walczy się w słusznej sprawie. Jako teraz. Ruszaj więc i spraw się dzielnie - a nachyliwszy się do mego ucha, szepnął: - Jeno nie daj się zabić. Wciąż jesteś mi potrzebny.

Nareszcie! Po prawdzie wojna stwarzała najlepsze warunki do praktyki lekarskiej, znaczącej więcej niż najlepsze studia teoretyczne, czego dowodnym przykładem był Francuz Paré, ale co za dużo to niezdrowo. Miałem już serdecznie dość medycyny i szpiegowania, i potrzebowałem odmiany jak kania dżdżu. Zabijanie ludzi zdało mi się zdecydowanie łatwiejszym zajęciem od ratowania im życia. Poza tym ani na chwilę nie zapomniałem, po co przybyłem do tego piekła. Porwałem więc tylko odłożone na bok pistolety i wybiegłem za Zamojskim, bo już szybkim krokiem zdążył pod wieżę. Do tego czasu puszkarzom udało się zerwać następny kęs darni

1 Ze wszystkich nauk medycyna jest najszlachetniejsza (lac., Hipokrates).

207

z muru i odsłonić okno. Zaraz piechota rzuciła się w tamtą stronę. Jak szaleni wywijając motykami, odwalili darń i odsłoniли mur. Na ten widok drudzy łanowi wrzasnęli radośnie i wysypali się z wykopu, biegnąc ku zamkowi z naręczami bierwion, żagwi i łuczyw, smołą i siarką. Moskale ostrzeliwali ich zapamiętale, ale i nasze działa nie próżnowały, więc choć wielu padło, inni dotarli na miejsce i pod murem zaczął rosnać stos łatwopalnej substancji. Jednak z odsłoniętego okna nieprzyjacieli natychmiast jął celować do naszych i wielu szturmujących padło pod wałem, a pozostali podali tył. Teraz wystarczyło jedynie dobrze rozpalić nagromadzony opał, by mur runął, a może zaczął płonąć cały zamek. Cóż z tego, skoro wraży ogień prażył tak gęsto, że żaden śmiałek się o to nie pokusił. Akurat przybyliśmy na tę chwilę i zaraz kanclerz, który zawsze na taką okazję miał w kieszeniach złoto, zaczął rozdawać rannym dukaty, chwalać ich męstwo, innych zaś tym samym sposobem zachęcając, by spod ognia nieprzyjacielskiego wyciągnęli drugich postrzelonych towarzyszy i odciągnęli w bezpieczne miejsce.

Potem wyjął komuś z ręki dopiero co zapaloną pochodnię, rozejrzał się wokół i spytał:

- Który odważy się pod mur podpaść i twierdzę podpalić?

Staliśmy w głębokiej, podchodzącej wodą fosie wykopanej przez ludzi Sernego, w miarę bezpieczni. Otaczali nas sami doświadczeni wojacy o zuchwałych, umorusanych i osmalonych gębach, niektórzy z lekkimi ranami, z których ciekła krew, albo z prowizorycznymi opatrunkami świadczącymi, że nieprzyjacielski ogień to dla nich nie pierwszozna. Ale wokół wały się trupy, krzyczeli ciężej ranni i umierający, a od zamku dzieliła nas spora przestrzeń ostrzeliwana bez chwili przerwy, aż ziemia i kamienie pryskały wokół niczym deszcz. Nie zgłosił się nikt, choć w dłoni kanclerza zachęcająco połyskiwała garść czerwońców. Mnie także cała odwaga, którą w sobie od dawna zbierałem, nagle odplynęła w pięty. Pojąłem jednak, że oto nadszedł mój czas, a drugiej okazji mogę nie dostać, przełknąłem ślinę i na nogach z ołowiu uczyniłem pierwszy krok. Serce biło mi jak oszalałe. Wtem ktoś mnie odepchnął na bok i wysforował naprzód. Rosły chłop w brudnym i podartym mundurze wybrańca, szaro-niebieskiej kurcie z czerwonymi wyłogami i ta-kichz wąskich spodniach, których pierwotnej barwy można było się tylko domyślać.

208

- Ja pójdę!

- Jak cię zwa, żołnierzu? - spytał Zamojski.

- Kacper Wieloch, Mazur ze wsi Miastkowa, poddaniec panów Lasockich, wasza miłość.

- Idź zatem w imię Boże, mój Wielochu, i uczyni swoje, a jeśli Bóg dozwoli, powrócisz jako Wielkołucki, niczyj poddany, jeno swój własny. Masz na to moje słowo - rzekł kanclerz, wręczając chłopu żagiew, po czym zwrócił się do Wybranowskiego i Wejhera: - Panowie oficerowie, weźcie swoich ludzi. Będziecie osłaniać tego dzielnego człeka z obu flank, a zwłaszcza od bocznej bramy, z której niechybnie pójdzie wycieczka.

Wawrzyniec Wybranowski dowodził rotą piechoty łanowej z województwa ruskiego i mimo dobranego nazwiska w odróżnieniu od Sernego był szlachcicem. Zaś Wejherowi podlegał regiment niemieckich jurgieltników. Obaj kiwnęli głowami i pobiegli wykonać rozkaz.

Wieloch przeżegnał się, ścisnął w rękę pochodnię i jął drapać się na krawędź rowu. Podjąłem decyzję w mgnieniu oka. Porwawszy jakiemuś rannemu niewystrzeloną rusznicę i ładownicę, zawołałem:

- Zaczekaj! - i ruszyłem za nim, a za mną jeszcze ktoś. Nawet się nie obejrzałem, żeby sprawdzić kto.

Moskale od razu nas spostrzegli i zasypali pociskami. Kule świstały mi koło uszu, kartacze padały wokół jak grad. Bałem się jak diabli, dusza siedziała mi na ramieniu i wyrwała się do nieba, a ja nie widziałem sposobu, jak ją zatrzymać. Ale cudownym zrządzeniem losu nawet mnie nie drasnęło. Wieloch nie miał tyle szczęścia. Nagle drgnął, lewa ręka mu zwisała i zatoczył się, upuszczając żagiew. Podbiegłem, podniosłem pochodnię, nim zgasła, i podparłem go.

- Nic mi nie jest - wychrypiał, odbierając mi żagiew. - To ino draśnięcie.

Biegliśmy dalej. Byliśmy już w połowie drogi i widzieliśmy gęby Moskali na blankach, kiedy rozwarła się boczna brama i wysypali się z niej moskiewscy strzelcy. Ruszyli ku nam, ale wówczas ukryci łanowi Wybranieckiego i muszkietnicy Wejhera pokazali, co potrafią. Moskale padali jeden za drugim, po czym zawrócili. Ale trójka najwytrwalszych parła naprzód i zabiegała nam drogę. Prowadził ich prawdziwy olbrzym, zdający się jeszcze większym z powodu grubego watanego i pikowanego kaftana, który zastępował Moskałom zbroję. Na moich oczach strącono mu z głowy wysoką czapę

209

i trafiono go najmniej dwa razy, aż się wstrząsał, ale nie zważał na to. Odrzucił wystrzelony samopał i wymachiwał nad głową berdy-szem, który w razie potrzeby służył Moskałom za forkiet.

- Biegnij! - wrzasnąłem do Wielocha. - Zatrzymam ich!

Klęknąłem. Ręce mi drżały, nie miałem soszki, a jednak udało mi się trafić jednego ze ścigających. Padł jak ścięty. Cisnąłem bezużyteczną rusznicę, wyszarpnąłem pistolety i przestrzeliłem drugiemu głowę, ale gdy wycelował w olbrzyma, który z wyszczerzonymi w brodatej gębie zębami jak u wilka już zamierzał się na mnie berdyszem, broń nie wypaliła. Wtem ten z naszych, który wybiegł za mną z fosy, palnął mi tuż przy uchu i widać trafił wielkoluda po raz kolejny, bo Moskał zastygł na moment, upuścił berdysz, po czym nagle zniknął mi z oczu, jakby go ziemia pochłonęła. Ruszyłem za Wielochem, który bezpiecznie dopadł właśnie wału, kiedy noga raptem odmówiła mi posłuszeństwa i wpadłem do głębokiego leja po kuli armatniej, a w tejże chwili pocisk z moskiewskiego działa trafił prosto w pierś mojego wybawcę, roznosząc go na strzępy, a mnie oblewając krwawym deszczem. Spadłem wprost na moskiewskiego wielgusa. Niewiarygodne, lecz wciąż żył. Jęknął, otworzył oczy i wystękał:

- Nie stńelaj...

Nie miałem takiego zamiaru, a gdyby nawet, to nie miałbym z czego. Pewnie, mogłem go pchnąć rapierem albo przeciąć mu gardło puginałem, ale jakoś mnie to nie pociągało. Rycerski jak wszyscy Moskale, niezniszczalny wielkolud natychmiast wykorzystał moją, dorównującą jego posturze, głupotę i niewczesną wielkoduszność, łapą jak bochen promnickiego chleba sięgając mego gardła. Huknąłem go od spodu w podbródek zwiniętą lewą pięścią, lecz tylko się oblizwał jak po pieszczocie. Dopiero kiedy kolbą pistoletu w prawicy poprawiłem mu w podstępny łeb, zwiotczał, ślepią uciekły mu w głąb czaszki i nareszcie zaległ nieruchomo.

Uniosłem się na zdrowej nodze i ostrożnie wyjrzałem z dołu. Wieloch zdążył już podpalić stos, płonący coraz większym ogniem, i właśnie wracał nazad, biegnąc zygzakiem, coraz chwiejniej szym krokiem i co rusz się potykając. Z wykopu wyskakiwali piechociarze, spiesząc mu na pomoc. Już miałem ruszyć za drugimi, ale nagle potężnie gruchnęło tuż obok i zasypała mnie warstwa ziemi. Fala strachu, którego jakoś wcześniej nie wiadomo kiedy udało mi się

210

pozbyć, wróciła z tak ogromną siłą, że cały drżący osunąłem się z powrotem na bezpieczne dno leja. Wciąż doskwierał mi ból nogi, ale znacznie bardziej palący wstyd. Wrzaski i wybuchy słyszałem jak przez mgłę, zawieszony w jakimś dziwnym stanie półprzytomności, obojętny na to, co działo się wokół. Dopiero kiedy zmierzchno, wytaszczyłem z dołu ciężkie cielsko Moskala i zarzuciwszy go sobie na plecy, kuśtykając, dowlokłem się jakoś do naszych. Ogień pod murami twierdzy gorzał już wówczas na całego, mimo iż Moskale robili wszystko, by go stłumić.

W obozie znajomi ucieszyli się na mój widok, bo miano mnie za umarłego, i przywitani jak bohatera. Moim jeńcem okazał się Sabin Nosow, który w Suszy srodze dał się naszym we znaki. Teraz, gdy doszedł do przytomności, także nie stracił animuszu, utrzymując, że próżne nasze wysiłki, bo Wielkie Łuki są nie do zdobycia, a pożoga wnet ustanie.

Ale mylił się, co pokazało się nazajutrz. Była niedziela i wojsko miało nieco oddechu, obserwując, jak Moskale uwijają się, lejąc wodę i zrzucając namoczone skóry. Mimo to ogień wciąż się palił. Wykorzystując chwilę przerwy w działaniach wojennych, król nakazał odszukać Wielocha. Jakoż i przywiedziono go przed jego oblicze, nieco już ochędożonego, z ręką na temblaku i obwiązaną głową, i ustawiono przed frontem żołnierstwa. Kiedy dzielny żołnierz przyklęknął przed majestatem i ucałował podaną dłoń, król uderzył go płazem szabli po ramieniu i wypowiedział po łacinie słowa, które na polski przełożył stojący obok Zamojski:

- Powstań Kacprze, już nie Wieloch, ale panie Wielkołucki, którego za męstwo król niniejszym tuzinem łanów ziemi obdarował, szlachcicem uczynił i na czele rotty harcercskiej postawił, zaś jam do herbu swego, Jelita, przypuścił.

- Miłostwy korolu - ozwał się przypochebnie litewski błazen Cieszko, wykrzywiając pociesznie - ja tożę proszu o nahrodu. Na dwudziestu wojnach buwał, nikoli sia nie bija! Gruchnął śmiech. Zobaczyłem, jak król wpierw uśmiecha się półgębkiem, potem krzywi, przedrzeźnia pod nosem: „cki, ski, ści” i prycha pogardliwie. Nie miał poczucia humoru, w odróżnieniu od takiego na przykład wesołka jak Moskiewski, który wpierw przy stole potrafił do rozpuku zaśmiewać się z jakiegoś dowcipu, by potem porwać nóż i oderznąć żartownisiowi ucho,
211

przez co śmiechu i uciechy było co niemiara. Słyszałem za to, że nasz Stefan rad wyśmiewał się z pychy polskiej szlachty, która do wyższych stanowisk państwowych i kościelnych, choćby kanonika, nie dopuszczała gorzej urodzonych, więc król szydził, że kanonikiem może zostać i prosię, bo wołają je „maluśki”, więc ma odpowiednie nazwisko - na „ski”. Ale nikt inny nie zwrócił na to uwagi. Wojsko wiwatowało, żołnierz zalał się łzami, a kanclerz przycisnął go do piersi.

- To mogłeś być ty - powiedział do mnie Stachnik.

Spojrzałem na niego ostro. Ale nie, niczego nie podejrzewał, w jego głosie brzmiał jedynie szczery żal, że to nie mnie spotkała taka łaska.

- Przekłęta noga - mruknąłem, dobrze wiedząc, że oszukuję sam siebie, tak jak udało mi się oszukać przyjaciół. W ustach czułem absmak.

Tej nocy zamek stanął w ogniu jak wulkan, więc gdy następnego dnia, w poniedziałek 5 września, szykowaliśmy się do generalnego szturm, załoga poprosiła pardonu. Król jak zwykle udzielił im tej łaski, bo kiedy to tylko było możliwe, prowadził wojnę na polerowaną modłę. Dla ich własnego dobra (Iwan skazałby ich na śmierć, gdyby nie pozorowali oporu) kazał aresztować wojewodów, zaś załozę i mieszkańcom zezwolił na swobodne opuszczenie twierdzy, acz bez broni. Jako i od rana zamek opuszczali obrońcy, obwieszeni ikonami i wszelkiego rodzaju dobytkiem, czemu przyglądał się bez mała cały nasz obóz. Przybyła nawet „sroga rzecz” - liczna czeladź z taborów, pacholiki i rozmaite ciury trzymające się wojska dla nadziei na łupy, hałastra najgorszego autoramentu, chciwa zdobyczy, którą spodziewała się znaleźć w opuszczonej fortecy. Były wśród nich niewiasty: żony i kochanki żołnierzy, pospolite nierządnicę i przekupki alias markietanki zawżdy ciągnące za każdą armią mimo zakazów. Ale zamek wciąż płonął, król zaś zamierzał go zachować, a także uzupełnić nasze siły o tamtejsze armaty, dużą ilość pozostawionego prochu i sprzęt wojenny wprzódę sprowadzony sam przez Moskali z całych Inflant. Dlatego Zamojski zaraz podesłał do twierdzy kilkudziesięciu Węgrów, aby przejęli ją i pomogli załozę gasić pożar. Madziarzy kopnęli się ku zamkowi ochotnie, ale na ten widok zawrzało pośród niesfornego tałatajstwa, przekonanego, że oto dopuszczono do konfitur

212

Węgrów i nikogo więcej. Tłum zaczął falować i wznosić groźne okrzyki. Pośród wielu głosów, przebił się jeden, jak mi się zdało, mojego Chrisa Żeglarza:

- Oszwabić nas tu chcą! Złoto dla Madziarów, dla nas zasię jeno pot a łzy! Ludziska! Hajda na Moskali, niechaj każdy bierze, co mu się należy!

W mgnieniu oka rozpętało się piekło. Gromada ciurów ruszyła do zamku w ślad za Węgrami, reszta runęła na bezbronnych i nie-spodziewających się niczego złego Moskali opuszczających Wielkie Łuki. Za czeladzią pospieszyli prości żołnierze, nie chcąc pozbawić się okazji do łupów. Próżno oficerowie zabiegali im drogę i próbowali powstrzymać. Równie dobrze można by zatrzymać kijem rzekę Łowac, by odmienić jej bieg. Dlatego niektórzy z dowódców machnęli ręką i odsunęli się na bok. Oszalała, żadna krwi i złota tłuszczę wdarła

się do zamku i zaczęła łupić i mordować, zarówno tych wewnątrz, jak i tych, co już wyszli. Przyglądaliśmy się temu z niedowierzaniem i przerażeniem, zupełnie bezradni. Nawet bywałe wiarusy odwracały oczy na widok tych okropności. Mężom ścinano głowy i dziurawiono wątpia, niewiastom płatano brzuchy i obcinano piersi, dzieci rozszczepiano na dwoje, a potem przeszukiwano ciała i odzienie w poszukiwaniu ukrytych kosztowności. Armagedon! Do naszych dołączyli Węgrzy i Niemcy i rozszalała się rzeź na całego. Wrzaski mordowanych sięgały nieba, które milczało. Hetman moskiewski, Iwan Wieków, goniony przez hajduków węgierskich przypadł do Farensbeka, błagając o zmiłowanie. Nic to! Rozsiekano go na oczach pułkownika. Stałem jak słup, sparaliżowany widokiem.

- Chodź! - Stachnik wyrwał mnie z tego stanu, szarpiąc za ramię. - Belua multorum est capitumK

Urodzony żołnierz szybko otrząsnął się z otępienia i zaczął wydawać rozkazy. Wnet zgromadził kilku oficerów, kilkunastu szlachty z pospolitego ruszenia i kilkudziesięciu „żałobników” z rot kanclerskich. Ktoś podał mi konia i ruszyliśmy naprzód zwartą kupą, niby klin wbijając się między rozszalałą tłuszcze i płazując na prawo i lewo bez litości. Kilkudziesięciu nieszczęśników udało nam się odbić z rąk rozwydrzonych morderców i tych, przydawszy im połowę

1 Jest potworem o wielu głowach (o roznamiętnionym tłumie) (łac., Horacy).

213

swoich ludzi, Żółkiewski kazał eskortować aż do obozu. Im bliżej zamku, tym trudniej było się przebić, gdyż ciżba zgęstniała, a nas ubyło. Jakoś jednak zdołaliśmy wdrzeć się do twierdzy. W samą porę, bo już padali ostatni obrońcy, usiłujący ocalić zbite w kolisko i krzyczące wniebogłosy z przerażenia swe żony i dzieci.

- Precz! - ryknął Żółkiewski, a ja jeszcze nigdy nie widziałem go tak rozgniewanego. Urodziwe oblicze miał wykrzywione wściekłością i odrazą, z oczu sypały się iskry. - Wara od jeńców, psy plugawe!

- Sam idź do diabła, mospanku! - wrzasnął jakiś drab, zamierzając się zdobyczym berdyszem.

Stachnik bez słowa strzelił mu w łeb, kładąc trupem na miejscu. To nieco otrzeźwiło pozostałych, którzy jęli się cofać. Ucapilem za kołnierz Krzycha Żeglarza, usiłującego wymknąć się chyłkiem. A zatem nie pomyliłem się, rozpoznając jego głos pośród innych podzégających do jatek.

- Do namiotu! Ale już! - warknąłem.

Rzucił mi chmurne spojrzenie, ale poszedł do bramy, choć z ociąganiem. Żółkiewski potoczył wzrokiem dookoła. Wciąż dorzynano ostatnich obrońców, zewsząd wybiegali ludzie z naręczami zdobycznego dobra. Nikt nie gasił pożaru, który szalał w najlepsze.

- Opuścić zamek! - zawołał Stachnik. - Hi jest pełno prochu! Wszystko lada chwila wyleci w powietrze!

Ale nikt go nie słuchał. Wzięliśmy więc ocalonych Moskali między siebie i utorowaliśmy sobie powrotną drogę. Dochodziliśmy właśnie do obozowiska, kiedy rozległ się ogłuszający huk, ziemia zadrżała w posadach, buchnął w górę słup czarnego, gryzącego dymu, który wnet zasnuł okolicę, i twierdza przestała istnieć, grzebiąc w zgliszczach naszych i Moskali oraz nadzieje króla.

- Jezu! - westchnąłem po raz któryś, wciąż nie mogąc dojść do siebie i wychylając kolejny kubek gorzałki, jakby to była woda. -W życiu nic gorszego nie widziałem...

Gościliśmy wieczorem w naszym namiocie kilku zaprzyjaźnionych oficerów, w tym Uhrowieckiego, Działyńskiego i mojego dobrego znajomego z dawnych czasów, Jana Tomasza Drohojewskiego. Wszyscy oni byli krewnymi lub powinowatymi Zamojskiego. Sam kanclerz mimo nawału zajęć także znalazł chwilę, by nas nawiedzić. Hi, we własnym gronie, wszyscy tytułowali go hetmanem wielkim

koronnym¹, choć tak po prawdzie to sprawował dowództwo jeno nad swoimi czarnymi rotami oraz nowym, tegorocznym zaciągiem.

- Boś młody i pierwszy raz na wojnie - powiedział Drohojowski.
- Pomnicie, jakeśmy łośńskiego roku po zdobyciu Połocka pośród trupów w zamku znaleźli wielu żołnierzy królewskich, osobliwie Niemców, wziętych w różnych okolicznościach do niewoli i okrutnie pomordowanych? - dodał Uhrowiecki.
- Moskale wsadzali ich do kotłów, pod którymi palił się ogień, i nalawszy wody po kolana, gotowali nieszczęsnych żywcem, wiązali ręce w tył powrozem i ponacinawszy wzdłuż brzuch i całe ciało w gęstych odstępach, najohydniej darli z nich pasy - uzupełnił młody Działyński na mój użytek, aby lepiej mi się trawiło codzienną prostą spyżę. - Król z trudem powstrzymał rozwścieczone wojsko przed zmasakrowaniem obrońców.
- Ale piechota niemiecka wzięła potem srogi odwet po zdobyciu zamku Sokół, wyrzynając z zemsty całą pięciotysięczną załogę. Widziałem wonczas kobiety niemieckich jurgieltników pomordowanych w Połocku, jak rozpruwały poległym Moskałom co tłustsze żywoty i wykrawały z nich sadło używane przez nie do opatrywania ran. Brr! - wzdrygnął się Żółkiewski, wypijając swoją gorzałkę jednym haustem.
- My wszak nie wojujemy w ten sposób - rzeki surowo Zamojski. - Król ludzki pan, zatrzymuje w niewoli tylko wodzów, głównie dla ich dobra. Dlatego tak go trapi to, co się dziś stało.
- Wielu zginęło? - spytałem.
- Naszych ze dwie setki pogrzebanych pod zgliszczami. A z pięciotysięcznej rzeszy Moskali najmniej połowa, albo i ze cztery tysiące. Nie licząc utraty trzydziestu sześciu dział, kilku setek hakownic, kilku tysięcy rusznic i wielu skarbów... - podniósł się ciężko z zydlu. - Dlatego pora spać, mości panowie. Od jutra zaczynamy odbudowę Wielkich Łuk. Następnego dnia ta sama czeladź obozowa, która spowodowała jatki, zajęła się uprzątnięciem trupów, poszarpanych na kawały i zalegających pod zamkiem całymi stosami. Ciskano ich do wykopów, które uczyniono podczas oblężenia i które i tak należało teraz zasypać. W tym czasie piechota, której obiecano dodatek do żołdu

¹ Formalnie został dopiero podczas kampanii pskowskiej w 1581 r.

w wysokości orta dziennie¹, ohotnie wzięła się do roboty przy odbudowywaniu zamku. Lasów, a tym samym budulca, dokoła nie brakowało, toteż praca, sprawnie rozdzielona między Polaków, Litwinów i Węgrów, raźnie postępowała. Kierował nią razem z dwoma rodakami murator włoski Dominik Ridolofini, hetman grupy inżynierów włoskich w wojsku królewskim, który w wojsku Zamojskiego dowodził pułkiem piechoty. Był to weteran wojen we Włoszech, gdzie służył pod komendą sławnego weneckiego kondotiera Latino Orsiniego, a potem walczył z Hirkami na Krecie. Obóz główny został przesunięty o milę albo - wedle tutejszej rachuby - o kilka wiorst, pod wieś Iwancowo, aby ubezpieczać pracujących w twierdzy. Bezrobotni żołnierze włóczyli się p'o obozowisku bez celu, pili, jeśli mieli co, i narzekali na marną spyżę, a nade wszystko - na zaległości w wypłacie żołdu. Tyczyło to szczególnie czarnych rot Zamojskiego, które groziły buntem, co bardzo trapiło kanclerza. Pospolitalicy litewscy i wolentarze zaczęli wymykać się z obozu, nawet niektórzy magnaci rozpuścili swoje poczty, a straże nocne bywały nierządne (spały, rozpuszczały konie), co ośmieliło Tatarów moskiewskich do napaści na picowników szukających furazu w okolicy. Gdybyśmy się jednak teraz wycofali, cały trud tej wojny poszedłby na marne. Toteż z równą uwagą, co wieści o postępach odbudowy Wielkich Łuk, nasłuchiwalismy nowin od Dorohostaj-skiego, który ze szlachtą połocką ruszył na początku sierpnia pod Newel, wspierany przez pięciuset żałobników Zamojskiego i piechotę węgierską

Bornemiszy. Bez artylerii oblężenie mogło jednak trwać długo, ale musiało się powieść, by najkrótsza droga z Wielkich Łuk na Litwę została całkowicie opanowana.

Na Długoraja natknąłem się, idąc za potrzebą. Czekał ukryty w krzakach. Wystawił głowę, rozejrzał się czujnie i syknął na mój widok:

- To ja, Wojtaszek.
- Nie jestem ślepy. Masz coś dla mnie?
- Wczoraj imć Samuel gościł w namiocie człeka w czerni patrzącego na cudzoziemca.

Ale o czym konferowali, tego nie wiem, bo mówili cicho, a bałem się, by mnie nie przyłapali na podsłuchiwanie.

1 Czyli tyle co miesięczna lafa żołnierza otrzymywana od rotmistrza, który zabierał resztę, czyli ćwierć: trzydzieści, czterdzieści złotych na kwartał.

216

- Słusznie. Nadstawiaj dalej ucha i miej oczy szeroko otwarte, ale zbytnio nie ryzykuj. Nie mając chwilowo nic do roboty, nareszcie znalazłem czas, żeby odwiedzić dobrego znajomego z Krakowa, Walentego Łapę, który wedle wskazówek doświadczonego typografa Mikołaja Szarf-fenberga prowadził drukarnię obozową, zwaną „łatającą”. Już od ubiegłorocznej kampanii połockiej wydawała ona królewskie manifesty, do wojsk własnych i wrogich oraz ulotki wyjaśniające Europie powody wojny z Moskwą. Mieściła się w osobnym namiocie. Zastąpiłem Fołtyna przy robocie, w której pomagało mu czterech uczniów.

- Wielkie nieba, kogo moje oczy widzą. Kacper! - ucieszył się na mój widok. - Wszelki duch Pana Boga chwali, góra z górą się nie zejdzie, prędzej ducha bym się sam spodziewał niżli ciebie i tak dalej. Daj pyska!

Dałem.

- Co cię do mnie sprowadza?
- Ciekawość. W przeciwieństwie do ciebie wiedziałem, że cię tu zastanę. O twojej robocie gada cała Rzeczpospolita. Ponoć król zamieruje obdarować cię szlachectwem. Pokraśniał z zadowolenia.

- Nad czym pracujecie?
- Nad tym - pokazał mi druk wzięty z wielkiej sterty.

Przeczytałem na głos:

- Edykt Stefana Batorego z dnia 6 IX 1580 r. spod Wielkich Łuk do szlachty polskiej przesiany. Co to takiego?
- Relacja z obecnej kampanii na użytek krajowy. A tu masz prawie to samo, jeno po łacinie - wyjął spod prasy dopiero co odbity egzemplarz i pomachał mi nim przed nosem - Ten druk pójdzie do Włoch, Niemiec, Francji, Rakuz i Siedmiogrodu. Teraz mam huk roboty, lecz musimy się niedługo spotkać i od serca pogwarzyć przy garncu przedniego grzańca. Poszedłem za ostatnie namioty na stronę za potrzebą, a kiedym wracał, nagle ni stąd ni zowąd wyrósł przede mną Kettler i pociągnął za pień wielkiego dębu, który zasłaniał nas od strony obozu. Domyśliłem się, że to jego widział bandurzysta rozmawiającego z Samuelem, i zdrętwiałem, lecz wnet mnie uspokoił. O tyle, o ile.

- Jest na acana zlecenie - rzekł. - Płacą dobrze: sto dukatów.

217

- Kto?
- Kto jak nie Zborowscy? Dowiedzieli się, że ich śledzisz. Albo byłeś nieostrożny, albo ktoś cię zdradził.
- Skąd wać o tym wiesz?
- Mam swoje sposoby.
- Sto dukatów to spora pokusa - westchnąłem markotnie.

Nie uśmiechało mi się unikanie podjątego morderza akurat teraz, kiedy i tak nie brakowało mi turbacji. Wystarczająco zachodu miałem z kulami i gilotami lecącymi od przodu, te z tyłu

to już była gruba przesada. Stanowczo, wojna nie była tym, co lubiłem najbardziej. Jednak przynajmniej dowiedziałem się, z kim zmałował się Zborowski i o co mu szło.

- Zależy dla kogo - parsknął pogardliwie. - Ja bym się nie podjął tej roboty za mniej niż pięć setek.

- Wielkie dzięki za uznanie.

- Ale teraz co innego mam na głowie. Najwyraźniej Ościk był zbyt małą figurą, by jego zeznania wystarczyły do oskarżenia zdrajców. Trzeba dostarczyć królowi kogoś, czyich słów nie da się podważyć.

- Czyli kogo?

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Naszczokina we własnej osobie.

- Szalejuś się najadł? Zamierzasz pójść między Moskali?

- Owszem. A cóż w tym dziwnego? Znam ichnią mowę, podam się za Ościkowego druha i poczęstuję ich fałszywymi wieściami o królewskich zamiarach. Powinni mi uwierzyć.

- A jak nie?

Wzruszył ramionami. Nagle przypomniałem sobie o czymś, co zupełnie wypadło mi z pamięci. Wygrzebałem z kieszeni rzecz, która podczas naszej szamotaniny zsunęła się Ościkowi z palca. Był to srebrny sygnet z wygrawerowanym wizerunkiem dwugłowego orła.

- Orzeł bizantyjski - zauważył. - Niedawno przyjęty za godło przez Moskwę. Skąd masz ten pierścień?

- Zabrałem Ościkowi. Myślę, że to oznaka zdrajców. Bierz - podałem mu sygnet. -

Teraz może istotnie ci uwierzą.

Wziął go bez certacji i wsunął na palec wizerunkiem do dołu, mówiąc:

218

- Dank. Zatem bywaj i dawaj pilnie na siebie baczenie, bo nie będę ci już w stanie pomóc.

Puścił mnie przodem. Wróciłem do namiotu, który stał próżny. Stachnik poszedł na odprawę, Jarek gdzieś się włóczył, a Chrisa Żeglarza ostatnio niemal nie widywałem, unikał mnie bowiem od czasu rzezi w Wielkich Lukach. Rzuciłem się na posłanie, ale nie mogłem usnąć, bo skądś zalatywało okropnym smrodem padliny. Zdechły szczur czy co? - pomyślałem.

Wstałem i zacząłem przeglądać wszystkie kąty, a potem przetrząsać legowiska. Padliny nie znalazłem, lecz spod sterty słomy i gałęzi, na których sypiał Krzych, wyciągnąłem skórzany sak, który wydawał z siebie ów cuch, i wytrząsałem zawartość na ziemię. Zmartwiałem i omal nie zwomitowałem, kiedy z worka wysypały się obcięte palce z sygnetami i pierścieniami, zarówno grube, męskie, jak i delikatne, niewieście, a pewnie i dziewczęce. Do tego ze dwa tuziny rozmaitych w kształcie uszu z kolczykami i drugimi zawieszkami, koralami i naszyjników nie licząc. Ciekawe, ile z nich łotr odarł z trupów, a ilu nieszczęśników wysłał na tamten świat, by zdobyć te błyskotki? Niektóre uszy i palce były już zasuszone, co świadczyło, że zdobył je dawniej, zapewne podczas swoich wypraw z picowni-kami.

Usłyszałem na zewnątrz kroki, więc pospiesznie zepchnąłem nogą okropne trofea z powrotem pod barłóg. Ledwo się z tym uporałem, wszedł Stachnik.

- Niedobrze - westchnął od progu. - Wczoraj rota kozaków, którą książę Konstanty Ostrogski wysłał po spyżę na trakt toropiecki, została ze szczerem zniesiona przez Tatarów. Podjazd, który zaraz tam posłano, doniósł, że w Toropcu Moskale zgromadzili wielkie wojsko. Trzeba coś z tym zrobić.

- I co zrobimy?

- Nie wiem. Na wieczór król zwołuje radę. Wtedy się dowiem. A teraz muszę się zdrzemnąć. Co tu tak śmierdzi? - pociągnął nosem. - Pewnie zdechły szczur. Niech ten nicpoń Jarek poszuka go, jak wróci, przykaż mu.

Rzucił się na nędzne wyrko, nakrył opończę i zaraz zachrapał aż miło. Mnie zaś wciąż cholera trzęsała na Krzycha, więc poszedłem go poszukać. Ale nie znalazłem. Zjadłem tylko ciepłą (była to jej jedyna zaleta) bryję w obozowej garkuchni i wróciłem do namiotu o zmierzchu. Stachnik już wyszedł na naradę, a Jarek właśnie znów

219

się wybierał grać w kości, co uwielbiał namiętnie, dając się osku-bywać rozmaitym frantom i kosterom.

- Jegomość, tylko niech mnie jegomość nie wyda mojemu panu -błagał. - To już ostatni raz, żebym tak zdrow był! Tym razem na pewno się odegram. Migiem wracam!

Nie wierzyłem, by kiedykolwiek się odegrał, ale machnąłem ręką. Nie moja sprawa. Każdy ma prawo upleść sobie sznur, na którym zawisnie. Miałem większą turbację. Chris zjawił się kwadrans po wyjściu Jarka. Wśliznął się do namiotu jak wąż. Stał chwilę, rozglądając się czujnie, po czym ukląkł i sięgnął pod posłanie. Wtedy wyszedłem z ciemnego kąta i zapaliłem latarkę.

- Szukasz czegoś?

Zerwał się na równe nogi.

- Wiem, co skrywasz pod legowiskiem. Gdzieżeś był? Znów kogoś zamordowałeś i ograbiłeś, i chcesz coś dorzucić do reszty?

- Byłem w taborach - odparł ponuro. - A com zdobył, to moje. Po to się wojuje, paniczku - wydawało mi się, że w jego głosie słyszę szyderczą nutę.

- Wiesz, co się stanie, jeśli wyjawię, co z ciebie za łotr? Zawis-niesz na pierwszej z brzegu gałęzi.

Zarówno król, jak i Zamojski trzymali wojsko w karbach, chyba że sytuacja wyjątkowo wymykała się spod kontroli, jak pod wielko-lucką twierdzą. Za gwałty, mordy i rabunki na miejscowej ludności groziły surowe kary.

- Laski, panie! - złożył ręce jak do modlitwy. - Toć na morzu robili my to samo.

Zwyczajna to rzecz na wojnie.

Już prawie zapomniałem, że swego czasu był kaprem na „Morskim Psie”. Jednak w jego postawie wyczułem jakiś fałsz. Równocześnie zrobił krok naprzód w moją stronę, a oczy świeciły mu złym blaskiem. Wiedziałem, że był niezwykle silny, a teraz przekonałem się, że równie bezwzględny i okrutny. Położyłem znacząco dłoń na kolbie pistoletu. To go ostudziło. Zamarł w bezruchu.

- Ze względu na dawne czasy nikomu nic nie powiem - rzekłem. - Ale ciebie już widzieć nie chcę. Wynoś się i nie wracaj. A jeśli przylapię cię jeszcze kiedyś na jakimś łotrostwie, ubiję jak psa. Precz mi z oczu!

Z początku napiął się, jakby chcąc się na mnie rzucić, lecz w porę zmytygował. Zabrał swoje statki i wybiegł z namiotu bez słowa,

220

nawet na mnie nie spojrzawszy. Nie wątpiłem, że bez trudu znajdzie sobie przytulisko. Złego lichu nie porwie. Rzuciłem się na posłanie. Powoli uchodziła ze mnie złość i rozczarowanie, żem tak się zawiódł na Krzychu i dał zwieść jego udawanej poczciwości i przywiązaniu do mojej osoby. Nawet nie wiem, kiedy zasnąłem. Obudził mnie potop. Miliony galonów wody zalewały okręt, razem z którym szedłem na dno. Woda wciskała mi się do uszu, oczu i ust. Nie mogłem złapać tchu. Topiłem się. Kiedy otworzyłem oczy, potop przybrał kształt mordercy, który siedział mi na piersiach i łapskami jak sploty potwornego żmija z Nowego Świata, boa, o którym gdzieś czytałem, ścisnął mi gardło niby cęgami. Zauważyłem rysunki siną farbą kiwane na skórze i już wiedziałem, kto mnie dusi, zanim jeszcze się odezwał.

- No i jak ci teraz, rycerzu bez skazy? Nikt nie będzie pomiatał Chrisem Żeglarzem! Nikt! Lepszym od ciebie dawałem radę i lepszych posyłałem do piachu!

Zacisnął palce, a ja poczułem, jak oczy zaczynają mi wychodzić z orbit, a płuca płonąć żywym ogniem.

- Gdybyś mógł sięgnąć do mojej kabzy, znalazłbyś tam pięć dziesiątek pięknych złociutkich florenów, a drugie tyle czeka na podjęcie. Taką okrągłą sumkę ofiarowali mi pospołu panowie Samuel Zborowski i Stanisław Stadnicki za pozbycie się ciebie, gdym im wyjawiał, jak to ich szpiegowaliśmy dniami i nocami, ty i ja na twój rozkaz. Ha! W samą porę, bo już służba u ciebie do cna mi zbrzydła. Żegnaj, głupcze.

Zaiste byłem głupcem, nie wpadłszy na to, że tak jak ja miałem szpiega pod jego nosem, tak samo Samuel mógł mieć pod moim. Nigdy nie riależy lekceważyć przeciwnika. Teraz przyszło mi za to zapłacić. Nie miałem żadnej szansy. Owszem, niegdyś pokonałem go na rękę, ale sposobem i przez zaskoczenie. Teraz on zaskoczył mnie, a na domiar był silniejszy. Może nawet przez te wszystkie lata hołubił w sercu pragnienie zemsty za tamtą porażkę. Wszystko zaczęło mi się rozmywać przed oczyma, płuca nie znajdowały ani krztyny powietrza, nie byłem w stanie wykonać żadnego ruchu... Szedłem na dno, martwy jak kamień. Wtem wyczułem raczej, niż usłyszałem, jakiś rumor i wielki ciężar spadł mi z piersi, a uwolnione gardło łąpczywie łapało oddech. Wzrok też mi się wyostrzył na tyle, że rozpoznałem Staszka.

221

Zdziwiłem się tylko, że przybył z dwoma braćmi, choć miał tylko jednego, i to podobnymi do siebie jak dwie krople wody.

- Chwała Bogu, dychasz - usłyszałem jak przez mgłę - bo myślałem, że już po tobie. Głos był pojedynczy i wreszcie pojąłem, że i Stachnik jest ten sam co zawsze i w jednej osobie.

- Niewiele brakowało - wychrypiałem, bo gardło wciąż miałem ściśnięte. - Gdzie on?

- Tam - pokazał palcem.

Uniosłem się z trudem i zobaczyłem bezwładny tłumok pod ścianą namiotu.

- Martwy?

- Jeno ogłuszony. Dlaczego chciał cię zabić? ,

- Bom go odprawił.

- Mój Boże, ależ ta dzisiejsza służba zrobiła się obraźliwa - westchnął.

- A oprócz tego dał się podnająć Samuelowi Zborowskiemu i Diabłu Stadnickiemu, których powiadomił, że miał na nich oko. Znajdziesz gdzieś gorzałkę? Chętnie zwilżyłbym gardło.

Jako i po solidnym łyku palącego trunku od razu poczułem się lepiej. Uniosłem się i rozejrzałem.

- A gdzie mój niedoszły zabójca?

Żeglarz zniknął. Rozcięte płótno namiotu wskazywało którądy.

ROZDZIAŁ 5 | MOST

Iwancowo pod Wielkimi Łukami, wrzesień 1580 roku

- Coś długo nie widać tego łotra Żeglarza - zauważył Samuel Zborowski, razem z bratem Andrzejem i Diabłem Stadnickim spożywając wieczerzę, wprzódy wystawiwszy strażę przed namiotem, by nikt ich nie zaskoczył.

Odkąd dowiedzieli się, że byli pod nieustanną obserwacją, zrobili się jeszcze ostrożniejsi.

- Zjawi się, spokojna głowa. Wszak dostał dopiero połowę obiecanej sumy. Minęły ledwie dwa dni, pewnie nie miał sposobności do wykonania roboty i czeka na dogodną chwilę - uspokajał Stadnicki.

- Albo już wyjawiał wszystko Ryksowi, od niego odebrał resztę nagrody i teraz oba śmieją się z was w kułak - wtrącił drugi Zborowski, marszcząc czoło.

- Umiem poznać, kiedy kto kogo nienawidzi, a ów łotr żywi za coś śmiertelną anę do Ryksa i aż dyszy chęcią zemsty, jestem pewny - rzekł stanowczo Samuel. - Czy w przeciwnym razie wyjawiliby nam, że Ryx nas szpiegował, zapewne z polecenia Zamojskiego?

- Skoro dał się przekupić wam, da i komu drugiemu - powątpiewał Andrzej, upierając się przy swoim. - Jaką macie gwarancję, że odebrawszy resztę mińców, nie zemknie w siną dal, wprzód wydał was Żółkiewskiemu albo Zamojskiemu?

- Taką - odparł Stadnicki, wyjął sztylet zza pasa i machnął im przed nosami. - Jak tylko upewnimy się, że Żeglarz zrobił swoje, osobiście wyrwę mu z gardzieli nasze pieniądze, kiedy się zgłosi po następne, i wbiję żelazo w serce. Trupa podrzuci się do lasu. Mało to ciurów ginie podczas kłótni przy kartach czy kościach albo ubitych przez Tatarów, gdy się zbyt oddalą od obozu?

Do namiotu wsadził głowę Ruski, totumfacki Samuela.

223

- Przybył goniec królewski. Wasza miłość jest proszony przed królewskie oblicze. I pan Stadnicki także. Niezwłocznie.

Trójka spiskowców spojrziała po sobie z napięciem.

- Chyba nie... - zaczął Diabeł.

- Co ma być, to będzie - pobladły Samuel podniósł się z zydła. - Raz kozie śmierć.

- Bliżej, mości panowie, toć nie ugryzę - zachęcił król przybyłych, aby przybliżyli się do prostego stołu, uczynionego z tarcic i kozłów, na którym, poprzykładana na rogach książkami, rozpościerała się olbrzymia karta.

Batoremu towarzyszyli hetmani i trzech cywilów, w tym sekretarz królewski Paweł Gyulai, pilnie spisujący na bieżąco wszelkie wypadki \ oraz zaufany pokojowiec, Franciszek Wesseleny. Aby dotrzeć do stołu, należało przecisnąć się obok królewskiego posłania, niczym u prostego żołnierza skleconego ze słomy i gałęzi, zarzuconego jedynie niedźwiedzią skórą. Jego królewska mość w razie potrzeby zadowalał się bowiem byle czym, nie gardząc nawet prostą żołnierską strawą. Dlatego nie miał zrozumienia dla wydelikacowanych panów i puszczał mimo uszu ich utyskiwania na niedostatek.

- Jaka wielka! - zauważył ktoś.

- A jaka dokładna! - dodał inny.

- Niewidziana to rzecz! - westchnął z podziwem trzeci.

- Tę piękną krainę malowaną Inflant i obecnego wojennego the-atrum sporządził przytomny tutaj kartograf pan Maciej Strubicz z pomocą imć Sulimowskiego, który nie szczędząc trudu, zebrał informacje w polu. Śmiem twierdzić, że nie powstydziliby się jej nawet sławny Merkator - rzekł król, a obaj wymienieni skłonili się jemu i obecnym, radzi z pochwały.

Z najnowszej mapy Europy z 1572 roku Merkatora Batory korzystał w zeszłorocznej kampanii, ale z typową dla siebie pomysłowością postanowił stworzyć dzieło jeszcze lepsze i dokładniejsze.

- Mości kanclerzu, zechciej objaśnić sytuację - zwrócił się do Zamojskiego.

1 Paulus Giulianus, Commentarius rerum a Stephano Rege adversus Magnum Mosckorum Ducem Gestarum Anno 1580, Claudiopoli, Anno 1581.

224

**

- Przybył goniec królewski. Wasza miłość jest proszony przed królewskie oblicze. I pan Stadnicki także. Niezwłocznie.

Trójka spiskowców spojrziała po sobie z napięciem.

- Chyba nie... - zaczął Diabeł.

- Co ma być, to będzie - pobladły Samuel podniósł się z zydła. -Raz kozie śmierć.
- Blżej, mości panowie, toć nie ugryzę - zachęcił król przybyłych, aby przybliżyli się do prostego stołu, uczynionego z tarcic i kozłów, na którym, poprzykładana na rogach książkami, rozpościerała się olbrzymia karta.

Batoremu towarzyszyli hetmani i trzech cywilów, w tym sekretarz królewski Paweł Gyulai, pilnie spisujący na bieżąco wszelkie wypadki¹, oraz zaufany pokojowiec, Franciszek Wesseleny. Aby dotrzeć do stołu, należało przecisnąć się obok królewskiego posłania, niczym u prostego żołnierza skleconego ze słomy i gałęzi, zarzuconego jedynie niedźwiedzią skórą. Jego królewska mość w razie potrzeby zadowalał się bowiem byle czym, nie gardząc nawet prostą żołnierską strawą. Dlatego nie miał zrozumienia dla wydelikaconych panów i puszczał mimo uszu ich utyskiwania na niedostatek.

- Jaka wielka! - zauważył ktoś.
- A jaka dokładna! - dodał inny.
- Niewidziana to rzecz! - westchnął z podziwem trzeci.
- Tę piękną krainę malowaną Inflant i obecnego wojennego the-atrum sporządził przytomny tutaj kartograf pan Maciej Strubicz z pomocą imię Sulimowskiego, który nie szczędząc trudu, zebrał informacje w polu. Śmiem twierdzić, że nie powstydziliby się jej nawet sławny Merkator - rzeki król, a obaj wymienieni skłonili się jemu i obecnym, radzi z pochwały.

Z najnowszej mapy Europy z 1572 roku Merkatora Batory korzystał w zeszłorocznej kampanii, ale z typową dla siebie pomysłowością postanowił stworzyć dzieło jeszcze lepsze i dokładniejsze.

- Mości kanclerzu, zechciej objaśnić sytuację - zwrócił się do Zamojskiego.
- 1 Paulus Giulianus, Commentarius rerum a Stephano Rege adversus Magnum Moschorum Ducem Gestarum Anno 1580, Claudiopoli, Anno 1581.

224

- Panie Szymkowicz... - kanclerz oddał głos sławnemu zagoń-czykowi, Temrukowi Szymkowiczowi.

Rotmistrz o wyraźnie tatarskich rysach, widocznych mimo opatrunku spowijającego mu głowę, zaczął śmiało:

- Jak zapewne waszmościom wiadomo, pozawczoraj w okolicy Turopcza vel Toropca moja chorągiew petyhorska osłaniająca pi-cowników natknęła się na przemożną siłę moskiewskich Tatarów. Spośród setki ludzi wróciło nas jeno kilku...

Nikt nie uczynił żadnej uwagi, wiedząc dobrze, że tak zawołanego oficera mógł zmóc i znieść prawie ze szczętem tylko naprawdę potężny nieprzyjaciel.

- ... Chodzą słuchy, że Iwan Groźny podesłał do Hiropcza wielotysięczne posiłki, na ich czele postawiwszy swego ulubieńca, Diementija Czeremisinowa. Dlatego wczoraj pchnęliśmy w tamtą stronę na rozpoznanie pięć setek jazdy polskiej i węgierskiej oraz setkę węgierskich hajduków na podjezdkach... - wpadł mu w słowo Zamojski.

Na tak niesłychane novum: piechotę na koniach!¹, rozległ się szmer pośród zgromadzonych; zaprawdę ten wódz śmiałością i nowatorstwem wyprzedzał swoją epokę. Jednym to imponowało, drugich, nastawionych kunktatorsko, niepokoiło. Ale takich w tym gronie prawie nie było.

Tymczasem kanclerz kontynuował:

- Jak tylko zwiadowcy przysłały pewne wieści o sile i zamiarach wroga, natychmiast wesprze ich książę Zbaraski z jazdą, którą poprowadzicie wy, mości panowie, najlepsi z najlepszych, kwiat rycerstwa Rzeczypospolitej, bo też powodzenie całej wojny od was zawisło. Jeżeli nie zlikwidujemy tego zagrożenia, cały trud tegorocznej kampanii w niwecz się obróci. Dlatego musicie być w każdej chwili gotowi do wyruszenia. Są jakieś pytania? Nie? Zatem wracajcie do waszych rot i czekajcie.

Kiedy towarzystwo wysypywało się z królewskiego namiotu, Zamojski wyszedł i zatrzymał Samuela Zborowskiego:

- Luby Samku, pozwól na chwilkę.

Zborowski rzucił mu chmurne spojrzenie, ale dał się odciągnąć na bok.

1 Było to na długo przed wynalezieniem dragonów.

- Panie Szymkowicz... - kanclerz oddał głos sławnemu zagoń-czykowi, Temrukowi Szymkowiczowi.

Rotmistrz o wyraźnie tatarskich rysach, widocznych mimo opatrunku spowijającego mu głowę, zaczął śmiało:

- Jak zapewne waszmościom wiadomo, pozawczoraj w okolicy Turopcza vel Toropca moja chorągiew petyhorska osłaniająca pi-cowników natknęła się na przemożną siłę moskiewskich Tatarów. Spośród setki ludzi wróciło nas jeno kilku...

Nikt nie uczynił żadnej uwagi, wiedząc dobrze, że tak zawołanego oficera mógł zmóc i znieść prawie ze szczętem tylko naprawdę potężny nieprzyjaciel.

- ... Chodzą słuchy, że Iwan Groźny podesłał do Turopcza wielotysięczne posiłki, na ich czele postawiwszy swego ulubieńca, Diementija Czeremisinowa. Dlatego wczoraj pchnęliśmy w tamtą stronę na rozpoznanie pięć setek jazdy polskiej i węgierskiej oraz setkę węgierskich hajduków na podjezdźkach... - wpadł mu w słowo Zamojski.

Na tak niesłychane novum: piechotę na koniach!1, rozległ się szmer pośród zgromadzonych; zaprawdę ten wódz śmiałością i nowatorstwem wyprzedzał swoją epokę. Jednym to imponowało, drugich, nastawionych kunktatorsko, niepokoiło. Ale takich w tym gronie prawie nie było.

Tymczasem kanclerz kontynuował:

- Jak tylko zwiadowcy przyślą pewne wieści o sile i zamiarach wroga, natychmiast wesprze ich książę Zbaraski z jazdą, którą poprowadzicie wy, mości panowie, najlepsi z najlepszych, kwiat rycerstwa Rzeczypospolitej, bo też powodzenie całej wojny od was zawisło. Jeżeli nie zlikwidujemy tego zagrożenia, cały trud tegorocznej kampanii w niwecz się obróci. Dlatego musicie być w każdej chwili gotowi do wyruszenia. Są jakieś pytania? Nie? Zatem wracajcie do waszych rot i czekajcie.

Kiedy towarzystwo wysypywało się z królewskiego namiotu, Zamojski wyszedł i zatrzymał Samuela Zborowskiego:

- Luby Samku, pozwól na chwilkę.

Zborowski rzucił mu chmurne spojrzenie, ale dał się odciągnąć na bok.

1 Było to na długo przed wynalezieniem dragonów.

- Wiesz, komu zawdzięczasz zaszczyt znalezienia się pośród wybranych?

- Tobie? Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

- A jednak. Nie było łatwo przekonać króla, ale się udało. Mówię ci to jeno po to, byś pojął, że dobrze ci życzę. Oto dostałeś wyborną okazję, aby zdobyć sławę wojenną i zmazać dawniejsze przewiny. Nie zmarnuj jej.

- Nie wiem, co knujesz, bo za twoją rzekomą zyczliwość nie dałbym złamanego grosza. Ale sposobności nie zmarnuję, tego możesz być pewny.

Odwrócił się na pięcie i odszedł szybkim krokiem, kręcąc kółka nieodstępny czekanem. Po drodze dołączył doń Stadnjcki i razem poszli do namiotu. Andrzeja nie było, więc tylko we dwójkę zasiedli do napoczętego wcześniej gąsiorka.

- Co o tym sądzisz? - spytał siostrzeńca Samuel.

- Azardowna impreza, lecz pomijając pobudki, którymi się kierował Zamojski, wybierając mnie i ciebie do tej roboty, bez wątpienia dobra okazja, by chwałą wielką się okryć. A poza tym...

- Co?

- Jeśli Żeglarz poszkapał sprawę, tedy nadarza się nam doskonała sposobność, by raz na zawsze pozbyć się Ryksa, który uwiera mnie niczym czyrak na zadku. Żółkiewski z pewnością zabierze go ze sobą, bo są nierozłączni jak bracia bliźni. Z dała od króla i obozu, w gęstym lesie, łąco kogo podejść i ustrzelić, winę zwałając na Moskali. Co ty na to?

- Zgoda. Pod warunkiem, że ty się tym zajmiesz.

- Z ochotą.

Kraków, październik 1580 roku

Gabriel Słoński, jeden z dwóch rajców odpowiedzialnych za miejską kasę, pierwszy uporał się z zamknięciem kowanej skrzynki. Potracony, wypuścił z ręki klucz.

- Uwważaj! - syknął. - Niezgrabiasz!

- Przepraszam - wyjął młody człowiek, schylając się i podając upuszczony klucz. - Chciałem tylko pomóc panu burmistrzowi...

Słoński wrzucił klucz do kieszeni, nie przyglądając mu się, a szkoda.

- Mógłbyś lepiej dobierać sobie sługi, Rozmus - rzucił złośliwie. - I co ten twój fagas tu w ogóle robi?

Erazm Czeczotka-Tłokiński nareszcie uporał się z zamknięciem drugiego zamka, schował swój klucz i otarł zroszoną potem tłustą twarz.

- Wara ci do tego, Słoninko - odburknął. - Jest nowy, to i nadgorliwy. A trzymam go przy sobie, bo tak mi się podoba.

- Boisz się mnie! - wykrzyknął rajca z satysfakcją. - I słusznie, bo ani chybi jeszcze ci odplacę za moją krzywdę. Ale przy kasie nie powinno być nikogo okrom nas dwóch, nieprawdaż mości Pernusie?

Pisarz miejski, zajęty wypisywaniem jakiegoś dokumentu, lecz mimo to pilnie strzygący uchem, tylko machnął nieokreślonym gestem. Słoński miał rację, lecz Pernus nie zamierzał się narażać wszechpotężnemu eksburmistrzowi.

- Całuj psa w nos - poradził Słońskiemu Czeczotka i ruszył ku drzwiom, a sługa za nim.

- Wracaj do domu - polecił mu za progiem. - Ja mam tu jeszcze coś do załatwienia.

Pachoł posłusznie poszedł ku wyjściu. Plan, który powziął jakiś czas temu, z wolna się krystalizował. Pomaszerował prosto na Kleparz, ściskając w kieszeni zdobyczny klucz. Zamienienie kluczy przyszło mu łatwiej, niż się spodziewał. U ślusarza partacza, który w trosce o zarobek nie zadawał żadnych pytań, zamówił duplikat i czekał cierpliwie, aż robota zostanie wykonana. Wracił do Krakowa zadowolony. Jeden problem był już załatwiony. Do skrzynki mógł się teraz dostać bez trudu. Jak jednak wynieść bezpiecznie łup? Nagle stanął jak wryty. Znalazł rozwiązanie. Potrzebował pomocnika. I to nie byle jakiego. Znał takiego, lecz gdzie go szukać?

Przecinając Rynek, wpadł na trupę linoskoków i komediantów, szykujących się właśnie do występu, a pośród nich rozpoznał znajomą pokracczną sylwetkę. Niebo wysłuchało jego próśb! Hosanna!

- Enano! - zawołał.

Karzeł z wyjątkowo małą głową radośnie podskoczył ku niemu, lecz zatrzymała go silna ręka.

- Biernat! - śniady Cygan popatrywał nań groźnie. - Co tu robisz? Znów szykujesz jakieś łotrostwo? Nie pozwolę, byś wplątał w to Enana.

- Ależ Rodrigo! Osiadłem sam, gdyśmy się rozstali, i dobrze mi się wiedzie. A z tamtym skończyłem raz na zawsze. Zoczyłem was przed chwilą i przyszedłem się przywitać. Co w tym złego?

- Wynoś się! I nie wracaj, bo porachuję ci wszystkie kości.

Nieczujów, październik 1580 roku

Przez wiele tygodni, kiedy Katarzyna Wapowska słabowała, Janka nie wiedziała, w co najpierw ma ręce włożyć. Wygodne życie w Krakowie czy Warszawie nie przygotowało jej na takie trudy. Tymczasem tutaj wszystko trzeba było robić samemu: wódkę, piwo, miód, leki, płótno, mydło, świece, inkaust, proch strzelniczy, gdyż nawet po miastach niczego się nie uświadczyło, chyba że w jarmarki albo kupiło od kupców zagranicznych: Niemców, Włochów, Żydów albo parających się handlem domokrażnym Szkotów. Na domiar nie można było spuścić się na dzierzawców albo ekonomów czy podstarościch, bo zwykle okradali właścicieli, folwarki doprowadzali do ruiny, a chłopów do nędzy i rozpaczy, stąd powszechnie nazywano ich „panami Odrzychłopskimi”.

Dlatego uwijała się jak w ukropie, starając się być wszędzie i wszystkiego dopilnować osobiście, wzorując się na nielicznych świątłych sąsiadach, których odwiedziła, albo po prostu słyszała o ich metodach - szeroko komentowanych, lecz nieznajdujących wielu naśladowców. Od Zofii ze Sprowy Kosteczyny, Mikołaja Ligęzy czy Stanisława Krasickiego nauczyła się być ludzka dla chłopów, co przyszło łatwo, gdyż nie kłóciło się z jej naturą.

Gorzej z gospodarką, z którą wcześniej nie miała nic wspólnego. W tym wzorowała się na młodszym od niej, ale zapalonym gospodarzu Janie Ostrorogu1 z Komarna, kasztelanicu międzyrzeckim. Jak on sama doglądała nie tylko uprawy roli, ale zakładała prosperujące młyny, browary, gorzelnie, trzody przedniego bydła: wołów, krów dojnych i jałówek oraz wieprzów i prosiąt, stadniny stępaków pod wierzch, drygantów zarodowych i woźników pociągowych, stawy, pasieki, chmielarnie,

1 Późniejszy wojewoda poznański, autor pierwszego polskiego podręcznika pszczelarstwa Nauka kolo pasiek.

sady, ptaszarnie drobiu oraz paw i nawet łabędzi, sadząc po lasach nowe drzewa w miejsce wycinanych. Jeździła z bydłem z danin chłopskich, powołoszczyzną, sprzedając je na targach na bydło w Jarosławiu (sławnym ze swych jarmarków „Frankfurcie polskim”) i Przemysłu i targując się zawzięcie nie tylko o cenę, ale także o myto. Bydło szlacheckie było bowiem zwolnione od cla, ale przepędzając je, po drodze co rusz trzeba było płacić myto szlachcie, wymuszane prawem lub lewem. Do wielkiego składu w Przemysłu woziła sól z żup samborskich, którą Sanem spławiano skutami i komięgami do Brześcia Litewskiego, Kijowa czy aż do Torunia. Tylko frachtem nie parała się osobiście, zdając się na sławetnego Zajęca, największego frachtarza w Przemysłu, i nie wychodziła na tym źle.

Rychło doprowadziła włości Wapowskich do rozkwitu i dała się poznać całej okolicy, a do Dynowa jęli zaglądać ciekawscy i zalotnicy, jednak po zażyciu czarnej polewki wszyscy odjeżdżali jak niepyszni. Najczęstszym gościem był Andrzej Ligęza i choć traktowała go równie szorstko jak pozostałych, zawsze wracał. Uparty i szczerzący zęby w pewnym sobie uśmiechu, zapewne przekonany, że krople jego afektu w końcu wydrążą skalę jej obojętności. Zmęczyło ją to wszystko oraz opieka nad cierpiącą i Stasiem, więc kiedy tylko Katarzyna poczuła się lepiej, Janka przeniosła się do Nieczujowa1 (wprzód używawszy stamtąd najgorszego z „Odrzy-chłopskich”), jednej z miejscowości należących do Wapowskich, obok Dynowa, Wołostkowa, Wapowców, Hyżnego i drugih. Kusily ją Wapowce, gniazdo rodowe z ładnym dworem, z którego wywodził się sławny Bernard Wapowski, kronikarz z czasów Zygmunta Starego i aytor pięknych kart2 wydanych w Krakowie u Unglera, nad którymi spędziła niejeden dzień, razem z Kacprem wodząc po nich palcem w zachwyceniu. Ale w końcu zdecydowała się na Nieczujów, który miał fortalicję i dla samotnej niewiasty był

bezpieczniejszy. A przy tym leżał zaledwie o milę na południe od Dynowa, u ujścia rzeczki Baryczki do Sanu. Wokół rozpościerały się przepaściste lasy, pełne starych drzew i łownej zwierzyny, a nad rzeką, z trzech stron okolona gęstymi zaroślami, była piaszczysta

1 Późniejszy Nozdrzec.

2 W latach 20. XVI w. ukazały się dwie mapy Sarmacji europejskiej (Tabula Sarmatiae) oraz wielka mapa Polski (Mappa in qua illustrantur ditiones Regni Poloniae ac Magni Ducatus Lithuaniae) i krajów sąsiednich.

229

k

łacha, ukryta przed ludzkim wzrokiem - tam Janka rada zażywała kąpieli i odpoczynku. Jak tego dnia, pięknego i ciepłego, choć była połowa października i jesień w pełnej krasie, co pokazywał las, wymalowany we wszelakie odcienie żółci, czerwieni i brązu. Słońce wręcz przypiekało, co wróżyło rychłą zmianę aury. Wykorzystując upalne niemal lipcowe dni, pluskała się w czystej wodzie, płosząc ryby, nurkując po muszle małży zalegające dno i wypatrując raków na płycznach. Wyszła na brzeg, otrząsając się jak psiak i wyzymając włosy, po czym owinęła się płóciennym wańtuchem i z rozkoszą wystawiła twarz ku słońcu.

- Rusalka, nimfa leśna, Afrodyta wylaniająca się z rzecznej toni, zali w równej mierze rozumna co urodziwa panna Joanna Wapow-ska, zawsze tak samo obojętna i okrutna dla swego najwierniejszego adoratora?

Odwróciła się błyskawicznie, zaciskając płótno pod szyją i rozglądając się za sztyletem zostawionym przy sukniach, od których odgradzał ją Andrzej Ligęza. Jego przyjaźń mogła się przydać, jednak zuchwalstwo i natręctwo przekraczały wszelką miarę. Ofuknęła go, bardziej zła niż zawstydzona:

- Podglądałeś mnie waść!

- Odróbkę - przyznał z uśmiechem. - I nie powiem, że bez przyjemności. Ale krótko i przypadkiem, bom natknął się opodal na uwiązanego wierzchowca i byłem ciekaw, kto zacz sam popasa. Czy aby nie szpieg jakowychś grasantów, bo niespokojne to strony, o czym panna zdołałaś się zapewne już przekonać.

- Przekonałam. Oraz że z waści też niezgorszy gagatek, mości podglądaczu. A ponieważ dla odmiany twój widok nie sprawia mi przyjemności, tedy będę wdzięczna, jeśli natychmiast się oddalisz. Zwłaszcza, żeś już dość napasł oczy.

- To niemożliwe - pokręcił głową, nie przestając się uśmiechać. -Primo, twoją krasę mógłbym podziwiać bez końca. Secundo, mam ważne wieści i musisz mnie wysłuchać. Kazała mu się zatem odwrócić, po czym ubrała się szybko, żalując, że dawno pozbyła się nieodłącznego ongiś trzосу z nożami do rzucania, a pistolety zostawiła w olstrach u siodła. Obiecała sobie solennie już nigdy nie dopuścić do takiej nieostrożności. I nie wypuszczać się sama do lasu czy nad rzekę.

230

- Cóż to za wieści? - spytała, odwiązując kasztankę i wskoczyła na siodło, ignorując pomoc, którą jej ofiarował.

Ubiegł ją, chwytając wodze, i poprowadził konia przez las.

- Zbójcy idą - oznajmił już zupełnie poważnie. - Złupili Wań-kową, Ropienkę, Tyrawę, pod Mrzygłodem przeszli San, wczoraj widziano ich opodal Dydni. Dziś albo najdalej jutro dotrą sam. A wojska do obrony nie masz.

Wyszli na drogę, na której czekało pięciu zbrojnych.

- To moi ludzie. Tylko tyłu mi zostało z tuzina, bom pozostałych rozesał z ostrzeżeniem. Do Brzozowa i Dynowa także, więc nie musisz się waćpanna troskać o swoich. Obronią się. Gorzej z wioskami takimi jak Nieczujów... Dlatego pozwolisz, że ofiaruję ci usługi swoje i moich semenów.

- Obejdzie się - burknęła. - Za ostrzeżenie dziękuję, ale dwór jest warowny i poradzę sobie sama.

- Wiem, że się na mnie gniewasz, lecz nie ustąpię.

Ustała ona, rozsądnie uznawszy, że każda pomoc się przyda. Pojechali zatem razem wyciągniętym kłusem.

- Co to za jedni? - spytała po drodze. - Oczajdusze Drugethów?

Hiż za granicą węgierską, w Homonnie albo Humenowie miał swe gniazdo rozbójniczy ród Drugethów de Hommonay, zwanych w Polsce Humieńskimi. Bandy ich sabatów oraz spisników, górali węgierskich, często przekraczały Góry Samborskie przez Przełęcz Użocką, nekając pogranicze, a czasem wdzierając się głęboko w Czerwoną Ruś. Jak kilka lat temu Franciszek Humieński najechał szlachcica Gnoińskiego, złupił dwór, porwał właściciela, wtrącił do lochu w swoim zamku, gdzie było już kilka gnijących trupów, i nie wypuścił wpródy, nim nie otrzymał czterech tysięcy dukatów okupu.

- Beskidnicy. Jest ich wielka gromada i nikomu nie dają pardonu. Hetmani im jakiś Wołoch, ale równie dobrze może to być któryś z Ramułów albo Rosińskich.

Beskidnicy, alias opryszkowie, byli to górale ruscy i wołoscy, a właściwie łotrzyki, zamieszkujący szalasy na bieszczadzkich połoninach, z głównym gniazdem w okolicy Stuzycy opodal Użoku. Schodzili z gór na grabież zazwyczaj po napadach tatarskich. Czasem przewodziła im gołota szlachecka, albo nawet ubożsi posesjo-naci w rodzaju Dwernickich z Ustrzyk, zbójceckich bankierów czy

Ramułów, którzy na odludziu pod wsią Hołuczków prowadzili zbójnicką gospodę, lub Rosińskich z Teleśnicy-Oszwarowej, zwabiających nieznanym do swej siedziby, która była łotrowską jaskinią. Mimo iż wszyscy o tym wiedzieli, grasowali bezkarnie. Starostom przemyskim rzadko udawało się zgromadzić szlachtę nawet dla ujęcia pojedynczego zbrodniarza, choć za niestawienie się groziła kara stu grzywien, więc musieli wynajmować do pomocy łada łasperda-ków, a i tak każda taka interwencja kończyła się zwykle pozwem ujętego przestępcy przeciw staroście, który w związku z tym wolał nie robić nic. Dlatego albo obroniło się samemu, albo oddawało majątek, a często i głowę.

Z czatowni na drewnianej baszcie z dala zauważono grupę jeźdźców, podniesiono kładkę przez fosę i zawarto bramę.

- Kto wy? - rozległo się z góry i w stronę przybywających wysunęła się lufa hakownicy.

- Cóż to, Hawryło, nie poznajesz mnie? - Janka wysunęła się naprzód. - Wpuść nas. Jest ze mną pan Jędrzej Ligeza z poczem.

Stary Jakub został przy swej pani w Dynowie. Hawryło był Rusinem w średnim wieku,

którego Janka zastała w Nieczujowie i uczyniła swym rękodajnym. Jego żona Maryna prowadziła dom, odciążając Jankę, a oboje okazali się rzetelni i oddani nowej pani.

Przejechali przez na powrót spuszczonego most, bramę w wale ziemnym, ostróg z zaostrzonych górą dębowych pali i wjechali na obszerny majdan, na wprost którego widniał dwór, dodatkowo otoczony tynem oraz zabudowania gospodarcze. W tych dzikich stronach mieszkano się z dala od drugich, drogi były kiepskie, a mosty dziurawe, więc na pomoc sąsiadką nie sposób było liczyć, zresztą może i lepiej, bo dobrosąsiedzkie stosunki bywały tu radsze niżli śnieg w lecie. W każdej chwili można było się spodziewać sąsiedzkiego zajazdu lub napaści opryszków. Toteż każdy dom szlachecki był fortalicją, o ile nie prawdziwym zamkiem. Okopany, okna miał zakratowane, drzwi krzepkie i okute oraz drewnianą basztę ze strzelnicą-czatownią na szczycie, z której wypatrywano najezd-ników. Jeśli baszty brakowało, tedy w nocy na dachu wartowali chłopci, śpiewając, trąbiąc lub dmąc w piszczałki na znak czujności. Nawet ubogi szlachcic posiadał w domu arsenał i zapasy prowiantu na wypadek oblężenia, ale dzięki temu mógł często (on albo i żona pod jego nieobecność) wytrzymać szturm, zwłaszcza że na znak

dany z domu były na trwogę cerkiewne i kościelne dzwony, a chłopci z siekierami, kosami i drągami spieszyli na odsiecz.

- Maryna, przyszykuj w świetlicy traktament dla naszych gości. Hawryło, jedź do wsi i każ chłopom zaraz stawić się we dworze - dysponowała dziewczyna, na koniec zwracając się do Tatara, który zszedł z ostrokołu, zostawiwszy swoich ludzi na posterunkach: - A ty, Czymbaj, ruszaj w las do Waśki i jego smolaków - smolący i harnicy siedzieli po lasach i zajmowali się wypalaniem popiołów i smoły; bitni, zahartowani w trudach, w razie potrzeby stanowili rodzaj straży granicznej od Wołoszy i Węgier. - Niechaj czekają na nas na rozstaju. I pchnij Agisza na najszybszym bachmacie na południe na przeszpiegi.

- Nie tylko Afrodyta, ale i królowa Amazonek - powiedział zachwycony Ligęza, idąc za Janką do dworu. - Wyznam, zem w to wątpił, ale teraz wierzę, że uda nam się obronić.

- Nie mam zamiaru się bronić i dozwolić, by gromada opryszków spaliła wieś - burknęła. - Za niedługo wyjdziemy im naprzeciw.

Złość ją rozsadzała. Nie po to zadała sobie tyle wysiłku, aby doprowadzić podupadły majątek do rozkwitu, żeby teraz byle hultaje ograbili ją z owoców tego trudu. Na twarzy malowała jej się taka determinacja, że Ligęzie z wrażenia opadła szczeka. Podczas posiłku nic nie mówił, jedząc i pijąc machinalnie i wodząc za dziewczyną błyszczącymi oczyma. Kiedy skończyli, chłopci już zapełniali majdan. Mężowie z lada jaką bronią i niepewnymi minami, kobiety z dziećmi płaczące i lamentujące, a wszyscy objuczeni najcenniejszym dobytkiem. Janka natychmiast zaprowadziła ład, każąc domownikom znaleźć kwatery dla kobiet i dzieci, a mężczyznom rozdać oręż z domowej zbrojowni, ściągnąć z baszty śmigownicę, załadować ją na wóz, po czym objąć straż na ostrogu. Hawryle zostawiła pieczę nad fortalicją, po czym wzięła ze sobą tuzin Tatarów dworskich i ruszyła galopem. Ligęza i jego przybocznicy za nią. Na końcu, podskakując na wertepach, telepał się wyłożony słomą wóz z działkiem.

Jak burza przelecieli przez sąsiednią wieś, Ware, cichą i opuszczoną. Widać mieszkańcy już słyszeli o najeździe i uszli w lasy. Zaraz za wsią były rozstaje, gdzie odchodziła boczna droga, wiodąca na wschód przez bród na Sanie. Tam czekał Tatar Czymbaj i przyprowadzeni przez niego smolący i harnicy. Bez wyjątku chłopcy na

schwał, piecyste, brodate, o sękatych łapskach ściskających siekiery i rusznice. Ponieważ trakt południowy zakręcał w tym miejscu, a las z obu stron dochodził do drogi, dziewczyna zleciła smolakom rąbać drzewa i uczynić zasyk w poprzek traktu. Pomędzy pniami ukryła armatę, zamaskowaną gałęziami. Podcięli też przydrożne drzewa, lecz ich nie obalili. Za czym smolący i harnicy ukryli się po lewej stronie drogi, a pachołki Ligęzy i Tatarzy, z wyjątkiem Czymbaja, który miał obsługiwać śmigownicę, po prawej. Ledwie zajęli stanowiska, zza zakrętu wypadł jadący galopem młody Tatar. Gwałtownie zatrzymał bachmata przed swoją panią i zawołał:

- Idą! Są nie dalej jak o milę. Siła ich.

- Ilu?

- Dziesięć razy po dziesięci i jeszcze drugie tyle.

Odesłała go w las do pobratymców, po czym zwróciła się do milczącego Ligęzy:

- Zostajesz waść czy jedziesz ze mną?

- A dokąd się waćpanna wybierasz?

- Na wabia.

Skoczyła naprzód, nie czekając na odpowiedź. Zaraz dołączył do niej i jechali stępą obok siebie, jak podczas beztroskiej przejażdżki, tyle że nie odzywając się do siebie, a jedynie czujnie nasłuchując. Nie ujechali nawet pół mili, kiedy z lasu po obu stronach traktu dobiegły ich pohukiwania.

- To oni - mruknął Ligęza. - Idą półksiężycem jak orda. Zaraz natkniemy się na huf walny. Zawracajmy.

- Nie. Chcę, by zbili się w kupę, inaczej mogą ogarnąć naszych i popsować mi plan. Jedziemy dalej.

Przełknął ślinę, bo choć był odważny, to jednak zuchwalstwo tej dziewczyny przechodziło wszelką imaginację. Na domiar wyglądało na to, że dobrze się bawiła. Wpadli na siebie za następnym zakrętem. Ponieważ byli uprzedzeni, zoczyli tamtych wcześniej niż oni ich. Zbity tłum grasantów sunął traktem przez całą jego szerokość i daleko w głąb. Część jechała na rozmaitych, zapewne zdobycznych wierzchowcach, ale większość biegła jednostajnym, równym krokiem. Kudłaci, o długich czarnych włosach, niekiedy zaplecionych w drobne warkoczyki, zarośniętych gębach umazanych dziegciem, odziani w baranie kozuchy obrócone runem na zewnątrz, płócienne lub sukienne portki do kolan oplecione rzemieniami od skórzanych ciżem,

234

obwieszeni lupami, wyglądali przerażająco. Każdy zbrojny w we-kierę, a wielu w samopasy, rusznice i pistolety. Jadący na przodzie zwalisty łotr wstrzymał na moment wierzchowca na widok dwójki podróżnych, po czym podniósł rękę, wskazał palcem i wrzasnął:

- Za nimi! Nie mogą nam ujść!

Cała gromada ryknęła jednym głosem, okrzykiem przejętym od ordy:

- Halaj! Halaj! - i runęła naprzód niepowstrzymaną falą.

Janka i Ligęza zawrócili w miejscu i ruszyli galopem. Żarty się skończyły, teraz gra szła o życie. Rwali naprzód, aż ziemia pryskała spod kopyt. Sypnęło się za nimi kilka strzałów, na szczęście nieszkodliwych, gdyż opryszkom celowanie w biegu przychodziło niesporo. Wtem z lasu zaczęli się wyłaniać kolejni beskidnicy i zabiegać drogę uciekinierom. Jeden zawisł u pyska kasztanki, lecz Janka wyrznęła go lufą pistoletu w ohydny gębę i odpadł wprost pod kopyta. Ligęza zastrzelił drugiego, ale trzeci wskoczył za nim na konia i zamierzył się nożem. Dziewczyna bez wahania strzeliła mu w plecy. Przed nimi uczyniła się wolna droga, ale za sobą mieli teraz dziko wrzeszczącą całą bandę. Ostro wzięli ostatni zakręt przed zasięciem, po czym rozbiegli się na bok.

- Odpalaj, Czymbaj! - krzyknęła i zeskoczyła z kłaczy, chowając się za pniem.

Gromada opryszków właśnie wyłaniała się zza zakrętu. Na widok przeszkody zbójceki hetman chciał powstrzymać swoich ludzi, krzycząc jakieś rozkazy, ale napierająca z tyłu ciżba nie dała się już okiełznać, choć opór jadących przodem spowolnił jej marsz. Przez chwilę nawet orda jakby stanęła. Wówczas huknęła śmigownica, a chmura grotów uczyniła w zbitym tłumie ogromną wyrwę. W niebo buchnęły wycia i jęki. Ukryci w przydrożnych zaroślach Tatarzy dworscy, smolący, harnicy i ludzie Ligęzy dali salwę, a ponieważ odległość była niewielka, prawie żaden strzał nie chybił. Za chwilę z hukiem runęły podcięte drzewa, powalając następnych rabusiów. Tym razem rozległy się krzyki przerażenia.

- To zasadzka!

- Uchodźmy, bracia!

- Spasi Bih! Gospody pomyłuj!1

1 Boże, wybaw! Panie, zmiłuj się! (ukr.).

235

- Ratuj się, kto może!

- Jej Bohu, pomyłujte Lachy braty\

Ale hetman, najwyraźniej nieuszkodzony, wściekłymi razami obuchem wekiery i groźnymi okrzykami zdołał jakoś opanować panikę w szeregach opryszków. Jakoż i zaraz ruszyli z jeszcze większym impetem i wściekłością niż wprzód, rycząc ze wszystkich sił:

- Halaj! Halaj!

Przerwa pozwoliła jednak zaczajonym w zasadzce strzelcom nabić strzelby, a Czymbajowi śmigownicę. Powtórnej salwy grasanci już nie zdzierżyli, zwłaszcza że armatni odłamek zdekapitował hetmana, a Tatarzy zasypali ich strzałami z łuków. Kilkudziesięciu ocalałych rozbójników sromotnie podało tył. Hałłakując przeraźliwie, pogonili za nimi Tatarzy oraz parunastu harników. Reszta zajęła się dobijaniem rannych i obieraniem poległych z ich niemalej zdobyczy. Wiwatom na cześć Janki, gdy po odwaleniu zasieków i załadowaniu śmigownicy na wóz ruszała w powrotną drogę, nie było końca. Szczególnie że udało się pokonać liczego i straszliwego wroga praktycznie bez strat, wyjąwszy kilku rannych. Najgoręcej gratulował jej Ligęza.

- Nic to - wzruszyła ramionami. - To była jeno swawolna kupa pospolitej hałłastry. Dawno ktoś mógł ich rozpedzić, wystarczyło się jeno powazyć. Pozwoliła Czymbajowi ruszyć za resztą Tatarów, coś mu szepnąwszy na ucho na odchodnym. Ligęza uwiązał swego wierzchowca do tyłu wozu, obok kasztanki dziewczyny, która zajęła miejsce na koźle i ujęła lejce. Wóz rażno potoczył się po drodze, a słudzy szlachcica pociągnęli za nim.

Kiedy las już się kończył i mieli wjeżdżać do Nieczujowa, Ligęza odebrał wodze od Janki i wstrzymał woźniki.

- Cóż waćpan robisz?

- Panno Joanno - odparł z niezwykłą jak na niego powagą. - Musimy się rozmówić.

- Słucham.

- Niezwykła z ciebie niewiasta, Joanno. W życiu takiej nie spotkałem. I z pewnością nie spotkam. Ergo musisz być moja. Pojedźmy do najbliższego kościoła i weźmy ślub!

Zaśmiała się szczerze.

236

- Cóż w tym śmiesznego? - obruszył się. - Nie wierzysz w mój szczerzy afekt?

- Ależ wierzę i pochlebia mi to. Czuję wszak, że minie równie rychło, jak się narodził.

Tedy dajmy już temu pokój i rozstańmy się jak przyjaciele.

Chciała wziąć od niego lejce, ale ich nie wypuścił. Twarz miał chmurną, brwi namarszczone. Mimo nadobnej postaci i na pozór szczerzego uwielbienia, jawnie jej okazywanego, od początku wyczuwała w nim coś odpychającego. Teraz wiedziała co. Z oczu wyzierała mu nieskrywana już zaborczość i pewność siebie. Kacper nigdy tak na nią nie patrzył. Bywał irytujący, zwłaszcza gdy sobie z niej czasem dworował, lecz szanował ją, była tego pewna. A tymczasem ten tutaj zadufek traktował ją jak pewną zdobycz, która droczy się z nim tylko dla przyzwoitości, w cichości snując o nim panięńskie marzenia. Skinął na semenów, którzy podjechali bliżej.

- Nie znasz mnie. Kiedy nie dają po dobroci, biorę siłą.

- Chcesz mnie porwać? Im więcej cię poznaję, tym mniej lubię.

- Zatem jaka jest twoja ostateczna odpowiedź?

- Taka jak wprzódy: nie.

Szarpnął ją niespodziewanie ku sobie, złapał za włosy i przyciągnął jej twarz ku swojej, usiłując pocałować. Wtem zamarł, czując jak coś twardego wbija mu się w żywot.

- Wiesz waść, co to jest? - spytała podejrzenie aksamitnym głosem. - Dwulufowa króćca. Na wszelki wypadek zawsze ją trzymam pod jupką. Kiedy ruszę cyngla, twoje wątpia i męskość słudzy będą zbierać po całym lesie.

Dwa palce lewej dłoni wsadziła w usta i gwizdnęła donośnie. Z lasu jak duchy wychynęli Tatarzy na czele z Czymbajem, otaczając wóz z hapiętymi łukami.

- Cóż, pora się żegnać, nie sądzisz, kawalerze? - powiedziała. -Dzięki za pomoc.

Ligęza, z konfuzji cały czerwony na licu, zeskoczył z wozu, odwiązał konia, wskoczył nań, gestem zagarnął pacholków i odjechał, rzucając na koniec:

- Szkoda. Obyś tego nie pożałowała.

Wieczorem, kiedy czytała przy świetle padającym od kominka, za drzwiami uczynił się rumor i do izby wpadł zdyszany stary Jakub.

- Jasna panienko, nieszczęście!

237

- Co się stało?

- Czarna strzała! Diabeł Stadnicki wrócił z wojny i zajazdem nam grozi! Musisz zaraz wracać do Dynowa, bo pani od zmysłów odchodzi...

W pierwszym momencie nieomal pożałowała, że tak obcesowo potraktowała Ligęzę. Jedynego człowieka w okolicy, który podobno nie bał się Diabła. Ale ta chwila minęła bezpowrotnie, gdy Jakub wyszedł, zostawiając jej dwa listy. Jeden od królowej, która czuła się źle i zaklinała swą ulubioną dworke, by wracała do Warszawy, kiedy tylko załatwi swoje sprawy. Drugi był od Kacpra. Otworzyła go drżącymi rękami, lękając się najgorszego. Oczyma wyobraźni już widziała ciężko rannego Ryksa, jak na łożu śmierci dyktuje komuś swoje ostatnie słowa. Dlatego przestraszył ją osobliwy medalik, który wypadł z listu, ale w trakcie czytania zapomniała o wszystkich lękach i strapieniach, a kiedy skończyła, opadła bez sił na łożo i wyszeptwała:

- Mój Boże, dokonał tego...

Wtuliła twarz w poduszkę i rozplakała się. W nocy nie mogła zasnąć z emocji, więc zapaliła świecę, odszukała papier, pióro i inkaust i zaczęła pisać list do Kacpra.

Stachnika znowu wezwano na radę do namiotu królewskiego, a ja nie miałem nic do roboty. Zajrzałem tylko do rannych, ale spotkał tam Oczkę, więc chciałem się zaraz wycofać, wymieniwszy z zawołanym medykiem kilka fachowych uwag, lecz właśnie wtedy nadszedł Bucella. Minę miał zafrasowaną.

- Dobrze, że widzę waszmościów. Król nie czuje się dobrze -mruknął. - Otworzyła mu się stara rana na udzie i wylewa z niej, jak to nazywacie, ropa¹. Nawet zabiegi Kaborta nie przynoszą mu już ulgi, ani, wedle twego, mości Ocellusie, zalecenia, odkażanie rany olejem skalnym.

Słyszałem o tej królewskiej przypadłości. Ponoć była to jedna z przyczyn, dla których unikał królowej Hanny, ponieważ rana, oprócz innych niedogodności, okropnie cuchnęła. Próbował temu zaradzić włoski aptekarz Angelo Caborti, od dawna zadomowiony

¹ Tak karpaccy górale ruscy (Łemkowie) nazywali olej skalny; od XVI w. nazwa ta przyjęła się na określenie wydzielin z ran.

238

Ar

- Co się stało?

- Czarna strzała! Diabeł Stadnicki wrócił z wojny i zajazdem nam grozi! Musisz zaraz wracać do Dynowa, bo pani od zmysłów odchodzi...

W pierwszym momencie nieomal pożałowała, że tak obcesowo potraktowała Ligęzę. Jedynego człowieka w okolicy, który podobno nie bał się Diabła. Ale ta chwila minęła bezpowrotnie, gdy Jakub wyszedł, zostawiając jej dwa listy. Jeden od królowej, która czuła się źle i zaklinała swą ulubioną dworke, by wracała do Warszawy, kiedy tylko załatwi swoje sprawy. Drugi był od Kacpra. Otworzyła go drżącymi rękami, lękając się najgorszego. Oczyma wyobraźni już widziała ciężko rannego Ryksa, jak na łożu śmierci dyktuje komuś swoje ostatnie słowa. Dlatego przestraszył ją osobliwy medalik, który wypadł z listu, ale w trakcie czytania zapomniała o wszystkich lękach i strapieniach, a kiedy skończyła, opadła bez sił na łożo i wyszeptwała:

- Mój Boże, dokonał tego...

Wtuliła twarz w poduszkę i rozplakała się. W nocy nie mogła zasnąć z emocji, więc zapaliła świecę, odszukała papier, pióro i inkaust i zaczęła pisać list do Kacpra.

Stachnika znowu wezwano na radę do namiotu królewskiego, a ja nie miałem nic do roboty. Zjrzałem tylko do rannych, ale spotkałem tam Oczkę, więc chciałem się zaraz wycofać, wymieniwszy z zawołanym medykiem kilka fachowych uwag, lecz właśnie wtedy nadszedł Bucella. Minę miał zafrasowaną.

- Dobrze, że widzę waszmościów. Król nie czuje się dobrze -mruknął. - Otworzyła mu się stara rana na udzie i wylewa z niej, jak to nazywacie, ropa¹. Nawet zabiegi Kaborta nie przynoszą mu już ulgi, ani, wedle twego, mości Ocullusie, zalecenia, odkażanie rany olejem skalnym.

Słyszałem o tej królewskiej przypadłości. Ponoć była to jedna z przyczyn, dla których unikał królowej Hanny, ponieważ rana, oprócz innych niedogodności, okropnie cuchnęła. Próbowałem temu zaradzić włoski aptekarz Angelo Caborti, od dawna zadomowiony

¹ Tak karpaccy górale rusczy (Łemkowie) nazywali olej skalny; od XVI w. nazwa ta przyjęła się na określenie wydzielin z ran.

238

w Polsce. Na pielęgnowanie chorej nogi króla zużywał ponoć rocznie czterdzieści funtów wosku i sto osiemdziesiąt łokci płótna.

- Znow się jadzi? - spytał Oczko.

- Ano. I, jak rzekłem, żadne środki nie pomagają. Wszystko z powodu tych spartańskich kondycji... A wiecie, jaki jest miłościwy pan... Uparł się, że będzie cierpiał taki sam niedostatek, jak jego żołnierze, i nikt go nie przekona, by zaczął się szanować.

Przypomniałem sobie podobny przypadek. Też tyczył jadzącej się otwartej rany, która nie chciała się goić i wciąż przerastała dzikim mięsem. Pater Roch poradził sobie z tym w końcu, nakładając na ranę musze larwy, które wyzarły zepsute mięso.

- Myślałem o tym - powiedział Bucella, marszcząc puciołowate oblicze, gdy m ich o owym sposobie powiadomił. - Ale to nie zawsze skutkuje.

- A czasem przynosi wręcz odwrotny effectus - poparł go Oczko. - Rana bardziej jeszcze się jątrzy i paskudzi, ciało gnije, po czym wdaje się gangrena.

- Pater Roch, mój preceptor, uważa, że dzieje się tak, ponieważ to larwy zapaskudzają ranę, jeśli pozwoli im się żerować na niej zbyt długo. Dlatego trzeba je często wymieniać i nie przedłużać kuracji ponad miarę.

- Hmm... - mruknął Oczko. - Może coś w tym jest... Choć ja raczej spróbowałbym przeszczepić nową skórę na ranę...¹

- I tak wszelkie sposoby zawiodą, dopóki nie poznamy przyczyny choroby - słusznie zauważył Bucella.

- Medici causa morbi inventa curationem inventam esse putant² -nie dawał za wygraną Oczko. - Ale spróbować nie zawadzi... Dobry miałeś koncept, waszeć.

Klepnął mnie serdecznie w ramię. Zostawiłem ich, by przedyskutowali to sobie, i poszedłem szukać Żeglarza, wątpiąc wszak, że go znajdę. Albo już nie żył, zabity przez swoich mocodawców po nieudanym zamachu, albo umknął do kraju jak tylu drugich, zapewne kierując się w stronę Gdańska. Albo (i to też niespecjalnie by mnie zdziwiło, gdyż mógł już wiedzieć o zainstalowaniu w Surazu specjalnie wydzielonej straży do chwytania dezertersów zbiegających

¹ Miał taki projekt, ale go jednak nie zrealizował.

² Lekarze sądzą, że gdy odkryli przyczynę choroby, znaleźli i sposób jej leczenia (łac.).

239

na Litwę i dalej) uciekł do Moskali ofiarować im swoje usługi. Nie doceniłem jednak jego zuchwalstwa, wybrał bowiem jeszcze inny sposób, o czym rychło miałem się przekonać.

Z trudem posuwałem się ku taborom, uważając, by nie wdepnąć w jakieś paskudztwo, bowiem w obozie zaczynało się szerzyć wszelkie plugastwo i król musiał nawet wydać uniwersał, grożąc karami za jego zanieczyszczenie. Niewiele to pomagało, jako że

bezczytność skutkowała ogólnym rozprzężeniem. Dlatego nad całym obozowiskiem unosił się nieznośny fetor ludzkich i bydlęcych odchodów oraz smród niemytych od tygodni ciał i niepra-nego odzienia. A jeśli wierzyć ojcu Rochowi, były to Wymarzone warunki dla szerzenia się rozmaitych chorób, zarazy nie wyłączając. Przypomniałem sobie quattuor articuli iudicii castrensis: stu-prum, incendium, latrocinium et vis armata alienis aedibus alata¹. A także traktat hetmana Tarnowskiego² i fragment, który brzmiał mniej więcej tak: Plugastwo wszelkie należy głęboko zakopać, konie zdechłe wywłóczyć za obóz, bo to i choroby, i mór z tego bywa. A także to, że na latryny winno być wyznaczone osobne miejsce, a w obozie nie wolno bić bydła ani przyjmować wszetecznic, gdyż żołnierz winien wieść życie skromne, bez zbytków, wszeteczeństwa i opilstwa. Cóż, piękna i bez wątpienia słuszna teoria, znana z pewnością i królowi, i Zamojskiemu (sam mu pożyczałem kiedyś ów traktat), ale trudna do wykonania, kiedy wszystkim już wojna dojadła i marzyli o powrocie do domu. Pośród ciurów rozprzężenie było jeszcze bardziej widoczne niżli pośród żołnierstwa. Czeladź włóczyła się bez celu albo wylegiwała, odsypiając pijaństwo. Na zaimprovizowanych stołach grano w karty i kości, tocząc zapamiętałe kłótnie. Czasem w ruch szły noże. Inni oddawali się lasciwii z murwami, pod wozami, na nich lub w krzakach albo wprost na widoku, nie bacząc zbytnio na przechodniów. Na mnie spoglądano nieprzyjaźnie, łakomym wzrokiem obrzucając moje odzienie, które starałem się utrzymywać w porządku i schludności. Poczulem się nieswojo. Po zmierzchu nie dałbym złamanego szeląga za swoje bezpieczeństwo w tym zapowietrzonym miejscu i pośród tej dziczy.

1 Cztery artykuły sądu wojennego: o zgwałcenie, podpalenie, rozbój i o najście zbrojne (lac.).

2 Jan Tarnowski, *ConsiUum rationis bellicae* (Rada sprawy wojennej), 1558.

240

Poczulem się pewniej, ujrzawszy Valdasa pośród gawiedzi, jak zabawia zgromadzonych tańcem swojego niedźwiedzia, jedną ręką krzepko trzymając długi drąg z uwiązany na końcu łańcuchem doczepionym do żelaznego kółka w nosie zwierza, ułatwiając mu trzymanie pionu, a drugą ręką wybijając rytm na uwiązany do pasa bębenku. Tym razem nie towarzyszyli mu drudzy kuglarze i igrce. Kiedy niedźwiedź skończył tany, Valdas odpiął bębenek i podał zwierzowi, który, trzymając go w łapach, zaczął obchodzić spektatorów, domagając się datków. Kiedy datek był za mały, bestia mruczała groźnie, zmuszając skąpców do większej hojności. Kiedy tylko widowisko się skończyło, a widzowie rozeszli, Valdas skinął mi przyjaźnie, podrapał zwierza za uszami i poklepał po łbie, po czym odebrał miśkowi bębenek z mińcami.

- Marnie - mruknął, zsypując monety na dłoń, a potem do mieszka. - Same miedziaki. Najwyższy czas wynosić się stąd. Tu już wszyscy przeputali żołąd w karty i kości, a nowego ani patrzeć. Tylko się upić z rozpaczy, jak moi kompani.

- Dokąd się przenosisz?

Pomarkotniał.

- Nie wiem. Gdzie oczy poniosą. Chyba że znowu masz coś dla mnie? - w matowym oku błysnęła mu nadzieja.

- Niestety, nie tym razem.

Spytałem go o Żeglarza. Dzięki nakłuciom na rękach rzucał się w oczy.

- Chyba wiem, o kogo ci idzie... To groźny człek. Powiadają -rozejrzał się czujnie dookoła - że wszedł w komitywę z kosterami i stoi na czele gromady hultai, którzy mordują tych, co sporo wygrali albo wzbogacili się na łupach. Zwykle kręci się tam, gdzie grają o wysokie stawki, alem go dziś nie widział.

Wracając z taborów, wybrałem okrężną drogę skrajem lasu i biegnącego tędy potoku. Zamierzałem pójść w górę strugi, żeby się wykapać i poprać bieliznę, którą niosłem w

tobołku na ramieniu. Szczerze rzekłszy, miałem wszystkiego po uszy. Wiedziałem, że rozczaruję druhów, a może nawet utracę ich przyjaźń, lecz zamierzałem prosić o permisję i wracać do domu jak drudzy, lepsi ode mnie i bywali w niejednej wojennej potrzebie. Nagle usłyszałem krzyki i odgłosy walki. Cisnąłem tobół na ziemię. Kiedy przedarłem się przez gęste krzaki, ujrzałem kilku obszarpańców atakujących Tatara w pysznym

241

*

stroju i kopulastym turbanie na głowie. Kosztowna broń, złote guzy z klejnotami na sukni i cenne precjoza zawieszane na szyi i piersiach musiały zwabić łotrzyków. Właśnie padł towarzyszący mu sługa, a jego pan, oparty o pień jodły, z trudem odpierając szablą ciosy rohatyn i serpentyn, wydawał świszczące dźwięki trzymanym w ustach kościanym gwizdkiem.

Znałem go z widzenia. Był to czausz, przysłany do króla z Krymu. Chanem ordy krymskiej był Mehmed Girej II zwany Semiz, Opasły, ambitny władca, któremu mózg bynajmniej nie obrósł tłuszczem. Dopiero co najechał Persję i uwięził stamtąd obfity łup, a ..niedawno zawarł z Batorym sojusz wymierzony w Moskwę i szykował się właśnie do wyprawy na Wielkie Księstwo Moskiewskie. To dlatego ustały inkursje tatarskie na Rzeczpospolitą, a Kozakom surowo zakazano wypraw nad Morze Czarne. Szeptano pokątnie, że chan chętnie zrzuciłby jarzmo tureckie i wspólnie z Batorym zamyślał na dal o wspólnej wielkiej wojnie przeciw imperium ottomańskiemu.

Wyszarpnąłem rapier i rzuciłem się na pomoc. Udało mi się powalić dwóch drapichrustów, dla niepoznaki mających gęby umazane dziegciem, i przebić do Tatara. Oparci plecami o siebie, odgryzaliśmy się napastnikom jak mogliśmy, ale tymczasem dołączyło do nich kilku Węgrów, wiecznie niesytych łupu i mordy. Mój rapier lepiej nadawał się do walki wręcz niż ich ciężkie szable, ale już któryś zdążył mnie przejechać po boku, na szczęście powierzchownie. Czauszowi zwiśla ręka, lecz przerzucił broń do lewicy i bił się dalej jak szatan. Mimo to za chwilę musieliśmy ulec, co do tego nie było żadnego dnbium. I wtenczas jeden z grasantów odskoczył wstecz, chwilę nasłuchiwał, po czym wrzasnął:

- Ktoś idzie! Uchodzimy!

Rozpoznałem głos Żeglarza. Szukajcie, a znajdziecie, powiedział Pan. Znalazłem, lecz pochwyć nie zdołałem, ponieważ w momencie wszyscy rozplynęli się w gąszczu jak duchy, zabierając rannych i zostawiając zabitych. Nas zaś wnet otoczył z tuzin or-dyńców. Widząc swego pana rannego, opadli na kolana, po czym skamłac i jęcząc, podczołgali się ku niemu, podejmując pod nogi i całując szpiczaste ciżmy. On zaś wydobył zza pasa nahajkę i jął ich smagać po łbach i plecach oraz rozdawać kopniaki na prawo i lewo, wrzeszcząc coś, czego bez trudu mogłem się domyślić. Potem porwali na ramiona swego zabitego albo ciężko rannego ziomka,

242

lecz nim odeszli, ich pan podszedł do mnie i spojrzał mi prosto w oczy. Miał okoloną czarną brodą orlą twarz ze skośnymi oczami

0 ostrym spojrzeniu i czarnymi jak węgle tęczówkami oraz cienkimi wąsikami opadającymi jak sumowi. Pyszna szata rozchyliła się górą, ukazując szeroką pierś, na której widniał rysunek ryb siną farbą wykłutych.

- Jam jest Azamet Murza z rodu Arginów1 - rzekł z dumą; mówił po naszymu zrozumiale, choć z gardłowym akcentem i zaciągając z ruska, a wąskie usta, rozwierając się, obnażyły zęby, ostre i białe jak u dzikiego zwierza. - A ty kto?

Nie spodobał mi się jego władczy ton. Za pohańcami też nie przepadałem. W innych okolicznościach sam bym go wysłał na łono Ibrahima i uważał to za uczynek miły Bogu. Chociaż przemknęło mi przez myśl, że jako Allah mógłby być innego zdania. Skończyłem

wycierać zakrwawiony rapier w kęs szmaty oddartej z jednego z grasantów. Niespiesznie wsunąłem broń do pochwy

1 dopiero wtedy odparłem:

- Ryx. Kacper Ryx.

- Znajdę cię - szczerknął i ruszył za swoimi ludźmi, gestem nakazując im iść przodem.

Obmyłem się i oprąłem, wyszorowałem zęby wierzbową witką, a kiedy wróciłem, wpięrowo zagładnąwszy do swego wierchowca (o którego wcześniej troszczył się Żeglarz), Żółkiewski nerwowo przemierzał namiot wielkimi krokami.

- Nareszcie! - zawołał na mój widok. - Jesteś gotów? Lada chwila może przyjść rozkaz wymarszu. Posłałem już Jarka do porucznika, by trzymał rotę pod bronią.

Z jego podnieconego głosu wywnioskowałem, że szykowałą się naprawdę niezgorsza awantura, bowiem taka perspektywa zawsze napawała'go entuzjazmem. Chyba mnie zaraził, bo jakkolwiek kilka chwil wcześniej byłem zdecydowany rzucić w diabły wojaczkę, odparłem bez namysłu:

- Mogę ruszać choćby w tej chwili.

Ale nie wyruszyliśmy od razu, za to w obozie uczynił się ruch, gdyż król z rotami nadwornymi Jana Zborowskiego i starym zaciągiem pod księciem Zbaraskim oraz Węgrami przesunął się naprzód,

1 Znaczący na Krymie ród, do którego należał między innymi słynny Hihaj-bej.

243

razem z całością wojsk litewskich ubezpieczając dawne obozowisko od wschodu. Bowiem rozeszły się słuchy, że pod Hiropecz vel To-ropiec dotarły znaczne posiłki moskiewskie, może nawet kilkudziesięciotysięczne, acz inne pogłoski mówiły o ledwie kilku tysiącach.

Wzmocniono czaty, zakazano pod rygorem surowych kar strażom spania na służbie i zdejmowania pancerzy, a po żywność wyprawiali się kolejno rotmistrze w sile nie mniejszej od tysiąca koni.

- Najgorsza jest ta niepewność - powiedział Stachnik, wracając z rady. - Nie wiadomo co robić. »

Wtedy przyszło mi coś do głowy. Nie wpadłem na trop Ościka, nie przyłapałem na zdradzie Zborowskich, najwyższa pora udowodnić sobie i drugim, że zasługuję na swoją opinię specja od sekretnych spraw. Na razie, nic nie mówiąc Stachnikowi, poszedłem do taborów odszukać Valdasa. Siedział osowiały i samotny w swoim namiocie, na częściowo spakowanych statkach. Uwiązany do kołka namiotowego niedźwiedź spał i chrapał aż miło.

- Gdzie twoi kompani? - spytałem.

- A rozleźli się gdzieś. Piją albo grają w karty. Jutro się stąd wynosimy.

- Powiedz mi, zali to prawda, że Moskale kochają się w niedźwiedziach?

Ożywił się.

- Nie ma drugiej nacji bardziej rozmiłowanej w niedźwiedziach od Moskwińców.

Wielcy kniazie moskiewscy mają w Moskwie specjalny gmach dla tresowanych i oswojonych bestii, w tym niedźwiedzi, zwany „psariennyj dwor”. Bojarzy też radzi je trzymają w drewnianych klatkach z bali. Czasem dla krotofili umieszczają je na długiej linie w izbie z gościem, który może być bezpieczny tylko w najdalszym kącie, pokąd nie sięga powróz czy łańcuch.

Słyszałem o tych praktykach, stąd wziął się mój koncept. Wyczytałem kiedyś u Gwagnina¹, że Iwan Groźny lubi trzymać niedźwiedzie używane do torturowania ludzi. A dla uciechy postawił kiedyś miśka u drzwi komnaty swego ówczesnego teścia, Michała Temrukowicza, trzymając go tam w strachu przez dwie czy trzy niedziele. Zaś po zdobyciu Nowogrodu przed dziesięciu laty kazał

1 Aleksander Gwagnin - spolonizowany Wioch, autor (z udziałem Macieja Stryj-kowskiego) Sarmatiae Europae descriptio (Kronika Sarmacji europejskiej) z 1578 r.

biskupowi Pimenowi nago jeździć na niedźwiedziu i grać na surmie i bębenku.

- A jak u ciebie z ichnią mową? - sondowałem.
- Moja matka była rodem nie z Białej, lecz moskiewskiej Rusi. Dlatego mówię po ichniemu, jakbym się tam rodził. Ejże, co ci chodzi po łbie?
- Pomyślałem sobie, że łąco znaleźlibyście robotę u Moskali.
- Dworujesz sobie chyba!?
- W żadnym razie. Oczywiście, byłby to pozór tylko. Że niby srodze wam już dojadła polska bieda i skąpstwo i wolicie moskiewskie diengi od polskich złotych. Powinni uwierzyć. Przecież dla niedźwiedników i komediantów zawždy granice stały otworem. Wkradłszy się w ich łaski, będziesz pilnie nadstawiał uszu, a potem wysyłał z pewnymi wieściami swoich igrców. Po jednym, jak gołębie. No, to jak? Jeśli się zgodzisz, dziś jeszcze powiadomię o tym kanclerza, a cenę ustalisz sam. No, jesteś przecież nie tylko skomorochem, ale i po trosze komediantem. Lubisz grać i umiesz udawać. Niedawno przecież szpiegowałeś Zborowskich. To rola jak dla ciebie. Potraktuj to jako wyzwanie i policz sobie słono za ryzyko - kusilem, dodając: - Gdyby ci coś groziło, odszukasz bielaka w czerni i powołasz się na mnie. On ci pomoże.

Nie odmówił od razu. To był dobry znak. Czułem, że złapie haczyk. Poza wszystkim był naprawdę odważny. I nie pomyliłem się.

- Zgoda - wystękał wreszcie niby z trudem, lecz widziałem, jak mu się zaświeciły oczy. Po powrocie do namiotu opowiedziałem wszystko Stachnikowi. Zapalił się do mojego pomysłu i zaraz poszedł do Zamojskiego. Jeszcze tego wieczoru zostałem wezwany przed królewskie oblicze. Batory był zachwycony conceptem, choć po swojemu okazywał to z umiarem, właściwie tylko ciut cieplejszym spojrzeniem czarnych źrenic, a Valdas powinien być usatysfakcjonowany obiecaną nagrodą. Nie wezwano go, aby jak najmniej osób wiedziało o nim i jego misji. Na pożegnanie kanclerz Zamojski szepnął mi do ucha z zadowoleniem:
- Tylko tak dalej, Kacper, a daleko zajdziesz.

Nazajutrz Valdas i jego trupa opuścili obóz, w głos uskarżając się na marne warunki i kiepskie dochody. W połowie września, po kolejnej naradzie u króla, wyszedł pod Toropiec na zwiad pułkownik

Jurgi Barbi, alias Jerzy Barbeli, z sześciuset ludźmi oraz dworzanie z własnymi pocztami. Był pośród nich sławny z siły druh Stachnika Żółkiewskiego, Marek Sobieski. A dowodził nimi kraj czy koronny Hieronim Filipowski, arianin, częsty bywalec krakowskiego zboru. Barbeli w odległości sześciu mil od Toropca natknął się na przednie straże Moskwy i wziął kilku jeńców, którzy na torturach wyznali, iż pod Toropiec podeszło aż czterdzieści tysięcy nieprzyjaciół pod szwagrem Moskiewskiego. W obozie zawrzało. Na szczęście nasz człowiek, który uciekł z wrażego obozu, a którym okazał się jeden z kuglarzy towarzyszących Valdasowi, doniósł, że to bajki i chodzi o nie więcej niż dziesięć tysięcy wojska pod kniazem Wasylem Chiłkowem. Król odetchnął z ulgą i zaraz wysłał pod Toropiec dwa tysiące naszych pod wojewodą braclawskim, księciem Januszem Zbaraskim.

Wyruszyliśmy jeszcze tego wieczoru. Na tyle już poznałem sprawy wojenne, by zorientować się, że oto zostałem dopuszczony do konfidencji z kwiatem wojska. Wedle Stachnika, takie było życzenie samego króla. Ale najbardziej zdumiało mnie, kiedy dołączyli do nas Andrzej i Samuel Zborowscy z kilkoma setkami swoich ludzi.

- To być może ostatnia pora dla Samuela na dokonanie wielkich rzeczy - wyjaśnił Stachnik i mruknął: - Dla ciebie też.

Wpierw przy świetle pochodni, potem księżycą jechaliśmy rysią całą noc bez ustanku, nad ranem docierając do Barbelego, który rozłożył się na popas w połowie drogi między Wielkimi

Lukami a Toropcem. W dzień odpoczywaliśmy, a wodzowie, do których dołączył pułkownik Farensek, odbywali naradę. Sądząc z odgłosów dobiegających z namiotu, ożywioną.

- Barbi źle przyjął zdanie dowództwa księciu? - spytałem domyślnie, kiedy wrócił Stachnik.

- Z początku w istocie źle, ale w końcu jakoś się dogadali.

W nocy poszliśmy dalej. Wpierw ludzie przedni, alias pierwsza straż, czyli zwiadowcy pod porucznikiem Stefanem Kiralym vel Karolim, za nimi straż przednia pod Barbelim, a na końcu główne siły pod wojewodą braclawskim. „Trakt carski” wiódł przez gęsty las, z jeziorami prześwitującymi między drzewami po prawej stronie. Słowo trakt niezbyt zresztą pasowało do wąskiej drogi, pełnej albo dziur, albo błota sięgającego końskich pęcín, a ludziom do pół łydki. Nie raz i nie dwa trzeba było zsiadać i prowadzić

246

wierzchowce. Wreszcie wpadliśmy w bagno, przez które wiodła wąska grobla.

Dołączyliśmy ze Stachnikiem do szpicy Kiraly'ego, ponieważ tak uczynili Zborowski i Stadnicki. Kiedyśmy minęli wieś Płoticzno, biorąc jednego chłopca na wodza, alias przewodnika, Zborowski wysunął się naprzód i znacznie wysforował, znikając nam z oczu. Podchody i podjazdy, był to taki rodzaj walki, który mi odpowiadał. W niczym niepodobny do oblężenia, kiedy wojowało się w tłumie, a ginęło anonimowo i nie wiadomo kiedy. Namawiałem Stachnika, byśmy dogonili Zborowskiego, aby mieć go na oku, ale powstrzymał mnie.

- W takiej walce, kiedy zewsząd sypią się kule, łącno dostać jedną w plecy, bo i tak pójdzie na konto wroga - widocznie nawet on po nieudanym zamachu Żeglarza stracił wiarę w rycerskość Samuela. - Dlatego zakarbuj sobie na dobre: trzymasz się mnie jak rzep i nie odstępujesz na krok. Pojąłeś?

Tedy Zborowski z garścią swoich arkebuzerów poszedł samopas i popadł w nieliczne opały. Utknął na jakimś moście, a zaczajeni w lesie Moskale zasypali go strzałami.

Kiedyśmy dotarli do mostu, strzelanina trwała w najlepsze.

- Co tak późno!? - pieklił się Zborowski. - I na co czekamy!?

Kiraly w samej rzeczy nie kwapił się do szturmów.

- To może być zasadzka - wyjaśnił flegmatycznie. - Wedle zeznań brańców Moskale mają przewagę, a opodal stoi spory czambuł tatarski. Zaś nas jest jeno stu dwudziestu. Znów pchnął pachółka po pomoc. Ale nie nadchodziła, a Zborowski wprost kipiał z wściekłości, zarzucając Węgrom kunktatorstwo. W tej chwili rozległy się nawoływania i straże kogoś pochwyciły. Widząc, jak się z nim szarpia, a któryś nawet przykłada mu pistolet do głowy, kopnąłem się biegiem i zdążyłem podbić lufę, rozpoznawszy w przybylszu kolejnego z kuglarzy i igrców od Valdasza. Kiedy ochłonął ze strachu, zaklinał się, że Tatarzy już odeszli na wschód, nastroje pośród Moskwy są marne, a grunt na północ od mostu suchy i sposobny do lądowania.

- Słyszeliście? - ucieszył się Zborowski. - Na co czekacie, tchórz was obleciał!?

Uderzać!

Kiraly z trudem powstrzymał swoich przed rzuceniem się na awanturnika rozgorączkowanego potyczką, ale minę miał zafrasowaną.

247

k

- Obaj mają rację - mruknął do mnie Żółkiewski. - Iść naprzód w ciemno niedobrze i ugrzęznąć w tym mokradle takoz nie lepiej.

- A może część wojska cofnęłyby się nieco, a potem przybliżyła, czyniąc hałas, jakby nadchodziły większe siły? Wróg upadłby na duchu i łącniej byłoby szturmować - rzuciłem. Poweselał, bo i on rwał się do boju, dał mi sójkę w bok i poszedł do Kiraly'ego. A że tymczasem zwiadowcy odkryli bród, Węgier zdecydował się wyprzeć wrogów z ich pozycji

własnymi siłami, satysfakcjonując wreszcie Zborowskiego. Markując wrzawą i pohukiwaniami nadejście większych sił, czemu sprzyjała ciemna noc, rzuciliśmy się równocześnie na Moskale przez płyciznę, wrzeszcząc i wyjąc jak opętani. Całkowicie zaskoczeni i przerażeni Moskale pierzchnęli tak szybko, paląc na oślep, że nie mieliśmy praktycznie żadnych strat.

- Ha! Trzeba było od razu mnie posłuchać! - chełpił się Zborowski, dumny jak paw, jakby ten tryumf był tylko jego zasługą.

Kiedy jednak noc mijała, a ludzie niecierpliwili się i strachali, bowiem uciekający Moskale waleniem w bębny dawali znaki swoim głównym siłom zgromadzonym gdzieś niedaleko, a nasze posiłki wciąż nie nadchodziły, Zborowski niczym zły duch jął podburzać Polaków przeciw Węgom, zarzucając Barbelemu tchórzostwo i opieszałość. Zaraz też nasi jęli patrzeć na Madziarów wilkiem i wznosić groźne okrzyki:

- Stchórzył wasz Barbi, niech go kaci!

- Tchórzem podszyty Węgrzyn Barbidziardi, ot co!

- Panowie Madziary do dziewczek a kur macania pierwsi, do boju ostatni!

Jedni i drudzy rwali się do bitki i oficerowie z trudem utrzymali spokój. Zapanował dopiero wówczas, gdy towarzystwo rozdzieliło się na troje: osobno Węgrzy, w drugim kącie w miarę suchej łąchy Zborowski ze Stadnickim, a my w trzecim, najdalej od wody, a najbliżej mrocznego lasu. Rozpalono ogniska, niewielkie z powodu braku dobrego opału i aby nie narażać się na strzał. Noc była chłodna. Wystawiono strażę, a pozostali grzali się i suszyli przy ogniu, spożywali, co kto miał, i dzielili się gorzałką. Ten i ów próbował drzemać.

Siedzieliśmy przy małym ogniu we trójkę: starosta śniatyński Mikołaj Jazłowiecki, Żółkiewski i ja. W pewnej chwili rzuciłem okiem

248

w las i zmartwiałem. W zaroślach, niecałe pięćdziesiąt kroków od nas, jarzyły się dwa punkty rozstawione jak ludzkie oczy. Zresztą żaden dziki zwierz nie podszedłby tak blisko ludzkiej gromady. Schyliłem się i dorzucając polano do ognia, szepnąłem:

- Baczność panowie. Ktoś nas obserwuje.

Obaj byli doświadczonymi wojennikami i żaden nawet nie mrugnął powieką.

- Gdzie? - spytał Stachnik równie cicho.

- Za mną, po lewej.

- Widzę - odparł po chwili Jazłowiecki, chociaż pozornie wcale się nie rozglądał. - Co robimy?

- Bądźcie w pogotowiu - odparłem, mówiąc głośno: - Mości Jazłowiecki, zdaje się, żeś chciał obejrzeć mój sztuciec?

- A owszem - rzekł po sekundzie zaskoczenia. - Ponoć bije z niezrównaną celnością.

Podjąłem strzelbę leżącą pod ręką, uniosłem nieco kolano, oparłem o nie lufę i pokazałem mu zamek, tłumacząc zawiłe, jakie to udoskonalenia poczynił w nim mój szwagier rusznikarz.

Kiedy wylot lufy niby przypadkiem mierzył tam, gdzie wcześniej widziałem podglądacza,

ruszyłem cyngla i wszyscy trzej rzuciliśmy się wstecz, Stachnik zaś zdążył jeszcze

przytomnie kopnąć ognisko. W niebo wzbily się tysiące iskier. Niemal równocześnie z moim wystrzałem, huknęło i błysnęło w zaroślach. Uprzedziłem zamachowca o ułamek sekundy.

Jego kula zgórowała nieszkodliwie, ale strzały poderwały na nogi cały obóz.

- Co jest, co się dzieje!?

- Kto strzela!?

- Gasić ogień, Moskale atakują!

Nasza trójka biegła już wtedy do lasu z pistoletami w jednej i żagwiami w drugiej ręce.

- To gdzieś tu - powiedział Żółkiewski, rozchylając gałęzie.

- Nic tu nie ma - zauważył Jazłowiecki.

- A jednak - zdjąłem z gałęzi czapkę, którą moja kula zdmuchnęła z głowy strzelca.

Poczułem lepkość pod palcami.

- Krew.

- Nieprawdopodobne - westchnął z podziwem Jazłowiecki. - Strzał w ciemności, bez celowania... Gdzieś się nauczył takiej sztuczki?

249

- Nigdzie, jakoś tak samo przyszło.

Rozdzieliliśmy się i ruszyli w las. Po paru krokach zgasilem swoje łuczywo, by nie dawać tamtemu okazji do poprawki, tym razem celniejszej, i stanąłem, nasłuchując. Gdybym ja był na miejscu zamachowca, wcale nie uciekałbym na oślep w las, tylko przyciął się za jakimś drzewem i albo zaczekał, aż pościg przejdzie mimo, albo zapolował na prześladowców.

Nigdy nie zakładałem, że moi wrogowie są głupszy ode mnie i może dlatego dożyłem tak sędziwego w mojej profesji wieku. Tymczasem słyszałem jedynie cichnące wołania z obozu, gdzie chyba opanowano panikę, oraz nawołujących się z cicha moich towarzyszy, których żagwie oddalały się coraz bardziej, ledwie pobłyskując w ciemnościach. Mój wzrok z wolna przywykał do mroku. Zaczynałem odróżniać kontury poszczególnych drzew. I wówczas posłyszałem trzask nieostrożnie nadepniętej gałęzi.

- Sam tu, bywaj! - przywołałem druhów i ruszyłem w pościg.

O nic już nie dbając, zbieg przedzierał się przez gęstwiny. Sunąłem za nim jak duch. Drogę wskazywały mi połamane gałęzie i zdeptane krzewiny. Raptem wpadłem jedną nogą w topiel i z trudem się wykaraskałem. Ale ścigany miał takie same kłopoty i nie zdołał się odsądzić.

Zataczając koło, zdążył do obozu. Zatem nie omyliłem się. To nie był Moskal. Przeczuwałem to od początku, a upewniłem się po znalezieniu czapki. Magierki, czasem obszyte barankiem jak ta, za sprawą króla (który sztychował z małpowania go w ubiorze i celowo odziewał się byle jak) i jego Madziarów zrobiły się u nas ostatnio bardzo modne. Moskale ich nie znali.

Ujrzałem go, gdy wypadł z lasu i jego czarna sylwetka wyraźniej zarysowała się na tle płomieni z najbliższego ogniska. Ale przepadł, nim zdążyłem złożyć się do strzału. Na skraju boru zatrzymałem się, czekając na przyjaciół. Nadeszli niebawem.

- Jest tam - pokazałem im.

- Jezu, to swój - nie mógł uwierzyć Jazłowiecki. - Którego z nas chciał ubić i dlaczego?

- Chyba mnie - powiedziałem.

- Idziemy! - rzekł stanowczo Stachnik. - Pora z tym wreszcie skończyć.

Poszliśmy. Przy dogasającym ogniu siedzieli samotnie Zborowski ze Stadnickim. Na nasz widok udali zdziwienie.

250

- Czemu zawdzięczamy wizytę o tak późnej porze? - spytał Samuel.

- Temu - rzuciłem czapkę Stadnickiemu. - Zgubiłeś ją, acan.

Zrobił zdumioną minę.

- To nie moja.

- A to ciekawe - odparłem. - Bo jest na niej krew, a wasze masz gołą głowę i świeżą ranę na skroni.

Odgarnął jasne włosy, które zakręcając się na końcach, opadały mu na ramiona, i dotknął krwawej krechy z boku głowy.

- Drasnęła mnie gałąź, gdym zbierał drewno na opał.

- Więc zaprzeczasz waść, żeś przed kwadransem ciał się w lesie i jak zbój próbowałeś ubić z ukrycia jednego z nas? - rzucił Żółkiewski gniewnym tonem.

- Od godziny nie ruszaliśmy się stąd na krok - rzekł Zborowski, patrząc na nas wyzywająco.

- Tak? - warknął Stachnik i czubkiem swojego buta trącił wysuniętą w stronę ognia podeszwę ubłoconego buta Stadnickiego. - A to mokre błocko to pewnie od łowienia raków w rzece?

Stadnicki porwał się na równe nogi.

- Jakbyś zgadł!

Jazłowiecki podniósł z ziemi arkebuz.

- Waścin? - spytał Diabła.

- Mój.

Jazłowiecki zajrzał do lufy, potem ją powąchał.

- Wystrzelony. I śmierdzi świeżo spalonym prochem.

- Nie zdążyłem nabić po bitwie.

- Dość tego! - zirytował się Stachnik, łapiąc za szablę; od masakry w Wielkich Lukach nie widziałem go tak wzburzonego. - Stawaj mi zaraz, podstępny łotrze, zabójco z za węgla, albo ubiję jak psa!

Zborowski powstał, ściskając w dłoni czekan i łypiąc groźnie spode łba. Diabeł spurpurowiał i zdawało się, że rzuci się na Żółkiewskiego z gołymi rękami. Szybko wsunąłem się pomiędzy nich.

- Zostaw, to moja sprawa. Panie Stadnicki, mamy coś do załatwienia - przypomniałem.

- Rozmyśliłem się. Nie będę się z tobą bił, łyku.

- Ale zastrzelać z ukrycia toś się nie brzydził, tchórzcu?

Było mi wszystko jedno. Miałem już dość nieustannego zagrożenia. Stadnicki zachnął się, wściekły, lecz nie rzekł nic.

251

- Pojedynki są zakazane - przypomniał Zborowski.

Niespodziewanie wtrącił się Jazłowiecki, patrząc na Diabła z obrzydzeniem, jak na jadowitą ropuchę.

- Nikt okrom nas nie musi o niczym wiedzieć. Proponuję, abyście bili się jutro. Na pistolety, skoro imć Stadnicki tak lubi strzelanie. Panowie Zborowski i Żółkiewski będą sekundować. A ja ofiarowuję się na arbitra.

Na tym stanęło, bo Stadnicki nie ośmielił się zaprotestować. Oddalając się, usłyszeliśmy jeszcze podniesiony głos Zborowskiego:

- iy idioto! Ostrzegałem cię...

Wróciliśmy do swojego ogniska, które tymczasem Jarek i przyboczny Jazłowieckiego rozniecili na powrót. Noc z wolna dobiegała końca, więc nie zostało nam wiele czasu na sen. Skoro świt nareszcie zjawił się Barbeli, a wkrótce po nim księżę Zasławski i wyjaśniła się przyczyna ich marudzenia. Oto wpadł im w ręce jeniec, jak się potem okazało, celowo przez Moskwę nasłany z wieścią, jakoby od Smoleńska i Cholma przyszły Chilkowowi w sukurs potężne wojska. Dlatego księżę wstrzymał pościg i dlatego straciliśmy tyle czasu, że zaskoczenie i nasze przewagi przy moście diabli wzięli, bo teraz wróg już wiedział, że nadchodzimy, i miał się na baczności.

Rankiem następnego dnia (20 września, we wtorek) księżę rozesłał podjazdy dla zasięgnięcia języka. Jako i wzięto kilku jeńców, którzy zeznali, że brawurowe zdobycie przez nas mostu przeraziło Moskali i przyspieszyło odwrót ich głównych sił. Wkrótce kolejny człowiek Valdasa uzupełnił te wieści. Książę Chiłkow uszedł z To-ropca na wschód, zaopatruwszy jedynie zamek w wystarczającą do obrony załogę i nakazawszy spalić miasto. A do powstrzymania pościgu zostawił cztery tysiące ludzi pod Czeremisnowem (Moskali) i Naszczokinem (Tatarów), uszeregowanych w dwa hufy: Moskwa po prawej i Tatarzy po lewej stronie. Zamierzali dać silny odpór, bowiem wiedzieli już, że przewyższają nas liczbą. Kiraly znów poszedł przodem na rozpoznanie, a księżę rozdzielił resztę wojska na trzy części z tą myślą, aby odciąć czaty nieprzyjacielskie od trzonu wojska pozostawionego przez

Chiłkowa. Na czoło wysunął się rotmistrz Jerzy Zibryk z Węgami, rajtarami niemieckimi i dworzanami królewskimi skupionymi wokół krajczego Filipowskiego. Za nimi podążała straż przednia pod Barbelim. Na końcu, jak poprzednio, maszerował sam książę z resztą wojska.

252

Zaskoczyć nieprzyjaciela się nie udało, a i plan rozdzielenia go spalił na panewce, gdyż Moskale byli czujni i Kiraly'emu przyszło zmagać się z wrogiem w niezmiernie trudnych okolicznościach, jako że koło wsi Sielenie „trakt carski” urwał się nagle i przeszedł w prawdziwe bezdroże pośród niezmiernych borów i trzęsawisk, przez które wiodła jedynie wąziutka i bagnista polna dróżka.

Moskale ustępowali, chcąc wciągnąć naszych w zasadzkę. Rachując na rychłe nadejście posiłków, Kiraly śmiało postępował za nimi przez błotnisty las. Tak dotarł do młyna Rieczan, za którym przez rzekę przerzucony był most, a za nim drogi znów prowadzące przez bagna i podmokłe lasy - na północ do Toropca i trakt carski na wschód. Młyn obsadzili strzelcy moskiewscy, którzy również ustawili się długą linią za mostem, a za nimi jazda - na prawym skrzydle moskiewska, na lewym tatarska. A bezpośrednio przed Kiralym cofała się ku swoim tylna straż moskiewska.

I wtedy, a dzień z wolna chylił się ku zmierzchowi, do Kiraly'ego dotarł Barbeli, a my z nim. Pierwszy dopadł mostu Samuel Zborowski, za nim Filipowski z dworzany królewskimi, za nimi reszta. Kiedy pozostali ścierali się z wrogiem, spychając go z mostu, i stało się jasne, że przełamanie moskiewskich szyków jest kwestią niedługiego czasu, odbiliśmy na bok, do pobliskiego lasu. Było nas ośmiu: Jazłowiecki, Sobieski, Samuel Zborowski, Diabeł Stadnicki, szwagier Kochanowskiego Jakub Podlodowski, Jan Bełżecki, Żółkiewski i ja.

- Im więcej godnych zaufania iszców, tym pewniejsze, że rzecz cała odbędzie się po rycersku, gdyby przyszło się z tego opowiadać - wytłumaczył Jazłowiecki. - Tuszę však, iż nie będzie z tym turbacji, gdyż teraz jest najsposobniejsza pora do monomachii, bowiem trup pójdzie na konto Moskali. Jenó trzeba się prędko uwinąć.

Znaleźliśmy sposobną polanę, szeroką mniej więcej na pięćdziesiąt kroków.

- W sam raz się nada - zdecydował Jazłowiecki i wszyscy zeskoczyliśmy z wierzchowców. - Spytam dla porządku: jesteście gotowi bić się, zali jednak przyjdzie do zgody?

- Nie przyjdzie - powiedziałem twardo.

Byłem zdecydowany. Lepsza okazja nie mogła się nigdy nadarzyć. Ponadto po raz pierwszy pośród szlachetnie urodzonych nie

253

ś

wyczuwałem niechęci do łyka. Przeciwnie, widać było, że wszyscy ci sławni rycerze, rzecz jasna, oprócz Zborowskiego, trzymają moją stronę. Pewnie zadecydowała o tym zarówno przyjaźń z Żółkiewskim, którego powszechnie szanowano, jak i nieskrywana (Jazłowiecki musiał szepnąć im słówko o nocnych wypadkach) niechęć do Stadnickiego. On też to czuł i minę miał niewyraźną, ale skinął głową potwierdzająco.

- Do pierwszej krwi zali na śmierć? - upewnił się Jazłowiecki.

Znów uprzedziłem Stadnickiego.

- Na śmierć.

I znowu Stadnicki potaknął, ale grdyka chodziła mu w górę i w dół. Zborowski pocieszająco klepnął go w ramię.

- Jeśli się uda - wtrącił Marek Sobieski. - Nie ma czasu na zabawę i strzelanie do skutku. Macie tylko jeden strzał. Staniecie na obu krańcach polany i na mój znak postąpicie ku sobie. Wypalicie w dogodnej dla się chwili. A teraz oddajcie mi wszelką drugą broń.

Nikt nie oprotował postawionych kondycji, ponieważ Sobieski cieszył się wielkim mirem. Król Stefan wyraził się kiedyś, że gdyby los królestwa zależał od pojedynku stoczonego przez jednego rycerza, to wybrałby do tego właśnie Marka Sobieskiego. Siłacz ów raz w pogoni za wrogiem skoczył konno w pełnej zbroi do rzeki i dopadł zbiega, a innym razem z pewnym Włochem na polowaniu uratowali Batorego, zakłuwszy groźnego niedźwiedzia - ten rapierem, ów szablą.

Zatrzymałem sobie bardziej niezawodnego i celniejszego skałkowego francuza, oddawszy Sobieskiemu hiszpańskiego miąueleta, a Żółkiewskiemu pendent z rapierem i pas z lewakiem. „Trzymaj się”, szepnął mi na ucho. Po raz ostatni sprawdziliśmy ze Stadnickim broń i rozeszliśmy się. Ubiegł mnie tym razem i wybrał lepszą pozycję. Zachodzące słońce co prawda świeciło nam obu z boku, lecz pod lekkim skosem, niekorzystnym dla mnie. Nie trapiłem się tym. Strzelałem już w znacznie gorszych warunkach.

- Gotowi? - spytał Sobieski. - Tedy baczość! W imię Boże, zaczynajcie!

Ruszyliśmy niespiesznie. On ścisnął swój pistolet w opuszczonej dłoni, ja swój zatknąłem niedbale za pasek od spodni. Obaj wiedzieliśmy, że zdołam sięgnąć po niego wcześniej, niż on uniesie broń do oka. Z pewnością był stropiony i ręka mu drżała, co widziałem

254

z daleka i inni pewnie też. Co innego zabić kogoś z zasadzki, a co innego stanąć oko w oko z lepszym od siebie. Pistolety zazwyczaj niosły góra na dwadzieścia kroków, a celnie gdzieś na najwyżej dziesięć. Mój francuz miał jednak gwintowaną lufę i bił celnie na dłuższy dystans. Mogłem sobie zatem pozwolić na małą prowokację. Raptownie sięgnąłem do pasa, jakbym chciał wydobyć broń, choć dzieliło nas jeszcze dobre trzydzieści kroków. Tak jak się spodziewałem, Stadnickiego zawiodły nerwy. Podniósł pistolet, szybko wymierzył i wypalił. Zbyt szybko i nerwowo. Chybił, i to znacznie. Kula uderzyła w pień buka, jakieś trzy kroki ode mnie. Stał teraz bezradny na miękkich nogach, ze zwieszonymi rękoma, głośno przełykając ślinę i rozpaczliwie zerkając na Zborowskiego. Jako i ów zrobił ruch, jakby chciał sięgnąć po swój pistolet, lecz Marek Sobieski unieruchomił go w krzepkim uścisku.

- Dziś dla odmiany będzie uczciwie - przypomniał.

- Dalej, Kacper! Pamiętaj, dokładnie między oczy. Tym razem nie będę tolerował żadnych odchyłeń, nawet na pół cala. Nie zawieź mnie! - zachęcał mnie beztroskim tonem Stachnik.

- Stadnicki już trup. To pewne jak dwa a dwa cztery. Widziałem imię Ryksa przy robocie. Mógłby komarowi w locie odstrzelić jajca - pochwalił się swoją wiedzą Bełzecki, który był świadkiem, jak w karczmie w Grodnie zastrzeliłem hetmana zbójców. Te okrzyki nie dodały Stadnickiemu ducha. Szczęki mu dygotały, pot lał się z czoła strumieniem i chętnie by zemknął gdzie pieprz rośnie, gdyby nie wstyd silniejszy od strachu. Szedłem ku niemu wolno, po czym stanąłem i wymierzyłem. Jednak napawałem się swoją przewagą i jego lękiem o sekundę za długo. Zawsze tak bywa, kiedy człek - marudzi albo daje się powodować niskim uczuciom i nie kończy szybko tego, co zaczął. Nagle bowiem doszedł nas wielki wrzask i tętent setek końskich kopyt.

- Moskwa umyka! - zawołał Podłódowski. - Widać nadciągnął książę Zbaraski z głównymi siłami!

- Kończ prędko, acan - upomniał mnie Jazłowiecki. - Lecz bacz, że teraz zda się każda para rąk.

Niczego mi nie narzucał, ani on, ani pozostali, ale w ich oczach widziałem, czego ode mnie oczekiwali. Wściekły i rozczarowany wypaliłem bez celowania. Wytracony Stadnickiemu z opuszczonej ręki pistolet poszybował w powietrzu i upadł gdzieś w krzaki.

255

- I po sprawie! Zuch! - ucieszył się Sobieski i puścił Zborowskiego. - Na koń, waszmościowie!

- Postąpiłeś słusznie, jak prawy szlachcic - pochwalił mnie Stachnik, gdy pospiesznie zapinałem pas z bronią i nabijałem wystrzelony pistolet. - Jestem z ciebie dumny. Wcale mnie nie pocieszył. Nie mogłem sobie darować straconej okazji. Kipiąc ze złości, dałem koniowi ostrogę i pomknęliśmy naprzód. W istocie, Moskale sromotnie podali tył. Uciekali w stronę Toropca na łeb na szyję, sobie znanymi drogami i polnymi ścieżkami, znikając w lesie przy „trakcie carskim” (Moskale) i na bagnach (Tatarzy). Ścigać ich było ciężko, bo właśnie zapadł zmierzch, konie wpadały niespodzianie w wodę, grzęzły w trzęsawisku albo brodziły w błocie. A mimo to nie ustawaliśmy w pościgu. Po dwóch albo i trzech milach takiej mozolnej pogoni Stachnik rozejrzał się wokół i spytał:

- Gdzie Jazłowiecki i Stadnicki?

Faktycznie, obaj gdzieś się zapodziali. Zostało nas tylko sześciu. Pięciu rycerzy i ja na doczepkę.

Podlodowski zerknął wstecz i wrzasnął:

- Przebóg, a gdzie reszta!? Kiraly, Barbi i księżę. Czemu nie podążają za nami?

- Może Moskale się rozdzielili albo ich ariergarda spowołniła naszych!? - zastanawiał się w głos Belżecki.

- Nic to! - ryknął z mocą Sobieski. - Jedziemy dalej!

Jechaliśmy więc nieustępliwie, z każdą chwilą przybliżając się do uciekających. Wypadliśmy nareszcie z lasu na okrężny szlak obiegający jezioro Solomiennoje, do którego od południowego wschodu wpadała, tamując drogę, biorąca niedaleko początek rzeka Toropa, przez naszych zwana Turopończą, tak jak Toropiec zwaliśmy TU-ropczem. Na otwartej przestrzeni zrobiło się nieco jaśniej i było widać więcej. Przed nami na łeb na szyję umykało kilka setek nieprzyjaciół. TU, na moście nad Hiropończą, zatarła się Moskwa przy przeprawie.

Nie zważając na to, że wypadało po setce wrogów na każdego z nas, opętani bitewnym szałem, który udzielił się nawet mnie, bez wahania uderzyliśmy na Moskali. Ścinając po drodze kilkunastu maruderów, wbiliśmy się w zbitą cizbę niby taran. Szybko wystrzeliłem oba pistolety, a na powtórne nabicie brakło czasu.

256

Rapier, w pojedynku dogodniejszy od szabli, w tłumie, kiedy na klucie było za ciasno i sieczenie przychodziło łatwiej, okazał się mało przydatny. Dlatego skorzystałem z okazji, gdy musiałem błyskawicznie przykucnąć, bo jakiś rosły Moskał zamierzył się na mnie berdyszem, a rapier ugrzązł mi w wąpściach innego Moskala, i podniosłem z ziemi bezpieczną ordynkę. Bezpieczną, gdyż po właścicielu została tylko dłoń kurczowo zaciśnięta na rękojeści. Oderwałem ją z trudem, w sam czas by pochwycić broń, odbić cios i rozplatać przeciwnikowi pierś.

Kaprys losu sprawił, że miałem się ramię w ramię ze Zborowskim. Gdyby mi ktoś powiedział, że będziemy kiedyś jak bliźniacy złączeni jedną pępowiną, uznałbym go za szaleńca.

Przepasany czerwoną szarfą banity pragnącego krwią zmazać winy, jak straceniec szedł śmiało pod kule i szable. Poznałem słuszność powiedzenia: bije się jak infamis. Ale i ja nie ostawałem w tyle. Nie wiadomo kiedy na dobre pozbyłem się strachu, który skrępował mi nogi pod Wielkimi Lukami. Kiedyś brzydziłbym się robotą w sam raz dla rzeźnika, teraz mi to nie przeszkadzało. Trwałem w dziwnym uniesieniu, półpijany przelewana krwią.

Wstydzilem się tego uczucia, a równocześnie byłem z niego dumny. Oto stałem się prawym żołnierzem, jak drudzy. Nie czułem ran, acz drażnięto mnie niegroźnie nieraz. Nie zważałem na to. Byliśmy społem niczym sześciu straszliwych zniwiarzy albo jakaś wielo-ręka piekielna machina do zabijania. Z rozognionymi twarzami, płonącymi oczyma, zbryzgani krwią, swoją i wraży, odbijaliśmy ciosy i sami je zadawaliśmy. Prawice unosiły się zgodnym rytmem: góra - dół, góra - dół. Strzelaliśmy do Moskali, kłuli i siekli, oni zaś tak byli wylęknieni, że na ogół dawali się bić jak bydło, broniąc się słabo albo wcale. Konie kwiczały, ludzie wrzeszczeli

przerażliwie, ciężko ranni wyli wniebogłosy. Wszechobecny zapach krwi odurzał i wiercił w nosie.

- Na rany Chrystusa, gdzie nasi!?! - wycharczał Belżecki, bijący się tuż obok mnie. - Długo tak nie wydzierzymy...

Ręce nam omdlewały, krew zalewała oczy i czyniła śliskimi palce ściskające rękojeści szabel, aleśmy nie ustawali. Poznałem, co to bojowa furia. Byłem w jakimś amoku. Mózg spał, wszystko widziałem jak przez mgłę, zlewały mi się twarze wrogów, deptałem po trupach. Parliśmy naprzód, miażdżąc wszystko po drodze i zbliżając się do

257

mostu. Zrobiło się nieco luźniej i napięcie także zaczęło ze mnie uchodzić. Z oczu zeszła mi zasłona i widziałem więcej (a może księżyc lepiej przyświecał?). Na przykład Tatar, który trafiony jedynie płazem przez Zborowskiego, udał trupa, po czym zerwał się za jego plecami i zamierzył jataganem...

- Bacz wstecz! - wrzasnąłem.

Obrócił głowę, ale za późno. Ostrze już zaczęło opadać... Rzuciłem sztyletem. Przebił szyję Tataru i żelazo nieszkodliwie ześliznęło się po ramieniu Zborowskiego. Nic nie odparł, nie było na to czasu, ale spojrzenie, jakie mi posłał, wyrażało tyle nienawiści, że można by nią obdzielić rotę nieprzyjacielskiego wojska. Zaraz pożałowałem, że zabiłem nie tego, co trzeba, ale nie miałem czasu rozpamiętywać swego błędu, bowiem tym razem niebezpieczeństwo groziło Stachnikowi. Ciąłem na odlew i odjąłem Moskwinowi, z którym walczył, obie dłonie dzierzące berdysz. Zamarł, gapiąc się z niedowierzaniem na kikuty, z których buchała krew, po czym wyjął, zwałił się martwy na ziemię. Wtem Staszek wypalił mi tuż przy uchu z pistoletu, ubijając wroga, który korzystając z mojej nieuwagi, chciał mnie skrócić o głowę i prawie mu się udało.

Na szczęście to już był koniec starcia. Kto żyw z Moskwy i Tatarów, zemknął z mostu i gnał ku Toropcowi. Zostaliśmy sami pośród góry trupów, których było, lekko licząc, dobre siedem dziesiątek. Niewiarygodne, ale oprócz niegroźnych ran, byliśmy prawie nietknięci.

Dyszeliśmy ciężko, wsparci na żelazach, z trudem łapiąc powietrze w utrudzone płuca, popatrując to na swoje oblane wrazą posoką gęby, to na makabryczny owoc naszych starań i napawając się chwilą wytchnienia. Przez głowę przebiegł mi ten wiersz Rejowy o Moskalach: ...są miłosierni, bo nie barzo biją;

Radszej, kiedy im ciężko, w szczelinę się kryją.

Z pirwotkuć się postawi, by miał zjeść każdego,

Ale po tym do łasa masz posła pewnego...!

Ale niedługo było nam dane wypoczywać.

1 Mikołaj Rej, Moskwin, [w:] tegoż, Pisma wierszem [wybór], oprac. J. Krzyżanowski, Wrocław 1954, s. 428.

258

- Przebóg, patrzcie! Toż to nasze zguby, Jazłowiecki i Stadnicki! -wykrzyknął Sobieski, mimo mroku rozpoznając wymienionych, którzy wyłonili się właśnie z lasu i pędzili ku nam w skok.

- Rychło w czas - skomentował Podlodowski. - Gdyśmy już wykonali całą robotę.

- Chryste! - jęknął Żółkiewski. - Chyba jeszcze nie całą...

- Gdzie nasi!?! - powtórzył swoje Belżecki.

Bo oto tuż za Jazłowieckim i Stadnickim waliło na nas z pięćdziesięciu ordyńców, szyjąc z łuków, wywijając nad głową szablami i hałkując tak, że aż świdrowało w uszach, a nasze konie zaczęły parskać niespokojnie.

- Baczność, waszmościowie! - zarządził Stachnik. - Nie Iza ich przepuścić przez most! Ustawiliśmy się szeregiem, ramię przy ramieniu, całkowicie zastawiając sobą wąski most. W gorączkowym pośpiechu, ale bez paniki, ładowaliśmy pistolety i rusznice. Wbiliśmy w

miękki grunt forkiety i czekaliśmy. Kiedy wróg zbliżył się na odległość strzału, daliśmy ognia salwą, po czym zaraz poprawiliśmy. Dobry dziesiątek pohańców zmiotło z siodeł. Ale pozostali ogarnęli obu naszych maruderów.

Jazłowiecki zrzucił z konia atakującego go Tatarą, lecz upuścił przy tym szablę, a ponieważ był wcześniej raniony i krew ściekała mu spod czapki, obalony Tatar ściągnął go z wierzchowca. Miałem wystrzelone oba pistolety i sztucer, a drugich strzelb w pobliżu nie widziałem... Podlodowski i Zborowski wymierzili swoje pistolety, ale pierwszemu broń nie wystrzeliła, zaś drugi chybił. Tatar już miał pchnąć Jazłowieckiego kindżalem, kiedy Stachnik Żółkiewski z wrzaskiem kopnął się ku walczącym, przeskakując i depcząc zalegające wszędy trupy. Zanurzył swoją szablę w piersi ordyńca w tejże chwili, kiedy nadbiegający konno Stadnicki rozszczepił tamtemu czerep na dwoje. Za chwilę rozpętało się wokół nas piekło i wszyscy mieliśmy pełne ręce roboty, obskoczeni zewsząd przez bisurmanów.

Mnie przypadł w udziale ichni wódz, sądząc po lepszym odzieniu, napierśniku i misiurce na łbie. Spadł na mnie prosto z bachmata niby jastrząb i obalił się w błoto. Strąciłem go z siebie, ale poderwał się zaraz jak sprężyna. Bil się zręcznie, skacząc wokół mnie niby Świercz. Z trudem za nim nadążałem, bo wyczerpanie dawało o sobie znać. Musiałem szybko z nim skończyć, nim mnie zamęczy.

259

Zamarkowałem cios na odlew, a gdy się zasłonił, przerzuciłem oręż do lewicy i pchnąłem go w szyję. Upadł, charcząc. Chwilę ciskał się niczym ryba wyjęta z wody, wreszcie znieruchomiał. Na ten widok pozostali Tatarzy zrezygnowali z przebiccia się do mostu i skręcili wprost ku rzece, wskakując do niej na łeb na szyję.

Raptem poczułem okropny ból w boku. Jęknąłem i skurczony odwróciłem za się. Ale tam nikogo nie było. Najbliżej stał Zborowski i spokojnie ocierał z krwi swoją szablę jakby nigdy nic. Zmierzyliśmy się wzrokiem. Uśmiechnął się leciutko. Ponieważ nasi towarzysze byli zajęci czym innym i nikt niczego nie widział, dobrze wiedział, że nie mógłbym udowodnić, iż chciał mnie podstępnie zamordować. Musiał być rozczarowany, że wciąż trzymałem się na nogach. Ja nie byłem. Właśnie po to nosiłem pod odzieniem starą, wypróbowaną kolczugę. Ból z wolna ustawał i mogłem się wyprostować. Dotknąłem boku. Namacałem małe rozdarcie. Pchnięcie naprawdę musiało być potężne. Jednak zacna kolczuga wytrzymała, puściły zaledwie dwa lub trzy ogniwa, dlatego sztych ześliznął się i nie ugodził mnie śmiertelnie. Kiedy odjąłem dłoń, zobaczyłem świeżą krew, ale nie było jej wiele. Przeżyję. Poza tym nie był to bok rozdarty uprzednio przez lewarta. Teraz przynajmniej byłem pokancerowany równomiernie, a lubiłem symetrię. Nie ma tego złego, co by się na dobre obrócić nie mogło.

Stadnicki z Żółkiewskim akurat pomagali Jazłowieckiemu powstać, więc prowizorycznie opatrzyłem mu ranę głowy.

- Iy też krwawisz - zauważył Stachnik. - Sam potrzebujesz opatrunku.
- Nic to - powtórzyłem za Sobieskim. - Ten sukinsyn próbował mnie śmiertelnie pchnąć od tyłu.

- Który!?

- Zborowski.

Zacisnął pięści i usta.

- Zabiję łotra - wysyczał przez zaciśnięte zęby.

- Zostaw. Niczego mu nie udowodnimy. Nie było świadków.

- I tak kiedyś go zabiję - powtórzył z zawziętą miną.

- Nie zabijesz. On jest mój.

- Waszmościowie! - zawołał Sobieski. - Na koń, do Toropca!

Setnie zmęczeni, lecz wciąż pijani bojem, dosiedliśmy koni i ruszyli w pogoń za zbiegami, docierającymi już do zamku, wielu jesz-

cze ubijając po drodze. Okazało się, że Kiraly ścigał drugą gromadę wrogów, pierchających spod młyna Rieczan do Toropca krótszą drogą, dlatego nie wsparł nas na moście przez Hiropończę i dlatego sporo naszych też zdażyło dotrzeć pod twierdzę. Acz nie główne siły z księciem Zbaraskim. Miasto Toropiec dogorywało, podpalone dwa dni wcześniej. Straciłem z oczu Stachnika, który pobiegł za jakimś znacznym Moskałem, za to w blasku płomieni dostrzegłem Chrisa Żeglarza, jak wpadał do jednej z kilku zaledwie niezgorzałych chałup, zapewne chcąc ją złupić. Pobiegłem za nim, lecz zmitrężyłem kęs czasu, pomagając kilku naszym wziąć do niewoli kilkunastu bojarskich synów. Kiedy dobiegłem do progu chałupy, drzwi były zawarte, a zza nich dobiegały niewieście krzyki. Cofnąłem się, po czym z rozpędu kopnąłem w drzwi. Ustąpiły, ale straciłem równowagę i wyłożyłem się w tonącej w półmroku izbie jak długi, kątem oka rejestrując jakiegoś chłopca z zakrwawioną głową, spoczywającego tuż przed moim nosem, a dalej, w jednym kącie tulącą się do siebie wzajem dwójkę kilkuletniego drobiazgu, w drugim zaś kobietę z zadartą w górę kiecą, walczącą rozpaczliwie z Chrisem, który usiłował ją pojąć. Zerwaliśmy się w tym samym momencie. Jemu wszak przeszkadzały opuszczone spodnie, ale ja pośliznąłem się w kałuży juchy na polepie. Dopadł mnie pierwszy i wyrznął w szczękę tak potężnie, że świeczki stanęły mi w oczach i znów padłem jak długi, a on na mnie. Łapy jak cęgi zacisnęły mi się na szyi. Szlag, znowu to samo! W tejże chwili rozjarzyła się podpalona w sąsiedztwie druga chałupa, a światło dotarło do wnętrza przez uchylone drzwi. Wówczas dopiero mnie rozpoznał. Na zarośniętą gębę wypełził mu wstrętny uśmiezek.

- To ty! Cóż za szczęśny dzień... Lubię skończyć, com zaczął.

Wykorzystałem jego chwilową nieuważę, by podbić mu od dołu łapska i oderwać je od mojego gardła, po czym huknął z prawej w pysk. Łeb mu odskoczył, ale nie mogłem wziąć należytego zamachu, więc otrząsnął się tylko jak pies i nie bacząc na moje walenie go po nerkach, znów zabrał do duszenia, szybko odbierając mi wszelkie siły. Miałem nadzieję, że kobieta, która już dźwignęła się na nogi i z dziećmi uczeponymi kurczowo spódnicy przesuwała wolno wzdłuż ściany, zechce mi pomóc, ale zamiast tego zaczęła gmerać przy zamku drzwi wiodących do komory, skąd od pewnej

261

chwili dobiegały dziwne pomruki i drapania. Pewnie trzymano tam bachmata, na którym rodzina zamierzała salwować się ucieczką, póki ich prześladowca był zajęty inną ofiarą. Nie mogłem ich winić za chęć ocalenia własnej skóry, szkoda mi jeno było mojej, która wyglądała na straconą akurat teraz, kiedy z powrotem zaczęło mi na niej zależeć. Czuję, jak oczy wylazą mi na wierzch. Myślałem, że mi się w nich dwoi, gdym ujrzał kudłaty łeb pochylający się nad Żeglarzem i zionący smrodliwym oddechem.

Nagle Chris wydał z siebie rozdzierający jęk, jego uścisk na moim gardle ustał, po czym z niedowierzaniem zobaczyłem go unoszącego się ku powale i wrzeszczącego pod niebiosa, i pojąłem, że to nie bachmat był zamknięty w komorze, tylko ogromny niedźwiedź! Miał munsztuk, czyli kaganiec podobny do wędzidla, a w nosie żelazne kółko, do którego doczepiony był łańcuch. Chrisowi udało się dobyć sztyletu, który usiłował wbić bestii w oko, ale źle trafił. Rozorał mu tylko czoło i poszarpał ucho, wprawiając we wściekłość. Z powodu kagańca zwierz nie mógł pożreć Żeglarza, lecz ścisnąwszy go potężnie i złamawszy łotrowi przy okazji kilka żeber, co też on powitał dzikim wrzaskiem, obalił na polepę, tylnymi łapami rozszarpując żywot. Ludzki krzyk przeszedł w wycie, a mnie zrobiło się niedobrze na widok jelit wydobywających się z rozprutych wątpi, nie mówiąc o okropnym cuchu żołądkowych gazów, który buchnął mi prosto w nos.

Wrzaski Żeglarza przywabiły do chaty kilku żołnierzy z pochodniami, którzy rzucili się na bestię i zakłuli ją w jednej chwili szablami i spisami. Nic to nie pomogło Chrisowi. Wydał z

siebie jeszcze kilka cichnących jęków, po czym umilkł na wieczność. Żal mi się zrobiło. Zwierza, oczywiście. Ostatecznie uratował mi życie. Kazałem żołnierzom wywlec wszystkie trzy truchła na zewnątrz, po czym wziąłem jedną pochodnię i poszedłem do komory. Była pusta! Okien, okrom małego zakratowanego otworu, nie miała, gdzie zatem zniknęła niewiasta z dziećmi? Stałem jeszcze, z niedowierzaniem oświetlając wszystkie kąty, gdy poruszyła się podłoga pod moimi stopami i usłyszałem stuki dobiegające od spodu. Odsunąłem się na bok i wtedy odskoczyła kłapa kryjąca wchód do loszku, z którego najpierw wylał Valdas, za nim nieznanymi mi Moskal w wysokiej czapie i cennych szatach, kobieta z dziećmi, a na końcu... Kettler z pistoletem w garści.

262

*

chwili dobiegały dziwne pomruki i drapania. Pewnie trzymano tam bachmata, na którym rodzina zamierzała salwować się ucieczką, póki ich prześladowca był zajęty inną ofiarą. Nie mogłem ich winić za chęć ocalenia własnej skóry, szkoda mi jeno było mojej, która wyglądała na straconą akurat teraz, kiedy z powrotem zaczęło mi na niej zależeć. Czułem, jak oczy wylażą mi na wierzch. Myślałem, że mi się w nich dwoi, gdym ujrzał kudłaty łeb pochylający się nad Żeglarzem i zionący smrodliwym oddechem.

Nagle Chris wydał z siebie rozdzierający jęk, jego uścisk na moim gardle ustał, po czym z niedowierzaniem zobaczyłem go unoszącego się ku powale i wrzeszczącego pod niebiosa, i pojąłem, że to nie bachmat był zamknięty w komorze, tylko ogromny niedźwiedź! Miał munsztuk, czyli kaganiec podobny do wędzidla, a w nosie żelazne kółko, do którego doczepiony był łańcuch. Chrisowi udało się dobyć sztyletu, który usiłował wbić bestii w oko, ale źle trafił. Rozorał mu tylko czoło i poszarpał ucho, wprawiając we wściekłość. Z powodu kagańca zwierz nie mógł pożreć Żeglarza, lecz ścisnąwszy go potężnie i złamawszy łotrowi przy okazji kilka żeber, co też on powitał dzikim wrzaskiem, obalił na polepę, tylnymi łapami rozszarpując żywot. Ludzki krzyk przeszedł w wycie, a mnie zrobiło się niedobrze na widok jelit wydobywających się z rozprutych wątpi, nie mówiąc o okropnym cuchu żołądkowych gazów, który buchnął mi prosto w nos.

Wrzaski Żeglarza przywabiły do chaty kilku żołnierzów z pochodniami, którzy rzucili się na bestię i zakłuli ją w jednej chwili szablami i spisami. Nic to nie pomogło Chrisowi. Wydał z siebie jeszcze kilka cichnących jęków, po czym umilkł na wieczność. Żal mi się zrobiło. Zwierza, oczywiście. Ostatecznie uratował mi życie. Kazałem żołnierzom wywlec wszystkie trzy truchła na zewnątrz, po czym wziąłem jedną pochodnię i poszedłem do komory. Była pusta! Okien, okrom małego zakratowanego otworu, nie miała, gdzie zatem zniknęła niewiasta z dziećmi? Stałem jeszcze, z niedowierzaniem oświetlając wszystkie kąty, gdy poruszyła się podłoga pod moimi stopami i usłyszałem stuki dobiegające od spodu. Odsunąłem się na bok i wtedy odskoczyła kłapa kryjąca wchód do loszku, z którego najpierw wylał Váidas, za nim nieznanymi mi Moskal w wysokiej czapie i cennych szatach, kobieta z dziećmi, a na końcu... Kettler z pistoletem w garści.

262

chwili dobiegały dziwne pomruki i drapania. Pewnie trzymano tam bachmata, na którym rodzina zamierzała salwować się ucieczką, póki ich prześladowca był zajęty inną ofiarą. Nie mogłem ich winić za chęć ocalenia własnej skóry, szkoda mi jeno było mojej, która wyglądała na straconą akurat teraz, kiedy z powrotem zaczęło mi na niej zależeć. Czułem, jak oczy wylażą mi na wierzch. Myślałem, że mi się w nich dwoi, gdym ujrzał kudłaty łeb pochylający się nad Żeglarzem i zionący smrodliwym oddechem.

Nagle Chris wydał z siebie rozdzierający jęk, jego uścisk na moim gardle ustał, po czym z niedowierzaniem zobaczyłem go unoszącego się ku powale i wrzeszczącego pod niebiosa, i pojąłem, że to nie bachmat był zamknięty w komorze, tylko ogromny niedźwiedź! Miał munsztuk, czyli kaganiec podobny do wędzidla, a w nosie żelazne kółko, do którego

doczepiony był łańcuch. Chrisowi udało się dobyć sztyletu, który usiłował wbić bestii w oko, ale źle trafił. Rozorał mu tylko czoło i poszarpał ucho, wprawiając we wściekłość. Z powodu kagańca zwierzę nie mógł pożreć Żeglarza, lecz ścisnąwszy go potężnie i złamawszy łotrowi przy okazji kilka żeber, co też on powitał dzikim wrzaskiem, obalił na polepę, tylnymi łapami rozszarpując żywot. Ludzki krzyk przeszedł w wycie, a mnie zrobiło się niedobrze na widok jelit wydobywających się z rozprutych wątpi, nie mówiąc o okropnym cuchu żołądkowych gazów, który buchnął mi prosto w nos.

Wrzaski Żeglarza przywabiły do chaty kilku żołnierzy z pochodniami, którzy rzucili się na bestię i zakłuli ją w jednej chwili szablami i spisami. Nic to nie pomogło Chrisowi. Wydał z siebie jeszcze kilka cichnących jęków, po czym umilkł na wieczność. Żal mi się zrobiło. Zwierza, oczywiście. Ostatecznie uratował mi życie. Kazałem żołnierzom wywlec wszystkie trzy truchła na zewnątrz, po czym wziąłem jedną pochodnię i poszedłem do komory. Była pusta! Okien, okrom małego zakratowanego otworu, nie miała, gdzie zatem zniknęła niewiasta z dziećmi? Stałem jeszcze, z niedowierzaniem oświetlając wszystkie kąty, gdy poruszyła się podłoga pod moimi stopami i usłyszałem stuki dobiegające od spodu. Odsunąłem się na bok i wtedy odskoczyła kłapa kryjąca wchód do loszku, z którego najpierw wylał Valdas, za nim nieznan mi Moskał w wysokiej czapie i cennych szatach, kobieta z dziećmi, a na końcu... Kettler z pistoletem w garści.

262

- Oho, imię Ryx. Miło widzieć. Co was zatrzymało?
- Mieliliśmy drobne turbacje. Zwłaszcza ja. Gdyby nie niedźwiedź Valdasa, byłoby ze mną krucho.
- Co z moim Miską? - spytał skomoroch.
- Exitus - odparłem. - Ubity przez żołnierzy.
- Szkoda - mruknął z żalem. - Minie dużo czasu, nim ułożę drugiego.
- Co sam robicie?
- Pozwól wprzód zaprezentować sobie imię Grigorija Afansjewicza Naszczokina, exposła moskiewskiego i późniejszego hetmana ichnich ordyńców - przedstawił mi Kettler strojnego Moskala, stojącego ze smętną miną i patrzącego nań nienawistnym wzrokiem.
- Pńdatiel! - rzucił z pogardą i splunął pod nogi. - Szpion!
- Malczy, suczyj synu! - nie pozostał mu dłużny Kurlandczyk, po czym znów zwrócił się do mnie: - Twój pierścień bardzo mi pomógł. Acz zapomniałem ci rzec, że zachowałem sobie jeden ze sfalszowanych listów Ościkowych, co społem umożliwiło mi, jako rzekomemu renegatowi, wkraść się w łaski gospodina Naszczokina i karmić go fałszywymi wieściami z obozu królewskiego, a potem za pośrednictwem Valdasa posłać naszym prawdziwe nowiny o poczynaniach Moskali. Od razu domyśliłem się, po co tu naprawdę przybył i kto go przysłał. A dzięki memu wstawiennictwu imię Naszczokin przyjął go z otwartymi ramionami.
- Skoro król i panowie senatorowie nie chcieli uwierzyć Ościkowi, dowiedzą się imion zdrajców u samej krynicy. I tego, jak za-miarowano spalić Wilno, a przy okazji upiec króla Stefana niczym kapłona - dodał po przerwie z satysfakcją, popychając przodem Moskala. - •Ty go dostarczysz naczalstwu, mości Ryksie, po staremu nie wspominając o mnie ani słowa. Ja już swoje zrobiłem i zaraz znikam, a regestr zdrajców na wszelki wypadek mam tu - pogładził się po kieszeni, po czym zdjął z palca sygnet z dwugłowym orłem i zwrócił mi.
- Wybornie się spisałeś, ty i twoi kompani - klepnąłem Valdasa w ramię. - Suta nagroda z pewnością was nie ominie. Sprawisz sobie nowego miśka i jeszcze ci sporo zostanie. Pokraśniał z zadowolenia. Odprowadziłem zarówno Naszczokina, jak i kobietę z dziećmi do księcia Zbaraskiego, który tymczasem

263

nadciągnął z głównymi siłami pod Toropiec. Spotkałem u niego Stachnika, który przywiódł drugiego z wodzów moskiewskich - De-menczę Czeremisinowa. Jak pobieżnie szacowano, przepędziliśmy

0 wiele silniejszego wroga, ubiliśmy w pościgu trzystu, pięciuset nieprzyjaciół, a do niewoli dostało się dwustu, w tym wielu bojarskich synów i obaj hetmani. Zadanie było wykonane, zresztą zapadła głucha noc, a zdobywać twierdzy wojewoda braclawski nie miał ani zamiaru, ani rozkazu, ani możliwości, więc cofnęliśmy się, by rozbić obóz poza zasięgiem dział zamkowych, niemal do białego rana fetując zwycięstwo.

- Co ci jest? - zaniepokoił się Stachnik, kiedy wchodząc do namiotu, zatoczyłem się i upadłem. >

- Chyba ten przeklętnik Zborowski dziabnął mnie mocniej, niż mi się z pierwotku zdawało. Albo rana otworzyła się, kiedy walczyłem z Żeglarzem, i nie zauważyłem tego w porę - wystękałem. Wiedział już o okolicznościach, w jakich natknąłem się na Nasz-czokina. Chciałem wstać, lecz nie mogłem. Zaniósł mnie na posłanie. Mimo delikatnej postury, miał krzepę. Rozebrał mnie i gwizdnął.

- U licha, nie wygląda to dobrze. Jarek! Czystej wody i płótna! Duchem! Obmyli mi ranę i obwiązali, jak umieli najlepiej.

- Jutro wyślę cię do obozu królewskiego na wozie. Ani słowa! - rzekł stanowczo Stachnik, w zarodku ucinając moje słabe protesty.

Kiedy zatem książe pchnął do króla ze szczęsnymi wieściami kraj-czego Filipowskiego, Ossolińskiego i Farensbacha, by opowiedzieli ze szczegółami, jak było, zabrali mnie ze sobą na wozie. W raporcie znalazły się nazwiska wszystkich bohaterów potyczki na moście przez Hiropończę, oprócz mojego, mimo protestów Żółkiewskiego. Następnego dnia rankiem bohaterowie wyprawy pod Toropiec połączyli się z resztą wojska w obozie pod Iwancowem. Na ich cześć trąbiono hasło na ten dzień: Chwała Panu Bogu, na nutę Te Deam laudamus, jak wówczas gdy padły Wielkie Łuki. Zgromadzone żołnierstwo wznosiło okrzyki, skandując imiona bohaterów, wśród których najczęściej pojawiały się nazwiska Samuela Zborowskiego i Stadnickiego, którego nie nazywano inaczej jak „polskim Decjuszem”. O mnie nikt nie wspominał.

264

Tym większe było moje zaskoczenie, kiedy nagle załopotana odrzucona płachta u wchodu i do namiotu zamasyście wkroczył król z depczącym mu po piętach nieodstępny kanclerzem Zamojskim. Za nimi majaczył spory tłumek rycerstwa na czele z Żółkiewskim, uśmiechniętym od ucha do ucha.

- Leż! - nakazał Batory, widząc moje nieporadne wysiłki, by powstać. - Wysłaliśmy do ciebie Bucellę i Oczkę. Byli sam?

- Byli, wasza królewska mość. Dzięki ich staraniu za dwa lub trzy dni powinienem stanąć na nogi - z trudem, bo wciąż byłem bardzo słaby, udało mi się podciągnąć, wesprzeć na łokciu i przyjąć pozycję półleżącą.

- Ciesz się nas to. Smuci zaś, żeś pod królewskim bokiem stanął do pojedynku, choć to zakazane - namarszczył krzaczaste brwi. - Wiemy jednak, czemuś to uczynił. A także, jak po rycersku się sprawiłeś i czegoś dokonał potem na moście przez Hiropończę oraz w Toropcu - dodał już łagodniej, a ja odetchnąłem z ulgą. - Biorąc to, tudzież twoje uprzednie zasługi jako medyka i inwestygatora, pod uwagę, radzi jesteśmy, żeś nas nie zawiódł. Tedy na mocy przysługującego nam wojennego prawa, niniejszym ogłaszamy cię, Kacprze Hiropoński, szlachcicem i naszym królewskim oficerem do ekstraordynaryjnych poruczeń.

Skinął na Zamojskiego, a ten wręczył mi trzymany pod pachą oręż. Była to ciężka szabla węgierska zwana batorówką, o długim jelcu i ostro ściętej główicy rękojeści. Kiedy wysunąłem ją nieco z pochwy, pokazały się złoczone napisy na głównej: „Genoa”, świadczący o italskim pochodzeniu żelaza, oraz „Stephanus Batori R.P.”1 wraz z herbem królewskim:

Smoczymi Zębami (przodek rodu Batorych, niejaki Opos, mąż zaiste bardzo batory, czyli chrobry, ponoć wsławił się zabiciem smoka); u nas zwano ów herb Wilczymi Kłami.

- Wasza królewska mość, nie wiem, co rzec... - wyjąkałem i pochyliłem się ku królewskiej dłoni, w głowie mi wirowało.

- Witaj pośród nobilów, Kacprze Hiropoński herbu Jelita - Zamojski nachylił się i przycisnął mnie do serca.

Towarzystwo przed namiotem wiwatowało, krzycząc i podrzucając w górę czapki, a ja nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić, i siedziałem jak głupi ze wzrokiem utkwionym w trzymanej w rękach

1 Rex Poloniae (lac.) - król Polski.

265

szabli jeszcze długo po tym, jak król i kanclerz opuścili namiot. Dopiero roześmiany Stachnik, dzierżąc pod pachą zdobyte gdzieś dwie flaszki wina, i inni oficerowie, którzy całą gromadą wtargnęli do namiotu, aby świętować moje wyniesienie, wybudzili mnie z osłupienia. Mało potem piłem, a i tak byłem w dziwnym stanie w pół upojenia. W trakcie biesiady dołączył sam kanclerz, a za nim słudzy wnieśli antałek przedniego węgrzyna i libacja zaczęła się na nowo.

- Naszczokin wydał wszystkich zdrajców, współników Ościka, i opowiedział ze szczegółami o próbie zamachu na króla jeszcze w Wilnie - powiedział Stachnik, gdyśmy układali się do snu. - Znów powtórzyły się nazwiska Jędrzeja i Christofa Zborowskich.

- Ale nie Samuela?

- Nie. Jednak ani Samuel, ani Stadnicki nie doczekali się pochwały z ust króla. Dlatego kiedy zwiedzieli się, że masz być uszlachcony, omal nie dostali apopleksji.

- I co teraz będzie?

- Z kim?

- Z Jędrzejem Zborowskim i drugimi zdrajcami?

- A co ma być? Nic. Może kiedyś wyciągnie im się te i drugie sprawy, ale nie teraz, gdy trwa wojna i nie łąza sobie czynić jawnych wrogów we własnym obozie.

Zanim zasnął, spytał jeszcze:

- Powiedz, jak się teraz czujesz, panie Uiropoński?

- Jeszcze to do mnie nie dotarło - odpowiedziałem zgodnie z prawdą. - Stachnik, musisz coś wiedzieć...

- Co takiego?

- Dopiero tam, na moście przez Turopończę, wyżyłem się strachu. Pod Wielkimi Łukami miałem nogi jak z waty.

- Wiem. Może i nie mam tak celnego oka jak ty, ale ślepy nie jestem - mruknął na w pół śpiąco. - Nie masz czym się przejmować. Nikt nie rodzi się bohaterem, ale także nie każdy nim zostaje. Tobie się udało, więc się ciesz. A teraz śpij.

Długo ostygłem z emocji. Potem moje myśli, jak co noc, pobiegły ku Jance. Nareszcie mieliśmy nadzieję na wspólną przyszłość. Usnąłem, mocno ściskając w dłoniach batorówkę, jakby to był mój pomost do nowego życia.

Kilka dni później zacząłem już chodzić, ale zwolniony od drugich zajęć, często wylegiwałem się z książką na posłaniu. Pogrą-

266

*

żony w lekturze, zapadłem w drzemkę. Słońce już zachodziło, kiedy obudził mnie Jarek.

- Wasza miłość, ktoś czeka na zewnątrz i doprasza się widzenia.

Przed namiotem czekał ordyniec, który padł przede mną na twarz, po czym powstał i rzekł dobrą polszczyzną:

- Efendi, mój pan prosi, byś udał się wraz ze mną przed jego oblicze.
- Kto jest twoim panem?
- Azamet Murza.
- Idę z tobą - powiedział stanowczo Żółkiewski, który nadszedł przed momentem i przysłuchiwał się ciekawie.

Poszliśmy za Tatarem. Namiot czausza, wyróżniający się spośród innych kosztowną materiałą jedwabną, z powiewającą na szczycie zieloną chorągwią z półksiężycem i buńczukami wbitymi u wejścia, stał na skraju obozu, w pewnym oddaleniu od drugich. Kiedy przewodnik przepuścił nas przodem, ujrzeliśmy rozjaśnione kagankami i lampionami pyszne wnętrze. Na ścianach razem z przepięknymi okazami broni wisiało mnóstwo przednich tkanin, a na ziemi rozścielono stubarwne perskie kobierce o włosiu wysokim na stopę. Azamet Murza siedział na poduszce przed niską ławą z hebanu, inkrustowaną złotem i z chińskiej porcelany popijał ciemny i gęsty jak smoła napój o intensywnym aromacie. Równocześnie zaś wciągał coś przez długą rurkę czy trzcinę, wypuszczając dym nosem i ustami. Patrzyliśmy na to zafascynowani.

- To kahwa - rzekł, widząc, co nas zainteresowało. - A to tiiin - pokazał nam trzymaną w garści połączoną z ową trzciną glinianą główkę, w której żarzyły się i tliły jakieś wonne zioła. - Spocznijcie i zakosztujcie ze mną jednego lub drugiego, albo też obu razem, jak wola. Wskazał nam miejsca przy sobie, po czym klasnął na stojących nieruchomo jak posągi dwóch czarnych służących.

- To tytuń. Ponoć przywieziono go z Nowego Świata - szepnął mi na ucho Stachnik. - Niedawno padyszach Murad III przysłał królowi w darze jego liście. Ale choć doktor Schneeberger zachwalał, że wdychany dym łagodzi głód i pragnienie, dodaje sił, a na dodatek uśmierza skutki opilstwa, czyniąc człeka łagodnym i pogodnym, król odrzekł, że na oźralstwo najlepszy jest węgryz.

267

- Dziękuję, lecz musimy zaraz wracać - oznajmiłem wykrętnie Tatarowi. - Byłem ranny i wciąż czuję się słaby, a imć Żółkiewskiemu spieszno na radę.

- Cóż...

Podniósł się i rzucił coś szczekliwym tonem do owych sług. Zaraz jeden z nich kopnął się po dzban i natychmiast wrócił z powrotem. Azamet Murza podszedł do mnie, trzymając w dłoni szablę w cennej pochwie i wbijając we mnie swe mroczne źrenice, powiedział uroczyście:

- Niezmierzona jest łaska i niezbadana wola Pana naszego, Allacha, który sprawił, że ty, giaur, uratowałeś mi życie. Odtąd nie będziemy już sobie obcy, będziemy braćmi.

Wstałem. Wydobył szablę z pochwy, a ja cofnąłem się instynktownie, lecz Stachnik mnie powstrzymał.

- Bez obawy, chce zawrzeć pobratymstwo - szepnął. - Wyciągnij rapier.

Słyszałem o tym obyczaju. Pobratymcy walczący we wrogich obozach podczas bitwy mieli obowiązek rozejścia się bez walki, musieli też sobie pomóc, gdy jeden z nich trafił do niewoli. Mimo wzajemnej wrogości tak Polacy, jak i Kozacy Niżowi mieli wśród Tatarów wielu pobratymców i na odwrót. Nieraz był to jedyny sposób uratowania życia. Dlatego bez słowa wyjąłem swój rapier i skrzyżowaliśmy ostrza. Azamet Murza zaczerpnął w dłoń wody z dzbanu trzymanego przez sługę i lał ją na oba nagie ostrza, woda zaś ska-pywała z powrotem do dzbanu, z którego obaj potem upiliśmy po łyku, a Tatar wyrzekł zwyczajową formułę:

- Kto by tę przyjaźń i to sprzymierzenie złamał, tedy niechaj by od tej szabli zginął i krew się jego tak lała, jako się ta woda leje.

Następnie zdjął z własnej szyi i zawiesił na mojej jakiś talizman.

- To amulet o potężnej mocy uczyniony ze starodawnej achemyjskiej lub arabskiej z napisami kufickimi, których nikt już odczytać nie potrafi, i dlatego niewierni w swojej niezmiernie głupocie uważają go za konterfekt i dzieło diabelskie, a w istocie to znak błogosławieństwa rodziców. Niechaj cię chroni, mój bracie, a łaska Allacha niechaj cię nigdy nie opuszcza. Ale to jeszcze nie był koniec. Zdjął z palca złoty pierścień z wizerunkiem ryby, utworzonym z kresek przypominających grecką buksztabę a, i wsunął go na mój palec.

268

- To Bałuk, tamga naszego rodu. „Bałuk” albo po turecku „balik” znaczy ryba. Komukolwiek z mojego ludu go okażesz, nie odmówi ci pomocy. Niechaj ci służy i nie pozwala zapomnieć o twoim nowym bracie. Skinął na drugiego sługę, który przyniósł szablę. Azamet Murza odebrał ją od niego i wręczył mi.

- Weź ją. To najpiękniejsza z moich szabel. Niechaj cię broni od wszystkich nieprzyjaciół.

Skrzyżował ręce na piersi i uklonił mi się nisko. Nie chciałem być gorszy i uczyniłem to samo. Wyglądało na to, że audiencja dobiegła końca, więc opuściliśmy namiot, znów poprzedzani przez sługę z latarnią.

- Ej ty, poświeć no sam - rzeki Stachnik, zatrzymując się i odbierając ode mnie szablę. - Przepiękna - aż westchnął z zachwytu, kiedy wyjęta z pochwy serpentyna błysnęła w świetle. - To jest

v szemszir, szabla perska, wygięta na podobieństwo lwiego ogona, co ponoć nazwa ta właśnie oznacza. Spójrz na ów pięknie wytrawiony rysunek wyobrażający walkę ptaka Feniksa ze smokiem, albo na ten. Widzisz? To ponoć magiczny kwadrat, beduh, zapewniający szczęście. Buksztaby B, D, U, H odpowiadają cyfrom 2, 4, 6, 8. Ale czemu akurat one zapewniają fortunę, zabij mnie, nie wiem.

Wziąłem szablę i po powrocie na kwaterę dołączyłem do bato-rówki. Łącznie z darem króla Augusta sprzed lat, dysponowałem wcale piękną kolekcją szabel. Mógłbym otworzyć kram.

rozdział 6 | ZNIKNIĘCIE

Wielkie Łuki, październik 1580 roku

Samuel Zborowski wielkimi krokami przemierzał namiot. Od wczoraj, czyli od powrotu z audiencji u króla, był jak chmura gradowa i czeladź wołała schodzić mu z drogi. Zresztą mieli pełne ręce roboty, ponieważ ich pan, jak większość szlachty, zdecydował się na powrót. Stadnicki wyjechał już przed tygodniem, na początku miesiąca i zaraz po tym, jak wuj zwierzył mu się z zamiaru ostatecznego rozmówienia się z Batorym. Diabeł był wprawdzie tak samo rozczarowany niewdzięcznością króla, ale odradzał Zborowskiemu krok aż tak desperacki i nie chciał z nim mieć nic wspólnego. Zresztą Stadnicki słynął z tego, że wyczuwał kłopoty na milę i nigdy nie upierał się przy przegranej sprawie. Dzięki temu zawsze spadał na cztery łapy. Poczęstował więc wuja swoją dewizą: Aspettate e odiatelo i czmychnął w pośpiechu. „Tchórz!”, pomyślał o nim Samuel z pogardą i z wściekłością walnął czekaniem w namiotowy słup, omal nie zwalając sobie na głowę kilkadziesiąt łokci ciężkiej materii. W tej chwili do namiotu wsadził głowę zalęknięty Ruski.

- Wasza miłość, ktoś do waszej miłości.

- Kto?

- Nie znam go. Nie chce powiedzieć. Mówi, że wasza miłość wie.

- Proś.

Ale zanim sługa zdążył wykonać polecenie, silna ręka odsunęła go na bok i człowiek w czerni, w kapeluszu wciśniętym na oczy, wśliznął się raczej do środka, niż wszedł.

- Ponoć szukałeś mnie pan przez wspólnych znajomych. Zatem jestem - rzekł cicho.

- Ruski! Wyjdź i waruj na zewnątrz. Nie ma mnie dla nikogo!

' Czekać i nienawidzić (wl.).

270

Kiedy totumfacki opuścił namiot, Zborowski wskazał gościowi jedną ze spakowanych skrzyń.

- Daruj, waść, że nie mogę cię godniej podjąć.
- Waszmość opuszczasz obóz? - człowiek w czerni skorzystał z propozycji, kapelusze kładąc na sąsiedniej skrzynce.

Teraz dopiero widać było jego trupio bladą twarz, zupełnie białe włosy i patrzące nieruchomo, czerwone jak u królika oczy.

- A owszem. Niewdzięczność mnie sam jeno spotkała a daremne krwi przelanie...

Przybysz nie dał po sobie poznać, że wie, o co chodzi. A jednak nie było tajne, przynajmniej starszyźnie, że Zborowski tak długo nalegał poprzez brata Jana oraz między innymi Zamojskiego, że Batory w końcu udzielił mu posłuchania. I to w cztery oczy! Dlatego nikt nie wiedział, o czym mówili. Ale z podniesionych tonów dorozumiano się, iż nie było to nic przyjemnego, zwłaszcza że Samuel wypadł z królewskiego namiotu czerwony z wściekłości, król zaś był blady jak całun, wargi miał jeszcze bardziej zaciśnięte niż zazwyczaj, a oczy miały błyskawice. Bielak jednak na swój sposób podziwiał Samuela, choć go nie lubił. Żeby zdrzeć z królem z żelaza, trzeba było mieć jajca.

- Przelanie krwi za ojczyznę nigdy nie jest daremne - zauważył.
- Być może, lecz nie po to acana wezwałem, abys mnie pouczał. Ponoć jesteś mistrzem w swoim fachu, mości Kettler, czy jak cię tam zwą. Poleciał mi twoje usługi imię Jerzy Mniszech, dla którego jakoby wykonałeś kiedyś trudną robotę ku jego wielkiemu ukontentowaniu.

Albinos uśmiechnął się krzywo na wspomnienie sprawy z magiem Twardowskim, kiedy to Ryx omal nie pokrzyżował mu szyków.

- Ciesz się taką rekomendacją. Ale nie jestem tani - wtrącił.
- Wiem. Oto pięćset dukatów - Samuel położył przed sobą pełną sakiewkę.
- O kogo idzie?
- O niejakiego Ryksa. Pardon, teraz to jaśnie wielmożny pan Hiropoński. Piekło i szatani! Co to za król, który nie szczędzi łask chudopachołkom, a odmawia nagrody zasłużonym! Oby z piekła nie wyjrzał!

271

Ścisnął w dłoni rękojeść czekana, że mało nie wycisnął z niej soków. Ale na zabójcy jego wybuch nie uczynił wrażenia.

- Ryx czy król? - spytał niewinnie.

Samuel spojrział nań gniewnie, doszukując się ukrytego szyderstwa, lecz twarz albinosa była nieprzenikniona jak maska.

- Nieważne. Bierzesz tę robotę czy nie? Stawiam tylko jeden warunek. To musi się odbyć już po moim odjeździe. Mam wrogów i turbacji bez tego pod dostatkiem, a temu łotrowi nie brak możnych protektorów.

Wbił chmurne spojrzenie w nieruchome oblicze zabójcy.

- Z przykrością muszę odmówić - odparł Kettler, bez trudu dotrzymując pola w tym wzrokowym pojedynku. - Choć sprawa mnie nie przerasta, a nagroda jest godziwa, jednak nie idzie o pieniądze.

- A o co?

- Widzisz waść, zawarłem z imię Ryksem alias panem TUropońskim rodzaj niepisanego przymierza na czas wojny, a ja nigdy nie łamię słowa. Nawet, a może zwłaszcza, danego sobie.

Zborowski przyglądał mu się z niedowierzaniem.

- Zatem odmawiasz? - pochylił się ku tamtemu i wyszczał groźnie: - A wiesz, że wystarczy jedno moje słowo i nie opuścisz żywego tego namiotu?

- A waść wiesz, że gdybym nie wrócił stąd do godziny, wówczas mój list ze wszystkim, co wiem o sprawkach całego waszego rodu, dotrze do kanclerza? - zabójca również nachylił się ku Zborowskiemu, tak iż ich twarze dzieliła odległość nie większa od piędzi. - I to wiedz jeszcze, mój panie, że gdyby tylko ktoś zechciał zapłacić mi tyle, ile ty ofiarujesz za Ryksa, bez wahania zabiłbym twego brata Andrzeja, a potem odszukał Krzysztofa, choćby się skrył u samego cesarza za piecem. Są to bowiem jawni zdrajcy, a ja brzydzę się zdradą. Na domiar jestem Kurlandczykiem, a ponieważ przyszłość Kurlandii i całych Inflant zawisła od króla i poniekąd Ryksa także, zatem ich osoby są dla mnie nietykalne. Przynajmniej na czas wojny - dodał już lżejszym tonem.

Na Samuelu zuchwalstwo Kettlera zrobiło duże wrażenie. Ten człowiek nie tylko nie dał się zastraszyć, ale sam groził. Cenił takich ludzi, bo sam do nich należał.

- Zatem w innych okolicznościach podjąłbyś się waść tego zadania? - sondował ugodowo.

272

Kurlandczyk podniósł się ze skrzyni i nasadził na głowę kapelusz.

- Moja dewiza brzmi: nigdy nie mów nigdy. Do zobaczenia w innych okolicznościach, panie Zborowski.

Do namiotu królewskiego wszedł Marcin Berzeviczy, pochodzący ze Spiszu przedstawiciel potężnego niegdyś, lecz teraz mocno podupadłego rodu węgierskiego. Kształcony w Niemczech, Francji i Italii, znał biegle kilka języków. Batory cenił takich jak on, którzy usiłowali się wybić dzięki własnym zdolnościom, a nie urodzeniu, gdyż sam do nich należał, i powierzył mu kierowanie kancelarią siedmiogrodzką, a także posyłał w misjach dyplomatycznych do rozmaitych krajów. Dzięki królewskiej łasce Berzeviczy doszedł do fortuny i kupił sobie w Kurlandii włość Dondangen razem z tytułem barona. Luteranin, za żonę miał Polkę, katoliczkę.

- Ferenc! - rzucił szorstko król do ochmistrza. - Dopilnuj, by nikt nam nie przeszkodził. Wesseleny bez słowa opuścił namiot i stanął u wejścia obok gwardzistów. Batory nie przestawał chodzić w koło z założonymi na tył rękoma i głębokim marszem na czole. Wreszcie stanął przed wyprężonym jak struna sekretarzem i rzekł:

- Mój Martinie, to, co teraz usłyszysz, musi pozostać między nami.

Po czym opowiedział mu, czego się dowiedział od Zborowskiego.

Berzeviczy bynajmniej nie był zaskoczony. Król należał do nielicznych chlubnych wyjątków w rodzie Batorych. Częste małżeństwa między bliskimi krewnymi, wrodzona madziarska krewkość odziedziczona po azjatyckich przodkach oraz okrucieństwo przejęte od tureckich najeźdźców sprawiły, iż wielu Batorych cechowała dzikość i brutalność granicząca z sadyzmem, opilstwo, a nierzadko szaleństwo. Stefan był inny. Jego bezwzględność wynikała z wielkiego poczucia sprawiedliwości.

- Czego wasza królewska mość ode mnie oczekuje?

- Pojedziesz na Węgry i odnajdziesz Nadasdy'ego, obojętnie gdzie by się znajdował.

Nie chcemy wysyłać listu, aby nie wpadł w niepowołane ręce. Opowiesz mu o wszystkim i zażadasz, by wniknął w sprawę i ukrócił nieczne praktyki swej małżonki, o ile informacje o nich się potwierdzą. Aby nie podejrzewano, że coś wspólnie knujemy, przy okazji zawieziesz Rudolfowi II sprawozdanie z naszej wiktorii pod Wielkimi Łukami. Na pewno się

273

i

uciesz - na ustach wykwitł mu grymas z grubsza podobny do kwaśnego uśmiechu.

- Tylko tyle? - zdumiał się sekretarz i dodał ostrożnie: - Jeśli Erzsebet okaże się winna zarzucanym jej zbrodniom, może lepiej byłoby nomen omen ukręcić sprawie łeb raz na zawsze...

- Nie! - przerwał mu Batory. - Nawet nie waż się proponować czegoś podobnego! Wiesz, że my nigdy nie zniżamy się do rzeczy tak niskich, jak skrytobójstwo. Zwłaszcza, gdy chodzi o kogoś z rodziny, a sprawa jest wątpliwa. Ostrzeżenie Nadasdy'ego w zupełności wystarczy. Rywalizuje z Thurzonem o urząd palatyna Węgier i nie może sobie pozwolić na skandal. Będzie wiedział, co robić, a my tę decyzję uszanujemy. Opuszczającym namiot królewski Berzeviczym targały wątpliwości. Podziwiał prawość króla i jego przywiązanie do rodziny, ale nie zgadzał się z nim w tej konkretnej sprawie. Wybryki Elżbiety mogły rzucić cień na dobrą sławę jej wuja. Zaś obowiązkiem szczerze doń przywiązanego sekretarza było temu zapobiec. Nawet wbrew woli monarchy, który nie musiał o tym nic wiedzieć. Berzeviczy znał kogoś, kto za odpowiednim wynagrodzeniem usuwał podobne kłopoty pewnie i zrecznie. Teraz więc udał się na poszukiwanie.

Dynów, październik/listopad 1580 roku

Ja Stanisław Stadnicki ze Żmigrodu a na Nienadowej, Szklarach, Tarnawie etc., rotmistrz królewski, tobie, Katarzyna z Maciejowskich Wapowska, oznajmuję to, że czyniąc dosyć prawu pospolitemu, posyłam ci odpowiedź przez dwóch szlachciców na imię Stanisława Tym-kowskiego i Balcera Dmochowskiego i woźnego Marcina Skoczylasa: iż ty i mąż twój nieboszczyk ważyliście się targnąć na własność moją prawowitą Dynów i oddać jej nie zamierujesz, przeto póki tego nie uczynisz, strzeż się mnie, i syn twój takoz, na wszelakim miejscu: chodząc, śpiąc, jedząc, pijąc, w domu, w drodze, w kościele, w łaźni, bo się tej krzywdy na was mścić będę i da Pan Bóg na gardle waszym usiedę. Dan w Dubiecku, dnia 18 miesiąca Octobń 1580.

274

- Kiedy to przyszło? - spytała Janka, z zainteresowaniem przeczytawszy tę litterae diffidationis, czyli odpowiedź, będącą formalnym, na piśmie, wypowiedzeniem walki na śmierć i życie, gdyż pierwszy raz miała do czynienia z czymś tak osobliwym. Siedzieli we trójkę, ona, Katarzyna i stary Jakub, przy stole w świetlicy. Za oknem zaciął deszcz, gdyż pogoda gwałtownie się załamała. W izbie ogień w kominie buzował wesoło, jednak chmurne nastroje zgromadzonych bardziej odpowiadały aurze na zewnątrz.

- Wczoraj pod wieczór. Ledwie Jakub pojechał po ciebie. Musieli obserwować dom - pociągnęła nosem Katarzyna.

- Już ja bym im pokazał, łotrom bez czci i wiary i tchórzom, co wdowę samotną nachodzić się ośmielają! - zaperzył się Jakub. - Wybatożyć bym kazał niecnoty i psami poszczuć!

Urząd woźnego sądowego był najbardziej godny pożałowania ze wszystkich, dlatego często sprawował go prosty chłop, nawykły do zbierania cięgów podczas doręczania pozwów, podobnie jak towarzyszący mu w myśl prawa ubodzy szlachcice chodaczkowi lub zagrodowi, za lada grosz gotowi dać się sponiewierać.

- Daj spokój, Jakubie - mitygowała go Janka. - Cóż oni zawinili? Gdyby nie dostarczyli odpowiedzi, Stadnicki ukarałby ich znacznie surowiej niż ty.

- Boże, Boże! Za cóż nas prześladowuje ten łotr? - załkała Katarzyna. - Toć Dynów jest nasz, są na to papiery i nie masz co do tego żadnego dubium.

- Ciasno mu w Dubiecku - mruknął famulus. - Z matką i braćmi w niezgodzie żyje, a włości, które dostał w dziale po ojcu, go nie kontentują. Tedy szuka dla się prawdziwie pańskiej siedziby. A łacniej mu zrobić zajazd na bezsilną wdowę niżli na kogo drugiego. Swoją odpowiedź pewnie już posłał do grodu.

- Tego się nie lękam - odparła gospodyni, nieco spokojniejszym tonem. - Toć pan starosta przemyski Jan Tomasz Drohojowski drużył się z moim mężem świętej pamięci i naszemu rodowi jest przyjazny. A jego przyjaciel serdeczny, kanclerz, takoz.

- Tylko że ich sam nie ma - trzeźwo zauważyła Janka. - Pisał mi Kacper, że pan starosta Drohojowski razem z imć kanclerzem Zamojskim poszli oblegać jakoweś Zawłóczę, przy którym i do zimy im zejść może.

275

Przypomnienie Kacpra Ryksa, o którego nobilitacji już wiedziała, odjęło Katarzynie resztki optymizmu.

- Co robić? Co robić? Radźcie - załamała ręce.

- Najprzód i my musimy bronić się odpowiedzią, bo inaczej lit-terae diffidationis tego przeklętnika nabierze mocy prawnej - powiedział Jakub. - Tedy trzeba nam znaleźć woźnego i dwóch ze szlachty, aby naszą odpowiedź uczynili i ona dali do ksiąg grodu. Jeno kto odważy się dostarczyć papier Stadnickiemu?

- Wątpię, by udało się znaleźć woźnego gotowego na taki azard, lecz odpowiedź doręczyć trzeba i ja to zrobię - odezwała Się Janka. - Jeszcze nie wiem jak, ale znajdę sposób.

- Musi panienka dawać na siebie baczenie - ostrzegł stary. - Po-zawczoraj o pół mili od Dynowa znaleziono przy drodze zwłoki panicza Daniłowicza. Ktoś strzelił mu w plecy. Świadców nie było, ale tego dnia widziano w pobliżu Ilkę i Zegarta, dwóch najzaufań-szych ludzi Stadnickiego.

- Myślisz, że to on kazał zabić tego nieszczęsnego młodzieńca? -starsza Wapowska podniosła dłoń do gardła, jakby ją nagle zabolalo.

- A kto? Jeśli ten charakternik maczał palce w zniknięciu panienki Stano, a panicz Daniłowicz wpadł w końcu na jakiś trop, tedy musiał zginąć. Powiem więcej: ponieważ to poddani waszej miłości znaleźli ciało i wasza miłość je odesłałaś rodzinie, Stadnicki nie omieszka oskarżyć jejmości o tę zbrodnię, o ile już tego nie uczynił.

- Jezusie Nazareński, jeszcze i to... - szepnęła zmartwiałymi wargami Katarzyna.

- Może zmytyguje się, kiedy usłyszysz, jak panienka Joanna rozprawiła się z beskidnikami - wtrącił Jakub. - Acz zbytnio bym na to nie rachował...

I rzeczywiście. Już następnego dnia ludzie Stadnickiego, wśród których rozpoznano Ilkę i Zegarta, napadli na opuszczony przez dziewczynę Nieczujów. Dworu nie zdobyli, ale spalili kilka chałup, resztę obrabowali, chłopów pobili, stawiających opór poddali okrutnym torturom, a kobiety i dziewczęta, którym nie udało się w porę ujść do lasu, zgwałcili. A jeszcze przed wieczorem zza ostrokołu wleciała szerokim łukiem do dworu w Dynowie i wbiła się w środek dziedzińca, cudem omijając bawiącego się Stasia, czarna strzała z doczepionym listem, w którym Stadnicki informował Wapow-ską, że w związku ze zdradziecką napaścią chłopów z Nieczujowa

276

na jego pacholków, przejeżdżających spokojnie drogą, wnosi przed sąd grodzki skargę na ten bezprzykładny gwałt. Katarzyna dostała spazmów i zamknęła się z synem w swojej sypialni, a Janka postanowiła działać. Zresztą podejrzewała, że ostatni wybryk Diabła był wymierzony bezpośrednio przeciwko niej. Stadnicki chciał pokazać, iż nic sobie nie robi z jej sławy pogromczyni grasantów, o czym szumiała już cała okolica, a może był o tę sławę zazdrosny. Dlatego nic nie mówiąc Katarzynie, ani nawet Jakubowi, trzy dni później, w męskim przebraniu wyjechała z dworu jeszcze przed świtem, zabierając ze sobą jedynie młodego Tatarzyna Tawłuszę, mistrza w strzelaniu z łuku. Wrócili po południu, bardzo z siebie radzi. Podczas wieczery, zaśmiewając się do rozpuku, opowiedziała przy stole, co zrobiła.

- Wjechaliśmy z Tawłuszą na majdan przed dworem w Dubiecku przez nikogo nie niepokojeni. Zresztą bałagan tam mają okropny, a czeladzi wszędy mnóstwo kręci się bez ładu i składu. Widocznie Diabeł nie spodziewał się, by ktokolwiek poważyl się najść go w jego zbójckim gnieździe. Wpadało jeno nie zwracać na siebie uwagi i czekać na dogodny moment. Jako i doczekaliśmy się. Stadnicki wyszedł przed dom i jął wywrzaskiwać rozkazy,

przez co uczyniło się jeszcze większe zamieszanie. Wtedy kazałam Tawłuszy wystrzelić czerwoną strzałę, którą wcześniej własnoręcznie wymalowałam, z doczepioną odpowiedzią. Strzała wbiła się w drzwi, o włos mijając Stadnickiego, a może nawet raniąc go w ucho, bo wrzasnął jak ranny zwierzę, opadł na kolana i zamiatając brzuchem ziemię, popędził na czworakach do domu, rycząc po drodze ze strachu i zatrząskując za sobą drzwi z hukiem. Taki uczynił się zamęt, żeśmy spokojnie odjechali. Puścili się za nami potem w pogoń, ale wzięliśmy najlepsze konie, więc rychło ustali, zwłaszcza iż strzeliłam ze dwa razy na postrach.

Słuchaczom rozjaśniły się oblicza na te słowa, a Staś zawołał:

- Tawłusza z łuku bach, a Diabeł w nogi! Ach, Joasiu, czemu nie zabraliście mnie ze sobą?

Janka była bardzo z siebie rada. Aż do następnego wieczora, kiedy luna rozjarzyła okolicę, a u wrót dworu rozległo się kołatanie i rozpaczliwe błagania:

- Otwierać!
- Ratujcie dobrzy państwo!
- Pomocy!

277

- Podpalił miasto, przeklętnik!

Upewniwszy się, że za uchodźcami nie podążają najezdnicy, wpuszczono nieszczęśników na majdan, który natychmiast wypełnił się tłumem lamentujących ludzi i ryczących ze strachu zwierząt. Katarzyna dostała spazmów na ten widok, więc Janka musiała się zająć ogarnięciem całego harmideru. Wzmocnione straże na wieży i ostro-kole całą noc paliły pochodnie w obawie, by wróg w ciemnościach nie podkraść się pod umocnienia. Jednak noc minęła spokojnie, zwłaszcza gdy Jance udało się jakoś rozlokować i ludzi i ich inwentarz. Jedzenia w spiżarni i loszkach po udanych zbiorach było dość, żeby wytrzymać nawet długotrwałe oblężenie, brakiem paszy dla dodatkowych zwierząt też się nie martwiła - miały pójść na rzeź w pierwszej kolejności, by zaoszczędzić zapasy. Trapiło ją tylko utrzymanie morale. Imię Diabła Stadnickiego paraliżowało bowiem najodważniejszych.

Jako i rankiem ujrzeli chyba ze dwie setki napastników, rozłożonych obozem wokół obwarowań. Wkrótce sam Stadnicki w otoczeniu kilku przybocznych podjechał pod ostrokoł, trzymając się ostrożnie poza donośnością strzału z rusznicy, i wrzasnął:

- Katarzyno z Maciejowskich Wapowska! Albo oddasz mi po dobroci co moje, a wtenczas zezwolę wam opuścić dwór cało i zdrowo acz bez statków, które mnie się należą wedle prawa, albo rozpoczniemy szturm, a wtenczas wszystko, co się przydarzy, na twoją spadnie głowę!

- Musimy negocjować - powiedziała Katarzyna pobladłymi wargami, stojąc w izbicy na wieży obok Janki i Jakuba. - Choćby po to, by zyskać na czasie. Da Bóg, nadejdzie pomoc.

- Niby skąd? - pozbawiła ją złudzeń Janka. - Zgadzam się, że trzeba rozmawiać. Ale językiem, który ten łotr najlepiej pojmuje. Wepchnij do lufy jeszcze odróbkę prochu i siekańców i wyceluj śmigownicę w Stadnickiego - poleciła słudze.

- Ale lufa może się rozlecieć - zaprotestował stary.

- Warto zaryzykować - ucięła i własnoręcznie zapaliła lont.

Huknęło działko, siła odrzutu niemal nie przewróciła całej konstrukcji, ale kiedy rozwiął się dym, ujrzano umykającego co sił w nogach Stadnickiego, czterech jego przybocznych obalonych razem z końmi, z czego jeden ruszał się jeszcze, a trzech nie, oraz popłoch w nieprzyjacielskich szeregach, w których głoty poraniły wiele wierzchowców i ludzi.

278

- Oto moja odpowiedź, diabelski pomociu! - wrzasnęła za uchodzącym. - Innej nie będzie!

Pierwszy drobny sukces dodał otuchy obrońcom, najeźdźcy zaś stracili zapał i cofnęli się.

- Może odejdą? - ludziła się Katarzyna.

- Wróć - markotnie odrzekła Janka. - Mamy dość prochu, broni, spży i ludzi do obrony, lecz nie zdołamy się bronić w nieskończoność. Trzeba coś wymyślić.

Lecz nie miała tego dnia czasu na myślenie, ponieważ rozwścieczony konfuzją Stadnicki pchnął swoich zbójów do szturm, kiedy tylko doszedł do siebie. Atak był nieprzygotowany i skończył się zupełną porażką. Szturmujący oddali pole, zostawiając na nim kilkunastu zabitych i ciężko rannych. Z nadejściem zmierzchu ograniczyli się zatem do wystrzeliwania zapalających strzał, ale obrońcy uwijali się jak w ukropie i nie dopuścili do pożaru. Janki było wszędzie pełno. Strzelała, wyrywała płonące strzały, gasiła ogień, komenderowała. Przed północą zwołała naradę bojową.

- Dziś poszło niezgorzej - stwierdziła - ale to dopiero początek. Jak Stadnicki ściągnie armatę, dopiero będziemy się mieli z pyszna. Trzeba pchnąć umyślnego do Przemyśla. Skoro Diabeł już wrócił z wojny, tedy może i pan starosta Drohojowski także.

- Ale jakim sposobem zdołamy go powiadomić? - zmartwiła się Katarzyna.

- Ktoś wymknie się przełazem.

Jak niemal wszystkie fortalicje, na wypadek oblężenia dwór miał przekopany tunel z zamaskowanym wyjściem w zaroślach nad Sanem. Janka kiedyś przypadkiem dowiedziała się o tym od Stasia.

- Oczywiście! Jak mogłam o tym zapomnieć! - na przygnębionym obliczu Katarzyny pojawiła się ulga.

- Jest drożny? - spytała Janka Jakuba.

- Nie wiem - odparł stary zawstydzony. - Od śmierci pana nie sprawdzaliśmy...

- Jest! - pochwalił się znajomością rzeczy Staś, zdradzając przy tym, że podsłuchiwał dorosłych, siedząc w kącie za skrzynią jak mysz pod miotłą, zamiast spać w drugiej izbie, jak miał przykazane. - Nieraz wymykali my się tamtędy z Tawłuszą, żeby postrzelać z łuków nad rzeką.

279

Katarzyna zaczęła besztuć malca za nieposłuszeństwo i samowolę, lecz Janka przerwała jej bezceremonialnie i zapędziła do pisania listów, nie tylko do starosty, ale także do okolicznej szlachty. Najchętniej poszłaby z nimi sama, lecz nie mogła powierzyć nikomu obrony. Po namyśle postanowiła posłać Tawłuszę. Młody Tatar był bystry i zręczny. Zgodził się ochoczo i w skupieniu wysłuchał poleceń. Ruszyli do loszków, gdzie było wejście do przełazu, chronione grubymi dębowymi drzwiami.

- Idź w imię Boże, a wracaj szczęśliwie - pożegnała go.

- I spraw się dobrze - przykazała mu Katarzyna.

Następnego dnia od rana czekały w napięciu. Kiedy dochodziło południe, a napastnicy tylko kręcili się na widoku, nie podejmując żadnych działań, w serca obrońców wkradła się nadzieja, że wkrótce odejdą. A może nadciągała odsiecz? Wtem ujrzano Stadnickiego, jak podjechał ku dworowi, wlokąc za sobą kogoś na arkanie. Szarpnął rzemieniem i człowiek z trudem powstał, a Janka i Katarzyna z wysokości wieży poznały w zmaltretowanym i ociekającym krwią brańcu nieszczęsnego Tawłuszę.

- Nie patrz! - krzyknęła Janka, spostrzegając wszędobylskiego Stasia, jak okrągłymi z przerażenia oczyma zza pleców matki popatruje na przyjaciela.

Ale było za późno.

- Próżne wasze nadzieje! - ryknął Stadnicki. - Pomoc nie nadejdzie! Poddajcie się albo zginiecie!

Wyjął pistolet z olstra i wystrzelił w głowę Tatara, po czym spiął konia i pomknął do swoich.

- Zabiję tego łotra! Zabiję, jak mi Bóg miły! Umiem już strzelać i zrobię to! - krzyczał między przerwami w płaczu Staś, gdy Katarzyna ciągnęła go, by zamknąć w komorze.

Okazało się, że to nie koniec złych nowin, i wyjaśniła opieszałość najeźdźców. Czekali na armaty. Po południu przywieziono dwie: lekki falkonet i cięższą kwartiszlangę, i od razu rozpoczęły ostrzał. Tym razem zniszczenia we dworze były spore, zginęło pięciu obrońców, a trzykrotnie więcej było rannych. W jednym miejscu obsunął się wał z częścią ostrokołu, spłonęła stodoła z sianem, z trudem udało się uratować stajnie. Co prawda stary Jakub, całkiem zręczny puszkarz, w porę przypomniał sobie o lekko uszkodzonej serpentynie schowanej w lamusie, kazał ją ustawić, nafaszerował prochem

280

i ołowiem, i podczas strzału rozbił do szczętu, przy okazji raniąc siebie i dwóch pomocników, ale rozniósł w strzepy wrogi falko-net razem z obsługą. Jednak kwartiszlanga kontynuowała dzieło zniszczenia aż do wieczora, doprowadzając obrońców do czarnej rozpacz.

- Jutro będzie po wszystkim. Może lepiej od razu się poddać? -jęknęła Katarzyna, tuląc do siebie syna.

- Nigdy! - zaprotestował malec z mocą. - Janka coś wymyśli! A i mnie coś się ukowało...

- Owszem - przerwała mu Janka. Od niejakiego czasu chodziła jej po głowie myśl, z powodu której nie kazała jeszcze zawalić przełazu, mimo obawy, że torturowany Tawłusza zdradził jego istnienie. - W nocy poprowadzę wycieczkę.

Z trudem zebrała tuzin ochotników, ale wypadł się nadspodziewanie. Pewni siebie ludzie Stadnickiego, z nim na czele, świętowali już oczekiwane rychło zwycięstwo i dali się zaskoczyć jak dzieci. Podłożona mina wysadziła kwartiszlangę, a obrońcy wrócili do dworu bez żadnych strat.

Do serc zakradła im się nadzieja na zniechęcenie upartego przeciwnika i umarła jeszcze przed południem następnego dnia, pierwszego dnia listopada, chłodnego i dżdżystego.

- Gdzie jest Staś? - spytała Jankę Katarzyna. - Dawno powinien śniadać, tymczasem nie widziałam go od rana.

Zarządzone natychmiast poszukiwania ujawniły otwarty wchód do przełazu, a Janka odkryła brak jednej ze swych króćc.

- Przebóg! - ze ściśniętym gardłem oznajmiła chorej z rozpacz Katarzynie: - Jak obiecał, poszedł zastrzelić Stadnickiego!

Mimo iż za dnia, nawet pochmurnego i podczas deszczu, było to niebezpieczne, poszła przełazem nad rzekę i po krótkich poszukiwaniach znalazła na wpół zagrzebaną w piachu swoją króćcicę. Niewystrzeloną.

- Jezus, Maria! - rwała sobie włosy z głowy Katarzyna. - Utopił się mój Staś!

- Albo został porwany - dodała cicho Janka.

Tak czy owak chłopiec zniknął. A razem z nim oblegający. Nagła cisza, przerywana jedynie szumem ulewy i zawodzeniem wiatru, wydała się wszystkim bardziej złowroga od niedawnej bojowej zawieruchy.

281

Kraków, styczeń 1581 roku

W marnym światelku łożowego ogarka krzątały się dwie sylwetki, duża i mała.

- Dobra - szepnął wysoki, zawiązując spory worek powrozem, dokładnie wymierzonym tak, aby sak, nie czyniąc hałasu, zawisł tuż nad ziemią. - Już możesz go wyrzucić.

Niski odebrał worek i podsadzony przez towarzysza wypchnął go na zewnątrz przez okienko.

- Gotowe - zeskoczył z szerokim uśmiechem na bezrozumnej twarzy matolka.

Wysoki z niedowierzaniem spoglądał na jego puste dłonie.

- Idioto! - syknął, z najwyższym trudem powstrzymując się, by nie wyrzucić pięścią w zadowoloną gębę. - Dlaczego wypuściłeś sznur z łapy!? Tyle razy ci powtarzałem...

Mały zrobił przerażoną minę i skulił się ze strachu.

- Trudno, stało się - powiedział łagodniejszym tonem duży, starając się nie okazać roznoszącej go wściekłości. - Pomożesz mi teraz zamknąć drzwi, a potem wyślizniesz się i będziesz warował przy saku, póki nie nadejdę. A gdyby ktoś się pojawił, łap sak i schowaj się gdzieś. Pojąłeś? Tylko nie poszkap się tym razem, bo zabiję!

Niski energicznie kilkakrotnie pokiwał małą głową.

Ledwo ucichł stukot buciorów nocnego rontu, Król Żebraków wychynął ze swojej kryjówki. Miał pół godziny, bo tyle mniej więcej zajmowało ceklarzom obejście Rynku. Noc była mroźna i ciemna choć oko wykol, wokół żywego ducha. Stanął pod murem ratusza i zadarł głowę, rozważając koncept, który od dawna chodził mu po łbie. Rzecz była zuchwała i może nawet niewarta aż tak wielkiego ryzyka, lecz właśnie ono pociągało Garbusa. Rutyna już mu się przejadła. Potrzebował podniety i nowych wyzwań. Ten pomysł zaś przy okazji jawił się niczym krotochwila, która jeśli się uda, rozślawi jego imię nie tylko między żebrakami i hultajami. Także tylko ich podziw przestał mu wystarczać. Cóż za minę zrobi taki na przykład Ryx, gdy się o tym dowie? Post factum, rzecz jasna.

Interesowało go okienko na piętrze. Zbyt małe, aby precyzyjnie się przez nie dorosły, ale dziecko... W bractwie żebraków i złodziei dzieci obojga płci, od maleńkości szkolonych w przestępczym fachu,

282

m

nie brakowało. Ale nie znalazł żadnego, które nadawałoby się do tej roboty, wymagającej niesłychanej zręczności i niezwykłych umiejętności właściwych raczej linoskokom.

Linoskoki... To była myśl. Należało albo wyszkolić własnego chowańca, albo poszukać kogoś odpowiedniego. No i przekupić kogoś, kto miał dostęp od środka.

Znów uniósł głowę, zamyślony. Wtem zamarł, bo w lufciku błysnęło słabe światło. Ktoś był w izbie. W głuchą noc, kiedy pomieszczenie powinno być zawarte na cztery spusty! Czyżby kto inny wpadł na ten sam pomysł? I na dodatek zdążył go ubiec? Zatrząsał się ze złości, ale nim zdążył uczynić cokolwiek, coś dużego wypadło z okienka. Zaskoczony, nie miał czasu, by się uchylić. Duży ciężar spadł mu prosto na głowę. Nim stracił przytomność, zdążył jedynie zobaczyć wszystkie gwiazdy, których brakowało na zachmurzonym niebie.

Skostniały z zimna ocknął się dopiero w więziennym lochu.

Z końcem września, po wyczerpaniu prochów, załoga Newla poddała się Mikołajowi Dorohajskiemu. Tym samym zostało już tylko jedno, by można było zakończyć tegoroczną kampanię - zdobycie Zawłocza, co otwierało drogę na Psków. Na początku października oznajmiono mi, że mam się stawić u króla. Z królewskiego namiotu wychodził właśnie człowiek, którego nigdy bym się tu zastać nie spodziewał. Dobrze mi znany rajca krakowski Jan Cyrus. On także zdziwił się i ucieszył na mój widok. Złapał mnie za ramię i powiedział:

- Mości Ryx... O przepraszam: panie Turopoński. Przy okazji gratulacje z powodu nobilitacji...

Machnąłem ręką i poprosiłem, by przeszedł do rzeczy. Wiedziałem, że król nie lubi czekać.

- ... Bo widzisz waść, między innymi przybyłem po informację w sprawie zabójstwa Straszowej. Nie da się dłużej trzymać Morawickiego w kabatach. Jego krewni naciskają, a tymczasem król nie chciał o tyńi nawet słuchać...

Z namiotu wyglądnięty Zamojski.

- No, jesteś nareszcie - powiedział na mój widok. - Chodź już.

Zdażył mi jeszcze szepnąć do ucha:

- Nie zwracaj królowi głowy jakimiś głupstwami. Ma dzisiaj wyjątkowo zły humor. Lepiej mu się nie narażać.

- Mości Hiropoński, zostałeś sam wezwany z powodu - rzekł król, jak zawsze od razu przechodząc ad rem - który stoi na dworze i już się

go zapewne rozpoznał. Przybył, aby w imieniu rady miejskiej poskarżyć się, że pospólstwo ani samo, ani za pośrednictwem sług pilnować miasta po nocy nie chce, tumultem grożąc. Nie wiemy, o co w tym chodzi. Jako że dobrze znasz krakowskie sprawy, a twój rozum i sztukę zdążyliśmy już poznać, jesteśmy ciekawi twojego zdania.

Milczałem chwilę, zbierając myśli, aby udzielić wyważonej odpowiedzi. Widziałem, że jest rozdrażniony. Może przypomniła mu się sprawa ze zbuntowanym Gdańskiem. Nakaz sprawowania przez wszystkich mieszczan straży nocnej na czas wojny, z obawy przed najazdem habsburskim, w istocie budził w Krakowie żywe emocje.

- Wasza królewska mość... - zacząłem. - Pospolity człowiek burzy się, gdyż to nań spada mus odprawiania nocnego rontu, tak staraniem, jak i nakładem, podczas gdy panowie patrycjusze uchylają się od tej powinności, jak mogą, wykorzystując przy tym straż do nocnego pilnowania własnych dóbr poza miastem. Celuje w tym rajca Tłokiński...

Wtrąciłem nazwisko Czeczotki-Tłokińskiego nie bez kozery, bowiem nie rozumiałem łaski, jaką u króla Stefana cieszył się łotrowski burmistrz. Toż niedawno rajca Stefan Heller obnażył przed królem nieczne praktyki Krwawego Burmistrza, w tym cudzołóstwo i powariowanie ksiąg miejskich. Tymczasem złemu nic, za to imiennik króla został uznany winnym po twarzy i radziecstwo mu wzięto. Tyle że król zarządził kontrolę rachunków miejskich i nakazał Czeczotce oddać brakujące sumy. Nie widziałem innego wytłumaczenia takiej niesprawiedliwości jak tylko to, że król potrzebował przeciwwagi dla frakcji katolickiej w stolicy, a Czeczotka był zatwardziałym kacerzem.

- Jest wojna, a skarb Rzeczypospolitej nie ma czym płacić - przerwał mi król bezceremonialnie. - Tedy cała communitas musi się na straż składać lub ją odprawować i basta.

- Najjaśniejszy panie, takie jest i moje zdanie: cała miejska communitas. Ergo nie samo pospólstwo, ale i patrycjat.

Król milczał chwilę, po czym rzekł:

- Wiem już, co chciałem wiedzieć. Mości Zamojski, weź swoje rotę i ruszaj pod Zawłóczę, rozpuściwszy wprzód resztę wojska na hibernę. Zostaw jeno załogi potrzebne do obsadzenia zdobytych zamków. A waść, panie TUropoński, nie oddalaj się zbytnio, gdyż pragniemy cię zatrzymać przy swojej osobie jako medyka.

284

- Ale są przecież ichmościowie Bucella, Ocullus i drudzy...

- Panowie Bucella i Ocullus sami na to nastawali - uciął i odprawił mnie gestem jak uprzykrzoną muchę.

Ale nie odszedłem. Przelknąłem ślinę i rzekłem, udając że nie widzę ostrzegawczego spojrzenia Zamojskiego:

- Jest jeszcze jedna sprawa, najjaśniejszy panie...

- Nie mamy czasu - warknął.

- Ale to ważne... - upierałem się, choć pot zaczął mi ściekać po skroniach. Niełatwo zdobyć królewski fawor, z jego utratą nigdy nie ma najmniejszych turbacji.

Myślałem, że wybuchnie, jednak jakoś się opanował.

- Mów. I oby w istocie było ważne.

- Jest. Dla pewnego wdowca z trójką osieroconego drobiazgu, czekającego na sprawiedliwość królewską.

W największym skrócie przedstawiłem mu sprawę. Wargi miał zaciśnięte, wzrok srogi, ale nie przerwał mi ani razu. Dobry znak. Może nie każe mi wyrwać języka, może skończy się tylko na oddaleniu i pozbawieniu łask.

- ... Znam tę sprawę doskonale, gdyż mąż nieboszczki, a mój druh poprosił mnie o pomoc w ujęciu zabójcy. Wiem zatem z całą pewnością, że mord popełniono umyślnie i bez przyczyny, a zabita była brzemienna - zakończyłem i czekałem na wyrok.

Popatrzył na mnie dziwnie.

- Wesseleny - zwrócił się do pokojowca. - Wezwij na powrót imię Cyrusa.

Machnął dłonią w moją stronę, nakazując mi iść precz, lecz gdy już byłem u wyjścia, zawołał za mną:

- Amicus certus in re incerta cernitur Bogatych masz druhów, mości Hiropoński. Amicus optima vitae possessio².

Wyszliśmy społem z kanclerzem, mijając się u wejścia z rajcą Cyrusem. '

- Pora się pożegnać, chłopcze - rzekł Zamojski. - Dlaczego nie posłuchałeś mojej rady?

- Nie mogłem, wasza miłość.

- Mogłeś zaprzepaścić wszystko, co do tej pory osiągnąłeś.

1 Pewnego przyjaciela poznasz w sytuacji niepewnej - prawdziwego przyjaciela poznaje się w biedzie (lac., Ennius).

2 Przyjaciel to największy skarb w życiu (lac.).

285

- Wiem.

On także spojrział na mnie dziwnie i pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Chybaś się rodził w czepcu. Dopiąłeś swego. Zdobyłeś królewski fawor. Więcej nawet, szacunek. A o to u naszego pana niełatwo.

- Waszej łaskawości to zawdzięczam. Nie wiem kiedy i jak zdołam się odwdziżyć.

- Sobie to zawdzięczasz. Pamiętaj o tym. Król Stefan nieskory do nagradzania czyichkolwiek protegowanych, którzy na łaski nie zasługują. Kiedy mianował na starostę sandomierskiego człeka nieznanego, acz dzielnego wojaka, imię Pękosławskiego, samem się zdziwił i rzekł: „Miłościwy królu, wszakże on o to nie prosił!”! A król mi na to: „Aż nadto prosi, kto dobrze służy”. No, bywaj zdrów. Czyń to co wprzód: trzymaj się Zborowskich jak rzep. Jeśli Samuel opuści obóz, podąż za nim, gdziekolwiek by się udał. Chcę znać każdy jego krok. Teraz jest wściekły i rozczarowany, wkrótce zrobi błąd i musisz przy tym być. Pamiętaj: to najsłabsze ogniwo. I jeszcze jedno. Król aprobejuje wszystkie kroki, jakie przedsięweźmiesz, okrom ostatecznych - podał mi ciężki mieszek. - To powinno ci wystarczyć na jakiś czas. Nie wiem, kiedy znów się spotkamy.

Następnego dnia Zamojski z jazdą, piechotą pod Uhrowieckim i działami burzącymi ruszył na Zawłóczę. A razem z nimi Żółkiewski, Działyński, Farensbach, Drohojowski i drudzy. W noc przed wyjazdem, gdyśmy już leżeli na posłaniach, Stachnik rzekł poważnym tonem:

- Bacz na Samuela. Zbiera się do powrotu, lecz wprzód może jeszcze raz spróbować cię zgładzić. Teraz to prawy desperat, zdolny do wszystkiego.

- Czemu tak uważasz?

- Bo król odmówił mu uznania zasług.

- Dlaczego? Jak go nienawidzę, to muszę przyznać, że przecież stawał dzielnie, obaj to widzieliśmy.

- To prawda, ale królowi już dojadło spiskowanie tej rodziny z Moskiewskim, na co liczne są dowody i świadectwa, i kazał Samuelowi iść precz z oczu, póki obowiązuje list żelazny. W przeciwnym razie razem z Jędrzejem i Krzychnikiem zostanie osądzony in causa nos et Respublicam afficiente¹. Wtedy Samuel się wściekł i zagroził, że jeśli

1 Za zdradę stanu (lac.).

286

- Wiem.

On także spojrział na mnie dziwnie i pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Chybaś się rodził w czepcu. Dopiąłeś swego. Zdobyłeś królewski fawor. Więcej nawet, szacunek. A o to u naszego pana niełatwo.
 - Waszej łaskowości to zawdzięczam. Nie wiem kiedy i jak zdołam się odwdziżyć.
 - Sobie to zawdzięczasz. Pamiętaj o tym. Król Stefan nieskory do nagradzania czyichkolwiek protegowanych, którzy na łaski nie zasługują. Kiedy mianował na starostę sandomierskiego człeka nieznanego, acz dzielnego wojaka, imć Pękosławskiego, samem się zdziwił i rzekł: „Miłościwy królu, wszakże on o to nie prosił!”* A król mi na to: „Aż nadto prosi, kto dobrze służy”. No, bywaj zdrów. Czyń to co wprzód: trzymaj się Zborowskich jak rzep. Jeśli Samuel opuści obóz, podąż za nim, gdziekolwiek by się udał. Chcę znać każdy jego krok. Teraz jest wściekły i rozczarowany, wkrótce zrobi błąd i musisz przy tym być. Pamiętaj: to najślabsze ogniwo. I jeszcze jedno. Król aprobejuje wszystkie kroki, jakie przedsięwziesz, okrom ostatecznych - podał mi ciężki mieszek. - To powinno ci wystarczyć na jakiś czas. Nie wiem, kiedy znów się spotkamy.
- Następnego dnia Zamojski z jazdą, piechotą pod Uhrowieckim i działami burzącymi ruszył na Zawłoczę. A razem z nimi Żółkiewski, Działyński, Farensbach, Drohojowski i drudzy. W noc przed wyjazdem, gdyśmy już leżeli na posłaniach, Stachnik rzekł poważnym tonem:
- Bacz na Samuela. Zbiera się do powrotu, lecz wprzód może jeszcze raz spróbować cię zgładzić. Teraz to prawy desperat, zdolny do wszystkiego.
 - Czemu tak uważasz?
 - Bo król odmówił mu uznania zasług.
 - Dlaczego? Jak go nienawidzę, to muszę przyznać, że przecież stawał dzielnie, obaj to widzieliśmy.
 - To prawda, ale królowi już dojadło spiskowanie tej familii z Moskiewskim, na co liczne są dowody i świadectwa, i kazał Samuelowi iść precz z oczu, póki obowiązuje list żelazny. W przeciwnym razie razem z Jędrzejem i Krzychnikiem zostanie osądzony in causa nos et Republicam afficiente¹. Wtedy Samuel się wściekł i zagroził, że jeśli

¹ Za zdradę stanu (lac.).

- Wiem.
- On także spojrział na mnie dziwnie i pokręcił głową z niedowierzaniem.
- Chybaś się rodził w czepcu. Dopiąłeś swego. Zdobyłeś królewski fawor. Więcej nawet, szacunek. A o to u naszego pana niełatwo.
 - Waszej łaskowości to zawdzięczam. Nie wiem kiedy i jak zdołam się odwdziżyć.
 - Sobie to zawdzięczasz. Pamiętaj o tym. Król Stefan nieskory do nagradzania czyichkolwiek protegowanych, którzy na łaski nie zasługują. Kiedy mianował na starostę sandomierskiego człeka nieznanego, acz dzielnego wojaka, imć Pękosławskiego, samem się zdziwił i rzekł: „Miłościwy królu, wszakże on o to nie prosił!”* A król mi na to: „Aż nadto prosi, kto dobrze służy”. No, bywaj zdrów. Czyń to co wprzód: trzymaj się Zborowskich jak rzep. Jeśli Samuel opuści obóz, podąż za nim, gdziekolwiek by się udał. Chcę znać każdy jego krok. Teraz jest wściekły i rozczarowany, wkrótce zrobi błąd i musisz przy tym być. Pamiętaj: to najślabsze ogniwo. I jeszcze jedno. Król aprobejuje wszystkie kroki, jakie przedsięwziesz, okrom ostatecznych - podał mi ciężki mieszek. - To powinno ci wystarczyć na jakiś czas. Nie wiem, kiedy znów się spotkamy.
- Następnego dnia Zamojski z jazdą, piechotą pod Uhrowieckim i działami burzącymi ruszył na Zawłoczę. A razem z nimi Żółkiewski, Działyński, Farensbach, Drohojowski i drudzy. W noc przed wyjazdem, gdyśmy już leżeli na posłaniach, Stachnik rzekł poważnym tonem:
- Bacz na Samuela. Zbiera się do powrotu, lecz wprzód może jeszcze raz spróbować cię zgładzić. Teraz to prawy desperat, zdolny do wszystkiego.
 - Czemu tak uważasz?

- Bo król odmówił mu uznania zasług.
- Dlaczego? Jak go nienawidzę, to muszę przyznać, że przecież stawał dzielnie, obaj to widzieliśmy.
- To prawda, ale królowi już dojadło spiskowanie tej rodziny z Moskiewskim, na co liczne są dowody i świadectwa, i kazał Samuelowi iść precz z oczu, póki obowiązuje list żelazny. W przeciwnym razie razem z Jędrzejem i Krzychnikiem zostanie osądzony in causa nos et Republicam afficiente¹. Wtedy Samuel się wściekł i zagroził, że jeśli

¹ Za zdradę stanu (łac.).

286

banicja nie zostanie zeń natychmiast zdjęta, ujawni przed światem ohydne zbrodnie, których ponoć dopuszcza się w swoim zamku Elżbieta, siostrzenica króla, ściągając sromotę na cały ród Batorych.

- Jezu... Ośmielił się grozić samemu królowi?
- Imaginuj sobie. Na to dostał respons, że jeśli nawet to prawda, tedy odium spadnie na jej męża hrabiego Nádasdy oraz cesarza, bo Elżbieta to jego poddanka i królowi nic do tego. Rozmowa odbyła się w cztery oczy, lecz jeszcze długo po odejściu Samuela król kipiał ze złości, mruczając pod nosem: Canis mortuus non mordet¹... Słyszał to Janek Zamojski, któremu potem król opowiedział wszystko, a on mnie.
- Martwy pies nie kąsa... Ulubione powiedzonko Samuela.
- Właśnie. Zdaje się, że Samek polegnie wnet od własnej broni. A do tego czasu nie daj mu się zabić, bobym ci tego nie darował. Ut vivas, igitur vigila!²

Wyjechał z drugimi pod Zawłóczę następnego ranka. Na szczęście pogoda wciąż dopisywała, było słonecznie i padało z rzadka, ale to mogło się lada chwila odmienić. W tym samym czasie Zborowski zwinął swoje namioty i też odjechał. Miałem wyruszyć za nim, lecz król mnie powstrzymał.

- Wiemy, co zlecił ci imć Zamojski, lecz nie czujemy się dobrze. Zostań jeszcze kilka dni, potem damy ci najlepsze konie i łącno go dogonisz - faktycznie wyglądał mizernie, czoło miał spotniałe.

Pochlebilo mi jego zaufanie w moje medyczne kompetencje, więc nie napierałem. A nawet czułem ulgę, że nareszcie mogłem odetchnąć. Nic mi nie groziło i nie musiałem na nikogo nastawać. Gdybym wtedy wiedział, ile nieszczęść wyniknie z mego zaniechania, pognałbym za Samuelem, nie zważając na nic. Król opuścił obóz nazajutrz i udał się do Newła.

Towarzyszyli mu posłowie moskiewscy z listem, w którym Iwan nareszcie nie nazywał Stefana sąsiadem, ale łaskawie bratem, na co król odparł szorstko, że o braterstwo nie stoi jeno o Inflanty. Hi czekaliśmy kilka dni, obsadzając zamek załogą węgierską i czekając na wieści spod Zawłócza. Zniecierpliwiony, byłem u króla, by mu przypomnieć o swoim zadaniu, lecz kazał mi trwać przy swojej osobie. Zdało mi się, że traktował mnie niczym żywy talizman, gwarancję pomyślności i dobrego zdrowia.

¹ Martwy pies nie gryzie (łac.).

² Jeśli chcesz żyć, uważaj, bądź ostrożny (łac., Horacy).

287

Pogoda, jak należało oczekiwać, zmieniła się na gorsze. Przyszła ślota, zrobiło się zimno i zaczęły kłopoty. Kręcąc się wśród żołnierzy, dostrzegłem kilka przypadków gorączki obozowej.

- To pewne? - spytał Bucella, gdym go powiadomił o swoim spostrzeżeniu. Razem z Oczką poszli się upewnić, a po powrocie mieli zafrasowane miny. Odkryli kolejne przypadki zachorowań i zanosilo się na to, że mamy do czynienia z epidemią. Zabrali mnie ze sobą przed oblicze króla. Opowiedziałem o swoich krakowskich doświadczeniach z morem i krokach, które przedsięwziął pater Roch, by zwalczyć dur i zapobiec jego rozprzestrzenianiu.

- Chwała Bogu, że nie pozwoliliśmy ci odjechać. 'Ale palenie mundurów nie wchodzi w grę - mruknął król. - To za duży ekspens.

- Wasza królewska mość, Antoni Schneeberger, rodem z Helwecji, lekarz króla Augusta, napisał podręcznik medycyny wojskowej Księga

0 zachowaniu dobrego zdrowia żołnierzy \ w którym zaleca pranie koszul w odwarze piołunu, aby uniknąć wszy. Może to wystarczy.

Stanęło na tym, że chorych izolowano, wprzód strzygąc ich

1 obmywając, bieliznę częściowo paląc, częściowo piorąc, a wierzchnie odzienie starannie oczyszczając. Pouczywszy dwóch cyrulików, którzy zostawali przy załodze, ruszyliśmy do Połocka, wprzód podesławszy posiłki Zamojskiemu. Niestety, dur szedł za nami, a w Połocku pierwsze objawy zarażenia wystąpiły u króla: dreszcze w okolicy dolnego szpiku pacierzowego, ciężkość głowy i osłabienie, a osobliwie duszność. Czwartego dnia pojawiła się febra.

- "frza dać na przeczyszczenie albo i krwi puścić - rzekł autorytatywnie Jerzy Blandrata, sławny medyk i dyplomata, którego widywałem z rzadka i nie byłem z nim zaprzyjaźniony.

- Stawiam veto - wtrącił Oczko. - Febra węgierska nie zawsze zabija, ale zawsze kończy się śmiercią, jeśli osłabić chorego lewatywą albo krwi upuszczeniem.

- Co ty na to, Kacprze? - spytał mnie Bucella.

- Jestem tegoż zdania, co imć Oczko. Primum non nocere². Kąpiel, świeża bielizna i poślanie, leżenie w ciepłe i dobre jedzenie to najlepsze, co można w tej sytuacji zrobić.

1 Kraków 1564.

2 Przede wszystkim nie szkodzić (lac., Horacy).

288

Zatem Blandrata został przegłosowany, ku skrywanemu zadowoleniu Bucelli, rywalizującego z rodakiem o względy króla. Blandrata rzucił mi kose spojrzenie i odszedł z dumnie uniesioną głową, ostrzegając, że umywa ręce, a wszelkie konsekwencje spadną na nas. Na szczęście leczenie dało efekt, a silny organizm króla zwalczył chorobę. Humor poprawiła mu też wieść o zdobyciu Ozieryszcza przez Mikołaja Radziwiłła. Ale dur zataczał coraz szersze kręgi i ogarnął już całą armię. Wielu wycieńczonych i niedożywionych żołnierzy zmarło, podobnie jak czeladzi i sług szlacheckich. Istniała obawa, że straty ludzkie z powodu zarazy, z którą w fatalnych warunkach, przy stale pogarszającej się pogodzie i marnym zaopatrzeniu ciężko było walczyć, mogą sięgnąć kilku tysięcy.

Po przezwycięzeniu choroby, jeszcze słaby król kazał się wieźć do Dżisny. 24 października przybył poślaniec od Zamojskiego z nowiną o wzięciu Zawłocza. Równocześnie przyszła wieść, że Moskiewski rozwiódł się z piątą już żoną w swój ulubiony sposób, to znaczy pozbywając się jej, i pojął szóstą. Ta piąta, Maria Dołgoruka, miała ponoć pecha. Powziąwszy wątpliwość co do jej dziewictwa, wielki książ nazajutrz po ślubie wsadził ją do karocy, po czym własnoręcznie zaciął konie i powóz z kniahinią wpadł do jeziora, a topielica zwolniła miejsce swej następczyni. Owdowiały Moskiewski, chwalcący się publicznie zgwałceniem tysiąca niewiast i dziewczyc, wybierał sobie na żony kogo i kiedy chciał spośród córek bojarskich, bowiem żaden z władców katolickich nie chciał oddać swej córki prawosławnemu. Wybór ten odbywał się następująco: magnaci i szlachta, mający młode i piękne córki na wydaniu, w oznaczonym dniu przyprowadzali je na rozkaz Iwana do obszernego domu, umieszczając po tuzinie w dwunastu komnatach. Wielki książ w towarzystwie jednego starca obchodził wszystkie izby, po czym zasiadał na tronie, a pięknie odziane krasawice po kolei klękały u stóp tronu na złotogłowi, po czym oddalały się na klęczkach. Którą Moskiewski wybrał, tę poślubiał, drugie odsyłał, obdarowawszy ziemią lub pieniędzmi. Bardzo nas ten obyczaj ubawił, ku zgorszeniu moskiewskich posłów nieodstępujących króla. Śmiałem się z drugimi. Do czasu. Mimo powziętych środków ostrożności zapadłem bowiem na gorączkę obozową. Oczko i Bu-cella pielęgowali mnie z

oddaniem, nawet sam król raczył mnie odwiedzić i życzyć rychłego powrotu do zdrowia. Musiał jednak

289

ciągnąć do Wilna i dalej, a moi druhowie z nim, więc gdy tylko na szósty dzień nastąpiło przesilenie, zostawili mnie pod dobrą opieką i odjechali.

Nikt, ze mną na czele, nie wiedział, dlaczego przeżyłem. Może sprawił to silny organizm, może ślepy traf lub wola boża, a może, stykając się z tą chorobą uprzednio, jakimś sposobem zdobyłem odporność albo zadziałały środki zapobiegawcze. Lecz jeszcze długi czas leżałem w łóżu, tak słaby, że nawet czytać nie mogłem. Me-dice, sana te ipsum. Rozeszły się nawet pogłoski o mojej śmierci. Pewnego dnia na dworze uczynił się rumor, a przez okno dobiegła mnie pieśń śpiewana na cały głos przez setki gardeł:

Idzie żołnierz borem, łasem, Przymierając z głodu czasem.

To bida, to bida, oj to, to, to, To bida, to bida niedola.

Suknia na nim nie blakuje, Dziurami wiatr wylatuje.

To bida, to bida, oj to, to, to, To bida, to bida niedola.

Chustka czarna jest za pasem, Ale i tej pusto czasem.

To bida, to bida, oj to, to, to, To bida, to bida niedola.

Zapłać-że mu, Jezu z nieba, Boć go pilna jest potrzeba.

To bida, to bi...2

1 Lekarzu, ulecz się wprzód sam (lac.).

2 Anonimowa pieśń z epoki, której najstarszą odręczną wersję znaleziono (wg Wł. Kopalińskiego) na luźnej kartce w książce pochodzącej z 1584 r. M.B. Nowina, Pieśni narodowe, wojenne, obozowe, ludowe, Warszawa 1916, s. 17.

290

- Ejże! Jak ci się to podoba? - Żółkiewski wpadł do izby niczym wichur, wpuszczając zimny, ożywczy powiew. - Zapoznałem towarzystwo z twoją Pieśnią o kole rycerskim, ktoś to przetworzył nieco, kto inszy dorobił muzykę i oto masz effectus.

- Dobrze cię widzieć. Wszyscy zdrowi?

- Okrom Christofa grafa Rozrażewskiego, starosty łączyckiego, i Marcina Wejhera, syna Ernesta, oraz wielu dzielnych żołnierzy -posmutniał Stachnik, lecz zaraz rozjaśnił się na powrót i zaczął opowiadać z zapałem: - Akurat gdyśmy przebierali się pod Zawłóczę, pogoda pomarniała, a tu do twierdzy trzeba było dostawać się przez jezioro Podsosz. Imaginuj sobie zamek tameczny, niczym kaczką siedzący na wodzie, otoczony pagórkami i bagnami. Ze względu na moczary nie dało się dobrze ustawić armat, więc zaczęliśmy budować mosty, a piechota łodziami próbowała dostać się pod zamek. Długi czas bezskutecznie. Nareszcie, gdy na promach i łodziach szykowaliśmy się do generalnego szturmu, załoga poddała się i odeszła wolno okrom hetmanów. Po czym Janek Zamojski wysłał jeszcze Farenbeka na rekonesans w kierunku Pskowa, przydając mu do kompanii Macieja Strubicza, aby na podstawie zdobytych informacji sporządził mapy na przyszłoroczną kampanię. No a my, jak widać, ruszyliśmy nazad, zostawiając w Zawłó-czu Zybryka, tudzież siedem tysięcy piechoty i dwa tysiące jazdy w drugich nadgranicznych zamkach oraz dziewięć tysięcy jazdy na leżach zimowych z zadaniem stałego niepokojenia nieprzyjaciela, przygotowania dróg, naprawy mostów, zbierania paszy i spyży na następny rok. A ty tu sobie w tym czasie wylegiwałeś się w piernatach. Ładną rzecz!

Mimo wesołego tonu, spoglądał na mnie z troską. Wkrótce miałem też wizytę samego kanclerza i znajomych oficerów.

- Chciałem podążyć za Samuelem, lecz król zatrzymał mnie przy swojej osobie - tłumaczyłem się Zamojskiemu, który został chwilę po odejściu pozostałych.

- Nic nie szkodzi. Nie przejmuj się. Zdrowiej - nie chciał nawet przyjąć na powrót mieszka, który mi zostawił na wydatki, ale tak długo nalegałem, że wreszcie uległ, a mnie

ulżyło. Za szpiegowanie nie chciałem brać wynagrodzenia, dzięki temu czułem się lepiej, jakby sprawa między mną a Zborowskim wciąż była prywatną rozgrywką tylko między nami dwoma. Dawało mi to pozór niezależności.

291

Wnet pociągnęli dalej za królem. Z wyjątkiem Stachnika, który uparł się, że mnie nie zostawi i osobiście będzie doglądał.

- Możesz się zarazić - ostrzegłem go.

- Złego lichu nie weźmie - uciał.

Dopiero dziesięć dni później poczułem się na tyle lepiej, że mogłem dosiąść konia. Zaczęła się już zima i drogi zrobiły się bardziej przejezdne, jednak nie zastaliśmy króla ani w Wilnie, ani w Grodnie, bo już razem z Zamojskim zdążył pojechać do Rygi (nie omieszkawszy wprzód porzysłać w Polskę i Europę wieści o swych przewagach), by domagać się od Inflantczyków, na poczet nowej wojny z Moskiewskim, słusznej rekompensaty za przywrócenie swobodnego handlu Dźwiną i zapewnienie prezerwatywy od Moskwy. Z powodu tej zwłoki zjechał do Warszawy na sejm walny niemal dokładnie w tym samym czasie, a był już początek nowego roku, co my z Żółkiewskim.

Zrazu chciałem prosto z Litwy podążyć na Czerwoną Ruś, do Janki, ale w Wilnie czekał na mnie list od niej, z którego dowiedziałem się nie tylko, że nie przestała mnie miłować, choć zmieniłem nazwisko, ale że niecierpliwie wygląda naszego spotkania w Warszawie, dokąd wzywała ją królowa. I żeby tam na nią czekał. Jednak nie dotarła do Warszawy, a królowa, która rada udzieliła mi audiencji, jak się okazało, dobrze wspominając moje ulżenie jej w zębowych boleściach przed laty, nie kryła zaniepokojenia.

- Ani widu, ani słyhu. To do niej niepodobne - powiedziała strapiona. - Chyba że wezwano ją do Krakowa, bo coś złego przy-godziło się waszej ciotce, do której jest wielce przywiązana, a list z powiadomieniem jeszcze do nas nie dotarł albo zaginął po drodze. To było najlepsze wytłumaczenie, ale do niepokoju o Jankę doszła jeszcze troska o ciotuchnę i drugich bliskich, od których od miesiący nie miałem żadnych wieści. Doczekałem więc jedynie do czasu, gdy sejm potwierdził moją nobilitację (a także Wielkołuc-kiego, Łukasza Sernego i drugich), a kancelaria królewska wystawiła stosowny papier, po czym poprosiłem o permisję i dostałem ją. Napisałem list do Katarzyny Wapowskiej, który posłałem przez znajomego żołnierza wracającego w rodzinne strony, i byłem gotów do drogi. Stachnik musiał zostać na sejmie, załatwił mi jednak trzy szybkie i wytrzymałe woźniki. Przypięte do sań, zaśnieżonymi drogami poniosły mnie chyżo do Krakowa. Gnany lękiem o najbliższych,

292

nie wstąpiłem po drodze nawet do mistrza Kochanowskiego. Kiedy cztery dni od wyruszenia z Warszawy wjeżdżałem do miasta przez Floriańską brzońę, zaczynał się luty.

Na wojnie zarosłem jak niedźwiedź, w Warszawie odwiedziłem cyrulika, jednak przez kilka dni nie goliłem się i lico mi wyszczu-rzało w chorobie, przeto tuszyłem, że uniknę rozpoznania na ulicy. A jednak zaraz za bramą dostrzegłem znajomego żebraka, a i jemu błysnęło oko na mój widok. Zdążając do naszego Kącika, uwadze mej nie umknęło, jak sunie za mną niczym wilk. Za węglem gospody zeskoczyłem z sań i dwoma palcami, bacząc, by ich nie upaćkać, pochwyciłem wielki zasmarkany nochal, który ostrożnie wysunął się z załomu muru.

- No proszę, kogo tu mamy... Stary znajomy. Kubrak czy Dziura? -wielokroć w przeszłości miałem do czynienia z obydwoma łotrzykami, ale nigdy nie nauczyłem się ich rozróżniać.

- Dziuha - wystękał. - Kubhak leszy mohem powalony.

- Szpiegowałeś mnie, łotrze. Szykujecie najście na gospodę? -mocniej ścisnąłem mu kinoł.

- Aj! Niech Bóh bhoni! Brzybadkiem szem cie soczył, wasza wielmoszność. Fidać dobhy Jezus wysuchał moich modóŧ. Samo niebo cie nam sesało, jasny panie - mamrotał. Puściłem go.

- Gadaj, o co chodzi.

Wysmarkał się wprost na brudny śnieg, po czym otarł nos rękawem.

- Draby miejskie pojmały Króla Żebraków. Pojutrze ma dać głowę. Ratujcie go, wielmożny panie!

No proszę. Mój problem rozwiązał się sam, a raczej za sprawą justycjariuszy. Mimo to byłem ciekaw, jak do tego doszło.

- Kto go'wydał?

- Nikt. Oni wcale nie wiedzą, kogo mają.

- Nic nie pojmuję.

- Ktoś okradł miejską kasę. Pech sprawił, że tej nocy Król kręcił się pod ratuszem.

Akurat napatoczył się nocny ront i pojmał nie tego, co trza. I teraz Król da głowę za niewinność. Ratujcie go, panie! Jak nie wy, nikt drugi nie poradzi...

Złożył umorusane łapska jak do modlitwy i patrzył na mnie psim wzrokiem.

293

4»

- Nic mnie to nie obchodzi - odrzekłem. - Wydał mi wojnę, chciał zgładzić, więc nie kiwnę nawet palcem w bucie, by ocalić łotra.

- To nie tak! - krzyknął, łapiąc mnie kurczowo za rękę. - On odwołał wyrok na waszą miłość! Owszem, wpiery był zły jak lichy, że wasza miłość popsowałeś mu tę sprawę z Żydy, ale potem mu przeszło i nawet się śmiał. Samem słyszał, jak powiadał do Kulasa: „Dobrze mi tak, skoro byłem taki głupi, zem mniemał, iż Ryksa można nastraszyć”. I posłał mnie, żebym waszej łaskawości oznajmił, że już się na waszą czcigodność nie gniewa i zemsty niecha. Ino że jakem przybył do gospody, wasza wielmożność już opuściła Kraków...

- Naprawdę tak było?

- Żebym tak zdrów był - wałnął się w cherlawą pierś, zgiął i zaniósł kaszlem, po czym dodał, jeszcze na wół przygięty: - Niechaj mnie piekło pochłonie, skoro łzę!

- No dobrze. Skoro tak, zobaczę, co da się zrobić. Ale na nic nie rachujcie.

- Dzięki, wasza dobrotliwość! Niech cię Bóg błogosławi i wszyscy święci Pańscy mają w pieczy...

Porwał moją dłoń, przycisnął do ust i zniknął. W domu na mój widok zapanowało istne szaleństwo. Pierwszy zoczył mnie Niziołek. Wrzasnął:

- Kacper! - i podskoczywszy, zamknął w niedźwiedzim uścisku, tarmosząc na wszystkie strony.

- Puść, bo mi wszystkie kości pogruhoczesz! - zawołałem ze śmiechem i dopiero wtenczas mnie puścił, zawstydzony.

Potem rzucili się ku mnie kolejno: Gruby Stach, Tomek posługacz i wszystkie dziewczki służebne, a na koniec, zwabiona hałasem, o lasce przykuśtykała z góry cioteczka Balcerowa. Na mój widok stanęła jak wryta, po czym szlochając, padła mi w ramiona, powtarzając przez łzy:

- Jużem cię w myślach pochowała...

- Przecież ci obiecałem, że wrócę. Nie dostaliście moich listów?

Okazało się, że dotarł tylko pierwszy, sprzed paru miesięcy, stąd oplakiwano mnie w domu jak umarłego, zwłaszcza iż wielu żołnierzy wróciło z wojny do domów dużo wcześniej. Zamknęliśmy gospodę, biesiadowali i gadali aż do świtu. Zaskoczyła

ich i zagniewała zdrada Krzycha Żeglarza, ucieszyła, ale i zakłopotowała moja nobilitacja. Z nabożeństwem oglądali dyplom.

294

- Toś ty teraz wielki pan - westchnęła ciotuchna.
- Pan Iłiropoński... - skrzywił się Niziołek. - Ryx mi się lepiej widziało.
- Nie marudź. Wszystko zostanie po starym. Słyszał kto, żeby Czeczotkę obzywano Tłokińskim? Chyba że na zamku. Ze mną też tak będzie. Lepiej mówcie, co u was?
- Wszystko dobrze. Niziołek to teraz prawy gospodarz - pochwaliła ciotka olbrzymą, który zapłonął się jak dziewczka. - A pater Roch wszystkim powtarzał, że to dzięki twoim konceptom ostatnia zaraza tak niewiele pochłonęła ofiar. Ponoć panowie radziec zamyślają cię za to nagrodzić - dodała z dumą. - Przebóg, czy Janka wie o twoim uszlachceniui?
- Napisałem jej.

Klasnęła w ręce z radością.

- Tedy już nic nie stoi na przeszkodzie, byście się nareszcie połączyli?
- Nie, ale...

Opowiedziałem im o liście od dziewczki, o tym, że nie dojechała do Warszawy, jak było umówione, i o mojej nadziei, że może dowiem się czegoś w Krakowie.

- Nic nie wiemy - zmartwiła się ciotka. - Ostatnie nowiny były bodaj z października. Pater Roch akurat mnie odwiedził i przeczytał list. Pisała, że z trudem przywyka do życia na wsi, acz z macochą jakoś jej się ułożyło i wszystko idzie ku dobremu okrom niedużych turbacji z sąsiady, o czym wszak nie chce się rozwodzić. Obiecała, że na Gody zajrzy do Krakowa, choćby na krótko. A tu Gody minęły, Nowe Lato nadeszło, a jej nie masz... - pociągnęła nosem, po czym spojrzała na mnie surowo i dodała stanowczo: - Musisz jechać, odnaleźć moją córuchnę, przywieźć ją sam i poślubić.

- Taki mam zamiar - powiedziałem. - Odetchnę jeno krzywę, odzyskam siły po chorobie, bo słaby nie zdam się na nic nikomu, i zaraz ruszam w drogę.

Kiedy cioteczka poszła spać, pociągnąłem Niziołka za rękaw i spytałem:

- Nie mieliście turbacji z bractwem żebraczym?
- Żadnych. Ażem się dziwił.

Z dumą pokazał mi usprawnienia, których dokonał podczas mojej nieobecności. Zdawał się być w swoim żywiole. Kierował gospodą

295

jeszcze lepiej od Janki i ciotka słusznie zrobiła, zdając się na niego we wszystkim. Kiedy mu to powiedziałem, pokraśniał z dumy. Poszedłem do szpitala Duchaków, przywitać się z ojcem Rochem. Moje wyniesienie nie uczyniło na nim wrażenia, zresztą wiedział już o tym z listu od Oczki, który chwalił moją biegłość medyczną i gratulował patrowi takiego ucznia. Chociaż i tego nie okazywał, za dobrze go znałem, by nie wiedzieć, że pater puchł z dumy. Bo o ile sam był niezwykle skromny, moje sukcesy cieszyły go nadzwyczajnie. Zaraza w mieście już dogasała, ale wymógł na mnie obietnicę, że wpadnę w wolnej chwili trochę mu pomóc w chodzeniu około cierpiących. Prosto ze szpitala udałem się na ratusz. Kulawy hutman Trojan wciąż piastował swój urząd, zaś jego surogat, podhutmani Szarski, oczekiwał następnego potomka. Powinszowałem mu, oni mnie zaś nobilitacji, po czym Matuszowi Szarskiemu wyrwało się:

- Skądeś się wywiedział?
- O czym?

- Nie udawaj niewiniątka. Ktoś podebrał pieniądze z kasy miejskiej. Rzecz wydała się niedawno. Odtąd wszyscy patrzą na się wilkiem, a w podejrzeniu jest wielu spośród panów radziec.

- Jak to? Ponoć schwytałyście fura na gorącym uczynku?

Trojan skrzywił się i łypnął na mnie z ukosa.

- I tak, i nie. Nocna straż znalazła pod murem ratusza garbusa mniej więcej wtenczas, kiedy, jak mniemamy, popełniono kradzież. Leżał bez ducha, a na nim zwój sznura i jeden oznakowany sączeć z kasy. Mimo tortur nie przyznaje się jednak do niczego i utrzymuje, że go wrobiono. Ja mu wierzę, ale dla uspokojenia nastrojów trzeba obywatelom rzucić kogoś na pożarcie, więc jutro go stracimy. To włóczęga i zapewne fur, ergo strata dla ludzkości żadna, a jednak wolałbym znaleźć prawdziwego winowajcę. Zresztą nawet gdyby garbus to zrobił, i tak ktoś z ratusza musiał mu pomagać. A jeśli łotrowi się upiecze, gotów to powtórzyć. Dlatego, powiem ci w zaufaniu, imć Daniel Chroborski, terażniejszy burmistrz, po cichu wyznaczył nagrodę, sto dukatów, dla tego, kto pochwyti nieuczciwą śliwkę robaczywkę i wyzwoli cnotliwych ze złego mniemania. Podejmiesz się tego?

- A czemu sami się tym nie zajmiecie?

- Próbowaliśmy - skrzywił się. - Ale to ciężka sprawa, bo ów, co skradł pieniądze, otworzył drzwi do kancelarii jakimś dziwnym i niedocieczonym sposobem... A ledwo kradzież się wydała, rajcy

296

uczynili zaraz taki rejwach, że nie tylko spłoszyli naszego homo tnum literarum, ale i pozacierali wszystkie ślady. To co, pokusisz się o nagrodę?

Potrzebowałem pieniędzy, bo ekwipunek i utrzymanie na wojnie pochłonęło wszystkie oszczędności, mieszkam od kanclerza wzgardziłem, a lafy nie zdążyłem odebrać. Zresztą nie śmiałem się upominać, wiedząc, iż król i kanclerz mieli turbację z wypłatą żołdu prostym wojakom. Jednak przyjaciół potrzebowałem jeszcze bardziej, no i obiecałem coś Dziurze, dlatego odparłem:

- Nie stoję o nagrodę, ale mogę wam pomóc w inwestygacji. Będzie was to kosztowało parę flasz przedniego trunku.

To im się spodobało. Przy butelce dobrego węgryzna zostałem zmuszony do opowiedzenia o swych wojennych przewagach. O niektórych sprawach, jak o nobilitacji, już wiedzieli.

- Od rajcy Cyrusa. Kiedy wrócił spod Wielkich Łuk, ku podziwowi jednych, a zawiści drugich cuda powiadał o łaskach, jakimi się cieszysz u króla. Ho, ho. Teraz z ciebie wielki pan. Aż dziw, że masz ochotę z nami prostaczkami się pospolitować.

- Nie gadajcie głupstw, hutmanie. A co ze sprawą zabójstwa Straszowej?

- To nic nie wiesz?

- Nie.

- Cyrus wrócił do Krakowa z końcem października. W informacji królewskiej stało, aby przeprowadzić dowód z dwóch świadków, w przytomności podstarościego stwierdzających winę obwinionego w sposób niewątpliwy. Jako i wezwano Macieja Bielińskiego i Jakuba Toruńczyka, którzy potwierdzili, iż Helena Straszowa ni od kogo innego ani z niczyich rąk nie zginęła, jeno z rąk własnych pana Jana Morawickiego, który ją z rusznicy przestrelił i zabił. Każdy z nich przysiągł na koniec: „Com widział i na com patrzył. Tak mi Panie Boże dopomóż w Trójcy jedyny”. Tedy wyrok był przesądzony.

- Został wykonany w listopadzie - wtrącił Szarski. - Małodo-bry uciął łeb Morawickiemu przed farą Panny Marii. Na gdańskiej kołderce okrywającej pień, należnej szlachcicowi, za którą miasto zapłaciło dwadzieścia pięć groszy - dodał sarkastycznie.

- Do dziś szumi o tym w mieście - uzupełnił Trojan - bo rzecz to z dawna niebywała, by król dla zabitej mieszczki dał ściąć szlachetnie urodzonego.

297

- Garbus? - Trojan zmarszczył krzaczaste brwi, gdym poprosił go o widzenie ze skazańcem. - Po co ci on? Nie powie ci więcej niż nam.

- Kto wie. A jeśli w istocie nie ma z tą kradzieżą nic wspólnego? Nie żal wam będzie posłać na śmierć niewinnego?

- Jakoś to przeżyję - burknął. - Zwłaszcza że patrzy na niezgorszego hultaja. Szkoda twojej fatygi. Prędzej zdałaby mu się wizyta księdza, ale niech ci będzie... W rzeczy samej, gdybyśmy mieli karać na gardle za sam łajdacki wygląd, liczba mieszkańców Krakowa stopniałaby o połowę, a spośród rajców to już mało kto by się ostał.

Wezwał dwóch pacholków i kazał im zaprowadzić mnie do ciemnicy, gdzie trzymano najgroźniejszych przestępców. Dali mi zapaloną pochodnię i spuścili na dół na sznurze, po czym na powrót założyli wierzchnią kratę. Zostałem sam z więźniem. Nędzne odzienie miał w strzępach, na licu i ciele ślady tortur, lecz w ślepiach to samo zuchwalstwo co zawsze.

- Proszę, proszę, kogo to moje oczy widzą - odezwał się. - Winszuję nobilitacji, mości łiropoński. Wieści szybko się rozchodzą. Już wczoraj wieczorem wiedziałem o twoim powrocie.

Jakoś mnie to nie zdziwiło. Podejrzywałem, że gdyby trzymano go w kabatach w przyziemiu, już dawno znalazłby sposób, by ująć z więzienia. Uciekano z niego od czasu do czasu, czy to w przebraniu, czy przez wybicie dziury w murze albo przekupując stróżów.

- Wciąż masz dobry wzrok jak na ślepcę - mało kto znał go jako Króla Żebraków, za to wszyscy jako Garbusa lub Ślepcę, bo i w takiej roli chętnie występował, naciągając na datki naiwnych.

- Bogu dzięki, niezgorszy. Przyszedłeś napawać się moją niedolą? To zagładnij na Rynek jutro, gdy mnie będą ścinać. Już tam pewnie zbijają podwyższenie.

- Uczyniłeś to, o co cię obwiniają?

- Pulchra Laverna da mihi fallere, da iusto sanctoque videñ, noc-tem peccatis et fraudibus obice nubem! I jeszcze to:

! O piękna Laverno (bogini złodziei), pozwól mi zwodzić, pozwól mi uchodzić za sprawiedliwego i bogobojnego, osłoń nocą grzechy moje i zarzuć chmurę na moje oszustwa (łac., Horacy).

298

Umiem oczy zaślepić, choroby nabawić, Połamać go, pokrzywić i zaś go naprawić. Głupim człeka uczynić, zawrócić mu głowę, Albo będzie źle mówić, albo straci głowę...!

Mogłem przewidzieć, że nie odmówi sobie uraczenia mnie kolejną strofą ze swego utworu, który składał od lat. Poza tym wszyscy wokół zdawali się znać Horatiusa lepiej ode mnie, co stawało się drażniące.

- Oszukiwałem na wszelkie możliwe sposoby, kradłem, łąłem jak pies i co tam jeszcze chcesz. Umiem też zabić i czasem to robiłem, ale rzadko i jedynie w razie konieczności, bo to psowa interesy - dodał. - Ale tej kasy nie okradłem, choć Bóg mi świadkiem, że chciałem. Głównie dlatego, żeby ci zagrać na nosie, tak jak wprzódy tyś mnie wystawił do wiatru.

- Miło mi, że o mnie pamiętałeś.

- A żebyś wiedział. Cóż, Pan Bóg mnie za to pokarał.

- Ergo masz szampierza w waszym bractwie.

- Niemożliwe. Jedyne, czego jestem pewny, to swoich ludzi. Ten fur jest spoza bractwa. Chętnie bym się dowiedział przed śmiercią, co to za jeden, i obciął mu łapska. iy też się ciesz, bo moja zemsta umrze razem ze mną. A teraz odejdz, chce mi się spać.

Brzęknął łańcuchami i ułożył się na brudnej słomie.

- Jeszcze tu jesteś? - burknął, widząc, że nie ruszyłem się z miejsca.

- Opowiedz mi, co widziałeś w noc kradzieży i jak to się stało, żeś dał się pochwytać.

- Po co?

- Chcę dopaść fura, skoro to nie ty.

- A cóż mi z tego przyjdzie? Odpowiem ci słowami naszego króla Augusta, kiedy go pytano, co stanie się z krajem po jego zgonie: po mnie choćby potop.

- A gdybym rzekł, że spróbuję odwlec egzekucję, aż nie złapię sprawcy?

Uniósł się na łokciu, nareszcie poruszony.

- Dlaczego miałbyś to dla mnie zrobić? W imię sprawiedliwości?

- To też.

1 Peregrynacja dziadowska... [w:] Literatura mieszczańska w Polsce od końca XVI do końca XVII wieku, wyd. K. Budzyk, H. Budzykowa, J. Lewański, t. 2, Warszawa 1953, s. 269.

299

- To do ciebie podobne, ale chyba nawet ty nie jesteś aż tak głupi, by ratować skórę mnie, swojemu przysięgiemu wrogowi, kiedy możesz się pozbyć turbacji, nie kiwając palcem w bucie.

- Przestań. Wiem, żeś poniechał zemsty, jeszcze nim wyjechałem na wojnę. Dziura mi powiedział. A jeśli łągał, tedy oto co uczynię: kiedy cię wypuszczą, ruszę twoim tropem i nie spocznę, póki nie przywiodeę na postronku pod szubienicę jako osławionego Króla Żebraków albo nie ubiję jak psa.

Usiadł na posłaniu, zaśmiał się i z uciechy klepnął rękami po udach, aż klasnęło.

- Takiego cię lubię! Więc nie wyjawileś im, kim jestem. Dlaczego?

- Bo wtedy z pewnością dałbyś głowę, a twój następca mógłby się okazać jeszcze gorszy. Ale nie przeciągaj struny, bo zawsze mogę się rozmyślić. A teraz ad rem. Gadaj.

- Dobrze. Tylko się nie śmieję. Wcale się nie dziwię, że mi nie uwierzyli, bo na ich miejscu też nie dałbym wiary. Posłuchaj: stałem sobie w środku głuchej nocy pod murem ratusza i gapilem się w lufcik od kancelarii ratusznej, dumając, jak dobrać się do miejskiej kasy, co uznałem za przedni figiel, kiedy ujrzałem słabe światło...

- Gdzie?

- No, w tym okienku. A zaraz potem coś wypadło stamtąd i nim mrugnąłem okiem, zwało mi się na łeb. I to wszystko, co zapamiętałem.

- Znalaziono przy tobie zwój sznura i sączonek z kasy.

- O sączonek nic nie wiem. Zaś co do sznura... Z muru nie zwiślał, tego jestem pewny.

Chyba był uwiązany do tego czegoś, co mnie ogłuszyło. Idiotyczna historia, czyż nie?

- Co racja, to racja - wyznałem szczerze, tłumiąc śmiech. - Tak głupia, że wierzę, iż jej sobie nie wymyśliłeś. Zajmę się tą sprawą. Zaciekała mnie.

Była to tylko połowiczna prawda. Musiałem się czymś zająć, by choć na chwilę zapomnieć o dręczącym niepokojem o Jankę. Krzyknąłem na strażnika, zresztą pochodnia już się dopalała, a długie stanie nie spodobało się mojej nodze.

- Kacper... Teraz mogę ci wyznać, że odwołałem swoje psy w przeddzień twojego wyjazdu. Nie musiałeś opuszczać miasta. Z mojej strony nic ci nie groziło. Przecież jesteśmy przyjaciółmi, czyż nie?

300

- Mów za siebie. Od patrzenia na cię zawsze bolą mnie zęby. Jeżeli tak objawia się afekt, to mało wiem o przyjaźni.

- Wyciągnij mnie stąd, a nie pożałujesz. A na razie weź to - rzucił mi sakiewkę. - To dziesięć dutków na żywienie. Karmią tu podle, na strawnym oszczędzając, a od wczoraj przestali całkiem, widać uznali, że dla rychłego nieboszczyka szkoda marnować jadło.

Nie zapytałem, skąd wziął pieniądze, skoro z pewnością po aresztowaniu przeszukano go dokładnie. Może w garbie miał sak z mincami? Hutman nie był zachwycony moją propozycją.

- Odroczyć egzekucję? Ciężko będzie... - podrzucił w dłoni sakiewkę, którą mu oddałem. Przeliczył wcześniej starannie dukaty z takim błyskiem w oku, że zwątpiłem, czy choć dziesiąta część zostanie zużyta na napełnienie brzucha więźnia, ale to nie było moje strapienie, zresztą Ślepiec ostatnio jakby obrósł w tłuszcz, więc post dobrze mu robił. - No, ale czego się nie robi dla przyjaciół... Miałeś rację, wcale nie cieszy mnie pokaranie niewinnego. Da mihi factum, dabo tibi ius! Chyba uda mi się przekonać burmistrza, by zaczekał parę dni. Kiedy zabierzesz się do inwestygacji?

- Jutro.

Nie mogłem dłużej prowadzić badania, gdyż spieszyłem odwiedzić mlecznego brata i siostrę. Nie darowałoby mi, gdybym dłużej się ociągał. Wracając, wstąpiłem na akademię, przypomnieć o sobie i uprzedzić, że jeszcze trochę wody w Wiśle upłynie, zanim będę mógł wznowić przerwane studia i przystąpić do obrony doktoratu. Co przyjęto ze zrozumieniem, ponieważ zrobiłem się popularny w rodzinnym mieście. Nie powiem, żeby nie polechtało to mojej próżności.

Następnego dnia pierwsze kroki skierowałem do ratusza. Idąc na piętro do hutmana, usłyszałem podniesione głosy za drzwiami Izby Pańskiej na dole. Mimowolnie przystanąłem.

- iy złodzieju Rzeczypospolitej!

Rozpoznałem ów gruby, przepity głos. To mówił Czeczotka--Tłokiński.

- Tyś większy fur! Tyś kradł Rzeczpospolitą worem!

Ten głos też był mi znajomy. Należał do sławnego muratora Gabriela Słońskiego, zwanego Słoninką. Niegdyś się drużyli, Słoninka

1 Udowodnij fakt, a przyznam ci prawo, wymierzę sprawiedliwość (lac.).

301

nawet postawił Czeczotce dom, ale potem Rozmus swoim zwyczajem oszwabił druha i przyjaźń zamieniła się w zapiekłą nienawiść.

- A ty ryby sadzawicami!

Potem rozległ się gwar wielu głosów. Widać inni radni rzucili się mitygować skłóconych. Wstąpiłem na schody. W kwaterze hutmana czekało na mnie dwóch nieznanym. Starszy okazał się pisarzem miejskim, imię Pernusem, drugi był to podpisek, jego pomocnik.

- To oburzające! - zołdkował się pisarz, aż mu lico krwią zaszło. - Pan burmistrz Tłokiński ma czelność oskarżać mnie o włamanie się do kancelarii. Mnie, którego pocziwości jeszcze nigdy nie podważono! To zemsta za to, że mu nie dał się namówić do fałszowania ksiąg i prawdę świadczył przed królem!

- Uspokój się waść - mitygowałem rozgorączkowanego urzędnika. - Jesteś w dobrym towarzystwie. Przed chwilą słyszałem, jak imię Tłokiński i pan Słoński wzajem zarzucali sobie złodziejstwo.

- Pozabijają się, jeśli szybko nie znajdziemy fura - wtrącił Trojan. - A teraz, mości panowie, zechciejcie nas zaprowadzić do kancelarii, byśmy dokonali dokładnych oględzin miejsca przestępstwa.

Poszliśmy do kancelarii głównej (była też mniejsza, wójtowska) na pierwszym piętrze. Tu spisywano wszystkie umowy związane z nieruchomościami, inwentarze, ugody z miastami, pożyczki, gwarancje, gromadzono przywileje miejskie. Zauważyłem, że wszystko jest utrzymywane w największym porządku.

- Staram się - rzekł imię Pernus, znów zarumieniony, tym razem z powodu pochwały. Nie wątpiłem. Urząd był odpowiedzialny, szaczący, dobrze płatny, wymagał prawniczego wykształcenia i nie mógł go sprawować byle kto. Musiał być przy tym rzetelny (za pomyłkę w zapisie groziło mu ucięcie ręki, za świadome fałszerstwo - kara śmierci), sumienny i dyskretny. Pisarzowi przysługiwał tytuł nobilissimus, mógł też zostać wybrany do ławy lub rady. Jako i doszły mnie słuchy, że Pernus jest poważnym kandydatem do wójtostwa. Zaciekawiała mnie gruba księga zamknięta na kłódkę.

- To księga protokołów z posiedzeń rady - wyjaśnił pisarz.
- Kto ma do niej dostęp?

302

- Nikt. Ja protokołuję i obowiązuje mnie tajemnica. Tylko mnie wolno sam zaglądać. Jeśli któryś z rajców chciałby wglądać do protokołu, musiałby uzyskać zgodę całej rady i burmistrza.

- A kto ma wgląd do tych papierów? - zatoczyłem ręką koło.
- Takoż tylko ja i mój surogat Jeronim albo upoważniony do tego przez pozostałych przedstawiciel rady, ale jeno w przytomności któregoś z nas.
- Dlaczego cię to interesuje? - zaciekał się hutman.
- Bo być może włamanie do skarbcza miało tylko odwrócić uwagę, a tymczasem szło o kradzież lub podmianę jakiegoś dokumentu - pisarz miejski czerpał godziwy dochód z wpisów do ksiąg, potwierdzania testamentów czy wypisów z dokumentów lub sporządzania kopii. - Albo wymazanie lub zafałszowanie jakiegoś wpisu do protokołu, kompromitującego czy niewygodnego dla sprawcy. v

Trojan pokiwał siwą głową i ciężiej wsparł się na lasce.

- Chyba się starzeję - westchnął. - Nie pomyślałem o tym.
- Ja też - powiedział pisarz. - Ale na sprawdzenie tego wszystkiego jednego dnia mało!
- Dlatego radzę zabrać się do roboty od razu. Lecz wprzód pokażcie mi, mości pisarzu, gdzie jest kasa miejska. Czy to ona? - wskazałem dużą szkatułę, czy też małą skrzynię, stojącą w kącie.
- Tak.

Podszedłem bliżej. Skrzynka była okuta, a raczej cała żelazna i miała trzy zamki.

- Kto ma do niej dostęp?
- Dwóch wyznaczonych do tego rajców. Teraz są to panowie Słoński i Tłokiński. Pewnie dlatego obwiniają się wzajem. Każdy ma tylko jeden klucz i bez drugiego nie otworzy skrzyni.

Wrogowie Czeczotki mnożyli mu się jak pchły na psie. Należał do nich choćby rajca Marcin Urbankowicz, zwany Urbankiem, ale Słoninka był z nich najzawziętszy. Powierzenie tym dwóm, patrzącym sobie wzajem nieufnie na ręce, pieczy nad kasą, było dobrym posunięciem rady. Podejrzenie, że mogli być w zмовie, należało w tej sytuacji uznać za niedorzeczne.

- To po co jest trzeci zamek?
- Bo dawno temu kasę obsługiwało trzech rajców, ale to stare dzieje, sprzed bodaj dwustu lat z okładem.

303

Przypomniałem sobie głośną do dziś sprawę związaną z kościółkiem Świętej Gertrudy. Ufundował go przed prawie dwoma wiekami Mikołaj Wierzynek, kiedy na „cmentarzu świętych” złożono ciało jego ojca, rajcy Andrzeja, straconego w 1406 roku za podbieranie pieniędzy z kasy miejskiej. Ergo - precedens już był.

- Kiedy i kto stwierdził włamanie?
- Panowie Słoński i Tłokiński. W sobotę, gdy jak zazwyczaj poborcy podatkowi przynieśli należne pieniądze, oddając je radzie, po czym miano wypłacić z kasy pieniądze urzędnikom, służbie, pacholkom i robieńcom zatrudnionym czasowo w ratuszu. Wtedy okazało się, że ktoś opróżnił skrzynię z poprzednich wpłat.

Na razie nie miałem więcej pytań, więc Pernus i Jerońim zabrali się do sprawdzania papierów i protokołów, a ja zająłem się oglądaniem zamków przez przyrząd wyjęty z kieszeni.

- Co to jest? - zainteresował się hutman.
- Speculum lapideum. Szkło powiększające. Bardzo użyteczna rzecz.

Podniosłem się z kolan i podałem mu je, by sobie pooglądał, mówiąc:

- Nie ma żadnych rys. Ergo użyto oryginalnych kluczy albo dobrych kopii. Mości pisarzu, kto jeszcze ma klucz do kancelarii?

- Tylko my z Jeronimem.

Ogłędziny zamka u drzwi także nie dały rezultatu.

- Nie ma śladu włamania.

- Toć mówiłem ci, że to osobliwa sprawa. Istne czary.

- Nie gadajcie bzdur, hutmanie. Złodziej musiał jakoś przeniknąć do środka i prędzej czy później dojdziemy jak. Ejże...

Odebrałem mu szkło i obejrzałem zawiasy.

- Ciekawe...

Znów opadłem na kolana, czego moja chroma noga nie przyjęła z zadowoleniem, i zbałem posadzkę po obu stronach drzwi. Sztyletem zdrapałem coś z pawimentu i przyglądałem się temu pod szkłem powiększającym.

- Co tam masz? - spytał Trojan.

- Patrzy na łój. Mości pisarzu, jakich świec używacie?

Pernus oderwał się na moment od pracy.

- Woskowych.

- Nie łojowych?

304

- Nie. Śmierdzą i kopcą, a łój pryska na boki. Łacno wzniecić pożar tym sposobem albo zapaskudzić papiery.

- Tak myślałem. Dank.

- Co to ma do rzeczy? - wtrącił zaintrygowany hutman.

- To, że być może niesłusznie podejrzewamy rajców. Wątpliwe, by używali świec tak podłego gatunku. Ale oczywiście to tylko poszlaka. .. O! TU za to mamy coś znacznie ciekawszego. Widzicie ten ślad, hutmanie?

Pokazałem mu rysę na kamiennej płycie tuż za progiem.

- Cóż to jest?

- Miejsce, gdzie pod drzwi podłożono łom.

Zrobił głupią minę.

- Drzwi nie otwarto z klucza. Zostały podważone i zdjęte z zawiasów bez naruszania zamka. Widzicie te zadrapania na trzpieniach u futryny? Wystarczyło unieść drzwi na cal i wysunąć. Zasuwa ma akurat tyle samo luzu w górę i w dół, więc zamek nie został naruszony. Potem złodziej wśliznął się do wnętrza i zrobił swoje.

- Ale jak opuścił ratusz z łupem? Wnieść łom, nawet włamać się wieczorem lub w nocy, gdy prawie nikt nie kręci się po ratuszu, a wynieść wór z pieniędzmi to jednak różnica. Straż u wejścia musiałaby to zauważyć, a nie wierzę, by byli w zмовie z furem. Za swoich ludzi mogę ręczyć. Sam ich dobierałem.

- Miał pomocnika, który wyniósł łup.

-Jak?

Kancelaria miała dwa duże okna, oba zakratowane, i jedno małe, lufcik za ledwie, bez kraty.

- Tędy - pokazałem lufcik.

Wlazałem na krzesło i z pomocą speculum lapideum starannie obejrzałem parapet.

- I co?

- Zgadza się. Okienko jest tylko przymknięte, nie zamknięte. Brak śladów butów na parapecie, ale jest pięknie odcisnięty w śniegu na zewnątrz duży paluch u nogi, są otarcia farby na murze, smugi na brudnej szybie okiennej i to zaczezione na framudze - pokazałem mu oddarty kęsek czerwonej materii.

- To niemożliwe, nikt nie przecisnąłby się przez ten otwór! Do tego boso. W zimie!

305

- Dorosły nie, ale dziecko tak. Ergo sprawców było dwóch: jeden mały i zręczny, drugi wysoki na tyle, że bez podstawiania stołka, co mogłoby zwrócić czyjąś uwagę, zdołał ukradkiem sięgnąć do lufciku i odemknąć go, aby współnikowi od zewnątrz wystarczyło jeno lekko pchnąć. Przydał się nie tylko do wyniesienia łupu, ale choćby do przytrzymania drzwi, które są bardzo ciężkie. Niełatwo byłoby jednej osobie równocześnie je podważać i podtrzymywać.

- Jak ten mały mógł pomóc temu drugiemu wniknąć do środka, skoro tamten wprzód musiał mu zrzucić sznur?

- No właśnie, kłopot w tym, że nie ma żadnych śladów użycia liny. A jednak to musiało odbyć się w ten sposób, nie ma innego wytłumaczenia. Możecie, mości hutmanie, poprosić sam rajcę Słońskiego? Chciałbym z nim porozmawiać.

- Po co? Nie podejrzewasz go chyba?

- Nie. A jednak złoczyńcom nie udało się podrobić klucza do kancelarii, którym dysponuje imć Pernus, i dlatego użyli łomu, ale do kasy tak. Trzeba to wyjaśnić. Aha, jeśli zachowaliście ten sznur znaleziony przy Garbusie, niech mi go tu ktoś przyniesie. Odszedł całkiem żwawo jak na swoje kalectwo i za niedługo wrócił ze sławnym muratorem wyglądającym na wzburzonego. Zналиśmy się i nawet lubili, jednak trochę zajęło mi przekonanie go, że jest poza wszelkim podejrzeniem, a chcę jedynie, by przypomniął sobie coś, co wydarzyło się jakiś czas temu, może całkiem niedawno, a wcześniej mogło mu się wydać bez znaczenia. Wciąż naburmuszony, dumiał dłuższą chwilę.

- Niczego nie pomnę - rzekł wreszcie. - Chyba że... Razu pewnego, będzie gdzieś przed z górą miesiącem, zdarzyła się rzecz osobliwa. Zawsze ja otwieram zamek z prawej strony - pokazał palcem - a Rozmus z lewej. Tego dnia zaś było na odwrót. Mój klucz otwierał zamek z lewej, Rozmusa - z prawej. Musiało dojść do zamiany kluczy, ale kiedy i jak, tegośmy nie doszli. I jak nie lubię Czeczotki, to patrzył na równie zdumionego jak ja.

- I co było dalej?

- A co miało być? Pomienialiśmy klucze na powrót i tyle. I aż do włamania nie było już żadnych turbacji.

Podziękowałem mu za fatygę. Wyszedł, mrużąc coś pod nosem.

306

- Mości Pernus, czy w soboty podczas wkładania pieniędzy do kasy i wypłacania należności oprócz was oraz rajców Słońskiego i Tłokińskiego bywał przytomny jeszcze ktoś?

- Tylko Biernat Pilch, przyboczny imć Tłokińskiego, który się bez niego nigdzie nie rusza, jak ongi bez Praszki.

- Wysoki?

- O pół głowy wyższy od waszeci.

- A czy wcześniej, zanim doszło do tej dziwnej historii z zamianą kluczy, nie przydarzyło się coś, co miało związek z kluczem imć Słoninki?

Zmarszczył czoło.

- Taa... - rzekł po namyśle. - Teraz sobie przypominam. To było dawno, może trzy miesiące nazad albo i dawniej. Podczas zamykania kasy Pilch niechcący wytrącił imć Słońskiemu klucz z dłoni. Ale zaraz go podniósł i oddał, sumitując się gęsto... Obaj panowie radziec powadzili się wówczas, a rajca Słoński przypomniał panu Tłokińskiemu, że przy otwieraniu i zawieraniu skrzyni nie powinno być w pobliżu nikogo okrom ich dwu. Odciągnąłem na bok Trojana.

- Masz wasze swojego złodzieja. Musi być zręcznym furem. Podmienił klucze tak gracko, że żaden z rajców się nie spostrzegł. Miał w kieszeni wosk lub glinę i uczynił odcisk klucza Słoninki, bo Rozmusowy pewnie odcisnął wcześniej. Nie! Źle myślę. To odbyło się jeszcze sprytniej. Trącając niby przypadkiem Słoninkę, Pilch miał już duplikat klucza Czeczotki i ów oddał Słońskiemu. A potem kazał zrobić kopię jego klucza i tę podrzucił

Rozmusowi. Dlatego każdy z nich dysponował kluczem drugiego, a złodziej miał kopie obu. Proste i genialne w swoim rodzaju.

Hutman otarł pot z czoła.

- Wiesz, co mówisz? Bez dowodów czarno na białym Czeczotka mnie ukrzyżuje.
- Poszukam dowodów. A na razie sza. Nie zdradźcie się niczym, bo nam ujdzie.
- Tedy mistrz Pernus niepotrzebnie się trzodzi.
- Na razie niczego wykluczyć nie można. Niech pracuje.

Przyszedł pacholek z liną. Kazałem mu wyjść na zewnątrz, stanąć pod murem na wprost lufcika i sprawdzić, pokąd sięga sznur, który, trzymając za koniec, wyrzuciłem z okienka. Okazało się, że lina nie

307

dotykała ziemi, lecz łatwo można było jej dosięgnąć. Kiedy odszedł, zabierając sznur z powrotem, powiedziałem do Trojana:

- Dobrze to sobie obrachował. Sak ze zrabowanymi mincami nie miał spaść na burk, żeby nie narobił hałasu i nie pękł. Ale któremuś z furów lina wymknęła się z ręki. Mieli mnóstwo szczęścia, bo wór ugodził Garbusa i nie rozbił się na kamieniach, a na dodatek trafił im się kozioł ofiarny.
- Co nie znaczy, że garbus nie może być trzecim współnikiem, którego zadaniem było odebrać łup - przytomnie zauważył hutman.
- Wątpię. Nie stałby wtedy pod samym okienkiem, lecz bardziej z boku. Jeszcze jedno... Popytajcie swoich ludzi, czy w noc kradzieży ów Pilch pod jakimś pozorem nie zaglądał na ratusz.

- Zaraz to uczynię.

- Tedy zajrzę tu jeszcze na odchodnym.

Zszedłem zobaczyć się znowu z Garbusem, by zanieść mu pocieszające nowiny. Król Żebraków wyglądał lepiej niż poprzednio, ale choć nadrabiał miną, czułem że odlicza pozostałe mu do kaźni godziny i wątpi w swoje ocalenie oraz moją szczęśliwą gwiazdę. Kiedy usłyszał, co miałem mu do powiedzenia, trochę mu ulżyło.

- Kacper, jeśli mnie wyciągniesz z tego gówna, dostaniesz pięćset dukatów, a twój pater Roch drugie tyle na swój szpital - próbował mnie zmobilizować do dalszych starań i trzeba przyznać, że wybrał właściwą metodę.

Kiedy wyciągnięto mnie na górę, a nad Królem Żebraków znów zatrzasnęła się krata, powlokłem się z powrotem na piętro. Hutmanowi towarzyszył Matusz Szarski i żywo o czymś rozprawiali. Na mój widok hutman rzekł:

- Miałeś rację. Strażnicy, którzy byli wówczas na odwachu, pamiętają Pilcha. Przyszedł późno pod jakimś pozorem. Nie wzbudził podejrzeń, bo zdarzało mu się to wcześniej, gdyż Czeczotka stałe zostawia rzeczy byle gdzie, a to jakieś papiery, a to pigułki na sen, a potem sobie o nich przypomina i każe szukać. Zabawił dość długo, lecz wychodząc, z pewnością nie wyniósł ze sobą nic większego od dajmy na to książki, albo i to nie, boby spostrzegli.
- Nie musiał, bo łup wyrzucili przez lufcik.
- Ty tak twierdzisz. Nad czym dumasz?
- Szkoda, że nie spytaliście ceklarzy, czy utykał - mruknąłem po namyśle.

308

- A owszem - wtrącił Szarski. - Miał nogę w bandażach. Złamał ją czy zwicznął i cyrulik założył mu łupki. Skarżył się, że burmistrz mimo urazu gania go jak psa. Skąd wiedziałeś?

- Zastanawiałem się po prostu, co ja bym zrobił, gdybym chciał niepostrzeżenie wnieść i wynieść długie na dwa łokcie łom.

- Dobra, chytrusie - westchnął Trojan. - To znowu tylko poszlaka. Potrzebuję niezbitych dowodów. I to szybko, bo jak nie, to ukręcimy sprawie łeb, zetniemy garbusa i po krzyku.

- Będziecie je mieli, hutmanie.

Opuszczając ratusz, wcale jednak nie byłem tego taki pewny. Po prostu robiłem dobrą minę do złej gry, bo perspektywa pięciuset dukatów była nad wyraz kusząca. Potrzebowałem tych pieniędzy. Wiedziałem, że kluczowe dla rozwiązania tej sprawy byłoby odnalezienie wspólnika Pilcha. Małego i zarazem zręcznego jak małpa. Ba, ale gdzie go szukać? Równie dobrze mógł już być wiele mil od Krakowa.

Zdążając do domu na wieczerzę, przecinałem Rynek, gdy wtem zajęło mnie zbiegowisko wedle kościoła Świętego Wojciecha, gdzie stanął kryty wielobarwnym płótnem wóz wagantów. Na linie rozpiętej między Wielką a Małą Wagą balansował człek w pstrokatym odzieniu. Wróciły wspomnienia z lat młodości, kiedy tak samo zabawiałem publiczność. Przepchnąłem się przez ciżbę. Thipa była wcale liczna, bo oprócz fikających kozły linoskoków byli także kuglarze żonglujący wielobarwnymi kulami oraz wyciągający rozbawionym gapiom monety to z nosa, to z ucha, siłacze dźwigający wielkie ciężary, zabawnie pokrzywieni mimowie, komedianci odgrywający ucieszne scenki oraz muzykanci śpiewający sprośne przyspiewki i zagląający niewiastom pod spódnice. Szukałem Valdasa niedźwiedznika, lecz go nie zoczyłem. Rozpoznałem za to innego znajomego. Rodrigo, Cygan z racji smagłej cery udający Hiszpana, ongiś żongler i linoskok jak ja, teraz stateczny, pękaty jegomość w dostatnim przyodziewku, kierował trupą, zapowiadając donośnym głosem:

- A teraz, mili spektatorzy, ja, wielki Don Rodrigo z Hiszpanii, zaprezentuję wam rzecz niebywałą i nigdzie indziej niewidzianą. Oto Pedro, człowiek-bez-kości, który na waszych oczach cały wejdzie do tej sam skrzynki, którą tu widzicie.

Przesunął nogą małą skrzynkę, równocześnie wypychając naprzód rosłego draba, który na zdrowy rozum nie miał prawa zmieścić

309

się w niej nawet jednym półdupkiem, a co dopiero w całości. A jednak z taką samą fascynacją jak pozostali patrzyłem z niedowierzaniem, jak skurczył się w sobie i po kolei poskładał swe długie członki w nieprawdopodobny sposób, jakby to były wierzbowe witki, pozornie bez trudu wypełniając sobą skrzynkę, a na koniec zamknął za sobą wieko. Publiczność krzyczała z uciechy, gdy rozkładał się na powrót, po czym klaniał nisko, zaś do skrzynki sypnął się grad mińców i nie były to same miedziaki.

- To nie wszystko, moi mili! - zawołał Don Rodrigo. - Gwóźdź programu jeszcze przed wami! Oto Enano, człowiek-pająk!

Zza jego solidnej sylwetki wyskoczył karzeł, odbił się i wykonał salto w tył, znów się odbił i nim opadł, zdążył w powietrzu wykręcić śrubę. Rozległy się brawa, ale to był dopiero początek. Karzeł pokazał ręce i gołe stopy, do których nie miał przytwierdzonego nic, po czym dopadł muru Wielkiej Wagi i zaczął się na nią wspinać ze zręcznością małpy, wykorzystując niewidoczne szpary i minimalne występy. Błyskawicznie znalazł się pod dachem i zniknął w dymniku, do którego, przynajmniej patrząc z dołu, nawet nażarty gołąb by się nie wcisnął. Za chwilę wylazł stamtąd, podrzucił się na dach i zaczął na nim podrygiwać w dziwacznym pląsie pośród okrzyków wiwatującego tłumu. Widziałem już dość, więc podszedłem do hetmana igrców.

- Witaj, Rodrigo. Miło widzieć, że dobrze ci się wiedzie.

Zmarszczył czoło. Wtem mnie rozpoznał.

- Kacper! Kacper Ryx! Niech mnie... Co tu robisz?

- Ja tu mieszkam, a ty? Nie widziałem was wcześniej.

- Bośmy głównie bywali na Szląsku i w Wielkiej Polsce. W Krakowie bawimy dopiero od miesiąca z hakiem.

Wrzawa oznajmiła nam, że karzeł zakończył występ. Jako i uwijał się, zbierając do saczka monety, których rzucono mu jeszcze więcej niż człowiekowi-bez-kości.

- Ma małą głowę - zauważyłem. - Inaczej niż większość karłów.

- Bo i nie jest tak ostry na umyśle jak niektórzy z nich. Ledwie pojmuje, co się do niego mówi, i to tylko proste komendy. Ale za to wszędy wlezie i wciśnie się w każdą mysia dziurę. Coś za coś.

- Nie znasz wypadkiem człeka, który zwie się Biernat Pilch? Wyższy ode mnie o pół głowy. Tylko tyle o nim wiem, a chciałbym więcej.

310

Spojrzał na mnie z ukosa. Wyczułem, że się spał.

- Po co?

- Powiedzmy po to, żeby oszczędzić ci turbacji.

Poskrobał się po nosie.

- Znam go. Pracował kiedyś z nami jako kuglarz. Przyjaźnił się z Enanem i nawet mieli wspólny występ. Ale musiałem go zwolnić, jakoś tak przed rokiem. Nie wiedziałem, że osiadł w Krakowie, dopóki nie spotkaliśmy się na rynku niedługo po naszym przyjeździe do Krakowa. Chwalił się, że służy bogatemu panu. To prawda?

- Owszem. Za co go wyrzuciłeś z trupy?

- Bom przywazył, że nie tylko wyciąga mińce z nosa czy uszu spektatorów, ale i sakiewki z ich kieszeni, a któregoś razu przyłapałem go na podbieraniu pieniędzy ze wspólnej kasy. Co zmalował tym razem?

- Mniej więcej to samo, tylko na większą skalę.

- Ciągnie wilka do lasu. Szkoda, bo miał zręczne palce i mógł daleko zejść w naszym fachu.

- Często was tu odwiedzał?

- Raz czy dwa. Przepędziłem go. Najwięcej gadał z Enanem. Chcesz wypytać karła, o czym gadali?

- Nie i ty też mu nie mów, że pytałem o Biernata.

- Zgoda, ale za to chętnie bym się dowiedział, czym się zajmujesz, skoro interesują cię takie sprawy.

- Długo by mówić. Niedługo zaproszę was wszystkich do tawerny na dobre jadlo i napitek. Wtenczas pogadamy.

- Kacper! - chwycił mnie za rękę. - Enano to pocziwiec o gołębim sercu. Nie chciałbym, by go spotkała jaka krzywda. On jest jak dziecko, jak glina w rękach człeka, któremu ufa. Łacno zeń uczynić kozła ofiarnego.

- Bądź spokojny.

Zatem jedna sprawa już się wyjaśniła. Czasem ziarno trafia się nawet ślepej kurze. Wróciłem do gospody głodny jak wilk, ale zadowolony. Następnego ranka wpierw wstąpiłem na ratusz i odbyłem długą rozmowę z hutmanem. Niełatwo przyszło go przekonać i dobrze to rozumiałem, gdyż miał wiele do stracenia, a moja pomyłka mogła go kosztować posadę.

Jednak umówiliśmy się na jutro, w samo południe. Pernus z podpiskiem już sprawdzili dokumenty i protokoły. Były w porządku, zatem złodziejowi chodziło tylko o pieniądze.

Noc miałem ciężką. Śniła mi się Janka wyciągająca do mnie ręce i błagająca o ratunek. A ja byłem związany w kij i nie mogłem zrobić kroku. Obudziłem się zlany potem z mocnym postanowieniem, że pojedę jej szukać, kiedy tylko Garbus wypłaci mi obiecaną lafę.

W piątek, równo z ostatnim uderzeniem zegara ratuszowego i poślednimi dźwiękami trąbki strażnika na hajnalicy kościoła Panny Marii, stawilem się w Izbie Pańskiej na ratuszu.

Zgromadziła się tam większość rajców, w tym Urbanek i Słoninka, pisarz Pernus oraz podhutmani Szarski. W komnacie wrzało jak w ulu, na mój widok wszyscy kopnęli się ku mnie, jedni, by poznać, drudzy, by pogratulować nobilitacji, po czym wszyscy zasypali pytaniami. Uniosłem ręce w górę.

- Pax, pax, mości panowie. Wyjaśnię wszystko, ale nie widzę sam ani hutmana Trojana, ani burmistrza Tłokińskiego. Poczekajmy na nich.

Nie czekaliśmy długo, bo chwilę potem w sieni uczynił się rumor i do izby, trzaskając drzwiami, wtoczył się czerwony ze złości Czeczotka, a za nim wysoki człek w moim wieku, z szyderczym uśmiezkiem na niemiłej gębie, oraz hutman z nosem na kwintę.

- Co jest!?! - wydierał się Mały Borgia, bo tak przezywano Czeczotkę za plecami. - Kto zezwolił temu durniowi - paluchem grubym jak kiełbasa wskazał nieszczęsnego hutmana, który wbił oczy w pawiment, jakby chciał się pod nim zagrzebać - na najście na mój dom, przeszukanie go i oskarżenie mojego sługi o ohydny zbrodnię!?

- Ja - odezwał się rajca Marcin Urbankiewicz ze złośliwą satysfakcją. - Od wczoraj nowy burmistrz jeśli pomnisz, Czeczotko.

- Dla ciebie pan Tłokiński, tyku! - ryknął grubas. - To gwałt i odpowiecie mi za to! Nagle mnie spostrzegł i omal nie trafił go szlag.

- Ryx! Teraz pojmuję... To wszystko twoja sprawka, łotrze! Jesteś jak czyrak na mojej dupie, ale to już koniec! Podłożyłeś się i tym razem cię ukrzyżuję!

- Dla ciebie pan Hiropoński, Rozmus - odparłem zimno, chociaż duszę zaczynał mi toczyć robak wątpienia. - Mości hutmanie, czy rewizja dała effectus!

- Żadnego - westchnął nieszczęśnik, nareszcie unosząc głowę. - Chociaż moi ludzie przetrząsnęli każdy cal w kwaterze imć Pilcha, a potem cały dom pana Tłokińskiego, nie znaleźliśmy śladu

312

•0

w

zrabowanych pieniędzy... Stwierdziłem jedynie, że Biernat szykował się do opuszczenia domu, a może nawet miasta, bo statki miał popakowane...

- Dureń, po trzykroć dureń! Przyglup! Idiota! - żołądkował się Czeczotka. - Od jutra możesz wracać do stolarki! Ciekawe, jak sobie poradzisz z chromym kulasem! Takie są skutki zawrzenia temu tu - wskazał na mnie. - No, jak ci tam... Hiropoński, nareszcie powineła ci się noga. Mieję odwagę przyznać się do porażki, panie Mądrałiński. Publicznie, przy świadkach. No dalej...

Myślałem tak intensywnie, że czułem, jak zgrzytają mi trybiki w mózgu. A nie było łatwo skupić się pod naporem tylu spojrzeń. Wzrok Czeczotki wyrażał mściwą satysfakcję, jego przydupasa Biernata - złośliwy triumf i szyderstwo, hutmana TYojana - wyrzut, Szarskiego - litość, pozostałych zadowolenie albo smutek, w zależności od tego, czy byli zwolennikami, czy przeciwnikami Krwawego Burmistrza.

- Mości podhutmani - zwróciłem się do Matysa. - Weźcie kilku ludzi i pójdźcie pod kościół Świętego Wojciecha, gdzie trupa lino-skoków niejakiego Don Rodriga daje spectaculum. Powiedzcie, że to ja was przysyłam i proszę, by wydał wam to, co Biernat Pilch zostawił u niego na przechowanie.

Szarski zerknął na burmistrza Urbanka, który po namyśle kiwnął głową przyzwalająco, po czym zniknął za drzwiami. Następne pół godziny upłynęło nam w milczeniu na obserwowaniu zegara stojącego na kominie. Tik-tak, tik-tak, tik-tak. Czas włókł się niemilosierdzie. Co chwila popatrywano na mnie, ale tym razem inaczej. We wzroku Czeczotki czaiła się niepewność, Pilcha - rosnąca panika, Trojana - rozbudzona nadzieja, a pozostałych - po prostu ciekawość. Kiedy Pilch oblizał nerwowo wargi, mrugnąłem do hutmana. Wygraliśmy.

Dlatego nie zdziwił mnie widok dwóch miejskich pacholków, poprzedzających Szarskiego, którzy lekko sapiąc, wnieśli do komnaty sporą skrzynkę i postawili na środku.

- Rozbijcie ją! - polecił burmistrz.

Jeden z drabów wyjął zza pasa toporek i oderwał kłódkę. Współ z drugim unieśli wieko i zaczęli wyjmować z wnętrza sączi, w większości zaopatrzone w znaki poborców podatkowych, wydające metaliczny dźwięk przy zetknięciu z pawimentem.

- Nie ulega dubium. To pieniądze skradzione z miejskiej kasy - powiedział Urbanek. Wszystkie spojrzenia jak na komendę obróciły się na Pilcha.

- To nie moje! - krzyknął fagas Czeczotki, którego gęba już nie wyrażała zuchwalstwa, tylko śmiertelne przerażenie. - To nie ja!

- Nie łzyj - poradziłem mu. - Bądź mężczyzną. Grałeś i przegrałeś. Panowie radzcie, ten tu człek bezczelnie nadużył waszego zaufania, a zwłaszcza pana Tłokińskiego...

- Nie miałem z tym nic wspólnego - wtrącił napastliwie Czeczotka.

- Wiem. Daj mi skończyć. Imć Pilch był niegdyś zręcznym kuglarzem, ale został przyłapany na złodziejstwie i usunięty z trupy Don Rodriga...

- To on za wszystko odpowiada, on i karzeł Enano! - przerwał mi Pilch; pot łał mu się z czoła strumieniem, oczy biegały niespokojnie. - Oni mnie namówili!

- Stul pysk! Rodrigo zawinił tylko tym, że po starej znajomości zgodził się przechować ci skrzynkę, nie wiedząc wcale, co zawiera. A karzeł to przygłupek, łatwowierny jak dziecko, którego podle wykorzystałeś, a teraz chcesz uczynić kozłem ofiarnym. Oto jak sprawa wygląda, wielmożni panowie: wyrzucony z trupy Pilch przybył do Krakowa i wkradł się w łaski imć Tłokińskiego, po czym skusiła go kasa miejska. Łatwo zrobił odbitkę klucza należącego do jego pana, potem sprytnie pomieniał klucze, aby odbić także klucz imć Słońskiego. Dla żonglera i facimiecha to nic trudnego. Następnie jakiemuś ślusarzowi, albo raczej partaczowi spoza miasta, zlecił wykonanie kopii. Nie mógł jedynie dobrać się do klucza od kancelarii, bowiem nie miał przystępu do imć Pernusa. Ale obmyślił chytry plan, jak otworzyć drzwi bez klucza. Potrzebował jednak współnika, i to nie byle jakiego. Więc czekał cierpliwie. I doczekał się przybycia trupy Don Rodriga, w której był jego dobry znajomy, karzeł Enano. Bez trudu namówił nieszczęsnego półgłówka do pomocy. Pewnej nocy z łomem, workiem na łup i sznurem, ukrytymi pod odzieniem i zabandażowaną nogą, zjawił się na ratuszu pod pozorem, że jego pan pilnie czegoś potrzebuje...

- Stróże z odwachu to potwierdzili - wtrącił hutman, nareszcie rozluźniony.

- ... O oznaczonej porze, myślę, iż podczas bicia ratusznego zegara, zabrał się do podważania drzwi z zawiasów, w czym pomagał

314

mu od środka karzeł, który drapiąc się po murze wśliznął się do wnętrza przez lufcik...

- To niemożliwe! - przerwał ciszę któryś rajca. - Dziecko by się tamtędy nie przecisnęło! Baśnie!

- Widać nie widzieliście owego Enano przy robocie, panie. Wśliznął by się on nawet w mysią dziurę, a żeby wspiąć się po murze, nie potrzebuje sznura. Nie darmo zowią go człowiek-pająk, zaś lufcik był jedynie przymknięty, o co Pilch zadbał zawczasu. Reszta była już prosta. Po otwarciu kasy przełożyli sączki do jednego saka, do którego uwiązali linę, i wyrzucili go na dół z lufcika. Jednak któremuś z nich sznur wyśliznął się z dłoni. Traf zdarzył, że spadający sak wylądował na głowie garbusa, przypadkowo przechodzącego pod ratusznym murem. Po czym karzeł pomógł Pilchowi z zamknięciem na powrót drzwi, sam zaś wrócił na dół tak samo, jak przyszedł, i czekał na Pilcha. Ten podjął łup i od razu pojmując, jaka gratka mu się trafiła, zostawił przy ogłuszonym garbusie sznur i jeden z sączków z kasy, aby rzucić na niego podejrzenie. Potem przemycił łup na kwaterę, a w dogodnym momencie wyniósł stamtąd w przygotowanej wcześniej skrzynce, którą powierzył Don Rodrigowi na przechowanie. Tuszę, że gdyby imć hutman go dziś nie aresztował, byłby już daleko, skoro opróżnił kwaterę z cenniejszych statków. Pewnie na Kleparzu trzyma w gotowości szybkiego wierzchowca...

- Ty diable!

Zdemaskowany złodziej rzucił się na mnie z wyciągniętymi rękoma, ale byłem szybszy i zasłoniłem się dobytym sztyletem. Wtedy zrobił nagły zwrot, zwiódł obu strażników, pchnął

Szarskiego i może nawet zdołałby dotrzeć do wyjścia, bo rajcy stali jak wryci, gdyby nie hutman, który cisnął zbiegowi pod nogi swoją ciężką laskę. Kiedy tamten upadł, pacholki miejskie skoczyły mu na plecy, związały, po czym zaraz wywlekły do sieni. W mig otworzono kratę od lochu, spuszczone złorzeczające w głos więźnia do ciemnicy i na powrót zamknięto otwór.

Kiedy rajcy tłoczyli się wokół mojej osoby, przekrzykując się wzajem, poklepując mnie po plecach i wysławiając pod niebiosy, zoczyłem, jak Czeczotka chyłkiem wymyka się z izby.

- Coś nie masz szczęścia do fagasów, Rozmus! - zawołałem za nim. - Na dal powinienes ich sobie dobierać starannie!

315

Nie odwrócił się. Pół godziny potem siedziałem z Trojanem i Szarskim w kwaterze hutmana przy flaszcze węgryzna.

- Nie możemy tego przyjąć - hutman przesunął w moją stronę miszek z nagrodą wypłaconą przez burmistrza.

- Taka była umowa - przesunąłem sakiewkę z powrotem.

- Niech ci będzie. Jezu, dzisiejszy dzień kosztował mnie połowę zdrowia. Wyznam ci, że była chwila, iż w ciebie zwątpiłem.

- Ja też - wtrącił Matys. - Kiedy hutman wrócił od Czeczotki z niczym, aż mi serce stanęło.

- Mnie też - przyznałem. - Ale byłem pewny swojej racji, tedy wystarczyło odrobinę pogłównkować. Kiedy uwolnicie Garbusa?

- Niedługo. Choć, Bóg mi świadkiem, patrzy na niezgorszego łotra. Ale, jak powiadają, co ma wisieć, nie utonie.

Wracając do domu, spełniłem obietnicę i zaprosiłem do naszej gospody na wieczerzę Don Rodriga z całą trupą. Przy okazji urządzili z wdzięczności takie spectaculum, jakiego nasze mury dawno nie oglądały. Nawet ja zapomniałem na chwilę o turbacjach. Za to Rodrigo stracił humor, gdy opowiedział mu o sprawkach jego byłego kompana. Przyznał mi rację, że na wszelki wypadek lepiej by było, gdyby skoro świt opuścili Kraków i czym prędzej podążyli ku śląskiej granicy. Znękany poprzednią bezsenną nocą, nerwami związanymi ze zdemaskowaniem Pilcha i biesiadą z igrcami, zasnąłem jak kamień i spałem do południa. Obudził mnie Niziołek, przynosząc list, który przywiózł jakiś kupiec z Jarosławia. Drżącymi rękami skruszyłem lakową pieczęć z herbem Nieczuja i zacząłem pochłaniać kartę zapisaną starannym, równym pismem. Nie Janki, niestety. Pisała jejmość Wapowska. W suchych, wyważonych słowach informowała, że ku swemu żalowi nie potrafi mi powiedzieć, co stało się z Janką. Nie widziała jej od października. Podobno dziewczyna, tak przynajmniej powiadali sąsiedzi, których odwiedziła tuż przed swoim zniknięciem, udała się do Warszawy. Owszem, jejmości wiadomo, że tam nie dotarła. Dostała list od samej królowej, równie zaniepokojonej nieobecnością ulubionej dworki. Wyrażała nadzieję, że zastałem Jankę w Krakowie. I dziwiła się, że niewdzięczna pasierbica dotąd do niej nie napisała. Jeśli zaś nie ma jej i tu, to znaczy, że z kimś uciekła, i teraz jej wstyd pokazać się przyzwoitym ludziom na oczy. Zapewne z Jędrzejem Ligęzą z Pio-traszówki, bo smalił do niej cholewki, a i on nie był jej, jak widać,

316

obojętny, choć to człek prędki i w afektach niestały, przed czym ona, Katarzyna, wyraźnie Jankę ostrzegała. Ubolewa nad tym, co się być może stało, lecz nic poradzić nie może. I tyle. Zaniepokoiłem się nie na żarty. Nie wierzyłem, by Janka uwikłała się w jakąś awanturniczą miłosną historię. Zarówno ona, jak i ja dawno mieliśmy za sobą wahania i rozterki. Po ostatnim liście byłem pewny jej miłowania, jak ona mogła być pewna mojego. I nigdy nie porzuciłaby krewniaczki bez słowa pożegnania. Chętnie też dowiedziałbym się więcej o tych sąsiadach, u których ją ostatni raz widziano. Wszystko to cuchnęło na miłą. A Katarzyna

Wapowska z pewnością coś tała. Z każdego słowa wyczierała zapiekła niechęć do pasierbicy. Musiałem jak najprędzej ruszać do Dynowa. Miałem nadzieję, że Króla Żebraków już uwolniono i nie zapomniał o mojej nagrodzie. Nie mogłem jechać bez pieniędzy. Kiedy zszedłem na śniadanie, cioteczka i Niziołek zasypali mnie pytaniami o Jankę. List przeraził ich tak samo jak mnie.

- Kacper, zrób coś! - jęknęła ciotka i kurczowo chwyciła mnie za rękę. - Musisz ratować moją córuchnę! Ta jej macocha z pewnością uknuła przeciwko niej jakąś niegodziwość, żeby nie dzielić się majątkiem!

To było najprostsze i narzucające się wyjaśnienie. Ale dociec prawdy mogłem tylko na miejscu, w Dynowie i jego okolicach. Przybity kończyłem śniadać, gdy do karczmy weszły dwie osoby, druga dźwigająca jakiś pakunek, w progu otrzepując się ze śniegu.

- Angulus ridet¹ - powiedziała pierwsza, rozglądając się po izbie.

Poderwałem się z miejsca.

- Stachnik!

Ale on wpiersz rzucił się do rąk cioteczki, obsypując je pocałunkami, dopiero potem wziął mnie w ramiona. Chociaż głodny i pochłaniający z zapałem jadło, jednak zauważył nasze przygnębienie. Opowiedziałem mu o trosce o Jankę i pokazałem list od Wapowskiej.

- W istocie - mruknął po lekturze, oddając mi pismo. - Jejmość jest oschła, wręcz zgryźliwa i enigmatyczna. Dziwna sprawa... Ha, nie ma rady. Musimy pojechać i sprawdzić, co tam się podziało.

- Naprawdę? Pojedziesz ze mną?

¹ Ten zakątek uśmiecha się do mnie (lac., Horacy).

317

- A cóżeś myślał? Czasu jest dość, a i tak miałem zaglądnąć w rodzinne strony. Sejm już ustanowił podwójne podatki na ten rok, tedy wojna pewna. Po prawdzie posłowie Moskiewskiego mocno spuścili z tonu, a papież przysłał legata, zręcznego jezuitę Antoniego Possevino, aby doprowadził do pojednania z Iwanem i abyśmy wspólnie z Moskalami przystąpili do ligi antytureckiej, lecz król jest zdecydowany skończyć, co zaczął. Zresztą znasz tę maksymę: Si vis pacem...

- ... para bellum¹.

- Właśnie. Tedy lada dzień pójdą listy przepowiednie do nowych rot. Zbiórkę przewidziano na koniec czerwca, ergo zdążymy odszukać pannę Joannę.

- Oby.

- Na pewno. Wiem, że antiquus amor cāncer est². Zwłaszcza takie miłowanie jak wasze, ale... Nil desperandum³ - huknął mnie w plecy. - Vino pellite curas⁴ Jarek! - zawołał na przybocznego, który milczkiem pożywiał się na końcu ławy. - A pokaz no dar od kanclerza Zamojskiego, któryśmy przywieźli dla wielmożnego pana Hiropońskiego.

Wspólnie rozwiązali pakunek. Pokazała się sztucznie wyrobiona tarcza herbowa z godłem Jelita, ale zmodyfikowanym. Środkową z trzech skrzyżowanych kopii oplatał wąż Eskulapa.

- Piękny! - ciotka Balcerowa w zachwycie złożyła dłonie jak do modlitwy.

- Możesz ją sobie zawiesić na ścianie, o tu byłoby dobrze - pokazał mi - a pod nią dać szablę, których masz dostatek. A to ode mnie, musisz przecież mieć czym pieczętować listy - wręczył mi puzderko ze złotym sygnetem z wygrawerowanym herbem, który natychmiast posłałem w obieg, by drudzy, a zwłaszcza cioteczka, napaśli nim oczy do syta. - A teraz napijmy się. Bene vertat!⁵

Kiedy tak się weselił i mnie na chwilę zaraził swą wesołością i wigorem. Jeszcze tego wieczoru jakiś żebrak dostarczył do gospody mieszek z pięciuset dukatami. Król Żebraków dotrzymał

¹ Jeśli chcesz pokoju, gotuj się do wojny (lac.).

- 2 Stara miłość jest jak rak - stara miłość nie rdzewieje (łac., Petroniusz).
- 3 Nie należy rozpaczać (łac., Horacy).
- 4 Winem rozpraszajcie troski (łac., Horacy).
- 5 Za pomyślność (łac.).

318

słowa. Tuszyłem, że szpital Świętego Ducha też dostał swoje. Mimo późnej pory wybrałem się na Floriańską do karczmy „U Strasza”. Czas leczy nawet najboleśniej rany, więc wdowiec wydawał się spokojniejszy i pogodzony ze stratą. Jeszcze raz dziękował mi za doprowadzenie do ujęcia zabójcy i wzbraniał się przyjąć stu czątych, które mu ofiarowałem. Wreszcie je wziął, kiedy zobowiązałem go, by przeznaczył pieniądze na stosowną edukację dziatki, i obiecałem, że gdybym kiedyś potrzebował przysługi, nie zapomnę o nim. Teraz mogłem szykować się do wyjazdu na Ruś.

Lecz nie ruszyliśmy od razu. Nadeszły bowiem takie mrozy, że byłoby to zbyt niebezpieczne. Przez dwa tygodnie Żółkiewski nudził się jak mops, buszując w mojej bibliotece i całymi dniami wylegując na łożu z książką w ręce. Ja zaś, by zagłuszyć lęk o Jankę i chęć działania, rzuciłem się w wir pracy. Pomagałem doktorowi Foksovi w lecznicy dla ubogich studentów na Wiślniej i ojcu Rochowi u Du-chaków i w szpitalu Świętego Sebastiana, napisałem i wygłosiłem ostatnią obowiązkową dysertację przed obroną doktoratu. Audytorium miałem zaś doprawdy znamienite, aż mnie to zaskoczyło. A zaraz potem zostałem wezwany na rozmowę do prywatnego gabinetu rektora Jakuba Górskiego, który usiłował zreformować naszą zmurszałą akademię, dopuszczając wykłady z humanistyki oprócz nieśmiertelnego a przestarzałego Arystotelesa. Cóż z tego, skoro na humanistykę brakowało pieniędzy (i wykładowcy pracowali za darmo), a na scholastykę nie, więc wszystko pozostało po starym. Towarzyszyli rektorowi moi dobrzy znajomi z wydziału teologii, Glicjusz i Marencjusz, oraz wyborni medycy Fox i Zawadzki zwany Pikusem.

- Mości licencjacie - zagaił mój promotor, Fox - ponieważ bawiliście niedawno przy osobie króla i, jak słyszeliśmy, cieszycie się względami najjaśniejszego pana, jego magnificencja i przytomni profesorowie chcieliby poznać stanowisko króla wobec naszej prześwietnej akademii. Być może słyszeliście także o jakowys nowych knowaniach i zakusach Societas Iesu na szkodę krakowskiej wszechnicy...

Tu leżał pies pogrzebany! Akademia podczas ostatniego bezkrólewia przystąpiła do partii „cezarianów” alias „cesarczyków” popierających Habsburgów, co zniechęciło do niej zwycięskich „batorianów” vel „batorowców”. Król co prawda puścił to w niepamięć i nawet

319

nawiedził bibliotekę uniwersytecką, dokonując wpisu do metryki dostojnych gości. Przybył potem także do Kolegium Większego na dysputę teologiczną Marencjusza, po czym raczył łaskawie przemówić do jednego ze scholarów: Discepuer latine, ego faciam te mościpa-nie1. Nadał także uniwersytetowi od dawna upragnioną prepozyturę Świętego Floriana.

Równocześnie jednak planował utworzenie świeckiego Kolegium Królewskiego na wzór paryskiego Collège Royal. Nic z tego nie wyszło, ale popieranie jezuitów było faktem.

- Owszem - odparłem po namyśle. - Spotkałem w Wilnie u królewskiego boku zarówno Piotra Skargę, jak i Jakuba Wujka, lecz nie sprawy niedoszedłego kolegium krakowskiego ich zajmowały, to pewne. Zaś kanclerz Zamojski, pragnąc wciągnąć naszą Almae Matris w orbitę spraw publicznych, chce zabrać na tegoroczną wyprawę moskiewską profesora Jana Wielogorskiego jako kapelana, a za moim, nie chwałąc się, wstawiennictwem, także doktora Stanisława ze Skierniewic jako chirurga polowego. Jeśli jeszcze nie dostali oni zaproszenia, tedy tylko go czekać.

To ich nieco uspokoiło. Rozstaliśmy się w wielkiej przyjaźni. Oni zapewnili mnie o swej życzliwości, na dowód czego odroczyli mi egzamin doktorski na czas nieokreślony, ja ze swej

strony zapewniłem ich, że nie zmarnuję żadnej okazji, by króla nastroić zyczliwie do akademii.

Pewnego dnia spotkała mnie jeszcze większa siurpryza. Zaproszenie do ratusza na uroczysty bankiet. Byłem zaskoczony, ale nie aż tak, jak wówczas, gdy okazało się, że ucztę wydano specjalnie na moją cześć. Nawet nie przypuszczałem, że cieszyłem się aż taką popularnością i uznaniem w rodzinnym mieście.

-... I dlatego, biorąc pod uwagę zasługi przytomnego tu wielmożnego Kacpra Ryksa-Hiropońskiego, inwestygatora królewskiego i licencjata medycyny zarazem, położone niedawnymi czasy dla przywrócenia porządku w naszym mieście, wstrząsanym straszliwymi i niesłychanymi zbrodniami, i zapewnienia prezerwatywy jego obywatelom, a ostatnio zapobieżenie przezeń rozprzestrzenianiu się moru, postanowieniem prześwietnej rady miejskiej rzezonemu Kacprowi Ryksowi przyznaje się ius civile królewskiego miasta Krakowa oraz odstępuje kęs gruntów miejskich w zamian za powinność

1 Ucz się chłopcze łaciny, a zrobię cię panem (łac.).

320

leczenia u Duchaków wszystkich chorych i cierpiących, takóŜ na francę zwaną wielkim przymiotem...

No proszę, jak to szlachectwo uszlachetnia. Do tego stopnia, że ojcowie miasta raczyli puścić w niepamięć moje nieznanne pochodzenie, co było wydarzeniem niesłychanym. Przy okazji muszę sobie upuścić krwi, żeby sprawdzić, czy już zbłękitniała. Tymczasem, stosownie wzruszony, wstałem i pośród oklasków, nieco kuśtykając, bo noga znów mi doskwierała, postąpiłem na środek Izby Paradnej w ratuszu, by odebrać przywilej z rąk burmistrza, który wcześniej wygłosił długą laudację na moją cześć. Wracając, mrugnąłem do Czeczotki, który stał z boku i patrzył na mnie wilkiem.

- No, no - skomentował to Żółkiewski po moim powrocie do domu. - Teraz jesteś nie tylko szlachcicem, ale i posesjonatem.

Przyznany mi grunt znajdował się na Garbarach. Nie była to najlepsza lokalizacja ze względu na fetor wyprawianych skór, ale szczęśliwie moja parcela leżała w lepszej, południowo-wschodniej części przedmieścia, za Krupnikami 1, na granicy ze Smoleńskiem i znajdującymi się tam, tonącymi w zieleni folwarkami szlacheckimi. Ciotka Balcerowa oczywiście spłakała się jak bóbr, najpierw z dumy i radości, potem z lęku, że wyprowadzę się z domu.

- Ani mi to w głowie, ciotucho - zapewniłem ją. - Przynajmniej na razie. Gdzie mi będzie lepiej niż tu?

Jeszcze głośniej płakała, gdy przyszło się żegnać. Ponieważ król chciał mnie widzieć u swego boku, prosto z Rusi mieliśmy ruszać na Litwę. Znów czekał nas rok rozłąki. O dziwo, tym razem Niziołek nie napierał, by ze mną jechać. Wyznał mi bowiem w zaufaniu, że zamyśla o ustatkowaniu się i poślubieniu Tereski, jednej z nowych służek, miłej piersiastej dziewczki, która, jak zdażyłem już zauważyć, wpadła mu w oko. Zabrałem więc ze sobą Tomka, szczęśliwego, że liźnie kęs świata. Pomny złego doświadczenia z Chrisem Żeglarzem, chętnie obyłbym się bez sługi, lecz moja nowa kondycja na to nie pozwalała.

W przeddzień wyjazdu nawiedził mnie osobliwy gość. Przyszedł pod wieczór, nieco wylękniony i zmieszany. Bo też nieczęsto widywaliśmy w naszej gospodzie młodego braciszka z zakonu dominikanów.

- Ja do imć Kacpra Ryksa... - wyjąkał przy szynkwasio.

Gruby Stach wskazał mu mnie, a ja mniskowi miejsce obok siebie.

1 Okolice dzisiejszej ulicy Krupniczej.

321

- Bigosu, fratrze, piwa, gorzałki? - spytałem. Winem nie wolno nam było częstować, gospoda „U Balcera” nie była winiarnią, mogliśmy się nim raczyć tylko prywatnie lub w gronie przyjaciół.

- Dziękuję, nic. Ja jeno na chwilę - nieśmiało przysiadł na skraju ławy, zsuwając kaptur i odsłaniając wianuszek lnianych włosów wokół tonsury. - Waćpan mnie nie znasz, zresztą od niedawna bawię w Krakowie. Jestem Wit Sęp-Szarzyński, bakałarz Pisma Świętego i kaznodzieja u dominikanów. Młodszy brat Mikołaja.

- Przebóg! Co u niego?

- Źle. Po niedawnej śmierci imć Zofii Kostczyzny z Odrowążów, dziedziczki Przeworska i Jarosławia, a zwłaszcza jej pasierbicy, panny Zofii, stracił ochotę do życia. A przecież dla nich przeprowadził się z rodzinnej Zimnej Wody pod Lwowem do Wolicy w Przemyskiem, którą wydzierżawił od pana Adama Rzeszowskiego. Zawsze był wątłego zdrowia, lecz zaraz po Godach legł do łoża i kto wie, czy dotrwa do Wielkiej Nocy. Od żołnierzy wracających spod Wielkich Łuk dowiedział się o waścinych przewagach i łaskach, którymi się cieszysz u króla. Dlatego przeze mnie przesyła waści te wiersze, prosząc, byś je pokazał najjaśniejszemu panu, którego podziwia z całego serca. Przykazał mi rzec waszmości, że do końca zachowa cię we wdzięcznej pamięci. Napisałem do niego list, bo pojechać nie mogę. Może zechciałbyś dopisać kilka słów? Ucieszyłby się.

Zawsze podejrzewałem, że Sęp skrycie podkochiwał się w wo-jewodziance sandomierskiej, dlatego dobrze rozumiałem, jakim ciosem dla niego była jej nagła śmierć. Zawstydzilem się, że zapomniałem o starym druhu i nawet do niego nie napisałem po powrocie z wojny. Dlatego w momencie podjąłem decyzję:

- Nie, ojczu. Daj mi ten list, a ja mu go dostarczę osobiście. Właśnie przebieram się w tamte strony.

Kiedy dominikanin odszedł, ze wzruszeniem przebiegłem wzrokiem dobrze mi znane pismo: Tyś wskrzesił naszą sławę, Ty bowiem pokoje, Wyrodnym smaczne sercom, ganisz i do zbroje Potrzebną chęć pobudzasz, która, legartowem Jadem zjęta, nie dbała długo być obłowem

322

To zdrażliwym Tatarom, to Moskwicinowi Chciwemu, okrutnemu, półpoganinowi. Dziś samo imię twoje Pohańce hamuje, A straszny tyran sam strach, hańbę, szkodę czuje...¹
I drugie:

Niebo koroną, mężnym ojczyzna go zowie, A my go wyznawamy królem, Sarmatowie. Bóg, ojczyzna, postronni tak go zdobią społem, Że mu inszym nie trzeba słać się tytułem. Lecz nam tuszy ten umysł, każdej cnoty żyzny, Iż go Ojcem nazowiem tej nowej ojczyzny.²

- Można? - Stachnik wyciągnął rękę, gdy skończyłem.

Po chwili oddał mi zapiski, mówiąc poważnie:

- Nie wiedziałem, że mamy w Polszczy rymopisa, który samemu mistrzowi Kochanowskiemu równy.

- A owszem. Sam niegdyś zamierzałem zostać poetą, ale poznawszy Sępa, dałem sobie z tym pokój.

Samoczwart opuściliśmy Kraków w marcu, gdy ustąpiły wielkie mrozy, ale drogi jeszcze nie rozmiękły. Zamierzaliśmy jechać traktem na Bochnię, Tarnów i Rzeszów. Opuszczaliśmy miasto przez bramę Grodzką. Z wysokiego pała nad Rudawą patrzyła na nas pustymi oczodołami nabita nań głowa Biernata Pilcha. Akurat kat i jego pomocnicy smagali u pała, niby u pręgi, trzech złodziei, a po chwili jednemu z nich urżnięto ucho. Trysnęła krew, gawieź wrzasnęła z uciechy. Takim widokiem pożegnał mnie Kraków. Bóg jeden wiedział na jak długo.

1 M. Sęp-Szarzyński, Pieśń VII (Stefanowi Batoremu, królowi polskiemu), [w:] tegoż, Poezje, oprac. J.S. Gruchała, Kraków 1997, s. 96-97.

2 M. Sęp-Szarzyński, Na obraz Stefana Batorego, króla polskiego, [w:] tegoż, dz. cyt., s. 112. Gra siów: koroną - po grecku stefanos; mężnym - po węgiersku bator, Ojcem ojczyzny - Pater patriae, najzaszczytniejszy tytuł w starożytnym Rzymie.

To zdrażliwym Tatarom, to Moskwicinowi Chciwemu, okrutnemu, półpoganinowi. Dziś samo imię twoje Pohańce hamuje, A straszny tyran sam strach, hańbę, szkodę czuje...'

I drugie:

Niebo koroną, mężnym ojczyzna go zowie, A my go wyznawamy królem, Sarmatowie. Bóg, ojczyzna, postronni tak go zdobią społem, Że mu inszym nie trzeba sławić się tytułem. Lecz nam tuszy ten umysł, każdej cnoty żyzny, Iż go Ojcem nazowiem tej nowej ojczyzny.²

- Można? - Stachnik wyciągnął rękę, gdy skończyłem.

Po chwili oddał mi zapiski, mówiąc poważnie:

- Nie wiedziałem, że mamy w Polsce rymopisa, który samemu mistrzowi Kochanowskiemu równy.

- A owszem. Sam niegdyś zamierzałem zostać poetą, ale poznawszy Sępa, dałem sobie z tym pokój.

Samoczwart opuściliśmy Kraków w marcu, gdy ustąpiły wielkie mrozy, ale drogi jeszcze nie rozmiękły. Zamierzaliśmy jechać traktem na Bochnię, Tarnów i Rzeszów. Opuszczaliśmy miasto przez bramę Grodzką. Z wysokiego pala nad Rudawą patrzyła na nas pustymi oczodołami nabita nań głowa Biernata Pilcha. Akurat kat i jego pomocnicy smagali u pala, niby u pręgi, trzech złodziei, a po chwili jednemu z nich urżnięto ucho. Trysnęła krew, gawiedz wrzasnęła z uciechy. Takim widokiem pożegnał mnie Kraków. Bóg jeden wiedział na jak długo.

1 M. Sęp-Szarzyński, Pieśń VII (Stefanowi Batoremu, królowi polskiemu), [w:] tegoż, Poezje, oprac. J.S. Gruchała, Kraków 1997, s. 96-97.

2 M. Sęp-Szarzyński, Na obraz Stefana Batorego, króla polskiego, [w:] tegoż, dz. cyt., s. 112. Gra słów: koroną - po grecku stefanos; mężnym - po węgiersku bator, Ojcem ojczyzny - Pater patriae, najszacowniejszy tytuł w starożytnym Rzymie.

ROZDZIAŁ 7 | ROZPACZ

Dubiecko, listopad 1580 roku

Starsza Wapowska odchodziła od zmysłów. Chodziła po domu i obejściu jak błędna, powtarzając tylko:

- Staś! Gdzie jesteś, synku? Co się z nim stało? Boże, Boże, za co mnie tak doświadczasz... Cóż ci to niewinne dziecię uczyniło? Przywróć mi je, błagam Cię - ale przyjąc od Janki naparu z melisy nie chciała.

Sprzątanie po niedawnym zamieszanu spadło na barki Janki. Późnym popołudniem wysłała ekipę do oszacowania szkód w miasteczku i wybadania, na ile okolica jest już bezpieczna.

Niedługo potem straż na baszcie oznajmiła przybycie dwóch obcych.

- Przywożą wieści o paniczu!

- Wpuścić! - rozkazała Katarzyna, wznosząc nagle pojaśniałą twarz ku niebu. - Dzięki ci, Boże, żeś wysłuchał moich modłów!

Otwarto wrota i tamci wjechali na dziedziniec. Jeden barczysty, o grubych rysach, płowych włosach obciętych jak u wieśniaka i dużym wąsie, drugi krótkowłosey, o wąskiej gębie, na której okrucieństwo i chytrość walczyły ze sobą o lepsze. Obaj uzbrojeni po zęby, całkowicie ignorowali obecność otaczających ich dworskich Tatarów.

- To zbiry Stadnickiego - szepnął wystraszony Jakub. - Ten wyższy z bliźną to Zegart, prosty chłop, ślepo oddany swemu panu. A ten mocno podgolony to Ilko, łotr nad łotry.

- Coście zrobili mojemu synkowi!? - krzyknęła rozpaczliwie Katarzyna.

- Twojemu synowi nic nie jest, pani - odparł Ilko, ściągając z głowy czapkę, ale nie zsiadając z konia. - Chwalić Boga akurat byli my nad rzeką, kiedyśmy ujrzeni małego chłopca porwanego przez wodę, więc wyłowili my nieprzytomnego, odratowali i powiedli do Dubiecka. Tam dopiero pokazało się, kto zaczął ów chłopiec.

- Leż wierutny! - syknęła Janka. - Staś zna bród. Poza tym pływa jak ryba. Sama go uczyłam.

Ale Katarzyna jej nie słuchała.

- Oddajcie mi dziecko! - jęknęła, wyciągając ku nim błagalnie ręce.

- Otrok jest pod dobrą pieczę. Pan Stadnicki, bo jego my sługi, wyda go wam natychmiast, pod warunkiem, że panna Wapowska zaraz pojedzie po niego. Sama. Z nami.

- Widzisz, coś narobiła? - Katarzyna zwróciła ku Jance wykrzywioną od złości i rozpaczony twarz, po której ciurkiem płynęły łzy. - Wszystko przez ciebie. Tyś wbrew mej woli nauczyła go strzelać i tyś w porę nie zaważyła przejazdu. Jedź teraz po Stasia i wypij piwo, któregoś nawarzyła!

- Skąd mamy wiedzieć, zali chłopiec w istocie jest w Dubiecku? - przytomnie spytał Jakub.

Spodziewali się tego i byli przygotowani. Ilko sięgnął za pazuchę i wyjął złożoną kartkę. Katarzyna prawie wyrwała mu ją z dłoni. Zerkając jej przez ramię, Janka odczytała kulfoniaste, dziecinne pismo, złożone z samych dużych liter: „Luba Pani Matko, nie trap się o mnie. Jestem zdrow i cały. Czekam na Jankę, niechaj przybywa co prędzej. Wasz Staś”. Wzruszyła się, bo to ona uczyła chłopca pisać i pamiętała, jaki był dumny, gdy posiadał tę sztukę.

- Pojadę - powiedziała, przełykając ślinę. - Jakubie, przyprowadź mi kasztankę. Powłócząc nogami, jakby nagle przybyło mu lat, stary poczłapał do stajen, skąd wrócił po niejkiej chwili z kasztanką i drugim wierzchowcem. Pomógł dziewczynie wsiąść, po czym sam wdrapał się na siodło.

- Jadę z panienką - powiedział z zaciętą miną na bladej twarzy. - I diabła zje, kto mnie zechce powstrzymać.

A powiedział to zarówno do Katarzyny, jak i do zbirów, którzy tylko wzruszyli ramionami, uśmiechając się drwiąco. Janka rzuciła staremu pełne czułości spojrzenie, wiedząc, ile go kosztowała ta decyzja i jak musiał się bać. Sama też się bała, choć nadrabiała miną. Odjechali pośród niemal idealnej ciszy.

Dynów od Dubiecka dzieliły zaledwie dwie mile polskie. Drogę, biegnącą wzdłuż Sanu prosto jak strzełił na wschód, przebyli w milczeniu w niecałe dwie godziny. Na przodzie jechał Ilko, potem Janka

325

i Jakub strzeżenie w strzeżenie, na końcu Zegart. Kiedy wjechali na majdan przed dworem Stadnickich, zewsząd rozległy się pohukiwania, okrzyki i wokół nich zgromadził się spory tłum. Stadnicki musiał zobaczyć ich przez okno, bo zaraz wyszedł na ganek. Łeb miał obwiązany bandażem, przed sobą prowadził wystraszonego chłopca, którego trzymał w krzepkim uścisku.

- Janka! - krzyknął mały radośnie i chciał podbiec do dziewczyny, ale Stadnicki mu nie pozwolił.

- Witam w skromnych progach, mościa panno - rzekł z obleśnym uśmiechem. - Miło mi będzie odnowić znajomość.

Już raz, przed laty, Janka znalazła się w mocy Stadnickiego, ale poradziła sobie z nim z pomocą Żółkiewskiego. Teraz jednak była zdana tylko na siebie.

- Ja chcę do mamy! - zawołał Staś, szarpiąc się i wyrywając.

- Spokojnie, chłopcze, zaraz do niej pojedziesz. Kiedy tylko panna Wapowska wyzna, że po dobrowoli zostanie sam w gościnie. Nie zniósłbym utraty za jednym zamachem aż dwojga tak miłych i rzadkich gości - wbił w dziewczynę szydery wzrok.

- Zostanę - odparła.

Uwolniony chłopiec z radosnym piskiem rzucił się ku niej. Pochyliła się ku niemu z siodła i pieszczotliwie zwichrzyła czuprynę.

- Byłbym go zastrzelił - szepnął. - Ale siedzieli w krzaczkach nad rzeką i pojмали mnie, ledwo wyszedł z przełazu. Nie gniewasz się?

- Nie. Zuch z ciebie. Ale teraz bądź posłuszny i jedź. Macierz czeka - przypomniała, dając znak Jakubowi, który wyciągnął rękę i pomógł chłopcu wdrapać się przed sobą na siodło.

- Wracaj niedługo - przykazał Jance Staś, kiedy Jakub zawrócił wierzchowca.

- Wróć.

Patrzyła za nimi, a oni, z odwróconymi twarzami, na nią, dopóki nie zatrzaśnięto za nimi bramy.

- Zapraszam! - Stadnicki wykonał szeroki gest, otwierając na oścież drzwi do sieni i równocześnie dając znak lice i Zegartowi.

Cała trójka zsiadła z wierzchowców, po czym skierowali się do domu, oba zbiry po bokach dziewczyny jak czujne psy. Zegart zamknął drzwi, odcinając ich od ciekawskich spojrzeń rozbawionej czeladzi na majdanie. Stadnicki z zapaloną latarką w dłoni czekał przed otwartą kłapą na końcu długiej i obszernej sieni.

326

- Do lochu z nią! - warknął i sam zszedł przodem.

Obszerne piwnice ciągnęły się pod całym dworem. Były mroczne, ponure i cuchnące nie tylko pleśnią. Minęli pomieszczenie zaopatrzone w grube dębowe drzwi z potężną kłódką. Janka domyśliła się, że to skarbczyk. Chodziły słuchy, że Stadnicki zgromadził na wojnach i w wyniku rabunków wielkie dobra, które pomnażał, wybijając fałszywą monetę. W kolejnym pomieszczeniu siedziało kilku wynędzniałych więźniów, którzy na widok gospodarza rzucili się ku kratom, wyciągając błagalnie ręce, jęcząc, płacząc i błagając:

- Łaski, jasny panie! Wypuść nas! My niewinni!

- Milczcie, psy! - ryknął Stadnicki i skinął lice, który płazem szabli zaczął rozdawać razy na prawo i lewo, aż więźniowie z płaczem powlekli się pod mur lizać świeże rany.

Zatrzymali się w najobszerniejszym lochu, w którym cuchnęło najbardziej.

- Obszukajcie ją. Jenó baczcicie, bo to istna diablica!

Zegart pochwycił ją z tyłu mocno, unieruchamiając ramiona, a Ilka zaczął obmacywać, śliniąc się i chrząkając. Znalazł sztylet i króćcę, ale nie zadowolił się tym, miętosząc przy okazji piersi i dysząc coraz głośniejsze. Zrobiła jedyne, co mogła. Uniosła kolano i wbiła mu w krocze. Kwiknęła i zwałił się na brudną polepę, rżąc i wijąc się jak robak na haku.

- A nie mówiłem! - zaśmiał się Stadnicki, zestawiając latarkę. - Pomóż mi," Zegart.

Wspólnymi siłami, choć wrywała się z całych sił, powlekli ją ku ścianie i podwiesili za ręce do umocowanych do muru zardzewiałych łańcuchów tak, że ledwie końcami palców sięgała ziemi.

- Powiesz tu sobie, aż skruszejesz. Nie spieszy mi się. Wiedz wszak jedno. Kiedy już się tobą nasycę, będziesz wyglądała jak ona.

Oświecił drugi kąt lochu, gdzie coś się poruszyło. Przy okazji światło wyłoniło z mroku kilka walających się pod ścianami czaszek i szkieletów oraz jedno ciało w stanie posuniętego rozkładu. Wpierw myślała, że coś uwiązane na długim łańcuchu przyczepionym jednym końcem do ściany, a drugim do obroży na szyi, pełznącego ku światłu, to jakieś zwierzę. Potem rozpoznała półnągą kobietę w resztkach poszarpanego odzienia, z rozczochranymi długimi włosami w strąkach, ciągnącymi się po ziemi i twarzą podobną

327

do trupiej czaszki. Stwór mamrotał coś nieskładnie i kręcił głową na wszystkie strony.

Wzdrygnęła się z litości i wstrętu zarazem.

Kiedy wyszli, została w ciemnościach sama ze swą rozpaczą. Wtem brzęknęły łańcuchy, usłyszała skrzekliwy głos i z trudem rozpoznała słowa:

- Boże, Boże, gdzie Jurek? Czemu się spóźnia? Przecie zaraz pora nam iść do ślubu... Ksiądz już czeka i gości tłum... Gdzie mój wianek? Chryste, zgubiłam wianek... Co Jur na to powie? Włos zjeżył się Jance na głowie. Poznała, kogo ma przed sobą. Zuzannę Stano, zaginioną narzeczoną nieboszczyka Daniłowicza.

Ćachtice, listopad 1580 roku

- Martin Berzeviczy, baron de Dondangen, wysłannik Stefana, króla polskiego i wielkiego księcia litewskiego, do pana tego zamku, hrabiego Ferencza Nadasdy - opowiedział się przybysz u bramy.

Wprzód nim otworzył wrota i wpuścił na dziedziniec królewskiego sekretarza z małym poczem, Ujvary posłał pacholka, by uprzedził państwo. Nie był zaskoczony. Od kilku tygodni spodziewano się na zamku gościa z Polski i podjęto stosowne kroki.

- Pan hrabia zaraz zejdzie - powiedział ugrzecznionym tonem, pomagając przybyszowi zsiąść z wierzchowca.

- Zaczekam - odparł tamten sucho.

- Jakie to szczęście, że Christof Zborowski ostrzegł nas o możliwości takiej wizyty - powiedział Nadasdy do żony, kiedy Dorota Szantes przez drzwi powiadomiła go o przybyciu gościa. - Czekaj na mnie, moja droga, i grzej łożę. Postaram się go szybko pozbyć. Zresztą nie myślę, by chciał zabawić dłużej, niż to konieczne. Nigdy się nie lubiliśmy z tym wzbogaconym chudopacholkiem.

Wyskoczył z pościeli i z pomocą wezwanej Ilony Jo, warującej pod drzwiami sypialni, ubrał się prędko, po czym pospiesznie zbiegł po schodach na dziedziniec, z daleka otwierając ramiona i uśmiechając się z fałszywą radością.

Wrócił po ponad godzinie, lecz Elżbiecie czas się nie dłużył.

- Odjechał?

- Tak - odparł, rozbierając się. - Spieszyło mu się do Wiednia.

328

- Pytał o mnie?

- Pytał, ale powiedziałem, żeś chora. Nie napierał się wcale, by cię nawiedzić.

Interesowały go głównie lochy. Udał, że chodzi mu

o sławne wina, które jakoby tu przechowujemy i których próbkę chciał zawieźć swojemu królowi od ukochanej siostrzenicy. Nie zawiodłem go! - zaśmiał się, przypominając sobie zaskoczoną minę Berzeviczego na widok wielkiej groty wypełnionej dziesiątkami wielkich bek, leżących jedna na drugiej i zaopatrzonych w szpunty.

Trzy tygodnie zajęło pacholkom odczyszczenie groty i doprowadzenie jej do obecnego stanu.

- Przejechał nawet palcem po skale, ale ku jego zdziwieniu była zupełnie czysta, pozbawiona nawet nalotu kurzu.

- A cmentarz?

W sąsiedniej pustej piwnicy o glinianej polepie, gościa zainteresował dziwny zapach i świeżo wykopany dół w kącie.

- Wyjaśniłem mu, że pod sklepem płynie ściek z nieczystościami, a kilka cegieł z wierzchu zmurszało, zapadło się i było przebicie. Niedawno je zlikwidowaliśmy, ale jeszcze nie zdążyliśmy zasypać dziury. Myślę, że uwierzył.

Na ustach zaigrał mu przez sekundę uśmieszek, bo Ujvary razem ze swoją drużyną zbirów pod grubą warstwą ubitej gliny pogrzebał poniewierające się tam dotąd na wierzchu szczątki pomordowanych dziewcząt, a także ciała zabitych niedawno służek z obciętymi językami. Wszystkich z wyjątkiem jednej, dla której była przygotowana ostatnia mogiła.

- Oprowadziłem go potem po komnatach, lecz one interesowały go mniej, dlatego tak szybko się uwinęliśmy. Ergo tym razem ci się upiekło, lecz pamiętaj: od jutra żadnych ekscesów! Przynajmniej do mego powrotu - dodał twardszym tonem, ściągając spodnie.

Nazajutrz wybierał się bowiem na nową wojnę. - Obiecay mi!

- Obiecuję - szepnęła słodko.
- Na czym to skończyliśmy, moja droga, zanim nam przerwano? - spytał już całkiem nagi.

- Na tym - odrzuciła nakrycie.

Pod nim, przywiązana za ręce i nogi do słupków namiotowych, leżała rozkrzyżowana dziewczyna, pokrwawiona, na wpół żywa

1 zrezygnowana. Na widok nagiego mężczyzny próbowała coś

329

rzec, lecz z powodu uciętego języka nie przypominało to żadnego słowa.

- No to do roboty! - zawołał Nadasdy, wskakując do łoża. - Trzeba skończyć, co się zaczęło. Resztą zajmie się w nocy Ujvary...

- Szczęśliwie twoje usługi okazały się tym razem niepotrzebne, panie Kettler - powiedział z niejaką ulgą w głosie Berzeviczy do jadącego obok człowieka w czerni, kiedy wieże ponurego zamku zniknęły w oddali, i podał mu pękata sakiewkę. - To za fatygę.

- Nie zawsze jest niedziela - mruknął albinos, ważąc w dłoni mieszek. - Polecam się na dal.

Dubiecko, listopad 1580 roku

Straciła rachubę czasu. Nie wiedziała, czy jest dzień, czy noc, i ile dni przebywa w tym okropnym miejscu. Co najmniej kilka, bo dwa razy była już tak głodna i spragniona, że dostała majaków, nim przyniesiono wodę i podłą strawę, zazwyczaj czerstwy chleb i byle jakie mięso, które pochłaniała wielkimi kęsami, wpychając do ust przez cudze palce, gdyż nie rozwiązywano jej do posiłku. Raz jedzenie przyniósł Zegart. Był ponury i mrukliwy, ale przynajmniej nie znęcał się ani nad nią, ani nad nieszczęsną panną Stano. Za to Ilko nie tylko rzucił szalonej jadło obok miski, do której jej je dawano jak psu, ale i przy okazji skopał nieszczęsną. Zaś Janki nie omieszkał znów poobmacywać, wpychając swe ruchliwe łapska za koszulę i pod spódnicę. Opluła go, bo tylko to mogła uczynić, a on trzasnął ją z całej siły w twarz, odgrażając się:

- Byłabyś dla mnie miłsza, może bym ci nieco ulżył. A tak czekaj, aż wróci pan Stadnicki. Jak on weźmie cię w obroty, jeszcze będziesz wspominać mnie czule, przekonasz się.

Zatem Diabła czartowie gdzieś ponieśli. Modliła się, żeby jego nieobecność trwała jak najdłużej, wiedząc doskonale, że tylko odwleka nieuniknione. Ogarniała ją czarna rozpacz.

Obecność wariatki, powtarzającej w koło Macieju o utraconym wianku, jej zwierzęce skomlenia i wycia, wrzaski innych więźniów za ścianą, również Jankę momentami przywodziły na krawędź szaleństwa. Lepka od potu,

330

czuła się zbrukana. Trzęsła się z chłodu. Poza tym była wyczerpana brakiem snu. Za każdym razem gdy przysnęła, traciła oparcie i zawisała na rękach, omal ich sobie nie wyrywając ze stawów i natychmiast się budząc. Wisior, który Ryx przysłał w liście, nie przyniósł jej szczęścia i nie ochronił przed złem. Przeciwnie. Ani Kacper, ani też Stachnik tym razem nie przybędą na ratunek. Mimo to broniła się przed rezygnacją i myśleniem jedynie o śmierci. A jednak kiedy usłyszała za drzwiami kroki więcej niż jednej osoby, zgrzytnął klucz w zamku i do lochu wszedł Stadnicki, a za nim Ilko z pochodnią, upadła na duchu i utraciła wszelką nadzieję. Teraz chętnie przyjęłaby szybki skon jako wybawienie.

- No i jak, moja panno? - stanął przed nią podparty pod boki. - Nie uskarżasz się chyba na gościńcę? Zwłaszcza że na dworze plucha i ziab, psa żal wypuścić, a tu sucho i przyjemnie. Zaraz będzie jeszcze przyjemniej. Spostponowałaś mnie ongi pod Warszawą, ale teraz jesteś w mojej mocy i zobaczysz, co potrafię. Jeszcze będziesz krzyczeć z rozkoszy. Świeć dobrze, Stachu, bo chcę się napaść do syta krasą tej dziewczki.

Nagłym szarpnięciem rozerwał jej suknię na piersiach, przyparł do muru, uniemożliwiając jakikolwiek ruch, po czym wysuniętym jęzorem ją wodzić po ciele branki, od uszu i szyi poczynając, po obnażone piersi. Ugryzł ją w sutek, aż krzyknęła z bólu i wstrętu.

- Spokojnie - sapnął - to dopiero początek.

Dyszając coraz głośniejszymi podciągając jej spódnice, pogładził srom, po czym wsunął palec do wnętrza, nie przestając ustami i drugą ręką miętosić piersi. Wtem do piwnicy najpierw wpadł Zegart, wołając:

- Jaśnie panie, goście!

A zaraz potem do środka wtargnęło dwu ludzi. Stadnicki odstał od dziewczyny, zagniewany, ale przekleństwa zamarały mu na ustach, gdy rozpoznał jednego z przybyszów.

- Wszelki duch! Samek! Nie spieszyło ci się z powrotem. Czyżbyś jednak uzyskał od króla, co chciałeś?

- Nie wspominaj imienia tego przeklętnika! Oby go ziemia pochłonęła! Niczego nie uzyskałem! Cała fątyga na darmo! Lepiej mi było doma albo na Siczy siedzieć!

Zborowski wyszarpnął czekan z za pasa i prasnął obuchem z całej siły o mur, krzesząc iskry. Jego wrzaski obudziły z odrętwienia

331

szaloną, która ni to z piskiem, ni z kwikiem rzuciła się ku niemu, brzękając wleczonym łańcuchem.

- Co to? Kto tu jest!? Precz ode mnie, bestio! - nagłym ruchem Samuel zawinął czekanem i spuścił go na głowę nieszczęsnej, rozszczępiając ją na dwoje jak harbuza. Dopiero teraz przyjrzał się ciału u swych stóp.

- Nic to! - rzucił Stadnicki beztrząsco. - Dawno miałem się pozbyć tej szalonej dziewczyny, ale bawiła mnie. Zegart! Odejmij jej głowę i zostaw sam, a truchło zabierz na majdan i ciśnij psom.

- Ładnie się zabawiasz... Nauki jejmości Elżbiety Batorówny nie poszły w las - mruknął Zborowski, ochłonawszy, i wskazał Jankę, zazdroszczącą w tej chwili pannie Stano, która wszelkie cierpienia miała już za sobą. - A to co za jedna?

- Nie poznajesz? - zaśmiał się Stadnicki. - To nasza dobra znajoma, panna Wapowska, dziewczynka Kacpra Ryksa, który tak ci zalazł za skórę.

- Już po nim - odparł Samuel z satysfakcją. - Słyszałem w Wilnie, że został w Dziśnie, powalony morem, który zebrał ob'fite żniwo. Wszyscy przyjaciele, na czele z królem, go odbieżeli. Dziś to z pewnością zimny trup, a raczej rozkładająca się padlina. No i dobrze. Mortui non mordent.

Wyjął z ręki liki pochodnię i podszedł ku dziewczynie. Z oczu płynęły jej łzy, których nie mogła powstrzymać na wieść o śmierci Kacpra. Teraz było jej wszystko jedno, co się z nią stanie.

- Zaiste to ona - Zborowski poświecił jej prosto w odwykłe od światła źrenice, aż zamknęła powieki. - Odkupię ją od ciebie. Ile chcesz?

- Nie jest na sprzedaż.

- Dam pięćset dukatów. Płatne od ręki.

- Nie sprzedam nawet za tysiąc.

Wtem odezwał się drugi z przybyszów, nie spuszczać oczu z nagich piersi dziewczyny.

- Dam tysiąc pięćset.

Dopiero teraz Stadnicki przyjrzał mu się lepiej.

- Nikt cię nie pytał o zdanie, murzyku. Kogoś mi tu przywiódł, Samku?

- Powściągnij plugawy język, giarurze, albo zamilkiesz na wieki - rzekł zimno Tatar, podchodząc bliżej, bezceremonialnie odpychając na bok gospodarza i zabierając pochodnię Zborowskiemu. Przysunął

332

drapieżną twarz do biustu Janki, cmoknął, lecz jej nie dotknął. - Podoba mi się ta kyz i chcę ją mieć. Cena nie gra roli.

- Nie! - uciał Zborowski. - Pomnij, zem twym wujem, Stachu. Winienes mi posłuch. Dam ci równy tysiąc, ty zdzierco. Z dawna przyrzekłem zemstę tę dziewce i jej gachowi, więc musisz mi jej ustąpić. Zabawię się z nią jeszcze tej nocy, a potem oddam ją tobie. I tobie też - rzeki do Tatara. - A także wszystkim moim Kozakom oraz waszym semenom i ordyńcom po kolei. A jeśli jakimś cudem to przetrwa, wtenczas będziesz mógł z nią dalej igrać jak z tamtą, aż ze szczętem oszaleje albo zemrze. A teraz pójdźmy na wieczerzę. Jestem głodny jak wilk. Stadnicki wzruszył ramionami, przekonany. Tatar nie powiedział nic. Oddał pochodnię lice, który przyświecał im, gdy opuszczali lochy. Kiedy Janka została sama, nareszcie mogła pofolgować łzom. Szlochała rozpaczliwie, oplakując Kacpra i swoje zmarnowane życie. Potem zapadła w półsen, z którego wybudził ją szmer za drzwiami. To nadchodzili prześladowcy. Z całej siły zacisnęła powieki i zaczęła się głośno modlić.

Północne wybrzeże Morza Czarnego, wrzesień 1582 roku

Na Czarnym Morzu przeciwna fala się zrywa, Statki kozackie na trzy części rozbiwa: Jedną część w ziemię Agarską zanosła, Drugą część pędzi w gardło Dunaju, bez wiosła. A z trzecią co się dzieje! Na Czarnym Morzu się zatapia. Przy tej części był Hryćko Zborowski Ataman kozacki zaporoski...'

- Zamilknij stary, bo słyhać cię w Perekopie, albo nawet Bak-czysaraju² - uciszył lirnika Zborowski.

1 Fragment dumki kozackiej Czarnomorska burza; [za:] Lucjan Siemieński, Pamiątki o Samuelu Zborowskim, Leszno-Gniezno 1846, s. 12-14.

2 Perekop (u nasady półwyspu), Bakczysaraj (stolica Ordy Krymskiej) - miasta na Krymie.

333

Czekając na zmierzch, ukrywali się w szuwarach Dnieprowego limanu, by nie dostrzegł ich jakiś rybak albo konny pastuch. U nieodległego limanu Bohu leżał bowiem ich cel - Oczaków, główna siedziba Ordy Oczakowskiej zwanej też Jedysańską.

- Bat'ku - szepnął asawuł Hołubek, zbliżywszy się do dowódcy z delegacją mołojców i przerywając mu zadumę. - Z południa nadciągają Hirki.

Okręty tureckie prawie na pewno płynęły z Akermanu¹, gdzie miała leże Orda Budziacka. Niewielka była, ale to jej ordyńcy najczęściej pustoszyli Dzikie Pola.

- Siła ich?

- Dziewięć galer wielkich dobrze w armatę zaopatrzonych, okrom batek małych.

Bogać! Cała ekspedycja. Być może armadą dowodził sam sandżak Budziaku². Jeszcze mógł się wycofać. Wrócić do Siczy i wyruszyć na konną wyprawę przeciw Moskwie. Przypomniał sobie ostrzeżenie braci, by nie zadzierał z Portą, bo wrogowie Zborowskich tylko na to czekali... Nagle porwała go wściekłość. No to co? Jak Batory Zborowskiemu, tak Zborowski Batoremu.

- Uderzymy o zachodzie, słońce mając za plecami - nocne starcie był to ulubiony kozacki sposób rozgrywania napadów i bitew, także morskich.

- Jej Bohu! Pomyłuj, bat'ku atamanie! - najstarszy z delegatów złożył ręce jak do modlitwy. - Siła ich przemożna, uchodzić nam trzeba.

- Panowie mołojcy! - odparł z powagą, wodząc po nich twardym spojrzeniem. - Niech was nie trwoży liczba pogan ani ich ogromna armata. My chrześcijany i Bóg z nami!

- Choroszo, bat'ku. Raz maty rodyla! Na pohybel pohańcom pro-klatym! - zawstydzeni, odeszli do towarzyszy, przekazać im decyzję atamana.

Słysząc było gniewne pomruki: A ja ne chocz! albo: Czeszy dit'ka z ridka!³ Ale na widok czajki z proporcem dowódcy powiewającym na maszcie, śmiało płynącej naprzód, nawet te łodzie, które

1 Białogród, miasto u ujścia Dniestru.

2 Budziak - nadmorska część dawnego Gospodarstwa Mołdawskiego.

3 A ja ne chocz (ukr.) - a ja nie chcę; czeszy... (ukr.) - czesz diabła z rzadka (nie igraj z ogniem).

334

J

Czekając na zmierzch, ukrywali się w szuwarach Dnieprowego limanu, by nie dostrzegł ich jakiś rybak albo konny pastuch. U nieodległego limanu Bohu leżał bowiem ich cel - Oczaków, główna siedziba Ordy Oczakowskiej zwanej też Jedysańską.

- Bat'ku - szepnął asawul Hołubek, zbliżywszy się do dowódcy z delegacją mołojców i przerywając mu zadumę. - Z południa nadciągają Turki.

Okręty tureckie prawie na pewno płynęły z Akermanu¹, gdzie miała leżeć Orda Budziacka. Niewielka była, ale to jej ordyńcy najczęściej pustoszyli Dzikie Pola.

- Siła ich?

- Dziewięć galer wielkich dobrze w armatę zaopatrzonych, okrom batek małych.

Bogać! Cała ekspedycja. Być może armadą dowodził sam sandżak Budziaku². Jeszcze mógł się wycofać. Wrócić do Siczy i wyruszyć na konną wyprawę przeciw Moskwie. Przypomniał sobie ostrzeżenie braci, by nie zadzierał z Portą, bo wrogowie Zborowskich tylko na to czekali... Nagle porwała go wściekłość. No to co? Jak Batory Zborowskiemu, tak Zborowski Batoremu.

- Uderzymy o zachodzie, słońce mając za plecami - nocne starcie był to ulubiony kozacki sposób rozgrywania napadów i bitew, także morskich.

- Jej Bohu! Pomyśl, bat'ku atamanie! - najstarszy z delegatów złożył ręce jak do modlitwy. - Siła ich przemożna, uchodzić nam trzeba.

- Panowie mołojcy! - odparł z powagą, wodząc po nich twardym spojrzeniem. - Niech was nie trwoży liczba pogan ani ich ogromna armata. My chrześcijany i Bóg z nami!

- Choroszo, bat'ku. Raz maty rodyla! Na pohybel pohańcom pro-klatym! - zawstydzeni, odeszli do towarzyszy, przekazać im decyzję atamana.

Słysząc było gniewne pomruki: A ja ne chocz! albo: Czeszy dit'ka z ridka!³ Ale na widok czajki z proporcem dowódcy powiewającym na maszcie, śmiało płynącej naprzód, nawet te łodzie, które

1 Białogród, miasto u ujścia Dniestru.

2 Budziak - nadmorska część dawnego Gospodarstwa Mołdawskiego.

3 A ja ne chocz (ukr.) - a ja nie chcę; czeszy... (ukr.) - czesz diabła z rzadka (nie igraj z ogniem).

334

już dobijały do brzegu, zamierzając uciekać w górę Dniepru, zawróciły i dołączyły do reszty flotyli. Liczyła ona blisko osiemdziesiąt długich na dwadzieścia kroków łodzi z lipowych kłoców, a w każdej siedziało od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu ludzi. Burtę podwyższono, przybijając warstwy nasmołowanych desek, a do boków przywiązano pęki trzciny, zapobiegające zatonięciu łodzi na wzburzonym morzu. Od wewnątrz czajki były obłożone skórą i miały poprzeczne ławki. Opatrzono je w dwa stery, z przodu i z tyłu. Przy każdej burcie wiosłowało około tuzina wioślarzy, a żagiel na maszcie rozpinano tylko przy dobrej pogodzie.

Tureckie galery wyglądały jak pływające domy albo zamki, bo choć szerokie na zaledwie jakieś cztery sążnie, były dwa razy dłuższe od łodzi kozackich. Miały po trzy maszty, w tym środkowy dwukrotnie wyższy od pozostałych, i białe żagle, a na dziobach potężne działa. Zdawało się patrzącym, że to jakieś ogromne morskie ptaszyska machają skrzydłami, a to były wielkie wiosła, po dwadzieścia siedem z obu burt, każde obsługiwane przez aż trzech niewolników.

- Na swiatoho Spasa i Bohorodyciu!1 - szepnął setnik Bałaban i przeżegnał się. Ruski pobladł, lecz jak na wiernego sługę przystało, nie ośmielił się nic rzec, ale kucharz Michał, towarzyszący Zborowskiemu także na Zaporozżu, położył się między wiosłarzami, dygocząc ze strachu i cicho klepiąc pacierze.

- Teper! - zawołał gromko Zborowski i powtórzył po polsku: - Teraz! Naprzód! Zaatakowali, zachodzącą czerwoną kulę, jak chcieli, mając za plecami. Śmigali z prędkością ponad dziesięciu węzłów. Tym sposobem odległość od ujścia Dniepru do wybrzeży tureckiej Anatolii przebywali w ledwie półtorej doby. Kiedy ich nareszcie dostrzeżono, byli już rozpedzeni.

- Dur, dur, giaury! - wołano.

- Gadajcie zdrowi, durakil - skomentował któryś z Kozaków i gruchnął powszechny śmiech.

Lecz wkrótce nie było im do śmiechu, gdyż z galer huknęły strzały. Przewidywania Zborowskiego sprawdziły się, gdyż na największej galerze łopotała chorągiew sandzaka Budziaku i widniał

1 Na najświętszego Zbawiciela i Bogurodnicę (ukr.).

335

buńczuk z jednym końskim ogonem. Puszkarze tureccy, topczowie, mierzyli marnie. A i tak jedna czajka poszła w drzazgi, trupy i żywi powpadali do morza, więc załoga najbliższej łodzi zajęła się ratowaniem tonących, a dwie inne zawracały, chcąc uciekać. Także sternik czajki atamańskiej, Hawryło, zmienił kurs, ale Zborowski natychmiast przyskoczył do niego z pistoletem i wrzasnął wściekle:

- Trzymaj kurs, padlino, bo ci łeb rozwałę!

Wtem z galery znów wypalono i sternika zdmuchnęło z pokładu, lecz Zborowski cudem pozostał nietknięty.

- Bałaban, do steru! - ryknął, po czym rzucił się do falkonetu na dziobie, odepchnął celowniczego i po krótkim mierzeniu dał ognia.

W samą porę, bo galera sandzaka zbliżała się nieuchronnie, słychać było łomot trąb, tarabanów i pogańskie okrzyki tryumfu. Tymczasem Zborowski tak gracko, zapewne przypadkiem, trafił ze śmigownicy, że kula ucięła główny maszt, który runął, przygniatając reisa i bębniarzy podających rytm galernikom.

- W nich! Bij, zabij psubratów! - wrzasnął Samuel, dodając ducha swoim, i rzucił się do abordażu.

Mimo iż słońce już zaszło, było jasno jak w dzień, gdyż załogom innych czajek udało się podpalić dwie galery, które płonęły jak ogromne pochodnie. Od huku wystrzałów z armat, janczarek, puszczeli i pistoletów pękały bębniarki w uszach, wrzaski i jęki mordowanych wzbijały się ku niebu:

- Spasi Bih! Gospody pomyłuj!1 - krzyčili jedni.

- Allah kerim! Insz Allah! Allah akbar!2 - wtórowali im drudzy.

Podczas gdy ludzie Zborowskiego siekli pohańców szablami,

on sam wypatrzył człowieka w srebrzystym turbanie i błyszczącej zbroi, który usiłował chyłkiem wycofać się na rufę. Sandzak! Wypalił do niego z rusznicy i poprawił z pistoletu.

Dwie kule ugodziły tureckiego wodza, aż odpadły blachy z pancerza. Żołnierze tureccy jęknęli głośno i rzucili broń, błagając miłosierdzia, ale Kozacy nie dawali pardonu i zaczęła

się rzeź. Ocaleni jedynie ci, którzy rzucili się w morze i powiodło im się w ciemnościach dotrzeć do zbawczego brzegu. Lup był bogaty nad podziw: reale hiszpańskie, aspry tureckie, cekiny arabskie, dywany, złotogłowy, tkaniny bawełniane,

1 Boże, wybaw! Panie, zmiłuj się! (ukr.).

1 Allach jest szczodry (kerim), Allach tak chce (insz), Allach jest wielki (akbar) (arab.).

336

jedwabie w belach i inne drogocenne towary, nie licząc tego, co zdarto z trupów.

- Sława Bohu! I tobie, atamanie! Pośród galerników było wielu naszych, dawno temu wziętych w jasyr - zameldował uradowany Hołubek, cały zbryzgany krwią.

Kiedy pijani tryumfem dotarli do ujścia Dniepru, ujrzeli czajkę płynącą z naprzeciwka co sił w wiosłach.

- Atamanie! Atamanie! - krzyczał z daleka człowiek na dziobie. - Z Moskwy na Krym wraca poselstwo z ogromnymi darami! Są o dwa dni drogi stąd!

Oczy mołojców, gorejące w nadziei kolejnego bogatego łupu, zawisły na ustach wodza. A ten milczał ze zmarszczonym czołem. Rozejm między Portą a Rzeczpospolitą już złamał, teraz miałby naruszyć pokój z Krymem...

- Do wiosła! - ryknął. - Ogarniemy ich, jeśli się pospieszymy! Pośród ogólnej radości tylko on miał mroczne oblicze. Właśnie palił za sobą mosty.

Kraków, październik 1582 roku

- Słyszałeś!? - zirytowany do granic Batory rzucił bekieszę Wesseleny'emu i rąbnął pięścią w stół. - Ci pohańcy mają czelność nam grozić!

Zamojski cicho zamknął za sobą drzwi gabinetu. Wracali właśnie z Sali Poselskiej, gdzie podejmowali posła od chana i towarzyszącego mu czausza ottomańskiego. Tatar wypowiedział dotychczasowe przymierze między Krymem a Rzeczpospolitą, zaś Turek w imieniu sułtana poparł pretensje Tatarów i groził wsparciem ordy przez czterdzieści tysięcy Turków. Szło o kolejny wybryk Kozaków niżowych, którzy napadli na posłów tatarskich wracających z Moskwy z bogatymi darami. Żądano zwrotu łupów, ukarania Kozaków i daniny jako rekompensaty. Król zeźlił się na Niżowców, ale jeszcze bardziej na Tatarów za ich bezczelne żądania i odprawił poselstwo z niczym, oświadczając, że nie bierze odpowiedzialności za chadzki Kozaków, haracz nie da, a grozić sobie nie pozwoli.

337

- To sprawka Samuela Zborowskiego - przypomniał kanclerz.

- Tu Zborowski, tam Zborowski, ówdzie Zborowski, wszędzie Zborowscy! Okrom Jana same łotry i zdrajcy, a najgorszy Samuel! Dość tego! Canis mortuus non mordet!

- To ulubione powiedzonko Samuela, miłościwy panie.

- Tym lepiej. Pora, by sam go posmakował. Dopilnujesz tego, mości kanclerzu. Ale później. Teraz ruszaj z wojskiem na Podole. Tylko szybko, zanim posłowie dotrą na Krym.

- Toć zalegamy ze starym żołdem, a skąd brać pieniądze na nowy zaciąg?

Październikowy sejm warszawski spełził na próżnym gadaniu. Niczego ważnego i pilnego nie uchwalono, gdyż wojenny tryumf króla przestraszył wielu spośród magnatów i szlachty, gardlujących o jego rzekomych tyrańskich zapędach. Podatki zaś, ze względu na kolejną wyprawę moskiewską, wybrano z góry na dwa lata. Do zapłacenia nowych nie zmusiłyby szlachty nawet tatarska nawała. >

- Wymyśl coś.

- Ja śnię, zali to zaprawdę ty, Kacper?

Od razu oprzytomniałem. Czuwałem przy nim już drugą noc z rzędu, odesławszy starą gospodynię, która z wdzięcznością przyjęła wyrok. Ojciec Sępa Joachim i jego brat Jakub

zjechali spod Lwowa dopiero przed wieczorem i odpoczywali po podróży. Mnie też kleiły się oczy. Wymieniłem dogasającą świecę i z żalem popatrzyłem na woskową twarz. Wszelka sztuka medyczna była już bezsilna, chwilami zdawało mi się nawet, że czuam przy zwłokach. Musiałem się pochylać i przykładać małe zwierciadło do ust chorego, by przekonać się, że ledwo ledwo, lecz jeszcze dycha.

- To ja. Wybacz, że nie przybyłem wcześniej.

- Nie przepraszaj... Nawet nie wiesz, jaką radość sprawia mi twój widok... Nieraz wspominałem te szalone chwile, które razem przeżyliśmy w Krakowie... To były piękne czasy... A teraz umieram...

Zamknął oczy, zmęczony. Wilgotną szmatką otarłem mu spotniałe czoło. Wyszeptał tak cicho, że ledwie zrozumiałem:

338

Niech moja łódź, gdzie pędzi wola Boża, bieży I przy brzegu, który mi Bóg nazaczył, stanie, Jeśli nie jest bezportne ludzkie żeglowanie.¹

- Ale dość tego smęcenia ...Memento moń². Pomniesz, jakeś mnie strofował, gdym aż nazbyt często to powtarzał? Taka jest wola boża, a jam się już z nią pogodził... Słyszałem, żeś został uszlachcony, winszuję... A co w domu? Pomyśleć, że to cygańskie dziecko, które pomnę, okazało się urodzoną panną Wapowską... Niezbadane są boskie wyroki... Co u niej?

- Zamierzamy się pobrać - nie chciałem go przygnębiać złymi wieściami.

- To dobrze, cieszę się... Kacper, muszę ci wyznać... - wychudzona dłoń zacisnęła się na moim nadgarstku.

- Co?

Ale nie dowiedziałem się, co chciał mi powiedzieć. Umarł przed świtem, na krótko odzyskawszy przytomność. Jego ostatnie słowa brzmiały:

Ciebie, wszego stworzenia o obrońco wieczny, Wzywam, wątły, ubogi i nigdzie bezpieczny: Miej mię w pilnej opiece, a we wszytkiej trwodze Pośpiesz przynieść ratunek duszy mej, niebodge.³

Pogrzebano go w Przeworsku. Na mszę do kościoła Bożogrobców zjechała cała niemal szlachta ziemi przemyskiej, co było miarą popularności Sępa, który przecież w tych stronach mieszkał od niedawna. Kiedyśmy po wszystkim opuszczali kościół, Stachnik ułapił mnie za ramię.

- Jezu! Spójrz!

- Na co?

- Jak to! Na ową boginię!

Zerknąłem w stronę, którą mi pokazał, i zobaczyłem młode dziewczę w towarzystwie dostojnej matrony i zadziernego młodzieńca.

1 M. Sęp-Szarzyński, *Iż próżne człowiecze staranie bez Bożej pomocy*, [w:] tegoż, dz. cyt., s. 99.

2 *Pamiętaj o śmierci* (lac.).

3 M. Sęp-Szarzyński, *Pieśń na kształt Psalmu LXX*, [w:] tegoż, dz. cyt., s. 166.

339

Młódka miała pszeniczne włosy, najwyżej z piętnaście lat, lecz postawę tak wyniosłą i taką powagę na licu, że wyglądała na starszą. Na mnie nie uczyniła wrażenia, ale ja myślałem wyłącznie o Jance i wyrwałem się do Dynowa. Stachnik jednak patrzył na rażonego piorunem. Oczy płonęły mu żywym ogniem. Pierwszy raz widziałem kogoś tak nagle trafionego strzałą Amora.

- Zaczekaj chwilę, idę się wywieść, co ona za jedna - powiedział i zaraz zniknął. Podszedł za to do mnie Jakub, brat Mikołaja, by jeszcze raz podziękować za oddanie Sepowi ostatniej posługi. Wyznał, że zamierza zebrać i wydać drukiem spuściznę Mikołaja, ja zaś obiecałem mu podesłać z Krakowa skopiowane te wiersze, którymi dysponowałem. Na koniec skinął na pacholka, który trzymał czwórkę gniadych wierzchowców na wspólnym kantarze, by podszedł z nimi bliżej.

- Pamiętasz waść owego tureckiego dzianeta, który przypadł w udziale Mikołajowi, gdyście wspolek rozwiązali zagadkę zaginionej pieczęci królewskiej? To jego potomstwo. Jakub założył stadninę i krzyżował rozmaite rasy. Te wałachy są równie szybkie jak ojciec, a przy tym wytrzymalsze od tatarskich bachmatów. Udajesz się na wojnę, tedy zdadzą ci się w sam raz.

- Nie mogę ich przyjąć. To zbyt cenny dar.

- Ani mowy. Mikołaj z pewnością życzyłby sobie tego. Zawždy uważał waszmość za swego najlepszego druha. Używaj ich i pamiętaj o nim.

Podziękowałem, nie oponując dłużej, bo w samej rzeczy woźniki, które nas tu przywiodły saniami, należało sprzedać. Były nieprzydatne, bo śnieg szybko topniał. Zresztą należały do Stachnika, więc i tak musiałbym kupić wierzchowce sobie i Tomkowi.

- Nie uwierzysz! - entuzjazmował się Stachnik, skwitowawszy moje wyborne bieguny jednym słowem: niezłe. - To panna Regina Herburtówna, córka Jakuba, dziedzica wsi Mieżyniec. Siostra stryjeczna Janka Zamojskiego, którego macierz takż wywodziła się z Mieżyńca!

- Rozmawiałeś z nią?

- Nie. Brat Jan broni jej niby smok. Koso na mnie łypał i do szabli się rwał. Ale nic to! Pogadam w tej sprawie z mości kanclerzem.

Przez całą drogę pogwizdywał, radosny jak szczygieł, podczas gdy ja popadałem w coraz gorszy nastrój, na przemian to ożywiony

340

nadzieją, to załamany przecuciem nieszczęścia. Zauważyłem jednak w niektórych mijanych siołach dużo krów na wygonach i odmienny wygląd chłopów.

- U nas na Pogórze mieszka wielu Głuchoniemców - objaśnił Jarek, który pochodził z tych stron. - Osadził ich tu jako saskich brańców wojennych pono jeszcze król Bolko Chrobry, albo po do-brawoli Kaźmierz Wielki. Zwiemy owych tak, bo choć ztratili znajomość niemieckiej mowy, to strój mają podobny do Sasów z Siedmiogrodu, a gospodarze z nich przedni. Stąd mleka sam dostatek, serów, a w każdym domostwie jest warsztat tkacki. Co jeszcze mnie uderzało, to wygląd dworów, z których prawie każdy był obronny i obwiedziony częstokołem.

- To z powodu najazdów tatarskich i wołoskich, a takż, niestety, zajazdów sąsiedzkich, bodaj czy nie częstszych - mruknął Żółkiewski z dezaprobatą. - Nieszczęsna ta nasza Czerwona Ruś, zwadą a nienawiścią bratnią stojąca.

W takiej fortalicii mieszkała imć Katarzyna Wapowska, dziedziczka Dynowa. Kiedyśmy się opowiadali strażom przy bramie, otrok bawiący się na majdanie pobiegł ku dworowi z krzykiem:

- Matko, matko! Przybył pan Ryx-Hiropoński z panem Żółkiewskim!

Na ganek wyszła kobieta we wdowiej czerni w towarzystwie starszego człeka patrzącego na majordomusa. Tymczasem chłopiec wodził za nami oczyma ogromnymi z podziwu, a na licu malował mu się zachwyty. W końcu nie wytrzymał i podbiegł bliżej.

- Janka cuda prawiała o waszmościów przewagach! Jak chwytałiście złoczyńców w Krakowie i bili Moskali na terażniejszej wojnie. Matko, a gdzie Janka? Obiecała, że wróci, a nie masz jej od miesięcy...

- Staś, ostaw nas samych. Idź się pobawić. Zapraszam waszmościów w moje skromne progi. Jakubie, wina i polewkę do stołowego. Zarządz też, by podjęto sługi ichmościów w czeladnej.

Traktament przebiegał w milczeniu, przerywanym jedynie zdawkowymi grzecznościami. Usługiwał stary Jakub. Kiedy wyszedł, nalawszy wina do pucharów i zebrawszy próżne naczynia, gospodyni rzekła:

- Domyślam się, co waszmościów sprowadza. Janka się nie odnalazła?
- Nie - odparłem. - Dlatego chcemy wiedzieć, co się stało.

341

- Pisałam w liście...
- List niczego nie wyjaśnił - przerwałem jej bezceremonialnie.
- Czekamy - dodał Stachnik stanowczo.
- Dobrze.

Nie mogliśmy uwierzyć w to, co usłyszeliśmy opowiedane suchym, beznamiętnym tonem. Pierwszy otrząsnął się Żółkiewski.

- Chcesz waśćka rzec, że z pierwotku pozwoliliście pannie Joannie samopas udać się do Diabła Stadnickiego, a potem nie uczyniliście nic, by ją z jego łap wydostać!?

Wzruszyła ramionami i odrzekła twardo:

- Zawiniła, więc musiała winę odkupić. Zresztą imć Stadnicki zjawił się kilka dni potem i przysiągł uroczyście, że chciał jedynie omówić z Joanną zadawniony spór, a potem z honorami i zbrojną asystą odprawić ją, dokądkolwiek by zechciała się udać. Ale dziewczka wymknęła się w nocy, nikomu się nie opowiadając, tedy to już nie jego sprawa. Przywiódł nawet świadka, który potwierdził jego słowa. Zresztą na dowód swej szczerości i tego, że nie chowa urazy, odwołał skargę złożoną w grodzie na rzekomą napaść moich chłopów na jego ludzi, wycofał roszczenia wobec Dynowa i przestał nas nękać.

- A ty dałaś mu wiarę, kiedy wszystkim wiadomo, co warte słowo tego łotra!?! - dociekał, coraz bardziej zły.

Spokojnie wytrzymała jego oskarżycielskie spojrzenie.

- Jestem samotną wdową, mój panie. Mam w pieczy jedyne go syna i to o niego muszę się troskać najsamprzedej. A pomocy znikąd nie widać. Jeżeli ktoś taki jak Diabeł Stadnicki chce zawrzeć pokój, nie waham się ani chwili, choćby cena była wysoka. Polubiłam tę dziewczkę, ale sama napotykała sobie biedy. Jeżeli nie macie więcej pytań, waszmościowie, tedy pójdę do siebie, bo nie najlepiej się czuję. Jakub wskaże panom kwatery...

- Zbytek łaski - odparł Stachnik, wstając. - Poszukamy gościny gdzie indziej. Ale będziemy w okolicy i zapewne jeszcze tu zagładniemy - dodał z nutą pogroźki.

- Jak wola - wzruszyła ramionami, nie facygując się, by nas odprowadzić.

- Kim był ten iściec sprowadzony przez Stadnickiego? - spytałem, nareszcie zmuszając do głosu ściśnięte gniewem i goryczą gardło.

- Urodzony Samuel Zborowski. Myślisz waść, że zawahałby się usunąć syna, któremu ubił ojca? - zacisnęła usta. - Zwłaszcza że

342

nie ugięłam się, gdy wszyscy wokół, imć kanclerza nie wyłączając, namawiali, bym ugodziła się z zabójcą i wycofała skargę? Która matka naraziłaby swe jedyne dziecko na pomstę okrutników bez czci i wiary?

- Jezus, Maria... - wyszeptalem i zatoczyłem się. Nie przyszłoby do tego, gdybym w swoim czasie pojechał za Samuelem, a nie dał się zatrzymać królowi. Poczucie winy przywaliło mnie jak ciężki głaz.

Byłbym upadł, gdyby nie podparł mnie Jakub, który zjawił się niepostrzeżenie. A kiedy dosiadałem konia, szepnął mi na ucho:

- Jest w miasteczku karczma arendowana przez Żyda Chaima. Radzę się tam zatrzymać na nocleg, a ja postaram się przyjść, jak tylko będę mógł.

Poszliśmy za dobrą radą, odprowadzani smutnym wzrokiem chłopca, który nie ośmielił się już do nas podejść. Być może, ciekawski, jak to dziecko, podsłuchiwał pod oknem.

- Zabiję łotra! - wybuchnąłem, ledwie znaleźliśmy się sami w dość czystej izbie na piętrze. - Nie spocznię, póki nie znajdziemy Janki albo nie dowiemy się, co się z nią stało. Zbiorę kupę najemników, uczynimy zajazd na Dubiecko i przetrząśniemy wszystkie kąty, a ludzi Stadnickiego i jego samego weźmiemy na męki.

- Nie uczynisz tego - odrzekł Stachnik spokojnie.

- A kto mnie powstrzyma?

- Ja. Pomogę ci, lecz musimy działać prawem, nie lewem. I tak za dużo w, tych stronach bezprawia, dobrze to znam. Nie chcesz chyba stać się taki jak Stadnicki czy Zborowski?

- Łacno ci gadać - burknąłem. Jego pozowanie na szlachetnego Rzymianina czasem mnie złościło. - Ciekawe, czy mówiłbyś tak, gdyby szło o pannę Reginę?

Zarumienił się, lecz odparł stanowczo:

- Rzekłbym to samo: Vis consilii expers mole ruit saal.

Kiedy nieco ostygłem, spytałem:

- Co sądzisz o jejmości Wapowskiej? Zali maczała w tym palce?

- Nie sądzę.

- Kiedy zabraknie Janki, całe dziedzictwo po ojcu przejdzie na chłopca.

1 Siła pozbawiona rozważli załamuje się pod własnym ciężarem - gniew bez zastanowienia jest bezsilny (łac., Horacy).

343

- To prawda, ale zasięgnąłem wieści o jejmości. To twarda niewiasta, lecz pobożna i sprawiedliwa dla poddanych. Wątpię, by nawet w imię matczynej miłości była zdolna do takiej podłości. Acz że nie przejęła się zbytnio losem pasierbicy, to fakt.

- Co zatem mamy teraz robić?

- Na razie dowiedzmy się, co ma nam do powiedzenia stary Jakub.

Famulus Wapowskiej zjawił się w gospodzie po zmroku, owinięty opończą i zakapturzony dla niepoznaki.

- Muszę zaraz wracać, nim pani spostrzeże moją nieobecność. Nie sądzicie jej nazbyt surowo, wielmożni panowie - poprosił. -Wdowie z małym chłopcem i ciężkimi sąsiady niełatwo uchronić majątek w naszych stronach. Ale panny Joanny to żal, wszyscyśmy ją kochali, a najbardziej po niej płacze panicz Staś... Bardzo był do niej przywiązany ze wzajemnością.

Przyszło mi do głowy, że miłość chłopca zapewne nie przysporzyła Jance sympatii w oczach jego matki. Wapowska z pewnością nie miała powodu żałować zniknięcia dziewczyny. Cui bono?1 - głosiła starożytna zasada w sprawach o crimen. Jeśli wdovfra maczała w tym palce, zamierzałem postarać się, by znalazła zastosowanie także inna zasada: qui fod.it foveam alteri, incidet in earn2.

- Co wiesz o zniknięciu panny Wapowskiej?

- Odwoziłem ją do Stadnickiego - w jego oczach pokazały się łzy. -Bo tak sobie zażyczył ten niecnota i charakternik, który wprzód porwał panicza. Nie musiała jechać, ale jejmość obwiniała ją o turbację z otrokiem, i obie drżały o jego życie. Nie mówiąc o tym, że Stadnicki ze swymi zbirami groził powtórny najściem na Dynów i drugie włości Wapowskich. Do dziś nie mogę spać... Śni mi się panienka Joanna taka, jaką ją ostawiłem pośród tamtej zgrai wilków, samotna i w głębi duszy przerażona, choć nic nie dawała po sobie poznać, jak to ona... Ale jam wiedział, co czuła, bom w życiu się tak nie bał, a w swoim czasie wojowałem z Moskwicinem, jeszcze za króla Augusta, a i na Tatary się szło jak w dym...

Otarł łzy kułakiem.

- Wiesz, co się z nią potem stało? - spytał Żółkiewski, bo ja nie byłem w stanie.

1 Po co? Kto na tym korzysta? (lac.).

2 Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada (lac.).

344

- Nie. Tego nie wie nikt. Chodzą wszak słuchy, że lochy dworu w Dubiecku pełne są ofiar tego gwałtownika, porwanych i wziętych na męki albo pomordowanych. Wiadomo też, jak Stadnicki lasy jest na cnotę niewieścią... Z drugiej strony ponoć któreś nocy, zaraz po tym jak powracający z wojny pan Samuel Zborowski zjechał do Dubiecka, rozpętało się we dworze istne piekło... Pachołki Zborowskiego i Stadnickiego pospołu objeżdżały z pochodniami okolicę, kogoś szukając, a z rana wysłano podjazdy na wszystkie strony...

- Zatem jest nadzieja, że pannie Joannie udało się wymknąć z ich mocy? - wtrąciłem.

- Daj Boże! - westchnął. - Cud prawy by to był, lecz jeśli tak się stało, to czemu dotąd nie ma wieści od panienki?

Sam zadałem sobie to pytanie i nie znalazłem odpowiedzi. Jednak przynajmniej odzyskałem cień nadziei.

- Czy Stadnicki jest u siebie?

- Nie masz go w Dubiecku, ponoć bawi u wuja w Zborowie za Lwowem.

- Kto inny mógłby coś więcej wiedzieć?

- Ilko i Zegart, jego najzaufańsi i sami łotry czternastej próby. Służba nie wie nic, bo inaczej już coś by się po świecie rozniosło.

Po odejściu Jakuba zorganizowaliśmy naradę wojenną z udziałem Jarka i Tomka, których pomoc była potrzebna, skoro wykluczaliśmy z'dobycie siłą dworu w Dubiecku. Stało na tym, że jeden z pachołków uda się tam na przeszpiegi. Padło na Tomka, gdyż Jarka mógł rozpoznać któryś z ludzi Stadnickiego bawiący razem z nim pod Wielkimi Lukami. Rezolutny chłopiec zgodził się ochoczo, zwłaszcza gdy obiecałem mu sutą nagrodę. Nie było go dwa dni, w ciągu których na wszelki wypadek nie opuszczaliśmy karczmy, aż zaczęliśmy się niepokoić. Jednak zjawił się na trzeci dzień przed południem, zadowolony jak kot, który dobrał się do garnca ze śmietaną.

- Ho, ho, to istna twierdza - rzekł, zażerając się kiszka i popijając gorzałką. - Nie do zdobycia bez armaty i kilkuset ludzi. A załoga! Istni zbóje, jeden w drugiego. Służbę traktują gorzej niż psy, których też mnogość wielka. Wygłodzone bestie siedzą w klatkach, a spuszcza je, gdy jada się zabawić do której wioski, aby siały strach i zniszczenie. Zegart, wielkie i złe chłopisko, rad przyjął mnie

345

na kuchcika, bom przyznał, że usługiwiał w karczmie. Ale patrzyli mi na ręce czujnie i karmili resztkami. Najgorszy z nich wszelako to Stanisław Ilko, rękodajny Stadnickiego...

- Co z nim? Wyjechał, jak powiadał stary Jakub?

- Tak, ale nie do Zborowa, jeno do zamku Krupe o półtorej mili od Krasnego Stawu, który Samuel Zborowski postawił czy rozbudował przed niewielu laty. Wypada stamtąd łupić dobra pana Zamojskiego, do którego anse czuje, tudzież grabić na gościńcach, a także niewolić zgarnięte po drodze niewiasty... Bardzo się to owemu lice podoba i szeroko o tym gadał, kiedy się upił, żalując, że go tam nie masz...

- Widziałeś w lochach jakichś ludzi albo słyszałeś o nich?

- Byli do niedawna. Ale jakoś na jesieni ktoś im zbiegł, czy też go wykradziono, więc wystraszyli się i pomordowali pozostałych, a ciała rzucili psom na pożarcie, aby ślad po owych zaginał, i póki co drugich nie pobrali... Lękałem się wypytywać więcej, żeby nie nabrali podejrzeń.

- Słusznie. Jakaś się stamtąd wymknął?

- Nie bez trudu, bo ów Zegart czujny jest jak żuraw. Dopiero gdy dokąś się wyprawiał, nadarzyła mi się sposobność.

- Zatem trzeba działać prędko, nim wróci Zegart. Wymyśliłeś coś?

- A jakże! - aż nadał się z dumy. - O milę od Dubiecka na zachód jest młyn. Ilko niemal co wieczór przebiera się do młynarzówny, wracając rankiem. Wiem, gdzie to jest, bom sprawdził po drodze.

- Aleś tam nie wstępował?

- Niech Bóg broni! Jeszcze bym się mógł natknąć na tego piekielnika!

Rzuciłem mu dwa dukaty, które złapał z radością, i rzekłem:

- Wszystko jasne. O zmroku ruszamy do młyna...

- Nie - wpadł mi w słowo Żółkiewski. - To byłoby najście. I mogliby ucierpieć niewinni. Ruszamy przed świtem i zaczaiemy się na łotra, gdy będzie wracał z młyna.

- Jest jeden szkopuł... - wtrącił Tomek. - Zapomniałem rzec, że Ilko nigdzie nie rusza się bez pół tuzina zbrojnych po zęby semenów.

No to mieliśmy turbację, a ja byłem zupełnie wyzuty z conceptów. Wtem, gdy patrzyłem na urodziwą twarz Żółkiewskiego, o wiele gładszą od mojej, choć był kęsek starszy, i lśniące bielą zęby, z powodu których przezywano go nadobnym Zubem, przyszedł mi do głowy pewien szalony pomysł.

346

na kuchcika, bom przyznał, że usługiwiał w karczmie. Ale patrzyli mi na ręce czujnie i karmili resztkami. Najgorszy z nich wszelako to Stanisław Ilko, rękodajny Stadnickiego...

- Co z nim? Wyjechał, jak powiadał stary Jakub?

- Tak, ale nie do Zborowa, jeno do zamku Krupe o półtorej mili od Krasnego Stawu, który Samuel Zborowski postawił czy rozbudował przed niewiele laty. Wypada stamtąd łupić dobra pana Zamojskiego, do którego anse czuje, tudzież grabić na gościńcach, a także niewolię zgarnięte po drodze niewiasty... Bardzo się to owemu lice podoba i szeroko o tym gadał, kiedy się upił, żałując, że go tam nie masz...

- Widziałeś w lochach jakichś ludzi albo słyszałeś o nich?

- Byli do niedawna. Ale jakoś na jesieni ktoś im zbiegł, czy też go wykradziono, więc wystraszyli się i pomordowali pozostałych, a ciała rzucili psom na pożarcie, aby ślad po owych zaginął, i póki co drugich nie pobrali... Lękałem się wypytywać więcej, żeby nie nabrali podejrzeń.

- Słusznie. Jakaś się stamtąd wymknął?

- Nie bez trudu, bo ów Zegart czujny jest jak żuraw. Dopiero gdy dokąś się wyprawiał, nadarzyła mi się sposobność.

- Zatem trzeba działać prędko, nim wróci Zegart. Wymyśliłeś coś?

- A jakże! - aż nadał się z dumy. - O milę od Dubiecka na zachód jest młyn. Ilko niemal co wieczór przebiera się do młynarzówny, wracając rankiem. Wiem, gdzie to jest, bom sprawdził po drodze.

- Aleś tam nie wstępował?

- Niech Bóg broni! Jeszcze bym się mógł natknąć na tego piekielnika!

Rzuciłem mu dwa dukaty, które złapał z radością, i rzekłem:

- Wszystko jasne. O zmroku ruszamy do młyna...

- Nie - wpadł mi w słowo Żółkiewski. - To byłoby najście. I mogliby ucierpieć niewinni. Ruszamy przed świtem i zaczaiemy się na łotra, gdy będzie wracał z młyna.

- Jest jeden szkopuł... - wtrącił Tomek. - Zapomniałem rzec, że Ilko nigdzie nie rusza się bez pół tuzina zbrojnych po zęby semenów.

No to mieliśmy turbację, a ja byłem zupełnie wyzuty z conceptów. Wtem, gdy patrzyłem na urodziwą twarz Żółkiewskiego, o wiele gładszą od mojej, choć był kęsek starszy, i lśniące

bielą zęby, z powodu których przezywano go nadobnym Zubem, przyszedł mi do głowy pewien szalony pomysł.

- Skoro to taki pies na dziewczki... - rzekłem powoli, patrząc Stachnikowi w oczy. - Tedy jeden z nas mógłby się przebrać za niewiastę i odciągnąć go od semenów, z którymi rozprawiliby się pozostali...

- O nie! Wiem, co ci chodzi po głowie - aż podskoczył na ławie. - Raz dałem ci się namówić i dość. Wołami mnie nie zaciągniesz! Szalejuś się najadł, skoro myślisz, że się na to zgodzę!

- To najlepszy sposób - perswadowałem. - Nie bądź sobek. Ja dla ratowania twojej panny Reginy nie wahałbym się ani chwili.

- Niech to zrobi Tomek albo Jarek - bronił się jeszcze, ale już słabiej. - Są młodszy, łatwiej im przyjdzie udawać dziewczkę...

Pokręciłem głową.

- Do tego potrzebny jest talent komediancki, bez niego sztuczka się nie powiedzie. Ty go masz, a oni nie - i nie czekając na odpowiedź, wezwałem karczmarza. - Gospodarzu, nie macie aby wypadkiem kęska czesanego lnu i jakowyś niewieścich szatek na zbyciu?

Był trochę zaskoczony osobliwym pytaniem.

- Znajdą się.

- To jak? - zwróciłem się do Stachnika.

- Niech ci będzie - odparł z ciężkim westchnieniem. - Lecz pamiętaj, nigdy więcej! Na tym stanęło. Żyd nie tylko spełnił moje życzenie, ale chętnie odkupił od'nas zbędne woźniki i sanie, dając dobrą cenę. Moglibyśmy uzyskać lepszą na targu w Przemysłu lub Jarosławiu, lecz z taką gromadą zwierząt zbyt zwracalibyśmy uwagę. I tak stanowiliśmy pokaźną kawalkadę, wszak Stachnik i Jarek mieli swoje wierzchowce, wprzód uwiązane luzem do sań. Poza tym arendarz dorzucił dwa stare siodła i uprzęże dla mnie i Tomka. Kiedy opuszczaliśmy karczmę i miasteczko, było jeszcze ciemno. I całe szczęście, bo Stachnik aż kipiał ze złości, umalowany barwiczką na licu, z lnianą peruką zaplecioną w długie kosy i w długiej sukni, imitując wcale powabną dziewczkę, przynajmniej z daleka. Obaj chłopcy też tak uważali, lecz kiedy cień uśmiechu pojawił im się na ustach, Żółkiewski zmroził ich spojrzeniem i warknął:

- Tylko spróbujcie, a ubiję bez litości.

O świcie dotarliśmy w poblizę młyna i ukryliśmy się w lesie. Tomka, który z wierzchowcem radził sobie nadspodziewanie dobrze,

347

m

wysławszy na zwiady. Wpierw minął nas jadący galopem szlachcic w asyście kilkorga zbrojnych, potem chłop z wozem, nareszcie pojawił się Tomek.

- Jada! - zawołał i zjechał na bok, dołączając do mnie.

Teraz na gościniec wyjechał Żółkiewski. Siedział na koniu bokiem, kobiecym sposobem, jedną ręką przytrzymując toczek na lnianych splotach, drugą tak manewrując wodzami, że zdeorientowany wierzchowiec drobił w miejscu to tam, to sam, kręcąc się w koło. Z oddali musiało to wyglądać, jakby początkująca amazonka nie radziła sobie ze spłoszonym kłusakiem. Wtedy zobaczyliśmy tamtych. Ilko nie spieszył się. Pogwizdywał beztrosko i nie rozglądał na boki, czując się pewnie na swoim terenie. Sześciu semenów podążało za nim, śmiejąc się i rozmawiając. Wtem spostrzegł Żółkiewskiego i jeszcze zwolnił, zaś Stachnik na ich widok wydał piskliwy okrzyk przerażenia, zdzierzył konia biczem, ten kwiknął i pomknął w las. Niewiele myśląc, Ilko też zaciął wierzchowca i pognął w ślad, zaśmiewając się do rozpuku i wołając do swoich:

- Zaczekajcie sam na mnie!

Zjechali z traktu na pobliską polankę, uwiązali konie do drzew, usiedli i posłali w krąg bukłak z gorzalką, niewybrednymi słowy dając pole domysłom, co ich hetman uczyni z dziewczką, kiedy ją dopadnie. Dali się zaskoczyć bez najmniejszego trudu. Żaden nie chciał umierać. Nie stawiali oporu, gdy pod osłoną moich dwóch pistoletów obaj przybocznicy wiazali ich i kneblowali.

- Przypilnujcie ich - poleciłem, kiedy byli gotowi.

Wskoczyłem na swojego bieguna i popędziłem za Ilką i Żółkiewskim. Drogę wskazywało mi stratowane runo i obłamane gałęzie. Wkrótce usłyszałem wołania i przekleństwa, i ze zdziwieniem rozpoznałem głos przyjaciela. Zaniepokoiło mnie to i zaskoczyło, bo nigdy nie słyszałem go klnącego tak wiele i tak soczyście. Zwolniłem. Przestałem się dziwić zdenerwowaniu Stachnika, gdy przez gałęzie zobaczyłem go wiszącego pod wielkim konarem dębu. Widocznie zaczął o niego peruka, a teraz dusił się, bo była przywiązana sznurkiem pod brodą. Rozpaczliwie próbował obiema dłońmi rozerwać sznurek, okręcając się przy tym jak bąk i przebierając nogami skrepowanymi długą suknią. Ilko też już zorientował się, że coś jest nie tak, bo szcurza gęba z rozbawionej zmieniła się wpierw w zdumioną, a potem pojawił się na niej groźny wyraz. Wydobył

348

szablę i podjechał do wisielca. Dałem koniowi ostrogę i w dwóch skokach znalazłem się przy łotrze, waląc go głowicą sztyletu w łeb. Zalał się krwią i zwałił z siodła, ja zaś szybkim cięciem uwolniłem Stachnika od peruki, pochwyciłem, kiedy spadał jak kamień i opuściłem na ziemię. Dyszał jak ryba wyjęta z wody, trzymając się za gardło, potem zerwał się na równe nogi i zaczął zdzierać z siebie babskie szatki, depcząc je i rycząc przy tym jak tur:

- Do kroćset! iy i te twoje koncepty! Ostatni raz dałem ci się namówić na coś takiego! Ostatni raz! Niech cię kaci...

Kiedy się wysapał, trącił butem Ilkę i spytał rzeczowym tonem:

- Co z nim?

- Żyje.

- No to do roboty.

Przerzuciliśmy nieprzytomnego łotra przez jego własne siodło, dosiedliśmy naszych koni i wróciliśmy na miejsce, gdzie czekali na nas Jarek z Tomkiem. Jeńcy leżeli spokojnie, gapiąc się na nas jedynie ze strachem w szeroko rozwartych ślepiach. Pewnie aż do tej pory nie mieściło im się we łbach, aby ktokolwiek ośmielił się napaść na ludzi Stadnickiego, i to o rzut kamieniem od ich zbójckiego gniazda. Szarpnąłem Ilkę. Opadł ciężko na ziemię. Wylałem mu na twarz wodę ze swego bukłaka. Jęknął i poruszył się. Kopnąłem go w bok. Jęknął głośniejsze i otworzył oczy. Potrzęsnał głową, usiadł, kiwając się jak pijany i gapiąc na nas półprzytomnie, wreszcie wystękał:

- Co jest...? Co się dzieje...? Kto wy jesteście? - wtem dostrzegł powiązanych swoich ludzi i zupełnie oprzytomniał. - Co to ma znaczyć!?

- Zaraz się dowiesz - obiecałem.

- Zapłacicie za to, kimkolwiek jesteście - powiedział, nie okazując strachu. - Nie wiecie, na kogo się porwaliście. A z ciebie - obrócił na Tomka nienawistny wzrok - osobiście będę pasy darł.

Otwartą dłońią dzieliłem go we wstrętny pysk, na który oprócz oszołomienia zaczął wypełzać strach.

- Nazywam się Ryx, Kacper Ryx-Thropoński. Mówi ci to coś?

- A to się pan Stadnicki ucieszy...

- Twój pan będzie następny w kolejności. A teraz gadaj, co wiesz o porwaniu panny Wapowskiej.

0 Wciąż nadrabiał miną. Wyciąłem go w gębę z drugiej strony

1 mocniej, aż padł jak długi. Zwinął się jak wąż i sięgnął do boku

po sztylet. Nastąpiłem mu na dłoń. Chrupnęły miażdżone palce. Wrzasnął z bólu.

- Rozpal ogień - poleciał Tomkowi.

Czekaliśmy, aż ognisko dobrze się rozpali, nic nie mówiąc. Jeniec wodził tym razem nie na żarty przerażonym wzrokiem od jednego do drugiego, pojękując. Znienacka pochwyciłem go za kołnierz i zaciągnąłem do ogniska. Płomień liznął mu łeb, opalając kudły i brwi. Ryknął przeraźliwie i rzucił się wstecz.

- Powiem! Powiem wszystko, co chcecie!

Słuchaliśmy oniemiałi ze zgrozy. Kiedy doszedł do tego, jak podwiesili Jankę w lochu na łańcuchach, nie wytrzymałem i rzuciłem się na niego. Byłbym go zatłukł gołymi rękami, gdyby Stachnikowi nie udało się mnie wreszcie od niego odciągnąć.

- Jak go zabijesz, nigdy nie poznamy, co się z nią stało! Przestań! Słyszysz!? Przestań! Za którymś razem wreszcie dotarło to do mnie. W gębie liki nie było już nic ludzkiego. Wyglądała jak bryła ścierwa. Szlochał rozpaczliwie, zachłannie łykając powietrze rozbitymi ustami i zasłaniając się przede mną zdrową ręką.

- Nie tknąłem jej, przysięgam na Boga! - kwiknął, plując wybitymi zębami. - I pan Stadnicki też nie zdążył, bo akurat nadjechał pan Zborowski i kupił ją dla siebie... Nie! - na mój gwałtowny ruch cały aż zadygotał. - Do niczego nie doszło... Kiedy bowiem po srogim pijaństwie pan Zborowski zszedł w nocy do lochu, by się zabawić z panną, jej już tam nie było, a razem z nią zniknął też Tatar, którego pan Zborowski przywiódł ze sobą, a który także na pannę miał wielką skomę i dawał za nią więcej, ale musiał ustąpić przodka panu Zborowskiemu...

- Jaki Tatar?

- Nie wiem. Znaczny. Miał ze sobą setkę ordyńców... Pan Zborowski wpadł w szewską pasję, zwłaszcza że pan Stadnicki domagał się tysiąca czerwonych należnych za dziewczkę... Jeszcze tej nocy ruszyliśmy w pościg, my i Kozacy pana Zborowskiego, i nazajutrz to samo, i następnego także... Aleśmy nie znaleźli żadnego śladu, jakby ich ziemia pochłonięła albo unieśli się w powietrze... Pan Zborowski zapędził się nawet w pościgu aż za Lwów, hen ku Zbarażowi, lecz wrócił z próżnymi rękami ponury jak noc, bo ścigani przepadli na Czarnym Szlaku... Prawdę rzekłem jak

na spowiedzi! Nic więcej nie wiem! Nie zabijajcie mnie, panie! Jam jeno wykonywał rozkazy! Łaski! - wrzeszczał, widząc, że sięgam do pasa.

Ale ja wyjąłem tylko bicz. Smagałem gdzie popadło, a on kulił się, nie odważając nawet pisnąć. Twardy rzemień ciał odzienie i ciało, krew tryskała, bryzgając na mnie, lecz nie zważałem na nic. Wojna mnie znieczuliła. Nareszcie Stachnik chwycił moją dłoń.

- Wystarczy, bo go zabijesz. To tylko narzędzie. Lepiej, żeby wrócił do swego pana. Niech Stadnicki wie, co go czeka.

Kiedy odjeżdżaliśmy, Ilko jeszcze żył, ale w sumie mało mnie to obchodziło. Los jego semenów także. Nad rzeką napoiłiśmy konie i obmyłem się z grubsza.

- Dokąd teraz? - spytał Żółkiewski.

- Nie wiem - odparłem. - Gdzie oczy poniosą.

- Wiesz, że to beznadziejna spawa. Po tak długim czasie...

Nie powiedział wprost tego, co zapewne myślał. Że jeśli Janka żyje, to Bóg wie gdzie i w pohańbieniu, ergo nie warto jej szukać.

- Ja nie zrezygnuję. A ty rób, co chcesz.

- Nie gadaj głupstw! - zirytował się. - Do lata mamy czas. Jeno kędy się najpierw obrócić?

- Jest pod Jarosławiem osławiona karczma „Pod Bukiem” - wtrącił Jarek. - Zaglądają tam zarówno kupcy, pątnicy, obieżyświaty, jak i pospolite hultajstwo wszelkiej maści. Karczmarz wie o wszystkim, co się zdarzyło w okolicy.

Poszliśmy za dobrą radą. Jednak mimo iż arendarz łpał chciwie na oferowany mu mieszek, nie miał nic do powiedzenia. Od roku, odkąd stanął pokój z Krymem, nie słyszano tu o żadnym czambule. Nie lepiej poszło nam w Jarosławiu.

Nad miastem, założonym ponoć przez kijowskiego księcia Jarosława Mądrego przed ponad pięciuset laty, górował zamek rozbudowany przez Zofię ze Sprowy Kostczynej. Samo miasto, liczące ze trzy tysiące mieszkańców, służyło ze swych jarmarków (z tej przyczyny zwano go „drugim Frankfurtem”), z których największy odbywał się we Wniebowzięcie Najświętszej Panny Maryi, pozostałe w Popielec i na świętego Andrzeja.

- Oho! - cmoknął Jarek. - Zjeżdża się wonczas do Jarosławia dobre trzydzieści tysięcy luda z całego świata. Ceny za izbę w mieście dobijają w sierpniu do stu sześćdziesięciu złotych! A i tak wielu

351

kupców musi podnajmować kwatery na przedmieściach lub mieszkać w namiotach i wozach. Udało nam się zakwaterować dużo taniej i wygodniej. Ale mimo iż rozdzieliliśmy się i zaglądaliśmy do każdej gospody, każdego składu kupieckiego, każdego kramu i warsztatu, a roilo się od nich, osobliwie piekarzy, rzeźników, piwowarów, krawców, szewców, kowali i stelmachów, wszystko na nic. Od dawna, chwalić Boga! nikt tu nie widział Tatara, wyjąwszy domowych, zatrudnianych przez miejscową szlachtę. Jedyne pożytki z dwóch dni spędzonych w Jarosławiu był taki, że dość korzystnie nabył nowe siodła i uprzęż dla wierzchowców oraz torby i sakwy podróżne dla dwóch juczych.

Wszystko powtórzyło się w Przemyślu. Miasto było piękniejsze i większe od Jarosławia, położone na prawym brzegu Sanu. Zjeżdżając ku drewnianemu mostowi, mieliśmy je jak na dłoni. Z murami obronnymi, bramą Wodną albo Krakowską na wprost, okazałym nowomodnym ratuszem i starą katedrą (z dostawioną do niej niedawno kaplicą ufundowaną przez Drohojowskich) w głębi, zamkiem już poza murami i górującą nad miastem kaplicą Świętego Leonarda na Kopcu. Ale ja nie dostrzegałem jego urody, popadając w coraz większe przygnębienie. I tu nikt nie słyszał o czambule przeciągającym jesienią przez okolicę, chociaż niektórzy pamiętali z tamtego czasu wizytę Samuela Zborowskiego, rozpytującego o to samo. Nawet wizyta w dzielnicy żydowskiej, położonej w wiertelu pomiędzy bramami Krakowską a Lwowską, nic nie dała. Rozesłaliśmy jednak wici między kupcami i wędrownymi rękodzielnikami, obiecując nagrodę za jakąkolwiek wieść o porwanej i dając jej szczegółowy opis. Po nagrodę należało się zgłosić do Winnik pod Lwowem.

Ojczyste włości Stachnika leżały o milę węgierską na wschód za miastem. Lwów znacznie przewyższał Przemyśl, dorównując niemal Krakowowi. Ja jednak nic z tutejszych cudów nie zapamiętałem, wszystko widząc jak przez mgłę, bowiem ogarnęło mnie już nie przygnębienie, lecz prawdziwa rozpacz. Twarze indagowanych kupców: Polaków, Rusinów, Ormian, Żydów i Niemców mieszały mi się i rozmywały. Zapamiętałem tylko jedno.

Wszyscy, zarówno szlachta, jak mieszczenie, odnosili się do Stachnika z szacunkiem i sympatią, bowiem jako bodaj jedyny w całej ziemi lwowskiej, a może i na całej Czerwonej Rusi, nie był z nikim zwaśniony, nie prowadził wojny sąsiedzkiej, a nawet nie miał z nikim sprawy w sądzie,

352

■

nie skalawszy się tak powszechnym w Polsce pieniactwem. Mimo to budził respekt i nikt nie odważył się traktować go lekko. Nikt też nie uchylał się od odpowiedzi i nie chciał za to wynagrodzenia. Cóż z tego jednak, skoro w interesującej nas sprawie nic nie wiedziano ani

nie słyszano. Obiecywano jednak rozpytywać się, a niektórzy z indagowanych podróżowali nawet na Krym.

Winniki były wzorowo zagospodarowaną wsią. Ani ojca, ani brata Stachnika nie zastaliśmy, bo nie wrócili z sejmu, od razu z Warszawy zamierzając pociągnąć na Litwę. Dlatego wysłali Staszka, by doglądnął dóbr, zebrał ile się da pieniędzy i wojska na wyprawę. Wśród miejscowego chłopstwa młody panicz cieszył się taką samą miłością i rewerencją jak we Lwowie.

Odsapnąwszy krzywą, naparłem się jechać dalej, a Stachnik nie chciał mnie zostawić samego. Zapusciliśmy się tedy aż pod Bar, gdzie jeszcze królowa Bona osadziła na straży kresów rodzinę Pre-twiczów, sławnych zagończyków. Jednak i oni nie mieli dla nas żadnych wieści, ani dobrych, ani złych, choć w pobliżu biegł niesławny Szlak Kuczmański, po którym szły inkursje tatarskie w głąb Rzeczypospolitej i które wracały do siebie. Był już początek czerwca i Stachnik nareszcie rzekł:

- Dość. Przykro mi, Kacper. Musimy wracać.

Byłem tak umęczony i otepiały z żalu, że nie oponowałem. Tydzień wypoczywaliśmy w Winnikach, po czym z garścią nowozacież-nych skierowaliśmy się na Zamość, bowiem Żółkiewski dowiedział się, iż kanclerz bawi właśnie w nowo budowanym mieście, swoim oczku w głowie. Kanclerska rezydencja była prawie na ukończeniu. Zamojski ucieszył się na nasz widok i zaraz, w towarzystwie muratora, Italczyka Bernarda Morando, powiódł nas na taras pałacowej wieży, skąd rozciągał się widok na ogromny plac budowy.

- Spójrzcie! - niby żak entuzjazmował się kanclerz. - Sam, gdzie stoimy, jest „głowa”, tam, ze wschodu na zachód pobiegnie Grodzka ulica, „kręgosłup” miasta, przecinająca Rynek Wielki z ratuszem, czyli „serce”, bastiony zaś - wskazał ich zarys we wznoszonych murach - to „ręce” i „nogi” służące do obrony. Tam stanie przyszła akademia na wzór wileńskiej, tam kościół pod wezwaniem Zmartwychwstania Pańskiego i Świętego Tomasza Apostoła, tam cerkiew, a tam synagoga i kościół ormiański. Bo też chcę zaludnić to miasto wszelkimi nacjami i dopilnować, by

353

społem żyli w zgodzie i pracowali dla wspólnego pożytku swojego, mojego i Rzeczypospolitej.

Nie darmo nazywano go Wielkim Tolerantem. Widać było, teraz i później, że budowa miasta absorbuje go bardziej niż rychła wojna, w którą zresztą nie bardzo wierzył ani na nią spieszył, ufając, że wysłannik papieski, jezuita Possevino, wyjedna u Moskiewskiego korzystne warunki pokoju. Kiedy jednak dowiedział się o moim strapieniu, przejął się bardzo i zafrasował. Pomóc jednak na razie nie mógł.

- Stadnicki już pociągnął do Wilna na czele własnej roty, tedy na razie nie łza go ruszyć, zwłaszcza że, jak powiadacie, zaprzysiągł wobec świadków, iż ze zniknięciem panny Joanny nie ma nic wspólnego. Co do Samka Zborowskiego, to wysłałbym cię za nim, gdybym miał pojęcie dokąd. Umknął z Krupego jeszcze w kwietniu, gdym przybył do Zamościa, i teraz nikt nie wie, gdzie on się podziewa. Dobrze byłoby to poznać, lecz król stanowczo życzy sobie widzieć cię u swego boku. Wierzy, że przynosisz mu szczęście. Współczuję ci, synu, lecz musisz się uzbroić w cierpliwość i pokładać ufność w Bogu. Na pociechę rzeknę ci, że po zmarłym Piotrze Zborowskim przypadł mi w udziale urząd starosty krakowskiego - skrzywił się nieznacznie, gdyż przeszło mu mimo nosa województwo krakowskie, które wziął Andrzej Tęczyński - tedy obiecuję ci, że jeśli tylko noga Samuela postanie w ziemi krakowskiej, będzie nasz ten niecnota i odpowie za wszystkie swoje niegodziwości.

Słaba to była pociecha, ale musiała mi na razie wystarczyć.

- A co do twojej sprawy - zwrócił się do Żółkiewskiego - to zamiar pochwalam. Familia zacna, sam to wiem najlepiej, acz fortuna mizerna, ledwie jednowioskowa...

- Nie stoję o to.
- To ci się chwali. Lecz sam też niewiele masz, a to małżeństwu źle wróży. Wprzód dojdź do czegoś. A to może ci zająć kęs czasu.

- Taki mam zamiar. A czekać mogę i dziesięć lat.

- Cóż, w takim razie w stosownej porze porozmawiam z ojcem Reginy.

Była już połowa czerwca, a do wojny zbierano się tak niemrawo, że Żółkiewskiego aż roznosiło ze zniecierpliwienia, ja zaś w końcu nie wytrzymałem i poprosiłem kanclerza:
354

- Wasza wielmożność, wojny może wcale nie być, a ja i tak nie jestem na niej niezbędny. Zezwólcie mi poszukać Janki na Krymie.

- Nie może to być - pokręcił głową, równocześnie patrząc na mnie ze współczuciem. - Król chce cię widzieć u swego boku, powiedział mi to dobitnie. To raz. A po wtóre jesteś teraz szlachcicem i to twój obowiązek. Nie chcesz chyba stracić tego, co zdobyłeś z takim trudem?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie dbam o to. Zabiegałem o nobilitację tylko ze względu na Jankę. Bez niej na nic mi ona.

Nie spodobało mu się to. Nastroszył brwi.

- Nie chcę tego słuchać. A pomijając wszystko inne, mimo iż teraz z Tatury mamy rozejm, nie puszczać cię na Krym samego, to zbyt wielki azard.

- Żaden azard mi niestraszny.

- Nie! - uciął.

Mimo to, w tajemnicy przed nim i Żółkiewskim, rozpocząłem przygotowania do samotnej ekspedycji. O konsekwencje nie dbałem. Było mi wszystko jedno. Miałem wymknąć się cichaczem następnego dnia, kiedy nagle do Zamościa przybył niespodziewany gość, nasz wspólny dobry znajomy, Jan Tomasz Drohojowski. Przywiózł wieści o śmierci królewskiego brata Krzysztofa, wojewody siedmiogrodzkiego, i o tym, że został wysłany przez króla do padyszacha z prośbą, by nowemu wojewodzie, małoletniemu synowi zmarłego, Zygmuntovi, zachowane zostały prawa poprzednika, bo na krzywdę swoich dawnych poddanych i rodaków Batory spokojnie patrzeć nie zamierzał. Nie wytrzymałem.

- Pojedziecie może przez Krym, panie?

Wiedział już o moim nieszczęściu. Poczul się tym osobiście dotknięty nie tylko dlatego, że znał nas oboje, ale że krzywda spotkała Jankę w obrębie jego jurysdykcji jako starosty przemyskiego.

- Wiozę listy do chana. Zamierzałem wracać przez Bakczysaraj. Ale równie dobrze mogę tam udać się najpierw.

- Weźcie mnie ze sobą!

Popatrzyli po sobie z Zamojskim.

- Niech jedzie - westchnął kanclerz. - Już nie mogę patrzeć na tę jego zboliałą minę.

Jakoś go usprawiedliwię przed królem. A przy

355

okazji może uda mu się wywiedzieć, co knuje ten łotr Samuel. Jeśli znów pojechał na Niż, może napytać nam biedy.

- Zatem zgoda - rzekł Drohojowski, a ja rzuciłem się obu do kolan.

Kiedy więc pozostali szykowali się do wymarszu na północ, myśmy ruszyli w przeciwnym kierunku. Poczci Drohojowski liczył kilkudziesięciu ludzi, dobrze okrytych, choć nie przewidywaliśmy żadnych turbacji po drodze. Jakoż i do Braclawia nad Bohem dojechaliśmy przez nikogo niezaczepiani. Wojewoda braclawski, książę Zbaraski, akurat wybierał się na wojnę, znalazł jednak czas, by nas godnie podjąć. Poznał mnie od razu.

- Bohater spod Hiropcza!

Przejął się moją sprawą, lecz nie mógł podjąć żadnych kroków. Obiecał wszak zająć się poszukiwaniami Janki zaraz po powrocie z wojny.

W nadgranicznej dziurze, Bałcie, trakt połączył się z tatarskim Szlakiem Kuczmańskim, którym przecięliśmy Jedysan, nie napotykając po drodze żywego ducha. Dopiero w Tawaniu, gdzie zbiegały się trzy szlaki: Kuczmański, Wołoski i Murawski, nasze pojawienie się wywołało tumult. Rzucono się na nas i zaczęto szarpać, lecz miejscowy murzyk wnet przywrócił spokój. Okazało się, że wzburzenie Tatarów wywołało złamanie rozejmu i niedawna napaść Ni-żowców pod wodzą Zborowskiego.

- Przekłety Samuel - zgrzytnął zębami Drohojowski. - Teraz przynajmniej wiemy, gdzie się podziewa. Oby szczeź!

Zgadzałem się z nim całkowicie. Aby uniknąć podobnych ekscesów, murzyk przydał nam eskortę, która bezpiecznie doprowadziła nas aż do Perekopu, gdzie przejęli poselstwo Tatarzy krymscy i powiedli do Bakczysaraju przed oblicze chana. O ile nie bardzo zarejestrowałem całą długą drogę przez nieznanne krainy, to w chań-skiej stolicy trochę otrząsnąłem się z odrętwienia. Wszystko tu było inne niż u nas, aż nie sposób wymieniwać osobliwości. Podczas gdy Drohojowski bawił u chana, ja z przydzielonym mi dragomanem odszukałem okazały dom Azameta Murzy. Ale miałem pecha. Mój pobratymiec niedawno wyruszył w jakiejś sprawie do Sztambułu. Co do chrześcijańskiej branki, to miał ich wiele w swoim haremie, ale sądząc z opisu, żadna nie była Janką. A o wejściu do części przeznaczony dla kobiet nie mogłem nawet marzyć. Zresztą rozmawiał z nami gruby stary eunuch, na wpół ślepy i głuchy. Po trzy razy

okazji może uda mu się wywiedzieć, co knuje ten łotr Samuel. Jeśli znów pojechał na Niż, może napytać nas biedy.

- Zatem zgoda - rzeki Drohojowski, a ja rzuciłem się obu do kolan.

Kiedy więc pozostali szykowali się do wymarszu na północ, myśmy ruszyli w przeciwnym kierunku. Poczty Drohojowskiego liczył kilkadziesiąt ludzi, dobrze okrytych, choć nie przewidywaliśmy żadnych turbacji po drodze. Jakoż i do Braclawia nad Bohem dojechaliśmy przez nikogo niezaczepiani. Wojewoda braclawski, książę Zbaraski, akurat wybierał się na wojnę, znalazł wszak czas, by nas godnie podjąć. Poznał mnie od razu.

- Bohater spod Hiropcza!

Przejął się moją sprawą, lecz nie mógł podjąć żadnych kroków. Obiecał wszak zająć się poszukiwaniami Janki zaraz po powrocie z wojny.

W nadgranicznej dziurze, Bałcie, trakt połączył się z tatarskim Szlakiem Kuczmańskim, którym przecięliśmy Jedysan, nie napotykając po drodze żywego ducha. Dopiero w Tawaniu, gdzie zbiegały się trzy szlaki: Kuczmański, Wołoski i Murawski, nasze pojawienie się wywołało tumult. Rzucono się na nas i zaczęto szarpać, lecz miejscowy murzyk wnet przywrócił spokój. Okazało się, że wzburzenie Tatarów wywołało złamanie rozejmu i niedawna napaść Ni-żowców pod wodzą Zborowskiego.

- Przekłety Samuel - zgrzytnął zębami Drohojowski. - Teraz przynajmniej wiemy, gdzie się podziewa. Oby szczeź!

Zgadzałem się z nim całkowicie. Aby uniknąć podobnych ekscesów, murzyk przydał nam eskortę, która bezpiecznie doprowadziła nas aż do Perekopu, gdzie przejęli poselstwo Tatarzy krymscy i powiedli do Bakczysaraju przed oblicze chana. O ile nie bardzo zarejestrowałem całą długą drogę przez nieznanne krainy, to w chań-skiej stolicy trochę otrząsnąłem się z odrętwienia. Wszystko tu było inne niż u nas, aż nie sposób wymieniwać osobliwości. Podczas gdy Drohojowski bawił u chana, ja z przydzielonym mi dragomanem odszukałem okazały dom Azameta Murzy. Ale miałem pecha. Mój pobratymiec niedawno wyruszył w jakiejś sprawie do Sztambułu. Co do chrześcijańskiej branki, to miał ich wiele w swoim haremie, ale sądząc z opisu, żadna nie była Janką. A o wejściu do części przeznaczony dla kobiet nie

mogłem nawet marzyć. Zresztą rozmawiał z nami gruby stary eunuch, na wpół ślepy i głuchy. Po trzy razy

kazał sobie wszystko powtarzać, a i tak chyba mało co pojmował. Wyszedłem stamtąd rozczarowany i zniechęcony. Posłałem potem list do Azameta. Dragoman chętnie wziął bakszysz, ale czy doręczył list, nie byłem pewny, bo patrzył na niesolidnego lenia. Straciwszy ochotę na oglądanie miasta, nie ruszałem się odtąd ze swojej kwatery, czekając niecierpliwie, aż pociągniemy do Carogrodu.

Popłynęliśmy tam turecką galerą tydzień później. Widok Carogrodu vel Konstantynopola alias Stambułu wręcz zapierał dech w piersiach. Przy nim Bakczysaraj jawił się niby nędzna miejscina. Jednak Azameta Murzy nie zastałem. Minęliśmy się o włos. Może nawet był na którejś z galer napotkanych przez nas po drodze. To już nie był zwykły pech, tylko złośliwość losu. Poszedłem na targ niewolników, lecz mimo wysiłków nowego dragomana żaden z kupców nie przypominał sobie branki, którą im opisywałem. Uplęnięło zbyt wiele czasu. Weiskano mi za to mnóstwo nieszczęsnych dziewcząt, dla których nie mogłem nic uczynić. Przygnębiony, znów większość czasu spędziłem w wyznaczonej kwaterze. Raz tylko wyszedłem, aby, zdjawszy obuwie przed wchodem, odwiedzić największy miejscowy meczet, dawny kościół Mądrości Bożej.

Z końcem lata ruszyliśmy w powrotną drogę, tym razem lądem, przez Bułgarię, Wołoszczyznę i Mołdawię. Niczego nie zapamiętałem z tej podróży, okrom niemożliwie brudnych i cuchnących tamecznych gospoń, hanów, przy których nawet najgorsze nasze karczmy wyglądały na pałace. U schyłku września dotarliśmy nareszcie do Przemyśla, a po zaledwie kilku dniach wytchnienia, ponieważ Drohojowski jak najszybciej pragnął zdać królowi relację ze swego poselstwa, prosto jak strzelił podążyliśmy na północ, przecinając całą Rzeczpospolitą i kierując się pod Psków, oblegany przez wojsko królewskie. Tak oto przemierzyłem pół świata, niczego nie osiągnąwszy. Powiedzieć, że byłem przybity i zrozpaczony, to nic nie powiedzieć. Byłem jak pień wypalony przez piorun. Równie wewnątrz próżny i równie martwy.

Pod Psków dotarliśmy w połowie października. Im dalej na północ, tym było chłodniej, a w obozie przywitała nas sroga zima. Psków był potężną twierdzą („O Jezu, toć wielkiego coś, by drugi Paryż. Pomóż nam do niego Panie Boże!” - taki wykrzyknik znalazłem potem w zapiskach księdza Jana Piotrowskiego, nowego sekretarza Zamojskiego i mojego równolatka), leżącą nad rzeką Wielką.

357

Komendantem Pskowa był książę Wasyl Szujski, a jego prawą ręką zdolny i energiczny bratanek Iwan. Tymczasem my mieliśmy mniej wojska, mniej armat, mniej prowiantu i dużo mniej prochu, niż w zeszłym roku, dlatego po nieudanym wrześniowym szturmie rozpoczęło się trwające do teraz oblężenie. Nasz oszańcowany obóz znajdował się na południe od murów miasta, nad rzeczką Czerechą. Na szczęście starszyzna, pomna, jakie w tych stronach bywają zimy, jeszcze we wrześniu nakazała służbie związać namioty i stawiać drewniane chaty z kominami lub kopać ziemianki. Kto mógł z żołnierzy, szedł w ślady dowództwa, tak iż wnet stanęło całe niby-miasto.

- Owa jedno ratusza nie masz, ale rynek i ulice już stoją - śmiał się ksiądz Piotrowski, na życzenie kanclerza, do którego zgłosiłem się zaraz po przyjeździe, oprowadzając mnie po obozie i wskazując ziemiankę Żółkiewskiego.

Schroniłem się w niej z ulgą, bowiem szalała zamięć śnieżna, a w nocy przyszedł luty mróz. Zamarzły rzeki i nawet z wodą były kłopoty. Ubodzy żołnierze marzli okrutnie, bo nie stać ich było choćby na kozuchy, o ciepłych chatach i ziemiankach nie wspominając. Ludzie sarkali, ale po cichu, bo król dawał dobry przykład. Przy ognisku siadał na pieńku przy takim

samym stoliku, jadł to co wszyscy, a leżał na nasiekanych liściach brzoźowych i drobnym chruście miasto materaca.

Już po rozpoczęciu kampanii, ku zaskoczeniu wielu, Batory oficjalnie mianował Zamojskiego hetmanem wielkim koronnym. Nie brakowało oponentów, a ponoć pierwszy nie chciał się podporządkować nowemu wodzowi Andrzej Zborowski, marszałek nadworny, uważający (może i słusznie), że godność tę powinien otrzymać jego brat Jan. Co by się jednak działo, gdyby wiedziano to, co wiedzieliśmy tylko my, najzaufańsi - że Zamojski dostał urząd dożywotnio - lepiej nie mówić. Sam nie byłem przekonany, czy na dal to dobra decyzja. Poza tym wszystko było po starym, od towarzyszy broni począwszy, na obowiązkach skończywszy. Nieco więcej czasu spędzałem przy osobie króla, w zastępstwie Oczki, który tym razem pozostał w Warszawie, obdarowany doroczną pensją w wysokości trzystu dukatów. Od początku polowałem na Stadnickiego, by wziąć go na spytki. Mimo bowiem pomocy rotmistrza Temruka Szymkowicza, który służył za tłumacza, nie zdobyłem żadnych wieści o Jance od

358

ordyńców z Białogrodu, którzy przybyli nam w sukurs. Jedynie Stadnicki mógł mi zatem coś powiedzieć. Chodziłem za nim krok w krok w każdej wolnej chwili. Byłem w takiej desperacji, że mógłbym go nawet zabić, nie bacząc na konsekwencje. Ale on to wiedział i unikał mnie jak ognia. Nigdy też nie ruszał się bez asystencji kilku zbrojnych ze swojej rotty. Myślałem, że uda mi się go dopaść, gdy został ranny, lecz na mój widok zemknął pod opiekę doktora Lucenberga, a potem swoich przybocznych.

- Jeszcze go dostaniemy - usiłował mnie pocieszać Żółkiewski.

Doskwierała nam nie tylko aura. Okazało się za niedługo, że

proch się skończył i musieliśmy zaprzestać szturmów, aż Moskale sztydzili z murów:

- Szto to za korol wasz? Ziela nie ma - bo proch nazywali zielem - ani pieniędzy, pójdźcie wy do nas, a nas ziela, dzieng i wszeho mnohol

Zdarzało się, że piechociarze napadali na wozy dostarczające opał bogatym towarzyszom z jazdy. Głodowali. Picownicy spośród czeladzi obozowej w asyście silnych oddziałów jazdy zapuszczali się coraz dalej i dalej w poszukiwaniu żywności i paszy. Coraz też dłużej musieliśmy czekać na ich powrót. Szerzyły się choroby, kradzieże i dezercja. Narastały animozje między Polakami a Litwinami. Niektórzy oficerowie spiskowali. Niechętni królowi, skupieni wokół Andrzeja Zborowskiego, po cichu, bo głośno się bali, nazywali Batorego tyranem, gwałcicielem swobód szlacheckich albo wprost węgierskim psem czy tyranem nienawistnym. A wszyscy domagali się zaległego żołdu.

Hetman Zamojski dwoił się i troił, by zapewnić jaką taką dyscyplinę. Na środku placu obozowego wzniesiono szubienicę. Za udowodnioną kradzież kazał powiesić porucznika Piwka, przepędzał dziewczki wszeteczne towarzyszące armii. Rotmistrza Pieniązka za niesubordynację stłukł korbaczem, po czym za kołnierza włókł za koniem przez kilka staj. Zdarzyło się raz, iż rotmistrz Gołkowski podczas gry w karty cisnął w gębę szklanicą krajczemu koronnemu, Jerzemu Mniszchowi, kreaturze, która ongi zleciła Kettlerowi zabicie maga Twardowskiego. Sąd pod przewodem hetmana skazał Gołkowskiego na ścięcie.

Wówczas Żółkiewski zaproponował, że na noc przed egzekucją weźmie więźnia do naszej kwatery. Zamojski wprawdzie się zgodził, ale widać coś podejrzewał, bo postawił

359

0

straż przed ziemianką. Stachnik przyniósł skądś kilka flaszek mocnej gorzalki, po czym pił mnie i strażników. Kiedy rano okazało się, że wiezień uciekł, zebrał wprawdzie okropną burę od Zamojskiego, a zaraz potem ode mnie. Za to, że mnie nie wtajemniczył w swoje plany. Odparł mi wtedy:

- Uczyniłem to, co uważałem za słuszne. A ciebie nie chciałem narażać na gniew hetmana. I bez tego ci ciężko.

Mój podziw dla niego jeszcze wzrósł. Dlatego postarałem się ugłaskać Zamojskiego, kiedy wezwał mnie do siebie, bo powaliła go choroba jelit. Zazdrościcy, a najbardziej Andrzej Zborowski i hetman wielki litewski Radziwiłł Rudy, wykorzystywali srogość kanclerza, by wzbudzać niechęć przeciw Zamojskiemu. Litwini zaczęli rozpowszechniać złośliwą piosenkę, która bardzo go ubodła. Wciąż słyszało się też słowa pieśni: Idzie żołnierz borem, lasem. Nastroje poprawiły się odrobinę pod sam koniec października, kiedy tryumfalnie powrócił z dywersji uczynionej hen w głąb państwa moskiewskiego hetman polny litewski Krzysztof Radziwiłł, młodszy syn Rudego. W ciągu siedemdziesięciu ośmiu dni nieustannych marszów i potyczek on i jego ludzie przemierzali aż sto czterdzieści mil węgierskich i dotarli, jak prawili z przesadą, na koniec świata, do samej Persji, stąd zwano ich potem „Persjanami”, a hetmanowi polnemu dostał się zaszczytny przydomek „Piorun”. O mały włos ogarnęliby samego cara, który natenczas przebywał z bliskimi w Starycy. Było tak, jak to potem opisał mistrz Jan, pod niebiosy wynosząc młodego Radziwiłła i szydząc z cara, który:
... barzo sobą trwożył, I już był tylko w nogach nadzieję położył.¹

Przy okazji chwalać też Pana Boga, iż:

Podał nam króla z Węgier, dzielnego Stefana: Patrzajże, jako wielka w krótki czas odmiana!
Moskiewski, komu grożąc, sam się teraz boi, A pragnąwszy cudzego, w swym się nie zostoi.²

1 Jan Kochanowski, Jezda do Moskwy, [w:] tegoż, Dzieła polskie, s. 166.

2 Tamże, s. 159.

360

Na zachód od Pskowa leżały Pieczary, a w nich klasztor zwany Ławrą Peczerską, sławny na Rusi jak u nas Jasna Góra i jak ona stanowiący małą twierdzę. Jej załoga dawała się we znaki picow-nikom i kupcom przywożącym z Rygi zaopatrzenie, a także żołnierzom wracającym na Litwę. Dlatego król wysłał tam Farensbacha na czele najemników niemieckich, a towarzyszyli mu Kurlandczycy pod przewodnictwem książęcego bratanka Wilhelma Kettlera, któremu niedawno sam opatrywałem ranę.

Na początku listopada, dobrze z wieczora (noc zapadała tu szybko, a w zimie bywało, że dzień trwał ledwie cztery godziny), miałem niespodziewanego gościa. Stachnik wyszedł na zebranie starszyny i jeszcze nie wrócił, ja zaś, skostniały z zimna i z pustym żołądkiem, układałem się do snu, kiedy ktoś zapukał do drzwi naszej ziemianki. Albino. Dawno go nie widziałem, a po raz pierwszy tak wzburzonego.

- Potrzebuję pomocy - powiedział bez ogródek. - Dziś udało się uczynić wyłom w murze ławry i zdruzgotać jedną z baszt. Zaraz przystawiliśmy do niej drabiny, ale gdyśmy zeszli na niższe piętro, załamały się nadwątłone schody i kilku naszych spadło na dół wprost w łapy Moskali. A pośród nich Wilhelm Kettler. Wiem, gdzie go trzymają. Znam z grubsza ichnią mowę, zdobyłem dwa ubiory i zrzuciłem linę z baszty. Tuszę, że w ciemnościach nie odkryją jej do rana. Sam wszak nie poradzę. Nie z tym - skrzywiony chwycił się za bok.. - Nic poważnego, lecz ktoś musi mi pomóc.

- Dlaczego ja?

Uśmiechnął się na swój sposób. Ledwo ledwo.

- Bo to robota dla desperata i nikt drugi ze mną nie pójdzie. A waść patrzysz mi na takiego, co stracił chęć do życia. Ponoć podczas szturmów zachowywałeś się tak, jakby ci życie zbrzydło. Tedy nie masz nic do stracenia.

Miał rację. Było mi wszystko jedno. Wojna już mnie nie przerażała. Z wolna przestawałem wierzyć, że Janka żyje i gdzieś tam na mnie jeszcze czeka. Śniła mi się nocami, to wyciągająca do mnie błagalnie ręce, to martwa, przebita sztyletem. Bo nie wierzyłem, by żyła w pohańbieniu. Prędzej sama zadała sobie śmierć. Ergo ja też chciałem umrzeć. Dlatego, jeśli

tylko nie wzywały mnie inne obowiązki, nie opuściłem żadnego szturm, żadnej potyczki. Ale jak dotąd nie zostałem drażniony. Poza tym byłem mu winien
361

przysługę za wskazanie Ościka. Zawsze wiedziałem, że kiedyś się

0 to upomni.

- Wilhelm to waści krewny? - spytałem, wdziękając kożuch

1 zabierając pistolety.

- Podopieczny. I krewny, choć o tym nie wie.

- Jak to daleko?

- Pięć albo sześć mil węgierskich. Przybycie tu zajęło mi cztery godziny, ale m zajeździł konia.

Szarpnąłem za ramię śpiącego smacznie sługę.

- Tomek! Nasze wierzchowce. Osiodłane. Wszystkie cztery. Duchem! Gdyby pan Żółkiewski pytał, wróć nad ranem albo wcale.

Mknęliśmy jak wiatr, w biegu zmieniając bieguny. Było zimno, z pysków buchały im kłęby pary, mróz przenikał nas do szpiku kości, ale droga była twarda, a choć niebo zasnuwały chmury, śnieg odbijał nieco światła. Byliśmy na miejscu po trzech godzinach, a moje wierzchowce wcale nie wyglądały na bardzo umęczone. Straże obozowe, mimo iż nas rozpoznały, nie przepuściły bez podania hasła. Za to Farensbek, który nie spał mimo późnej pory, a do północy brakowało niewiele, nie chciał się zgodzić na samobójczą wycieczkę.

Ustał jednak, zmartwiony utratą synowca księcia Kurlandii. Przebraliśmy się za Moskali i podkradli pod mur. Na szczęście lina wciąż zwisała z wieży. Kettlerowi otworzyła się rana podczas jazdy, ale z moją pomocą zdołał jakoś wdrapać się na górę. Przerzuciliśmy sznur do wnętrza i usiłując przebić wzrokiem egipskie ciemności, zaczęliśmy ostrożnie spuszczać się na dół, Kettler pierwszy, ja za nim. Wtem jęknął, uraziwszy się o coś.

- Uwaga na zawałone schody - ostrzegł mnie szeptem.

Gdy do ziemi, na moje wyczucie, brakowało niewiele, zgrzytnęły otwierane drzwi, a do baszty razem z pasmem bladej poświaty wtargnął jakiś człowiek. Zamarliśmy. Moskał też stał dobrą chwilę nieruchomo, kiwając się w przód i w tył, jakby nie wiedział albo zapomniał, po co tu przyszedł. Zobaczyłem, że albinos sięga do boku i bezszelestnie wyjmując z pochwy sztylet. Trąciłem go czubkiem buta w kark i pokręciłem przecząco głową. Nawet gdyby w tej ekwilibrystycznej pozycji zdołał rzucić i dobrze trafić, wróg mógł narobić rabanu. Wisieliśmy więc, ściskając mocno okręcający się z wolna sznur, wstrzymując oddechy i modląc się, by tamten nie zerknął w górę. Wreszcie Moskał podjął decyzję i zrobił cztery

362

chwijne kroki. Teraz stał dokładnie pod nami, dzieliło nas może z pół sążnia, a koniec liny muskał mu czapę. Podkasał długi kaftan, poły założywszy za pas, po czym zaczął gmerać przy przyporku. Za chwilę usłyszeliśmy plusk moczu spadającego na kamienną posadzkę i głośne westchnienie ulgi, a zaraz potem w nosy wwiercił nam się okropny smród ciepłych szczyn. Moskał wciąż stał i jakby się wahał, po czym znów jął manipulować przy spodniach. Najwyższy czas, pomyślałem, po drzeniu liny poznawszy, że Kettler trzyma się ostatkiem sił. Ale Moskwicin jeszcze nie skończył. Wymamrotawszy:

- Nu, zopa, dawaj! - kucnął i wypróżnił się z drugiej strony, stękając i wzdychając.

W górę wzbil się fetor tak straszny, że kula nie spisałaby się lepiej. Przewidziawszy to i przypomniawszy sobie stare dzieje w roli linoskoka, obróciłem się na linie, zawisając głową w dół i łapiąc Kettlera pod ramię w momencie, gdy już rozluźniał palce dźwierzące sznur.

Dotrwałem tak, zacisnąwszy zęby, do szczęsnej chwili, gdy Moskał wreszcie wyniósł się w

diabły. Wtedy puściłem albinosa, a on gruchnął jak kamień prosto w pamiętki po naszym gościu. Pośliznął się, stracił równowagę i rąbnął o mur, klnąc z cicha:

- Donnerwetter, zum Teuffei, Scheiße!

Pomny jego doświadczeń, wylądowałem szczęśliwiej i podczas gdy on próbował oczyścić ubabrane buty, ostrożnie wyjrzałem przez wciąż uchylone drzwi. W pobliżu nie było nikogo. Skinąłem na Kettlera, który odsunął mnie na bok, pierwszy wykradł się na zewnątrz i pewnym krokiem poprowadził naprzód.

Moskale świętowali odparcie szturm. Albo spali pijani w sztok, albo gdzieś tam jeszcze ucztowali. Nieliczne straże snuły się niedbale, też niezbyt trzeźwe. Więźniów trzymano w lochu pod zruderowaną basztą, zapewne licząc na to, że nasi nie odważą się jej ostrzeliwać lub szturmować po raz wtóry, aby nie narażać życia jeńców. Strażnik i klucznik zarazem nie zaniepokoił się zbytnio naszym widokiem. Nie goliłem się od dwóch miesięcy i wyglądałem jak prawy Moskal.

- Cziewo chcecie? - zagadnął, chowając za plecy na wpół opróżnioną butelkę z gorzałką, jakby w obawie, że mu ją zarekwirujemy.

1 Dupo, do dzieła! (ros.).

363

- Nicziewo, Wania - odparł Kettler.

- Ja nie Wania - zaprotestował stróż. - Ja Pietia.

- Pies ci mordę lizał, obojętnie ktoś zacz - mruknął bielak i zdzielił stróża kolbą pistoletu.

Moskal padł jak długi, wypuszczając z dłoni flaszkę. Albinos odpiął mu od pasa pęk kluczy i zaczął gmerać przy zamku. Wtem jeden z leżących opodał Moskali rozbudził się i, raczej zaciekawiony niż zaniepokojony, zaczął iść ku nam. Traciłem Kettlera. Złapał za sztylet, lecz pokręciłem nieznacznie głową, wsuwając mu w dłoń pierścień Ościka, który wciąż nosiłem w kieszeni. Najmniejszy hałas mógł nas zgubić.

- Kto wy? - spytał Moskwin, gapiąc się na nas podejrzliwie. - Ja was nie znaju...

Już otwierał usta do krzyku, lecz Kettler błysnął mu przed oczyma sygnetem z dwugłowym orłem i warknął rozkazująco:

- Malczy i smatril

Kiedy Moskal z nabożną czcią oglądał pierścień, wałnąłem go z tyłu w czerep i położyłem ogłuszonego obok stróża. Bielak otworzył solidne drzwi i po chwili ukazał się z młodym księciem. Wilhelm Kettler, blady, ale cały i na oko nieuszkodzony, po roztarciu zdrętwiałych od więzów rąk uścisnął mi dłoń i rzekł cicho:

- Nie spodziewałem się tu waszmościa...

- Kiedy nie zabijam ludzi, ratuję ich. Dla równowagi.

Zwrócił się do albinosa:

- W sąsiednim lochu trzymają Kacpra i Reinholda Tyzenhauzów...

- Za pieczę nad nimi nie płacą mi - uciał zimno najemnik. - Wracamy.

Musiałem się z nim zgodzić, bo przed miejscem wskazanym przez Wilhelma paliło się ognisko i siedziało kilku Moskali. Odbicie jeńców nie wchodziło w tej sytuacji w grę.

Tymczasem Kettler zamknął kazamatę, zaczepił z powrotem klucze u pasa strażnika, oblał go resztką okowity i włożył mu w rękę pustą flaszkę. Nikogo nie zainteresowały te manewry.

Odwrót też przebiegał gładko. Do czasu, aż książę dotarł do liny.

- Co tu tak cuchnie? - ścisnął nos.

- Dowody, że zreć dają sam lepiej niż u nas. Moskale mają przynajmniej czym srać - wyjaśnił mało uprzejmie jurgielnik, kiedy podsadzałem go do sznura.

364

Za nim poszedł książę, a ja na końcu, popychając Wilhelma, kiedy ustawał. Nagle jęknął, chyba uderzywszy w występ zawalonych schodów, i zaczął się zsuwać. Wtuliwszy głowę w

ramiona, żeby nie złamał mi karku, jedną ręką machnąłem rozpaczliwie, gdy się po mnie ześlizgiwał. Fortunnie udało mi się pochwycić go za długie włosy. Ból sprawił, że wróciła mu przytomność.

- Aaaa... - zajączał.

Dyndaliśmy dobrych kilka sążni nad pawimentem. Upadek z tej wysokości groził skręceniem karku, a mnie już omdlewało ramię.

- Pomóż... - wystękałem przez zaciśnięte zęby.

Mimo rany albinos dość zręcznie sobie poradził, pomagając mi wywindować księcia do poprzedniej pozycji. Wszyscy byliśmy ledwo żywi i trzymaliśmy się sznura wyłącznie siłą woli, na szczęście mieliśmy już niedaleko. Dotarłszy do wylomu, przełożyliśmy linę i zaczęliśmy zjeżdżać w odwrotnej kolejności. Pechowo, kiedy byliśmy już u podnóża murów, wzeszedł księżyc i zauważono nas z blank. Sypnęły się strzały, lecz wszystkie niecelne. Rozbudzony obóz powitał nasz szczęśliwy powrót głośną owacją, która jeszcze bardziej zirytowała wściekłych i bezradnych Moskali.

Kiedy o świcie wróciłem do ziemianki, budząc Tomka i powierzając mu troskę o wierzchowce, Stachnik otworzył jedno oko i mruknął rozespany:

- Gdzie cię diabli ponieśli?

- Długo by gadać, śpij.

Zamknął oko i po chwili zachrapał donośnie.

Dostarczono wreszcie nieco zapasów prochu i wznowiliśmy ostrzał twierdzy. Jeszcze raz spróbowaliśmy szturm, lecz skończyło się tylko na zdobyciu worów z solą, której nam brakowało jak wszystkiego innego. Ale nasza nieustępliwość nareszcie wydała owoce. Pod koniec listopada posłowie moskiewscy przybyli do Jamu Zapolskiego na rokowania pokojowe. Ruszył ku nim książę Janusz Zbaraski z legatem papieskim, niestrudzonym Possevinem. 1 grudnia król wyjechał spod Pskowa na Litwę przez Inflanty, a z nim większość wolentarzy i prawie wszyscy Litwini. Odszedł też Stadnicki, a z nim moja ostatnia nadzieja, że dowiem się czegoś pewnego o losie Janki. Chciałem odejść z królem, by potem puścić się tropem Diabła, lecz Zamojski mnie nie zwolnił. Potrzebował zaufanych ludzi w obliczu turbacji, których się spodziewał. Pod wodzą

365

hetmana została bowiem ledwie połowa wojska, w bardziej niż podłych nastrojach, mimo iż nareszcie piechota mogła się schronić w opuszczonych cieplejszych kwaterach.

Rozzuchwaleni odjazdem króla Moskale zaczęli urządzać wycieczki z Pskowa, napadając na picowników, zwłaszcza na trakcie do Ławry Peczerskiej.

- Masz skomę na małą rozgrzewkę? - spytał mnie pewnego dnia Żółkiewski. - Wczoraj wypadło świętego Mikołaja. Godzi się obdarować Moskali z tej okazji.

Jako i upozorowaliśmy na trakcie do Pieczary awarię wozu obładowanego żywnością, a gdy pskowianie wypadli z twierdzy, by zagarnąć łatwy łup, zaczajeni w ukryciu żołnierze Stachnika otoczyli ich, ubijając ze trzydziestu, a tuzin biorąc do niewoli. Od jeńców dowiedzieliśmy się, że Moskiewski okutym berłem, poso-chem, w gniewie roztrzaskał głowę swego starszego, rozumnego, ale i okrutnego jak on sam syna Iwana za to, że ów wygarnął mu w oczy: „Acz ty masz skarby niemałe a król polski ich nie ma, jednak cię przedsię wojuje”. I tak Iwanowi został już tylko młodszy syn, łagodny i głupkowaty Fiodor, którego najbardziej zajmowało słuchanie cerkiewnych dzwonów.

Jedno z drugim nieco poprawiło wszystkim humory, lecz nie na długo. Przed Bożym Narodzeniem przyszły tak straszliwe mrozy, że ktokolwiek wyściubił nos z ziemianki lub namiotu, przyplącał to jego utratą. My, medycy, bez przerwy urzynaliśmy odmrożone nosy, uszy, ręce i nogi. Lana woda zamarzała w powietrzu. Ludzie sarkali:

- Król nie powinien iść na sejm bez Zamojskiego, a Zamojski bez króla na wojnę.

Na początku stycznia pskowanie próbowali wykorzystać nasze odretwienie i ruszyli do szturm, który wszak został odparty z wielkimi dla nich stratami. To ich z kolei tak przybiło, że nie kwapili się nawet pozbierać swoich rannych i zabitych. Rycerski hetman posiał więc z białą chorągwią Stachnika Żółkiewskiego pod mury, by zapewnić Moskali, że nie będziemy im w tym przeszkadzać. Nagle zdradzieccy Moskale zasypali parlamentariuszy kulami. Cudem żadna nie trafiła, bo Stachnik, a za nim drudzy, natychmiast spiął wierzchowca i zawrócił galopem do obozu, zły jak osa.

Kiedy tak się wściekał na podstępnych Moskali, podsunąłem mu:

366

- Może nadeszła pora, by wykorzystać koncept imć Ostromęc-kiego? - niedawno sam mi opowiadał o tym zarzuconym, jako nie-rycerskim, pomysle.

Przyznał mi rację, po czym przekonał zgromadzonych w hetmańskim namiocie, byśmy odplacili Moskalom podstępem za podstęp, a Szujskiemu pięknym za nadobne. Prusak Jan Ostromęcki, jeden z przełożonych nad armatą i puszkarz zawołany, ustawił w żelaznej szkatule rzędami dwanaście rur umyślnie cienko opiłowanych, ażeby tym łacniej pękły, rury i szkatułę napelniwszy najlepszym prochem. W środku umieścił zamek od rusznicy z odwiedzionym kurkiem, po czym szkatułę włożył w skrzynkę drewnianą i kurek przywiązał za pomocą dwu strun do dna skrzyni oraz do wieka owej żelaznej szkatuły. Następnie, udając niemieckiego najemnika Jana Moliera, rzekomo wprzód służącego Moskalom, przekonał jednego moskiewskiego jeńca, że zamierza zabić Zamojskiego i zdezerterować do Pskowa, lecz chce tam wpierw posłać swoją skrzynkę z kosztownościami, acz zaklina na wszystko, by jej nie otwierano przed jego przybyciem, po czym umożliwił Moskalowi ucieczkę do swoich. Kiedy straszliwy wybuch rozdarł powietrze, a dach jednego z domów w twierdzy pofrunął w górę, pojęliśmy że podstęp się udał. Aliści wnet okazało się, iż kniaź Iwan Szujski ocalał, bowiem jego szampierz do władzy, chciwy Andriej Chworostynin, nie czekając na Wodza i pomagając sobie nogą, szarpnął umieszczoną w skrzynce szkatułę. Zginął na miejscu i on, i drugi ze starszyny, a wielu było poranionych. Szujski przesłał potem Zamojskiemu obelżywy list, bowiem nasi podchodzili pod mury i szydzieli z naiwności i pazerności Moskali, co ich wielce złościło. Wobec tego hetman podjechał pod mury z giermkim, wyzywając Szujskiego na pojedynek. Ale wzorem swego pana komendant twierdzy nie podjął wyzwania. Zamiast tego wznowił ostrzał obozu, lecz na krótko. Potem już tylko my i oni czekaliśmy niecierpliwie na rezultat rozmów pokojowych w Jamie Zapolskim. Stachnika prawie nie widywałem, bo wciąż krążył z listami między Zamojskim a naszymi posłami i Possevinem, który zamieszkał z moskiewskim poselstwem dwie mile za Jamem, w jedynej całej kurnej chacie, dlatego Stachnik nazywał go Węglarzem, bo taki był czarny od dymu i sadzy.

367

Nareszcie doczekaliśmy się. W połowie stycznia Anno Domini 1582 Żółkiewski przywiózł pod Psków wieść o zawarciu rozejmu. Nastąpiła wielka radość i w obozie, i w twierdzy. Pskowanie świętowali udaną obronę, my zwycięską wojnę, w wyniku której całe Inflanty i spory kęs ziem odebranych wcześniej Litwie wracały do Rzeczypospolitej. I myśmy wracali. Wpierw do Inflant, gdzie rozpuszczono większość wojska, a w marcu razem z Zamojskim do Rygi, gdzie czekał król. Nie w humorze, bo żonaty z siostrą królowej Hanny, Katarzyną, król szwedzki Jan III Waza, występując jako sojusznik Batorego w wojnie z Moskwą, cichaczem zagarnął Estonię dla siebie.

- Ja zarzucam sieci, a mój szwagier ryby wybiera - irytował się Batory, dodając: - Poskromię ja kiedyś tych królików szwedzkich i przepiszę im spokojnego zachowania się warunki!

Latem pociągnęliśmy do Warszawy na sejm. Całe dni i noce trawiłem na rozmyślaniu, co zrobić z resztą życia, więc wstawałem koło południa, by potem snuć się z kąta w kąt. Nawet

czytanie nie sprawiało mi ani ulgi, ani przyjemności. Któregoś ranka Stachnik obudził mnie mocnym szarpaniem za ramię:

- Wstawaj, śpiochu. Przespałeś dziesięć dni!

Oto papież Grzegorz XIII, uznawszy, że kalendarz, zaprowadzony jeszcze przez Juliusza Cezara, trzeba poprawić, bowiem różnica między rokiem słonecznym a starym kalendarzem wynosiła już 10 dni, zarządził że po 4 października 1582 roku nastąpi od razu 15 października. Utrzymano lata przestępne, z tym że co czterysta lat trzeba opuścić trzy takie roki. Ten nowy kalendarz był ponoć tak dokładny, że dopiero za 3333 lata błąd miał wynieść jeden dzień. Przyjęło go całe chrześcijaństwo z wyjątkiem Kościoła greckiego, a zatem i Moskwy. Zresztą Moskale i tak liczyli czas podobnie i równie osobliwie jak Żydzi - od początku świata. Latoś był u nich, jeśli się nie myliłem, rok 7090.

Podczas gdy król i kanclerz marnowali czas na sejmie, wysłuchując długich, jałowych i napastliwych tyrad pod swoim adresem, ja napisałem do domu i wystarałem się o audiencję u królowej. Niestety, nadal nie miała żadnych wieści o Jance. To, czego ja się dowiedziałem, bardzo ją zasmuciło. Nie powiedziała mi tego wprost, lecz z jej oczu wyczytałem, iż uważała Jankę za umarłą. Chciałem prosić o permisję, by na nowo wszcząć poszukiwania, ale kanclerz,

368

który miał nawrót choroby, wpieryw zatrzymał mnie przy sobie, a potem zabrał ze sobą do Krakowa, zaś Stachnik obiecał mi, że ruszymy stamtąd na Ruś tak szybko, jak tylko się da. W samej rzeczy ruszyliśmy tak rychło, że ledwie miałem czas odwiedzić najbliższych, stęsknionych tak długim niewidzeniem, bowiem w Krakowie czekał już na króla czausz krymski z wypowiedzeniem przymierza z powodu napaści Niżowców pod wodzą Samuela Zborowskiego na tatarskie poselstwo zdążające z Moskwy. Mimo iż pieniędzy na nowy zaciąg nie było, król nie przestraszył się wojny. Zaś domaganie się haraczu skwitował walnięciem pięścią w stół i okrzykiem:

- Nolo ego huius bestiae tñbutańus essell - i postanowił uprzedzić przeciwnika, wysyłając na Podole Zamojskiego.

Spieszyliśmy się, by zdążyć przed powrotem poselstwa do chana. Hetmanowi udało się zagrzać słowem i obietnicą zapłacenia zaległego żołdu swoich weteranów, których wsparła szlachta ruska pod wojewodą kijowskim, księciem Konstantym Ostrogskim. Wojsko zebrało się pod Lwowem. Któregoś dnia do kwatery Zamojskiego, w której akurat bawiliśmy z Żółkiewskim, wszedł imć Kazimierski, starszy nad służbą kanclerską, z wiadomością, że odszukał go Samuel Zborowski, który właśnie przybył do miasta i grzecznie o pozostanie w nim na jedną noc prosi, a także o przyłączenie się potem do ekspedycji.

- Odpowiedz mu waść - rzeki Zamojski - że jedną noc ścierpię go w swej bliskości, jeno zaraz z rana ma precz jechać. A co do iścia przeciw Tatary, to rzeknij mu, żem powiedział tak: przyjdzie li do potrzeby, będę wiedział, jak go użyć i jako go obrócić, zachowując się more maiorum^{2.1} przypomnij mu, aby pokąd jest in bannitione³, w Krakowie i jurysdykcji mojej nie bywał.

Bliskość osobistego wroga wzburzyła mnie, więc chyłkiem wymknąłem się za Kazimierskim i śledziłem go, gdy udawał się z responsem. Zborowski mieszkał w karczmie na końcu miasta. Gospody strzegły dwa tuziny semenów na zewnątrz i pewnie drugie tyle w środku. Mimo to długo stałem ukryty po drugiej stronie ulicy, dumając, jak się do niego dostać. Tak zastał mnie Żółkiewski, który przewidział mój zamiar i poszedł moim tropem.

1 Nie chcę ja tego rodzaju bestii karmić trybutem! (lac.).

2 Zwyczajem przodków (lac.).

3 Wywołanym (lac.).

369

- On nigdy nie rusza się bez silnego pocztu, pamiętaj o tym -powiedział, ściskając mi mocno ramię. - A poza tym wybrałeś złą porę na załatwianie prywatnych porachunków i jątrzenie szlachty, pośród której Samuel ma wielu stronników. Musisz uzbroić się w cierpliwość.

Wkrótce potem ruszyliśmy na wschód, na wszystkie strony rozsyłając podjazdy, mimo iż Żółkiewski mruczał pod nosem:

- Tatarzy gromić tak to niemal podobna, jako kiedy by kto chciał ptaki na powietrzu latające pobić.

Tymczasem Orda Perekopska do spółki z Nogajską stanęły nad Dnieprem, czekając, aż rzeka zamarznie, bo tylko w ten sposób można ją było sforsować, gdyż o każdej innej porze z wyjątkiem suszy była nie do przebycia, szeroka niczym morze i bystra jak górski potok. Czekali wszak na próżno, bo zima nie chciała nadejść, a gdy ujrzeni na drugim brzegu nasze przednie straże, wszystkie czambuły zawróciły. Również dlatego, że dwaj bracia chana, Salom--Girej i Plet-Girej, zbiegli ze Sztambułu i na Krymie zanosili się na wojnę domową, ponieważ podejrzewając chana Mehmeta o knucie z Polską, i z powodu odmówienia przezeń pomocy w wojnie z Persją, sułtan zamierzał zastąpić go Aslanem. Jednocześnie padyszach przez czausza odwołał swoje groźby wobec Rzeczypospolitej i zapewnił, że pragnie spór załatwić po przyjacielsku.

Żałowałem bardzo, że nie udało nam się wziąć języka, ale inni ucieszyli się z takiego zakończenia sprawy. Zamojski na wieść o odwróceniu Tatarów załagodził animozje między szlachtą a wojskiem, któremu wypłacił część należności, i zawrócili. Wszyscy oprócz mnie.

- Dobrze - odparł hetman, kiedy wyjawilem mu, że nie zamierzam wracać. - Szukaj jej, nie będę ci wzbraniał. Póki życia, póty nadziei. A jeśli przy okazji dowiesz się czegoś o Samuelu, daj znać. Potrzebujesz pieniędzy?

- Wystarczy mi to, co mam.

Pożegnaliśmy się, jakbyśmy mieli się już nigdy nie zobaczyć, bowiem ja ruszałem w przeciwnym kierunku, odesławszy Tomka z Żółkiewskim. Nowe Lato Anno Domini 1583 spędziłem w Barze. W lutym dostałem z Winnik od Stachnika wiadomość, że Zamojski wezwał go do Zamościa, skąd przed wiosną mieli podążyć do Krakowa, bowiem kanclerz znów zamierzał się żenić. Żółkiewski

370

nie mógł mi wyjawić imienia wybranki, bo sam go jeszcze nie znał. Pytał, czy mam jakieś nowe wieści o Jance, lecz nie miałem. Prosiłem tylko, by ode mnie uściskał w Krakowie moich bliskich. Nie pisałem do nich, bo nie było o czym. Ledwo ustąpił mróz i stopniał śnieg, a step zazielenił się świeżą trawą, gruchnęła wieść, że Orda Krymska przekroczyła granicę i pustoszy Podole, wiele domów szlacheckich grabiąc i niszcząc.

Przebywałem wówczas w Czerkasach nad Dnieprem. Wieść o in-kursji ożywiła mnie, bowiem całkiem upadłem na duchu i straciłem wszelką nadzieję. Pragnąłem umrzeć. Ale wprzód musiałem się zemścić. Tylko dlatego odjąłem pistolet od skroni.

rozdział 8 | LISTY

Dzikie Pola, czerwiec 1583 roku

Przeprawiła się przez Inguł i odetchnęła z ulgą, choć wiedziała, że dopiero po przekroczeniu Sinuchy znajdzie się w jako tako zamieszkaną okolicę. Na razie wciąż była na zapomnianych przez Boga Dzikich Polach, stepie rozciągającym się jak okiem sięgnąć, pełnym dzikiego zwierza i rzadko widywanych, jeszcze dzikszych ludzi. A jednak była już o krok od ojczystego kraju, mimo iż od stron rodzinnych dzieliły ją setki mil. Do oczu napłynęły jej łzy. Ile to czasu minęło? Dwa i pół roku! Dobry Boże! Czy ktoś jeszcze na nią czeka? Czy nie zapomnieli o niej ze szczętem? Dlaczego nikt nie odpowiedział na żaden z listów, które wysłała? Otarła łzy kułakiem, wzięła się w garść, rozkulbaczyła konie, zaprowadziła je do wody i dopiero potem napiła się sama. Pozbierała suchych gałęzi i rozpałała małe ognisko,

pilnując, by nie dymiło. Posiliła się suszonym mięsem wyjętym z juków, bo obawiała się zapolować, aby ktoś przypadkiem nie usłyszał strzału. Na szczęście miała dużo zapasów żywności, napełniała więc tylko od czasu do czasu bukłaki świeżą wodą.

O świcie ruszyła w drogę. Musiała być czujna, gdyż pomiędzy Ingułem a Sinuchą przebiegał Czarny Szlak, którym czambuły zwykli wracać z łupieżczych wypraw na Podole i Wołyń, łącząc się właśnie w pobliżu tego miejsca z drugim, Kuczmańskim. Mimo ostrożności nie ustrzegła się jednak spotkania. Wystawione czujki wypatrzyły ją wcześniej niż ona je. Nie bała się. Poznała ich język na tyle dobrze, że mogli ją wziąć za swego. Rysów nie mogła zmienić, lecz nie wszyscy Tatarzy mieli wygląd Azjatów. Stojem też się nie wyróżniała, ani cerą. Już za młodu nauczyła się poczerńać twarz i dłonie nacierając je gęsim smalcem albo śniecią jęczmienną ubitą z żółcią wolową z domieszką oleju i od miesięcy stosowała te sprawdzone sztuczki z dobrym skutkiem, bo tak było bezpieczniej.

372

Piersi ściągnęła bandażem i maskowała obszernym kaftanem, obcięła włosy i mogła uchodzić za ładnego chłopca. A poza tym, na wszelki wypadek, miała przy sobie gwarantujący bezpieczeństwo ferman sułtański.

Ergo nie lękała się o siebie. Bała się tego, co ujrzy. I nie omyliła się pod żadnym względem. Ordyńcy przyjęli ją jak swego, mimo iż byli z Ordy Białogrodzkiej, ale dowodzący carzyk widział ją raz w pałacu chana w Bakczysaraju, więc nawet nie ośmielił się wypytywać, co robi samotnie tak daleko i dlaczego podąża na zachód. Może nawet wziął ją za nawiedzonego ghazi, samotnego mściciela w samobójczej prywatnej świętej wojnie przeciw niewiernym, zwłaszcza że była uzbrojona po zęby. Za to widok gromady jęczących, płaczących i modlących się brańców uderzył ją jak obuchem. Zdawało jej się, że powinna już przywyknąć do takich widoków, lecz pomyliła się.

Czambuł dopiero pierwszy raz od kilku dni rozbił obóz, i to na jedną tylko noc, dotąd prac naprzód dniami i nocami, bowiem zapędził się aż pod Tarnopol i odtąd stale kluczył, wymykając się pogoni. Bachmaty były zmordowane i ludzie też. Wielu jeńców pokładło się wprost na ziemi i wyglądało na martwych. Wiedziała, że jeszcze przed nocą najślabsi będą naprawdę martwi, bezlitośnie zarzeźani, a kobiety i dziewczki zgwałcone, może z wyjątkiem najmłodszych i najpiękniejszych, które opłaci się sprzedać na targu nienaruszone.

Wydawało jej się, że jedną nawet rozpoznała. Widywała ją w kościele w Przemyślu lub Przeworsku. To było najgorsze i też już przez to przechodziła - znajdowała pośród jasyru znajomych i nie mogła im pomóc. Jak teraz. Podeszła jednak do dziewczyny, jeszcze prawie dziecka, wcisnęła jej coś do ręki i szepnęła kilka słów otuchy. Lecz zanim nieszczęsna zdążyła odpowiedzieć, szarpnięto ją i powleczono do namiotu dowódcy.

To było ponad jej siły. Odjechała w nadciągający mrok, spiesząc się, by nie spostrzeżono łez ciurkiem płynących z oczu. Nikt jej nie zatrzymywał. Nuciała cicho przez łzy:

Serce się kraje patrząc na płacz srogi, Bo wszędy pustki, popiół i pożogi, Tak ciała leżą, strumieniem krew płynie w pustej krainie.

373

Piersi ściągnęła bandażem i maskowała obszernym kaftanem, obcięła włosy i mogła uchodzić za ładnego chłopca. A poza tym, na wszelki wypadek, miała przy sobie gwarantujący bezpieczeństwo ferman sułtański.

Ergo nie lękała się o siebie. Bała się tego, co ujrzy. I nie omyliła się pod żadnym względem. Ordyńcy przyjęli ją jak swego, mimo iż byli z Ordy Białogrodzkiej, ale dowodzący carzyk widział ją raz w pałacu chana w Bakczysaraju, więc nawet nie ośmielił się wypytywać, co robi samotnie tak daleko i dlaczego podąża na zachód. Może nawet wziął ją za nawiedzonego ghazi, samotnego mściciela w samobójczej prywatnej świętej wojnie przeciw niewiernym, zwłaszcza że była uzbrojona po zęby. Za to widok gromady jęczących, płaczących i

modlących się brańców uderzył ją jak obuchem. Zdawało jej się, że powinna już przywyknąć do takich widoków, lecz pomyliła się.

Czambuł dopiero pierwszy raz od kilku dni rozbił obóz, i to na jedną tylko noc, dotąd prac naprzód dniami i nocami, bowiem zapędził się aż pod Tarnopol i odtąd stale kluczył, wymykając się pogoni. Bachmaty były zmordowane i ludzie też. Wielu jeńców pokładło się wprost na ziemi i wyglądało na martwych. Wiedziała, że jeszcze przed nocą najślabsi będą naprawdę martwi, bezlitośnie zarzeźani, a kobiety i dziewczki zgwałcone, może z wyjątkiem najmłodszych i najpiękniejszych, które oplaci się sprzedać na targu nienaruszone.

Wydawało jej się, że jedną nawet rozpoznała. Widywała ją w kościele w Przemyślu lub Przeworsku. To było najgorsze i też już przez to przechodziła - znajdowała pośród jasyru znajomych i nie mogła im pomóc. Jak teraz. Podeszła jednak do dziewczyny, jeszcze prawie dziecka, wcisnęła jej coś do ręki i szepnęła kilka słów otuchy. Lecz zanim nieszczęsna zdążyła odpowiedzieć, szarpnięto ją i powleczono do namiotu dowódcy.

To było ponad jej siły. Odjechała w nadciągający mrok, spiesząc się, by nie spostrzeżono łez ciurkiem płynących z oczu. Nikt jej nie zatrzymywał. Nuciała cicho przez łyż:

Serce się kraje patrząc na płacz srogi,
Bo wszędy pustki, popiół i pożogi,
Tak ciała leżą,
strumieniem krew płynie w pustej krainie.

373

Córeczkom miłym przy rodzicach smutnych,
Ledwie stanęły w ich oczach okrutnych,
Nie przepuścili ani ich wstydowni,
Ani stanowi.

Drugie w dalekie zaprzędane kraje,
Oplakiwując pogańskie zwyczaje,
Psom bisurmańskim
ścielą brzydkie łoże, Pożal się Boże! I

Jezu miłosierny, ależ się bała. Strach nie opuszczał jej od chwili, kiedy przed Tarnopolem ogarnęła ich orda, mordując starą nianię i eskortę, ani w ciągu następnych koszmarnych dni. Ale teraz, kiedy ciśnięto ją w kąt namiotu, a tatarski naczelnik, Temir Tuhan-bej, siedząc po turecku i opierając się o maszt, wgapiał w nią nieruchome spojrzenie, aż zadygotała z przerażenia. Kurczowo ścisnęła w garści dar otrzymany od młodego Tatara, jedyne, który okazał jej serce. Przypomniała sobie jego słowa wypowiedziane po polsku: „Weź to. Ponoć przynosi szczęście. Mnie on już na nic”. Ale jego już tu nie było. Widziała, jak opuszczał obóz, jakby zaglądnął tu tylko przejazdem i nie zamierzał wracać. A może tylko jej się przywidział, bo tak bardzo potrzebowała pociechy. Boże, Boże, wybaw mnie od hańby, a jeśli nie można inaczej, ześlij rychłą śmierć...

Wtem przed namiotem, gdzie stały strażę, uczyniło się zamieszanie, ktoś wpełznął na czworakach do wnętrza i coś powiedział, a naczelnik, nie odwracając głowy, szcęknął krótko. Po chwili strażnicy wprowadzili kogoś, trzymając go pod ramiona. Jeden z nich podał wodzowi pierścień, który ten obejrzał dokładnie w świetle kaganka i znów coś burknął. Strażnicy puścili pojmanego i wycofali się w pół zgieci.

W milczeniu ćmiać lulkę i wypuszczając dym nozdrzami, Tatar rzucił pierścień, który przybysz zręcznie złapał i nasadził na palec. Z rozmowy, prowadzonej mieszaniną polskiego, ruskiego i tatarskiego, zrozumiała połowę, reszty się domyśliła. Tamten pytał o jakąś niewiastę, zaś Hihan-bej zaprzeczył, by ją kiedykolwiek widział

1 Żalosa pieśń o Tatarach, [za: J. W. Łoziński, Oko proroka, Łódź 1986, s. 67.

374

Drugie w dalekie zaprzędane kraje,
Oplakiwując pogańskie zwyczaje,
Psom bisurmańskim
ścielą brzydkie łoże, Pożal się Boże! I

Jezu miłosierny, ależ się bała. Strach nie opuszczał jej od chwili, kiedy przed Tarnopolem ogarnęła ich orda, mordując starą nianię i eskortę, ani w ciągu następnych koszmarnych dni. Ale teraz, kiedy ciśnięto ją w kąt namiotu, a tatarski naczelnik, Temir-Tuhan-bej, siedząc po turecku i opierając się o maszt, wgapiał w nią nieruchome spojrzenie, aż zadygotała z przerażenia. Kurczowo ścisnęła w garści dar otrzymany od młodego Tatara, jedyne, który

okazał jej serce. Przypomniała sobie jego słowa wypowiedziane po polsku: „Weź to. Ponoć przynosi szczęście. Mnie on już na nic”. Ale jego już tu nie było. Widziała, jak opuszczał obóz, jakby zaglądnął tu tylko przejazdem i nie zamierzał wracać. A może tylko jej się przywidział, bo tak bardzo potrzebowała pociechy. Boże, Boże, wybaw mnie od hańby, a jeśli nie można inaczej, ześlij rychłą śmierć...

Wtem przed namiotem, gdzie stały straże, uczyniło się zamieszanie, ktoś wpełzł na czworakach do wnętrza i coś powiedział, a naczelnik, nie odwracając głowy, szczerknął krótko. Po chwili strażnicy wprowadzili kogoś, trzymając go pod ramiona. Jeden z nich podał wodzowi pierścień, który ten obejrzał dokładnie w świetle kaganka i znów coś burknął. Strażnicy puścili pojmanego i wycofali się w pół zgieci.

W milczeniu ćmiąc lulkę i wypuszczając dym nozdrzami, Tatar rzucił pierścień, który przybysz zręcznie złapał i nasadził na palec. Z rozmowy, prowadzonej mieszanią polskiego, ruskiego i tatarskiego, zrozumiała połowę, reszty się domyśliła. Tamten pytał o jakąś niewiastę, zaś Hihan-bej zaprzeczył, by ją kiedykolwiek widział

Żałosna pieśń o Tatarach, [za:] W. Łoziński, Oko proroka, Łódź 1986, s. 67.

374

lub miał w swoich rękach. Potem serce jej stanęło. Gość spojrzał na nią i zaproponował, że ją wykupi, lecz Tatar zaśmiał się tylko i kazał mu iść precz, póki cały.

Przybysz odszedł, do niej wróciła rozpacz tym większa, że przez chwilę cieszyła się myślą o wolności, zaś Temir znów pykał, nie spuszczając z niej gorejących czarnych oczu. Słyszała kiedyś opowiadanie o zmijach, które nieruchomym wzrokiem paraliżują swoje ofiary. Też się tak czuła. Nagle na zewnątrz rozpętało się piekło. Zewsząd słychać było wybuchy, krzyki, bieganie, kwiki końskie, tętent i wystrzały.

- Szejtan! Szejtan! - rozlegały się trwożne wrzaski.

Strażnicy bez pytania wpadli do namiotu, wyrzucając z siebie słowa. Hihan-bej, nie racząc ruszyć się z miejsca, huknął na nich ostro, więc kopnęli się z powrotem jak oparzeni, on zaś znów popatrzył na nią i już wiedziała, że to nie wojsko napadło na obóz i tym razem nic jej uratuje. Westchnęła i zemdląła w chwili, gdy Tatar pochylił się nad nią.

Ocknęła się szarpana mocno za ramię. Poczwała, że ma przecięte więzy. Otworzyła usta, ale silna ręka zamknęła je.

- Ani słowa.

Oczy wyszły jej na wierzch i z pewnością wrzasnęłyby z przerażenia, gdyby mogła. Bo oto miała przed sobą diabła! Dokładnie takiego, jak na wszystkich rycinach opisujących piekło i jego mieszkańców! Dopiero kiedy ściągnął z głowy diabelskie atrybuty, widząc jej trwożę, poznała tę zarośniętą twarz i siwe włosy. To był człowiek, który niedawno próbował pertraktować o nią z Temirem. Wrócił.

- Masz, przebierz się. Szybko.

Weisnął jej do ręki śmierzdzący tłuszczem i potem barani kozuch i także czapkę.

Instynktownie poczuła, że może mu zaufać. Miał takie smutne oczy. Ale uczciwe. Zresztą, było inne wyjście? Rozbudzona nadzieja dodawała jej sił i pozwoliła przemóc obrzydzenie. Uwinęła się błyskawicznie. Na dworze wciąż słychać było hałasy, ale jakby cichnące. Wtem jej wzrok padł na Tatara, który siedział oparty o słup namiotowy z dziwnym uśmiechem na ustach i szeroko otwartymi oczyma. Omal nie krzyknęła.

- A on?

- Bez obawy. Tym razem okazał się bardziej skłonny do negocjacji niż poprzednio.

375

m

- Jak waść go przekonałeś?

- Poderżnąłem mu gardło. Zassała głośno powietrze.
- A... A strażnicy?
- Też baraszkuje z hurysami na łonie Ibrahima. Daj mi rękę, aścka, nic nie mów i rób co każe, to może nam się uda.

Zdmuchnął kaganek, rozciął płótno z tyłu namiotu i pociągnął ją w ciemność.

Kraków, czerwiec 1583 roku

- O Jezusie, istne cuda-niewidy!
- Niesłychane to rzeczy!
- Laboga, patrzajcie ino!
- Nie pchajta się, ludziska!

Cały Kraków od tygodnia żył wielkim wydarzeniem: czterdzie-stojednoletni kanclerz i hetman wielki koronny Jan Zamojski żenił się po raz trzeci, i to z kim! Wybranką była czternastoletnia Gry-zelda Batorówna „o różanych ustach”, synowica króla, córka zmarłego niedawno wojewody siedmiogrodzkiego, Krzysztofa. Od wielu dni przybywali do miasta cudzoziemscy posłowie oraz dostojnicy koronni i litewscy z pysznymi orszakami. 12 czerwca w katedrze ślub młodej parze dawał biskup kamieniecki Marcin Białobrzeski w asyście biskupa krakowskiego Piotra Myszkowskiego, po czym przy dwudziestu stołach odbyła się uczta w sali, którą hetman specjalnie kazał urządzić w Rabsztynie¹, wawelskim dworze przejętym od Tęczyńskich. Następnego dnia nowożeńcy odbierali wspaniałe dary od gości, od tych, co nie mogli przybyć, a także od miasta. Ucztowano i tańczono przez tydzień, po czym wesele przeniosło się z zamku na Rynek. Drogą Królewską przeciągnął stubarwny orszak, wprawiając w zachwyt patrzących.

Gapie oblegali Rynek i zapelnili wszystkie okna w kamienicach w pobliżu kościoła Panny Marii, aż się tu i ówdzie stropy zawaliły. Król z królową, która przybyła na ślub z Warszawy, 1 Dziś w tym domu znajduje się wejście na wystawę „Wawel Zaginiony”.

376

oglądali widowisko z kamienicy Jana Szpiglera, rajcy, który wziął ją po rodzinie Belzów, stąd też zwano ją Szpiglerową bądź Beł-zowską¹.

Wpierw odbyły się gonitwy na ostre z udziałem siedmiu par rycerzy. Nie obyło się bez wysadzeń z siodła i kontuzji, co widzowie za każdym razem przyjmowali z wielkim aplauzem.

Ale oto z kamienicy Pod Barany, należącej do pokojowca królewskiego Franciszka Wesseleny'ego (przejął ją razem z ręką wdowy po Kacprze Bekieszu, Anny, która otworzyła w niej słynną winiarnię z winem węgierskim) na pozłocistym wozie wyjechał pan miecznik koronny Mikołaj Wolski, uczerniony na gębie i przebrany za Etiopa, w otoczeniu ośmiu murzyńskich trębaczy, a za nimi kroczył dostojnie elefant z wieżą na grzbiecie, z której rozmaite race i kunszty puszkarskie wystrzeliwano.

Potem pan Mikołaj Zebrzydowski jako Saturnus z brodą siwą, wiodący przed sobą wiek złoty, przejechał na wozie ciągnionym przez godziny, dwanaścioro dzieci białe i tyleż czarno odzianych, a wszystkie z zegarkami na głowie. Czas, także z zegarkiem na głowie, poganiał ów wóz, za którym szły słońce i miesiąc na łańcuszkach uwiązane.

Za nim wyjechał pan Stanisław Miński jako Jowisz gromowładny na wozie obłokiem z niebieskiej bawełny nakrytym i ciągnionym przez trzy orły.

- Gore! - krzyknął nagle tłum wielkim głosem, gdy od ogni ciskanych przez Jowisza zajęła się bawełna.

Jowisz na szczęście w porę dał drapaka z wozu, a pożar dało się szybko ugasić, lecz śmiechu i uciechy było co niemiara. Potem był przemarsz wojsk niedawno oblegających Psków. Ze Szpiglerowej kamienicy wyszła brama triumphalis, za nią trębacze, jazda (w tym rwący oczy husarze ze swoimi skrzydły i skóry lamparcimi na plecach) i piechota, a za nimi na trzech wozach podobizny i symbole zwycięstw odniesionych podczas trzech lat zmagania z Moskwą.

Na końcu szli jeńcy w moskiewskich ubiorach i niesiono łupy przebogate. Przy jeńcach podążały niewiasty z lampami, z których wydobywały się słodkie dymy i wonie, a za nimi muzykanci.

1 W 1834 r. kamienica ta została połączona z sąsiednią Betmanowską i dziś nosi to ostatnie miano (Rynek 44, na linii A-B) lub Pod Ściętą Głową (od godła: głowy św. Jana Chrzciciela).
377

Kiedy wojsko przeszło, pojawiła się Diana łowczyni w zielonym stroju, mając podle siebie czternaście nimf wiodących charty, ogary i dwa jelenie, wszystkie ochędożnie i kosztownie ubrane. Ujrzawszy w oknie parę królewską, Diana uniosła się w siodle i podkasawszy zwiewne szatki, ukłoniła królestwu, okazując przy tym foremny półnagi biust oraz zgrabne nogi.

- Śmiała dziewczka! - zauważył ktoś w tłumie. - I niczego sobie. A te cycuszki... Palce lizać!

- Bezwstydnica! - wrzasnęła jakaś babina i pogroziła Dianie pięścią.

- Głupiście! To mężczyzna!

- Sameś głupi! Z takim cudnym liczkiem?

- Przebóg, toć to pan Żółkiewski! - pierwszy ryknął śmiechem Batory, a za nim senatorowie, królowa i damy dworu oraz pozostali.

Salwa śmiechów, która przetoczyła się przez Rynek, bynajmniej nie skonfundowała Żółkiewskiego, bo w istocie on to był, mimo wieku Chrystusowego zgrabny i wiotki jak kobieta, a po zgoleniu wąsów i bródki gładzyszy na licu od niejednej. Kłaniając się i machając zebrany niczym prawdziwy komediant, z wesołym uśmiechem zjechał z drogi, bo już za nim podążał orszak Kupida z kędzierzawą głową, odgrywanego przez Joachima Ocieskiego, starostę olsztyńskiego. Pochód maszkaronów zamykała Wenus w złotogłowie w osobie Jana Myszkowskiego, synowca biskupa, jadąc na dwóch wielorybach tryskających perfumowaną wodą i wiodąc przed sobą na łańcuchu Parysa. Niesiono za nią złote jabłko, które potem pan młody podarował pannie młodej.

Na koniec miotano między gawieź srebrne talary z królewską podobizną. Tłum radował się i skandował:

- Niech żyje miłościwie nam panujący król Stefan!

- Wiwat pan Zamojski!

Nie wszystkim jednak poszła w smak wspaniała uroczystość, a zwłaszcza kolejna niebywała łaska, która spotkała kanclerza za przyczyną króla. Kiedy więc gawieź wiwatowała, zawistnicy po-kątnie szeptali, że coś nad aequalitatem z innymi w ojczyźnie synami ta pompa trąciła.

- Imć Zamojski wyniesienia szuka ponad nas, brać szlachecką. Dziś królewski powinowaty, jutro kandydat do tronu, tfu na psa urok... A ów dzisiejszy tryumf miał mu zapewnić poklask tłumu -

378

burknął z zawiścią splukany jak zawsze Krzysztof Zborowski, który specjalnie przybył na wesele z Regensburga od cesarza, by starać się o pensję i stanowisko po zmarłym niedawno panu Sperwei-nie, królewskim pośle u cesarza Rudolfa II, lecz król odmówił mu wzdorliwie, mówiąc wprost, że nie widzi powodu, by nagradzać człowieka zhańbionego tyloma przemieszczeniami, który na dodatek już raz go zdradził, biorąc pieniądze na elekcję, a potem popierając Habsburgów. Przypomniał mu także o tym, że chodziły słuchy, iż Krzysztof podczas uroczystego wjazdu obranego już Stefana do Krakowa, zaczajony w jednym z domów, miał go ustrzelić z rusznicy, ale coś mu przeszkodziło.

- Znajdzie się na to rada - zgrzytnął zębami stojący przy nim Andrzej Zborowski, któremu właśnie odmówiono podkanclerstwa.

Chorzy z nienawiści udali się do kamienicy Szarej, po drodze obmyślając plan pozbycia się kanclerza (i króla także, gdyby nadarzyła się sposobność, tak jak to niedawno przysięgali sobie potajemnie razem z Samuelem „na trawie Zborowskiej”). Najlepiej byłoby urządzić zasadzkę na drodze między Krakowem a Knyszynem, do którego Zamojski często jeździł jako tamtejszy starosta. Król także musiał przejeżdżać w pobliżu Zborowa, po weselu zdążając do Grodna przez Lublin. Sami jednak nie zamierzali ryzykować. Musiał to zrobić Samuel, ostatecznie skompromitowany przez zaognienie stosunków z Portą - nie miał on już nic do stracenia. Zasiadłszy w gabinecie, zaczęli układać list do brata. Łomot do drzwi domu Starościńskiego obudziłby nawet umarłego. Za oknem dniało. Tłumiąc ziewanie i dopinając w pośpiechu kaftan, podstarości Mikołaj Uhrowiecki wpuścił niespodziewanego gościa.

- Pan Jordan! Cóż waść sprowadza o tak nieludzkiej porze? Znali się i szanowali, ramię w ramię walcząc pod Pskowem, ale nie przyjaźnili, gdyż spowinowacony ze Zborowskimi Spytek Jordan należał do frakcji antykanclerskiej.

- Sprawa niecierpiąca zwłoki. Rzekłbym: życia lub śmierci. Muszę natychmiast rozmówić się z jego królewską mością albo panem Zamojskim.

- Król bawi w Niepołomicach na łowach, imć kanclerz zasię w zamku myśliwskim na Zwierzyńcu, z nowo poślubioną małżonką. Nie godzi się im przeszkadzać...

379

Ale widząc spotniałą twarz przybysza, nerwowo wyłamywane palce i błagalne spojrzenie, zmiękł i podjął decyzję:

- Dobrze. Zechciej chwilę zaczekać, muszę się ochędożyć. Potem pojedziemy do kanclerza. Dzikie Pola, lipiec 1583 roku

- Na Wołosz! Prowadź nas, bożych rabów¹, hetmanie zaporoski dziś, a gospodarze mołdawski jutro! - wrzasnął ktoś z gromady.

- Sława, sława, sława! - ryknęli inni.

„A czemu by nie? - pomyślał Zborowski. - Gorszi ode mnie dokonywali większych jeszcze rzeczy. A że Hirkom i Batoremu to się nie spodoba? Furda! Jeśli zostanę gospodarzem, będą musieli ze mną pertraktować!”

- Na Wołosz! - zawołał gromko, podejmując decyzję.

Odpowiedział mu radosny chór i palba z samopałów. Wieść o wielkiej wyprawie kozackiej na Wołoszczyznę, podjętej rzekomo w pomście za wiosenną inkursję tatarską, szybko się rozeszła. Wpierw wpadli do Mołdawii i spustoszyli całe pogranicze. Potem spłynęli czajkami w dół Dniestru. O zmierzchu spadli jak piorun na niespodziewający się niczego Jahorlik, drewniany zamek dopiero co pobudowany przez Turków tuż przy polskiej granicy. Odpłynęli przed północą, zostawiając za sobą trupy i dymiące zgliszcza. W środku nocy zaatakowali Bendery², stolicę sandzaku, miasto ludne i bogate, wprzód ostrzelawszy je z dział. Wyrznęli turecką załogę i splądrowali miasto. Syci gwałtów i rabunków, podłożyli ogień i odpłynęli na wieść o zbliżaniu się silnej ekspedycji polskiej, wysłanej przez króla Stefana. Zborowski musiał zatem porzucić myśl o opanowaniu Mołdawii. Odesławszy łupy rzeką do im tylko znanej kryjówki zwanej Skarbnicą Wojskową, rozdzielili się: jedni podążyli traktem kijowskim ku stepom moskiewskim, drudzy postanowili ukryć się w Korsuniu i tu przeczekać burzę. Na biwaku u źródeł Inguła, gdzie schodziły się dwie odnogi Czarnego Szlaku,

1 Rab boży (ukr.) - sługa (niewolnik) boży; ciekawostka: nazwa Besarabia (część historycznego Gospodarstwa Mołdawskiego) oznacza właśnie „ziemię bożych rabów”.

2 Miasto w Besarabii, inaczej Tihinia.

380

dogonił ich umyślny z listami i ostrzeżeniem, że z zachodu nadciąga wojsko. Słuchając nowej dumy na swoją cześć i wykorzystując resztki dziennego światła, Zborowski czytał listy od braci Krzysztofa i Andrzeja. Krzysztof doradzał bratu porzucenie Kozaków. Ostrzegał, że w Polsce lękają się biedy, której Samuel może napytać Rzeczypospolitej: „A na WM to tam złożą, że im dla tamtej wojny z Hir-kiem, którą mienią, że wy nawarzą, podatków trzeba. A toż per non compiacer a gli inimici nostrī dla Boga nic głównego nie poczynajcie, bo królowi posłużycie (choć ten czyni, jakoby tego nie rad widział) a szlachtę obruszycie na wieki, której nam zwłaszcza teraz trzeba. Sapienti satis¹”.

Zamyślił się. Kilka razy pod rząd powtórzył sobie dopisek: „An-nusia córka WM zdrowa, ale nie wie jeszcze, że WM szedł na Niż. Będzie płaczu dosyć”. Kiedy zatem inni się radowali, jego nagle dopadło przekonanie, że oto dotarł do kresu. Trzeba wracać do żony i dzieci, i to bez względu na konsekwencje. A co potem? Może Ra-kuzy albo słoneczna Italia?

- Atamanie! - przerwał mu podnieconym głosem wysłany na zwiady setnik Balaban. - Tatar! O ćwierć mili stąd.

- Wielu ich? - zdziwił się, bo ostatnie czambuły opuściły te strony przed miesiącem.

- Jeden! I do tego, sądząc po koniach i odzieniu, znaczny. Też my się zdumieli i obserwowali go chwilę, ale jest sam, to pewne. Zdąży wprost na nas. Co robimy?

- Pochwycimy go, skoro sam leże nam w łapy. Pogaście ogniska, ogarnijcie obozowisko, żeby nie nabrał podejrzeń, i pochowajcie się razem z końmi w zaroślach. Szybko!

Odkąd przekroczyła granicę, prześladował ją dziwny pech. Wpierw było to spotkanie z czambułem Tuhana-beja i przygnębiający widok jasyru. Miała nadzieję, że talizman pomógł tamtej dziewczce, choć doprawdy nie potrafiła sobie wyobrazić w jaki sposób. Trzy dni potem, kiedy popasała w lesie przy szlaku, zaskoczył ją niedźwiedź. Tak ogromny, że jeszcze takiego nie widziała.

1 Nie chcąc sprzyjać wrogom naszym (makaronizm).

2 Mądryemu dość tego (łac.).

381

Chyba zbyt stary, aby uganiać się za dziką zwierzyną, bo zaatakował konie. Na szczęście nie zdążyła skrępować im nóg, więc mogły uciekać, mimo iż były jeszcze nierozsiodlane. Strzeliła do bestii z janczarki i chyba ją nawet trafiła, ale nie powaliła, może jedynie spowolniła. Bo oto jeden dzianet wrócił jeszcze przed nocą, zgrzany, lecz cały. Aż się popłakała i wyściskała go niczym kochanka. Bez wierzchowca ani chybi zginęłaby w stepie. Rano ruszyła tropem niedźwiedzia i drugiego konia. Następnego dnia, zwabiona chmurą drapieżnego ptactwa, znalazła to, co zostało z niedźwiedzia. Musiała mu dogodzić lepiej, niż się spodziewała. Na konia trafiła nazajutrz. Był cały, lecz kulał, a przedzierając się przez gęstwiny, stracił zaczepione u łuku juki. To uratowało mu pewnie życie, ale tym sposobem została bez odzienia, w które zamierzała się przebrać przed powrotem w zamieszkaną okolicę. Wyglądając jak teraz, mogła sobie narobić kłopotów. Cóż, trudno. I tak mogła uważać, że wywinęła się z turbacji najmniejszym kosztem.

Straciła dziesięć dni, zanim drugi wierzchowiec wydobrzył, lecz tak było bezpieczniej.

Żywiła się niedźwiedzim mięsem, uratowawszy co lepsze kęsy przed dzikim zwierzem, ale obozowisko na wszelki wypadek rozbiła z dala od padliny. Nocami słyszała wycie wilków, jednak nie trwożyła się zbyt, wiedząc, że latem mają co jeść i unikają ludzi. Kiedy ruszyła w dalszą drogę, był już lipiec, a step pokrył się dywanem różnobarwnego kwiecica. Do zejścia się obu odnóg Czarnego Szlaku podróżowała bez problemów. Wjeżdżała na pagórki i zjeżdżała w doliny, przeprowiała się przez strumienie i przedzierała przez rosnące nad wodami lasy.

Tego pięknego dnia też nic nie zapowiadało turbacji. Szlak biegł prosto i był dobrze przetarty. Dostrzegając w oddali kępę drzew, ucieszyła się, wiedziała bowiem, że zwiastuje to wodę. Planowała tam popasać, albo nawet zanocować. Długa podróż wyczuliła ją na wszelkie osobliwe oznaki, dlatego dojeżdżając, uderzyła ją dziwna cisza. Zwykle o tej porze las rozbrzmiewał ptasim jazgotem. A kiedy ujrzała odcisnięty w trawie i niedokładnie zatarty świeży ślad końskiej podkowy pojęła, że ktoś zasadził się w lesie. Natychmiast zawróciła wierzchowce i pognęła co sił na zachód. Sypnęło się za nią kilka strzałów, jedna kula nawet zerwała jej z głowy czapkę, ale żadna nie trafiła ani jej, ani koni.

- Nie strzelać, durnie! Gonić go! Na koń!

382

Ten głos! Tak ją sparaliżował, że omal nie spadła z konia. Poznałaby go wszędzie i zawsze! Nienawistny głos Zborowskiego! Dobry Boże, dlaczego w tym niezmiernym stepie musiała się natknąć akurat na niego!? Strach zjeżył jej włosy i kazał bezlitośnie poganiać wierne zwierzęta. Pogoń była spóźniona, a ona miała wyborne wierzchowce, dlatego odsadziła się znacznie, lecz czuła oddech prześladowców na plecach. Zapadł wieczór, a gonitwa trwała w najlepsze. Nie ustała nawet w nocy. Wjeżdżając na wzgórze, zerknęła wstecz i zobaczyła płomyki pochodni. Zostawiała za sobą zbyt wyraźny trop, by mogli go zgubić. Niepokoiliła się o dzianeta. Był szybszy od bachmata, lecz mniej wytrzymały. Jako i padł po południu następnego dnia. Udało jej się nie skrócić karku przy upadku i błyskawicznie przesiadła się na bachmata. A pościg wciąż trwał. Dziwiła się takiej zawziętości. Czyżby Zborowski ją rozpoznał? Nie, to niemożliwe. Zapewne kierowała nim ambicja myśliwego albo zdążył do domu i po prostu było mu po drodze. Zatem wykręciła nieco na południe. Wiedziała, że to bez znaczenia i za późno, bo zarówno południowa, jak i północna odnoga Czarnej Szlaki i tak w rezultacie wiodły w tę samą stronę - na zachód. Nie zdziwiła się więc, że uparcie podążali za nią. Ze zmęczenia zamykały jej się oczy, bo też nie spała i prawie nie jadła od dwóch dni. Przywiązała się do końskiej szyi, żeby nie spaść, i pędziła naprzód. Ale nawet bachmat zaczął ustawać. Aby mu ulżyć, pozbyła się wszystkich zbędnych rzeczy. Zostawiła sobie tylko parę pistoletów i sakwy z pieniędzmi. Jednak po południu stało się jasne, że dościgną ją jeszcze przed zmierzchem. A dookoła gładko, żadnego lasu, gdzie można by zmylić trop, żadnej rzeki, która by ją odgrodziła od prześladowców i dała chwilę wytchnienia. Byli tak blisko, że prawie mogła rozpoznać poszczególne gęby. Kiedy pojawiło się nareszcie jakieś pasmo wzgórz, siedzieli jej już na karku, wznosząc zwycięskie okrzyki. Nie strzelali, chcąc wziąć uciekiniera żywcem i odpłacić mu za wyczerpującą pogoń. Odwróciła się i wystrzeliła, wpierw raz, potem drugi. Jeden złapał się za twarz i zwałił z konia, pod drugim padł wierzchowiec. Ale to ich nie zatrzymało. Miała jeszcze króciwą, ale ostatnią kulę postanowiła zachować dla siebie. Tym razem nie da się wziąć żywcem. I tak nie zależało jej na życiu. Dała bachmatowi ostrogę i dzielne zwierzę uczyniło ostatni wysiłek. Jednak teren zaczął się wznosić, więc nie mógł się rozpędzić...

383

I wtedy usłyszała głos trąbki, a na szczycie wzgórza pojawił się szereg jeźdźców. Wojsko! Jeszcze raz poderwała bachmata i wpadła pomiędzy żołnierzy z uniesionymi w górę bezbronnymi rękami, krzycząc z daleka ochryłym głosem:

- Nie strzelać! Ja swój! Ściągają mnie! Ratunku!

Zsunęła się z siodła i padła na ziemię, płacząc z ulgi i dysząc po morderczym wysiłku.

- To Tatarzyn! - zauważył ktoś.

Kilku żołnierzy ruszyło ku niej, lecz dowódca ich uprzedził. Z wysokości siodła przyjrzał jej się uważnie i na twarzy pojawił mu się wyraz niebotycznego zdumienia.

- Przebóg, to dziewczka! Jam jest starosta braclawski Jakub Struś. A kim ty jesteś, pani?

Usiłowała coś wykrztusić.

- Kto cię ścigał? - spytał zniecierpliwiony. Wyciągnęła rękę za siebie i wycharczała:
- Zbo-row-ski...

W starostę jakby piorun strzelił.

- Toć mnie wysłano sam, bym pochwycił Samuela i jego Niżowców! Rzucił okiem na niknących w dali Kozaków, którzy rozdzielili się,

by utrudnić pościg. Podniósł rękę, po czym wskazał naprzód i zawołał:

- W nich! Bij, zabij! A Zborowskiego chcę żywcem!

Okolice Jeziernej, lipiec 1583 roku

Za Tarnopolem poczuła się bezpiecznie. I to był błąd. Za zakrętem wpadła wprost na zbrojny oddział niespiesznie ciągnący traktem. Byłaby chętnie puściła ich przodem, lecz kiedy została dostrzeżona, zmieniła zdanie. Wcisnęła czapkę na oczy, postawiła kołnierz kaftana i pomknęła naprzód. Brodate i wąsate gęby uzbrojonych po zęby semenów przyglądały jej się ciekawie, lecz ustępowały z drogi na widok dostatnio odzianej postaci na pięknym dzianecie. Dojeżdżała już do czoła kolumny, gdy nagle prowadzący orszak odwrócił się i poznała go. Serce jej zamarło i omal nie spadła z konia. Zborowski! A więc zdołał wymknąć się Strusiowi! Na szczęście on nie poznał jej. Dlaczego nie została dłużej

384

w Braclawiu, choć oboje księstwo ją zatrzymywali? Ale nie mogła zwlekać, bo usłyszała coś, co wpięć ją oszołomiło i napełniło niewyobrażalną radością, a potem przywróciło chęć do życia. Wpięć powiadomił ją o tym Struś, a Zbarascy potwierdzili. Dlatego jak najprędzej chciała znaleźć się w Krakowie.

- Czołem! - krzyknęła najgrubszym głosem, jaki potrafiła z siebie wydobyć.
- Czołem! - uniósł dłoń w powitaniu. - Dokąd to tak spieszno?
- Do Lwowa. Bywajcie!
- Bywaj.

Odsadziła się znacznie, okładając szlachetnego wierzchowca bez litości i już myślała, że jej się udało, kiedy zerknąwszy wstecz, ujrzała długą linię jeźdźców, rozciągniętą w pogoni.

Dobry Jezu, czy ten koszmar nigdy się nie skończy?

- Wasza miłość!
- Czego?

Ruski zrównał się ze swoim panem.

- Zdawało mi się, że ów człek, któremu tak spieszno, to była niewiasta.
- Ambaje! Myślisz, że nie mam oczu? Mąż to był i do tego ciemny na licu.
- I chyba ją nawet poznałem - upierał się przy swoim totumfacki. - To panna Wapowska.

Zborowski ściągnął wodze tak gwałtownie, że koń aż przysiadł na zadzie.

- Jesteś pewny?
- Dobrze jej się przyjrzałem, lecz głowy nie dam...
- Skąd by się tu raptem wzięła?

Sługa wzruszył ramionami.

- Tego nie wiem.
- A ja dumaju, że to ją ścigaliśmy na Dzikich Polach... - wtrącił Bałaban. - Byłem wonczas tuż za nią, kiedy obróciła się i zestrzeziła z konia Iwana... Już wtedy zdało mi się, że to dziewczka, a nie Tatarzyn...

Zborowski myślał chwilę, marszcząc brwi, po czym ryknął do semenów:

- Za mną w skok!

385

Następny zakręt i ściana lasu odgrodziły ją na chwilę od prześladowców. Wtem ujrzała przed sobą cygański tabor stacjonujący na poboczu i rozpoznała starca z długą siwą brodą. W biegu zeskoczyła z wierzchowca i wpadła między wozy.

- Dziadku! Ratuj! Ścigają mnie!

Starzec zmrużył oczy, po czym rozszerzyły mu się w nagłym rozpoznaniu.

- Janko Zielenok! Córuś moja najmilsza! - przygarnął ją do serca, po czym rzucił rozkazująco: - Ej, wy tam! Zabierzcie od niej konie i odprowadźcie w las! Randia, ukryj Zielonooką w skrzyni pod moim wozem!

- Mam lepszy koncept - powiedział niewyglądający na Cygana brodac. - Jur, bywaj tu sam. Nuże!

Średniej wielkości niedźwiedź, dotąd siedzący na ziemi, kołyszący się miarowo i kiwający łbem na boki, podniósł się, raptem i posłusznie przyczłapał do swego pana. Ten zaś na oczach zdumionej dziewczyny oderwał bestii głowę i rozpiął skórę, z której wyłonił się wyrostek z bezmyślnym wyrazem twarzy.

- Właż! - zawołał brodac do dziewczyny. - Szybko!

Chwilę potem pojawili się groźni jeźdźcy. Połowa pognąła naprzód, pozostali otoczyli tabor i choć stary naczelnik zarzekał się, że poszukiwany jeździec przemknie tylko mimo i pogną dalej, przetrząsnęto wszystkie kąty. Zwłaszcza że grupa pościgowa wróciła z niczym. Dziewczynie zamarło serce, kiedy Zborowski zainteresował się rzekomym niedźwiedziem, którego Jur ze łzami w oczach szarpał za kudły, powtarzając:

- Oddaj! To moje!

Lecz brodaty niedźwiedźnik, którego nogi czepiał się mały niedźwiadek, w porę przepędził wyrostka, tłumacząc magnatowi:

- To dobry chłopiec, ale głupi, panie. Głowa mu się kazi...

Zborowski, z natury podejrzliwy, a może pamiętający o tym, że poszukiwana w dzieciństwie wychowywała się u Cyganów, długo nie dawał za wygraną. Jego semeni pościgali z wozów i porzrzucali dookoła wszystkie statki, zaglądając nawet kobietom pod spódnicę. W końcu jednak dali za wygraną.

386

ir

Ujechali może z milę, gdy Zborowski nagle stanął, a za nim cała kawalkada.

- Coś mi nie daje spokoju... - mruknął na poły do siebie, na poły do Ruskiego. - Ten skomoroch. Już go chyba gdzieś widziałem...

- Pod Wielkimi Łukami, wasza miłość - przytaknął sługa. - Zwie się Valdas. Zabawiał żołnierstwo w obozie. A raz spotkałem go gadającego z Ryksem.

- Z Ryksem, powiadasz... A słyszałem, że Wapowska za młodu chowała się u Cyganów... Nie za dużo tych zbiegów okoliczności? Coś mi tu śmierdzi padliną...

- Jam też widział tego Valdasa, pane - wtrącił setnik Bałaban. - Zimą w Kijowie. Miał małego niedźwiedzia, jeszcze nieprzyuczo-nego, więc kazał jednemu przyglupiemu wyrostkowi wdziawać niedźwiedzią skórę i udawać zwierza... To ten sam wyrostek, którego my teraz widzieli.

- Lecz skoro widzieliśmy przyglupka... - myślał na głos Zborowski, przypominając sobie, jak chłopiec szarpał za kudły i wołał: „oddaj, to moje”. - Tedy kogóż skrywała niedźwiedzia skóra? Zawracamy!

Tym razem nie tracili czasu. Bijąc i kopiąc lamentujących Cyganów, spędzili ich w kupę jak bydło, po czym Zborowski wyjął pistolet, na oczach wszystkich przyłożył go do głowy niedźwiedzia--przebierańca i pociągnął za cyngiel.

Koniec jesieni i początek zimy spędziłem w gościnnym Barze nad Rowem. Bar też zwał się Rów, nim królowa Bona, zlecając budowę warownego zamku, przemianowała go na cześć ojczystego Bari. Tam podpatrzyłem kilka sztuczek od naszych zagończyków oraz Rusinów i Lipków, zwanych też Czeremisami, choć to różne, acz pokrewne ludy. Byli to Tatarzy osiadli na Litwie, którą w swojej mowie zwali Lipką, stąd poszło ich miano. Wszystkie te nacje żyły zgodnie w miasteczku, które miało trzy dzielnice: lacką, ruską i czeremiską. Dzięki ich

naukom umiałem na przykład zarzucić w biegu arkan czy zawisać (acz tylko na zdrowej nodze) na jednym boku końskim, równocześnie strzelając z pistoletu, a nawet łuku, bo i w tym się podszkoliłem. Poznałem kilka słów tatarskich i podciągnąłem się w ruskim. Dzięki życzliwości komendanta twierdzy, imię Pretwicza, rozesłałem listy do komendantów innych zamków,

387

fortalicji i stanic kresowych, ale nikt nie miał dla mnie żadnych wieści o Jance. Wypytałem też kupców z miasteczka oraz przeciągających przez nie, z tym samym rezultatem. Mikołaj Sieniawski, ongi hetman polny, a obecnie kasztelan kamieniecki, którego poznałem pod Wielkimi Łukami i teraz odwiedziłem w Kamieńcu, współczuł mi, lecz pomóc nie mógł. W połowie lutego znów byłem w Barze, ale nie mogąc już znieść beczynności, postanowiłem pójść między Kozaki i wybierałem się do Czerkasów.

- Odradzam - powiedział imię Pretwicz, gdy się o tym dowiedział. - To zbyt wielki azard. Oni nie lubią obcych.

- Dlaczego? Przecież wielu spośród szlachty, nie tylko sami wy-wołańcy, rusza z nimi na chadzki, a nawet im przewodzi. Samuel Zborowski jest tego przykładem.

- Właśnie dlatego. Oni go kochają. Wystarczy, że któryś z tych, co byli z nim pod Wielkimi Łukami, rozpozna waszmość, a twoje życie nie będzie warte funta kłaków. Już było warte mniej, więc nie powstrzymał mnie. W Czerkasach znalazłem się na początku marca. Było to dość ważne miasto nad rzeką, główną arterią handlową w tych stronach. W porze letniej prawie wymarłe, zimą zapełniało się Kozakami. Ci rozbójnicy

0 tej porze zaludniali przedmieścia wszystkich miast położonych nad Dnieprem: Kijowa, Kaniowa, Czerkasów i Krzemieńczuka, wyłamując się spod jurysdykcji miejskiej niczym ludzie luźni w polskich miastach. Parali się rybołówstwem, wędrownym handlem, polowali na bobry. Jako przewoźnicy, czumakowie, prowadzili karawany kupieckie, wioząc sól i inne towary na mazach, solidnych furgonach zaprzężonych w woły. Ale gdy poczuli zew Dzikich Pól

1 jeszcze dalszych stron, a działo się to, jak tylko zeszły ostatnie śniegi i step pozieleniał, ruszali do kosza, czyli swego głównego obozu - Siczy.

Z trudem znalazłszy kąt w podłej karczmie nad samą wodą, wyszedłem do miasta i od razu wtopiłem się w tłum. Spośród używanych sam rozmaitych języków, polską mowę słyszało się najrzadziej, a najczęściej ruską, dlatego i ja starałem się jej używać. Na tyle oszczędnie, by się nie zdradzić. Nie liczyłem na to, że dowiem się tu czegoś o Jance, prędzej o Zborowskim. Ale miałem pecha. Był w Czerkasach jeszcze tydzień wcześniej, lecz z powodu łagodnej

388

zimy wyjątkowo wcześniej popłynął do Krzemieńczuka, gdzie czekał na resztę towarzystwa przed udaniem się do Siczy. Siedząc w swojej karczmie przy mocnej gorzałce, rozważałem właśnie udanie się tam razem z drugimi, kiedy jeden z Kozaków biesiadujących przy sąsiednim stole zoczył mnie w tej samej chwili co ja jego, zakrzyknął się trunkiem niesionym do ust, zostawił kompanów i dosiadł do mnie. Wojtaszek Długoraj wyrósł i zmężniał od naszego ostatniego widzenia. Z trudem go poznałem.

- Wasza miłość oszalał? - spytał półgłosem. - Toż tu sami przyjaciele pana Zborowskiego, a niedługo przyjdzie Bałaban. On był pod Wielkimi Łukami, widział tam waszą miłość i może rozpoznać. A i pan Zborowski jest niedaleko.

- Wiem. Chciałbym się do niego zbliżyć. Możesz to załatwić?

- Nie - odparł stanowczo, pobladł i otarł pot z czoła. - Przeczysta Panienko! Musisz wasza miłość natychmiast stąd wyjechać, bo inaczej zginiemy obaj. Przy panu Zborowskim jest teraz z pięć setek ludzi, a niedługo będzie dużo więcej.

- Coś się szykuje?

Rozejrzał się ukradkiem, po czym nachylił ku mnie i wyszeptał:

- Powiadają, że z pierwszym dniem wiosny ruszy chadzka. Ale nie zwyczajna, jeno wielka wyprawa, wprzód do Tatar, potem do Ibrek.
- Jak to? Przecież z Hirki teraz pokój.
- Dlatego rzecz jest trzymana w sekrecie. Powiedziałem już dość. Odejdź wasza miłość i trzymaj się z dala. Błagam! Na rany Chrystusa!

Jeszcze tego dnia opuściłem Czerkasy, z Korsunia wysławszy umyślnego z listem do kanclerza, w którym powiadamiałem go

0 z zamiarach Samuela. Od połowy marca, gdy tylko ustąpiły śniegi, właściwie nie zsiadałem z konia, przemierzając Dzikie Pola wzdłuż

1 wszerz. Po odesłaniu Tomka zostały mi trzy wierne i wyborne zwierzęta. Były niezmordowane, a kiedy należało, szybkie jak wiatr. Przekonałem się o tym jeszcze na wojnie, a teraz jedynie utwierdziłem w ocenie. Gdy musiałem co sil w końskich nogach umykać przed wilczą watahą lub burzą śnieżną, bo i to mi się przygodziło, albo długo i wytrwale wymykać się ordyńcom, ścigającym mnie przez trzy dni i dwie noce, zawsze błogosławiłem w myślach Sępa, który nie tylko podarował mi konie, ale, w co wierzyłem, czuwał

389

nade mną z nieba. Co więcej, spędzając tyle czasu w siodle oraz dzięki swoim preceptorom, zostałem, nie chwając się, zawołanym jeźdźcem.

Wpierw żałowałem, że nie zabrałem ze sobą żadnej książki, zwłaszcza Biblii, ale potem mi przeszło. Na co mi one? Przeszłość zostawiłem za sobą, przyszłości nie miałem. Życie wieczne i tak przyjdzie mi spędzić w piekle. Tygodniami nie widując żywej duszy, nauczyłem się utrzymywać z tego, co oferowała mi natura. Nie udało mi się co prawda złapać na arkan, ani nawet zastrzelić żadnego dzikiego konia, tarpana, choć spłoszyłem ich raz cały tabun, ale innym razem upolowałem dwa suhaki, osobliwe antylopy, czy też kozice stepowe z dziwolągowatym pyskiem, nieco podobnym do uciętej słoniowej trąby. Często żywiłem się podobnymi do świstaków bobakami, od których się roiło, należało tylko uważać, by konie nie połamały nóg w płataninie ich nor. Obozując nad rzekami, łowiłem jesiotry, sumy, karpie i szczupaki, więc jedzenia mi nie brakowało. Lubilem te chwile, kiedy nad głową rozpościerała się kopuła rozgwieżdżonego, bezkresnego nieba albo kołowały stada wodnego ptactwa: pelikanów, dzikich gęsi, żurawi, kaczek, czajek i rybitw, czyniąc taki harmider, że uszy puchły. Ponad nimi, wybierając zdobycz, zataczały kręgi jastrzębie.

Czasem zdawało mi się, że od czasów praojca Adama jestem pierwszym człowiekiem, który postawił stopę w tych stronach. Złudzenie przyskało, gdy trafiałem na spalony chutor czy ludzkie kości z rozbitymi czaszkami, świadczące o jakiejś tragedii. Wiosną często zrywały się nad stepem huraganowe wichry, suchowieje, przeradzające się w „czarne burze”, gdy obłoki pyłu zasłaniały słońce. Jedna taka wichura zaskoczyła mnie na płaskim stepie. Tylko szybkości moich wierzchowców, które poganiałem bezlitośnie, zawdzięczałem, że w porę udało nam się dopaść lasu i zbawczego, głębokiego jaru. Zdarzyło mi się nawet przeżyć nalot tutejszej plagi, szarańczy, która pokryła wszystko, co żyło, ruchomym dywanem, wciskając się w każdą szczelinę, każdy zakamarek ludzkiego i zwierzęcego ciała.

A potem, gdy step na dobre się zazielenił i pokrył świeżym kwieciem, orda wtargnęła na Podole i pociągnąłem za nią szlakiem krwi i łez. Wpierw próbowałem dotrzeć do murzyków dowodzących czambułami i nawet mi się to dwukrotnie udało, głównie

390

dlatego, że brano mnie za szaleńca, ale pierścień od Tuhan-beja także pomógł. Jednak nie uzyskałem, czego chciałem, za to napatrzyłem się ludzkiej niedoli do syta. Widziałem spalone wioski i chutory, ludzi porzniętych jak bydło lub ponawlekanych na pał, zgwałcone niewiasty, dzieci i młodzież płci obojga wzięte w jasyr i bezlitośnie pędzone naprzód korbaczami. Po takich razach niejeden już nie powstał, użyźniając swą krwią tę nieludzką ziemię. A kiedy

trzeci kolejny murzyk nie tylko nie chciał ze mną gadać, ale po okazaniu pierścienia wpadł w widoczną wściekłość i co prawda nie ubił na miejscu, lecz potem, może skuszony moimi wierzchowcami i bronią (a miałem przy sobie istny arsenał), posłał za mną dwa tuziny ordyńców, którym z trudem się wymknąłem, pojąłem, że imię Azameta Murzy nie każde drzwi otwiera. Wiedziałem zresztą, że na Krymie zanosło się na wojnę domową, gdyż nie wszyscy bejowie i murzowie popierali wroga sułtanowi politykę chana. Rozważałem myśl, czy znów nie udać się wprost do Bakczysaraju, lecz póki trwała wojna, było to niemożliwe. Nie miałem już nic do stracenia, za to serdecznie dość pohańców i ich okrucieństwa. Krew, którą bez umiaru przelewali, odurzyła mnie i zatrula moją. Zacząłem od Tatarów, skoro byli pod ręką, rachując, iż trafi się wśród nich gnębiciel Janki, potem miała przyjść kolej na Zborowskiego i Stadnickiego, o ile dożyję do tego czasu. Żywiłem zresztą nadzieję, że zgodnie z informacją Długoraja na wieść o tatarskiej inkursji Zborowski ze swymi Niżowcami wychynie z matecznika na Chortycy, o ile już tego nie uczynił, i będzie mi go łatwiej dopaść.

Poznawszy dobrze okolicę, najmowałem się wpierw jako przewodnik wojska uganiającego się za czambułami. Ale odwykłem od słuchania rozkazów i wkrótce porzuciłem to zajęcie. Od tej pory zacząłem samopas polować na ordyńców jak na dziką zwierzynę. Ubiwszy wprzód strażę, zakradałem się do ich obozowisk, rozpędzałem konie, uwalniałem brańców, strzelałem z daleka do starszyny jak do kaczek, na szlakach ich przemarszu podkładałem miny (dopóki starczyło mi prochu). I choć to Tatarów uważano za mistrzów we wszelakich podchodach, zanim jeszcze nastąpiło lato, prześcignąłem ich w tym procederze, bo na życiu mi nie zależało, a im tak. Na wojnie z Moskalami utwardziłem serce, lecz ocalałem duszę. Teraz nic mnie nie hamowało. Straciłem swoje człowieczeństwo.

391

Zdarzyło się raz, że wypłoszyłem z niewielkiego lasu potężnego starego żubra o posiwiałej sierści. Wpierw zdębiałem, bom miał je za stwory wymarłe w tych stronach. Walił galopem prosto na mnie, bo choć to zwierzę krótkowzroczne, to najniebezpieczniejsze ze wszystkich. Odbiłem w ostatniej chwili, pociągając za sobą wierzchowce. Jednego zdążył zahaczyć rogiem, rozorując mu bok, na szczęście powierzchownie. Ścigał nas potem kilka mil, ale nie był już tak szybki, jak za młodu, bo mielibyśmy się z pyszna. A tak to ja wkrótce zapolowałem na niego, strzelając z łuku, aby nie przyciągnąć uwagi Tatarów, którzy mogli być w pobliżu. Naszpikowany strzałami wreszcie przystanął i długo jeszcze tkwił w miejscu niby skała, nim wreszcie z żalnym rykiem przykłęknął na przednich nogach, łbem dotykając ziemi, i zwał się martwy na bok. Dostarczył mi smacznej, acz twardej pieczeni na wiele dni... i czegoś jeszcze. Oto kiedy wykrawałem co mniej łykowate płyty szynki i urzywałem ozór, nagle przyszedł mi do głowy pewien koncept, który wtedy uznałem za wyborny. Myślę, że był to effectus ogarniającego mnie stopniowo szaleństwa. Z niemałym trudem ściągnąłem bestii skórę z łba i grzbietu razem z chwostem. Oskrobałem z resztek mięsa nożem, zaniósłem do potoku i z grubsza doczyściłem piachem. Uderzyło mnie, że dno strumienia ma czerwone zabarwienie, więc dokopałem się gliny zawierającej rudę żelazną, wysmarowałem sobie nią pasy na czole i licach, po czym nasadziłem na głowę żubrze futro, do którego umocowałem rogi i przyjrzałem się sobie w wodzie. Wyglądałem doprawdy niesamowicie i odrażająco, ale mnie się podobało. Odtąd przestałem nawet z wyglądu przypominać człowieka.

Przemierzałem step we wszystkich kierunkach, z umalowaną gębą, rogami na łbie i kudłatą skórą zakończoną chwostem powiewającą za mną jak ogon za latającym smokiem. Byłem jak samotny stary wilk, umięjący ominąć wszelkie pułapki, a równocześnie jak rosomak, który zabija, choć nie musi, bo nie jest głodny. Nie dbałem o jedzenie i higienę, a jedynie o konie i broń. W olstrach zawsze miałem gotowe do użycia cztery strzelby i sześć pistoletów.

Niestrudzenie krążyłem między Kuczmańskim a Czarnym Szlakiem, dając się Tatarom we znaki.

1 W XVII w. widywano je jeszcze nawet w okolicach Lwowa.

392

Razu pewnego, kierując się węchem, natknąłem się w ciemnościach na mały czambuł albo odprysk większego, liczący nieco ponad dwudziestu ordyńców, których dokładnie porachowałem, dwukrotnie obchodząc obozowisko. Głupcy czuli się tak pewnie, że palili ogień z wilgotnego drewna, dającego więcej dymu niż płomienia. Zresztą, może nocą był to i nieglupi concept, lecz mieli pecha, trafiwszy na mnie. Ja nigdy nie pozwalałem sobie na najmniejszą nieostrożność, a ognisko starałem się palić wyłącznie z dębowej kory, prawie niedającej dymu. Nauczyłem się tego na Litwie. Czambulik był dopiero w drodze po łupy, dlatego nie musiałem się troszczyć

0 jasyr. Pół tuzina koniuchów pilnowało bachmatów w pewnym oddaleniu od obozowiska. Zarznąłem ich po kolei, żaden nie zip-nął. Nawet konie się nie spłoszyły. To samo spotkało strażników. Pozostali siedzieli przy dwóch ogniskach, piekąc mięso i opijając się kwaśnym kobyliim mlekiem z bukłaków. Po czym legli spać, wprzód wysławszy zmianę warty. Pobieglem jak kot za zmiennikami i uciszyłem ich, choć ostatni zdążył wydać z siebie głośny charkot, który jednak nie zaniepokoił reszty.

Nie kryjąc się już, podszedłem do ogniska z naręczem suszu, a kiedy ogień buchnął w górę, jąłem szyc z łuku do śpiących jak do kaczek. Jeden, niedokładnie trafiony, zerwał się na równe nogi

1 ujrzawszy mnie w świetle płomieni, wrzasnął przeraźliwie:

- Alla, Bismilla!

Wtedy pobudzili się pozostali, ale mój widok ich sparaliżował. Zdałem sobie sprawę, że na tle czerwonych płomieni, z rogami na łbie i okryty kudłatym futrem, musiałem wyglądać jak bestia rodem z piekła i najgorszych sennych koszmarów. Spokojnie wyjmowałem zza pasa po dwa pistolety naraz i paliłem do nich, a oni ani drgnęli. Wreszcie trzech ostatnich z wrzaskiem uciekło w ciemność, lyiko że ja widziałem w nocy jak sowa, a tamci nie, więc odnalazłem ich z łatwością. Kiedy było po wszystkim, pożałowałem, że nie zostawiłem przy życiu żadnego świadka klęski, który mógłby zanieść między swoich wieść o budzącym przerażenie demonie zemsty.

Zatem, gdym niedługo później z zasadzki zaskoczył mały podjazd, od ręki ubijając trzech, dwóm pozostałym, dognawszy ich w pościgu, ścinając łby szablą, której pożytek w walce z konia nauczyłem się doceniać, a piątego trafiwszy z łuku, ostatniemu pozostałemu przy życiu pozwoliłem ujść. Umykając, wydierał się co sił:

393

- Szejtan! Szejtan!

Innym razem zdarzyło się, że kilkunastu ordyńców wiodących jeńców na arkanach, ujrzawszy mnie nadciągającego galopem z pistoletami w obu dłoniach, porzuciło zdobycz i odbieżało w panice. I znów usłyszałem:

- Szejtan! Szejtan!

I tak zostałem Diabłem. Z powodu mego wyglądu uwolnieni przeze mnie brańcy też natychmiast uciekli, tylko w drugą stronę. Mało mnie to obeszło. Kiedy tej nocy leżałem z rękoma pod głową, słuchając szumu traw i patrząc w gwiazdy, zawołałem w głos:

- Boże! Dlaczego niegdyś dałeś mi tak wiele, by potem wszystko odebrać!? Czemu jesteś taki okrutny!? Patrz, co się ze mną teraz stało!

Przestałem się modlić. Pewnego dnia w głębokim jarze natknąłem się na resztki wozu, kiedyś pokrytego smołowanym płótnem, którego strzępy powiewały teraz na wietrze. Była tam i rozbita skrzynia, której drewno butwiało, a okucia żarła rdza, oraz mnóstwo kości

zwierzęcych i ludzkich, ogryzionych do czysta i rozwłóczo-nych po okolicy. Niewątpliwie padli ofiarą rozbójników, lecz stało się to dawno, co najmniej przed rokiem. Kiedy zbierałem czaszki i szczątki zabitych, aby pochować je w wygrzebanym dole, pod żebrami jednej z ofiar znalazłem coś na kształt medalionu z ala-bastru z dziurką na rzemyk albo łańcuszek, który już zbutwiały lub został ukradziony przez morderców. Medalion był przelamany na pół, jakby ktoś przydepnął go butem. Po złożeniu miał kształt prostokąta. Przedstawiał krzyż z rozszczepionymi zakończeniami wyglądającymi jak kości człowiecze, zwłaszcza udowa. Otaczały go ornamenty w rodzaju kółek, półksiężyców, gwiazd albo śnieżynek czy kwiatów oraz liści. Wiedziałem, co to jest. Chaczkar, czyli krzyż ormiański, zwany „kwitnącym krzyżem”, dlatego że Ormianie wierzyli, iż krzyż, na którym umarł Chrystus, oploty pędy ziół i kwiecica. W katedrze ormiańskiej we Lwowie widziałem wiele małych chaczkarów zawieszonych jako wota oraz wielkich kamiennych płyt, wysokich na sześc. Na odwrocie była inskrypcja napisana dziwnym alfabetem, a także wyryte łacińskimi buksztabami imię właściciela: Nazar Petrosjan.

1 Niedawno taki kamienny chaczkar stanął przy kościele Świętego Mikołaja w Krakowie dla upamiętnienia Genocydu, porównywalnego z Holocaustem ludobójstwa popełnionego na Ormianach przez "Rirków w 1915 r.

Cóż, wszystko było jasne. Jakiś kupiec ormiański próbował w tym jarze schronić się lub bronić przed grasantami, ale bez powodzenia. Ciekawiło mnie tylko, kim byli zbójce, skoro aż do tej wiosny przez trzy lata mieliśmy spokój z Tatarami. Ale ślady były już mocno zatarte i do niczego nie doszedłem. Pod kołem wozu odkryłem jedynie pusty mieszek, nie całkiem zbutwiały. Już miałem go odrzucić, gdy coś wyczułem pod palcami. Ostrożnie wy dobyłem z wnętrza list. Grasanci widać nie umieli czytać albo interesowały ich tylko pieniądze.

Pomagając sobie nożem, jakoś udało mi się rozłożyć kartę, choć nawilgły papier prawie się rozpadał. Rozpostarłem go na kamieniu i wysuszyłem na słońcu. Potem sam usiadłem na głazie, a list wziąłem do rąk. Był prawie nieczytelny, inkaust rozmył się i wyblakł.

Zniechęcony, byłbym go przeznaczył na rozpalkę, lecz rzuciłem okiem na zakończenie i omal nie spadłem z kamienia. Nie wierząc własnym oczom, wgapiałem się w podpis, coraz bardziej podniecony. Z trudem odczytany fragment brzmiał następująco: „...nna ...powska ...prilis Anno Dom... 82”.

Pot wystąpił mi na czoło. Coraz bardziej rozgorączkowany, próbowałem odcyfrować wcześniejsze wersy. Z miernym skutkiem. Tylko kilka oderwanych wyrazów było nie tyle czytelnych, ile możliwych do domyślenia się: „...seraj.. .wolnik.. .artwić... wróc... kup... Petr... zoba.....kowie”. Tyle. Jakiś niewolnik z Bakczysaraju martwił się o siebie lub bliskich, marząc o powrocie i wykupie (acz „kup” mogło też oznaczać kupca), na który pieniądze Nazar Petrosjan miał odebrać w Krakowie. Lecz równie dobrze ostatni wers mógł brzmieć: do zobaczenia w Krakowie, a może Rakowie, Piotrkowie, Czortkowie albo jeszcze innym mieście. Ja jednak chciałem wierzyć, że chodzi o Kraków, a list napisała Joanna Wapowska w kwietniu zeszłego roku. Przy takim stanie listu ciężko było określić jednoznacznie, czy to jej charakter pisma, lecz ja nie miałem wątpliwości. A skoro tak, to Janka żyła! Długo dochodziłem do siebie, po czym pieczołowicie złożyłem list i schowałem na piersi jak najdroższą relikwię.

Do wieczora brakowało niewiele i powinienem szykować się na nocleg, ale natychmiast wskoczyłem na siodło i jeszcze tego dnia ujechałem dwie mile. Nareszcie miałem cel, którym znów był Krym. Tej nocy przypomniał mi się fragment kozackiej dumki: Terpyty, terpyty, z Bohom sia ne byty! i pierwszy raz od wielu dni znów się gorąco modliłem, dziękując Bogu za przywrócenie nadziei. Dwa

395

dni później znalazłem się na granicy, niedaleko miejsca, gdzie nad Bohem Czarny Szlak tatarski łączył się z Kuczmańskim. Tak się spieszyłem, że omal nie wpadłem na czambuł,

który rozbił tu obóz, widać czując się już w miarę bezpiecznie. Obserwowałem ich jakiś czas, lecz kiedy rozesłali strażę, wycofałem się. Znalazłem odpowiednie miejsce, gdzie mogłem zostawić statki i zapasowe konie. Zrzuciłem żubrzą skórę, śmierdzącą z powodu marnego wyprawienia i pełną robactwa, przebrałem się w lepszą odzież, schowałem pod czapkę włosy, które urosły mi do połowy pleców, i ruszyłem ku obozowisku, mając nadzieję, że nie rozpoznają we mnie swego Anioła Śmierci, Szejtana. Musiałem zaryzykować, bo wypatrzyłem pośród jasyru znajomą twarz. Wolałbym tego nie robić, gdyż znów miałem po co żyć i nikt oprócz mnie nie znał losu Janki, ale nie było wyjścia.

Nie kryłem się, z daleka pokazując, że nie mam broni i przybywam w pokojowych zamiarach, więc wnet mnie dostrzeżono i zaprowadzono przed oblicze Temira TUhan-beja, patrzącego na wyjątkowego łotra, nawet jak na Tata. O Jance nic nie wiedział, branke, którą chciałem wykupić, pragnął zatrzymać dla siebie, pierścień Azameta Murzy nie zrobił na nim wrażenia. Łaskawie pozwolił mi jedynie odjechać. Ciekawe, na ile pasów podarłby mi skórę, gdyby podejrzewał, kim jestem. Odjeżdżając, dokładnie zapamiętałem rozplanowanie obozu i miejsca najgorzej strzeżone. Wróciłem do swojej kryjówki, upewniwszy się, że nie jestem śledzony, przebrałem na powrót w diabelski kostium, załadowałem do juków resztę prochu, pomajstrowałem przy wierzchowcach i o zmierzchu jak wąż wśliznąłem się do obozowiska. Wpierw zakradłem się do koni i rozciąłem im pęta. Nie spłoszyły się, widocznie wystarczająco po tatarsku śmierdziałem. Potem zabiłem strażników pilnujących brańców, jednemu z nich rozciąłem więzy i kazałem uwolnić pozostałych. Następnie przemknąłem do namiotu wodza, po drodze podkładając tu i ówdzie ładunki z krótkimi lontami. Zanim dotarłem do celu, uwalniani jeńcy narobili hałasu, stawiając ordyńców na nogi. Spodziewałem się tego, a poza tym wiedziałem, że w mroku mogliby mnie odkryć tylko przypadkiem. A kiedy miny zaczęły wybuchać, byłem już przy namiocie, słysząc dobiegające zewsząd dzikie wrzaski i okrzyki trwogi:

- Szejtan! Szejtan!

396

A więc jednak ktoś musiał mnie dostrzec. Doprawdy, niejeden mógłby mi pozazdrościć popularności. Uwolnienie dziewczyny było fraszką. Zważywszy na to, co przeszła, zachowywała się nad podziw dzielnie, nie licząc pierwszego szoku spowodowanego moim wyglądem. Zamieszanie z wolna ustawało, ale i tak bez turbacji wydostaliśmy się z obozu do mojego wierzchowca.

- Co waś robisz? - spytała, kiedy pospiesznie manipulowałem przy końskich kopytach.
- Mylę tropy. Zaraz odkryją trupa beja i ruszą w pościg.
- Po nocy?
- Zabiorą pochodnie.

Dosiadłem konia, wciągnąłem dziewczynę i posadziłem przed sobą. Ruszyliśmy z kopyta i za niedługo dotarliśmy do kryjówki, gdzie przesadziłem dziewczkę na drugiego wierzchowca. Jechaliśmy całą noc i większość poranka, a stanęliśmy nad rwącym potokiem dopiero wówczas, gdy dziewczka zasnęła i omal nie spadła z konia.

- Dlaczego jedziemy na wschód?

Naprawdę mi się podobała. Na pewno się bała, wiele przeszła, nie знаła mnie, była śpiąca i zmęczona, ale nie straciła orientacji i szybko myślała.

- Zyskujemy na czasie. Najpierw będą nas szukać na zachodzie.

Zacząłem ściągać wierzchowcom żelazne buty, które obstalowałem u kowala w pewnym chutorze, kiedy ów koncept zniemacka przyszedł mi do głowy pod wpływem wspomnień z młodości. Obracałem się wówczas w podejrzanym towarzystwie,

między innymi koniokradów. Aby zmylić tropy, zakładali wówczas skradzionym wierzchowcom takie buty, tyle że z odciskiem krowich racic.

- Cóż to jest?

Pokazałem jej trop, który zostawiliśmy za sobą. Wyglądał tak, jakbyśmy wyruszyli z miejsca gdzieś stali i podążyli tam, skąd przybyliśmy, a nie na odwrót. Żelazne buty były odwróconymi podkowami.

- Pojmuję... Bardzo sprytny koncept.

- Wspomniał mi o tym dawno temu pewien stary koniokrad. Ale ma wadę. Konie czasem gubią takie buty i jednemu z naszych to się przytrafiło.

- Może go nie znajdą.

- Znajdą. Nie dziś, lecz jutro albo najdalej pojutrze.

397

- Tak długo będą nas ścigać?

- Dopóty, dopóki nie dopadną. Zabiłem ich wodza.

- A dlaczego waść poważyłeś się na taki azard? Przecież mnie nie znasz.

Chabrowe oczy patrzyły na mnie z ciekawością i odrobiną lęku. Znacznie mniejszego, odkąd schowałem do juków swój diabelski kostium.

- Znam. Waćpanna jesteś Regina Herburtówna. Widziałem cię w kościele w Przeworsku na pogrzebie Mikołaja Sępa-Szarzyńskiego.

- Ja waści nie pamiętam...

- Jestem przyjacielem imię Stanisława Żółkiewskiego, który od pierwszego wejrzenia rozmiłował się wówczas w waćpannie. Wiesz o tym?

Zarumieniła się.

- Nie zdążył mi powiedzieć. Ale pan Zamojski rozmawiał potem z moim ojcem, a on ze mną... '

- Tedy pojmujesz, że nie mogłem cię tak zostawić. Jak spojrzalbym potem druhowi w oczy?

Dałem jej pled i kęs mydła, który mi został z czasów, gdy jeszcze dbałem o siebie, a kiedy zniknęła w oczeretach, by się wykapać i poprać odzienie, poszedłem w step, by upolować kilka pardw, po czym rozpalilem mały ogień i przygotowałem śniadanie. Potem rozsiodlałem wierzchowce i pozwoliłem im się paść, zdjąwszy im żelazne buty i wrzuciwszy je do saka. Kiedy dziewczyna wróciła, ja z kolei poszedłem do wody. Pochylając się nad nią, pierwszy raz od wielu tygodni przyjrzałem się swemu odbiciu. Nic dziwnego, że nawet bez rogów i żubrzej skóry budziłem strach w dziewczce, a nawet wśród Tatarów. Zaniedbałem się. Brudne, siwe włosy opadały mi w strąkach na plecy, broda urosła do piersi, brud z ciała mógłbym zeskrobywać nożem, o odzieniu lepiej nie mówić. Po kąpieli urządziłem więc pranie, a potem z grubsza przyciąłem nożem zarost. Wdziałem jeszcze wilgotną, sfatygowaną odzież, która szybko wyschła na ostrym słońcu. Gdy pojawiłem się przy ognisku, dziewczka była już ubrana we własne suknie i barani kozuch. Czapkę odrzuciła precz. Zdążyła nawet zapleść kosę i musiałem w duchu pogratulować Stachnikowi wyboru, chociaż sam nie gustowałem w blondynkach.

Rzuciliśmy się na jadło i zjedliśmy wszystko do ostatniego okrucha.

398

- W jaki sposób waćpanna wpadłaś im w łapy? - przerwałem milczenie.

- Wybrałam się z opiekunką i kilkorgiem sług pod Tarnopol do krewnych. Nie spodziewaliśmy się niczego złego, bo o ordzie od dawna było cicho. Porwali mnie, a pozostałych zabili...

Oczy jej się zaszklily, lecz zaraz wzięła się w garść.

- Jak waszmość myślisz, co stało się z moimi towarzyszami niedoli po mej ucieczce?

- Uwolniłem ich, ale nie łudź się. Do tego czasu już ich połapano, pożarł dziki zwierz albo zablakali się i wkrótce pomrą z głodu i pragnienia, chyba że szczęśliwym trafem napotkają żołnierzy. Lepiej byłoby pozostawić ich swemu losowi, lecz zamieszanie spowodowane ich ucieczką pozwoliło nam zyskać na czasie. Świadomie nie owijałem w bawełnę, bo nie podobało mi się jej spojrzenie. Zapewne jawiłem się jej jak jaki heros z dziewczęcych marzeń. Tego tylko mi było trzeba, by się we mnie rozmiłowała. Pożałowałem nawet swego ochędóstwa. Jednak moje wysiłki poszły na marne. Popatrzyła jedynie z wyrzutem i rzekła:

- Nie wierzę, że tylko to waćpanem powodowało. Bardzo jesteś odważny. Jak się zwiesz?

- W poprzednim życiu nazywałem się Ryx. Kacper Ryx-Turopoński.

- Słyszałam o tobie! Imię kanclerz Zamojski wysławiał waszmość pod niebiosami!

Podobno cudów dokonywałeś w ostatniej wojnie i wcześniej.

- Pan Żółkiewski dokazał znacznie więcej - uciałem i zalałem ogień. - A teraz musisz aśćka się przespać, jeszcze dziś ruszamy dalej.

Wtem zoczyłem wisior, który wysunął jej się z wycięcia sukni, gdy wstawiała od ogniska. Jednym skokiem byłem przy niej, szarpiąc gwałtownie i zrywając jej go z szyi.

- Skąd to masz?

- Dał mi jeden Tatar - odparła wystraszona wyrazem mojej twarzy.

- Kiedy?

- Wczoraj, tuż przed przybyciem waszmości, kiedy drudzy wlekli mnie do namiotu Hihan-beja. Powiedział po polsku: „Weź to. Ponoć przynosi szczęście. Mnie on już na nic”.

- Jak wyglądał ten Tatar?

399

- Młody i piękny niby dziewczka. I jakiś taki przeraźliwie smutny. Wcześniej go nie widziałam. Odjechał zaraz potem i strażę go nie zatrzymały. W ogóle ordynicy odnosili się do niego z wielką rewerencją...

- Dokąd odjechał?

- Na zachód.

Musiałem być błąd jak śmierć. Dłoń, w której ścisnąłem amulet otrzymany od Azameta Murzy i przesłany potem Jance, spotniała mi i drżała. Ledwie trzymałem się na nogach. Nie musiałem jechać do Bakczysaraju. Po ponad dwóch latach Janka wracała do domu.

Rozmawiałem się z nią najwyżej o kilka godzin!

- Co się z waścią dzieje? - spytała zaniepokojona Regina.

Wziąłem się w garść. ,

- Nic. Uratowałaś mi waćpana życie i przywróciłaś nadzieję. Nigdy ci się nie wywdzięczę - oddałem jej talizman. - Zatrzymaj go. Może w istocie przynosi szczęście.

- Mnie przyniósł - odrzekła z powagą.

Zataczając się jak pijany, poszedłem do juków, wyjąłem diabelski kostium i cisnąłem do ognia, patrząc, jak skwierczy, kurczy się i pali, kopcąc i smrodząc. Niepostrzeżenie stanęła przy mnie.

- A więc to waść jesteś owym Szejtanem, który budzi taką trwogę pośród Tatarów i wybawia nieszczęsnych brańców...

- Byłem. Dzięki tobie na powrót stałem się człowiekiem. Szejtan umarł. Tylko ty jedna wiesz, kim byłem, i chciałbym, aby tak zostało. Nie ma się czym chwalić. Jako Diabeł robiłem rzeczy, o których chętnie bym zapomniał, choć zapewne nigdy mi się to nie uda.

- Będę milczeć.

Dla osłony przed słońcem skonstruowałem dla niej rodzaj kozackiego połohu, prostopadłościennego namiotu rozpiętego na konstrukcji z leszczynowych prętów i pokrytego

plótnem. Na wierzch narzucano niemal nieprzemakalne, gęsto tkane tureckie dywany, ale ich nie miałem, poza tym nie zanosilo się na deszcz (a szkoda, bo zatarłby nasze ślady) i niedługo musieliśmy ruszać. Kiedy spała, nie zmrzyłem oka.

- Jezu!

Podskoczyłem w samą porę, by pochwycić ogromnego żmija, który jakby nigdy nie przepełzał sobie po Reginie. Stoczyłem z nim zażartą walkę, nim zdołałem uciąć mu łeb, gdyż bestia była gruba jak męskie ramię i długa prawie na dziesięć kroków.

400

- To połoz. Nie jest jadowity i pewnie nie miał złych zamiarów, może przywabiło go ciepło popiołu z ogniska, bo noc była chłodna. Będzie z niego wyborne pieczyste - uspokoilem roztrzęsioną dziewczkę i zabrałem się do zdzierania skóry z gada.

- Zamierzasz go zjeść? - spytała z niedowierzaniem.

- Smakuje prawie tak dobrze jak kapłon, przekonasz się.

Było już mocno po południu, gdyśmy zwinęli obozowisko i ruszyli w górę strumienia. Jednak głązy zalegające dno wkrótce zmusiły nas do wyjścia z wody. Zresztą nie ludziłem się, by te wszystkie podjęte przeze mnie środki ostrożności zdołały zmylić pościg.

Odnaleźli nas dwa dni później.

- Spójrz! - powiedziałem, pokazując dziewczynie stado ptaków wzbijających się ponad nieduży las, przez który przejechaliśmy jakąś godzinę wcześniej. - Jadą za nami.

Jak na szesnastolatkę była naprawdę nad wiek dojrzała. Nie skarżyła się na niedogodności w drodze, a teraz nie wpadła w panikę.

- Co zrobimy?

- Umiesz panna obchodzić się z bronią?

- Od dziecka.

Zatoczyliśmy koło i zaczailiśmy się na wzgórk, ukryci w wysokich burzanach. Ćwiczone konie zaległy na ziemi. Nadjechali ze wzrokiem wbitym w nasze ślady. Na szczęście był to tylko zwiad, złożony z tuzina wojowników. Kiedy zrównali się z nami, zacząłem strzelać, a Regina ładowała broń. Powaliłem ośmiu. Pozostali uciekli tam, skąd przybyli. Teraz jednak, gdy wpadli na trop, nasz los był przesądzony, zwłaszcza że praktycznie skończył mi się proch. Nie miałem nawet budzącego grozę diabelskiego kostiumu. Mogło nas uratować tylko napotkanie wojska, a nadzieja na to była taka, jak wyrzucenie przez uczciwego gracza samych szóstek w grze w kości.

Uciekaliśmy bez przerwy pół dnia i całą noc, aż trzeba było przed świtem stanąć na popas, gdyż wierzchowce zaczęły ustawać.

- Chyba ich zgubiliśmy - powiedziała znużona, zsuwając się z siodła.

- Nie - odparłem, bom kilkakroć widział jeźdźców w oddali, za każdym razem, gdyśmy mieli się tam skierować. - Trzymają się z dala, bo nie wiedzą, że skończył nam się proch, a celność naszych strzałów dobrze poznali.

401

Byłem zaniepokojony, bo wyglądało na to, że zaganiają nas niczym barany na rzeź.

Uświadomiłem sobie, że wiem, gdzie jesteśmy. Pośrodku trójkąta liczącego może ze sto mil kwadratowych, utworzonego przez dwie szeroko rozlane rzeczulki niosące sporo wody. TU, gdzie stanęliśmy, szemrała jedynie płytka struga, zapewne wysychająca podczas letnich upałów. Znaleźliśmy się jakby w saku. Kogoś przed nami spotkał los, który i nam zgotowano - niedaleko napotkaliśmy rozkładające się zwłoki dwojga ludzi i tyluż koni. Tatarzy zamykali nam drogę z jednej strony, a znając ich, byłem pewny, że już zagięli skrzydła i posuwają się wzdłuż obu potoków, by wziąć nas w kleszcze. Chyba że knuli inne łotrostwo. Wkrótce przekonałem się jakie i włos mi się zjeżył.

- Słońce wschodzi - zauważyła, rzuciwszy okiem wstecz. - Jakie czerwone! Jak żyję, nigdy nie oglądałam piękniejszego widoku.

- To może być twój ostatni - mruknąłem. - Te tchórzliwe i podstępne diabły osaczyły nas. Step się pali! A wiatr wieje w naszą stronę.

- Chryste w niebiesiech! - pobladła. - Na co czekamy? Uciekajmy!

- Na czym? I dokąd? Konie mamy zmordowane, a Tatarzy niewątpliwie zamknęli wszystkie drogi ucieczki. Nawet gdybyśmy dotarli do którejś z rzeczek, będą na nas czekać na drugim, bezpiecznym od ognia brzegu.

Jeszcze kiedy to mówiłem, słońce także już wstało i teraz na skraju horyzontu jasność wschodu walczyła o lepsze z płomieniami ognia. Wkrótce wszak w górę uniosły się chmury czarnego dymu i niebo pociemniało jak podczas gwałtownej burzy. Wokół nas, nie lękając się wcale, w zupełnej zgodzie w obliczu strasznej śmierci w płomieniach, jeły przebiegać zwierzęta, małe i duże, ro-ślinożercy i drapieżniki. W zdumienie wprowadził mnie widok dwu wielkich wołów podolskich, czabanów, które albo odbiły od stada, albo zostały przeoczone przez bydłokradów. Nagle przyszedł mi do głowy pewien koncept. Strzeliłem jednemu pod łopatkę, ubijając bestię na miejscu.

- Szybko! - rzuciłem dziewczynie tasak pod stopy. - Rwij panna, kop i szarp trawę wokół aż do gołej ziemi. Mamy najwyżej godzinę albo i to nie.

Rozkulbaczyłem wierzchowce i smagnałem je biczem po zadach. Wierne zwierzęta chwilę wahały się, spoglądając na mnie

402

żałośnie dużymi, wilgotnymi ślepiami, po czym pocwałowały w ślad za niewielkim tabunem dzikich tarpanów. Dobrze pół godziny biedziłem się przy ściąganiu skóry z czabana, a potem pomogłem Reginie oczyścić z trawy spory krąg wokół naszego prowizorycznego obozowiska, o może dwudziestostopowej średnicy, którą tworzyła owa płytka struga, a pośrodku leżała zdarta z wołu skóra. Wspólnymi siłami z najwyższym trudem przesunęliśmy ją kilka kroków i sierścią do spodu wrzuciliśmy do strugi, którą już przestała płynąć woda. W jej resztkę zamoczyłem koce, kazałem dziewczce się nimi owinać i schować pod skórą, razem z siodłami i bronią. Sam zaś kucnąłem przy kupie ściętej, najbardziej wysuszonej trawy, skrzesalem ogień i podpaliłem ją. Buchnął płomień, a wiatr natychmiast poniosł go dalej. Wkrótce języki ognia pojawiły się wokół nas. Pobiegłem ku dziewczynie i też wsunąłem pod skórę.

- Co waś robisz!?! - krzyknęła przerażona, podglądając przez szparę moje zabiegi.

- Spokojnie. Zobaczysz aśćka, jak płomień pożre płomień.

Żar robił się nie do wytrzymania. Duszący dym spowił okolicę, wciskając się do naszej kryjówki. Oczy nam łzawiły, podrażnione gardła wywołały kaszel. Wkrótce jednak trawa wokół nas się wypaliła i płomień pomknęły naprzód, szukając nowego żeru. Mogliśmy chwilę odetchnąć. Najgorsze jednak dopiero nas czekało, nadciągała bowiem pożoga wywołana przez Tatarów. Huk ognia niemal ogłuszał, żar buchał niby z rozgrzanego pieca, brakowało powietrza w płucach, które zdawały się płonąć żywym ogniem. Kiedy błyskawicznie wysuszone koce i kurcząca się szybko skóra zaczynały się tlić i już zegnaliśmy się z życiem, nagle piekielny go-rąc zelżał. Pojąłem, że pożar natrafił na wcześniej wypalony przeze mnie step i zaczął z wolna ustawać. Byliśmy ocaleni, acz naprawdę niewiele brakowało.

Może godzinę później odważyliśmy się wychylić nosy spod skóry. Dopiero teraz przekonaliśmy się, ile mieliśmy szczęścia. Wołowa skóra, która uratowała nasze, była cała spalona i pokurczona, ale dzięki temu, że świeża, nie zajęła się. Step wciąż dymił, a ostry swąd spalonego siana wiercił w nosie, jednak niebezpieczeństwo minęło.

- Kiedy będziemy mogli się stąd ruszyć? - spytała.

403

- Nieprędko. Łąka musi ostygnąć, bo przypieklibyśmy sobie stopy. A poza tym mogą nadejść ordyńcy, aby przekonać się naocznie, czyśmy się należycie upiekli.

Zostaliśmy zatem pod skórą, cierpiąc katusze z pragnienia, ponieważ połowa wody w bukłaku wyparowała, a reszta zrobiła się obrzydliwa w smaku. Wkrótce zmęczona wrażeniami dziewczyna usnęła, ufnie przytulona do mojego ramienia. Od dawna nie miałem kobiety i bliskość dziewczyny nagle przypomniła mi o męskich potrzebach. To że byłem od niej dwa razy starszy, nie miało znaczenia, a i ona zdawała się być tego zdania. Ja jednak nie gustowałem w takich miódkach, pewnie dlatego, że mimo ledwie przekroczonej trzydziestki czułem się jak stuletni starzec. Byłem dla niej za stary, nawet jeśli ona nie była za młoda dla mnie. Poza tym miałem co najmniej dwa dobre powody, by jej nie tykać. Jeden zwał się Stachnik, drugi Janka i myśli o niej pozwoliły mi przemóc niewczesną słabość.

Kiedy słońce zaczęło zachodzić, a step ostygł, uznałem, że niebezpieczeństwo minęło. Znienacka pojawili się jednak Tatarzy. Nawoływali się głośno, śmiali i obudzili dziewczkę, więc musiałem jej zamknąć usta, by nas mimowolnie nie zdradziła. Na szczęście przypalona skóra nie zwróciła ich uwagi. Znając nieco ich mowę zrozumiałem, że znaleźli nieopodal opalone ludzkie i końskie szczątki i wzięli je za nasze. Wkrótce pozbyliśmy się ich na dobre. Wykopałem dół w łożysku wyschłej strugi i udało mi się napełnić bukłak odrobiną mętnej cieczy. Była konieczna, jeśli mieliśmy nie umrzeć z pragnienia przed dotarciem do jakiejś rzeki. Zarzuciłem na ramię część juków i najlepszą broń, resztę zakopując, po czym rozpoczęliśmy nocny marsz na zachód, orientując się po gwiazdach. Stopy grzęzły nam w popiele, a unoszący się kurz i smród spalenizny drażniły nozdrza, ale za to ciepło, wciąż bijące od ziemi, łagodziło nocny chłód. Po około pięciu milach marszu, w pierwszym blasku poranka osiągnęliśmy rzekę i ujrzeliśmy świeżą zieleń na drugim brzegu, którego pożar nie dosięgnął! Padłem nad wodą bez sił, zupełnie wykończony noszeniem ciężarów i długim marszem, ale, o dziwo, noga nie bolała mnie wcale. Dziewka usiadła obok. Równocześnie spojrzeliśmy na siebie i wybuchnęliśmy śmiechem. Od stóp do głów pokryci popiołem, byliśmy czarniejsi od Negrów. Oplukaliśmy się podczas przeprawy. Na szczęście potok nie był zbyt głęboki, tyle że szeroko rozlany. Kiedy urządziłem prowizoryczne obozowisko,

404

zjawiły się moje wierzchowce. Co prawda tylko dwa, lecz i tak uznałem to za cud, bo przecież mogły wpaść w ręce Tatarów albo dołączyć do tarpanów, albo po prostu uciec w zupełnie inną stronę.

Kończył się lipiec, było upalnie i w miarę bezpiecznie. Jak opowiedzieli nam napotkani po drodze chłopcy, którzy uciekli przed orzą, a teraz wracali do spalonego chutoru, starosta czerkaski i kaniowski Michał Wiśniowiecki, który zastąpił zmarłego niedawno hetmana polnego Jazłowieckiego, wyciął w pień lub przegonił resztę Tatarów. Pod Humaniami natknęliśmy się na wojsko.

- Czołem, mości rotmistrzu! - rzekłem, gdy przywiedziono nas przed oblicze oficera. Jakub Struś był pod Pskowem rotmistrzem husarskim.

- Przebóg, pan Ryx-Uiropoński! - wykrzyknął, kiedy mnie wreszcie rozpoznał. - A to ci siurpryza! Wszyscy już mieliśmy cię za usieczonego od ordy.

- Panna Herburtówna! - zdumiał się po raz drugi, kiedy przedstawiłem mu dziewczynę.

- Toć i waćpannę już oplakano...

- Czasem umarli wracają - odparłem.

- Skoro o tym mowa... Imaginuj sobie waść, zem niedawno natknął się w stepie na pannę Joannę Wapowską, starościankę przemyską i dworzkę królowej Hanny! Ponoć dwa i pół roku spędziła na Krymie, nim udało jej się stamtąd ujść! Co jest, co waści!?

Pochwyił mnie pod ramię, bo nogi się pode mną ugięły, mimo iż przecież spodziewałem się tego od niejakiego czasu.

- To moja narzeczona - powiedziałem, kiedy doszedłem do siebie. - To jej szukałem na Dzikich Polach...

- Nie wiedziałem - sumitował się. - To ci historia! Wyznam waści także, żeśmy ją zratowali z rąk Samuela Zborowskiego i jego Niżowców. Przydzieliłem pannie asystencję i odesłałem do Braclawia. Zborowski nam umknął, ale kilkunastu jego ludzi dostaliśmy. Zostaną straceni we Lwowie za napaść na Jahorlik i Bendery - pokazał gromadę obszarpańców w pętach. - Wielki z tego kwas powstał pomiędzy sułtanem a królem, który nakazał mi pochwyć winnych i srogo ukarać. Podziękowałem mu wylewnie za ocalenie Janki.

- Żadna w tym moja zasługa - odparł. - Samopas puścić się przez te zapowietrzone okolice, na to nawet niejeden bywały mąż by się nie poważył. Niezwykłą masz waszmość narzeczoną.

405

Wątpiłem, by mówił to szczerze, bo w jego głosie wyczułem nutę współczucia. Jeżeli podejrzewał, że Janka uciekła z haremu jakiegoś murzy, zapewne uważał, iż lepiej byłoby dla niej, gdyby tam pozostała w pohańbieniu albo zginęła po drodze. Chętnie wzajem wypytalibyśmy się o wiele spraw, ale nie było czasu. Chciałem jak najprędzej ruszać do Braclawia, a przedtem powierzyć komuś moją podopieczną, lecz nie mógł mi pomóc.

- Przykro mi - rozłożył ręce. - Bóg świadkiem, jak chętnie bym to uczynił, lecz kiedy tylko tych tu odstawimy do Humania, musimy spieszyć nad Dniepr po resztę łotrów, która schroniła się w Korsuniu.

W każdym innym przypadku przystałbym do nich, bo pomsta na Tatarach była niczym w porównaniu z rachunkiem, który miałem do wyrównania ze Zborowskim, lecz nie tym razem. Struś na pożegnanie odstąpił mi nieco prochu, bo od pewnego czasu byłem zdany wyłącznie na łuk i strzały. W drodze do Braclawia bezlitośnie poganiałem wierzchowca, nie mogąc się już doczekać spotkania z Janką. Po przekroczeniu Bohu znaleźliśmy się na Pobereżu, niegdys ludnej i pięknie zagospodarowanej przez Potockich i Koniecpolskich krainie, gdzie na żyznej glebie uprawiano kukurydzę, kawony i melony, brzoskwinie, morele, a nawet szparagi. Teraz większość tego była spalona. Ale miasto, stolica województwa, tym razem ocalało, chociaż tu i ówdzie rzucały się w oczy zniszczenia pamiętające jeszcze straszliwy najazd cara perekopskiego Dewlet-Gireja z 51 roku. Zasepiona Regina milczała cały czas, odezawszy się dopiero, gdy już dojeżdżaliśmy do miasta.

- Czy to panna Wapowska dała mi talizman?

- Tak.

- Miłujecie się?

- Nad życie.

- Wierzę. Weź to, proszę. Najwyższa pora, by i tobie przyniósł szczęście - oddała mi tatarski talizman.

Trochę pojaśniała. Rozumiałem ją. Jak każda niewiasta, choćby najbardziej cnotliwa, czuła się urażona moją obojętnością. Teraz przynajmniej wiedziała, dlaczego tyle czasu ignorowałem jej wdzięki, i nieco jej ulżyło. Wojewoda braclawski książę Janusz Zbaraski podjął nas nadzwyczaj gościnnie w zamku, a Reginę natychmiast powierzył pieczy księżnej i jej fraucymeru, obiecując dopilnować, by

406

dziewka bezpiecznie wróciła do domu. Nowiny, które usłyszałem od księcia, jedne były dobre, drugie złe.

- Panna Wapowska z wojskową asystencją zjawiała się sam kilka dni temu. W męskim przebraniu - skrzywił się nieznacznie - i to tatarskim. Ciężko przyszło dać wiarę, że to ona we własnej personie, szczęściem księżna widywała ją u królowej i rozpoznała. Nie mówiła wiele

o tym, co ją spotkało. Kęs czasu spędziła w Bakczysa-raju, gdzie nie było jej źle, gdyż znajdowała się pod pieczęcią Azameta Murzy, ponoć wasćanego pobratymca, który miał o nią staranie niczym o własną siostrę lub lepsze... Zali to prawda, żeście pobratani z Azametem?

- Prawda.

Nie zaskoczyło mnie to, co usłyszałem. Odkąd dowiedziałem się od Reginy o amulecie, domyśliłem się, kto porwał, a raczej wyrwał Jankę z łap Stadnickiego i Zborowskiego. Nie pojmowałem jedynie, dlaczego tak długo nie dawała znaku życia. Czyżby Azamet nie powiedział jej o mojej wizycie w swoim domu? A może nic o niej nie wiedział?

- I mnie to zdziwiło - przyznał książę. - Jednak okazało się, że najpierw pochorowała się i bliska śmierci dobre pół roku spędziła w łożu, dogładana przez najlepszych arabskich medyków, których dla niej Azamet Murza sprowadził aż z Carogrodu...

Przebóg! - pomyślałem - to wtedy musieliśmy się rozminąć!

- ... Wysiała potem listy do Dynowa, Krakowa i Warszawy przez panów Sargisa Issakowicza i Marcina Kajetanowicza, kupców ormiańskich ze Lwowa, lecz na Szlaku Murawskim zabili ich i ograbili Niżowcy. Potem powiózł następne listy pan Nazar Petrosjan, także Ormianin, który przebiegał się z towarem do Krakowa, ale i on przepadł bez wieści...

- Zginął, ogarnięty przez grasantów - wtrąciłem. - Znalazłem przy szczątkach jeden list, lecz był prawie nie do odczytania.

- ... No a potem orda ruszyła się z Krymu na Rzeczpospolitą, a w tym samym czasie Azamet Murza popadł w niełaskę u chana i niepewny własnego życia, wyprawił pannę Wapowską do ojczyzny, przydając jej do granicy zbrojną asystencję. Dalej musiała radzić sobie sama i poradziła wybornie. Zuch dziewczka! - zakończył z uznaniem.

- Dlaczego nie została w Braclawiu? Nie wiedziała, że jej szukam?

407

- Nie wiedziała nawet, że waść żyjesz! Doszło ją, żeś umarł w Dziśnie, powalony węgierskim morem. Dlatego wpięrow nie chciała żyć i sama omal nie uległa chorobie, a potem zwlekała z powrotem do kraju. Dopiero od imć Strusia dowiedziała się, żeś wyzdrowiał i odtąd nie ustajesz w poszukiwaniach. Z radości aż omdlała i musieliśmy wzywać doktora. Lecz nic mi nie było wiadomo, żeś wyprawił się ku Dzikim Polom. Tedy naparła się natychmiast ruszać do Winnik i Lwowa, i tam pytać o ciebie, a potem do Krakowa. Może ją jeszcze zastaniesz we Lwowie, jeśli się pospieszysz. Poleciałem pannę gościnie sławnego kupca tamecznego, Greczyna Korniakta. Pytaj o nią w jego domu przy Rynku.

- Kiedy wyjechała?

- Pozawczoraj.

W ten sposób mogliśmy się szukać do śmierci. A potem książę powiedział coś, co mnie zmroziło do szpiku kości.

- Bacz po drodze na Samuela Zborowskiego. Słyszałem, żeście powaśnieni na śmierć i życie. Wiesz już, że umknął Strusowi, a wczoraj widziano go kilka mil na wschód od Winnicy, ciągnącego ze znacznym pocztem na zachód, zaś ja nie mam tylu ludzi, by go pochwycić. Co waści się stało, cożeś tak poblądł?

- Azamet Murza nie porwał panny Wapowskiej. Uczynili to Stanisław Stadnicki i Samuel Zborowski, zaś mój pobratymiec wybawił ją z ich mocy. Jeśli Zborowski natknie się w drodze na pannę Wapowską, tedy już po niej, zwłaszcza że się go nie spodziewa, mniemając, iż został pochwycony przez pana Strusia...

Godzinę potem opuszczałem Braclaw. Książę nie mógł dać mi ludzi, lecz oferował konie, jednak wolałem swoje, niezmordowane mimo przebytej drogi. Przyjąłem jedynie pękata

sakiewkę, gdyż własne pieniądze dawno mi się skończyły. Na pożegnanie Regina Herbutówna rzuciła mi się na szyję, ucałowała w usta, szepnęła:

- Nigdy waści nie zapomnę. Ani tego, coś dla mnie uczynił. Nigdy! - i uciekła zawstydzona.

Ale wszystkie moje myśli biegły ku innej. Ponieważ księżę przydał Jance eskortę aż do Baru, a stamtąd pan Pretwicz miał ją bezpiecznie odstawić do Zbaraża, skąd mogła jechać dalej samopas, bo były to już strony w miarę bezpieczne (ale nie dla niej, jak się niestety okazało), i ja puściłem się tą drogą, czyli Kuczmańskim Szlakiem. Skoro Zborowski podążał Czarnym Szlakiem, a oba łączyły się

408

pod Zbarażem, zatem dopiero tam groziło Jance niebezpieczeństwo. W Barze ciągle dzieliło nas półtora dnia, ale w Zbarażu już tylko pół. Niestety, podstarość ksiązęcy, który podejmował Jankę gościnnie w tamecznej drewnianej fortalicji, miał dla mnie niepomyślną nowinę. Wkrótce po odjeździe dziewczyny, popod zamkiem, niespecjalnie się kryjąc, jakby nie wiedział, że jest poszukiwany, lub było mu to zgoła obojętne albo ufał w swoją bezkarność, przeciągnął Samuel Zborowski z licznym poczem zbrojnych, zapewne zdążając do Zborowa, miasteczka niedawno założonego przez Zborowskich w miejscu wioski Kuklińce i nazwanego od rodowego gniazda w Sandomierskiem. Dlatego czuł się tak pewnie. Popędziłem zmordowane konie. Nie zatrzymując się w Tarnopolu, od razu ruszyłem na Złoczów, za Jezierną, w przydrożnym lesie spostrzegłszy prześwitujące między drzewami cygańskie obozowisko. Dobiały stamtąd płacze i zawodzenie oraz dziwne stukoty. Tknięty złym przecuciem, skręciłem w tamtym kierunku.

Nie był to obóz, na niedużej polanie wozy stały bezładnie, jakby chodziło o niezaplanowany postój. Wielki dąb, z którego konaru jeszcze zwiślał urżnięty stryk, otaczała gromada Filistynów, jak na Rusi nazywano Cyganów. Przepchnąłem się przez ciżbę. Rozstępowano się przede mną. W niektórych oczach widziałem nienawiść, lecz w większości - lęk. Ale tylko w męskich, bowiem kobiety nie zważały na nic. Miotaly się niczym w tańcu świętego Wita, wyły i wrzeszczały rozpaczliwie. Pośrodku kręgu właśnie wkładano do świeżo zbitych ze starych desek trumien trzech mężczyzn z zuchwami podwiązanymi chustkami. Najmłodszego, z dziurą od kuli w czole, nie znałem, najstarszym był dobrze mi znany Petrus Par-nobala, cygański naczelnik, baw szew, starzec chyba stuletni, który zaopiekować się Janką w dziecięctwie. To jego powieszono, miał pręgę na szyi. Ale największy wstrząs przeżyłem na widok trzeciego nieboszczyka. Valdas niedźwiednik! Z okropnie rozbitą głową, ale bez wątpienia był to on. Cóż tu porabiał? Mały niedźwiadek, trzymany na uwięzi przez rosłego Cygana, piszcząc żałośnie, wrywał się do ciała. Odszukałem wzrokiem córkę zmarłego naczelnika, Randię, i podszedłem do niej.

- Poznajesz mnie?

- Widziałam cię kiedyś z Zielonooką - potwierdziła.

- Kto im to zrobił? - pokazałem trupy.

i

409

- Nie znam go, ale Zielonooka mówiła o nim: Zborowski. Oby z pieklą nie wyrżał, beng\

- Była tu?

Kiwnęła głową.

- Uciekała przed tym piekielnikiem. Szero rom Petrus, miłujący Zielonooką jak rodziną, chciał ją ukryć w taborze, ale ten obcy ryćaro, Valdas, który uciekając przed orądą, przyłączył się do nas na wiosnę, miał lepszy koncept. Widzisz tego rycia? - wskazała niedźwiadka. - Jest za mały i ów ryćaro uczył go dopiero, więc kupił gdzieś skórę

podrośniętego rycia i ubierał w nią przygłupiego rakło, Jura, żeby udawał prawdziwego rycia. Dzieciom to wystarczało.

- Zatem Janka zastąpiła owego Jura? - domyśliłem się.
- Nie inaczej. A jej konie nasi odprowadzili głęboko w las i zatarli ślady. Zborowski i jego ludzie przetrzasnęli cały taboro, lecz Zielonookiej nie znaleźli i pognali dalej.
- Ale wrócili.

W oczach kobiety błysnęły łzy.

- Tak. Byli bardzo źli, bo nie pochwycili Zielonookiej. Ten beng widać domyślił się prawdy, bo od razu strzelił między oczy rzekomego rycia. A gdy okazało się, że ubił Jura, bo Zielonooka zdążyła odjechać, wpadł w jeszcze większą złość i wekierą rozłupał głowę ryca- rowi, a potem kazał powiesić baro szeroko. Chciał spalić taboro, lecz jeden ze sług przekonał go, że ogień może ściągnąć starościńskich.

Podszedłem do przygotowanych dołów, do których już spuszczano trumny, wprzód zdjawszy kadawerom chustki z głów, przeżegnałem się i rzuciłem do dołów po grudce ziemi. Kiedy pogrzebali umarłych, puścili w koło flaszkę wódki. Każdy nim upił, strącał na mogiły kilka kropel.

- Pal mułengre dzi. Po waszemu: za dusze zmarłych - powiedział do mnie młody Cygan, podając mi flaszkę.

- To byli dobrzy ludzie - powiedziałem do Randii, której po spełnieniu powinności oddałem naczynie. - A Valdas był moim przyjacielem. Dokąd teraz pojedziecie? Wzruszyła ramionami.

- Dokąd oczy poniosą. Wpierw jednak popalimy ich statki, aby ogień ogrzewał im dusze w drodze do zaświatów, na której wieją zimne wichry. A potem rozpoczniemy pomana, stypę. Zostaniesz?

- Nie mogę. Zielonooka mnie potrzebuje.

410

- Jedź zatem. Pomścisz ich? - pokazała groby.
- Bądź pewna.
- Wierzę ci. Zielonooka mówiła, że nie ma dla ciebie nic trudnego.

Wskazali mi drogę, którą Janka wymknęła się Zborowskiemu, więc duktami leśnymi podążyłem naprzód, omijając Zborów i dopiero w Złoczowie wyjechałem na główny trakt. Kipiałem z niecierpliwości i lęku o Jankę, jednak w karczmie, w której stanąłem popasem, aby dać wytchnienie wierzchowcom, od dobrze poinformowanego gospodarza dowiedziałem się, że Zborowski jeszcze nie ruszył ze Zborowa. To mnie nieco uspokoiło. Stachnika w Winnikach nie było (nie wrócił jeszcze z Krakowa, gdzie bawił na ślubie i weselu pana Zamojskiego z Gryzeldą Batorówną, o czym już wiedziałem od księcia Zbaraskiego), więc się tam nie zatrzymywałem. Po południu następnego dnia ujrzałem podwójne mury, baszty i wieże Lwowa oraz górujący nad miastem zamek Wysoki i z dala widoczną szubienicę na sąsiedniej Górze Katowskiej alias Hyclowskiej.

Przez furtę w murze Niskim, a następnie przez bramę Halicką w murze Wysokim wjechałem do miasta. Tym razem mogłem przypatrzeć mu się dokładniej. Było mniejsze od Krakowa, lecz i tak wielkie i warowniejsze. Po wielkim pożarze sprzed ćwierćwiecza, który strawił większość starej zabudowy, już się podźwignęło. Nowe domy, zwłaszcza w Rynku, budowano na modłę włoską. Jak wszystkie miasta na Rusi, zaludniały Lwów rozmaite nacje: Polacy i Niemcy pośrodku, a dookoła Rusini, Żydzi i Ormianie. Minałem katedrę łacińską, ratusz i pręgierz, przy którym niedawno stracono hospodara Jankułę, i skuszony zapachem wstąpiłem do apteki „Pod Żłotym Jeleniem”¹, gdzie u uczynnego magistra Macieja Ziętkiewicza napiłem się dobrego wina i dowiedziałem, gdzie szukać domu kupca Korniakta. Wpierw myślałem, że chodzi o aż lśniącą od nowości kamienicę Czarną, ale aptekarz wyprowadził mnie z błędu. Konstanty Korniak rodem z Krety był tak bogaty, iż postawił sobie tak okazały

dom, istny pałac magnacki, że nazywano go kamienicą Królewską, albo nawet Małym Wawelem, gdyż posiadał wewnętrzny dziedziniec podobny do wawelskiego.

1 W kamienicy Gutteterowskiej z 1533 r. (aptekę, najstarszą we Lwowie, założono w 1574 r.).

411

Kupca nie zastałem, lecz jego majordomus, początkowo nieufny, na dźwięk imienia książęcego odtajał jak śnieg na wiosnę i ochoczo poinformował mnie, że owszem, panna Wapowska bawi jeszcze w pałacu i dziś z pewnością nigdzie się nie wybiera. Kamień spadł mi z serca. Poprosiłem rządcę, by na razie nie wspominał Jance o mojej wizycie, i zapowiedziałem się na popołudnie. Przy okazji dostałem adres najlepszego zajazdu w mieście.

Zanim jednak tam się udałem, wstąpiłem do kramów, by kupić nowe odzienie, a potem do łaźni, gdzie spędziłem dobre dwie godziny, mocząc się do syta, dając ostrzyc i ogolić.

Odświeżony, odszukałem zarekomendowaną karczmę noszącą miano jak na gród Lwa (miasto założył książę halicki Lew I w XIII stuleciu>przystało -„Pod Złotym Lwem”).

Dopilnowałem, by słudzy należycie zajęli się moimi końmi, po czym przekroczyłem drzwi gospody, już od progu słysząc znajomy głos, wyśpiewujący na całe gardło:

Wziąłbym ja bandurę I zagrał, co umiem, Bo przez tę dziewczynę Lirnikiem zostałem. A wszystko przez te oczy, Gdybym ja je miał, Za te piwne oczy Duszę ja bym dał. Marusieńko, serce, Pożałuj-że mnie, Weź-że moje serce, A oddaj mi swe.'

- Wojtaszek!

Bandurzysta porwał się na mój widok od stołu.

- Pan Ryx!

Wtedy podniósł się z ławy postawny jegomość w węgierskim stroju.

- Zapraszam do kompanii, mości Hiropoński. Poznajesz mnie waść?

1 Namdni perłyny, Kijów 1971, s. 194.

412

- Poznaję, panie Cobar - odparłem, przyjmując zaproszenie i w ostatniej chwili przypominając sobie jego nazwisko. Po prawdzie, to ledwo go pamiętałem, może ze trzy razy napotkawszy podczas oblężenia Pskowa. Długoraj skwapliwie przesunął się, robiąc mi miejsce. - Cóż waszmość sam porabiasz, i gdzie jest pan Zyberk?

Ci dwaj Madziarzy byli nierozłączni. Cobara kojarzyłem jednak lepiej, gdyż wyuczył się naszej mowy i władał nią wybornie.

- Obaj z imię Zyberkiem wojowałem z Tatury. Zyberk wczoraj ruszył ku Krakowowi, jam zasię zmarudził, zwabiony cudnymi pieniemi tego sam młodzianka - wskazał Wojtaszka, który się zarumienił, rad z pochwały.

Obaj mieli w czubie, ale citharoedus bardziej. Zamówiłem u gospodarza, który tymczasem się przybliżył, rad z nowego gościa, ponieważ w karczmie nie było tłoku, jadło i napitek dla siebie oraz kwatery na noc, po czym spytałem lutnistę:

- Gdzie twój pan?

- W Zborowie.

- Chodzi o Samuela Zborowskiego - wyjaśniłem Cobarowi.

- Jezus, Maria! - wykrzyknął wstrząśnięty. - Tego, którego Ni-żowcy obwołali hetmanem? Który najechał Jahorlik i Bendery i omal wojny z Portą nie spowodował?

- To jeszcze nic! - pochwalił się Wojtaszek, czknąwszy. - Żebyście wasze miłości wiedzieli, co teraz zamiaruje, to...

Umilkł, nagle przetrzeźwiały i jakby wystraszony.

- Posłuchaj, chłopcze, jeśli coś ci wiadomo o knowaniach twego pana, powiadaj zaraz jak na spowiedzi, bo... - zaczął Węgier, lecz kopnąłem go pod stołem, dolałem chłopakowi gorzałki i przepiliśmy.

- Zaśpiewaj coś - zaproponowałem.

Nie dał się długo prosić.

- Tegoż.

Wierzcie, rycerze, Na nic pancerze,

Na nic się tarcze zdały!

Przez stal, żelazo W serce się wrażą

Kupida celne strzały!

413

- Pięknie! - zachwycił się Cobar i teraz z kolei on dołał muzykantowi.

Lecz gdy pawęża Hardego męża Przed grotem nie obroni -Mdła białogłowa Jakże się schowa
I gdzie się biedna schroni?

- Bravo, bravissimo! Luby młodzieńcze, z takim głosem powinienes śpiewać na
królewskim dworze. Moglibyśmy z imć Ryksem polecić cię najjaśniejszemu panu - teraz to
Węgier kopnął mnie pod stołem.

- Naprawdę? - ożywił się Długoraj.

- Owszem - potwierdziłem. - Marnujesz się u swego lotrow-skiego pana. Nie chcesz
chyba razem z nim położyć głowy na katowskim pniu?

- Gospodarzu! - Węgier kiwnął na karczmarza. - A podaj no tu szybko najlepszej zupy,
małmazji i konfektów dla naszego muzykanta boskiemu Orfeuszowi podobnego!

Kiedy lutnista zażerał się i popijał, aż mu się uszy trzęsły, Cobar wyjął zza pazuchy pękaty
pulares i zaczął się nim bawić od niechcienia. Długoraj przerwał jedzenie i patrzył na pulares
jak zaczarowany. Węgier wydobył zeń florena w ten sposób, że ukazał przy okazji całą
bogata zawartość pugilaresu. Chłopakowi zaświeciły się oczy, a ja podziwiałem misterną grę
Madziara.

- Masz - położył przed Wojtaszkiem czerwońca. - I zdradź, co knuje twój pan.

A gdy w bandurzyście chciwość walczyła o lepsze z obawą, przypomniałem mu:

- Pomnij, co Samuel chciał ci uczynić. Zamierzał go wytrzebić -wyjaśniłem Cobarowi.

- Kiedy aż zgroza pobiera, kiedy się pomyśli o zamiarach panów Zborowskich, i strach
o tym gadać - jęknął chłopak na pół przekonany.

- Mów, a nie pożałujesz - naciskał Węgier, znów bawiąc się pularesem.

414

- Dobrze! Niedawno pan Zborowski otrzymał listy od swych braci, Christofa i Jędrzeja,
wzywające go do powrotu i połączenia się, po to, by... Nie mogę!

- Mów! - Cobar przesunął ku niemu następną monetę.

- Chcą króla trucizną ucześnieść, a kanclerza o życie przyprawić, ot co!

Wyrzuciwszy to z siebie, otarł pot z czoła jedną ręką, drugą podniósł do ust puchar i wychylił
zawartość duszkiem.

- Masz na to dowody? - spytałem.

Kiwnął głową.

- Mogę mieć. Wiem, gdzie pan Zborowski trzyma listy. Ufa mi, dlatego zezwolił
odwiedzić krewnych we Lwowie, sam bowiem zamierza ominąć miasto.

Nalał sobie i chciał wypić, lecz Cobar chwycił go za rękę.

- Wystarczy! Posłuchaj uważnie: jeśli jutro dostarczysz nam te listy, hojna nagroda cię
nie minie. Ale żeby zdażyć, musisz ruszać bezzwłocznie.

- On mnie zabije!

- Nie - wtrąciłem. - Będę tu na ciebie czekał, a potem razem wyruszymy co koń
wyskoczy do Krakowa.

- A ja podeślę kilka koni i ludzi do Glinian, do zajazdu na rozstajach. Znasz go? -
uzupełnił Węgier.

- Znam.
- Będą na ciebie czekali i w razie czego pomogą ująć przed pościgiem.
- Niech tak będzie.

Błady, lecz już zdecydowany i niemal trzeźwy, Długoraj sięgnął po bandurę i wstał.

- Jadę!'
- Zaczekaj jeszcze - powiedział Cobar i wydobył z pularesu kartkę papieru. - Gospodarzu! Macie gdzieś pióro i inkaust? To dajcie.
- Szybko zapisał kilka wersów, po czym podsunął pismo Wojtaszkowi do podpisania.
- Jak nie potrafisz, postaw krzyżyki, imć Turopoński potwierdzi prawdziwość.
- Co to jest? - chłopiec nieufnie obracał w rękach kartkę.
- Twój oblig, że jutro dostarczysz dowody knowania twego pana na zgubę króla i kanclerza. Nie bój się, to jeno prezerwatywa

415

na wypadek, gdybyś się rozmyślił - rzucił mu następnego florena i ponaglił: - Podpisz! Lutnista podpisał, po czym wybiegł jak oparzony.

- No i co waść o tym sądzisz? - spytał mnie Cobar, napelniając nasze szklance.
- Wybornie to waść rozegrałeś. Jeśli zdobędziemy te listy, Zborowscy już się nie wywiną.
- Też tak myślę - nadał się z dumy. - Zaraz pchnę umyślnego do imć Zyberka, aby natychmiast wracał, po drodze zostawiając co kilka mil po dwa rozsądzone wierzchowce...
- Trzy.
- Niech będzie trzy. Kiedy Zyberk sam dotrze, będziemy mieli dość sił, by powstrzymać ewentualny pościg i dać wam czas na ucieczkę.

Ucztowaliśmy potem, aż Cobar zwałił się pod stół, i słudzy musieli go odnieść do kwatery położonej obok mojej. Ja się oszczędzałem, markując tylko picie, po czym podążyłem do domu Korniakta. Kupca wciąż nie było. Poprosiłem majordoma, aby zapytał pannę Wapowską, czy zechce przyjąć Kacpra Ryksa. Zanim odszedł, powiedział coś, co mnie zmroziło:

- Ktoś drugi też o nią pytał, może przed godziną.
- Kto?
- Wysłannik jego wielmożności księcia Zbaraskiego. Spytał jeno, czy panna zdrowo i cało dotarła na miejsce, i zaraz sobie poszedł.

Z okna w sieni ostrożnie wyjrzałem na ulicę, ale niczego podejrzanego nie zobaczyłem. Po chwili, poprzedzany przez sługę, wchodziłem po dębowych schodach na piano nobile, ślepy na wspaniałe wyposażenie kamienicy. Aż spocilem się z nerwów. Nie widzieliśmy się przecież trzy długie lata. Jak mnie przyjmie? Czy nie zapomniała? Czy jeszcze kocha? Noga, która od dawna mi nie doskwierała, nagle dała znać o sobie. Przed drzwiami zrobiłem dwa głębokie wdechy. Zapukałem.

- Proszę.

Wszedłem na miękkich nogach. Widać czytała coś przy świetle padającym od wielkiego okna, bo na pulpicie leżała rozłożona księga. Uprzedzona, stała, gdy wszedłem, jedną ręką wspierając się o blat, jakby miała upaść. Chyba całe wieki staliśmy i patrzyliśmy na siebie, nic nie mówiąc.

416

- Jesteś całkiem siwy - szepnęła nareszcie.
 - To ze strapienia. Mniemałem, żeś przepadła na wieki.
 - Też myślałam, żeś umarł. I ja chciałam umrzeć, lecz zabrakło mi odwagi. Więc wróciłam.
 - Jeszcze piękniejsza niż wprzódy. Tylko nieco ciemniejsza na licu.
- Dotknęła policzka i uśmiechnęła się.

- To zejdzie, jeno nie od razu.
- Mnie nie przeszkadza. Mogę poczekać.
- Miłujesz mnie jeszcze?
- Jak możesz pytać? A ty?
- Jak nikogo i niczego na świecie.

Wyciągnęła rękę. Podałem jej swoją. Usiedliśmy na sofie. Mieliśmy sobie mnóstwo do opowiedzenia.

- Zborowski ścigał nas aż za Zbaraż. Dopiero gdyśmy wpadli na Czarny Szlak, dał pokój i zawrócił. Azamet Murza chciał mnie odwieźć do Braclawia, lecz w drodze ogarnął nas zagon Niżowców, którzy zwiedzieli się o czambule, a za nic mieli królewski list żelazny Azameta i jego godność posła. Ledwieśmy się im wyrwali, tracąc połowę ordyńców. Z tego wszystkiego rozchorowałam się ciężko i gdyśmy dotarli na Krym, a poprawy nie było, Azamet przy okazji zawożenia listów od chana do sułtana, poszukał dla mnie najlepszych medyków w Carogrodzie i przywiózł ich do Bakczysaraju...

- Byłem tam nieco wcześniej, ale powiedziano mi, że cię tam nie ma - opowiedziałem jej o swojej nieudanej wizycie, liście, który przesłałem Azametowi przez dragomana i o naszym rozminięciu się z murzą.

- Żaden list nie dotarł, a stary sługa powiadał tylko, że nawiedził dom ktoś z ówczasie tam bawiącego polskiego poselstwa, lecz nie bardzo pojął, o co mu szło. Myślał, że o wykupienie jakiejś niewolnicy. Zresztą Azamet dla bezpieczeństwa utrzymywał moją obecność w sekrecie. Ale traktował po królewsku, że chyba jeno ptasiego mleka mi brakowało. Trzymał co prawda w haremie, to jest części pałacu wydzielonej dla swych żon i nałożnic, i niedostępnej dla drugich mężczyzn, lecz w osobnej komnacie i z dwoma niewolnicami Rusinkami do posług. Żebym się nie nudziła, sprowadził dla mnie wiele ksiąg łacińskich i greckich, a nawet arabskich razem z rzezańcem tłumaczem. A potem, kiedy już wydobrzałam...

417

- Wiem, co było potem - przerwałem. - Mówił mi książę Zbaraski. Nie wiem, jak się wywdzięczę Azametowi Murzy za to, co dla nas obojga uczynił. Chyba musisz to z powrotem założyć.

Podalem jej talizman.

- Przebóg! Skąd go masz? Dałam go jednej znajomej dziewczce...

Teraz nadeszła moja kolej na dłuższe opowiadanie. Uratowanie

Reginy bardzo ją uradowało. Popłakała się, dowiedziawszy się, że chłopiec, stary Cygan i Valdas przypłacili życiem pomoc, której jej udzielili.

- Cóż to za potwór bez serca! - krzyknęła przez łzy i ścisnęła mocno moją dłoń. - Kacper! Czy on już nigdy nas nie poniecha!?

- Nie trap się. Jutro dostanę sznur, na którym zawieszę - zapewniłem ją i objąłem wolną ręką.

Przyłgnęła do mnie cała drżąca. Pocałowałem ją. Nie wiem, jak to się stało. Nie planowałem tego, choć marzyłem o takiej chwili od lat. Nagle nasze dłonie i usta ożyły i wymknęły nam się spod kontroli. Całowaliśmy się tak łapczywie, jakby to miały być nasze ostatnie chwile na ziemi, równocześnie z niecierpliwą gwałtownością zrzucając z siebie wzajem odzienię, aż zostaliśmy nadzy niczym przy narodzeniu. W życiu nie widziałem tak smukłej szyi, foremnych piersi, cudownie zaokrąglonych bioder i wysmukłych nóg. Moje drżące dłonie i wargi nie mogły się nasycić jej aksamitną skórą. Moje ciało aż wibrowało z rozkoszy, gdy jej długie palce wodziły po moich bliznach. Wreszcie, płonąć z namiętności, złączyliśmy się w jedno. Wtedy poznałem, co to prawdziwa rozkosz. Ekspłodowałem, niemal tracąc przytomność. Długo leżeliśmy, wciąż objęci, niewyobrażalnie szczęśliwi, dysząc i dochodząc do siebie, po czym zaczęliśmy wszystko od nowa. Tym razem wolniej, smakując po

wielekroć każdy gest, każde dotknięcie. Kiedy skończyliśmy, za oknem zaczęło się ściemniać.

- Muszę już iść - rzekłem, odziewając się pospiesznie. - Przeze mnie wezmą cię na języki.

- Nie dbam o ludzkie gadanie - odparła z szerokim uśmiechem. - Żałujesz?

- Wiesz, że nie. Cieszę się, bo teraz już nie masz wyjścia. Musisz prędko za mnie wyjść, jeśli nie chcesz zostać kobietą upadłą.

- Jeśli to oświadczyzny, to osobiwe i nieco spóźnione. Ale rozważę twoją propozycję.

418

Umówiliśmy się rano w gospodzie. Pożegnalny pocałunek przedłużył się tak, że omal nie skończyło się jak poprzednio. Wtem usłyszałem stuk drzwi wejściowych na dole i podniesione głosy. Zatem przeczucie mnie nie omyliło.

- Szybko! Odziewaj się. Zborowski cię znalazł.

Pobladała, lecz nie straciła ani sekundy, błyskawicznie ubierając się w męskie szaty.

Przewiesiła biesagi przez ramię i wymknęliśmy się z komnaty.

- Tędy! - chwyciła mnie za rękę i pobiegliśmy na górę, ponieważ napastnicy już przełamali wątpy opór czeladzi i ich buciory stukotały na schodach.

Zdażyłem jedynie przekręcić klucz w zamku i wrzucić go do kieszeni. Wyłamanie drzwi powinno tamtych na chwilę zatrzymać. Minęliśmy izby służących na drugim piętrze, nie napotykając nikogo, ponieważ hałas zwabił wszystkich na dół, i znaleźliśmy się na strychu, po czym - po drabinie - na dachu. Chciałem przedostać się na dach sąsiedniej kamienicy, ale Janka pociągnęła mnie na zadź, gdzie do domu przytykała stajnia.

- Skacz! - przykazała.

Dotychczasowe wyczyny dały się we znaki mojej nodze, która dotąd przyjmowała wszystko ze zrozumieniem. Jednak co za dużo, to niezdrowo. Wybrałem więc bezpieczniejsze rozwiązanie i uczepiłem się sterczącego blaszanego rzygacza, który zgiął się pod moim ciężarem. Zjeżdżając po nim, zaoszczędziłem na wysokości. Janka zrzuciła mi sakwy i poszła w moje ślady. Zsuniecie się z dachu stajni było już fraszką. Dopiero gdy zobaczyłem świetne wierzchowce Janki, pojąłem, dlaczego nie chciała uchodzić bez nich. Wypadliśmy, przez otwarte wrota w ostatniej chwili, roztrzając po drodze czterech semenów, którzy próbowali nas zatrzymać. Cobar, jeszcze niezupełnie trzeźwy, nie pytał o nic, biorąc Jankę za mojego pacholika, zresztą całą jego uwagę zajęły dwa pyszne bieguny, które otrzymała w pożegnalnym darze od Azameta Murzy, razem z tysiącem weneckich cekinów ukrytych w sakwach juczych. Noc przyszło mi przespać na niezbyt czystej podłodze.

- Nic z tego - powiedziała Janka, gdy próbowałem się umościć obok niej na posłaniu. - Zadatek już dostałeś, reszta po ślubie.

Po śniadaniu, w towarzystwie obu Węgrów, gdyż Zyberk nadciągnął przed świtem i teraz ziewał z niewyspania, zajęliśmy się

419

wybraniem trzech najlepszych wierzchowców z zasobów Cobara, ponieważ, podobnie jak moje konie, turki Janki były wyczerpane i nadawały się jedynie na luzaki, dlatego potrzebowaliśmy wypoczętych zwierząt. Pół godziny później wciąż nie było muzykanta i zaczęliśmy się niecierpliwie.

- Czyżby się rozmyślił? - spytał mnie Cobar.

- Nie sądzę. Przecież mamy podpisany przezeń papier. Lękam się, czy mu się coś nie stało.

Po upływie następnej półgodziny na majdan przed gospodą wpadł, jakby go diabli gonili Długoraj, a za nim zbrojna asystencja wysłana mu naprzeciw przez Cobara.

- Masz? - spytał go Węgier.

- Mam - odparł, zeskakując z wierzchowca.

Obstąpiliśmy z Zyberkiem Cobara, gdy niecierpliwie rozkładał listy, sprawdzając pieczęcie i podpisy. Już pobieżna lektura wystarczyła, by pojąć, jaki skarb wpadł nam w ręce. Na przykład w jednym z listów Krzysztof Zborowski pomstował na Zamojskiego i króla Stefana: „Tak tedy rzeczy nasze z tym królem, si hoc nomine dignus est¹, stoją, że już classicum cecinerunt² zagnieść i w niwecz obrócić dom nasz. Zaczem i leda wrony krakają, acz w tył i za uszyna, ale krakają przed się, gdzie jedno zajrzą jastrzębia³. Cóż tu czynić? Przed się tak czynić i postępować sobie, jako mężom przystoi: Ta ne cede malis, sed contra audentior ito⁴”.

- Wystarczy - rzeki Cobar i złożywszy starannie cały pakiet, wręczył go mnie. - Pilnuj go waść jak źrenicy oka i co prędzej dostarcz królowi. A ty, chłopcze, dobrze się spisaleś. Naści.

Rzucił lutniście pękata sakiewkę. Dosiedliśmy nowych wierzchowców, własne prowadząc luzem.

- Bywajcie i dojeździe szczęśliwie - powiedział Cobar, na pożegnanie podając mi dłoń.

- Rozsadzone konie będą na was czekały w Jarosławiu i Tarnowie. Szerokiej drogi!

Około trzydziestu pięciu mil węgierskich dzielących Lwów od Krakowa przebyliśmy w trzy dni. Ja i Janka przywykliśmy już do takich szalonych galopad, ale Wojtaszek jęczał i narzekał. Nie

1 Jeśli godzien tego imienia (lac.).

2 Dali sobie znak (lac.).

3 Zborowscy pieczętowali się herbem Jastrzębiec.

4 Ty nie ustępuj złym, lecz idź naprzeciw nich odważnie (lac.).

420

przejmowaliśmy się nim jednak i nie oszczędzaliśmy zwierząt. Cały czas spoglądaliśmy wstecz, obawiając się pogoni. Jeśli jednak poszła, to nas nie doścignęła. Mimo to Samuel musiał spostrzec brak listów i lutnisty, i jego goniec przybył z wieścią do Krakowa przed nami, co doprawdy granoczyło z cudem.

Kiedy zatem dotarliśmy na Wawel, już na nas czekano. Ledwie zdążyłem przy Górnej Bramie opowiedzieć się strażom i oznajmić, że mam ważne listy, które mogę przekazać jedynie królowi lub kanclerzowi, gdy nadbiegło kilkunastu zbrojnych i otoczyło naszą trójkę, zaś dowodzący oficer wystąpił naprzód i zapytał rozkazującym tonem:

- Który z was to Wojciech Długoraj?

- Ja - szepnął chłopiec zmartwiały ze strachu ustami.

- Złaż z konia, jesteś aresztowany. I oddaj listy.

- Siedź - rzekłem do Wojtaszka, kładąc mu uspokajająco dłoń na ramieniu. - A listy mam ja, panie oficerze.

- A ty co za jeden?

- Kacper Ryx-1\iropoński, inwestygator królewski.

Stropił się odrobinę. Mój osobliwy tytuł zazwyczaj budził taką reakcję u postronnych.

- Do was dwóch - ogarnął gestem także Jankę - nic nie mam. Oddaj listy i możecie swobodnie odjechać.

- Listy oddam jedynie jego królewskiej mości lub kanclerzowi wielkiemu do rąk własnych - odparłem stanowczo.

- Listy! - równie stanowczo i zdecydowanie wyciągnął rękę.

- Nie.

- Brać ich! - rozkazał pachołkom, a ci groźnie pochyłili halabardy.

Wyszarpnąłem pistolet z olstra. Zdążyłem wystrzelić tylko raz, nim opadli nas drabanci.

ROZDZIAŁ 9 | KARA

Okolice Adrianopola, wrzesień 1583 roku

Jakub Podlodowski herbu Janina, koniuszy królewski, którego Batory wysłał do Porty oficjalnie po zakup koni, a także by wysondował tamtejsze nastroje, zaognione ostatnimi czasy przez inkursje tatarskie na Rzeczpospolitą z jednej strony, a chadzki kozackie na Ttirceję z drugiej, był w podłym humorze. Jeszcze w Anatolii, jeżdżąc tam i sam i starannie wybierając kilkanaście pysznych arabów najlepszej krwi, miał okazję przyjrzeć się sułtańskiemu wojsku idącemu na Persję. Już wtedy czuł, że gospodarze przypatrują mu się podejrzliwie, zwłaszcza iż armia turecka prezentowała się dość marnie. Nie miał jednak doświadczenia w dyplomatyce, więc zlekceważył pierwsze ostrzegawcze sygnały. Drugie ostrzeżenie dostał w Konstantynopolu. Będąc urodziwym mężczyzną, do tego blondynem, a także wybornym jeźdźcem, któremu nie dorównywał żaden T\irek, a nawet większość Arabów, nie mógł się powstrzymać od popisów na ulicach stolicy, po których rad paradował, przy okazji chwalać się swymi nabytkami, co wzbudzało podziw u jednych, a zawiść u drugich.

Nareszcie został poproszony przed oblicze wielkiego wezyra, który w imieniu padyszacha w dość ostrym i kategorycznym tonie poprosił go o natychmiastowe opuszczenie ziem sułtańskich. Nawet wówczas ociągał się jeszcze, dopóki życzliwy mu faworyt sułtański Mustafa, zbisurmaniony arianin, wybornie władający łaciną, nie wyjaśnił mu, że zwlekając, naraża życie, ponieważ Hirków bardzo rozeźliła napaść Niżowców na Jahorlik i Bendery, przez co nawet rozważano całkowite zerwanie stosunków z Rzeczpospolitą. Przeklinając w duchu Samuela Zborowskiego, winowajcę tych wszystkich turbacji, nieniekpokojony opuścił wreszcie Carogród. Ale naprawdę odetchnął z ulgą dopiero wtedy, gdy z oczu zniknął mu widok kościoła Hagia Sophia, przerobionego przez mahometan

422

na meczet i otoczonego czterema wysokimi minaretami. Zatrzymał się w niewielkiej wiosce opodal Adrianopola, posiadającej wszak dość obszerny karawanseraj, zwany z turecka han. Roilo się tu od kupców z różnych stron świata, zdążających do Stambułu lub stamtąd powracających. Biali, czarni, brązowi. Arabowie, TUrscy, zbisurmanieni Słowianie, Ormianie. W turbanach, burnusach, fezach i kołpakach, przekrzykujący się w najrozmaitszych językach. Na majdanie przed gospodą ryczały, kwiczały, parskały i tupały dziesiątki koni, osłów i wielbłądów. Smród ich szczytn i mierzwy aż wiercił w nosie.

Jednak ten wschodni gwar, do którego już przywykł, podzielał nań uspokajająco. Dlatego nawet nie narzekał na brudną i zarobaczoną kwaterę, którą przyszło mu dzielić z jakimś grubasem cuchnącym zjełczalym baranim tłuszczem, który na szczęście wyszedł i miał wrócić dopiero przed nocą. Już poprzedniego dnia pchnął zaufanego człowieka do Siawuszabazy, namiestnika Bułgarii, potoczonego Węgra z Siedmiogrodu, przyjaznego Batojemu. To była tajna i najbardziej niebezpieczna część jego misji. Chodziło o porwanie i wydanie za dziesięć tysięcy talarów renegata Markhazy'ego, komendanta nadgranicznej Lipy, który nekął Siedmiogrodzian. Wysłannik Siawusza zjawił się pod wieczór, jak było umówione, odebrał pieniądze i w imieniu swego pana zapewnił, że druga strona wypełni swoje zobowiązanie. W sumie wszystko przebiegło gładko, a wyglądając przez okno, upewnił się, że nikt nie śledził posłańca baszy. Nareszcie mógł odetchnąć z ulgą. Usypiając, nie miał żadnych złych przeczuć.

Obudziło go brutalne szarpnięcie za ramię. Pierwszy brzask z trudem zaglądał do izby przez zapaskudzone szyby. Otworzywszy oczy, ujrzał nad sobą brodatą, okrutną twarz. Chciał krzyknąć, ale brutalny cios, który pozbawił go kilku zębów, stłumił krzyk w zarodku. Wywleczono go zaraz przez zupełnie pusty zajazd na dziedziniec, także całkowicie pusty, nie licząc jego ludzi, wyrwanych ze snu jak on, półnagich i drżących ze strachu. Czereda hultai wynosiła z gospody ich statki, ze stajen wyprowadzano zakupione przez niego araby. Coś zastanowiło go w wyglądzie rzekomych grasantów. Zachowywali się jak żołnierze,

wykonyjący rozkazy oficera w misiurce, który go pobił. Kilku z nich zresztą kolczugi wystawały spod kozuchów, czego zbytnio nie starali się
423

ukryć. No i ta pustka w ludnym jeszcze wieczorem zajeździe. To nie mógł być przypadek, tylko zemsta. Albo Markhazy'ego, który skądś dowiedział się o królewskich zamiarach wobec niego, albo wielkiego wezyra za Jahorlik i Bendery. Raczej to drugie. Powalony na kolana, musiał słuchać rozpaczliwych krzyków swoich sług, którym na jego oczach ścinano głowy. Kiedy przyszła jego kolej, zdążył szepnąć:

- Za moją i drugich krzywdę obyś oddał głowę katu i nie wyjrzał z piekła, Samuelu Zborowski!

Okolice Krasnegostawu, październik 1583 roku

»

Na widok gromady zbrojnych wyłaniających się z lasu przy gościńcu eskorta natychmiast uciekła gdzie pieprz rośnie. Woźnica zaciął konie i próbował się przedrzeć przez zamykające się wokół karety kolisko, lecz strącony celnym strzałem, zwałił się z kozła na pobocze. Podczas gdy semeni wypinali konie, strojny jeździec podjechał do karocy i zeskoczył z wierzchowca. Szarpnął drzwiczki i warknął:

- Wysiadać!

Dwie niewiasty tuliły się wewnątrz do siwego mężczyzny wyglądającego na bogatego kupca, który próbował nadrabiać miną.

- To gwałt! Odpowiedcie za to, panie Stadnicki!

- A więc znasz mnie, łyku! To dobrze. Poznaj zatem lepiej - bez ostrzeżenia strzelił kupcowi w głowę.

Kobiety wrzasnęły z przerażenia. Nie zważając na ich krzyki, Diabeł Stadnicki brutalnie oderwał starszą od młodszej, wywłókł na zewnątrz i pchnął w stronę semenów.

- Stara, ale jeszcze jara. Zabawcie się do syta, a potem... - przeciągnął palcem po szyi.

- Matko! - krzyknęła młodsza niewiasta, prawie dziecko, porzucając trupa ojca i rzucając się do drzwiczek, ale Stadnicki pchnął ją do środka.

Podczas gdy rozochoceni pacholki, rechocząc w głos, zaciągali nieszczęsną w krzaki, mimo jej oporu i rozpaczliwych lamentów, nadjechał Zborowski z Ruskim i Bałabanem, spóźniony, gdyż

424

koń mu okulał. Stadnicki wskazał Zborowskiemu otwartą karocę i półprzytomną dziewczynę.

- Nie musiałeś tego robić - odparł tamten na widok martwego kupca. - Mieliśmy się tylko zabawić.

Wzdrygnął się, przeżywając déjà vu. Przypomniała mu się scena sprzed lat, po wizycie u Elżbiety Batorówny. Ale teraz nie odczuwał żadnego podniecenia. Raczej nieokreślony niepokój.

- Nie marudź, Samku. Bierz się do roboty. Ja po tobie.

- Nie. Hej tam, swołocz, poniechajcie tej starej, a nuże! A ty, moja panno, wyzbądź się obaw...

Ale gdy mówiąc to, wskoczył na stopień, było już za późno. Nieszczęsne dziewczę wbiło sobie w żywot ozdobny sztylet, zawieszony u ojcowskiego boku. Umierała na tyle długo, patrząc na swego prześladowcę przepełnionymi bólem i wyrzutem oczyma, że nawet jemu, zaprawionemu wszak w podobnych widokach, zrobiło się nieswojo. Mróz przeszedł mu po kościach, jakby i jego śmierć musnęła rąbkiem swej szaty.

Po obrabowaniu trupów odcięto im głowy, wrzucono do saka i zabrano ze sobą, by uniemożliwić dochodzenie. Nie ma głowy, nie ma zbrodni, nie ma winowajców, nie ma sprawy. Proste.

Zborów koło Buska, maj 1584 roku

Kat wziął potężny zamach i po chwili głowa skazańca spadła z pnia i potoczyła się po burku, kilkakrotnie podskakując niczym piłka...

- Chryste!!!

Obudził się zlany potem, wciąż krzycząc. Senny koszmar nawiedzał go od wielu dni. Od śmierci tamtej dziewczyny. Dlaczego, skoro nawet jej nie tknął? Miał na rękach krew wielu ludzi, lecz do tej pory nie nękały go żadne wyrzuty sumienia. Sen był zawsze ten sam i zawsze budził się z boskim imieniem na ustach. Do izby wpadł przestraszony Ruski.

- Co się stało, wasza miłość!?

- Nic, stary. To samo co zwykle. Znów miałem ów okropny sen.

- Sen mara, Bóg wiara - próbował go pocieszać totumfacki.

425

- Nie, to coś więcej. Mój czas dobiega końca - będąc człowiekiem przesądnym, uwierzył, że niedawne zaćmienie słońca wieszczyło mu śmierć. Co prawda Hirczyn czarnoksiężnik, którego trzymał przy sobie, by go uczył czarnej magii, zaprzeczył temu, lecz Samuel wiedział swoje. - Złapaliście Ryksa?

Poprzedniego dnia otrzymał dwa listy od braci. Jan przysłał z Grudziądza pismo, w którym zaklinał Samuela na wszystko, by omijał Kraków z daleka i ostrzegął, że król wezwał braci na letni sejm do Lublina, by wytłumaczyli się w sprawie listów, w których nazywali go Batem. Z kolei Andrzej, z którym niedawno widział się w Sandomierzu, przysłał gońca z wieścią, że Samuel jest cały czas śledzony, i zaklinał go, by co najmniej kilka dni nie ruszał się ze Zborowa. W Sandomierzu poszukiwał go bowiem Uhrowiecki i co prawda już odjechał, ale potem pojawił się w mieście szpieg, którego rozpoznano. Nazywał się Ryx. Umknął on jednak sługom Andrzeja i podążył w trop za Samuelem. Przeto Samuel niezwłocznie posłał zbrojnych do Stopnicy, gdzie poprzednio popasał, by ujeli szpiega.

- Niestety, wasza miłość. To charakternik. Zabił dwóch, czterech poszczerbił, w tym Borosia, i zdołał zbiec. W stronę Piekar - dodał sługa znacząco, tonem pełnym troski.

- Jezus, Maria! - wykrzyknął Samuel, który nie dalej jak wczoraj odesłał tam niespełna pięcioletniego synka, Olesia, ponieważ Piekary należały do kuzynki, Katarzyny ze Zborowskich Włodkowej. - Chcą porwać mi dziecko!

- Nie inaczej - westchnął Ruski.

Przestraszony, czekał na wybuch gniewu swego pana, który jednak nie nastąpił. Zborowski jedynie pokiwał głową z rezygnacją, jakby niczego innego nie oczekiwał. Jeszcze kilka dni temu był pewny siebie, buńczucznie chwając się wszem i wobec, w jaki sposób zamierza przyprzeć do muru Zamojskiego i zwabić go w pułapkę. Teraz pojął, że być może to on został schwyty w potrzask, a niewidzialne stalowe szczęki właśnie się zaciskają. Co gorsza, naraził życie ukochanego synka. Raptem pożałował miotanych na prawo i lewo pogroźek pod adresem kanclerza. Już sam nie był pewien, czy rzeczywiście zamierzał zgładzić Zamojskiego, czy raczej bawiło go granie na nosie wszechwładnemu faworytowi króla. Zamojski w Opatowie - on w Sandomierzu. Zamojski

426

w Szydłowie - on w Stopnicy. Zamojski w Wiślicy - on w Zboro-wie. Wyobrażał sobie bezsilną wściekłość kanclerza i jego strach i cieszyło go to jak psotnego chłopca. Ale przeszarżował i tym razem Zamojski nie puści mu tego płazem. Trzeba co prędzej zabierać dziecko i uchodzić z kraju na dobre. Olesia zostawi u cesarza, a sam pojedzie do Francji, do króla Henryka. Albo do Italii i zostanie kondotierem. Tak właśnie uczyni, o ile uda mu się oszukać prześladowców i przeznaczenie.

- Masz - podał famulusowi plik listów. - Pchnij zaraz gońców do tych, co z Krakowa naprzeciw nas mieli magnifice potenter¹ wyjechać. I każ ludziom szykować się do drogi. Za godzinę ruszamy do Piekar.

- Ale wasza miłość! To za wielki azard! Zamojski jest już w Proszowicach i na coś czeka. Może właśnie na to.

- Rób, co każe. Co z tym człkiem, po którego posłałem?

- Właśnie przybył. Mam go wezwać?

- Za chwilę. Przyniesź śniadanie i wino dla dwóch i dopilnuj, by nikt nam nie przeszkadzał.

Idący za sługą człowiek w czerni pozornie nie zwracał uwagi na nic, a jednak widział wszystko. Okazały dwór², rodowe gniazdo Zborowskich herbu Jastrzębiec, odkąd przed półwieczem przejęli wieś od klasztoru na Świętym Krzyżu, należący obecnie do Andrzeja i niedawno niemalym ekspensem przebudowany na włoską modłę, z zewnątrz wyglądał na twierdzę. Jednak wewnątrz był urządzony z prawdziwie magnackim przepychem, naturalnym w przypadku najpotężniejszej do niedawna rodziny w kraju. Ostatnio wszystko się zmieniło, utrata łask królewskich i związanych z tym dochodów groziła Zborowskim ruiną. Dlatego też nie dziwiła ich nienawiść do Zamojskiego, którego nie bez racji winili za swe terażniejsze położenie. Dlatego przypuszczał, że wezwano go w sprawie pozbycia się kanclerza, czego już nieraz Zborowscy próbowali, z marnym wszak skutkiem. Kiedy przekroczył próg izby, Ruski cicho zamknął za nim drzwi.

- Jesteś waść, to dobrze - powitał przybysza gospodarz, gestem odsyłając sługę.

Wspaniale i tłumnie (lac.).

Istnieje do dziś, na początku XIX w. został przebudowany w stylu klasycystycznym.

427

J

m

- Pański człek bardzo nalegał, zatem zdecydowałem się tu wstąpić, choć mi nie po drodze. W czym rzecz?

- Wpierw zjedzmy i napijmy się. Interesy mogą poczekać.

Po śniadaniu, rozlewając węgierskie wino, zagaił:

- Pamiętasz, wasze, coś mi rzekł, gdyśmy się ostatni raz widzieli pod Wielkimi Łukami?

- Ja niczego nie zapominam.

- Więc mogę na ciebie liczyć w wiadomej kwestii?

- Chodzi o Ryksa? - upewnił się Kettler.

- Tak jest. Mortui non mordent. Nie udało mi się go zabić i drogo mnie ten błąd kosztuje. Przez tego psa przyjdzie mi dać głowę, czuję to nieomylnie. Nie chciałbym wszak umierać niepomszczony, a nie wiem, zali zdążę mu za życia odplacić. Dlatego potrzebuję waszmości.

Położył przed zabójcą dwa pękate woreczki.

- Tu jest pięćset dukatów. Możesz przeliczyć.

- Wierzę na słowo. Kłopot polega na tym, że podjąłem się już pewnej roboty w Rzeszy. Właśnie się tam przebieram i nie wiem, kiedy wrócę. Przykro mi.

- Jeżeli to tylko kwestia czasu, tedy nie ma turbacji. W piekle jest go dość. Mogę na Ryksa zaczekać rok, dwa lata, albo i pięć. Ufam bowiem, że jako człowiek honoru wykonasz zobowiązanie.

- O to możesz być spokojny. Chyba że on wcześniej zabije mnie, ale to mi się jeszcze nigdy nie przytrafiło - uśmiechnął się po swojemu, nieznacznie.

- Ergo załatwione.

Kiedy Kettler sięgał po mieszki, Zborowski podsunął mu złożoną białą chustkę.

- A to co? - uniósł brwi albinos.

- Rozwiń.

Zabójca wykonał polecenie, przeczytał napis umieszczony na chuście, znów się uśmiechnął po swojemu i spytał domyślnie:

- Mam mu to przesłać?

- Po mojej śmierci. A gdybyś wypadkiem jeszcze nie opuścił kraju i był przy tym, chcę, abyś ją wprzód umoczył w mojej krwi. Niech wie, co go czeka i za jaką sprawą.

- Zemsta z za grobu.

- Nie inaczej.

- To mi się podoba.

428

- Wasza ekscelencjo, wielmożny kanclerzu naszej prześwietnej Akademii, wasza magnificencjo, rektorze, wasza dostojność, dziekanie Fakultetu Medycznego, zgromadzeni sam szanowni doktorzy i profesorowie tegoż wydziału oraz całego uniwersytetu - zagaił mój promotor, a podczas studiów „pater”, czyli opiekun, doktor Marcin Fox. - Oto stoi przed wami licencjat Kacper Ryx-Hiropoński, gotów przystąpić do promocji doktorskiej.

Aula Collegium Maius pękała w szwach. Honorowe miejsca blisko katedry zajmowali najgodniejsi członkowie dostojnego zgromadzenia: ksiądz podkanclerzy, rektor Marcin Glicjusz z Pilzna oraz dziekan wydziału medycznego, doktor Stanisław Zawadzki zwany Pik vel Picus, który już raz piastował urząd rektora.

W ciągnących się pod ścianami stallach zasiadali profesorowie uniwersytetu ze wszystkich wydziałów, zaś ławy poniżej zajmowali doktorzy. Widziałem tam wielu starych znajomych, jak choćby Ma-rencjusza czy Janka Grota, obecnie już doktora praw obojga, z którym za młodu darliśmy koty, albo wybornego medyka Wawrzyńca Pontyficjusza, który ongi przegrał z Pikusem rywalizację o katedrę, lecz wciąż współpracował z uniwersytetem. A także niedawno poznanych młodych, lecz zdolnych i już sławnych medyków, którzy jakimś cudem przemycili się na salę i siedzieli w kącie jak tracie. Na przykład Sebastiana Petrycego z Pilzna, a nawet bardzo młodego Gabriela Joannicego z Przeworska, który dopiero co zapisał się na medycynę, ale pasją do botaniki już zarażał wszystkich dookoła. Zresztą medyków było w tym gronie najmniej, jeśli nie liczyć takich jak rektor Glicjusz, dla których medycyna była zajęciem ubocznym i raczej teoretycznym.

- Zali doktorant, jak przystało, odznacza się pięknymi przymiotami? - raczył zadać sakramentalne pytanie jego ekscelencja podkanclerzy. - Czy prowadził się należycie? Czy nie pokrzywdził lub nie obraził członka Fakultetu Medycznego lub innego z wydziałów uniwersytetu?

W wypadku obrażenia członka fakultetu, kandydat „nie mógł być przyjęty, póki pokornie o przebaczenie nie poprosi i nie otrzyma go”. Nikt nie mógł też przystąpić do egzaminu doktorskiego, jeśli splamił się drugimi niegodnymi postępkami.

429

- Żywot przytomnego sam Kacpra Ryksa-Hiropońskiego, jak mniemam, jest wszystkim tu obecnym doskonale znany - stwierdził Fox, a szum na sali potwierdził prawdziwość jego oświadczenia. - Nie masz w nim czynów niegodnych, a przeciwnie: jest wiele pożytecznych dzieł wykonanych dla dobra Akademii, królewskiego miasta Krakowa, tudzież całej Rzeczypospolitej, czego dowodem nobilitacja uzyskana za zasługi wojenne, w tym również medyczne.

Powiódł wzrokiem po sali, jakby oczekiwał zastrzeżeń, ale nikt się nie zgłosił. Tylko Grot uśmiechnął się krzywo.

- Zatem rzeczony Ryx-Hiropoński został uznany za odpowiedniego i dostatecznie przyuczonego do profesji medyka? - zapytał pro forma rektor Glicjusz.

- Tak jest, wasza magnificencjo - odparł Fox. - Imć Ryx--Turopoński wprzód zdobył tytuł magistra wydziału artium, następnie wstąpił do Wydziału Medycznego i przez dwa lata uczęszczał na wykłady pod kierunkiem obecnego dziekana, doktora Zawadzkiego, odbył dwie dysputacje, przystąpił do egzaminu bakalarskiego i zdał go z wyróżnieniem. Po kolejnych dwóch latach wykładów, na które uczęszczał z należytą pilnością, dopełnił owego dwulecia, biennium complere, poprzez czytanie w czasie Wielkiego Postu i kanikuły przepisanej liczby tekstów medycznych i przeprowadzenie udanej obrony czworga konkluzji medycznych, po czym z powodzeniem przystąpił do egzaminu licencjackiego. Następnie czas jakiś praktykował pod moim okiem w Lecznicy Ubogich Scholarów na Wiślniej ulicy, wykazując się nieprzeciętną wiedzą i umiejętnościami. Wezwany na wojnę moskiewską przez miłościwie nam panującego króla Stefana, przerwał studia nie ze swej winy, jednak jego osiągnięcia w charakterze chirurga polowego rozślawiły imię naszej Akademii i zyskały mu uznanie w oczach samego króla, a także największych tuzów w naszym fachu, o czym może poświadczyć przytomny tu physicus regius, doktor Mikołaj Bucella z Padwy, który na prośbę dziekana Zawadzkiego zechciał partycypować w dzisiejszej promocji...

Gruby Włoch uniósł się ciężko z ławy i z uśmiechem skłonił zgromadzeniu. Byłem mu wdzięczny za przybycie, bo mimo iż zmarły niedawno Piotr z Poznania, założyciel Lecznicy Ubogich, ufundował także dwie nowe katedry medycyny oprócz dwóch już

430

istniejących, lecz z braku kandydatów pozostawały one nieobsadzone. Medycy woleli bowiem intratniejsze zajęcia od uniwersyteckich. Dlatego Akademia rada by ściągnęła sławnego w świecie fachmana od ziołolecznictwa Szymona Syreńskiego z Oświęcimia, zwanego Syreniuszem, lecz tego we Lwowie na razie absorbowała praca nad wielkim zielnikiem.

- ... Mam tu list pochwalny od najjaśniejszego pana, a także listy od doktora Wilhelma Lucenbergera, przełożonego nad chirurgami polowymi, oraz sławnego medyka warszawskiego doktora Wojciecha Oczki vel Ocellusa - ciągnął Fox - które, jeśli wasze wielmożności zezwolą, pozwolę sobie teraz odczytać...

Podczas gdy to robił, ukradkiem rozglądałem się po sali, tłumiąc ziewanie. Nie dlatego, żebym się nudził - słuchania przyjemnych rzeczy o sobie nigdy dosyć, po prostu wcześniej wstałem i wiedziałem, co mnie jeszcze czeka. Promocja doktorska vel egzamin doktorski zaczynał się o świcie, a kończył o zmroku. Ergo miałem przed sobą jeszcze wiele godzin ciężkich zmagania. Z uwagą obejrzałem dobrze mi znane wiszące na ścianie głównej za katedrą portrety królów - dobrodziejów uniwersytetu, widniejące naprzeciw nich konterfektury biskupów-kanclerzy oraz wybitnych profesorów, strop z rozetami i właśnie kończyłem studiować herby profesorskie na malowanym fryzie pod stropem, kiedy przywołano mnie do porządku.

Do uroczystej dysputacji wybraliśmy z Foksem temat z anatomii, odrobinę zahaczający o chirurgię (jako specjalność w sam raz dla golibrodów, nie mogła być samodzielny przedmiotem dysertacji), dziedzin najlepiej mi znanych i w teorii i w praktyce, opierając się głównie na nieśmiertelnym Galenie, ale tu i ówdzie przemycając nowinki z Wesaliusza, znanego niektórym z obecnych i raczej niepopularnego, tudzież Francuza Parégo, wybornego praktyka, o którym szczęśliwie zgoła nikt nie słyszał. Ponieważ wojna pozwoliła mi nabrać ogromnego doświadczenia, tedy mówiłem pewnie i ze znanstwem, a zgromadzeni zdawali się żywo zajęci. Kilka razy przerywano mi, czy to z ciekawości, czy to próbując przyłapać na jakiejś nieścisłości, lecz poszło mi raczej gładko. Marencjusz,

1 Wyszedł w Krakowie w 1613 r.; od 1588 r. Syreniusz mieszkał w Krakowie, w pierw będąc opiekunem Lecznicy Ubogich, potem wykładowcą i dziekanem Fakultetu Medycznego w Akademii.

431

jako oponentibus, jeden z trzech wyznaczonych krytyków, drażył niektóre kwestie pod kątem teologicznym, ale nie był złośliwy ani drobiazgowy. Z pozostałej dwójki jeden też był teologiem, drugi reprezentował artes, lecz i oni nie sprawili mi turbacji. Potem nastąpiła dysputa, będąca w gruncie rzeczy sprawdzianem ze wszystkich lat nauki i wszystkich dziedzin medycyny, wymagająca naprawdę ogromnej wiedzy i niezgorszej praktyki, stąd nieprzypadkowo nosiła nazwę examen rigorosus.

Niektóre pytania były dziecinnie proste, inne trudniejsze. Rektor Glicjusz, ongi sympatyzujący z przestarzałymi poglądami zmarłego niedawno doktora Feliksa z Sierpca, mimo deklarowanej życzliwości nie mógł się powstrzymać, by nie spróbować wykopać dla mnie dołka:

- Co możecie powiedzieć o wewnętrznym ogniu i pneumie?

- Podług Galena ów wewnętrzny ogień to istota życia, a jego paliwem jest pneuma, która powstaje w najczystszej krwi wątrobowej i wędruje żyłami po całym ciele. Kłopot w tym, że owej pneumy nie sposób dostrzec...

Fox posłał mi ostrzegawcze spojrzenie, a ja uszczypnąłem się mocno, ale było za późno.

- A jakimże to sposobem możecie to twierdzić z taką pewnością? Przecież sekcje są zakazane?

No to się wkopałem! Z powodu znużenia straciłem czujność. Na szczęście istniało dobre wytłumaczenie.

- Na wojnie naoglądałem się dość rozdartych ciał, by stwierdzić to z pewnością. Napięcie nagle opadło. Fox ukradkiem otarł pot z czoła, a ja odetchnąłem z ulgą. Za wcześnie, bo Glicjusz jeszcze nie złożył broni.

- A co sądzicie o teorii szalonego Wesaliusza, jakoby wielki Ga-len niedokładnie opisał anatomię człowieka?

Znowu chciał wyciągnąć mnie na grząski grunt, bym przyznał za Flamandem Vesalem, że rzekomo nieomylny Galen opisał budowę raczej małpy, czy nawet świni, niż ludzką, która się od zwierzęcej jednak różni.

- Nie mnie rozsądzać, kto ma rację: Wesaliusz czy Galen - odparłem ostrożnie. - Wiem jedynie, że świętej pamięci doktor Feliks z Sierpca studiował w Padwie u Wesaliuszowego ucznia Gabriela

432

Fallopia, który dowodnie wywiódł, że Vesal także się mylił, kiedy na przykład utrzymywał, iż mostek składa się z siedmiu części, czy gdy przeoczył mięsień dźwigacz powieki górnej. Podparcie się autorytetem prawomyślnego doktora Sierpca przeważało szalę i nareszcie zakończyło promocję. W samą porę, bo wszyscyśmy już mieli serdecznie dość. Pozostały tylko formalności. Po krótkiej naradzie z moim promotorem oraz podkanclerzym i rektorem, dziekan Zawadzki zwrócił się do mnie:

- Powstańcie, doktorancie Ryx-Hiropoński. Czy przyrzekacie, że będziecie okazywali starszym doktorom cześć i uszanowanie, a w szczególności swemu promotorowi, oraz że będziecie dbali

o dobro naszej Almae Matris i nie będziecie ubiegali się po raz drugi o stopnie akademickie w postronnych uniwersytetach?

- Przyrzekam.

- Czy zobowiązujecie się pod przysięgą do zachowania tajemnic powierzonych wam przez chorych i umierających, do bycia prawdomównym, wiernym, pilnym i że nie będziecie nikogo obmawiać, kłócić się, być gwałtownym i zarozumiałym?

- Zobowiązuję się i przysięgam.
- Tedy witamy w naszym gronie, doktorze.

Po czym Fox oświecił mnie, że oto oprócz prawa swobodnego leczenia chorych zyskałem dodatkowe przywileje: licentiam in facultate medicinae legendi, glossandi, docendi, interpretandi, ad-vocandi, consulendi et magistralem cathedram ascendendi. Na koniec wręczył mi insygnia mojej nowej godności: księgę, diadema, czyli biret, togę alias stola i złoty pierścień, a także obdarzył osculum benedictionis magistralis, pocałunkiem mistrza. Jeszcze tylko odebrał ode mnie przysięgę wedle roty Hipokratesowej

1 było po wszystkim. Oto zostałem inkorporowany do Wydziału Medycznego.

Wpierw pozostali pospieszyli do mnie z gratulacjami, po czym zgodnie z tradycją ja rozdałem pomiędzy wszystkich rękawice, promotorowi zaś, zamiast obdarzyć go dwunastoma łokciami najlepszego sukna na odzież, wręczyłem ekwiwalent w gotówce, wymagane sześć grzywnien srebra. A potem udaliśmy się społem na uroczyste Te Deum do kościoła Świętej Anny, a następnie na wielką ucztę na mój koszt, wydaną dla całego uniwersytetu w Izbie Wspólnej. Zaiste było to duże święto dla naszej Almae

433

Matris, ponieważ wielki ekspens sprawiał, że coraz mniej absolwentów decydowało się na obronę doktoratu. Na przykład Petrycy w tym celu wybierał się właśnie do Italii, bo u nas nie było go na to stać.

Wracałem do domu późno, wykończony i pod dobrą datą, ale zadowolony. Jeden etap w życiu już miałem za sobą. Może nie najważniejszy, lecz ostatecznie poświęciłem mu kilkanaście lat, a lubiłem kończyć, com zaczął. A poza tym, co tu gadać, miałem oto w ręku dobry i popłatny fach i mogłem pomyśleć o założeniu rodziny. Była na to najwyższa pora.

Po drodze wspominałem niedawne wypadki, kiedy tak niewiele dzieliło mnie od klęski, a Samuela Zborowskiego od tryumfu. Mój wystrzał, oddany w powietrze na dziedzińcu zamkowym, sprowadził starościńskich na czele z dobrym znajomym z czasów wojny, podstarościm Mikołajem Uhrowieckim.

- Co jest, co tu się dzieje!? - zawołał groźnie, gdy szarpałem się z drabantami. - Wszelki duch pana Boga chwali! Imć Uiropoński! Mielim cię za umarłego. Skądś się sam waszmość wziął?

- Długo by gadać. Wiozę ważne listy do kanclerza, a ten człowiek chce mi je odebrać.

Wywołany przeze mnie oficer stropił się, straciwszy przewagę, a jego ludzie odstąpili od nas.

- Wykonuję jedynie rozkazy pana burgrabiego - wyjaśnił.

- Wydał je osobiście? - spytał Uhrowiecki.

- Nie... Za pośrednictwem imć Hieronima Ossolińskiego... -z niedawnej pewności siebie zostało w nim niewiele.

W tej chwili zjawiał się młody sekretarz królewski, Hieronim Ossoliński, jeden ze szwagrów Zborowskiego, sprawca całego zamieszania.

- Mości oficerze, gdzie listy?

- Ten człowiek - oficer wskazał mnie - je ma i nie chce oddać.

- Natychmiast rozkazuję waści... - zaczął panek, spoglądając na mnie wrogo i udając, że nie widzi Uhrowieckiego.

- A ja powiadam, żeby poczekać na imć kanclerza, po którego już posłałem. On nas rozsądzi - przerwał mu podstarość, mierząc go wyzywającym i jednocześnie lekceważącym spojrzeniem.

Ossoliński spurpurowiał i rzucił do dowódcy gwardii:

- Czyń waść swą powinność!

434

Matńs, ponieważ wielki ekspens sprawiał, że coraz mniej absolwentów decydowało się na obronę doktoratu. Na przykład Petrycy w tym celu wybierał się właśnie do Italii, bo u nas nie było go na to stać.

Wracałem do domu późno, wykończony i pod dobrą datą, ale zadowolony. Jeden etap w życiu już miałem za sobą. Może nie najważniejszy, lecz ostatecznie poświęciłem mu kilkanaście lat, a lubiłem kończyć, com zaczął. A poza tym, co tu gadać, miałem oto w ręku dobry i popłatny fach i mogłem pomyśleć o założeniu rodziny. Była na to najwyższa pora.

Po drodze wspominałem niedawne wypadki, kiedy tak niewiele dzieliło mnie od klęski, a Samuela Zborowskiego od tryumfu. Mój wystrzał, oddany w powietrze na dziedzińcu zamkowym, sprowadził starościńskich na czele z dobrym znajomym z czasów wojny, podstarościm Mikołajem Uhrowieckim.

- Co jest, co tu się dzieje!?! - zawołał groźnie, gdy szarpałem się z drabantami. - Wszelki duch pana Boga chwali! Imć Turopoński! Mielim cię za umarłego. Skądeś się sam waszmość wziął?

- Długo by gadać. Wiozę ważne listy do kanclerza, a ten człowiek chce mi je odebrać. Wywołany przeze mnie oficer stropił się, straciwszy przewagę, a jego ludzie odstąpili od nas.

- Wykonuję jedynie rozkazy pana burgrabiego - wyjaśnił.

- Wydał je osobiście? - spytał Uhrowiecki.

- Nie... Za pośrednictwem imć Hieronima Ossolińskiego... -z niedawnej pewności siebie zostało w nim niewiele.

W tej chwili zjawił się młody sekretarz królewski, Hieronim Ossoliński, jeden ze szwagrów Zborowskiego, sprawca całego zamieszania.

- Mości oficerze, gdzie listy?

- Ten człowiek - oficer wskazał mnie - je ma i nie chce oddać.

- Natychmiast rozkazuję waści... - zaczął panek, spoglądając na mnie wrogo i udając, że nie widzi Uhrowieckiego.

- A ja powiadam, żeby zaczekać na imć kanclerza, po którego już posłałem. On nas rozsądzi - przerwał mu podstarość, mierząc go wyzywającym i jednocześnie lekceważącym spojrzeniem.

Ossoliński spurpurowiał i rzucił do dowódcy gwardii:

- Czyń waść swą powinność!

434

Matris, ponieważ wielki ekspens sprawiał, że coraz mniej absolwentów decydowało się na obronę doktoratu. Na przykład Petrycy w tym celu wybierał się właśnie do Italii, bo u nas nie było go na to stać.

Wracałem do domu późno, wykończony i pod dobrą datą, ale zadowolony. Jeden etap w życiu już miałem za sobą. Może nie najważniejszy, lecz ostatecznie poświęciłem mu kilkanaście lat, a lubiłem kończyć, com zaczął. A poza tym, co tu gadać, miałem oto w ręku dobry i popłatny fach i mogłem pomyśleć o założeniu rodziny. Była na to najwyższa pora.

Po drodze wspominałem niedawne wypadki, kiedy tak niewiele dzieliło mnie od klęski, a Samuela Zborowskiego od tryumfu. Mój wystrzał, oddany w powietrze na dziedzińcu zamkowym, sprowadził starościńskich na czele z dobrym znajomym z czasów wojny, podstarościm Mikołajem Uhrowieckim.

- Co jest, co tu się dzieje!?! - zawołał groźnie, gdy szarpałem się z drabantami. - Wszelki duch pana Boga chwali! Imć Hiropoński! Mielim cię za umarłego. Skądeś się sam waszmość wziął?

- Długo by gadać. Wiozę ważne listy do kanclerza, a ten człowiek chce mi je odebrać.

Wywołany przeze mnie oficer stropił się, straciwszy przewagę, a jego ludzie odstąpili od nas.

- Wykonuję jedynie rozkazy pana burgrabiego - wyjaśnił.

- Wydał je osobiście? - spytał Uhrowiecki.

- Nie... Za pośrednictwem imię Hieronima Ossolińskiego... -z niedawnej pewności siebie zostało w nim niewiele.

W tej chwili zjawiał się młody sekretarz królewski, Hieronim Ossoliński, jeden ze szwagrów Zborowskiego, sprawca całego zamieszania.

- Mości oficerze, gdzie listy?

- Ten człowiek - oficer wskazał mnie - je ma i nie chce oddać.

- Natychmiast rozkazuję waści... - zaczął panek, spoglądając na mnie wrogo i udając, że nie widzi Uhrowieckiego.

- A ja powiadam, żeby poczekać na imię kanclerza, po którego już posłałem. On nas rozsądzi - przerwał mu podstarość, mierząc go wyzywającym i jednocześnie lekceważącym spojrzeniem.

Ossoliński spurpurowiał i rzucił do dowódcy gwardii:

- Czyń waść swą powinność!

434

Nieszczęsny oficer otarł pot z czoła i skinął na podwładnych. Ci nastawili alabarty i postąpili ku nam. Starościńscy dobyli szabel i zastawili nas. Wyjąłem pistolet, Uhrowiecki zrobił to samo.

- Jeden ruch, a rozwałę waści głowę - ostrzegł Ossolińskiego, który pobladł i głośno przełknął ślinę.

Awanturę zakończyło przybycie kanclerza Zamojskiego, który jako starosta krakowski odpowiadał tylko przed królem. Ossoliński zmył się jak niepyszny, a Zamojski powiódł nas do swoich komnat w Rabsztynie, gdzie z uwagą wysłuchał mego sprawozdania i jeszcze uważniej przeczytał listy.

Okazało się, że już wiedział o niecznych planach trójki zbrodniczych braci, bowiem wyjawiał je inny z dopuszczonych do konfidencji szwagrów Samuela, Spytek Jordan. Zborowscy chcieli zamordować króla albo podczas łowów w Puszczy Niepołomnej, albo w pobliżu Zborowa, gdy będzie zdążał do Lublina. Jakoż łóżniczy królewski Hieronim Filipowski zdybał w bliskości Niepołomic gromadę jurgiel-tników, którzy jednak nie wiedzieli, kto i po co ich podnajął. Mieli jedynie stawić się w oznaczonym miejscu i czasie, i czekać na dalsze rozkazy, tymczasem przepijając zaliczkę otrzymaną na poczet przyszłych usług. Przypuszczano, że Krzychnik niecznota i Jędrzej mieli zbyt mało odwagi, by porwać się sami na króla i dlatego czekali na Samuela.

- Jednak brakowało na to dowodów czarno na białym. Dzięki listom wykradzionym przez Długoraja znalazły się i one. Teraz tylko od króla zależy, co z nimi robi. Rzecz jednak wymaga roztropności i namysłu. Jedno jest pewne: to koniec kariery Zborowskich, a dla Samuela zapewne wyrok śmierci - w głosie Zamojskiego nie czuć było żalu." Z rozmachem klepnął mnie w plecy. - Doskonale się spisałeś, Kacper. Nie mogłeś lepiej. Wierzyłem w ciebie, lecz to, co osiągnąłeś, przerosło moje oczekiwania. Upadek domu Zborowskich będzie twoją zasługą.

- Moja zasługa w tym niewielka, pochwały należą się Długora-jowi. Za spryt i odwagę.

- Nadtoś skromny. Nie znam nikogo drugiego, kto jak ty posiadłby zdolność bywania zawždy w odpowiednim miejscu i czasie. To duża sztuka. A propos, trzeba coś zrobić z bandurzystą, aby z jednej strony był bezpieczny od Samuela, a z drugiej pod ręką, gdy przyjdzie mu świadczyć przeciw jego panu...

435

- Postaram się coś wykoncypować, wasza miłość.

Kiedy hetman rozpoznał w pacholiku Jankę, porwał ją w ramiona i wyściskał niczym ukochaną, a oplakaną już córkę. Aż do wieczora zeszło nam obojgu opowiadanie o naszych

przygodach. Ale to wszystko i tak było niczym w porównaniu z powitaniem zgotowanym nam w gospodzie „U Balcera”. Co to się działo! Cioteczka tak spazmowała ze szczęścia, że poważnie obawiał się, czy nie powali jej sercowy udar. Jednak jakoś przeżyła, chociaż płakać i tulić Jankę przestała dopiero nad ranem i jedynie po to, by pobiec do pobliskiego kościoła Świętego Jana, gdzie wisiał łaskami słynący cudowny obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem, zwanej też Matką Boską od Wykupu Niewolników, ponoć przywieziony z Hiszpanii w 1577 roku przez Stanisława Radziwiłła. Modliła się przed nim aż do południa, leżąc krzyżem na pawimencie i dziękując Najświętszej Paniencie za wybawienie Janki z łap bisurmanów. A za dary, które tam zostawiła, można by chyba wystawić nową kaplicę.

Janka nie wróciła na dwór. Królowa przyjęła jej decyzję ze zrozumieniem, zresztą od września była pogrążona w żałobie, bo doszła ją wieść o śmierci ukochanej siostry, Katarzyny, królowej szwedzkiej, i tylko to ją zajmowało. Nie licząc spiskowania z Habsburgami przeciw królowi razem z prymasem Uchańskim i exrefe-rendarzem Czarnkowskim, którym uwierzyła, że król zamierza się z nią rozwieść, co było wierutną bzdurą. Szczerze rzekłszy, jak mi wyznała, Janka miała już wyżej uszu zatęchłej atmosfery żalów i pretensji do całego świata, a króla w szczególności, panującej na dworze królowej i rozstała się z nim bez żalu. Królowa znalazła się wszak nad podziw, przysyłając Jance wspianą ślubną wyprawę.

Pobraliśmy się w niedzielę 16 października w kościele Świętego Krzyża, kilka dni po obronie doktoratu. Ślub miał być skromny, ale nie mógł, skoro pannę młodą *in loco parentis*² do ołtarza poprowadzili kanclerz wielki i jego niedawno poślubiona małżonka, księżna Gryzelda, na moje lekarskie oko będąca w trzecim miesiącu ciąży, więc tym bardziej doceniałem zaszczyt, jaki nas spotkał. W roli moich rodziców wystąpili cioteczka Balcerowa i pater Roch. Katarzyna Wapowska wymówiła się niedyspozycją, lecz nikomu jej nie

1 Obecnie w ołtarzu głównym z 1730 r.

2 Zamiast (w zastępstwie) rodzica (lac.).

436

brakowało, Janka żałowała jedynie nieobecności brata. Mały kościół pękał w szwach. Do wnętrza oprócz najbliższej rodziny i przyjaciół z miasta i akademii, wtłoczyła się sama szlachta, w tym Uhrowiecki, Jan Tomasz Drohojowski i drudzy towarzysze z wojny. Ciżba ludzka zajmowała cały plac i cmentarz wokół kościoła, obsiadła dachy sąsiedniego szpitala Duchaków, kamienic przy ulicy Świętokrzyskiej oraz pobliskie mury miejskie.

Ślubu udzielał gościnnie mój stary druh ze studiów, Antoni, proboszcz mogiłański, bardzo przejęty. Nie bardziej jednak od drugiego celebransa, ojca Rocha, mimo iż ów jak zwykle ukrywał wzruszenie pod maską powagi. Ale to nic wobec ciotuchny Balcerowej, która dumna jak pawica, łykając łzy, wiodła mnie do ołtarza wspólnie z Żółkiewskim. Stachnik nadrabiał miną, a przed przekroczeniem drzwi kościelnych uczęstował mnie nawet popularnym porzekadłem:

- Za królowej Bony były kiepskie żony i za Batorego niewiele dobrego. Jeszcze możesz się cofnąć. Bywało, że najdzielniejsi wo-jennicy rejterowali spod ołtarza. To żaden wstyd.

- Przypomnę ci to, jak będziesz się żenił z panną Regina.

- Przecież żartowałem! Póki życia nie wywdzięczę się wam obojgu za to, co dla niej uczyniliście. A panna Joanna jest najpiękniejszą panną młodą, jaką w życiu widziałem, księżnej Gryzeldy nie wyłączając. W czepkuś się urodził, Kacper.

Też tak myślałem, biorąc pod uwagę wszystkie fawory, jakie otrzymałem od życia. Janka była ich ukoronowaniem. Nie mogłem od niej oderwać oczu, wciąż niedowierzając swemu szczęściu. O ile ja z pewnością wyglądałem na swój wiek Chrystusowy, jej nikt nie dałby dwudziestu pięciu lat. Dla niektórych prawie stara panna, a gasła przy niej nawet bardzo młoda i piękna Gryzelda.

Wesele odbyło się w naszej gospodzie, odnowionej, wypucowanej i umajonej na tę okazję niby pałac. Kanclerz chciał nam odstąpić wielką świetlicę w swoim Rabsztynie, lecz nie mogłem zrobić takiej przykrości ciotce. Zresztą nie zamierzaliśmy się ścigać z nikim na wystawność, a i tak, jak na mój gust, wyszło znakomicie. Cennych podarków zebraliśmy zaś tyle, że moglibyśmy otworzyć kram w Sukiennicach. Po ślubie zamieszkaliśmy po staremu w gospodzie, chociaż zdawałem sobie sprawę, że to rozwiązanie tymczasowe, zwłaszcza iż miałem mnóstwo pacjentów, od których drzwi się prawie nie zamykały. Przyciągała ich moja sława, a także możliwość

437

zwierzenia się z turbacji nie tylko zdrowotnych. Zamierzałem zrezygnować z profesji inwestygatora, lecz mi nie pozwolono. Jednak bez wyjątku sprawy były błahe i pospolite. Ale dobrze płatne.

Gody i cała zima zeszyły nam nareszcie na leniuchowaniu i rozkoszowaniu się życiem rodzinnym. Na wiosnę zamierzaliśmy zbudować dom na parceli na Garbarach albo kupić jakąś starą kamienicę w mieście i ją przebudować. Było nas na to stać, bowiem pod naciskiem kanclerza Katarzyna Wapowska zgodziła się spłacić pasierbicę. Dlatego sporo czasu spędzaliśmy na snuciu planów i projektowaniu domu z pomocą muratora Słoninki, któremu chciałem powierzyć tę robotę.

Wojtaszka Długoraja umieściłem u Strasza. Zadomowił się tam na dobre i doskonale zarabiał na zabawianiu gości, acz nie pod swoim imieniem. Nie wystąpił na naszym weselu i nie wolno mu było opuszczać gospody. Wiedzieliśmy bowiem, że Zborowscy wciąż go szukają. Z czasem jednak rozeszła się wieść, w czym miałem spory udział, że zniknięcie chłopca to sztuczka magiczna, ponieważ był on potężnym czarnoksiężnikiem. A ponieważ ludzie są gotowi uwierzyć w każdą bzdurę, póki co bandurzysta był bezpieczny, zwłaszcza iż zmienił wygląd, a bandurę wymienił na lutnię.

Jeszcze w listopadzie otrzymałem list od mistrza Kochanowskiego, który gratulował nam ślubu i sumitował się, że nie mógł przybyć, ponieważ jejmość Dorota ciężko się rozchorowała na wieść o losie swego brata. W istocie bowiem jakoś w tym czasie pokazało się, że w pomście za najazd Niżowców na Jahorlik i Bendery, Hircy w jakiejś podłej karczmie pod Konstantynopolem zamordowali Jakuba Podłodowskiego, kiedy wracał do kraju z zakupionymi dla króla w Azji wierzchowcami. Cóż, i tę zbrodnię można było zapisać na konto Samuela.

Listy wykradzione przez Długoraja król okazał Janowi Zborowskiemu, który był zdruzgotany, zwłaszcza że bracia nazywali go w nich zdrajcą i zaprzańcem, ale błagał na wszystko, by sprawy nie nagłaśniać. I tak uczyniono, głównie ze względu na honor i dobre imię tego zasłużonego żołnierza. Krzysztof i Andrzej wpiery utrzymywali, że listy sfałszowano, lecz kiedy ich autentyczność została potwierdzona ponad wszelką wątpliwość, zemknęli do Zborowa i siedzieli cicho, czekając, aż sprawa przyschnie. Co do Samuela, to po nieudanej próbie powstrzymania Długoraja zamknął się w swoim

438

zamku Krupe i stamtąd całą jesień wypadał na czele zbrojnej gromady, napastując sąsiadów i grasując na gościńcach. Zabijał i rabował kupców, gwałcił schwytane niewiasty. Żaden z okolicznych starostów nie odważył się go aresztować, mając niewielkie siły, a nie mogąc zebrać odpowiedniej liczby wolontarzy spośród szlachty, tak ludzie bali się desperata, a on wszystkim grał na nosie. Nareszcie zimą wyjechał do Zborowa, tego za Lwowem, i słuch o nim zaginął. Do wiosny.

Skończyła się zima, kończył się kwiecień, było dawno po Wielkiej Nocy, na dworze panowała już piękna wiosenna aura, kiedy bez uprzedzenia nawiedził nas nieodstępujący ostatnio kanclerza Stachnik Żółkiewski, od niedawna wojewodzie bełski, bo jego ojciec za protekcją Zamojskiego postąpił na to województwo.

- Znacie już najświeższą nowinę? - bezwstydnie wycalowałwszy Jankę na powitanie, spytał po sutym śniadaniu, sięgając po wino. - Alleluja! Moskiewskiemu szczęło się w marcu! Zastąpił go przyglupi syn Teodor, którego sami Moskale zwą Fiodorem Bezumnym. Jest za co wypić.

- Tedy od Moskwy spokój?

- I od Moskwy i od TUrek, dlatego król wciąż siedzi w Grodnie, łowami się zabawiając.

- A kanclerz?

- W Knyszynie, dokąd wyjechał zaraz po waszym ślubie. Ostatnio pilnował żony w połogu - nagle posmutniał. - Księżna Gryzelda powiła przed niewieloma dniami, lecz dziecię urodziło się martwe... Lada dzień wszak przyjdzie kanclerzowi, jako staroście grodowemu krakowskiemu, ruszyć na roki sądowe. I w tej sprawie przybyłem. Pomożesz mi?

- W czym rzecz?

- Samuel Zborowski opuścił Zborów. Trzy dni temu widziano go, jak wyjeżdżał ze Złoczowa w kierunku Glinian. Ma zamiar odwiedzić Stadnickiego w Dubiecku, po czym razem chcą zapolować na Zamojskiego, kiedy ów będzie ciągnął ku Krakowowi.

- Skąd wiesz?

- Bo nie spuszczam go z oka, odkąd publicznie ogłosił swój zamiar. Moi ludzie suną za nim jak wilki i co dzień ślą mi raporty. Uprzedziłem Mikołaja Uhrowieckiego, by czekał w gotowości. Kłopot w tym, że nie może interweniować, dopóki Zborowski nie postawi stopy na ziemi krakowskiej. Dlatego cię potrzebuję.

439

- Do czego?

- Na wabia. Zamojski przez Jana Zborowskiego ostrzegł Samuela, że jeśli przyłapie go w obrębie swojej jurysdykcji, nie będzie miał dlań litości ani żadnych względów. Sam zresztą byłem od kanclerza wysłany do Wielkopolski, do marszałka wielkiego koronnego, Andrzeja Opalińskiego, by uprzedził swych powinowatych, Zborowskich, iż kanclerz uroczyście zrywa z nimi wszelką przyjaźń. To zaś oznacza wypowiedzenie wojny. Samuel, cokolwiek by o nim rzec, samobójcą nie jest. Ale ciebie, zwłaszcza po sprawie z listami, nienawidzi tak strasznie, że bez trudu uda ci się go sprowokować do pochopnego kroku. Kiedy dowie się, że depcesz mu po piętach, ruszy za tobą, nie zważając na nic.

Cóż, do tej pory to ja wykorzystywałem Stachnika w roli wabia, teraz byłem mu winien wzajemność. A Zamojskiemu' dokończenie dzieła, którego podjąłem się również ze względu na niego i za które hojnie mi odplacił, a teraz był w niebezpieczeństwie. Poza tym prywatnie nic innego nie sprawiłoby mi większej radości niż pochwycenie Samuela. Marzyłem przecież o tym od lat. Spojrzałem błagalnie na Jankę. Była blada, lecz zdeterminowana.

- Jedź - rzekła. - Najwyższa pora skończyć z tym łotrem raz na zawsze. Inaczej nigdy nie zaznamy spokoju. Tylko nie mów nic cioteczce. Zostaw to mnie, coś wymyślę.

Wyruszyliśmy nazajutrz, zaraz potem, gdy kolejny goniec powiadomił Stachnika, iż Zborowski opuścił już Dubiecko i razem ze Stadnickim ciągnie na Sandomierz, nie ukrywając swych zamiarów, wszem i wobec miotając pogrożki względem Zamojskiego. Łączyło się z nimi coraz więcej szlachty przeciwnej kanclerzowi i królowi. Ich liczba ponoć osiągnęła już trzysta osób i wciąż rosła. Tymczasem wedle Stachnika Zamojski opuścił Knyszyn z małym pocztem dworzan i garścią zaledwie wybrańców pod Łukaszem Sernym i Wawrzyńcem Wybranowskim. Musieliśmy się więc pospieszyć, bo wynik starcia zdawał się przesądzony. Kiedy opuszczaliśmy miasto w towarzystwie Uhrowieckiego i jego hajduków, ciągnęły za nami kupy hałaśliwej i awanturniczej młodzieży szlacheckiej, głównie kalwińskiej, lecz nie tylko. Zaś za bramą rozbili się obozem następni miłośnicy Samuela, którzy zwiedzili się już, że Samuel rzucił rękawicę królewskiemu faworytowi. Strojni i dobrze uzbrojeni, nie na żarty szykowali się do walki. Imponowało im zuchwalstwo

440

infamisa i sekundowali mu w sporze z kanclerzem, widząc w warchole obrońcę szlacheckich swobód. Nie zaczepiali nas, tylko pokrzykiwali w naszą stronę:

- Na pohybel wam, sługusy tyrana nienawistnego!
- Precz z krwawym psem węgierskim i jego najwierniejszym pacholkiem!
- Hnet stępmimy kły, za jedno, wilcze czy smocze!
- Vivat Samuel Zborowski, prawy obrońca wolności szlacheckich!
- Niechaj szcześnie kanclerz, gwałciciel praw naszych!
- Zaczekamy tu, jako myśliwi w zasadzce, aż nam Samek tu was jako łowną zwierzynę nagoni!

Wtedy poznaliśmy plan Samuela - postanowił urządzić na kanclerza istną obławę. On i jego przybocznicy mieli nagonić Zamojskiego prosto na owych panków. Wjeżdżający do Krakowa kanclerz znalazłby się jakby w saku - rzucono by się nań od przodu, z tyłu zaś nacierałby Zborowski. Gdyby Zamojski padł, nie sposób byłoby dojść, kto wystrzelił śmiertelną kulę. Nie było czasu do stracenia, więc jechaliśmy bez słowa pośród wrogich okrzyków, choć Żółkiewski aż zgrzytał białymi zębami, taka brała go ochota, by rozgonić towarzystwo. Nie mogliśmy jednak zaognić sytuacji, zwłaszcza że po wyprowadzeniu przez Uhrowieckiego wojska miasto pozostawało w praktyce bezbronne i poplecznicy Zborowskich łącznie mogli wywołać groźny tumult.

Dwa dni później dotarliśmy do Sandomierza. Rozpytawszy się w zamku, Uhrowiecki dowiedział się, że kanclerz opuścił Stężycę i lada chwila spodziewany jest w Opatowie. Pocieszające było to, że połączył się z nim ze swymi hajdukami starosta przemyski, Jan Tomasz Drohojowski. Zwiedziawszy się o planach Samuela, który chwalił się nimi, przemierzając ziemię przemyską, przyszedł w sukurs staremu druhowi. Samuel Zborowski w Mielcu dowiedział się o przybyciu Zamojskiego do Stężycy i z licznym pocztem zbrojnych przebrał się do Sandomierza na spotkanie z bratem Jędrzejem, rzekomo leczącym się w klasztorze Duchaków z jakiejś przypadłości. Jednak poprzedniego dnia Samuel i jego ludzie opuścili Sandomierz, kierując się na Połaniec. Całe miasto huczało i gadało tylko o tym. Ludzie robili zakłady, kto zwycięży w tym starciu. O dziwo, zuchwalstwo Zborowskiego i jego głośne przechwałki sprawiły, iż wielu stawiało na niego. Jakby zapomniawszy, kim był Samuel

441

i ile zbrodni popełnił, widziano w nim bohatera, który ośmielił się stawić czoło drugiej po królu osobie w kraju. To budziło ludzki podziw.

- Jędrzej jak zwykle stchórzył. Wpierw podjudził Samuela, a teraz umywa ręce. Jedziemy do Opatowa - zdecydował Żółkiewski.
- Beze mnie - oznajmiłem. - Zostanę i powęszę. Gdybym musiał wyjechać z miasta przed waszym przybyciem, zostawię wiadomość u tutejszych Duchaków.
- Szalejuś się najadł! Samojeden chcesz Zborowskim leżeć w łapy?
- Przecież po to tu jestem, czyż nie? Nie trap się, poradzę sobie.

Perspektywa zagrania na nosie Jędrzejowi Zborowskiemu, który kiedyś razem z bratem Krzysztofem wziął mnie na męki i kazał oprawcom wypalić Z jak Zborowski na piersiach, naprawdę mnie radowała. Rana bowiem dawno się zagoiła, ale pamięć o torturach wciąż piekła żywym ogniem. Nareszcie miałem okazję im się odplacić i nic nie mogło mnie powstrzymać.

- Nie podoba mi się taki azard. Ale niech ci będzie.

Szpital Świętego Ducha mieścił się tuż przy bramie Opatowskiej, więc zatrzymałem się w pocztowym zajeździe opodal, gdzie już byłem przed kilkunastu laty, jeszcze za króla Augusta. Na początku ubiegłego roku król Stefan wznowił pocztę pana Sebastiana Montelupiego, dla utrzymania stałej łączności z Italią z jednej strony, a Grodnem i Wilnem, gdzie spędzał

dużo czasu, z drugiej. Mogłem stamtąd szybko wymknąć się z miasta na moich dzielnych biegunach i to też miało znaczenie.

Andrzej Zborowski co prawda zamieszkał w klasztorze, ale większość sług ulokował w pobliskiej karczmie, dokąd i ja się udałem na wieczerzę oraz by zasięgnąć języka. Okazało się to łatwiejsze, niż przypuszczałem. Nie obawiałem się rozpoznania, gdyż z Andrzejem miałem styczność tylko raz, przed dziesięciu laty, żaden z jego ludzi nie powinien mnie pamiętać, a poza tym zmieniłem się od tego czasu. Wpierw obserwowałem, jak hałaśliwe towarzystwo pije, obmacuje dziewczki służebne i namiętnie gra w karty i kości, potem wytypowałem ofiarę. Patrzył na uboższego szlachetkę, przełożonego nad resztą, pił więcej i awanturował się bardziej, zwłaszcza że karta mu nie szła. Wreszcie cisnął karty na blat i podszedł do szynkwasu, gdzie milczkiem wychylałem swoją okowitę, udając pijanego.

- Gorzałki! - zażądał.

442

- Obcym na borg nie podajemy - odparł karczmarz, chłop na schwał.

- Dwa kubki. Na razie - powiedziałem, posuwając po blacie talara w stronę gospodarza, a potem pełny kubek w kierunku hajduka. - Na zdrowie! - stuknąłem swoim naczyniem w jego.

Zawahał się.

- Nie znam cię.

- Ryx, Kacper Ryx.

Zmarszczył czoło i spojrzenie mu się jakby wyostrzyło.

- Nazwisko jak gdyby skądś znajome...

- Może spotkał się na wojnie? Byłem pod Wielkimi Łukami i Pskowem.

- A ja pod Połockiem. Tośmy się nie spotkali.

- Ale wypić za pognębienie Moskali chyba możemy?

- Skoro tak... Borowski sam. Dla znajomych Boroś.

Bez dalszej certacji wychylił gorzałkę i mlasnął ze smakiem.

- Od dawna w Sandomierzu? - spytał. - Bo my już kilka dni, a nigdy cię tu nie widział.

Machnąłem do karczmarza, by napełnił kubki.

- Dopiero co przyjechałem.

- Z Opatowa, zali od Krakowa? - rzucił od niechcienia.

Uśmiechnąłem się z tajemniczą miną.

- Tego mi nie łaza wyjawić. Ale służę wielkiemu panu, który dobrze płaci - potrząsnąłem mu przed nosem pękatą sakiewką. - A ty, mości Borosiu?

- Też służę wielkiemu panu, który wszak dobrze nie płaci.

Trąciliśmy się (ja zrobiłem to tak nieudolnie, że wychlapałem połowę trunku) i wypiliśmy. Wyjąłem z mieszka kilka mińców i zacząłem się nimi od niechcienia zabawiać. Wodził za nimi oczyma niby kot za szperką. Ułożyłem monety w stosik i spojrzałem mu w oczy.

- Mogą być twoje.

Przełknął ślinę.

- Za co?

- Za informację. Bawił ponoć wczoraj w mieście pewien osławiony człek, lecz już wyjechał. Mój pan rad by wiedzieć dokąd.

Rzucił okiem na towarzyszy, lecz oni nie zwracali na nas uwagi, całkowicie pochłonięci pijaństwem i grą. Potem jeszcze raz obrzucił mnie spojrzeniem od stóp do głów. Było nieco mętne, ale chytre.

443

Być może rozważał, co mu się bardziej opłaci: przyjąć nagrodę czy wziąć wszystko. Ale mój rapier, solidny sztylet i pistolety za pasem, które celowo odsłoniłem, przeważały szalę. Skoro

służył Zborowskim, tedy musiał o mnie słyszeć, choć się tego wypierał. A skoro tak, to znał moją reputację i wolał nie ryzykować, zwłaszcza że na kompanów nie bardzo mógł liczyć. Odczekał, aż karczmarz się oddali na drugi koniec szynkwasu, i szepnął:

- Do Połańca, a stamtąd zapewne do Zborowa.

Przesunąłem w jego stronę stosik mińców. Zgarnął je błyskawicznie i wsypał wprost do kieszeni. Zamówiłem następną kolejkę i jeszcze jedną. Markowałem picie, zresztą nie upijałem się od dawna. Podobnie jak król Stefan. Sam słyszałem, jak rzeki kiedyś do podkanclerzego Lwa Sapiehy: „Nonpoto me decem annos vivere posse”¹. Nie znaczyło to jednak, że zapomniałem, jak objawia się oźralstwo. Udawałem zatem coraz bardziej pijanego, a Boroś robił dokładnie to samo. Byliśmy jak dwaj wytrawni szachiści, mimo iż nie umiałem grać w tę królewską grę, a i jego o to nie podejrzewałem.

- Ep - czknałem i zatoczyłem się. - Mam dość. Muszę już iść. Bywaj, Borosiu, a gdybyś sobie coś przypomniał, tedy znajdziesz mnie w zajeździe pocztowym. Tylko się pośpiesz, bo ruszam zaraz z rana.

Chwiejnym krokiem przemierzyłem izbę, po czym, co rusz objając się o ściany domów przy ulicy, podążyłem do zajazdu. Nie musiałem oglądać się za siebie, by wiedzieć, że Boroś skradał się za mną. Kiedy przestępowałem próg, on zniknął za klasztorną furką. Wybornie. O to mi szło. Pobiegł teraz do Jędrzeja Zborowskiego opowiedzieć mu o szpiegu, który wypytywał o jego brata, i wziąć za to nagrodę. Wiedziałem, co uczyni Zborowski, zwłaszcza gdy usłyszy moje imię, lecz byłem na to przygotowany. Wierzchowce już na mnie czekały, gotowe do drogi. Zostawiłem tylko pisemną wiadomość dla Żółkiewskiego, dokąd się udawałem. Kiedy opuszczałem zajazd, hajducy Zborowskich wysypywali się z klasztoru i biegli w moją stronę. Zaciąłem konie i ruszyłem z kopyta w stronę bramy Opatowskiej. Gonili mnie kęs drogi, lecz odsadzałem się coraz bardziej i w końcu dali za wygraną. Kiedy zginęli mi z oczu, zawróciłem i podążyłem do Połańca.

¹ Nie upijam się od dziesięciu lat, aby móc żyć (łac.).

444

Dotarłem tam dopiero nazajutrz po południu. Nie spieszyłem się, bo nie zamierzałem leżeć Samuelowi prosto w łapy. W przydrożnej karczmie czekał na mnie setnie zdrożony Jarek, przyboczny Żółkiewskiego. Stachnik odebrał moją wiadomość i orszak kanclerza zamiast na Sandomierz wykręcił na Szydłów, skąd zamierzano jechać ku Wiślicy.

- Samuel bawił w Połańcu dzień wcześniej, ale kiedy dowiedział się, że pan Zamojski dąży na Szydłów, zaraz pociągnął ku Stopnicy, aby przeciąć mu drogę. Przynajmniej tak powiada ten Żyd - kiwnął głową w stronę arendarza, popatrującego na nas ciekawie.

Kiwnąłem na niego. Podbiegł w lansadach. Rzuciłem mu dukata, którego złapał zręcznie i z szerokim uśmiechem na pejsatej gębie, lecz na wszelki wypadek zgryzł mińca w zębach, nim ukontentowany wsunął go w zanadrze.

- Na początek wino - zadysponowałem - a potem... Co macie dobrego do jedzenia?

- Golonkę, jasny panie, tłusciutką, że ino palce lizać. Cymes!

- Dawaj. Aha. Nazywam się Ryx, Kacper Ryx. Nie pytał kto aby
0 mnie?

- Owszem, wasza miłość. Przed południem.

Z opisu wynikało, że chodziło o mojego nowego znajomka, Boro-sia. Być może pomyliłem się i służył nie Jędrzejowi, ale Samuelowi, który go zostawił w Sandomierzu, by w razie potrzeby mógł robić za umyślnego. iym lepiej. Przenocowaliśmy w karczmie, po czym razem ruszyliśmy do Stopnicy. Byliśmy ostrożni, bo jeśli Samuel dowiedział się, że depczę mu po piętach, tedy czekał na mnie albo posłał ludzi, by zastawili pułapkę. Dlatego zatrzymałem się przed miastem, wysławszy Jarka na przespiegi. Wrócił po godzinie.

- Zborowskiego nie masz już w Stopnicy. Zwiedziawszy się, że imć kanclerz dorównywa mu siłą, nie odważył się zastąpić mu drogi

1 odjechał.

- Pewnie chce się przyczaić, by potem pociągnąć za kanclerzem -myślałem w głos. - Nikogo w mieście nie zostawił?

- A jakże. W gospodzie na rozstajach czeka dziesięciu łotrów. Prawie rzucili się na mnie, gdym tam zaglądnął, ale w porę odciągnął ich taki jeden, który zna waszą miłość.

- Boroś.

- Być może.

445

Zostawiłem Jarka z moimi końmi przed karczmą. Kazałem mu ukryć się za bramą, przyszykować pistolety i czekać na pierwszy strzał. Zerknąłem przez szparę w parkanie. Zajazd był duży, pobudowany w buksztabę U, ze stajniami po bokach i płotem z zamykaną na noc bramą od frontu. Stajenny, z bezmyślną miną żując słomiane źdźbło, podpierał koniowiąż z przyczepioną doń dziesiątką wierzchowców. Obszedłem stajnie od zewnątrz i tylnymi drzwiami wszedłem do kuchni na zapleczu karczmy. Kucharz i jego pomocnik wytrzeszczyli na mnie zdumione oczy. Przyłożyłem palec do ust, postąpiłem ku wewnętrznym drzwiom, otworzyłem je cicho i wśliznąłem się do izby karczemnej. Oprócz Borosia i kilku semenów w izbie nie było nikogo, nie rachując gospodarza, nerwowo przecierającego szynkwasa i z niepokojem zerkającego na uzbrojonych po zęby gości. Zajmowali dwie ławy przy oknach, przez które gapili się na majdan.

- Boroś, niech mnie kule biją! Popatrz tylko: góra z górą się nie zejdzie, a ludzie zawżdy.

Aż podskoczył na dźwięk mego głosu i odwrócił gwałtownie. To samo, jak na komendę, uczynili jego ludzie, a karczmarzowi z wrażenia wypadła z dłoni ścierka.

- Co tu robisz? - spytał Borowski, kiedy już ochłonął.

Wstał.

- Wpadłem pogadać. Więc odrzuć ten pistolet, który ściskasz za plecami.

Równocześnie ryknął do swoich:

- Brać go! - i wymierzył we mnie pistolca. - Rączki do góry, bratku!

Wyszarpnąłem pistolety zza pasa. Nie chciałem go zabijać, więc tylko postrzeliłem w nogę.

Upadł, a jego strzał nieszkodliwie zgó-rował, roztrzaskując gąsior z gorzałką stojący na szynkwasiu. Za to ja celnie trafiłem łotra, który mierzył do mnie z rusznicy, po czym walnąłem lufą między oczy następnego, aż zalał się krwią i padł na glinianą polepę.

Porwałem ławę i cisnąłem w trzech kolejnych, nareszcie rzuciłem się z dobytym rapierem na pozostałych, kłując i siekąc bez litości. Jeden z leżących machnął szablą, chcąc podciąć mi nogi, lecz wskoczyłem na ławkę niby Świerzcz i z góry przygwoździłem go do ziemi, po czym kopnąłem następnego, aż poleciał ku oknu, roztrzaskując je i wypadając na zewnątrz. W tej chwili

446

do izby wpadł Jarek i strzelił w pierś semenowi, który celował do mnie z piszczela, a drugiemu wytrącił z ręki szablę. Tego było im za wiele. Wrzeszcząc i jęcząc, porwali swoich rannych i hurmą rzucili się ku wyjściu, a potem na łeb na szyję dosiedli wierzchowców i odjechali galopem. Nie zatrzymywaliśmy ich z wyjątkiem Borowskiego, któremu zastawiłem drogę, przykładając mu sztych do gardła.

- Hola, mój Borosiu, nie tak prędko. Mieliśmy pogwarzyć, zahaczyłeś?

Odjąłem mu ostrze od gardła i pozwoliłem usiąść.

- Boli - jęknął, ściskając udo, z którego ciekła jucha.

- Gospodarzu! Wrzątek, ostry nóż i czyste płótno, nuże!

Wystraszony karczmarz wypełził zza szynkwasa i pognął do kuchni, jakby się paliło. Po chwili wrócił. Kazałem podać gorzałkę Borowskiemu, po czym szybko i bez komplikacji wyjąłem mu kulę z ciała i opatrzyłem ranę.

- No, gotowe. A teraz grzecznie powiesz mi, co porabia i co planuje na dal twój pan, a pozwolę ci do niego wrócić.

Jak się słusznie domyśliłem, zaskoczony liczbą posiłków, które wsparły kanclerza, Zborowski cofnął się do rodzowego Zborowa, skąd zamierzał postąpić za Zamojskim, kiedy ten z Wiślicy, w której stanął na popas, ruszy do Krakowa. Ale kiedy Borowski przywiózł mu listy z Sandomierza od Andrzeja, zaklinającego brata, by zaczekał na niego w Zborowie i nie czynił nic pochopnie, zaczął się wahać. Najcenniejsza była wszak inna nowina: Samuel na wszelki wypadek odesłał synka do Piekar, do wdowy po Krzysztofie Włodku. Katarzyna Włodkowa, z domu Stadnicka, siostra Diabła, była córką Barbary Zborowskiej, siostry Samuela.

- No proszę, jaki mowny z ciebie człek, mój Borosiu. Było się tak awanturować? Możesz jechać. Słowo się rzekło. Tylko zabierz tego tam w kącie - wskazałem przeoczonego przez pozostałych semena, niezdradzającego oznak życia.

- Jakże mam wrócić? - zajączał. - Toż pan Samuel każe mnie obedrzeć ze skóry.

- Dlaczego? Nie tacy jak ty daremnie próbowali mnie pochwycić. On to dobrze wie. Na dodatek zawieziesz mu cenną nowinę.

- Jaką?

- Że wiem, dokąd odesłał syna, i zamierzam go porwać.

Obaj z Jarkiem jednako wytrzeszczyli oczy.

447

- D... dworujesz sobie chyba? - wyjąkał Borowski.

- Przekonajcie się.

- Ale przecież on domyśli się, kto ci to wyjawiał!

- Wcale nie. Powiesz, że on to zrobił, nim umarł - wskazałem nieboszczyka. - Iy zaś udawałeś umarłego, póki nie odjechałem. No, bywaj Borosiu i bądź dla mnie miłszy, kiedy się spotkamy następnym razem, bo mogę strzelić celniej.

Skinąłem na Jarka i ruszyliśmy ku wyjściu.

- A kto mi zwróci straty? - zawołał za nami gospodarz.

- Zgłoś się do pana Zborowskiego - poradziłem.

Popatrzył na mnie jak na wariata.

- Jeszcze mi życie miłe.

- Słusznie.

- Chyba nie jedziemy do Piekar? - zaniepokoił się nie na żarty Jarek, gdyśmy dosiadali wierzchowców.

- Ja tak, ty nie. Ruszysz teraz do Wiślicy i powiesz panu Żółkiewskiemu, by jutro razem z jego wielmożnością kanclerzem podążyli do Proszowic. Tam się spotkamy. >

- Czemu tam?

- Jeszcze nie pojąłeś? Piekary leżą ledwie pół mili od Proszowic, już w krakowskim województwie. Jeśli uda mi się tam zwabić Zborowskiego, znajdzie się w obrębie jurysdykcji imć Zamojskiego.

- Pojmuję! - wykrzyknął i twarz mu pojaśniała.

Rozstaliśmy się. On pociągnął na Wiślicę, a ja w przeciwnym

kierunku, by omijając Zborów, wrócić na główny trakt biegnący wzdłuż Wisły. Dopiero w Nowym Brzesku odbiłem na północ, do Proszowic. Po drodze zatrzymałem się w karczmie w Podolanach¹ w pobliżu Piekar, nie kryjąc się bynajmniej i wypytujac karczmarza o Włodkową, jej związki ze Zborowskimi, a przede wszystkim upewniając się, że w istocie mały synek Samuela przebywa we dworze w Piekarach. Właśnie miałem się stamtąd zabierać, kiedy nadjechał goniec od Samuela z zapowiedzią, żeby karczmarz szykował gospodę na jego przyjęcie, gdyż zamierzał tu przenocować. Przy okazji zdobyłem cenną informację, że Zborowski ma przy sobie tylko kilka dziesiątek zbrojnych, gdyż większość orszaku zostawił

1 Z wyjątkiem Jakubowic, pozostałe wymienione miejscowości w pobliżu Proszowic (Piekary, Podolany i Stogniewice) już nie istnieją (chyba że zmieniły nazwy).

448

w Jakubowicach między Piekarami a Proszowicami. Tyle chciałem wiedzieć, aczkolwiek nurtowało mnie pytanie: dlaczego Zborowski chciał nocować w karczmie, jeśli od dworu kuzynki dzielił go rzut kamieniem? Chyba że już wiedział, iż z łowczego stał się łowną zwierzyną, i może zamierzał odciągnąć prześladowców od syna? Pomknąłem do Proszowic, gdzie już na mnie czekano z niecierpliwością.

Na wszelki wypadek zostawiwszy nieco pacholów u boku Zamojskiego, opuściliśmy miasto po zmierzchu, a raczej nocą. Ja prowadziłem. Ominęliśmy łukiem Jakubowice, gdzie nocowała większość hałastry Samuelowej, i otoczyliśmy karczmę w Podolanach, że mysz by się nie wyśliznęła, po to tylko, by od gwałtownie rozbudzonego i śmiertelnie wystraszonego gospodarza dowiedzieć się, że Zborowski wieczorem kazał swoim ludziom przemknąć na nocleg do Stogniewic, sam zaś udał się do Piekar.

Dwór siostrzenicy Zborowskiego znajdował się w sporym oddaleniu od wsi i nie miałym od zabudowań folwarcznych, co było nam na rękę. Wszyscyśmy pozostawiali konie i zostawiwszy je pod opieką kilku żołnierzy, cicho niczym Tatarzy podkradliśmy się pod budowlę, po czym razem ze Stachnikiem ruszyliśmy na zwiady. Musieliśmy bardzo uważać, bowiem miesiąc świecił jasno, w ogniu smokowym będąc. Być może miało to związek z zaćmieniem słońca przed niewielu dniami. Dochodziła północ. W oknach się nie świeciło, widać wszyscy spali. Tylko dwa psy, jak na dobrych stróżów przystało, nadbiegły ku nam, powarkując. Byłem na to przygotowany i poczęstowałem je kielbasą, drapiąc brytany za uszami, toteż odą traktowały nas po przyjacielsku i nie odstępowały na krok, gdyśmy obchodzili dom, szukając słabych punktów. Już mieliśmy wracać, gdy skrzypnęły drzwi od komory i ktoś wyszedł na zewnątrz. Przypadliśmy do stajen.

- Ryx! To ja, Boroś! Widziałem cię z okna. Gdzie jesteś? - zawołał cień półgłosem. Pokazałem mu się i przywołałem go gestem.

- Kto to? - cofnął się z przestachem na widok Żółkiewskiego.

- Nie bój się, przyjaciel.

- Wielu masz ze sobą takich przyjaciół?

- Dość, by ze dworu nie pozostał kamień na kamieniu, o domownikach nie wspominając.

449

Pokiwał smętnie głową.

- Tak właśnie sobie pomyślałem.

- Chcesz żyć? To mów, gdzie śpi Samuel i drudzy.

- Niewielu nas sam ostało. Ino panowie Stadnicki i Chełmski. Ci śpią w pobocznej izbie. Niewiasty domowe w drugiej pobocznej izbie. Pan Zborowski, ja i Kozak Bałaban w świetlicy. Jejmość Włodkowa zasię na górcę, razem z paniczem Olesiem. A służba i Murzynkowie pana Zborowskiego w czeladnej.

- Zborowski ma przy sobie broń?

- A jakże. Murzynkowie mu na noc strzelby w kobierczyk zawinęli i w głowy łoża podłożyli. Obok zaś na ścianie wisi łuk i sajdak ze strzałami.

- Dobrze. Pójdiesz teraz z powrotem do świetlicy i po cichu zabierzesz mu broń.

- Nie! Za nic! Co prawda on śpi twardo, ale Bałaban czujny jak żuraw.

- Poradzisz sobie. A potem zemknij tą samą drogą i schowaj się w stajni. Jeśli dobrze się spiszesz, pozwolimy ci zbiec. Pospiesz się, bo za kilka minut zaczynamy szturm.

Wróciliśmy do pozostałych i Stachnik porozdzielał zadania. Frontowe drzwi mieli szturmować Uhrowiecki i jego surogat, Marcin Mroczek. Tylnymi mieliśmy się zająć ja z

Żółkiewskim. Drohojowski ze swymi przemyślanami oraz Serny, gdyby zaszła taka potrzeba, mieli ostrzeliwać okna od przodku, zaś Wybranowski od zadzi.

- Zaczynamy! - zawołał Stachnik i pobiegliśmy.

- W imieniu prawa, otwierać! - załomotał w drzwi.

W domu uczynił się ruch, jednak odzewu nie było. Po chwili oczekiwania nasi żołnierze z jednej i ceklarze Uhrowieckiego z drugiej strony jęli siekierami rąbać drzwi. W tej samej chwili ktoś ze środka wystrzelił. Kula z wizgiem przeleciała między mną a Żółkiewskim, mijając nas o włos. Bez rozkazu zaczajeni strzelcy jęli palić w okna, aż z trzaskiem pękały szyby. W momencie rozpętało się piekło. Cały dom rozbrzmiewał krzykami i piskami przerażonych kobiet. Zapalono świece, co nie było najmądrzejszym pomysłem, bo ułatwiło strzelcom robotę. Dwie postacie wyskoczyły z bocznych drzwiczek od komory. Rozpoznałem Borosia dzwigającego naręczę broni, którą cisnął na ziemię, drugi był to pewnie ów Kozak Bałaban. Dwaj nasi ludzie wzięli ich na cel. Zbiłem im lufy rusznic w dół.

450

- Przepuście ich!

Posapując, obaj zbiegowie przemknęli obok nas i popędzili do stajen. Za chwilę usłyszeliśmy oddalający się tętent. Tymczasem drzwi puściły i wbiegliśmy do wnętrza.

- Zapalić pochodnie! - rozkazał Żółkiewski.

W samą porę, bo ktoś właśnie zniknął w bocznej izbie. Skoczyliśmy za nim i wpadliśmy do pomieszczenia pełnego półnagich białogłów i dziewczek służebnych. Rozwrzeszczały się, że aż uszy puchły.

- Cisza! - ryknął Stachnik. - Nikomu nic się nie stanie! Wydajcie jeno tego, który się sam skrył.

Ale one tylko zbiły się w kupę i lamentowały jeszcze głośniej.

- Przyświeć tu! - poleciłem żołnierzowi z pochodnią, bo zdało mi się, że z za pieca wystaje bosa stopa.

Dobrze, że byłem przygotowany, gdyż skoczył na mnie z uniesioną szablą. Odbiłem cios. Uskoczył wstecz. Ale nie był to Zborowski, tylko Stadnicki. W samych gaciach.

- Zostaw go mnie - powiedział Żółkiewski. - Poddaj się, acan, albo zginiesz.

Ale on chyba mniemał, że i tak nie ujdzie z życiem, bo z dzikim wrzaskiem rzucił się na Stachnika. Walka była jednak krótka. Cięcie w ramię pozbawiło go animuszu i poprosił pardonu.

- Zabierzcie go - polecił Stachnik żołnierzom, po czym patrząc na zuchwałą gębę, tym razem śmiertelnie wystraszoną, mruknął z satysfakcją: - Długo na to czekałem, mości Stadnicki.

Kiedy z' naszym jeńcem, któremu starościńscy nie szczędzili kopniaków i kuksańców, opuszczaliśmy niewieścią komnatę, z góry zstępowała jakaś białka. W jednej ręce niosła zapaloną świecę, drugą ścisnęła pod szyją nocne giezło.

- Pan Stadnicki! Chwała Bogu, żyjesz waść! - wykrzyknęła. -A gdzie Samuel?

- Nie wiem, da-li Bóg chyba uszedł...

- Bogu niech będą dzięki! A wy co za jedni!? - zwróciła się do nas ostro. Trzeba przyznać, że to odważna niewiasta. - Nie godzi się nachodzić szlachetnie urodzonych w ich własnym domu, i to po nocy jak zbójcy! To gwałt! Odpowiedcie za to!

- Tyś jest Katarzyna ze Zborowskich Włódkowa? - upewnił się Stachnik, bynajmniej niestropiony.

- Jam jest.

451

- Więc przyznajesz, żeś nocowała u siebie wuja, Samuela Zborowskiego, infamisa?

- I cóż z tego? Nie Iza infamisa w dworze szlacheckim imać, chyba że za zgodą szlachcica, w innych miejscach imać wolno. Znam prawo.

- Zatem wiesz i to, że kto schron daje wywołańcowi, rady i pomocy mu użycza i z nim obcuje, ma być pojmany od iudicum castrense¹ i podpada poenae complicitatis², wedle brzmienia prawa ipso facto³ stając się wywołańcem.

Był to jeden z paradoksów naszego prawa. Dzięki temu Zborowski (a przed nim wielu innych infamisów), mógł bezkarnie włóczyć się po kraju, korzystając z gościny krewnych i przyjaciół. Aż do teraz. Wtem rumor straszliwy się uczynił, bo ceklarze Uhrowieckiego i Mrocza wybili wreszcie frontowe drzwi, wtargnęli do środka, strzelając i wrzeszcząc, i rozbiegli się po całym domu.

- Dołącz aśka do niewiast, by i ciebie nie trafiła zabłąkana kula - poradził Stachnik gospodyni.

- Ostanę! - odparła twardo. - Bym mogła przed sądem poświadczyć, jakich zbrodni dopuściliście się w moim domu.

- Jak wola - wzruszył ramionami i zwrócił się do naszych ludzi: - Szukajcie Zborowskiego, musi tu gdzieś być.

Zaczęli przetrząsać wszystkie kąty, klnąc i natrzęsając się z poszukiwanego.

- Gdzieś się skrył, szczurze?

- Wystaw no zadek, byśmy ci go mogli odstrzelić!

- Taś, taś, Samusiu! A pójdz no sam!

- Wyłaż tchórze i walcz!

Ale wszystko na próżno. Zborowski zniknął, jakby się zapadł w mysią dziurę. Nagle na piętrze znów rozległy się strzały, którym towarzyszył rozzwierający krzyk dziecka, a po chwili na schodach pojawili się żołnierze, wlokąc za sobą jakiegoś krwawiącego z ran szlachcica, zapewne owego Chełmskiego, o którym wspominał Boroś, bijąc go i policzkując. Uhrowiecki prowadził za ramię chłopczyka, też zakrwawionego, który na widok Włódkowej wyciągnął do niej ręce i pisnął łamiącym się głosem:

1 Starosty grodowego (lac.).

2 Takiej samej karze (lac.).

3 Na mocy samego faktu (lac.).

452

- Mój piastun... Pan Skorowski... Usieczon!

Na ten widok Włódkowa wrzasnęła strasznym głosem:

- Przebóg! Zabito Olesia!

Korzystając z zamieszania, Stadnicki wyrwał się pilnującym go żołnierzom i umknął na zadź, prosto pod lufy muszkietów. Jako i gruchnęło dobre pół setki strzałów, a kule wybiły resztki szyb w oknach.

- Już po nim - skwitował zimno Żółkiewski. - To i po kłopotcie.

Ledwo to powiedział, a do sieni, w której staliśmy, wbiegł Stadnicki, jakimś cudem niedrażnięty, i rymsnął nam do nóg, obłapiając, płacząc i błagając:

- Laski! Nie zabijajcie mnie, a wyjawię, gdzie wuj się skrył!

Jeden z podkomendnych Uhrowieckiego, Szymon Charłęski, kopnął łotra w wypięty zadek, przystawił mu lufę strzelby do łba i warknął:

- Szczekaj, psie!

- Tam! - Stadnicki wskazał palcem na podsiębicie. Trząśł się przy tym ze strachu tak, że aż przykro było patrzeć.

- Zborowski! Wiemy, gdzie jesteś! Wyłaż, albo podziurawimy cię kulami jak rzeszoto! - ryknął Uhrowiecki i dał znak swoim ludziom, którzy wymierzili w górę rusznice.

Nic. Cisza.

- Strzelajcie! - rozkazał podstarości.

- Nie! - zawołała rozpaczliwie Włódkowa.

Huknęło z pół tuzina wystrzałów. Dym i gryząca woń spalonego prochu spowily sień, aż trzeba było otwierać drzwi na przestrzał, w powale pojawiły się dziury po pociskach, kilka osób rozkaszało się, ale żadnego innego efektu to nie dało. Podniosłem leżącą drabinę.

- Pójdę po niego.

Uniosłem drabinę i stuknąłem końcem w postrzelaną kulami klapę na stryszku ponad nami. Ani drgnęła.

- Dobra nasza, ktoś zamknął ją od góry.

Podąłem drabinę najbliższemu stojącemu żołnierzowi, odebrałem mu nabitą rusznicę i wypaliłem w miejsce, gdzie, jak mi się zdawało, była zasuwa. Kłapa podskoczyła. Oddałem strzelbę, odebrałem drabinę i uderzyłem nią w klapę. Odskoczyła, odsłaniając czarny jak smoła otwór. Przystawiłem drabinę.

453

- Zborowski, to ja, Ryx. Idę po ciebie - krzyknąłem, stając na pierwszym stopniu.

- Nie pozwolę na to - stanowczo rzeki Żółkiewski, łapiąc mnie za połą. - Zetnie ci głowę, ledwie ją wystawisz.

- Nie, jeśli poniosę przed sobą chłopca. Podajcie mi go.

Kiedy sens moich słów dotarł do obecnych, malec krzyknął załośnie, Włodkowa rozwrzeszczała się histerycznie, Stachnik spojrział na mnie zdumiony i jakby zniesmaczony, a ja przyłożyłem palec do ust, po czym wskazałem na górę. Jako i uczynił się tam rumor, jakby ktoś zeskoczył z czegoś, po czym w otworze pojawił się Samuel we własnej osobie, z rozwichrzonym włosom, obłędem w oczach, samym jeno giezle i z szablą w garści.

- Ojczy!

- Wuju!

Zarówno chłopiec, jak Włodkowa, wrywali się ku qiemu, lecz starościńscy trzymali ich krzepko.

- Coście uczynili memu dziecięciu? Czego chcecie!? - huknął wściekły, wodząc wokół nabiegłymi krwią oczyma.

- Ciebie - odparł Uhrowiecki ze złośliwą satysfakcją w głosie. - Pojedziesz z nami do imię pana kanclerza. Złaz, rzuć szablę i poniechaj oporu, bo będziesz zabity!

Podstarości był cięty na Zborowskich, gdyż powaśnił się niedawno przy kielichu z burgrabią zamku krakowskiego, Zygmuntem Palczewskim, stronnikiem Zborowskich, po czym chciał się z nim pogodzić, lecz nie doszło do tego i za namową Zborowskich Palczewski wytoczył mu sprawę. Inna rzecz, że nie bardzo mnie to dziwiło, bo Uhrowiecki napadł na jego dom. Dlatego wtedy na dziedzińcu wawelskim tak ostro postawił się drabom zamkowym podległym burgrabiemu.

Ale Zborowski gapił się na mnie i krew w nim zagrała.

- Żywego mnie nie weźmiecie! Chcecie, to przyjdźcie sam po mnie! Ryx, ty diable! To wszystko przez ciebie! Pójdź ze mną do piekła! Zapraszam na górę!

- Nie idź - upierał się Stachnik.

- Pójdę.

- Czekam! - wrzasnął z góry Zborowski i zaśmiał się dziko.

- Brać go! - ryknął rozeźlony Uhrowiecki, dając znak swoim ludziom.

454

- On jest mój! - zaprotestowałem.

- Stać! - powstrzymał żołnierzy Żółkiewski. - Wszyscy cofnąć się. Wyprowadźcie dziecko i dajcie więcej światła. A ty pamiętaj - to było do mnie - że chcę go żywego. Ty też masz wrócić cały, inaczej nie pokazuj mi się na oczy.

Wspinałem się powoli po stopniach drabiny, z puginałem w zębach, nie spuszczać z oka Samuela, gapiącego się na mnie z nienawiścią i trzymającego uniesioną i gotową do ciosu szablę. Nie przerażało mnie ani jego wykrzywione z wściekłości oblicze, ani piana toczona z

ust, ani iskry miotane z oczu. Tyle lat czekałem na tę chwilę! Zamiast obawy, czułem wypełniającą mnie lekkość i radość, że oto śmiertelny wróg nareszcie stoi przede mną nieochroniany przez nazwisko, koneksje i zbrojną gromadę. Sam jak palec i zdany tylko na siebie. To musiała być dla niego nowa i deprymująca sytuacja. Inna sprawa, że wciąż spoglądał na mnie z góry. A poza tym słyszał kategoryczne życzenie Żółkiewskiego. On mógł i chciał mnie zabić, ja tylko chciałem zabić jego, lecz nie mogłem. Była to jego jedyna przewaga, wiedział o tym i zamierzał to wykorzystać.

- No, śmiało! - zachęcał mnie urągliwie. - Wyżej, bratku! Jeszcze kęsek! Cóż tak ustał, strach cię obleciał?

Dzieliło nas nie więcej niż pół sążnia, kiedy wyjąłem lewak spomiędzy zębów i zamarkowałem zamach, jakbym chciał nim cisnąć. Nie wytrzymał nerwowo, szarpnął się wstecz, przez co jego cios chybił. Szabla świsnęła mi nad głową, a ostrze ucięło czubek drabiny. Postąpiłem szybko, złapałem jego gołą stopę w kostce i szarpnąłem. Stracił równowagę i gruchnął w tył, jednak nie puszczając szabli z ręki. Skoczyłem za nim, ale zdążył się odturlać i zaraz stanął pewnie na nogach.

Stracił jednak przewagę, bo zdążyłem wyciągnąć rapier. Stryzek był niski, niewielki i odrobinę oświetlony tylko tam, pokąd sięgało słabe światło z otwartej klapy albo przez dziury w gontach zaglądała poświata księżycowa. Krążyliśmy wokół podświetlonej dziury jak dwa czające się do skoku drapiezniki. Szablę trzymał wysoko, na poziomie oczu, ale nie wzniesioną, lecz wyciągniętą przed siebie, tak jak powinien to robić szablista w pojedynku z używającym rapiera, który był bronią szybszą i sposobniejszą do sztychów. Nie mógł ciąć z wysoka, aby nie zawadzić o poszycie dachu, ale i tak

455

W

by tego nie uczynił, wiedząc, że taki zamach dałby mi sposobność do kończącego pchnięcia. Od czasu do czasu udawał atak, chcąc mnie sprowokować do pochopnej akcji, lecz nie dawałem się nabrać. Uderzaliśmy więc jedynie końcami brzeszczotów, badając się wzajem i czekając na okazję. Zanim zorientowałem się, że ten podstępny łotr, zdając sobie sprawę, że na rękę mi nie dotrzyma, wcale nie zamierzał walczyć uczciwie, było za późno.

Pomiędzy belkami spinającymi krokwie był rozwieszony sznur, a na nim wisiała jakaś szmata. Manewrując tak, by znaleźć się w pobliżu, nagle uskoczył za nią i zniknął mi z oczu. Zbliżyłem się ostrożnie i wtedy ostrze szabli przebiło szmatę, celując mi prosto w serce. W ostatniej chwili związałem żelazo lewakiem, a i tak rozorało mi pierś. Skręciłem lewak i szabla wypadła mu z dłoni. Ale nie zdążyłem go pchnąć, bo zarzucił mi szmatę na głowę. Zerwałem ją zaraz i instynktownie machnąłem rapierem, lecz utkwiał w krokwi i nie miałem czasu się z nim szarpać, gdyż Zborowski już zdążył podnieść szablę i zbliżał się do mnie, szczerząc zęby w okrutnym uśmiechu.

- Mam cię!

Zrobiłem jedyne, co mi pozostało. Podskoczyłem, oburącz pochwyciłem sznur, modląc się, by wytrzymał, i kiedy Samuel rzucił się naprzód, wykonałem salto, raptem znalazłszy się za jego plecami, po czym zginając i prostując gwałtownie nogi, kopnąłem go w wystający zadek. Poleciał głową naprzód, potknął się, stracił równowagę i próbując ją odzyskać, puścił szablę, ale nic mu to nie dało i zniknął w otworze.

Czy można zabić człowieka, deptając mu po palcach? Można, pod warunkiem, że wisi on ucepiony parapetu, a do ziemi ma ze sto stóp. Zborowski wisiał znacznie niżej, więc gdy nastąpiłem mu na palce kurczowo ucepione krawędzi wjazdu na stryszek, zleciał na dół prawie bez szwanku, trochę tylko poturbowawszy się o drabinę. Zszedłem za nim z odzyskanym rapierem i jego szablą.

- Nareszcie - westchnął Stachnik. - Bo już się niepokoiłszy o ciebie. Brać go!

- Jeszcze nie skończyłem - zaoponowałem i rzuciłem szablę Zborowskiemu, który wcale nie wyglądał, jakby się za nią stęsknił. Odtąd bił się bez wiary w zwycięstwo. Szaleństwo w jego oczach ustąpiło rezygnacji, ale nie zamierzałem ryzykować. Skupiony,
456

odbijałem wpięrk jego cięcia i sztychy, broniąc się tylko, po czym sam przeszedłem do natarcia. Coraz trudniej przychodziło mu parować kaśliwe ukłucia mojej klingi, aż wreszcie pojął, że bawię się z nim okrutnie jak kot z myszą i dysząc ciężko, wychrypiał:

- Zabij!

Wytrąciłem mu szablę z osłabłej dłoni i przystawiłem sztych do piersi.

- Kacper! - upomniał mnie groźnie Stachnik.

Pozostali wstrzymali dech. Samym nadgarstkiem machnąłem szybko dwa razy, wycinając Zborowskiemu znak krzyża na piersiach. Koszula spłynęła krwią.

- Twoi bracia naznaczyli mnie, ja naznaczyłem ciebie. I jeszcze jedno. Byłbym zapomniiał, a moja żona, panna Wapowska z domu, nigdy by mi nie darowała, gdybym cię od niej nie pozdrowił - zaciśniętą pięścią strzeliłem go w pysk, aż się zatoczył, a z nosa trysnęła mu jucha.

- Teraz jesteśmy kwita - powiedziałem i odstałem w bok, dając znak starościńskim. - Jest wasz.

Rzucili się na niego hurmą i powlekli na majdan. Świtało. Spętawszy Zborowskiego, wpakowali go do czarnej karety z zasłoniętymi oknami, przywiezionej z Proszowic specjalnie w tym celu. Stadnickiego i Chełmskiego puszczono wolno, wymierzywszy im na pożegnanie nieco szturchańców i kopniaków, a z domu zabrano jedynie szkatułę należącą do Zborowskiego w mniemaniu, że może zawierać kolejne kompromitujące listy. Uszykowawszy się, już mieliśmy ruszać, kiedy z domu wybiegła Włodkowa, płacząc, pomstując na najście i zarzekając, że nie daruje swojej krzywdy.

- Toć to czysta weksacja była! Gwałt, zajazd i jawne złodziejstwo!

- Zamilcz, niewiasto! - zirytował się Uhrowiecki. - Aresztowanie odbyło się wedle prawa, sewatis etiam iuñbus humanitatis¹. Nie zarekwirowano niczego okrom szkatuły, w której mogą być listy, choć prawnie wszystko mogliśmy zająć jako confiscata bona². Ciesz się z tego, tudzież z tego, że upiekło ci się ukrywanie wywołańca, i nie drażnij nas.

1 Z zachowaniem praw ludzkości (lac.).

2 Sądownie zabrane rzeczy (lac.).

457

- A co z wujem? Do aresztowania potrzeba delatora, a nie widzę go między wami, ergo to bezprawie! Nadto Samuel ma listy żelazne od króla, gwarantujące mu nietykalność!

- Delator wobec wywołańca nie jest potrzebny, a glejty i listy żelazne, jakimi ów mógłby się zasłaniać, uważać należy za nieważne, nawet gdyby w istocie je dostał, co jest nieprawdą. Tak mówi prawo. I dość na tym - uciał podstarości i dał znak, byśmy ruszali. Nie ujechaliśmy daleko, kiedy zastąpili nam drogę przyjaciele, dworzanie i słudzy Zborowskiego, pozostawieni w Stogniewicach i Jakubowicach, pobudzeni nocną strzelaniną i spieszący na pomoc Samuelowi. Na widok zbrojnej gromady otaczającej czarny powóz, zawahali się.

- Z drogi! - huknął Żółkiewski, a strzelcy wymierzyli rusznice.

Uhrowiecki otworzył drzwi karety, szarpnął Zborowskiego za kołnierz i przystawił mu pistolet do głowy.

- Jeden ruch, a rozwałę mu łeb! - zagroził.

- Rychłowski! - zawołał Samuel. >

Jeden z tamtych niepewnie wysunął się naprzód.

- Dajcie pokój, Rychłowski niebożę - ciągnął więzień. - Jedźcie do mojego syna i służcie mu tak wiernie, jak mnie służyliście.

Uhrowiecki wepchnął go z powrotem do karety. Ruszyliśmy, a tamci rozstąpili się. Nikt nas nie zaczepił, nikt nic nie rzekł. W Proszowicach czekał już kanclerz z przybocznymi i razem pociągnęliśmy do Krakowa. Powóz z więźniem jechał przed powozem Zamojskiego. Wieść o pochwyceniu Zborowskiego dotarła do miasta przed nami. Wielka czereda popleczników banity, poprzednio tak butna i chełpliwa, teraz stopniała znacznie. Nikt nas nie zaczepił, nie wznosił pogardliwych okrzyków, nie odgrażał się. Patrzono tylko spode łba. Tak to bywa. Kiedy Samuel drwił sobie z prawa i wyprawiał najdziksze swawole, miano go za niezwyciężonego olbrzyma i garnięto się do niego. Kiedy jechał ciupasem, zmalął raptem do właściwych rozmiarów i stracił zwolenników. Dlatego na ulicach miasta witała nas ciżba wiwatująca na cześć zwycięskiego kanclerza i szydząca z jego pokonanego adwersarza. Jednak popod Wawelem zgromadziło się wiele szlachty przybyłej na roki i ci w głos gardłowali, nie tyle przeciw samemu kanclerzowi, ile przeciw niebывалemu dotąd w Polsce aresztowaniu tak znamienitej osoby. Nie dziwiłem się im - oto blady strach padł na panków, do tej pory

458

przekonanych, że wszystko im wolno, a prawo dobre jest tylko wtedy, gdy im dogadza.

Kiedyśmy przybyli na Wawel, więźnia natychmiast odprowadzono do wieży Senatorskiej zwanej Lubranką, o której imć Rej pisał tak:

Patrzże ma mila wieżo na Polskę szeroko,

Użrysz dosyć nierządu, prawie aż na oko.

Dawajże tym na dół znać, co im się należy..

Zamojski zaraz przemówił do zebranej na Wawelu, częściowo rozjątrzonej, ale bardziej zaniepokojonej szlachty, i wyłuszczył powody, dla których Samuel został uwięziony. Mało kogo przekonał, lecz do tumultu nie doszło. Szlachta rozeszła się, obiecując wystosować petycję na piśmie.

- Co teraz? - spytałem, gdyśmy nareszcie mogli trochę odetchnąć.

- Czekamy - odparł Zamojski.

Był zmęczony, twarz miał ściągniętą. Widać było, że odpowiedzialność, którą wziął na siebie, ciążyła mu. Ale jak go znałem, skoro już podjął decyzję, nic nie mogło go od niej odwieść.

- Na co?

- Na informację od króla. Posłałem już w tej sprawie do Grodna.

Wróciłem do domu. Janka uwiesiła mi się u jednego ramienia, cioteczka u drugiego i tak mnie wyściskały, że prawie straciłem dech. Już wiedziały o aresztowaniu Zborowskiego, bo całe miasto huczało tylko o tym, więc jedynie uzupełniłem szczegóły.

- Zali naprawdę go stracą? - upewniła się Janka, kiedy szliśmy spać.

- Myślę, że tak.

- Nareszcie!

Ponieważ milczałem, szturchnęła mnie, zaniepokojona.

- Nie cieszysz się?

- Cieszę. Wiem, że z nawiązką zasłużył na to, co go czeka. Ale coś mi mówi, że przyjdzie mu zapłacić nie za własne winy, jeno za sprawki niecnotliwych braci. A poza tym kanclerz Zamojski gra jego kartą w swojej walce o władzę. Nie powiem, żeby mnie to zachwycało, chociaż go rozumiem.

1 Pitaval krakowski, Kraków 1974, s. 91.

459

- Przestań dzielić włos na czworo! Grunt, że teraz jesteśmy nareszcie bezpieczni - skwitowała i miała całkowitą rację. - Naprawdę wyciąłeś go w pysk w moim imieniu? - spytała po chwili.

- Yhm... - mruknąłem, bo oczy mi się kleiły.

Ale nie pozwoliła mi zasnąć. Kochaliśmy się prawie do północy. Wciąż była sobota 12 maja. Następne dni przyniosły wzrost napięcia. Do kanclerza rycerstwo posłało petycję, by wstrzymał egzekucję i trzymał więźnia w wieży aż do sejmu, na co odparł, że jeśli znajdzie się ktoś, kto zechce u siebie przetrzymać Samuela w więzach aż do sejmu, to proszę bardzo. Nie zgłosił się nikt. Mimo to wciąż zasypywano kanclerza petycjami. Błagała go o litość także stara już pani krakowska, teściowa Samuela. Ale z kolei Katarzyna Wapowska przysłała list, w którym domagała się wykonania kary śmierci na więźniu za zabicie jej męża przed laty. I tego kanclerz postanowił się trzymać, co nie było najfortunniejszym wyborem, gdyż miał Samuel riã sumieniu o wiele poważniejsze zbrodnie. Zborowscy i ich stronnicy rozżarli się srodze, natrząsali się z Zamojskiego i wyśmiewali:

- Trzymasz wilka za uszy, mości Zamojski!

- Bacz, by nie skoczył ci do gardła!

- Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma!

Umilkli, gdy nadeszła informacja królewska. Była krótka. Na

pytanie Zamojskiego, co ma uczynić z Samuelem, Batory odpisał w czterech słowach: Canis mortuus non mordet. Błady strach i niedowierzanie ogarnęły wszystkich, i wrogów, i przyjaciół głównika, bo rzecz była niesłychana i mimo wszystko zaskakująca. Całe miasto z trwogą i ciekawością czekało na egzekucję, którą wyznaczono na sobotę 26 maja, po upływie równych dwóch tygodni od pojmania Zborowskiego.

Wieczorem w piątek przed Trójcą Świętą przyszedł po mnie Stachnik Żółkiewski.

- Myślę, że powinienes przy tym być - powiedział. - Jako i wszyscy, którzyśmy przyłożyli rękę do jego pojmania.

Udaliśmy się do zamku. Mikołaj Uhrowiecki już uprzedził Zborowskiego o egzekucji, na co spotkał się z jego strony z zarzutem,

Według innej wersji król odpisał następująco: Domine Zamojski! Canis timidus vehementius latrat quam mordet (Panie Zamojski! Pies bojaźliwy więcej szczeka, aniżeli kąsa, trzeba go więc zabić).

460

że uczynił to zbyt późno, by skazaniec zdążył się należycie wypowiadać. Samuela pilnował Mroczek, który raportował, że więzień wciąż leży krzyżem i modli się na głos, wyznając swoje grzechy i wzywając miłosierdzia bożego, bowiem odmówiono mu sprowadzenia ministra kalwińskiego. Nie spodobało mi się to. Ostatecznie nawet najgorsi zbrodniarze powinni mieć prawo do ostatniej posługi. Powiedziałem swoje zdanie. Uhrowiecki obiecał, że przyśle skazańcowi katolickiego księdza.

- Dobrze, że jesteście - powitał nas Zamojski, czekając razem z Janem Tomaszem Drohojowskim. - Chodźmy zatem.

Przez kuchnie królewskie, którymi przed laty król Henricus wymknął się z zamku, uciekając z Polski, poszliśmy do Lubranki poprzedzani przez Wybranowskiego z półhakiem. Uhrowiecki już tam był. Wstapiliśmy na schody. Zborowskiego nie wtrącono do ciemnicy. Uwięziony w izbie na piętrze, przyzwoicie odziany, siedział na łóżku w towarzystwie Mrocza, trzymając na kolanach rozłożoną Biblię. Kiedy zobaczyli nas przez otwarte drzwi, obaj powstali. Uhrowiecki postawił przyniesiony stółek na środku izby.

- Co jest? - spytał więzień. - Czego chcecie?

Wybranowski uniósł lufę strzelby.

- Na kolana, łotrze, i błagaj miłosierdzia.

- Nie trzeba - rzekł kanclerz i usiadł na stołku.

Przez chwilę mierzyli się ze Zborowskim wzrokiem, wreszcie Zamojski rzekł:

- Oj, Samusiu, Samusiu! Przyszła na cię kryśka. Musisz przyznać, że ja dzielniejszy od ciebie, skoro cię dostał.

- Nigdy nie byłeś ode mnie mężniejszy. Gdyby tak było, nie nasyłałbyś na mnie swoich psów pośrodku nocy, by mnie pojмали we śnie. Nie męstwo twe wydało mnie w twoje ręce, lecz zdrada i moje grzechy.

- Nie wiem, gdzieś to męstwo okazywał - sarknął kanclerz. - Chyba najeżdżając domy szlacheckie i łupiąc klasztory.

- Leż wierutny! Nikomu mego męstwa nie muszę udowadniać! - wściekł się więzień i zrobił ruch, jakby chciał rzucić się na Zamojskiego.

Żółkiewski sięgnął do szabli, Wybranowski uniósł półhak, lecz Drohojowski zbił lufę, gdyż skazaniec już zdążył ochłonąć.

461

- Jeśliś przyszedł jedynie naigrawać się ze mnie, tedy odejdz, tyranie - rzekł z goryczą. - Nie zabijaj mi choć duszy, bo czas krótki mam, a grzechów wiele. Muszę się z nich sprawić memu Bogu.

- Skoro mowa o grzechach, wyznaj je mnie, a może ci ulży. Z kim buntowałeś się przeciw królowi?

- Nie buntowałem się.

- Listy ci odebrane mówią co innego.

- I cóż z tego? Nie jam je pisał, jeno Krzychnik. A jeżeli i były w nich jakoweś skargi na króla Stefana, tedy miał do nich prawo, bo poddanym jest cesarskim, nie królewskim i ganić obcego pana mu wolno.

- Ergo zaprzeczasz, że twoi bracia nastawiali na życie króla? Mów prawdę jak na spowiedzi. Pomnij, że niedługo staniesz przed Stwórcą.

Samuel coś w sobie rozważał ze spuszczoną głową, po czym podniósł ją i potoczył po nas udreńczonym wzrokiem, w którym nie pozostało nic z dawnego zuchwalstwa, może z wyjątkiem resztek dumy.

- Zgoda. Powiem, a przytomni tu panowie, bo na twoją sprawiedliwość nie rachuję, niechaj zważą w swoich sercach, czy zaiste wina moja w tym była. To Jędrzej i Krzysztof wespolek z panem Ciołkiem wiedli do tego, by króla z rusznicy zabić z kamienicy na przejeździe na koronację. Namawiali się do tego per ciffras¹. Przysłali i mnie też taki jeden list per ciffras pisany, którego wszak nie wyrozumiawszy, odesłałem Jędrzejowi.

- A co rzekniesz o takim ustępie z listu Krzychnika niecnoty wyjętym: „w gnieździe naszym w Zborowie na trawie com obiecał, od tego nie odstąpię”?

- Był plan zabicia króla podczas łowów w Puszczy Niepołom-nej, owszem. Jednakowoż nie przyszedł do skutku, gdyż jam się rozmyślił, a im brakło odwagi.

- Czy i tego się wypierasz, żeś z Niżowcami do Hirek na rozbój chadzał?

- Samiście mnie do tego razem z królem namawiali!

- Tak, ale przed laty, abyś stare winy mógł odkupić, a nie potem, gdy pokój z Portą stanął. Wiesz, żeś wielkich planów króla i całego chrześcijaństwa omal nie unicestwił!?

1 Szyfrem (lac.).

462

- Jeśliś przyszedł jedynie naigrawać się ze mnie, tedy odejdz, tyranie - rzekł z goryczą. - Nie zabijaj mi choć duszy, bo czas krótki mam, a grzechów wiele. Muszę się z nich sprawić memu Bogu.

- Skoro mowa o grzechach, wyznaj je mnie, a może ci ulży. Z kim buntowałeś się przeciw królowi?

- Nie buntowałem się.

- Listy ci odebrane mówią co innego.

- I cóż z tego? Nie jam je pisał, jeno Krzychnik. A jeżeli i były w nich jakoweś skargi na króla Stefana, tedy miał do nich prawo, bo poddanym jest cesarskim, nie królewskim i ganić obcego pana mu wolno.

- Ergo zaprzeczasz, że twoi bracia nastawiali na życie króla? Mów prawdę jak na spowiedzi. Pomnij, że niedługo staniesz przed Stwórcą.

Samuel coś w sobie rozważał ze spuszczoną głową, po czym podniósł ją i potoczył po nas udęczonym wzrokiem, w którym nie pozostało nic z dawnego zuchwalstwa, może z wyjątkiem resztek dumy.

- Zgoda. Powiem, a przytomni tu panowie, bo na twoją sprawiedliwość nie rachuję, niechaj zważą w swoich sercach, czy zaiste wina moja w tym była. To Jędrzej i Krzysztof wespołek z panem Ciołkiem wiedli do tego, by króla z rusznicy zabić z kamienicy na przejeździe na koronację. Namawiali się do tego per ciffras¹. Przysłali i mnie też taki jeden list per ciffras pisany, którego wszak nie wyrozumiawszy, odesłałem Jędrzejowi.

- A co rzekniesz o takim ustępie z listu Krzychnika niecnoty wyjętym: „w gnieździe naszym w Zborowie na trawie com obiecał, od tego nie odstąpię”?

- Był plan zabicia króla podczas łowów w Puszczy Niepołom-nej, owszem. Jednakowoż nie przyszedł do skutku, gdyż jam się rozmyślił, a im brakło odwagi.

- Czy i tego się wypierasz, żeś z Niżowcami do Hirek na rozbój chadzał?

- Samiście mnie do tego razem z królem namawiali!

- Tak, ale przed laty, abyś stare winy mógł odkupić, a nie potem, gdy pokój z Portą stanął. Wiesz, żeś wielkich planów króla i całego chrześcijaństwa omal nie unicestwił!?
1 Szyfrem (łac.).

462

- Skąd miałem o tym wiedzieć!? - wykrzyknął więzień z rozpaczą.

Zamojski machnął ręką z rezygnacją.

- Ergo, mój Zborosiu, tyś czysty jak łąza. Z czego zatem chciałeś się spowiadać?

- Z tego, com w złości bezsilnej i desperacji czynił łośkiego roku i za co Pan Bóg słusznie mnie teraz karze.

- Czyli? v

- Ręką własną siedmiu zabił, a z mojej przyczyny potem siła innych pobito, gdy m gwałty czynił w mieściech i na gościńcach.

Zamojski wstał.

- Dość na tym. Już posłano po księdza, zaraz się winien zjawić. Bech, zapisaliście wszystko akuratnie?

- Tak jest - odparł sekretarz, który przy stole sporządzał notatki.

Wyszliśmy bez słowa, znów zostawiając przy nim Mrocza i mijając się na schodach z księdzem spieszącym do skazańca. Ziewał szeroko jak człowiek rozbudzony z głębokiego snu. Bo też było już chyba grubo po północy, w sobotę 26 maja. Nam jednak nie chciało się spać, skorzystaliśmy więc z zaproszenia Uhrowieckiego i w Grodzie zasiedliśmy do stołu. Niepokoił się, choć żaden z nas do tego się nie przyznawał. Jedliśmy mało, puchary także gęsto nie krążyły, rozmowa się nie kleiła. Nawet hetman był daleki od tryumfalizmu. Pewnie jak pozostali już teraz rozważał dalekosiężne skutki tego, co miało się dziś wydarzyć. Nareszcie zaczęło dnieć i pierwszy Zamojski ciężko podniósł się z ławy.

- Już pora. Idę do katedry się pomodlić, a wy wyprowadźcie skazańca. Aha, panie Uhrowiecki, każ zatoczyć działa na mury i obsadź blanki strzelcami.

Uhrowiecki wydał dyspozycje, zabrał ze sobą kilku zbrojnych pachołków, po czym społem udaliśmy się do wieży. Podstarości pchnął drzwi i zawołał:

- Panie Zborowski, pójdz z nami, bo nadszedł twój czas.

Więzień odwrócił się od okna. Był już przygotowany, ubrany dostatnio w atlasowy żupan i delię szkarłatną podszytą rysiami.

- Zali naprawdę już czas? - spytał, jakby wciąż nie mógł uwierzyć w to, co go czekało. - Ha, skoro inaczej być nie może, tedy chodźmy. Panie Boże! Z miłosierdzia wielkiego przyjmij ducha mego łaskawie w ręce swoje święte!

463

Za progiem wpadł na nas zdyszany Bech, trzymając w ręku przepisany porządnie protokół z przesłuchania. Wyjął z zanadru kałamarz, zamoczył w nim pióro i podsunął więźniowi do podpisania.

- Precz! - Zborowski zepchnął go na bok jak utrapioną zawalidrogę.

Wyszliśmy na dwór, po czym uszeregował się pochod: na przodzie Serny, potem Zborowski między Drohojowskim a Uhrowieckim, za nimi Wybranowski, a na końcu Żółkiewski i ja oraz gromada uzbrojonych po zęby hajduków. Wtedy pospiesznym krokiem nadszedł Zamojski, wołając z daleka:

- Stójcie!

Zdyszany stanął przed głównikiem i rzekł:

- Odpuść mi, Zborosiu, że każę cię tracić.

- Nie odpuszczę przed Bogiem i ludźmi, bo niewinnie mnie tracisz - odparł Zborowski, a w oczach po staremu błysnął mu ogień.

- Na Boga cię proszę, odpuść mi.

Twarde spojrzenie więźnia odrobinę złagodniało. ,

- Prawda to, że kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Odpuszczam zatem, ale cię pozywam przed straszliwy sąd Boga żywego, przed którego majestatem dziś stanę. Ten z tobą rozsądzi, że mnie niesłusznie tracisz.

Wyrowadzono go przez boczną furtę przy Lubrance, tę samą, którą uciekał do Francji król Henryk, na niewielki plac, leżący pod Lubranką, między klasztorem Bernardynów a Kurzą Nogą¹.

Nie poszedłem za nimi. Nigdy nie lubiłem takich widowisk. Nie czułem nienawiści do Samuela. Już nie. Ale żalu także. Co zatem? Chyba ulgę, że nareszcie wszystko się skończyło. Zniknął miecz Damoklesa od lat wiszący nad moją głową i głowami moich najbliższych. Tylko dlatego zostałem. Żeby mieć pewność. Wspiąłem się na mur i stanąłem pomiędzy żołnierzami, którzy z gotowymi do strzału rusznicami gęsto obsadzili blanki. Puszkarze trzymali płonące pochodnie, aby w każdej chwili móc odpalić działa. Jednak te środki ostrożności okazały się zbędne. Nikt nie zamierzał odbijać skazańca. Pośród tłumu oblegającego brzeg Rudawy przed bramą Grodzką

1 Zachował się do dziś. W XVIII w. posadzono tam kilka kasztanów (a potem pośród nich stanęła kopia kamiennego posągu Światowida).

464

i tłoczącego się przed kościołem Bernardynów jego stronników było zadziwiająco mało, a ci, którzy przyszli, ze strachu siedzieli cicho. Dostrzegł to sam Zborowski, kiedy wstępował na podwyższenie, gdzie kat i jego pomocnicy już czekali obok pnia przykrytego czerwonym sukniem. Spojrzawszy z góry na gawiedź wznoszącą wrogie okrzyki pod jego adresem i nie ukrywającą swej radości na widok magnata, który wielokrotnie dał się miastu we znaki, a teraz za to i za inne sprawki płacił z nawiązką, wpatrzony ponad głowami ciżby w niebieskie niebo Zborowski zawołał z goryczą:

- Gdzież moi bracia, gdzież moi przyjaciele, gdzież moi słudzy, których ja zawsze miałem niemało, a teraz sam ginę! - po czym bez oporu zdjął delię i żupan, i w samej koszuli ukląkł przy pniu, aby się pomodlić.

Z wysoka nie widziałem dokładnie, ale słyszałem wszystko bardzo dobrze.

- Już i na to przyszło tobie, byś na niebiosą się oglądał - przerywając modlitwę, powiedział Zborowski do kata, który też klęczał - wszakże cię proszę, nie przeszkadzaj mi,

póki się modłę, a kiedy rzekę trzeci raz: Jezus! dogadzajże dobrze. Oto tobie i hajdukom manele swe odkazuję.

Rozkrzyżował ramiona, położył głowę na pniu i po niejaki chwili zawołał:

- Jezus!

Wystraszony kat, który już brał zamach, cisnął miecz i zeskoczywszy z szafotu, pobiegł ku kościołowi Bernardynów, a ciżba pospiesznie rozstępowała się przed nim z trwogi przed samym dotknięciem małodobrego. Zborowski właśnie zaczął obracać głowę, by zobaczyć, co się stało, kiedy hajduk towarzyszący małodobremu porwał porzucony miecz i ciął strasznie, odwalając mu głowę razem z kęsem lewego ramienia. Ucięta głowa podskoczyła trzy razy niby piłka, po czym spadła z rusztowania i potoczyła się wprost pod nogi Uhrowieckiego, który odskoczył jak oparzony.

- Oooooo! - jęknął tłum z radością i rozkoszą zarazem, po czym posypały się głośnie i niewybredne okrzyki i komentarze.

Tymczasem druhowie zmarłego składali ciało do trumny, a słudzy szykowali się, by ją zabrać, zapewne do kamienicy wojewody kaliskiego Zebrzydowskiego, bo chyba to jego widziałem wydającego dyspozycje. Wtem do otwartej jeszcze trumny podszedł jakiś człek
465

94 li:

w czerni i umaczał białą chustkę w krwi nieboszczyka. Uniósł potem głowę i popatrzył, jak mi się zdawało, wprost na mnie. Przypominał mi Kettlera, ale z powodu oddalenia nie miałem pewności.

Kiedy jednak godzinę potem wracałem do domu, coś leżało na progu. Skrwawiona chustka. Schyliłem się, podniosłem ją i przeczytałem umieszczony na niej napis: „Czekam na ciebie w piekle - S.Z.". A więc myliłem się, sądząc, że śmierć Zborowskiego zamknęła jakiś rozdział w moim życiu. Nic się jeszcze nie skończyło.

«

EPILOG

Lublin, sierpień 1584 roku

Na sierpniowej konwokacji, posiedzeniu senatu, podczas którego miano ustalić termin przyszłorocznego sejmku, wniesiono także oskarżenie przeciw Zborowskiemu, Andrzejowi i Krzysztofowi, i pozwano ich na ów sejm w sprawie o obrazę majestatu i zdradę stanu. Batorego zirytował wrzask, jaki podnieśli obaj wymienieni, którzy, aby ukryć własne winy, gardłowali i jątrzyli przeciw królowi i kanclerzowi, skazanie Samuela nazywając srogim tyraństwem. Po ciało ściętego Andrzej przyjechał do Krakowa, po czym zawiózł je do Zborowa, gdzie długo nie było pochowane, aż wreszcie Batory zagroził, że każe szczątki wrzucić do Wisły, jeśli nie spoczną spokojnie w grobie. Mimo iż zdecydowana większość senatorów opowiedziała się po stronie króla, zwłaszcza gdy ich uświadomiono, jak z przyczyny wybryków Samuela niewiele zabrakło do wojny z Portą, przyszła batalia sejmowa zapowiadała się niezwykle burzliwie. Za to sprawy z 1\ir-cją, które najbardziej niepokoiły króla, nareszcie szły ku lepszemu.

20 sierpnia, zaraz w pierwszym dniu obrad, Jan Tomasz Drohojowski w imieniu Jana Kochanowskiego upomniał się o satysfakcję za śmierć jego szwagra, Jakuba Podlódzkiego, ale sprawę odroczone do sejmku. Przyczynił się do tego sam Batory, który nie zgodził się potraktować tego mordu jako obrazy majestatu, by nie drażnić sułtana, który niedawno zrezygnował z haraczu jako rekompensaty za najazd Niżowców na Jahorlik i Bendery.

Wówczas Zamojski wyjednał u Batorego audiencję dla zrozpaczonego wielkiego poety, który nie chciał wracać do żony z niczym.

- Mości Kochanowski - odparł król, gdy Kochanowski przybył nazajutrz na zamek i wyłuszczył swe żale. - Nie wątpisz waść chyba, że bardzo cię cenimy i tym bardziej wraz z

tobą żałujemy śmierci imć Podlodowskiego, dobrego sługi naszego. Nie myśl, żeśmy niczego w tej sprawie nie uczynili.

467

Skinął na Zamojskiego, który podjął:

- Zaraz po odprawieniu roków starościńskich w Krakowie, ruszyłem do Lwowa, gdzie już czekali imć Mielecki i czausz padyszacha, Mustafa, zbisurmaniony chrześcijanin. W jego przytomności na rynku we Lwowie trzydziestu ujętych Kozaków schwytych w Korsuniu za napaść na Jahorlik i Bendery dało głowy na katowskim pniu, zaś ciała ich ku przestrodze, zgodnie z wolą królewską na kawałki siec zaleciłem. A ponieważ śmierć ich wodza Samuela Zborowskiego już rozeszła się szerokim echem po świecie, Turcy jego stracenie uznali za ukaranie pogwałconego przymierza. Dlatego ukontentowany sułtan poprzez czausza nareszcie zgodził się na pokój między naszymi krajami.

- Może i sułtan kontent, ale ja nie, wasza królewska mość - odparł poeta, ocierając pot z czoła i nerwowo szarpiąc kryzę pod szyją. - Rad bym wiedzieć, czy i jakie kroki poczyniono dla pomszczenia mordu popełnionego na moim niewinnym szwagrze.

Mimo zaledwie pięćdziesięciu czterech lat, wyglądał Jbardzo źle. Spotniałe oblicze było nabrzmiałe i pokryte niezdrowym rumieńcem.

- Imć Stanisław Włodek, który posłował do sułtana w sprawie napaści Niżowców na Jahorlik i Bendery, podniósł tę sprawę - tłumaczył cierpliwie król. - Sułtan obiecał mu uczynić inkwizycję. Czausz Mustafa zapewnił, że śledztwo wykazało, iż zbrodnię popełnili pospolici zbójcy, których już złapano i ukarano.

- I uwierzono mu na słowo?

- Nie - wtrącił Zamojski, patrząc na przyjaciela ze współczuciem. - Zaraz po straceniu Niżowców jego królewska mość wysłał do Porty pana stolnika Słostowskiego, który nieraz już posłował do Tbrek, aby sprawdził, zali w istocie winni zamordowania imć Podlodowskiego zostali pokarani.

- Nic więcej uczynić nie można - dodał król. - Musimy czekać na powrót imć Słostowskiego i ufać, że sułtan dotrzymał słowa. Wrócimy do tej sprawy na sejmie, obiecuję to waści.

Nie mówił tego szczerze. Planując za niedługo wielką krucjatę przeciw TURcji w celu oswobodzenia ukochanych Węgier, tymczasem ponad wszystko pragnął usnąć czujność sułtana. O tych planach wiedziało tylko trzech zaufanych doradców, nie mógł więc wtajemniczyć znakomitego poety, choć było mu go żal.

- Co jest? Co wam się dzieje?

468

Poeta złapał się za lewe ramię i ciężko łapał oddech. Twarz mu spurpurowiała, wzrok miał błędny. Nogi się pod nim ugięły i byłby upadł, gdyby z jednej strony Zamojski, z drugiej Drohojowski nie podtrzymali go i nie złożyli na sofie.

- Lekarza! - zawołał król.

Przybyły natychmiast medyk podejrzewał udar serca. Ale chory uparł się wracać na kwaterę w pobliżu bramy Krakowskiej, w sąsiedztwie domu innego znanego wierszopisa Sebastiana Fabiana Klonowica zwanego Acernusem, admiratora twórczości Kochanowskiego. Tam stracił przytomność. Mimo zabiegów lekarzy przysyłanych przez Batorego, król poetów umarł następnego dnia, nie odzyskawszy przytomności.

Lotem błyskawicy wieść o jego śmierci obiegła cały kraj, który pograżył się w żałobie.

Kronikarz Bielski zanotował: „Umarł Jan Kochanowski herbu Korwin, poeta taki polski, jaki w Polsce jeszcze ani nie był, ani się takiego spodziewać mozem”.

A Sebastian Klonowie zapłakał:

Komuż tedy odkazujesz odumarle sprzęty, Lutnię i treść niebotyczną, o poeta święty? Tchu i dowcipu po tobie żaden nie ma z to, Co by się twych pieśni podjął: partacześmy prosto. I Grodno, grudzień 1586 roku

Mroźną i wietrzną zimą 1586 roku, szukając wytchnienia od sprawy, która go ostatnio najgoręcej zajmowała - z błogosławieństwem papieskim podboju Moskwy i zmontowania wielkiej ligi antytureckiej - Batory polował w najlepsze w lasach pod Grodnem, choć rana w nodze bardzo mu dokuczała. „Widziałem, jak król powracał z pola z tak skostniałymi nogami, plecami i tak przemarzniętym całym ciałem, że ledwo przy wielkim ogniu przychodził do siebie”, zanotował przyboczny medyk, Włoch Szymon Simonius.

I Sebastian Fabian Klonowie, Żale nagrobne na ślachtetnie urodzonego i znacznie uczonego męża... Jana Kochanowskiego, oprac. R. Montusiewicz, Lublin 2004, s. 40-41.

469

Aż wreszcie dostał gorączki, co zaniepokoiło zaufanego monarchy, pokojowca Franciszka Wessełeny'ego, który miał w swej pieczy także prywatną apteczkę króla. Sprowadził więc Bucellę, bo do Simoniusa nie miał zaufania. Stan zdrowia chorego poprawił się i Stefan zaraz wybrał się na całodzienną wycieczkę do lasu. Być może przy okazji odwiedził także piękną leśniczankę, do której miał słabość. Ale po powrocie znów zaczął gorączkować, a Simonius zalecił dużo wina, ku przerażeniu Bucelli. I bez tego bowiem król nadużywał czasem trunku, tak że do niewydolności nerek doszedł kiepski stan wątroby.

Król cierpiał na duszności, to tracił przytomność, to ją odzyskiwał, miał dziwne napady z drgawkami, a lekarze zalecali każdy co innego, między innymi „nieco kamienia bezoar i kopyta łosiowego, te król zawsze chętnie zażywał”. W końcu Bucella uznał stan chorego za bardzo poważny i kazał wezwać kanclerza Zamojskiego. Ale ten nie zdążył przyjechać. W piątek 12 grudnia oczy cierpiącemu zmętniały, twarz miał czerwoną i był bardzo smutny, po południu zaś przyszedł ostatni atak, napad duszności i król zmarł. Zdążył tylko powiedzieć: - Oddałem się już w ręce Boga, przygotowany jestem do śmierci, nie trwoży mnie ona, jeżeli nie mówię, to dlatego, że mi cięży głowa i chciałbym usnąć.

Ostatniej spowiedzi i komunii przyjąć już nie zdołał. Zostawił po sobie zaledwie pięćdziesiąt jeden beczek różnego gatunku win oraz trochę szat wartych tylko pięć tysięcy trzysta pięćdziesiąt jeden florenów, co rozdzielono jako wynagrodzenie między jego jedenastu pokojowców.

Umarł „król z żelaza”, który pokazał, że w odróżnieniu od swego poprzednika nie był królem „malowanym”. I miał przekonanie, że państwo to on, czemu dał wyraz takimi słowy:

„Osoba moja i Rzeczypospolitej jedno są. Cokolwiek przeciwko mnie jest podejmowane, podejmowane jest przeciwko Rzeczypospolitej”.

A gdy posłowie naskoczyli na niego przy okazji sprawy Zborowskich, rzekł do nich tak:

I Ze związku z tajemniczą „piękną leśniczanką” (nie wiadomo nawet, czy mieszkającą pod Grodnem, czy raczej w pobliżu Niepołomic) według niektórych urodził się syn, przyszły Dymitr Samozwaniec.

470

„Nie w chlewie, lecz wolnym człowiekiem jam się urodził. Wolność swoją kocham i będę jej strzegł. Z woli bożej wyście mnie królem swym obrali. Jestem więc waszym królem, ale nie glinianym ani malowanym. Chcę panować i rozkazywać i nie ścierpię, żeby kto grał mi na nosie! Nie pozwolę, żebyście byli bakałarzami moimi i senatorów moich. Bądźcie sobie stróżami swej wolności. Na to zgoda. Ale od swawoli - wara!”

A gdy opierali się przy swoim mimo dowodów, złapał za szablę i huknął:

„Albo uczynicie mi sprawiedliwość, albo rozwiążcie mi ręce skrepowane waszymi prawami, a sam pomszczę mojej krzywdy!”

Ostatecznie zdrajcę Krzysztofa skazano na infamię, ale od tej chwili szlachta znienawidziła „gwałciela” swych swobód i zemściła się na stanowczym królu, rozjechawszy się podczas sejmku w 1585 roku bez podjęcia uchwał.

Nazywano Stefana „tyranem” i „gwałciicielem swobód szlacheckich”, a za plecami „węgierskim psem” i „tyranem nienawistnym”, ale bano się go i słuchano jak żadnego z władców elekcyjnych, choć nigdy nie użył siły wobec swych przeciwników, mówił jedynie: „Król Henryk, ten by was potłumił, ja tego, bych i mógł, nie uczynię”.

NOTKA HISTORYCZNA

Trudno w to uwierzyć, ale zarówno zbrodnie Elżbiety Batorówny, jak nieprawdopodobne wybryki Stanisława „Diabła” Stadnickiego, są niezbitymi faktami. Jedynym odstępstwem od prawdy historycznej ze strony autora było przesunięcie ich nieco w czasie, podczas gdy naprawdę zarówno ona, jak i on najgorszych swych występków dopuścili się nieco później - pod koniec wieku XVI i na początku następnego. Jeśli chodzi o Stadnickiego (kreaturę odrażającą i całkowicie amoralną), to sprawa była prosta - za Batorego musiał się mitygować, jeśli nie chciał skończyć jak wuj Samuel, pofołgował więc sobie (on i jemu podobni) dopiero za Zygmunta III Wazy, króla nieudolnego, grabarza świetności Rzeczypospolitej (o którym szerzej w ostatniej, czwartej części przygód Ryksa). Zaś Elżbieta „poszła na całość” w swym zwyrodniałym procederze dopiero po śmierci męża (który zresztą ochoczo pomagał jej w torturowaniu sług) w 1604 roku. Wpadła, gdy zabrała się do mordowania (ze względu na ich „błękitną” krew) szlachcianek. Rozpoczęty w 1610 roku proces (pod przewodnictwem hrabiego Thurzo) ujawnił makabryczny proceder, którego ofiarami padło blisko sześćset pięćdziesiąt młodych dziewcząt. Słudzy Elżbiety zostali ścięci, Dor-kę spalono żywcem, a Elżbietę zamurowano, pozostawiając zbrodniarce jedynie mały otwór na wodę i pożywienie. Zmarła po trzech latach, do końca nie poczuwając się do winy.

Istnieje zresztą wybielająca Elżbietę hipoteza, według której dowody jej rzekomych zbrodni spreparował hrabia Thurzo, palatyn Węgier, rywalizujący wpierw o to stanowisko z Nadasdym, a potem czyhający na ogromny majątek wdowy po nim. Prawda zapewne jak zwykle leży gdzieś pośrodku: Elżbieta nie była aż takim potworem, za jakiego do dziś uchodzi („wampir wszech czasów”), niewinną ofiarą perfidnego spisku nienawidzących Batorych Habsburgów też z pewnością nie.

472

Elżbietę i Samuela Zborowskiego (którzy zapewne nigdy się nie spotkali) łączyło jedno - z racji znakomitego urodzenia i wysokiej pozycji społecznej uważali, że wolno im dosłownie wszystko. Taki był znak czasów, ale czy tylko tamtych? Na pociechę można dodać, że to, co działo się na polskich kresach i tak było niczym choćby w porównaniu z Niemcami, gdzie na przełomie XVI i XVII wieku mordy i rozpasanie osiągnęły niebotyczne rozmiary. Tylko że kiedy tam instytucje państwowe zaprowadziły nareszcie porządek, u nas doszło do zupełnego upadku władzy i autorytetu państwa. Ale dopiero po śmierci Batorego, który rządził żelazną ręką i nie pobłażał nikomu, ani obcym, ani magnatom. Vide choćby los zdrajcy Ościka. Stąd wzięło się przysłowie: „Za króla Stefanka, strach było i na panka”.

Pobyty Zborowskiego na Niżu w latach 1578-1579 jest hipotetyczny i przez niektórych negowany, natomiast drugi, w 1583 roku - pewny. Jego prowokacje wobec Hirków spowodowały zaognienie stosunków z Portą Otomańską oraz zamordowanie szwagra Jana Kochanowskiego (a pośrednio - śmierć poety) i stały się podstawą do oskarżenia Zborowskiego o zdradę stanu. Niestety, został stracony za starą, o wiele mniejszą zbrodnię, i to był błąd, który bardzo nadszarpnął dobrą sławę Batorego, a jeszcze bardziej Zamojskiego, co temu ostatniemu (z wielką stratą dla Polski) uniemożliwiło ubieganie się o tron po śmierci Batorego. Okoliczności ujęcia i stracenia Samuela (a także wykradzenia listów przez bandurzystę Wojtaszka Długoraja) przedstawiono wiernie aż do najdrobniejszych szczegółów. Z jedynym wyjątkiem - podczas awantury u Włódkowej to Andrzej Stadnicki, a

nie Stanisław (bawił wówczas przy boku króla), towarzyszył Zborowskiemu i odniósł rany. Syn Samuela, Aleksander, dzielnie walczył z Moskalami w czasach Zygmunta III Wazy, i to pod wodzą nieprzyjaciela swego ojca, Stanisława Żółkiewskiego.

Zabójstwo Heleny Straszowej zostało opisane wiernie, z jednym tylko odstępstwem od prawdy historycznej - nastąpiło we wrześniu 1585 roku (zabójcę ścięto w grudniu), a nie pięć lat wcześniej, i sprawca ukrywał się na Stradomiu, a nie u Zborowskich, no i do ujęcia go nie potrzeba było wzniesienia rzekomego pożaru.

Należąca do legend krakowskich napaść na synagogę i pomysł rabina Hellera ze strachami na cmentarzu, jeżeli naprawdę miały miejsce, to w XVII wieku (i dotyczyły nie synagogi Remuh, ale bożnicy

473

Ajzyka, wyjątkowo bogato wyposażonej, której otwarciu w 1644 r. zainspirowało rabusiów), kiedy to doszło do kilku, zresztą niezbyt groźnych, pogromów żydowskich (w latach 1663, 1664 i 1670) ze strony krakowskiego motłochu, żaków i studentów ultrakatolickiej Akademii Krakowskiej, ponieważ za Batorego byłoby to niemożliwe. Ten „król z żelaza” nie tylko kazał bez pardonu ścinać magnatów, ale (mimo iż bardzo popierał jezuitów, jednocześnie nie brzydząc się arianami) nie pozwalał na żadne ekscesy na tle religijnym.

Nieprawdopodobna masakra siedemdziesięciu wrogów przez zaledwie piątkę polskich rycerzy (nie licząc Ryksa) na moście przez TUropończę naprawdę się zdarzyła, tak jak incydent z niedźwiedziem w spalonym Toropcu, tyle że dotyczył hajduka węgierskiego, który omyłkowo wziął miśka za bachmata, ale, choć poturbowany, przeżył, gdyż zwabieni jego krzykami nadbiegli inni żołnierze i zabili zwierza. Jedno i drugie zdarzenie opisał w swoim dzienniku Łukasz Działyński. Zresztą obie kampanie moskiewskie Batorego (z lat 1580 i 1581) zostały w powieści przedstawione wiernie, także jeśli chodzi o szczegóły, na przykład Wilhelm Kettler został ujęty przez Moskali, po czym zdołał zbiec, a Żółkiewski był pomysłodawcą wybuchającej szkatuły.

Co do chirurgicznego rekordu w amputacji, to jego prawdziwym autorem był członek zespołu doktora Lucenbergera Kacper Bendoński z Krakowa, starszy cechu cyrulików, który w 1577 roku podczas wojny Batorego z Gdańskiem wsławił się tym, że potrafił obcinać członki i podwiązywać naczynia w niesamowitym czasie ośmiu zdrowasiek, czyli około trzech minut. (Sławnemu chirurgowi napoleońskiemu Larreyowi na początku XIX wieku to samo zajmowało aż dziesięć-piętnaście minut). Być może to ten sam chirurg miejski Kacper, któremu w 1572 roku rajcy miejscy, w uznaniu za zasługi, odstąpili kawał gruntów miejskich na opisanych w powieści warunkach.

Mikołaj Sep-Szarzyński faktycznie zmarł w 1581 roku. Pochowano go w Przemyślu lub Przeworsku należącym do Kostków, ocalałe resztki jego spuścizny poetyckiej zebrał i wydał brat Jakub w 1601 roku (chyba we Lwowie) jako Rytmy albo wiersze polskie. Do XIX wieku przetrwał tylko jeden unikatowy egzemplarz, bez którego twórczość Sępa poszłaby w zapomnienie.

SŁOWNIK

achcza (tatar.) - moneta aequalitas (lac.) - równość (wobec prawa)

antałek - beczułka (ćwierć beczki) antyszambry - przedpokoje

bakszysz (pers.) - napiwek, łapówka bandura - lutnia kozacka z krótkim

gryfem ba'ko (ukr.) - ojczulek beng (rom.) - diabeł, zły duch berdysz - topór bojowy o długiej rękojeści

biesagi - podwójne torby podróżne

noszone na ramieniu blakuje - płowieje, blaknie brona - brarha buks(z)taba - litera buńczuk

(tur.) - sztandar turecki, tatarski lub kozacki w kształcie drzewca z zatkniętym na nim

końskim ogonem; oznaka wodzostwa burnus (arab.) - opończa z kapturem burzany (ukr.) -

wysokie zarośla stepowe, złożone głównie z łopianów i ostów

buzdygan (tur.) - broń podobna do buławy, lecz z podłużnie karbowaną galką, także oznaka wysokiego stopnia wojskowego borg - kredyt
Carogród - słowiańska nazwa Konstantynopola (tureckiego Stambułu) cekhauz - arsenał, zbrojownia cepak - strażnik (zwłaszcza nocny)
uzbrojony w cep bojowy chadzka (ukr.) - kozacka wyprawa
wojenna choroszo (ukr.) - dobrze chwost - ogon
cieplice - wody mineralne i lecznicze citharoedus (łac.) - lutnista ciupasem - pod strażą i w pętach communitas (łac.) - społeczność complicare (łac.) - skomplikowany cyt(y)war (arab.) - zasuszone i nie-rozwinięte główki niektórych gatunków bylicy używane w celach leczniczych; roślina z rodziny im-birowatych; korzeń lub nasienie czajka (z tur.) - kozacka łódź wojenna czausz (tur.) - poseł, wysłannik cząty - czerwony złoty, dukat chutor, futor (ukr.) - mały folwark
w stepie, osada z dala od wsi czaban (ukr.) - pastuch (z tatarska); także: wielki wół podolski dank - podziękowanie delacja - denuncjacja, doniesienie, oskarżenie; delator - donosiciel, oskarżyciel (prywatny)
475
delia - okrycie wierzchnie, zapinane, zazwyczaj z futrzanym kołnierzem i bez rękawów lub z krótkimi rękawami diariusz - dziennik, pamiętnik driakiew - tu: maść lecznicza dragoman (arab.) - tłumacz, przewodnik drygant - ogier dubium (z łac.) - wątpliwość dur (tur.) - stój!
durak (ukr.) - dureń domino - strój (i człowiek tak ubrany) maskaradowy podobny do mniszego płaszcza z kapturem dum(k)a (ukr.) - pieśń kozacka o charakterze ballady dutki - dukaty
dyptam (dyptan) - roślina zielna z rodziny rutowatych, trzemdała
ekonomówka - dom ekonoma zarządzającego folwarkiem ekstraordynaryjny - nadzwyczajny
elefant - słoń error (łac.) - błąd
examen rigorosus (łac.) - ciężki egzamin, określenie obrony doktoratu medycznego
facecje - żarty
falkonet - śmigownica, lekkie działo
zwane też „sokolikiem” ferman, firman (tur.) - glej, rozkaz,
paszport wydany przez Portę forkiet (soszka) - rozdwojony na górze pręt, wbijany w ziemię jako podpórka do muszkietu furynały - kalesony
garłacz - strzelba o grubej lufie rozszerzającej się na końcu w lejek, do strzelania na krótki dystans siekań-cami (grubym śrutem) giaur (tur.) - niewierny giezło - koszula gлот - siekaniec, odłamek głownik - skazany na karę główną (śmierć) goj - nie-Żyd
grąd - dość wilgotny las liściasty lub mieszany z przewagą grabów grzywna - jednostka obrachunkowa; w XV-XVII w. liczyła 48 srebrnych groszy
gumno - podwórze gospodarskie, ew.
klepisko do młócki gwajak - produkt leczniczy z żywicy południowoamerykańskiego drzewa gwaj akowca
hajdamaka (tur.) - rozbójnik, synonim
Kozaka zaporoskiego harcerz - harcownik, lekkozbrojny żołnierz straży przedniej lub szpicy, zwiadowca histrion - aktor
hutman ratuszny - dowódca straży miejskiej
imaginacja - wyobrażenie imionisko - pseudonim, przydomek
importun - intruz, natręt indermach - oficyna indygen - tubylec infamis - banita pozbawiony czci in flagranti (crimine comprehen-si) (łac.) - schwytany na gorącym uczynku, w chwili popełnienia przestępstwa
inkursja (z łac.) - napad, najazd, wtargnięcie

476

in recenti (crimine) (łac.) - na gorącym uczynku instygator - rodzaj prokuratora miejskiego lub grodzkiego interregnum - bezkrólewie inwestygator - badacz, śledczy iściec - świadek jasyr (z tur.) - brańcy, także: niewola u Tatarów i TURków jaźwiec - borsuk jelec - poprzeczka przy rękojeści, chroniąca dłoń jupka - kaftan damski jurgieltnik - najemnik jurydyka - strefa miejska wyłączona spod władzy magistratu justycjariusz - stróż prawa kabaty - cele więzienne w krakowskim ratuszu (kabatem zwano też wewnętrzny dziedziniec w tymże) kadawer - trup kaper - korsarz bałtycki kapłon - kastrowany kogut, hodowany na rosół karawanseraj (pers.) - zajazd kauzyperda - lichy adwokat kijanka - deska do tłuczenia prania w bieżącej wodzie komput - poczet, zastęp, regularne wojsko komunik - oddział wojska bez taborów i ciężkiego sprzętu koncerz - długi na prawie półtora metra prosty miecz o trójkątnym lub czworokątnym przekroju konfekty - cukry, owoce kandyzowane (smażone w cukrze) kontagium (z łac.) - zaraza, zarazek; kontagion - zarażenie konwisarz - rzemieślnik odlewający konwie i inne naczynia z cyny kopa - 60 kopieniak - opończa od deszczu, krótka peleryna bez rękawów kordiaaka - choroba serca lub żołądka; tęsknica kozubalec - zwyczajowy okup płacony przez Żydów studentom (rzekomo na przybory szkolne) w zamian za święty spokój, w XVII w. zniesiony przez rektora Akademii Krakowskiej krotofila, krotochwila - żart, zabawa (w tym także potykanie się na turnieju) kufickie pismo - starożytne pismo arabskie (od miasta Kufa pod Bagdadem) kuregalop - krótki galop koński kwarciani - piechota ustanowiona przez Zygmunta Augusta do obrony Ukrainy, na której utrzymanie przeznaczano podatek z dóbr królewskich zwany kwartą (ćwiercią) kyz (tatar.) - dziewczyna Lach (ukr.) - Polak lasciwia - rozpusta lafa - płaca miesięczna lub roczna, żołd latoś - w bieżącym roku legart - leń, próżniak lewart - lampart liman (z tur.) - laguna czarnomorska, płytka zatoka w lejkowatym ujściu rzeki, błotnista i usiana wyspami list instancjonalny - list polecający łątka - lalka

477

merkuriusz - rtęć molojec (ukr.) - junak, zuch, Kozak mila - morska - 1852 m; polska - około 7 km (mała mila polska - 5 km); węgierska - około 10 km mincarnia - mennica misiurka (arab.) - czepiec kolczy (ze stalowych kółek) modus operandi (łac.) - sposób działania monomachia - pojedynek morbus hungańcus (łac.) - gorączka węgierska murator - architekt murza (tat., z pers. mirza) - tytuł u ludów wschodnich: księżę krwi (stawiany po imieniu) albo szlachcic lub uczony (przed imieniem) murzyk (murzak) (tat.) - szlachetka tatarski (wym.: mur-zyk) nakowadło - narzędzie do bicia monet niemocnica - izba chorych nigromancja - wywoływanie zmarłych nouveau riche (franc.) - nuworysz, nowobogacki, dorobkiewicz nurkowie - tu: arianie (od praktykowania chrztu przez zanurzanie) ocap - górna belka futryny ochyba, bez ochyby - niechybnie ort - 3 gr (połowa szóstaka) ostróg - ostrokół, palisada ostrów - wyspa osutki - wysypka otrok - wyrostek oźralec - pijak ożóg - kij do grzebania w palenisku, drewniany pogrzebac

paschał - świeca paschalna pawęż(a) - okrągła tarcza pierwotnie wyrabiana w Pawii we Włoszech (stad nazwa) pawiment - posadzka pax (łac.) - pokój
pendent - pas przez ramię, do noszenia broni białej per procura (łac.) - w zastępstwie
peregrynacja - podróż, pielgrzymka piano nobile (wł.) - reprezentacyjne pierwsze piętro w pałacach magnackich
picownicy - wojska zaopatrzeniowe piechota wybraniecka (łanowa) - zob.
wybrańcy pierwotek, z pierwotku - początek,
z początku pięść - długość dłoni (20-25 cm), pół łokcia
piszczel (ukr.) - samopał, prymitywna strzelba pław - nurt, żegluga podsiębicie - sufit
pomyłuj (ukr.) - zlituj się portugal - największa złota moneta polska (bita na przełomie XVI/ XVII w.), wzorowana na portugalskich cruzados, warta wpierw 10, potem 5 dukatów
postronny - obcy, zagraniczny powariować - pofalszować pozawczoraj - onegdaj,
przedwczoraj półhak - ciężka rusznica półtorak - najmocniejszy miód pitny
(1 część miodu/1,5 części wody) półzegarz - zegar z 12-godzinnym cyferblatem (starsze były 24-godzinne) praesentatio cadaveris (łac.) - prezentacja trupa preceptor - nauczyciel
478

prezerwatywa - bezpieczeństwo pnedatiel (ros.) - zdrajca, sprzedawczyk
pro memoria (łac.) - ku pamięci prozapia - ród, przodkowie, pochodzenie przecka - granica
przeczić - przeczytać pugilares (pulares) - rodzaj portfela
rakło (rom.) - chłopiec (nie cygański,
obcy) Rakuzy - Austria
rańtuch - duża chusta, rodzaj kobiecego okrycia wierzchniego reis (tur.) - kapitan okrętu
rekuza - odpalenie zalotnika, odkosz respons - odpowiedź, odpis rękodajny - tu: zaufany sługa
robieniec - wyrobnik, robotnik roki - sądy doroczne (starościńskie odbywały się zwykle 6 razy w roku) rostrucharz - znawca, handlarz i lekarz koński rozsądzone (konie) - rozstawne
ryć (rom.) - niedźwiedź ryćar (rom.) - niedźwiednik rysią - kluse'm
rzap - wielka publiczna beka na wodę (kilka było wkopanych w okolicy krakowskiego rynku)
sapor - smak
sążen - miara równa długości rozpostartych ramion, ewentualnie 6 stóp, czyli około 1,8-2 m
sandzak (tur.) - wojewoda, zarządca prowincji sapor - sok, smak semen - Kozak dworski
serwitoriat - jednostkowy przywilej
królewski na uprawianie rzadkiej profesji poza cechem sabat - hajduk węgierski, najemnik
sak - worek (o)skoma - ochota
skomoroch (ukr.) - niedźwiednik, kuglarz
skotopaska - sielanka
speculum lapideum (łac.) - XVI-wiecz-
ny prototyp lupy statysta - wytrawny polityk, mąż stanu substytutor - zastępca sam (łac.) -
jestem szampierz - rywal
szkofia - delikatnej roboty metalowa,
stercząca ozdoba czapki szlakować - śledzić szpion (ros.) - szpieg szpotawy - koślawy,
zezowaty, ułomny sztuciec - sztucer
sztucznie - zmyślnie, ozdobnie, ze sztuką
śmigownica - długie lekkie działo Świątnik - posługacz kościelny
tamga (tatar.) - herb tatarski wywodzący się od znaków własnościowych Złotej Ordy
(najczęściej kombinacja kółek i kresek) traktament - poczęstunek trefny - tu: celny tret -
chodnik turbacja - kłopot tuszkański - toskański tyn - wewnętrzne ogrodzenie z kolczastych
gałęzi, czasem również otoczone fosą i wałem jak zewnętrzna palisada
ulus (tat.) - namiotowa wieś tatarska
479

verbum nobile (łac.) - słowo szlacheckie (teoretyczna gwarancja prawdomówności)

wagant - wędrowiec, podróżny, także:

wędrowny aktor walny - główny

wekiera - siekierka na długim styli-

sku, ciupaga weksa, weksacja - dręczenie, dokuczanie, drażnienie węzeł - jednostka prędkości na morzu:

1 mila morska/godz. wiertel - kwartał miejski wiorsta - rosyjska miara długości, około 1 km

wolentarz - ochotnik

wybrańcy - piechota na wniosek Batorego powołana przez sejm z 1578 r.: z każdych 20

łanów królewskich w Koronie jeden chłop miał być wybrany do wojska i zwolniony z

wszelkich ciężarów i podatków, a pozostałych 19 miało go wyposażyć (w mundur, rusznicę,

proch, ołów, szablę i czekan), a także odrabiać jego świadczenia wywołaniec - banita, infamis

wzdy - jednak, przecież, nareszcie

zabaczyć - zapomnieć

zadz - tył, podwórze za domem

zażrzeć - zazdrościć

SPIS TREŚCI

i

Prolog 11

Rozdział 1 Skrytobójstwo 25 Rozdział 2 Strachy 75 Rozdział 3 Spotkanie 123 Rozdział 4

Zdrada 172 Rozdział 5 Most 223 Rozdział 6 Zniknięcie 270 Rozdział 7 Rozpacz 324

Rozdział 8 Listy 372 Rozdział 9 Kara 422

Epilog 467

Notka historyczna 472 Słownik 475

Rybitwy

Na-KotłóWHn

Staw in>. Sebastiana (Leypingeroutskii

KLEPARZ

Pędzichów

Błonie

TRAKT tCAUSKŁ

długa

8 grooW*2.

Biskupie

Młynówka

Na Piasku

GARBARY

SMOLEŃSKO

Czarne Ogrody

KAWIORY

CZARNA WIEŚ

ZWIEF

KOPIEC KRAKUSA

GÓRA LASOTY

JANOWA WOLA

Na Zbóju (Krzemionki)

BONARKA

ŻYDOWSKI

folnica

Łąki

ebastiana

Blecha

STRADOM

SKAŁKA

KRAKÓW I OKOLICA W CZASACH KACPRA RYKSA

(Opracował M. Woliny)

1. Pałac Montelupich
2. Kościół św. Floriana
3. Letni Pałac Biskupi
4. Kościół św. Piotra
5. Dolne Młyny
6. Kościół św. Mikołaja
7. Kościół Najświętszego Salwatora
8. Klasztor Norbertanek
9. Zameczek Myśliwski
10. Przewóz (przeprawa promowa) U. Kościół św. Michała (Na Skalce)
12. Kościół św. Katarzyny
13. Kościół Bożego Ciała
14. Bożnica Stara
15. Brama Gliniana
16. Brama Bocheńska
17. Brama Wielicka (Solna)
18. Brama Skawińska
19. Most św. Stanisława
20. Most Wielicki
21. Kościół św. Benedykta
22. Port rybacki
23. Brama Żydowska
24. Bożnica Wysoka
25. Bożnica i cmentarz Remuh
26. Mykwa
27. Pałac Jordanów
28. Kaplica św. Małgorzaty

LUDWINÓW

DĘBNIKI

W serii ukazały się:

Pierwsza część przygód królewskiego inwestygatora. Pewnej styczniowej nocy 1569 roku ostatni z Jagiellonów spojrzął w niezwykle zwierciadło. Za sprawą „czarnoksięskiej” sztuczki zobaczył w nim coś, co na lata pozwoliło grupie przebiegłych intrygantów zawładnąć jego schorowaną wyobraźnią... Czy Ryksowi uda się uratować majestat Rzeczypospolitej?

Drugi tom opowieści o Kacprze Ryksie. Ginie doktor Akademii Krakowskiej. Z bibliotek znikają cenne woluminy. Nocami ukazuje się upiorny jeździec bez głowy. Kacper Ryx

podejmuje śledztwo. Tropy prowadzą go w najmroczniejsze zakamarki miasta. A Kraków bywa naprawdę niebezpieczny...

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o., ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków. Wydanie 1, 2010. Druk: Drukarnia GS sp. z o.o., ul. Zabłocie 43, Kraków.